

TERZANI TIZIANO

W Azji

Tytuł oryginału: In Asia Copyright © 1998, by Tiziano Terzani Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo W.A.B., 2009 Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo W.A.B., 2009

Wydanie I Warszawa 2009

Pamięci Marca Filloux, Kokiego Ishihary i wszystkich innych kolegów, którzy sumiennie wykonując zawód dziennikarza, czasem tylko dlatego, że pojechali sprawdzić jakiś szczegół, oddali życie na azjatyckich frontach.

\$ JužnoRh(y)lsk
KOREA PÓŁNOCNA
? t;Tokio >J»0shima jf— Osaka -Hiroshima^
MONGOLIA
Phenian ^

Dharamsala
KOREA 1 POŁUDNIOWA
.^Szanghaj

PAKISTAN
OCEAN SPOKOJNY
Hongkonj
iMirzapur, BANG LA!
Makau
• Surat

WIETNAM
*Wientian V AJLANDIA

Sfiperumbudur

Bangkok"

Phnom Penh
BRUNEI
SRI LANKA
Kolombo •
początek

Zostałem dziennikarzem, ponieważ w wyścigach byłem zawsze ostatni. Chodziłem do jednego z florenckich liceów i z uporem uczestniczyłem we wszystkich biegach przełajowych, jakie odbywały się w parku Cascine. Nie miałem żadnych osiągnięć - z wyjątkiem rozśmieszania kolegów. Pewnego razu pod koniec zawodów, kiedy publiczność już się rozchodziła, a ja dopiero dotarłem na metę, podszedł do mnie mniej więcej trzydziestoletni pan z notesem i powiedział coś w rodzaju: „Jesteś uczniem? A więc nie startuj w biegach, tylko je opisuj!” Miałem wtedy szesnaście lat i to był pierwszy dziennikarz, z jakim się zetknąłem, a także moja pierwsza propozycja pracy: sprawozdawcy sportowego „Giornale del Mattino”. Zacząłem od biegów, potem przerzuciłem się na wyścigi kolarskie, a jeszcze później na mecze piłki nożnej. Odtąd w niedzielę, zamiast chodzić na tańce, jeździłem po wioskach i miasteczkach Toskanii starą vespą 98.

„Zróbcie przejście, idzie dziennikarz” - mówili organizatorzy, kiedy się przedstawiałem. Byłem dzieciakiem, a na sporcie znałem się mało albo wcale, ale dzięki temu zajęciu mogłem liczyć na dobry punkt obserwacyjny, a dzień później - zobaczyć swoje nazwisko nad krótkim artykułem na sportowych stronach miejskiej gazety. Do owych dwóch praw - a wręcz przywilejów - zawsze byłem przywiązany. W niezwykłym zawodzie dziennikarza, który poza wszystkim jest stylem życia, pociągała mnie możliwość znajdowania się w centrum wydarzeń, zadawania najbardziej niewygodnych pytań, przechodzenia przez wszystkie drzwi, brania pod lupę ludzi wpływowych, a wreszcie - zdawania relacji.

Dzięki zdaniu: „Zróbcie przejście, idzie dziennikarz”, wypowiedzanemu na różne sposoby, w różnych językach, stało przede mną otworem wiele miejsc, przez które przetoczyła się historia, przeważnie smutna, moich czasów: były to fronty niepotrzebnych wojen, mogiły ofiar potwornych rzezi, upadające więzienia i szklane klosze pałaców należących do dyktatorów. Nie opuszczało mnie przy tym poczucie, że wypełniam „misję”, że jestem oczami, uszami, powonieniem, niekiedy nawet sercem czytelników - tych, którzy nie mogli pojechać tam, dokąd jechałem ja. I nie tylko czytelników.

Jeśli bowiem jest prawdą, że we wczorajszej gazecie d»iś zawija się rybę, to prawdą jest także, że od dziennikarstwa zaczyna się historia. Zawsze czułem tę odpowiedzialność. Stąd wyczulenie na szczegóły, dokładanie starań, aby precyzyjnie przytaczać fakty, liczby, nazwiska. Jeżeli detale pojedynczego zdarzenia, jakiego było się świadkiem, nie są wiernie oddane, to co z wiernością całej mozaiki historii, którą potem ktoś będzie rekonstruował na podstawie tych okruchów?

Nie twierdzą bynajmniej, że na następnych stronach nie ma błędów; mówię jedynie, że starałem się ich unikać i że nigdy nie wymyśliłem niczego po to, aby wypełnić lukę albo upiększyć opowieść. Niektóre artykuły zostały napisane na gorąco, pod presją, gdy liczyła się każda minuta; inne są dziełem dni - a niekiedy tygodni - badań i przemyśleń. Jedne są wyłącznie kroniką, drugie próbą nakreślenia portretu kraju albo konkretnej sytuacji. A wszystkie mają coś wspólnego z Azją, bo Azja od ponad dwudziestu pięciu lat jest celem moich wypraw.

Czemu Azja? Wybrałem ją głównie dlatego, że była daleko, dlatego, że sprawiała na mnie wrażenie ziemi, na której zostało jeszcze coś do odkrycia. Pojechałem tam w poszukiwaniu „innego”, wszystkiego, czego nie znałem, w pogoni za ideami, ludźmi znanymi tylko z lektury. Zacząłem od nauki języka chińskiego, ponieważ pragnąłem zamieszkać w Chinach i zobaczyć maoizm na własne oczy. Przyjąłem stanowisko korespondenta wojennego, gdyż uważałem, że to, co dzieje się w Wietnamie, jest również moją sprawą. Reszta przyszła sama, w tym także wybór krajów. Zawsze podejmowałem decyzje razem z rodziną, kierując się własnymi zainteresowaniami, nie zaś osobistą wygodą czy wolą przełożonych.

Korzyść z bycia dziennikarzem w porównaniu, na przykład, z byciem dyplomatą - polega na wolności. Nie tylko na wolności wyrażania własnych poglądów, ale także na swobodzie zmiany pracodawcy, jeśli nie pozwala nam on robić tego, co byśmy chcieli. Ambasador przenoszony z jednej stolicy do drugiej nie może powiedzieć: „Zostanę tutaj i będę reprezentował inne państwo”. Dziennikarz natomiast może przejść do innego tytułu, aby zostać lub pojechać tam, gdzie mu się podoba. Ja miałem szczęście - nigdy nie musiałem zmieniać odbiorcy moich tekstów, aby mieszkać tam, gdzie mnie ciągnęło: w Singapurze od 1971 do 1975 roku, w Hongkongu od 1975 do 1979 roku, w Chinach od 1979 do 1984 roku, potem znów przez rok w Hongkongu, w Japonii do 1990 roku, w Tajlandii do 1994 roku, a od tamtego czasu w Indiach.*

W moim przypadku szczęście wiązało się ze spotkaniem odpowiedniego człowieka: Rudolfa Augsteina, założyciela i szefa „Der Spiegel”, który w 1971 roku, może rozbawiony pojawieniem się tego dziwnego gasta szukającego zatrudnienia, zaproponował mi współpracę, a kilka miesięcy później stanowisko korespondenta. Od tamtej pory byłem „dziennikarzem niemieckim”. Wcześniej próbowałem być także włoskim dziennikarzem, ale - podobnie jak w biegach - nie miałem na tym polu znaczących osiągnięć. W owych latach żaden włoski dziennik ani tygodnik nie posiadał wysłannika na Wschodzie ani nie był zainteresowany stworzeniem takiego stanowiska.

Pisanie w obcym języku, dla czytelnika, którego nie znałem, niekiedy mi ciążyło, więc od czasu do czasu wysyłałem artykuły do włoskich gazet. Współpracowałem z tytułami: „Il Giorno”, „Il Messaggero”, „L'Espresso”, „La Repubblica”, a od 1989 roku z „Corriere della Sera”. Po włosku prowadziłem przeważnie własne dzienniki, z których potem powstało kilka książek.

Zbiór tutaj zamieszczony to wybór tekstów wyłącznie dziennikarskich, napisanych w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat. Większość z nich została przetłumaczona z oryginałów w języku niemieckim lub angielskim, inne artykuły istniały od początku w języku włoskim. Oddałem je do druku bez zmian, w postaci, w jakiej je odnalazłem - starsze na papierze welinowym albo w wersjach przesłanych przez teleks, nowsze zapisane w pamięci komputera.

Mówią, że wraz z rozwojem narzędzi elektronicznych dziennikarstwo się zmienia, że pogoń za sensacją wypaczyła etykę zawodową i że wkrótce znikną tacy jak ja - krążący jeszcze po świecie i ścigający jakieś małe prawdy. Trudno się nie zgodzić, chociaż to bardzo przykre*. A jednak mam pewność, że mimo hipermaterializmu i amoralności obecnych dzisiaj w każdej dziedzinie, wartości ducha nie przeminęły i także ten zawód, jak inne, na przekór wszystkim komputerom wnoszącym chłód do naszego świata, może nadal być wykonywany z uczuciem i namiętnością, może nadal być postrzegany jako misja, służba publiczna, sposób na życie. A im więcej telewizja będzie przysyłać do naszych domów skrótów wydarzeń - podanych błyskawicznie, ale powierzchownie - tym bardziej będą potrzebni ci, którzy jadą na miejsce, aby zobaczyć, powęszyć, przejąc się jakąś historią daleką albo bliską, a potem ją opowiedzieć tym, co jeszcze chcą słuchać. Mam pewność, że tak właśnie jest. A jeśli nie - bo nie jestem nieomylny - oto kopalne ślady przedstawiciela ginącego gatunku.

t.t.

Orsigna, kwiecień 1998

W 1993 roku, w przypiływie gniewu, złożyłem doniesienie do zrzeczenia na włoskiego dziennikarza, który opublikował serię nieprawdziwych tekstów. Nie doczekałem się żadnej reakcji, a jeden z najbardziej znanych kłamców w tym zawodzie wciąż należy do najlepiej opłacanych dziennikarzy we Włoszech.

W latach 1958-1961 byłem studentem Kolegium Prawa Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Pizie. Po obronie mieszkałem przez sześć miesięcy w Anglii, a w 1962 roku zacząłem pracę w Olivetti. Sprzedawałem maszyny do pisania, potem spędziłem trochę czasu w fabryce, a jeszcze później oddelegowano mnie do działu kadr zagranicznych. W 1965 roku, jako dwudziestosiedmioletni, zostałem wysłany do Japonii, gdzie miałem prowadzić szkolenia dla firmy. Po drodze do Tokio zatrzymałem się na jeden dzień w Bangkoku. Wtedy po raz pierwszy postawiłem stopę na kontynencie azjatyckim. Uderzyło mnie piękno bugenwilli. W Tokio korzystałem z każdej wolnej chwili, aby odkrywać miasto i pisać do Angeli o pierwszych wrażeniach.

pierwszy raz

Tokio, 4 stycznia 1965

Droga żono,

jeszcze błogo nieświadomy, żeśmy się pożegnali, nagle jestem na miejscu: w Japonii...

Nowoczesność czyni wszystko pospolitym, a cywilizacja cywilizowanym. Wylądowałem w Tokio, jakby to był Mediolan. Hotel równie dobrze mógłby się znajdować w Sztokholmie, a obsługa gości - standard Olivetti - nie różni się niczym od tej z Lizbony czy Hagi. Z okna, o które dzwoni natarczywa mżawka, widzę szereg niskich domów i pustą jeszcze ulicę.

Chciałbym tylko jednego: wyrwać się z tego sennego spokoju hoteli dla menadżerów, którzy używają identycznego mydła co w Toronto, i powłóczyć się po szarej równinie, wśród domów. Chciałbym zrzucić pancerz ochronny, który wszystko wokół mnie czyni łatwym i uśmiechniętym.

Tokio, 6 stycznia 1965

[...] Jadłem po raz pierwszy w japońskiej restauracji, rozśmieszając wszystkich sąsiadów uporem, z jakim starałem się używać pałeczek. Gdyby nie rodzina siedząca naprzeciwko, której każdy gest naśladowałem, zapłaciłbym w końcu rachunek, nie tknąwszy niczego poza kilkoma ziarnkami ryżu. Tutaj nie tylko inne są przybory do jedzenia i produkty, ale także sposób nakrywania do stołu: zamiast talerzy pojawiają się miseczki, w których coś pływa... Koniec i początek roku świętuje się rodzajem wielkiej uczty trwającej dwa tygodnie: ulice są dekorowane słomą ryżową, kobiety zakładają odświętne kimono, na samochodach łopoczą chorągiewki z intrygującymi napisami, których nie rozumiem. W biurach pije się piwo i je z drewnianych pudełek misternej roboty, ozdobionych kwiatami i ideogramami. W oczach człowieka Zachodu ideogram jest niezwykle eleganckim elementem dekoracyjnym dodającym każdemu przedmiotowi tajemniczości, toteż zdumiewam moich japońskich kolegów, przystając z zachwytem, aby przyjrzeć się wielkiej reklamie, na której zresztą - jak mi mówią - widnieje hasło COCA-COLA, albo napisowi na odwrocie krótkiego błękitnego kimono noszonego przez robotników, oznaczającemu - jak mi mówią - TOKIJSKIE PRZEDSIĘBIORSTWO TELEFONICZNE. Jestem oczarowany wszystkim, co obce, tą niemożliwością porozumienia się, tym tajemniczym kręgiem twarzy używających do przekazywania uczuć tak odmiennych kodów, tym kręgiem znaków, których sekrety pragnę przeniknąć.

Tokio, 9 stycznia 1965

(...) Jednemu ze sprzedawców, których szkole, właśnie umarło małe dziecko. Odwróciło się w kołysce i przyduśliło poduszką. Wezwano karetkę, która przyjechała z tlenem, ale bez złączki i rurki, żeby go podać. Dziecko umarło. Sanitariusze i rodzice wymienili niskie

ukłony, przepaszając na zmianę: pierwsi za to, że kazali na siebie czekać, drudzy - że wezwali ich nadaremno...

Tokio, 14 stycznia 1965

(...) Uczę się. Dziś w metrze słuchałem rozmowy staruszki o przezroczyściej, gładkiej twarzy i jej koleżanki, która wiozła zakupy w przepięknej chuście. Ta pierwsza mówiła, a druga, nie przestając kiwać głową, odpowiadała: „Hai... hai... aah... so... iiii... oo- ooooo... uuuuu... hai”. Trwało to dobre piętnaście minut, a potem wstały i wyszły, kołysząc się na boki, stawiając małe kroczyki. Pierwsza nadal mówiła, druga zaś wydawała te same dźwięki, podczas gdy jej piękna błękitno-czarna chusta objęła się o kimono w odcieniu ciemnego, ciepłego brązu.

Kioto, 15 stycznia 1965

(...) Trwa święto młodych, którzy skończyli dwadzieścia lat, a ja skorzystałem z okazji, aby przyjechać do Kioto najszybszym pociągiem świata... Miejsce, w którym się znajduję, to ryokan, tradycyjny hotel, a obsługuje mnie z szacunkiem pokojówka-karmi- cielka, dbająca o to, abym nauczył się rozróżniać rozmaite rodzaje pantofli i nie pomylił tych do o-furo, „czcigodnej kąpieli”, z tymi do wychodka... Na herbatę przyszedł do mnie „dziwny florentczyk”, przyjaciel Fosca Marainiego, dominikanin Sandro Benci- venni. Został do północy, siedząc na podłodze przy moim małym stoliku z laki, podczas gdy karmicielka podawała ciasteczka i sake, uszczęśliwiona, że może przyjąć gościa w domu swojego gościa. Rozmawialiśmy o Florencji, o tym, dlaczego z niej uciekliśmy, o Wschodzie, o buddyzmie, którego on jest wielkim znaw- cą--Jego naiwność co do stosunków panujących na świecie jest rozbrajająca, ale refleksje filozoficzne zrobiły na mnie duże wrażenie: Zachód - mówił - to kultura pojmowana jako nauka, czyli jako poznanie świata wokół „ja”, tymczasem „ja” jest tylko instrumentem i domem myśli; stąd biorą początek przyrodoznawstwo i nauki empiryczne. Natomiast Wschód (to znaczy Indie, dla niego bowiem wszystko przyszło właśnie stamtąd przez Chiny i Koreę - także do Japonii) to kultura pojmowana jako poszukiwanie myślącego „ja”, myśl pojmowana jako myśl „ja”, które myśli samo siebie, albowiem „ja” nie jest częścią całości, lecz całością. Różnice to złudzenie: całość, absolut, jest prawdą. Rozróżnianie donikąd nie prowadzi. W owych dwóch kierunkach - powiada - świat zmierzał przez stulecia, docierając do przerażającej otchłani współczesności, gdzie z jednej strony jest „ja”, które zapomniało o sobie samym, zatracając się w poznaniu zewnętrznego świata, a wręcz stało się więźniem poznanego - co oznacza cywilizację maszyny i koniec humanizmu - z drugiej strony zaś jest „ja”, które osiągnęło niezmierną głębię i wyrafinowane formy kultury, ale, zapomniawszy o poznawaniu zewnętrznego świata, umiera teraz z głodu, a także na dzumę i trąd...

Spędziłem w Japonii półtora miesiąca. W drodze powrotnej zatrzymałem się w Hongkongu, w Singapurze i w Delhi. Podjąłem decyzję: moja przyszłość będzie związana z Azją. Musiałem się zatem przygotować. W pierwszych dniach września 1967 roku wszedłem z Angelą na pokład „Leonarda da Vinci” płynącego do Nowego Jorku. Po drugiej podróży do Azji - z przystankami w Australii, na wyspie Timor, w Hongkongu i Makau podczas wielkich wystąpień maoistów - otrzymałem Harkness Fellowship, stypendium, które pozwoliło mi spędzić dwa lata w Stanach Zjednoczonych. Zapisalem się na Uniwersytet Columbia, gdzie studiowałem sinologię. W 1969 roku wróciłem do Włoch, przez osiemnaście miesięcy pracowałem jako dziennikarz stażysta w „Il Giorno” w Mediolanie, a potem złożyłem wymówienie. Pod koniec 1971 roku z dwójką maleńkich dzieci wyruszyliśmy do Singapuru. Nasz pierwszy azjatycki dom znajdował się w parku pełnym tropikalnych barw i odgłosów. Na pierwszym planie w tamtym okresie była wojna indochińska, w której Amerykanie i wspierane przez nich prawicowe reżimy walczyli przeciwko komunistycznej partyzantce popieranej przez Chiny i ZSRR. W kwietniu 1972 roku znalazłem się jako korespondent w

Wietnamie i po raz pierwszy poczułem, co to znaczy „strzelać z wściekłością”. Zaczęłem prowadzić dziennik. Oto pierwsza strona:

Sajgon, 7 kwietnia 1972

Wojna jest rzeczą smutną, ale jeszcze smutniejsze jest to, że człowiek się przyzwyczaja. Pierwszy trup, jakiego ujrzałem, leżący dziś rano na wale obozu z rozpostartymi ramionami, wychudłymi dłońmi pełnymi błota i woskowożółtą twarzą, sprawił, że zdrętwiałem. Następne ciała po prostu liczyłem, jak rzeczy, których liczbę, z zawodowego obowiązku, trzeba zapisać.

Niemożliwością jest mówić, pisać o tej czy innej wojnie, jeśli się nie pojedzie na miejsce, aby ją zobaczyć, jeśli nie jest się gotowym podzielić jej niebezpieczeństw. Mówiłem to sobie, udając się na front, po dwóch dniach w Sajgonie z attache wojskowymi, rzecznikami dowództwa, „ekspertami” - dniach spędzonych na dyskusjach o wojnie, która nadal była dla mnie czymś oderwanym od rzeczywistości, abstrakcyjnym, jakby nie brali w niej udziału ludzie.

Sądziłem, że trzeba pojechać na wojnę, aby ją zrozumieć, jakby to był także rodzaj lojalności w stosunku do żołnierzy. Nie zmieniłem zdania, ale teraz, kiedy tu jestem, czuję strach, a przeraża mnie odkrycie, że tej wojny nie da się przeżyć inaczej, jak tylko po którejś ze stron frontu, jako - w pewnym sensie - jej część.

Żołnierze, za którymi idziemy, stają się szybko „nami”, a ci drudzy, którzy do nas strzelają, stają się nieprzyjaciółmi, bad guys, „złymi”, jak nazywają ich Amerykanie.

Ucząc się rozróżniać pociski wystrzeliwane regularnie przez „naszą” artylerię i te nadciągające, sporadycznie, zniemacka, które mogą paść tuż obok, uczymy się automatycznie mówić „my” i „oni”.

Z twarzą ukrytą w dole wypełniającym się wodą, podczas ulewnego deszczu, zdziwiłem się, że marzę, aby nadleciały amerykańskie helikoptery, aby zjawiły się coby i oczyściły lasek. Skąd kilku snajperów brało nas na cel.

-Jeśli nie dostaniemy wsparcia do dziś wieczorem albo do jutra, będzie po nas - mówił major Minh, szef dystryktu Chon Than. - Oddziałów Wietkongu jest coraz więcej z godziny na godzinę. Są prawie wszędzie... - I zataczał koło wyciągniętą ręką. W tym właśnie momencie do nas strzelili. Stałem wyprostowany; bardzo blisko, na wysokości prawego ucha, coś przeleciało obok mnie z sykiem. Suchym. Krótkim. Wiem, mówiono mi wiele razy, że kula, którą słyszysz, nie jest tą, która cię trafi, ale to słabe pocieszenie, kiedy kolejne przelatują ci nad głową i wiesz, że kilka metrów stąd ktoś, kogo nawet nie znasz, czeka, żebyś się ruszył, aby do ciebie strzelić, i może myśli, że jesteś amerykańskim doradcą... *

Ten materiał pod tytułem Pelle di leopardo. Diario vietnamita di un corrispondente diguerra ukazał się w 1973 roku w wydawnictwie Feltrinelli.

Moja rodzina była bezpieczna w Singapurze, a ja połowę czasu spędzałem w Indochinach, krążąc zazwyczaj pomiędzy Laosem, Kambodżą a Wietnamem. Z tych trzech krajów Laos wydawał się najbliższy osiągnięcia pokoju. Przedstawiciele partyzantki weszli do rządu i pierwsi ludzie z Pathet Lao pokazali się w stolicy.

Laos: milion słoń

Wientian, kwiecień 1974

Patrol Pathet Lao przecina co godzina po zachodzie słońca. Gęsiego, powoli, górskim chodem, jakby nadal znajdowali się w dżunglach wyzwolonego Laosu, komunistyczni partyzanci patrolują ulice tego miasta, które w latach wojny stało się amerykańskim centrum dowodzenia tajnymi operacjami w Indochinach, metą agentów CIA, ośrodkiem handlu opium. W swoich zielonych mundurach, wypłowiałych od słońca i deszczu, w pełnym rynsztunku bojowym, z chińskimi karabinami AK-47 na biodrze, defilują, jeden za drugim, po obu stronach drogi, przed barami, klubami nocnymi, między grupkami prostytutek i transwestytów polujących na ostatnich klientów na ulicy Sam Se Thai.

Nikogo nie zatrzymują, nie zadają pytań. Na razie po prostu chodzą i patrzą.

Od trzech tygodni w Laosie istnieje rząd koalicyjny. Komuniści mają połowę władzy i tysięcy ośmiuset żołnierzy w stolicy administracyjnej kraju. Choć po układach paryskich dużo się mówiło o tym rozwiązaniu, wprowadzenie go w życie wywołało zaskoczenie. Zdaniem wielu osób to było niczym zakończenie baśni.

Po dziesięciu latach bratobójczej wojny podjazdowej wrogowie, dwaj książęcy bracia przyrodni, spotkali się w Luang Prabang, dawnej stolicy „królestwa miliona słoni”, i przysięgli w obecności króla, swojego kuzyna, że dla dobra narodu będą współpracować.

Souvanna Phouma, antykomunista, i Souphanouvong, komunista, stali jeden przy drugim, w tradycyjnych strojach Lao, ciemnoniebieskich spódniczkach i białych marynarkach zapiętych pod szyję. Za nimi, wszyscy w takich samych dworskich szatach, członkowie nowego rządu i rady politycznej. Scena wydawała się wyjęta z jakiejś starej, egzotycznej reprodukcji: gwardia królewska stojąca na baczność, korpus dyplomatyczny w galowych mundurach, bonzowie w swoich pomarańczowych tunikach i świętujący tłum. Bicie w gong niosło się z Wat Phu Si, sanktuarium na świętym wzgórzu, gdzie, jak powiadają, zostały pogrzebane niektóre z osiemdziesięciu czterech tysięcy relikwii Buddy i gdzie, według laotańskiej legendy, ukrywają się dwa potworne smoki, które wyjdą, aby pożreć wszystkich mieszkańców kraju, jeśli gong umilknie.

Laos się zjednoczył, i to na drodze pokojowej; jako pierwsze państwo w Indochinach zdołał zakończyć wojnę, której poszczególne fazy pustoszyły półwysep od 1945 roku. Mieszkańcy tego kraju mają przysłowie na każdą okazję, toteż książę Souvanna Phouma, premier nowego rządu koalicyjnego, znalazł stosowne również do obecnych okoliczności:

- Nie da się wody przepołować mieczem - powiedział mi z należytą podniosłością na przyjęciu w swojej rezydencji. -Jeśli ktoś znowu spróbuje nas podzielić, my połączymy się jak ona.

Mimo oficjalnie panującego optymizmu, wielu obserwatorów z zagranicy, a także samych Laotańczyków, wyraża wątpliwości co do szans utrzymania koalicji: trzeciej po dwóch wcześniejszych eksperymentach (w 1957 i 1962 roku), które za każdym razem kończyły się katastrofą.

Niektórzy uważają, że Pathet Lao, ze swoją połową wpływów, przeprowadzi zamach stanu, aby zagarnąć całą władzę; inni, przeciwnie, twierdzą, że zrobią to bogate laotańskie rody i ich prawicowi generałowie, aby przegnać komunistów do kamieniołomów Sam Neua, miasta na granicy z Wietnamem Północnym, gdzie oddziały Pathet Lao oparły się krwawym bombardowaniom amerykańskich latających fortec i z powodzeniem prowadziły wojnę rewolucyjną przeciwko rządowi z Wientianu cieszącemu się poparciem Waszyngtonu.

Ale Laos jest krajem wyjątkowym i tutaj koalicja naprawdę może się sprawdzić.

To kraj, w którym nawet w najostrzejszej fazie konfliktu, kiedy żołnierze rządowi i partyzanci komunistyczni zabijali się w dżungli, oficjalny reprezentant Pathet Lao dalej mieszkał spokojnie, jak gdyby nigdy nic, w willi na głównym placu targowym, a umundurowany partyzant pilnował bramy, stojąc naprzeciwko setek gospodyń domowych robiących zakupy na straganach z zieleniną. Cztery ministerstwa w rządzie Wientianu przez trzynaście lat pozostawały nieobsadzone, na wypadek gdyby przywódcy Pathet Lao zechcieli wrócić i znów je objąć, z drugiej zaś strony partyzanci nigdy nie stworzyli samozwańczego rządu rewolucyjnego, jak to uczynił Wietkong w Wietnamie oraz Czerwoni Khmerzy w Kambodży.

Wojna w Laosie została tu przeniesiona z innych terenów Indo- chin, narzucona przez interwencję amerykańską, a propaganda antykomunistyczna opłacana przez Waszyngton nigdy nie zdołała przedstawić Pathet Lao jako zatwardziałych, śmiertelnie niebezpiecznych wrogów.

Dla Laotańczyków partyzanci byli nacjonalistami, którzy walczyli przeciwko obcej ingerencji w kraju, i ich popularność wciąż jest bardzo duża nawet na ziemiach kontrolowanych przez rząd z Wientianu.

Tysiące ludzi wyległy na ulice, aby wymachiwać flagami i chusteczkami, bić brawo, spontanicznie śpiewać popularną pieśń Pathet Lao (dotąd transmitowaną tylko przez podziemne radio, ale najwyraźniej świetnie wszystkim znaną): Pokój tu jest, przyszedł pokój.

Biała wołga szefa organizacji jechała wolno między dwoma skrzydłami tłumu wznoszącego okrzyki, a żołnierze Pathet Lao, rozstawieni co pięćdziesiąt metrów wzdłuż drogi, byli bohaterami dnia. Ludzie ich obejmowali.

Identyczne przyjęcie zgotowano czerwonemu księciu w Luang Prabang, stolicy królewskiej, a Savang Vatthana, monarcha, był tak rozdrażniony zamknięciem szkół i tłumami na ulicach - z podobną atencją na ogół witano jego osobę - że w ostatniej chwili odmówił podpisania dekretu konstytuującego nowy rząd. Król bał się, że jego tron jest zagrożony, i dopiero gdy Sftuphanou- vong rozwiął jego obawy, zmienił zdanie i złożył podpis.*

Lęk, że wraz z dojściem Pathet Lao do władzy wszystko się zmieni, nie był jedynie troską władcy. Bogata laotańska burżuazja, chińscy biznesmeni, ambasadorzy Wietnamu Południowego i Kambodży, rezydenci zagraniczni, a nawet hipisi setkami przejeżdżający przez Laos w swojej wędrówce za tanimi narkotykami - wszyscy byli zaniepokojeni, że nowy rząd podejmie środki ekonomiczne, aby ograniczyć prywatną przedsiębiorczość, rozpocznie dzieło odnowy moralnej kraju i nawiąże stosunki dyplomatyczne z innymi rządami rewolucyjnymi w regionie, a także wyrzuci z państwa wszystkich „nie-Lao”, którzy żyją tu z mniej lub bardziej legalnych interesów.

Nic takiego nie nastąpiło. Choć minęły trzy tygodnie od powstania nowego rządu, nie podjęto jeszcze ani jednej radykalnej decyzji politycznej, a ludzie z Pathet Lao robią, co mogą, aby wszystkich uspokoić. Pierwszą publiczną wizytą nowego ministra gospodarki i planowania - członka Pathet Lao - było udanie się na cotygodniowy obiad w Rotary Club w eleganckim Hotel Lane Xang. Z kolei minister do spraw wyznań - także z Pathet Lao - w towarzystwie czerwonego księcia Souphanouvong - ga poszedł i na buddyjską, i na katolicką ceremonię ku pamięci pompidou.

Wientian i Luang Prabang, mimo obecności partyzantów na ulicach, wyglądają tak jak zawsze. Jedenaście palarni opium i siedem burdeli dawnej stolicy królewskiej działa dwadzieścia cztery godziny na dobę, podobnie jak domy publiczne w dzielnicy Pa Kuai w Wientianie i dziesiątki chat, w których fajka najlepszego opium kosztuje wciąż sto kipów (niecałe pół euro). Marihuanę nadal można kupić na głównym targu Wientianu, między główkami kapusty a bazylią, za sto pięćdziesiąt kipów od kilograma, a na wystawach wietnamskich sklepów niezmiennie widnieją, poza portretami króla Laosu, fotografie Nguyena Van Thieu, rozpowszechniane przez lokalną ambasadę Sajgonu, która została zapewniona, podobnie jak kambodżańska, że nowy rząd nie naruszy status quo swoich stosunków dyplomatycznych.

White Rose, sławny bar, w którym dziewczyny palą najmniej do tego stosowną, a zarazem najbardziej intymną częścią ciała dziesięć papierosów jednocześnie, Madame Lulu, burdel, w którym towarem jest wyłącznie „miłość francuska”, wciąż działają, ale lokale są niemalże puste, bo stali klienci - piloci z CIA i tajni agenci bawiący tutaj przejazdem w rozlicznych przebraniach - opuścili kraj razem z większością społeczności amerykańskiej. Kręci się jeszcze trochę starych najemników z Legii Cudzoziemskiej, od 1954 roku handlujących tanią whisky w nędznych barach, ciemnych jak niektóre prowadzone tu interesy.

- Pathet Lao nie chce się zachowywać jak słoń w składzie porcelany - powiedział pewien zachodni dyplomata. - Przede wszystkim chce zrozumieć, jak funkcjonuje system, wyrobić sobie kontakty. Potem powoli przejdzie do czynów.

Tym, co się zmieniło, jest atmosfera w kraju.

- Oni są wszędzie. Czuję ich oddech na karku przez cały czas - mówił mi chiński handlarz. - Nie chcą niczego, nigdy nie widać, żeby wchodzili do sklepu, do restauracji, ale są, to się wyczuwa.

Łatwo rozpoznać domy i wille, w których zamieszkali członkowie Pathet Lao: mury zostały świeżo odmalowane, bramy naprawione, a ogrody przeobrażone w warzywniki, gdzie w ciągu dnia widać partyzantów podlewających sałatę albo karmiących kury. W małym parku wokół willi, w której zamieszkał książę Soupha-nouvong, dwadzieścia metrów od ambasady amerykańskiej, żyje około tuzina małych kacuszek pluskających się w niedużym, niedawno wykopanym stawie.

Wokół ludzie Pathet Lao - z karabinem maszynowym rzucającym się na wyciągnięcie ręki - budują drewniany barak albo robią pranie.

Pathet Lao ma, według szacunków Zachodu, około trzydziestu pięciu tysięcy bojowników w Laosie i kontroluje przynajmniej 85 procent powierzchni kraju. Mimo to w Wientianie, gdzie tradycyjnie skupiały się siły prawicy finansowane przez Amerykanów, organizacja wie, że porusza się po grząskim gruncie. Dlatego jej członkowie są podejrzliwi wobec cudzoziemców i mają się na baczności. Przywódcy zresztą też są ostrożni i nie chcą udzielać wywiadów.

Souphanouvong to fascynująca postać. Niski, przysadzisty, szeroki w ramionach, ma opaloną twarz, małe czarne wąsiki i spojrzenie utkwione gdzieś poza rozmówcą, jakby zawsze spoglądał „w przyszłość”. W ostatnich dniach widywałem go wiele razy, ale nie udało mi się wyciągnąć z niego nic ponad uśmiech od ucha do ucha albo ciętą ripostę. Podczas przyjęcia zapytałem, skąd spodziewa się największych trudności dla nowego rządu. A on po prostu odwrócił się w kierunku amerykańskiego ambasadora Whitehouse'a, który sączył dzin z tonikiem krok od nas, i powiedział:

- Stąd.

15 sierpnia 1973 roku Amerykanie przerwali naloty dywanowe na Kambodżę. Odtąd jedynie niebezpośrednio wspierali rząd marszałka Lon Nola. Czerwoni Khmerzy byli już u bram stolicy.

Kambodża: strach przed białym koniem

Phnom Penh, 2 stycznia 1975

- To nie jest miasto na ziemi, to wrota do zaświatów - mówi stary rezydent francuski. Gdyby nie bijące w oczy nieszczęścia tej zastraszająco ziemskiej wojny, która wpędziła ludzi w głód i zgasiła na twarzach mieszkańców Kambodży ich słynny „khmerski uśmiech”, można by mu uwierzyć.

Wystarczy kilka dni w Phnom Penh, aby przywyknąć do odmiennego rytmu życia, aby wejść w logikę innego świata, w którym rzeczywistość i fantazja, rozsądek i przesąd nieustannie się mieszają. Phnom Penh to nawiedzone miasto, gdzie żyją obok siebie ludzie i duchy. Żołnierze ruszający na miejsce operacji z wizerunkiem Buddy w zębach albo z głową przewiazaną kolorową szmatą mającą chronić ich przed kulami nikogo tu nie dziwią. A kiedy biegnie wieść, że prezydent republiki, marszałek Lon Nol, zamierza przesunąć wzgórze w samym środku miasta, ponieważ według jego astrologa wieki temu Chińczycy usypali je podstępem nad siedmiogłowym wężem o imieniu Nagi, duchem Kambodży, aby ujarzmić na zawsze khmerską ludność - nikt się nie oburza.

Zdaniem mieszkańców Kambodży marszałek może nawet mieć rację. Dawno temu, gdy kompania żołnierzy rządowych uciekła w popłochu przed Czerwonymi Khmerami, mówiąc, że ujrzała na niebie olbrzymiego białego konia, Lon Nol kazał szefowi swoich tajnych służb - pewnemu pułkownikowi - przeprowadzić śledztwo. Ten napisał długi raport, dochodząc do następującego wniosku: „Nie był to koń, lecz chmura”. Zwołano konferencję prasową, na której jakiś amerykański dziennikarz zapytał pułkownika: „Ale czy naprawdę wierzyliście, że

to mógł być koń?" Tamten na to: „Oczywiście. I gdyby ta wersja się potwierdziła, byłby to naprawdę zły znak”.

Dla mieszkańców Kambodży biały koń jest symbolem króla, który przybywa zawładnąć ich krajem, a owym królem może być tylko Sihanouk dowodzący Czerwonymi Khmerami.

Zaniepokojeni tymi aspektami życia w Kambodży, Amerykanie niedawno zlecieli pewnemu antropologowi opracowanie miejscowych mitów i wierzeń. Poza tym jeden z pracowników ambasady został wyznaczony do „kontrolowania i prowadzenia” astrologów oraz chiromantów, bez których Lon Nol nie może na co dzień się obejść i których porady kosztują kasę państwową kilka milionów dolarów rocznie.

Ambasada amerykańska, znajdująca się kilka kroków od pałacu prezydenckiego, upragniony cel pocisków rakietowych komunistów, z dnia na dzień coraz bardziej przypomina fortecę. Podczas ostatnich prac konserwatorskich podwyższono do pięciu metrów pierścień murów, a wszystkie drzwi, przedtem drewniane, zastąpiono masywnymi stalowymi płytami. Dostać się tam to skomplikowana sprawa, ponieważ trzeba przemierzyć labirynt kontroli i rewizji, aż wreszcie jakiś marinę elektrycznym mechanizmem otwiera kuloodporne szklane drzwi.

Obecność Amerykanów w Phnom Penh ograniczają limity narzucone przez Kongres (nie więcej niż dwustu funkcjonariuszy), ale aż nazbyt rzuca się ona w oczy. W restauracji La Taverne, na cichym i spokojnym placu de la Poste, niezmiennym od 1890 roku, jakby to były dekoracje w starym teatrze francuskim, schodzą się co wieczór ze swoimi nadajnikami radiowymi wystającymi z kieszeni białych albo fioletowych spodni doradcy wojskowi, młodzi Amerykanie z „sił specjalnych”, przysłani tu z Wietnamu na wojnę, o której mogą opowiadać (co zresztą robią) tylko sobie nawzajem, ponieważ oficjalnie nie ma czegoś takiego jak wojna amerykańska w Kambodży. Ich hałaśliwość kontrastuje z poszeptywaniem grupy francuskich profesorów - dinozaurów epoki kolonialnej - którzy o tej samej godzinie gromadzą się tutaj i przycupnąwszy na stołkach barowych pod wielkimi wentylatorami, piją pastis.

Dwa tygodnie temu nawet ci starzy habitues z La Taverne na chwilę stracili zimną krew. Nieoczekiwanie, na krótko przed godziną policyjną, o dziewiątej, dało się słyszeć głośną strzelaninę: nie były to zwyczajne wystrzały żołnierzy ze straży rzecznej, w obawie przed minami mierzących do wszystkiego, co unosi się na powierzchni wody, lecz gęsty ogień, jakby odpowiedź na atak partyzantów, którzy przeniknęli do miasta. Po chwili zamieszania ktoś wreszcie sobie przypomniał, że jest zaćmienie. Żołnierze strzelali w niebo, aby przegonić złego olbrzyma Rea Hu, który chciał pożreć księżyc.

Według mieszkańców Kambodży (może dlatego, że od wieków są rolnikami) największe nieszczęścia przychodzą z nieba. Sam Lon Nol wierzy w to, co powiedział mu jeden z bonzów, czyli że „z nieba przyjdzie jego koniec”. A zatem marszałek opuszcza swój pałac wyłącznie w asyście dwóch baterii artylerii przeciwlotniczej.

- Dziwne - mówił pewien dyplomata europejski. - Przecież wszyscy wiedzą, że Czerwoni Khmerzy nie mają lotnictwa.

Ktoś inny, większy realista, zwrócił uwagę, że przecież to właśnie dwaj piloci z sił rządowych próbowali ostatnio uśmiercić marszałka. Bez skutku.

Od kiedy Phnom Penh przeżywa oblężenie uchodźców, chodniki wielkich alei jakby poznikały. Jeden obok drugiego wyrosły baraki, sześciany z kartonu i plastiku, w których mieszkają całe rodziny. Uciekinierzy to w większości kobiety i dzieci. Mężczyzn zabiera policja wojskowa, od czasu do czasu przeczesująca ulice w poszukiwaniu ludzi, których można by wziąć pod broń, żeby zastąpić nimi „widmowych żołnierzy” wciąganych na listy przez oficerów pobierających za nieistniejących podwładnych żołd pod koniec miesiąca. Teraz Amerykanie zaczęli przeprowadzać surowe kontrole, więc wiele jednostek stara się pospiesznie zapłacić luki.

Wojna, polityka, Czerwoni Khmerzy, Amerykanie: to nie o nich mówi naród. Nawet od najbardziej zdesperowanych, jak ostatni uchodźcy, którzy rozłożyli obóz na trawniku pałacu królewskiego, gdzie swego czasu odbywały się huczne uczyty Sihanouka, nie usłyszy się słów gniewu, oburzenia, buntu przeciw komukolwiek.

Zapytałem kobietę otoczoną piątką dzieci, brudnych i z mnóstwem pęcherzy, o przejeżdżający przed nami szereg rządowych mercedesów:

- Co pani o nich myśli?

- Mają szczęście - odparła. - Jedzą co najmniej trzy razy dziennie.

Stary Kambodżanin, który był ministrem Sihanouka i zarządzał Bankiem Centralnym, powiedział:

-Trzeba zrozumieć mieszkańców Kambodży: to buddyści, nie buntują się. Kiedy bomba niszczy ich dom, posypują głowę popiołem i zastanawiają się, co złego uczynili w poprzednim życiu, żeby zasłużyć na takie nieszczęście.

Dobiega końca pora deszczowa, a po codziennej burzy wczesnym popołudniem niebo znów staje się jasne. Od Mekongu nadciągają podmuchy wiatru podnoszące słupy rdzawego pyłu, które zacierają na chwilę kontury złożonych pinakli pagód i pałaców. Pod wieczór, kiedy słońce zachodzi za palmami cukrowymi, widzi się w górze Kambodżę sprzed lat, Kambodżę „pogodnie uśmiechniętą”, Kambodżę ze snów, w której zatracali się przybysze z Zachodu. W dole, na ulicznym asfalcie, jest Kambodża współczesna, z ludźmi jedzącymi nędzne garstki brudnego ryżu z liści bananowca.

Na fasadach budynków publicznych, uniwersytetu, poczty, poblask zachodzącego słońca wydobywa słowo royal, „królewski”, zamazane w pośpiechu białą farbą przez republikanów po zamachu stanu z 1970 roku, który obalił monarchię i Sihanouka.

Z klombu wielkiego staroświeckiego hotelu, naprzeciw francuskiego liceum imienia Kartezjusza, usunięto wtedy również małe krzewy bukszpanu tworzące napis HOTEL ROYAL, ale nazwę znów widać, ponieważ trawa odrosła w bardziej intensywnym kolorze. Oczywiście i w tym Kambodżanie widzą dzieło ducha, który powraca z wygnania.

Na mocy układów paryskich w 1973 roku Stany Zjednoczone wycofały pół miliona swoich ludzi z Wietnamu. Wojna toczyła się teraz między południowym proamerykańskim reżimem prezydenta Thieu a Wietkongiem, północnowietnamskimi komunistami. Ci drudzy zwyciężali.

Wietnam: tymczasowość bez końca

Sajgon, 6 lutego 1975

Chora na trąd dziewczyna, z noworodkiem przy piersi, śpi skulona na asfalcie przed apteką Catinat. Dwaj inwalidzi wojenni w mundurach spadochroniarzy bez większego powodzenia polecają swoje kikuty litości przechodniów. Na rogu kawiarni Givral, obok sprzedawczyni gazet, która mieszka na chodniku razem z jasnowłosą, piegowatą córeczką splotzoną kilka lat temu za miseczkę ryżu z jakimś amerykańskim żołnierzem, grupa mężczyzn z tajnej policji pilnuje, aby nikt się nie zbliżał (na przykład z manifestem przeciwko Thieu) do schodów dawnej Opery, gdzie od tygodni zbiera się bezsilny i pozbawiony znaczenia parlament.

Obrazy z dzisiejszego Wietnamu, takie same jak zawsze. Nawet z zamkniętymi oczami rozpoznałbym to miasto o nazwie Sajgon po słodkawym fetorze śmieci atakującym co krok powonienie. Miasto gnijące, z martwicą, które za każdym razem wydaje się wstrząsane przedśmiertnymi skurczami, ale nigdy nie umiera. I tak od lat.

Wszystko jest tymczasowe. Taksówkarze żelaznym drutem utrzymują w jednym kawałku silnik i podziurawioną karoserię starych renaultów 4CV sprowadzanych z Francji w latach pięćdziesiątych; plastikowymi płachtami łąta się dachy domów, a każdego wieczoru ludzie tysiącami koczują w najciemniejszych kątach placów, zmieniając w legowiska dla całych rodzin drewniane stragany, na których za dnia wykładali szmaty, papierosy i rzeczy skradzione trzy lata temu w amerykańskiej kantynie. Można odnieść wrażenie, że - jakby w

niesłabnącej nadziei na rychłą zmianę - wszystko robi się prowizorycznie, byle przetrwało jeszcze jeden dzień. Ta prowizoryczność w Wietnamie ciągnie się w nieskończoność, jak wojna, która trwa od dziesięcioleci, jak „tymczasowa” granica, wytyczona przed dwudziestoma laty na siedemnastym równoleżniku i nadal dzieląca kraj na dwa kikuty, jak milion uchodźców ulokowanych „czasowo” po ofensywie 1972 roku na jałowych i opuszczonych terenach, jak prezydent Thieu, którego wielu, po wielokroć, uważało za martwego, a który tymczasem nadal sprawuje władzę.

We wrześniu ubiegłego roku, kiedy pod przywództwem starego kapłana katolickiego prawicy, ojca Tran Hua Thanh, uformowała się grupa opozycyjna, która postawiła w stan oskarżenia prezydenta Thieu i jego rodzinę, myślano, że koalicja różnych sił (Watykan, Amerykanie, bogata południowowietnamska burżuazja) zmusi reżim do zmiany kursu i zaakceptowania dialogu z komunistami. Ale grupa nie zdołała przeobrazić się w ruch masowy. Zastraszeni aparatem policyjnym, który bił, aż łała się krew, każdego, kto próbował dołączyć do manifestacji katolickich, który fotografował wszystkich uczestników pochodu protestacyjnego, dając do zrozumienia, że rachunki zostaną wyrównane później, mieszkańcy Sajgonu zostali w domach. Oglądali zza zamkniętych okien trzy czy cztery przemarsze kilkuset osób, jakie odważyły się przejść ulicami centrum z żądaniem dymisji Thieu.

Ruch katolicki przeciwko korupcji praktycznie już nie istnieje.

- Ludzie są z nami, ale boją się ujawnić, a teraz Thieu, z pieniędzy, które mu zostały z funduszy na odbudowę kraju, przekupuje Jednego po drugim proboszczów z różnych prowincji, aby mnie nie słuchali - powiedział mi ojciec Thanh w kościele redemptorystów na ulicy Ky Dong 38.

W zeszłym tygodniu, próbując ożywić ogień protestu, Thanh przedstawił w Sądzie Najwyższym akt oskarżenia o korupcję przeciwko pani Thai, która miała kupić za bezcen trzysta hektarów ziemi z majątku państwowego. Ale poparło go tylko kilkoro przyjaciół i około dziesięciu policjantów z tajnych służb.

Na początku roku, kiedy komunistyczni partyzanci i oddziały północnowietnamskie zaatakowali i zajęli prowincję Phuoc Long, a senne odretwienie miasta znów przerodziło się w napięcie, zaczęła krążyć wieść, że wrócą Amerykanie. Ale ta absurda, masochistyczna nadzieja na nowy okres dostatku szybko się rozwiała. Sajgon, który potrafił przetrwać różne fazy wojny, czyszcząc buty i sprzedając swoje kobiety wszystkim armiom okupantów - brytyjskiej, japońskiej, francuskiej, amerykańskiej - teraz powoli uczy się samodzielności, pewny, że już nie zjawi się żaden wybawca.

Tłuste lata wojny to przeszłość, a z bazarków pozniakały suwe- niry, które każdy żołnierz amerykański kupował przed powrotem do kraju: krwawiący Chrystusowie, nagie dziewczęta i byki w fluorescencyjnych kolorach namalowane na czarnym jedwabiu, kowbojskie kurtki i zapalniczki z napisem: PO ŚMIERCI PÓJDE DO RAJU, BO PIEKŁO JUŻ POZNAŁEM W WIETNAMIE.

- Tutaj interesy robi się tylko na kredyt - mówi pewien adwokat. - Jak nie wychodzi, ludzie wyjeżdżają, a banki zostają ze swoimi stratami.

Wietnamczycy nie wiedzą już, w co mają wierzyć, a gazety niemal codziennie opisują historie całych rodzin, które popełniają samobójstwo, żeby nie musieć walczyć z widmem głodu, nękającym wiele warstw ludności. Inni zabijają się, żeby „przypomnieć światu o wietnamskiej tragedii”, jak kapitan Vo Van Nga, który trzy tygodnie temu stanął z kanistrem benzyny przed kwaterą główną armii i dokonał samospalenia.

8 00 0

T

i

o

fV)
§5
O

Ale inaczej niż dziesięć lat temu, kiedy podobne poświęcenie ważnej osobistości poruszyłyby opinię publiczną - i miejscową, i zagraniczną - samobójstwem kapitana nikt się nie przejął-

To już siódma taka śmierć w centrum Sajgonu w ostatnich miesiącach.

Armia Thieu bardzo ucierpiała na spadku morale wśród ludności: coraz więcej jest dezercji, a pobór stał się czymś w rodzaju polowania na ludzi, które nieprzerwanie prowadzi policja wojskowa, zatrzymując na ulicy każdego młodego mężczyznę w odpowiednim wieku. Wszyscy próbują uniknąć służby: paszport pakistański kosztuje sto tysięcy piastrow, zwolnienie lekarskie nawet pół miliona. Przedwczoraj chłopak, który od lat sprzedaje używane książki przed restauracją La Dolce Vita, z uśmiechem pokazał mi swój nowy dowód tożsamości:

- Policja! - zawołał uszczęśliwiony.

Aby uniknąć pójścia na front, został informatorem. Reżim Thieu ma na swoich listach płac ponad półtora miliona osób - wojskowych, policjantów, tajniaków- i oczywiście również dlatego udaje mu się przetrwać.

Sajgon nie spodziewa się bezpośredniego ataku ze strony komunistów, ale utajona obecność Wietkongu jest wyczuwalna, jak we wcześniejszych latach interwencja amerykańska. Granaty ręczne są rzucane z jadących motocykli na komisariaty policji, poborcy komunistyczni znów żądają podatków od właścicieli sklepów, a grupy partyzantów pokazały się na przedmieściach i zarekwirowały broń sił samoobrony. Przedwczoraj wieczorem w Go Vap partyzanci chodzili od domu do domu i zabierali karabiny. Numery ewidencyjne i nazwiska mieli na swoich listach.

Na ogrodzonym obszarze ufortyfikowanego lotniska Tan Son Nhut Wietkong przebywa oficjalnie. W barakach Camp Davis, swego czasu zajmowanych przez Amerykanów, w sercu sił wojskowych Thieu, mieszka w spartańskich warunkach stu żołnierzy tymczasowego rządu rewolucyjnego, członków komisji cztero- Partyjnych, które układy paruckie wyznaczyły do kontrolowania zawieszenia broni, a które nie sprawdziły. Komuniści tu od dwóch lat: uprawiają kapustę, a bananowce i drzewa papai, już zaczynają

owocować. W każdy sobotni poranek autobus armii z Sajgonu wiezie do tej komunistycznej enklawy zagranicznych i wietnamskich dziennikarzy na konferencję prasową. Pod wielkim sztandarem Wietkongu i portretem Ho Chi Minha pułkownik Vo Dong Giang, szef delegacji, powtarza, na jakich warunkach jego rząd jest gotów podjąć zerwane negocjacje z Sajgonem:

- Koniec pomocy amerykańskiej dla Wietnamu Południowego, ustąpienie Thieu i powołanie nowego rządu, który będzie respektował układy paryskie.

Młody członek Wietkongu rozdaje gościom piwo, papierosy i zapalki z Hanoi, podczas gdy inni, z kamerami i aparatami fotograficznymi, robią nam wszystkim zdjęcia do swoich archiwów.

- Kontrolujecie dzisiaj części terytorium, które nie należały do was w chwili zawieszenia broni. Bylibyście skłonni oddać je Sajgo- nowi w zamian za ustępstwa polityczne? - pytam pułkownika.

- O tym nie może być mowy. To rząd Thieu ma wobec nas długi. Podpisując układy paryskie, Sajgon uznał swoje zobowiązania. Teraz musi zapłacić. Zostaniemy w Camp Davis tak długo, aż to zrobi.

Podczas gdy Giang mówi, z pasa za barakami Wietkongu wzbijają się w powietrze odrzutowce lotnictwa południowowietnamskiego. Wkrótce będą bombardować tereny kontrolowane przez komunistów. Ryczące silniki zagłuszają jego głos. Nad umocnionymi murkami widać w szyku czarne ogony dziesiątków myśliwców i samolotów transportowych, podobne do płetw ławicy śmiertelnie niebezpiecznych rekinów w asfaltowym morzu lotniska. Na jednym z hangarów ktoś, być może ostatni wyjeżdżający Amerykanin, napisał białą farbą: WAR IS MADNESS - „Wojna to szaleństwo”.

Niestety, szaleństwo wojny w Wietnamie nie ma się bynajmniej ku końcowi. Stary caravelle Air Cambodge z chińskim pilotem z Tajwanu latał między Bangkokiem a Phnom Penh. Wchodziło się na pokład z coraz bardziej ściśniętym gardłem, z coraz mniejszą pewnością, że uda się wylądować.

Kambodża: czarne godziny

Phnom Penh, 17 marca 1975

Noce nigdy nie były tak ciemne. Aby zaoszczędzić na tej reszcie paliwa, która pozostała, elektrownia obcięła 80 procent produkcji energii. Nawet w hotelu Le Phnom ciemność rozprasza płomień świec, poza wieczorami, gdy jakiś generał wydaje wielki bankiet, bo wtedy wszystko nagle rozświeciła się uroczyście. Tak funkcjonuje Kambodża marszałka Lon Nola, a właściwie to, co z niej zostało. Przez dwa dni nie było prądu nawet w dalekopisach na poczcie, ale trochę dalej, w willi ministra, klimatyzacji nie wyłączono ani na chwilę.

- Dni Phnom Penh są policzone. Najwyraźniej tylko rządzący nie zdają sobie z tego sprawy - mówi pewien europejski dyplomata. Inny dodaje: - Najbardziej niewiarygodne jest to, że Lon Nol i ludzie skupieni wokół niego sądzą, że wygrywają!

Zagraniczni obserwatorzy pozostali w stolicy (ci urzędnicy ambasad, którzy nie byli niezbędni, zostali ewakuowani razem z rodzinami) są jednomyślni: „To najbardziej dramatyczny moment od początku wojny”. Jeszcze trochę i Kambodża stanie się pierwszym krajem Indochin w pełni kontrolowanym przez ruch rewolucyjny, a reżim Lon Nola, stworzony, wyszkolony, opłacony Przez Amerykanów, może być pierwszym, jaki komuniści pokonają w bezpośrednim starciu.

W Sajgonie, po dziesięcioleciach wojny i dwóch traktatach „pokojowych”, Thieu, człowiek Waszyngtonu, nadal sprawuje władzę; w Laosie proamerykański rząd z Wientianu otworzył się na rewolucjonistów Pathet Lao, ale wciąż stanowi siłę. W Phnom Penh kompromis jest niemożliwy, a myśl, że ta ostatnia wyspa „wolnego świata” wpadnie w ręce Czerwonych Khmerów, spędza sen z powiek waszyngtońskiej administracji; która obecnie, od prezydenta Forda po ambasadora Deana, próbuje, ekshumując teorię domina i starą retorykę zimnowojenną, przekonać sprzeciwiający się Kongres do pilnego przeznaczenia kolejnych dwustu dwudziestu dwóch milionów dolarów na „ratowanie” Kambodży przed komunizmem.

Jeśli pieniądze nadejdą, przedłużą jedynie agonię reżimu i cierpienia ludności. Rzecz przedstawia się prosto: bez szeroko zakrojonej interwencji Amerykanów, którzy musieliby przysyłać tu nieprzerwanie mostem powietrznym ryż i amunicję, środki rządowe skończą się w dwa lub trzy tygodnie i miasto prędzej czy później się podda. Jeśli pomoc amerykańska nadal będzie przysyłana, Phnom Penh może stawiać opór do nadejścia pory deszczowej (czyli do lipca-sierpnia). Wtedy partyzanci zostaną zmuszeni do wycofania się z zatopionych nizin, Mekong znów otworzy się na ruch rzeczny i zaopatrzenie, ale w styczniu przyszłego roku, wraz z kolejną porą suchą, sytuacja wróci do punktu wyjścia.

Phnom Penh, ze swoimi dwoma milionami mieszkańców i uchodźców, konsumuje pięćset ton ryżu dziennie; armia, która broni miasta, potrzebuje ośmiuset ton amunicji co dwadzieścia cztery godziny. Lotnisko Pochentong, znajdujące się w odległości ośmiu kilometrów od centrum, to jedyne połączenie ze światem, teraz, gdy na wszystkich drogach są blokady, a oba brzegi Mekongu, najeżonego minami, kontroluje partyzantka.

Brak jedzenia, zawrotne ceny nielicznych produktów, jakie można jeszcze zobaczyć na targu, wywołują gniew apatycznej dotąd i zrezygnowanej ludności. W ostatnich dniach grupy studentów zaatakowały kilku chińskich kupców, oskarżanych o to, że ukrywają zapasy ryżu, czekając, aż ceny wzrosną. Nagle wszystkie punkty handlowe w mieście zostały zamknięte i policja wojskowa musiała interweniować. Strzelała, aby rozprędzić demonstrantów, którzy zaczęli wyłamywać żaluzje i plądrować sklepy.

Życie w Phnom Penh jest rosyjską ruletką. Pociski raketowe komunistów, które wcześniej spadały tylko na przedmieścia - w zeszły czwartek trafiony został skład amunicji na lotnisku - teraz spadają na ścisłe centrum: jeden na szpital Preah Kep Melea, drugi przed pałacem królewskim, trzeci o krok od hotelu, w którym wszyscy mieszkamy.

Przeżycie mrozące krew w żyłach: nieoczekiwanie słyszy się ogłuszający gwizd, świst, a nim człowiek zdąży paść na ziemię, już jest eksplozja. Dziennie spada od trzydziestu do czterdziestu pocisków, ale ludzie obawiają się, że jutro, 18 marca, z okazji rocznicy zamachu stanu, "który obalił Sihanouka i wciągnął Kambodżę w wojnę indochińską, partyzanci „uczczą” wydarzenie, zwiększając tę liczbę.

Dla partyzantów data 18 marca 1970 roku oznacza historyczny zwrot, a jeśli Kambodża stanie się wkrótce, jak wielu wierzy, krajem socjalistycznym, przyczyn trzeba będzie szukać w zdarzeniach tamtego dnia, a w szczególności w działaniach Amerykanów, którzy właśnie wtedy popełnili jeden z największych błędów politycznych w regionie. Kambodża jeszcze pięć lat temu była, jak na warunki azjatyckie, bogata. Nikt nie pamięta, aby kiedykolwiek ludzie umierali tu z głodu, a pola ryżowe, zatapiane przez wylewający w porze deszczowej Mekong, produkowały więcej zboża, niż potrzebowało siedem milionów mieszkańców. Sihanouk rządził krajem na wzór renesansowego władcy, choć zrezygnował z tytułu królewskiego, aby iść z duchem czasu. Przez całe lata z wielką zręcznością umiał utrzymać Kambodżę z dala od wojny. Jego receptą była neutralność, formalnie respektowana przez wszystkich, choć w praktyce - przez nikogo. Wiet- kong i Wietnamczycy z Północy używali stref przygranicznych Kambodży do przesyłania zaopatrzenia do Wietnamu Południowego, Amerykanie zaś bombardowali ich swoimi B-52, fałszując potem sprawozdania z misji, które miały pozostać „tajne” także dla Kongresu Stanów Zjednoczonych. Jako że wszystko działo się na odległych i odludnych terenach kraju, a Kambodżanie na tym nie cierpieli, Sihanouk milczał. Jego troską była wówczas raczej mała partyzantka, która oskarżała go o korupcję i próbowała, bez szczególnego powodzenia, zdobyć sojuszników wśród wiejskiej ludności.

To Sihanouk nazwał ich „Czerwonymi Khmerami”. Schwytanych partyzantów kazał chłostać, póki nie skonali, gdyż, jak mawiał, „nie zasługują, aby marnować na nich kule”. Z początku do Czerwonych Khmerów należeli członkowie starych kadr kambodżańskich, którzy walczyli przeciwko Francuzom u boku Vietminhu. W 1967 roku przyłączyli się do nich młodzi intelektualiści z Phnom Penh, znużeni reżimem indywidualisty i ekscentryka Sihanouka. Wśród tych ostatnich znalazł się Khieu Samphan, ekonomista, absolwent Sorbony. Wstąpił do partyzantki, aby uciec przed tajną policją, której Sihanouk rozkazał go zamordować.

W 1970 roku partyzantów kambodżańskich było nieco ponad trzy tysiące. Kontrolowali małą część terytorium. Obecnie mają wojsko składające się z co najmniej sześćdziesięciu tysięcy żołnierzy i kontrolują 90 procent kraju. Gdyby nie zamach stanu, Czerwoni Khmerzy jeszcze dziś znajdowaliby się na marginesie, jednak Amerykanie nie zauważyli niebezpieczeństwa. Uznali, że aby wygrać wojnę w Wietnamie, trzeba wykurzyć Wiet- kong z jego „twierdz” kambodżańskich. Zdając sobie sprawę, że Sihanouk nie pozwoli na przysłanie oddziałów US Army do Kambodży, postanowili go wyeliminować. Zajęły się tym służby CIA. Porozumienie co do przewrotu zawarli w pewnym szpitalu w Paryżu agenci wywiadu Stanów Zjednoczonych i niektórzy wojskowi z Phnom Penh. Podczas podróży Sihanouka do Związku Radzieckiego okręt amerykański - który rzekomo porwała, jak wtedy

mówiono, dwójka hipisów pacyfistów - przybił do portu Sihanoukville i w rzeczywistości wyładował broń dla spiskowców. 18 marca 1970 roku marszałek Lon Nol przejął władzę, zebrał siły kambodżańskie przeciwko Wietkongowi oraz dał zgodę na wkroczenie Amerykanów i Południowych Wietnamczyków do Kambodży.

Sihanouk, schroniwszy się w Pekinie, nie miał innego wyboru niż zaoferować swoją pozycję na scenie międzynarodowej i w kraju dawnym nieprzyjaciołom, Czerwonym Khmerom, którzy od tej chwili zaczęli go uznawać za symbol zjednoczenia narodowego.

- Gdy tylko będą mogli, wypłują mnie jak pestkę czereśni - nie przestaje mówić Sihanouk o swoich sprzymierzeńcach partyzantach. -Ja jestem przeszłością, oni przyszłością Kambodży.

Interwencja amerykańska okazała się całkowitym fiaskiem. Oddziały Stanów Zjednoczonych i Sajgonu ponosiły porażkę za porażką, a sama ich obecność w Kambodży, podsycająca ducha nacjonalizmu, przyczyniła się do sukcesów politycznych Czerwonych Khmerów, dla których poparcie wśród chłopstwa ogromnie wzrosło. Przez trzy lata Amerykanie ze swoich B-52 nekali nalotami dywanowymi tereny kontrolowane przez partyzantkę, ale było tak, jakby w każdym leju po bombie rodził się nowy bojownik. Dwadzieścia pięć tysięcy jest teraz tutaj, wokół nas. Czekają.

Spędziłem w Phnom Penh jeszcze trzy dni, a potem przyszła moja kolej, by wcielić się w „gołębia pocztowego”, czyli przewieźć do teleksu w Bangkoku artykuły kolegów przebywających w Kambodży. Z Tajlandii udałem się do Wietnamu.

Sajgon, ostatnia plaża

Sajgon, marzec 1975

Jak zamek z piasku pochłaniany przez przypyływ, który z każdym dniem podnosi się wyżej - tak znika Wietnam prezydenta Thieu.

Jedna prowincja po drugiej, jedno miasto po drugim, terytorium Wietnamu Południowego przechodzi w ręce północnowiet- namskich sił partyzanckich. Rozgromione wojsko Sajgonu porzuca podczas ucieczki broń, magazyny, amunicję, działa, czołgi. Setki tysięcy ludzi oszalałych ze strachu, z głodu, z pragnienia szukają ratunku, całymi dniami maszerując w słońcu. Z płaskowyżów w kierunku morza, z północy na południe; ale na drogach są blokady, mosty zostały wysadzone i nawet ci, co cudem dotarli do jakiegoś miasta na wybrzeżu, odkrywają, że znów tkwią w pułapce, z której już nie uciekną, chyba że samolotem albo statkiem.

To największy exodus w historii Wietnamu, największa tragedia, o jakiej można opowiedzieć. Kolumny otepiałych straceńców wlokących się, aż po horyzont, do nieznanego miejsca przeznaczenia. Stopy poparzone rozpalonym asfaltem, rany pokryte kurzem. Na poboczach drogi zostaje to wszystko, czego ludzie nie mają już siły nieść: meble, tobołki z ubraniami, maszynki do gotowania, dzieci.

- Matki opuszczają chore potomstwo, próbując uratować to, które może jeszcze iść, młodzi opuszczają starych, chcąc się ocalić - mówi z upokorzeniem w głosie lekarz uchodźców na drodze 7. - Na tej wojnie my, Wietnamczycy, utraciliśmy nawet duszę.

Widziana z helikoptera, na którego pokład udało mi się wejść i który zrzuca uciekinierom kwintale kromek chleba, biała od piasku nizina na południe od Hue jest pustynią rojącą się od rąk wyciągniętych w poszukiwaniu ratunku. Pilot nie obniża lotu, aby nie przewrócono maszyny. Zbliża się do ziemi tylko wtedy, gdy widzi małą grupkę na uboczu. Zabierają w okamgnieniu.

Obie armie walczą o ludzi. Na drodze, która z Hau Bon na płaskowyżu prowadzi nad morze, kolumna o długości dwudziestu kilometrów" zostaje zaatakowana przez partyzantów i rozpada się na cztery części; ta z tyłu, wchłonięta przez siły komunistów, musi zawrócić. To ocalenie, ponieważ uchodźcy będą odsyłani do swoich wiosek. Pozostali są zatrzymywani, dziesiątkowani w bitwie. Na polach ryżowych ciągnących się wzdłuż drogi jest pełno trupów, przewróconych ciężarówek, stosów rannych, których nikt na czas stąd nie zabierze.

Dla reżimu Thieu pociągnięcie za sobą jak największej części ludności na ostatnią linię obrony jest sprawą najwyższej wagi. Tylko w ten sposób, nawet jeśli straci on kontrolę nad niemal całym krajem, będzie mógł nadal legitymizować swoją władzę.

Władze Sajgonu „zalecają” ludności opuszczenie miast, które wkrótce będą wymarłe. Wycofujący się żołnierze ciągną z sobą mieszkańców, może również w nadziei, że obecność cywilów odwiedzie Wietkong od przeprowadzenia ataku. Na skrawku wybrzeża kontrolowanym jeszcze przez rząd ogromne torby podróżne uciekinierów czekają teraz na przewiezienie do Sajgonu. Ponad milion osób z Da Nang, Qui Nhon, Nha Trang, Phan Thiet szuka statku, samolotu. Na pokładach transportowców marynarki w porcie Thuan An, oplątanych siatką maskującą niczym worki kartofli, widać tysiące żołnierzy z rodzinami. Minister do spraw uchodźców, doktor Phan Quang Dan, apeluje do Stanów Zjednoczonych, Filipin, Korei Południowej i Tajwanu, żeby wysłały część swoich sił i pomogły w tej niebywalej ewakuacji.

- Ludzie uciekają, bo nie chcą żyć w komunizmie. To tak, jakby zagłosowali. Głosują nogami - twierdzą urzędnicy Sajgonu.

W rzeczywistości przyczyny potężnej fali emigracyjnej są bardziej złożone. Przede wszystkim dziesięciolecie wojny nauczyły Wietnamczyków, że za każdym razem, gdy Wietkong wkracza do wioski albo do miasta, lotnictwo rządowe (jak wcześniej czyniło również lotnictwo amerykańskie) zrównuje Wszystko z ziemią. „Trzeba niszczyć, żeby ratować”, mówili oficerowie US Army, toteż wieśniacy nauczyli się uciekać. Drugim w kolejności powodem jest z pewnością lęk przed komunistami, zaszczerpiony ludności przez wieloletnią rządową propagandę.

- Nigdy ich nie widziałem i nie mam pojęcia, kim są. O tych z rządu nie mogę powiedzieć nic dobrego, ale wiem przynajmniej, co to za jedni - oświadczył pewien młody uchodźca. Panika na widok uciekających sąsiadów, psychoza ucieczki dopełniły dzieła, jak pojedyncza iskra, od której wybucha wielki pożar.

W Dalacie na przykład, jeszcze zanim oddano choćby jeden strzał, wystarczyło, by helikopter premiera Khiema poleciał zabrać z jego letniej willi kolekcję antyków, a już od ogrodnika przez kucharkę po ludzi z targu rozeszła się błyskawicznie wieść, że miasto ma być zaatakowane przez Wietkong oraz Wietnamczyków z Północy i że znów zacznie się exodus.

Gdzie zakończy się ten odwrót? Którędy będą przebiegać nowe granice starej Republiki Wietnamu, powstałej na mocy porozumień genewskich, a teraz niewiele większej od „Republiki Sajgon- nu”? Tego nie wie nikt.

Zdaniem niektórych ekspertów wojskowych, Thieu po opuszczeniu wybrzeża (bez pośpiechu, aby móc zabrać większość ludności) rozmieści wszystkie siły wokół stolicy i uczyni z Sajgonu oraz Dety coś na kształt wietnamskiego Tajwanu, zdolnego stawiać opór całymi latami.

I tej właśnie myśli kurczowo się dzisiaj trzyma wielu ludzi związanych z reżimem Thieu oraz duża część mieszczaństwa z Sajgonu. Widzą oni w takim rozwiązaniu szansę na przetrwanie kolejnego okresu, ale nadzieja jest zupełnie bezpodstawna.

- Na skutek licznych amputacji chory już nie żyje - mówi attache wojskowy jednej z europejskich ambasad.

Według wielu obserwatorów, gdyby odwrót, do jakiego generałowie Thieu namawiali od dawna, przeprowadzono na chłodno, w sposób zorganizowany, Sajgon mógłby jeszcze pertraktować z pozycji siły z tymczasowym rządem rewolucyjnym z Hanoi; ale teraz, gdy pod naporem komunistów odwrót przeobraził się w chaotyczną ucieczkę, podczas której prezydent poza terytorium stracił wiele oddziałów (cała dwudziesta trzecia dywizja nie istnieje) i dużą część sprzętu wojskowego (sześćdziesiąt samolotów przepadło w samym Pleiku), trudno sobie wyobrazić, jak saj- gońska administracja mogłaby powstrzymać dalszy rozpad swoich struktur.

W stolicy robi się coraz bardziej nerwowo. Wszystkie siły policji są na ulicach. Ludzie z przerażeniem myślą o ewentualnym ataku Wietkongu, muszą też liczyć się z aresztowaniami nowych dysydentów i „spiskowców” z otoczenia marszałka Cao Ky.

Kto tylko może, planuje wyjazd. Jakaś dziewczyna przychodzi do mnie z pytaniem, czy nie znam cudzoziemców, którzy za dwa tysiące dolarów poślubiliby jej dwie siostry, pragnące w ten sposób zdobyć paszport i opuścić Wietnam. Inni próbują znaleźć dla swoich dzieci ojca z obcym obywatelstwem.

Republika Wietnamu coraz bardziej się kurczy, a za „linią Zygfrida”, którą wkrótce może dzielić od Sajgonu tylko kilka kilometrów, Thieu próbuje teraz skupić wszystko, co zostało z jego kra- Ju= broń, amunicję, żołnierzy, a przede wszystkim ludność - choć wydaje się to już bezcelowe.

Na poboczu drogi, w Tam Ky, spotkałem kobietę, która uciekła z rodziną z płaskowyżów. Podczas wędrówki powiedziała krewnym, że nie idzie z nimi do Da Nang.

- To na nic - oznajmiła. - I tak któregoś dnia oni dotrą wszędzie. Jaki sens ma dalsza ucieczka?

Po opublikowaniu tego artykułu zostałem zmuszon^o do opuszczenia Wietnamu Południowego. Miasto Phnom Penh padło 17 kwietnia 1975 roku. Nie było mnie na miejscu i tym sposobem przeoczyłem jeden z najbardziej dramatycznych momentów wojny indochińskiej: przybycie Czerwonych Khmerów oraz przymusową ewakuację stolicy. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że miałem szczęście. Nieliczni zagraniczni dziennikarze, którzy odważyli się pozostać w Phnom Penh - wśród nich moi przyjaciele Sydney Schanberg z „New York Timesa” i Jon Swain z „Sunday Timesa” - zostali przeniesieni na ponad dwa tygodnie na teren ambasady francuskiej i nie zobaczyli tego, co wówczas działo się w Wietnamie.

Wietnam: Giai Phong!

Sajgon, 27 kwietnia 1975

Cao Giao otwiera na oścież drzwi pokoju C-2 hotelu Continental, do którego właśnie przyjechałem. Obejmujemy się ze wzruszeniem, szczęśliwi, że spotkaliśmy się jeszcze raz w Sajgonie. Ja niesłusznie żywiłem obawę, że Cao Giao, w chwili irracjonalnej paniki, wyjedzie z Amerykanami. On myślał, że po tym, jak drugi raz w ciągu dwóch lat policja Thieu odstawiła mnie na lotnisko, nie zdołam wrócić przed przejściem miasta.

Cao Giao jest nie tylko moim tłumaczem, ale i przewodnikiem. To jemu i Buu Chuongowi (więźniowi politycznemu uwolnionemu pod koniec 1971 roku, z którym jeździłem po kraju ogarniętym wojną, a w 1973 roku przekroczyłem linię frontu, aby dostać się do strefy w Delcie opanowanej przez Wietkong) zawdzięczam wiedzę o Wietnamie, jakiej nie zdobędzie się 2 książek.

Cao Giao pochodzi z rodziny północnowietnamskich pisarzy. Przybył na Południe w 1954 roku i od tamtej pory przeżywa swo-

ją - jak on to nazywa - rage d'etre vietnamien, pracując jako dziennikarz, doradca, tłumacz zagranicznej prasy. Całe noce uczył się, tłumaczył dokumenty i robił notatki dla takich jak ja, czyli ludzi, którzy przyjeżdżają na krótko, a chcą zobaczyć i zrozumieć wszystko.

Amerykańscy znajomi, uciekając z Sajgonu w zeszłyrrTygodniu, zaproponowali mu, aby zabrał rodzinę i pojechał z nimi do Stanów Zjednoczonych. „Znasz języki, nigdy nie śpisz, więc będziesz mógł łatwo znaleźć pracę portiera nocnego” - powiedzieli.

Nie dlatego został na miejscu.

- W każdym Wietnamczyku kryje się mandaryn, złodziej i kłamca, ale również marzyciel - mówi. - Fascynuje mnie rewolucja. Chcę ją zobaczyć na własne oczy.

Ja także chciałem ją zobaczyć. Wyrzucono mnie z Wietnamu w marcu, niedługo po upadku Ban Me Thuot. Szef centrum prasowego Ministerstwa Informacji Thieu, Nguyen Quoc

Cuong, który tymczasem uciekł z Amerykanami, powiedział, że w moim artykule, dopiero co opublikowanym, obraziłem głowę państwa i obrzuciłem błotem Republikę Wietnamu. Zostałem zmuszony do wyjazdu.

Byłem w rozpacz. Śledziłem losy tego konfliktu od czterech lat i nie chciałem stracić zakończenia. Wiedziałem, że jeśli spróbuję wrócić, zostanę aresztowany i zapakowany z powrotem do pierwszego odlatującego samolotu. Nie pozostawało mi nic innego, jak tylko przybyć samolotem, który nigdzie już nie poleci: ostatnim.

Miałem szczęście. Kiedy jet Air Vietnam, lecący z Singapuru, wylądował dziś po południu na Tan Son Nhut, okazało się, że prawie cała policja imigracyjna uciekła. „Czarnej listy” z moim nazwiskiem nikt nie sprawdzał. Jestem w Sajgonie.

Zostałem na miejscu, dzięki czemu byłem jednym z nielicznych dziennikarzy, którzy na własne oczy widzieli zdobycie Sajgonu przez Wietkong i oddziały północnowietnamskie 30 kwietnia 1975 roku.

Moją relację wydrukował „Der Spiegel”. Było to pierwsze pełne sprawozdanie z tych wydarzeń opublikowane na Zachodzie. Rewolucja mnie intrygowała, więc postanowiłem zostać jeszcze na trzy miesiące, żeby zrozumieć, co ona znaczy dla zwykłych ludzi.* Wraz z końcem wojny indochińskiej wielka azjatycka historia przeniosła się do Chin, gdzie jednak nie można było zamieszkać. Zdecydowaliśmy, że opuścimy Singapur i we wrześniu 1975 roku przeprowadziliśmy się do starego domu na Peak w Hongkongu.

Opowiedziałem o tych przeżyciach w Gaii Phong! La liberazione di Sa'gon, książce opublikowanej w wielu językach w 1976 roku. We Włoszech wyszła ona w wydawnictwie Feltrinelli.

Zajmowanie się Chinami z Hongkongu, bez możliwości zobaczenia ich na własne oczy, było frustrujące. Polegało na czytaniu gazet, rozmowach z dyplomatami i biznesmenami bawiącymi tu przejazdem, piciu niekończących się herbat z przedstawicielami Pekinu w brytyjskiej kolonii i ich lokalnymi rzecznikami. W 1976 roku wszystko uległo zmianie. Mao nie żyje

Hongkong, 10 września 1976

Słońce zaszło nad Chinami: ludowa przepowiednia, mówiąca, że meteoryty i potężne trzęsienia ziemi z ostatnich miesięcy zapowiadają koniec dynastii, sprawdziła się. Chińczycy zostali bez „Wielkiego Sternika”. Teraz, gdy imperator nie żyje, komu przypadnie „mandat niebios”? Co się stanie z Państwem Środka?

Nikt nie może rościć sobie praw do wypełnienia wielkiej luki, jaką przynosi śmierć Mao. Nie ma naturalnego spadkobiercy. Z tych namaszczonej w przeszłości nie przetrwał politycznie ani jeden. Liu Shaoqui został zmieciony przez rewolucję kulturalną, Lin Biao - przez zdemaskowanie jego rzekomego spisku, Deng Xiaoping - przez ostatnią kampanię przeciwko „tym, co obrali drogę kapitalizmu”, a Zhou Enlai, jedyny, który mógłby w jakimś sensie zająć miejsce Mao, zmarł przed przewodniczącym.

Od wielu miesięcy Mao nie był już w stanie utrzymać steru Chin. Wycieńczony kolejnymi zawałami, w połowie sparaliżowany i z trudem mówiący (musiano umieścić przy nim człowieka, który interpretował nieuchwytnie ruchy jego niemych ust), wódz pod wieloma względami był już martwy. Ale sama jego obecność, świadomość, że jeszcze żyje, miała swoją wagę, była źródłem władzy. Wystarczyło powiedzieć, że Mao osobiście życzył sobie dymisji Denga ze stanowiska wicepremiera i następcy Zhou, aby stary członek kierownictwa, już kiedyś zdjęty ze stanowiska, a potem zrehabilitowany, znów został odsunięty.

Teraz wola Mao, rzekoma czy prawdziwa, nie może już być pretekstem do zatwierdzania dyskusyjnych decyzji. Wraz z jego śmiercią Chiny wchodzi w bardzo trudny okres. Partia jest podzielona. Kraj niespokojny. Przywództwo niepewne. Dla frakcji umiarkowanych Mao zmarł za późno, dla radykałów za wcześniej. Gdyby to, co zdarzyło się wczoraj, zaszło kilka miesięcy temu, Deng Xiaoping byłby dziś premierem; gdyby nastąpiło za kilka lat,

radykałowie prawdopodobnie by zwyciężyli. Tymczasem nie zdążyli umocnić swoich pozycji. Dla nich śmierć Mao była przedwczesna.

W cieniu wielkiego starca rewolucji chińskiej radykałowie, pod wodzą jego żony Jiang (Jng, usiłowali „oczyścić” partię ze swoich przeciwników. Ale zdobyli jedynie głowę Denga, a teraz, gdy Mao nie żyje, nawet to nie jest przesądzone. Jeszcze parę dni temu mówiło się, że Deng Xiaoping przebywa w swoim domu, gdzie przygotowuje ważny dokument polityczny, co miało oznaczać, że pisze wyznanie swoich win; teraz to może być jego akt oskarżenia wobec radykałów. Chociaż druga rehabilitacja Denga nie jest możliwa, bez wątpienia umiarkowana linia polityczna, którą reprezentuje, nie przegrała. Przeciwnie: teraz, gdy Mao nie żyje, może nawet być tą linią, która zwycięży.

Radykałowie stracili swojego protektora. Jiang Qing cieszyła się autorytetem, ponieważ była żoną Mao. Nie będzie już miała takiego znaczenia jako wdowa. Zasługi Qing dla rewolucji są zbyt małe, aby słuchała jej - mówiącej we własnym imieniu, nie jako rzeczniczka przewodniczącego - stara gwardia wojskowa i partyjna, z doświadczeniami Długiego Marszu i trzydziestoma latami u władzy. Bez rozstrzygającego osądu Mao, bez jego zachęty czy mediacji, wojna wewnątrzpartyjna może się zaostrzyć, a niemało jest takich, którzy spróbują teraz uregulować polityczne rachunki, co po rewolucji kulturalnej było odsuwane w czasie.

Poza tym śmierć przewodniczącego zastaje kraj w stanie wzburzenia bez precedensu w okresie ostatnich dziesięciu lat. Napady z bronią w rękę na kilka banków (i, co ważniejsze, gloryfikacja bandytów ze strony ludu), przypadki grabieży na terenach zniszczonych trzęsieniami ziemi, zaniedbanie i nieposłuszeństwo w fabrykach wielkich miast - to oznaki dezorientacji, w jaką popadł kraj, przierzucany w różnych kierunkach przez rozmaite kampanie polityczne, znękanymi nieustającymi wzajemnymi oskarżeniami radykałów i umiarkowanych.

Informacje, które docierają dzisiaj z Chin, każą sądzić, że lud z trudem nadążał za wyniesieniami i druzgoczącymi upadkami polityków pierwszego planu, jednego dnia nazywanych bohaterami, a drugiego posądzanych o wszelkie zbrodnie i piętnowanych jako wielcy zdrajcy. Teraz, gdy postać Mao już nie godzi różnorodnych uczuć narodu i swoim prestiżem, wiarygodnością oraz charyzmą nie usprawiedliwia biegu wydarzeń, ludzie będą próbować bardziej otwarcie wyrażać swoje poglądy.

Wydaje się, że chińskie masy, przeciwne, co zrozumiałe, pozycjom ideologicznym radykałów, są skłonne pójść raczej drogą wskazaną przez Deng Xiaopinga. Ludzie oczekują bodźców materialnych; chcą więcej towarów w sklepach i z trudem dają posłuch argumentom ultralewicy...

pogrzeb

Hongkong, 18 września 1976

Chiny zamarły. Przez trzy trwające wieczność, poruszające minuty osiemset milionów Chińczyków, jedna czwarta ludzkości, zastygło na baczność, ze spuszczoneymi głowami, wielu we łzach, aby oddać ostatni hołd Mao Zedongowi. Praca, ruch uliczny i wszystkie czynności zostały wstrzymane w każdym mieście, w każdej wiosce w kraju. Niezmałą ciszę, jaka zapadła nad Chinami, połączonymi w pamięci o swoim przywódcy, przerwało jednostajne żałobne wycie syren pociągów, fabryk, okrętów. Na Tiananmen, placu Niebiańskiego Spokoju, milion osób wybranych przez rozmaite organizacje rewolucyjne uczestniczył w obrzędzie kończącym dziesięciodniową żałobę.

Na betonowym placu w centrum stolicy nieruchomi, ramię w ramię, żołnierze armii wyzwolenczej w zielonych mundurach, robotnicy w niebieskich kombinezonach, robotnice w białych czepkach, studenci z czerwonymi chustkami na szyi milczeli, kłaniali się i słuchali przemówienia, wypełniając instrukcje młodego wiceprzewodniczącego partii, mistrza ceremonii Wang Hong-wena. W połowie masztu, na który Mao w październiku 1949 roku wciągnął po raz pierwszy barwy Republiki Ludowej, powiewał czerwony sztandar z pięcioma

gwiazdami, a megafony niosły Po całym kraju dźwięki marsza żałobnego, hymnu narodowego i wreszcie Międzynarodówki.

Wieczorem 11 października po Hongkongu zaczyna krążyć wieść, że wdowa po Mao, Jiang Qing, została aresztowana wraz z innymi przedstawicielami radykałów. Nie byłem nigdy dotąd w Chinach i sądzę, że to dobra okazja, aby spróbować przekroczyć granicę. Kilka włoskich koncernów farmaceutycznych ma wystawę swoich produktów w Szanghaju, co podaję jako powód starania się o wizę. Ku własnemu zdziwieniu otrzymuję ją i 15 października pokonuję na piechotę most Lo Wu, przejście graniczne między Hongkongiem a Chinami Ludowymi. Stamtąd dostaję się do Szanghaju, gdzie, przez czysty przypadek, jako jedyny dziennikarz zachodni oglądam decydujący zwrot w historii Chin.

koniec maoizmu

Szanghaj, 18 października 1976

Ulice przeobraziły się w ogromny kobierzec głów. Od trzech dni nieprzebrane tłumy - milion osób, dwa miliony, może więcej - czytają dazibao, gazetki rozwieszane na murach, albo maszerują w takt werbli, wykrzykując wśród falującego oceanu czerwonych sztandarów i portretów Mao słowa poparcia dla nowych władz Pekinu. Karykatury Jiang Qing, młodego wiceprzewodniczącego partii Wang Hongwena, wicepremiera Zhang Chunqiao i Yao Wenyuana, członka, jak pozostali, politbiura, są na wszystkich murach. Przedstawia się ich jako cztery głowy węża, powieszonych, miażdżonych przez wielki młot trzymany przez robotnika albo smażonych na gigantycznej patelni.

Ich nazwiska, zniekształcone, odwrócone albo przekreślone wielkimi czerwonymi krzyżami, widnieją na tysiącach transparentów i chorągiewek, którymi wymachują manifestanci - kolorowych płamach w oceanicznym tłumie. Szanghaj, stolica chińskiego radykalizmu, zaakceptował zatem wyrok Pekinu. Usunięcie ze stanowisk (albo, według innych głosów, szybka egzekucja czwórki członków kierownictwa partii) najwyraźniej nie spowodowało żadnych protestów w tym robotniczym mieście, które było potężnym zapleczem politycznym radykałów i w którym podczas rewolucji kulturalnej trójka spośród utraconych przywódców rozpoczynała karierę. Dzisiaj megafony umieszczone na ciężarówkach jeżdżących nieprzerwanie po Szanghaju wyrzyskują nazwiska jeszcze kilka dni temu otaczane czciami. „Do Dao Jiang Qing!” „Precz z Jiang Qing!”, na co ludzie odpowiadają: „Da Dao!” „Da Dao Wang Hongwen!” „Da Dao!”, odkrzykuje chórem tłum.

Bund, słynna ogromna aleja biegnąca wzdłuż rzeki Huangpu, gdzie stoją przycumowane setki statków towarowych i dwa okręty zwiadowcze marynarki- z karabinami maszynowymi wycelowanymi w miasto (ostrzeżenie?), ale przykrytymi nieprzemakalnymi płachtami, to cel wszystkich pochodów. Przed siedzibą miejskiego komitetu rewolucyjnego, obserwowany przez pięciu nieuzbrojonych żołnierzy z Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, przepływa, w pięciu równoległych kolumnach po dziesięć osób w rzędzie, niekończący się tłum.

Na murach przyklejane są wciąż nowe plakaty oskarżające teraz niektórych lokalnych przywódców o współnictwo z bandą czworga albo z „czterema plagami”, w nawiązaniu do kampanii sprzed lat przeciwko muchom, myszom, komarom i wróblom.

To samo dzieje się przed innymi urzędami władz Szanghaju, przed siedzibą związków zawodowych, przed miejskim zakładem komunikacji. Atmosfera w centrum, napięta do wczorajszego wieczoru, przerodziła się w nastrój hucznej zabawy z udziałem tysięcy uczniów szkół podstawowych, którzy maszerują, recytując litanie rozpoczynające się od „Precz!” i wskazując, wśród Wybuchów śmiechu, karykatury czworga. Na przedmieściach natomiast widziałem grupki ludzi nieruchomo oglądających plakaty i notujących coś w milczeniu do chwili, gdy przejeżdżająca ciężarówka wezwała ich przez megafon do wznoszenia chóralnych okrzyków.

Od kilku dni ludzie czuli, że coś wisi w powietrzu, ale nikt nie wiedział, co. Pobiegła wieść, że trzeba się gromadzić przed siedzibami partii po instrukcje; całymi godzinami ludność

czekała w milczeniu. Pierwszy sygnał pojawił się trzy dni temu w alei Bund. Jakiś człowiek wszedł na długie schody i rozwinął na tle starej fasady siedziby partii transparent z napisem PRECZ. „Precz z kim?“, wielu zaczęło pytać, jako że stali zbyt daleko, aby dostrzec nazwiska. W ciągu kilku minut pokazały się setki innych transparentów. Nazwiska osób, które należało potępić, skandowane przez błyskawicznie włączone megafony, były już na ustach wszystkich.

Jak dotąd, nie odnotowano żadnych incydentów, a w okolicy nie ma ani uzbrojonych żołnierzy, ani straży. Dziś po południu wśród demonstrantów (wielu z nich niosło sztandary i symbole reprezentowanych organizacji) przedefilowała milicja ludowa, formacja zbrojna słynąca niegdyś ze swojej „radykałnej” wierności. Na razie nie widać przedstawicieli kilku środowisk robotniczych - z fabryk tekstyliów, z których wywodził się młody Wang Hongwen, i ze stoczni popierającej Zhang Chunqiao.

Jeśli kampania wspierająca nowe przywództwo partii odniosła sukces w Szanghaju, gdzie przecież mogła spotkać się ze znaczącym oporem, jest jasne, że bez trudu rozszerzy się na cały kraj. Szanghaj to bez wątpienia balon próbny. Przyjechałem tu wczoraj rano z Hongkongu po dwudniowej podróży pociągiem przez prowincję Kanton, góry Hunanu, pola ryżowe i plantacje bawełny w Kiangsi i Czekiangu. Na bramach komun ludowych i fabryk, na domach, w wioskach i na maleńkich stacyjkach, wszędzie widziałem wielkie plakaty z poparciem dla „komitetu centralnego partii pod kierownictwem towarzysza Hua Guofenga”. Choć jeden od drugiego dzieliły tysiące kilometrów, czcionka była ta sama, te same kolory: czarny na czerwonym tle. Dopiero gdy pociąg zbliżył się do Szanghaju, zobaczyłem pierwsze plakaty przeciwko „bandzie czworga wywrotowców” w innych kolorach: biało-czarne.

Dziś w Szanghaju plakaty, których przybywa z godziny na godzinę, zmieniły wygląd miasta. Są na fasadach ogromnych budynków, w sklepowych witrynach, na ścianach domów, na autobusach i na ciężarówkach wożących demonstrantów do centrum.

Natura przestępstw, które ta czwórka popełniła, nie jest wyjaśniana: rozumie się sama przez się. Oni uknuli spisek. Jak, kiedy, przeciw komu? Nie do końca wiadomo. Widziałem karykaturę przedstawiającą Zhang Chunqiao piszącego słowa Mao. Aluzja do tego, że grupa próbowała sfalszować testament? Na innym plakacie Jiang Qing jest w stroju cesarzowej i to chyba aluzja do jej chęci zagarnięcia władzy...

W Szanghaju słychać także pogłoski o pełzającej czystce, jaka ponoć się odbywa w organizacjach miejskich, pogłoski o posiedzeniach, podczas których dawni członkowie ultralewicy są podobno wskazywani i potępiani. Ale to tylko pogłoski i nie da się ich potwierdzić. Chińczycy milczą. Przewodnicy i tłumacze w autokarach pełnych Amerykanów, które mozolnie torują sobie drogę wśród tłumu, wioząc turystów do komun ludowych albo na wystawy nefrytów, mówią, że to, co się dzieje, jest wewnętrzną sprawą Chin i nie dotyczy cudzoziemców. Wszystkim radzi się, aby nie robili zdjęć. Nie można oprzeć się wrażeniu, że wielu Chińczyków jest tak samo dezorientowanych i zaskoczonych rozwojem wypadków jak my.

Próbowałem zostać w Szanghaju dłużej, niż zezwalała kilkudniowa wiza, ale bez powodzenia. W siedzibie Policji do spraw Cudzoziemców usłyszałem, że wystawa farmaceutów dobiegła końca, a wraz z nią moja praca. Wróciłem do domu.

Poza sytuacją w Chinach śledziłem z Hongkongu, jak każdy inny korespondent, wypadki zachodzące w całym regionie, szczególnie w Indochinach, gdzie zakończenie wojny amerykańskiej wcale nie było równoznaczne z zakończeniem kłopotów i cierpień ludności. Pod koniec 1975 roku spędziłem kilka tygodni na granicy tajlandzkiej, próbując zrekonstruować ze wstrząsających opowieści kambodżańskich uciekinierów g»zę rewolucyjnego reżimu Czerwonych Khmerów. W kwietniu 1976 roku wróciłem do Wietnamu, gdzie przekonałem się o porażce idei zjednoczenia i o niedotrzymaniu wielu obietnic złożonych przez komunistów. Widziałem dramatyczny exodus tysięcy ludzi, którzy

wszelkimi sposobami starali się uciec z Indochin, już niepodzielnie we władzy komunistów, nie wyłączając Laosu. Aby zorientować się w nowej sytuacji, znów wyruszyłem w podróż po krajach Azji Południowo-Wschodniej.

boat people

Bangkok, grudzień 1978

Obrzmiałe, nierozpoznawalne, anonimowe. Morze wyrzuca je na plażę, a miejscowa ludność gromadzi się dokoła, zaciekawiona i nieprzyjazna. W Malezji je zakopują. W Tajlandii palą. Na zachwycającym wybrzeżu Zatoki Syjamskiej* codziennie widuje się dziesiątki trupów. To jedyne ślady nieznanych tragedii, jakie już codziennie zdarzają się na cichych wodach oceanu oblewającego Indochiny.

Dla uchodźców wietnamskich, którzy na rozchwierutanych łodziach z popsutymi silnikami, bez zapasów jedzenia czy wody po-

Obecnie Zatoki Tajlandzkiej (przyp. tłum.).

wwierzają się morzu, nadal chłostanemu monsunem, nawet widok zjemi na horyzoncie nie oznacza jeszcze wybawienia. W zeszłym tygodniu grupę trzystu, jacy dotarli do ujścia rzeki Terengganu w Malezji na pokładzie dziurawego statku rybackiego, obrzuciła kamieniami tutejsza ludność i odholowała na pełne morze kutrem patrolowym. Godzinę później tylko pięćdziesiąt cztery osoby płynęły jeszcze w stronę brzegu. Inne utonęły. Po wielu pertraktacjach i interwencjach organizacji międzynarodowych ci, którzy przeżyli, dołączyli do tysięcy uchodźców czekających miesiącami w specjalnych obozach, w straszliwych warunkach, aby jakiś kraj przyznał im azyl i możliwość rozpoczęcia wszystkiego od nowa.

Od końca wojny indochińskiej w 1975 roku sto trzydzieści pięć tysięcy Laotańczyków zbiegło do Tajlandii, sto pięćdziesiąt tysięcy Kambodżan uciekło do Wietnamu, siedemdziesiąt tysięcy Wietnamczyków drogą morską dotarło do różnych krajów regionu, a kolejne sto sześćdziesiąt tysięcy schroniło się w Chinach, skąd teraz wielu próbuje przedostać się na Zachód.

- To ludzkie wraki; świadczą o klęsce, jaką ponieśliśmy w Indochinach - stwierdza pewien amerykański dyplomata. Istnieją statystyki uchodźców, którzy wchodzą w rozpaczliwą codzienność obozu, ale liczba zaginionych na morzu nigdy nie zostanie poznana.

- Tylko rekiny są dobrze poinformowane - mówi urzędnik ONZ w Kuala Lumpur. - Prawdopodobnie na trzy wyruszające łodzie jedna tonie wraz ze swoim ładunkiem.

Świadków jest bardzo niewiele.

- Po opuszczeniu Quang Ngai nasza dżonka była już przeciążona i nabierała wody. Gdy zaczęło padać, każdy próbował wejść na pokład, który w końcu się zawalił. Co najmniej stu ludzi znalazło się w potrzasku, kiedy szliśmy na dno - opowiada Duong Van Be, jeden z ocalałych, dziś mieszkający w Hongkongu. - Statki często dryfują całymi tygodniami i dziesiątki uchodźców umierają.

-Wielu wyglądało jak szkielety. Ich widok przypominał mi stare filmy o obozach koncentracyjnych - relacjonuje w Singapurze

Leslie Lawrence, kapitan tankowca, który uratował grupę Wietnamczyków zdziesiątkowanych przez słońce i pragnienie na Morzu Południowochińskim.

- Mieliśmy szczęście: wcześniej minęło nas czterdzieści osiem statków, nie odpowiadając na sygnały SOS - mówi Bui Xuan Diem. Stare prawo morskie nie jest respektowane, ponieważ [jednostki z uchodźcami na pokładzie mają ogromne trudności w portach przeznaczenia. W zeszłym miesiącu „Southern Cross” po uratowaniu tysiąca dwustu Wietnamczyków z czterech statków rybackich, którym groziło zatonięcie, nie otrzymał pozwolenia na wejście do portu ani w Malezji, ani w Singapurze. Kapitan, po kilku dniach bezskutecznych negocjacji, wziął kurs na Indonezję i wysadził swój ludzki ładunek na jednej z bezludnych wysp archipelagu.

Kambodżanie, którzy bez środka transportu próbują dotrzeć do Tajlandii, ryzykując życie w dżungli i wzdłuż granicy, na polach zaminowanych przez Czerwonych Khmerów, mają jeszcze mniejsze szanse.

- Nagle znaleźliśmy się w pułapce. Strzelali do nas ze wszystkich stron. Nic już nie rozumiałam i biegłam, biegłam-wspomina Kung Ang, dziewiętnastoletnia dziewczyna postrzelona w ręce i plecy, obecnie w tajlandzkim szpitalu. Ze stu sześćdziesięciu trzech osób, z którymi porzuciła swoją kambodżańską wioskę, uratowało się poza nią pięć.

Po przekroczeniu granicy Kambodżanie muszą jeszcze pokonać pola minowe w Tajlandii i wymknąć się patrolom Bangkoku, które teraz najpierw strzelają, a dopiero potem pytają, czy przybywający z Kambodży to uchodźcy czy partyzanci.

Tragedia tych tysięcy ludzi, w poszukiwaniu „wolności” uciekających z Indochin na wiele sposobów - na piechotę z Kambodży, wpływ Mekongiem z Laosu i łodziami z Wietnamu - polega na tym, że gdy dotrą na miejsce przeznaczenia, nikt ich nie chce.

- Uchodźcy są zagrożeniem dla całego azjatyckiego południowego wschodu - powiedział filipiński minister spraw zagranicznych.

-Jesteśmy ofiarami prawdziwej inwazji - twierdzi wysoki urzędnik tajlandzki.

Kraje regionu, zmagające się z własnymi problemami z ludnością, w ciągłym strachu przed komunistyczną partyzantką, a teraz również pełne obaw, czy nie zepsują sobie stosunków z nowymi rządami indochińskimi, nie przyjmują ze zrozumieniem kłopotów uchodźców.

Zwłaszcza Tajlandia, która próbuje odesłać do Hanoi trzydzieści dziewięć tysięcy Wietnamczyków zbiegłych w czasach Dien Bien Phu, nie chce naturalnie mieć ani jednego uciekiniera więcej w swoich granicach.

W Bangkoku chodzą słuchy, że piraci, grasujący wzdłuż całego wybrzeża, są tolerowani, a może nawet popierani przez lokalne władze w ramach „polityki zniechęcania” uchodźców.

- Kiedy dokonali abordażu, nie mieli mundurów, ale broń i sposób bycia były charakterystyczne dla policji. Zapytali, czy mamy wizy uprawniające do wjazdu na teren Tajlandii, a potem zrabowali wszystko, co mieliśmy - relacjonuje mieszkaniec obozu w Lam Sing. - Przed odpłynięciem ostrzegli nas, że jeśli o tym opowiemy, wrócą i nas zabiją.

- Rybacy i policjanci wzbogacają się, dokonując napaści na łodzie-twierdzy funkcjonariusz organizacji międzynarodowej, która zajmuje się uchodźcami w Bangkoku. - Ryzyko żadne i pewność, że wszystko ujdzie im na sucho.

Często piraci posuwają się dalej. Pewna łódź płynąca z Wietnamu, nim dotarła do Songhli na południu Tajlandii, trzy razy została zaatakowana przez piratów, którzy zgwałcili wszystkie kobiety na pokładzie. Pasażerowie innej, która przybiła w zeszłym tygodniu do wyspy Bisong w Malezji, mieli jeszcze straszniejsze przeżycia. Po ataku ze strony dwóch malezyjskich statków rybackich czterdzieścioro ośmiu Wietnamczyków zostało rozebranych i okradzionych ze wszystkiego. Kobiety zgwałcono, a mężczyznom kazano zejść pod pokład. Potem piraci próbowali zabić gwoździami luki i zatopić łódź ze wszystkimi pasażerami. Uchodźcy stawiali opór. Dziesięć osób zginęło, zanim piraci odpłynęli.

Polityka zniechęcania podziałała i teraz duża część wietnamskich łodzi omija Tajlandię, obierając kurs na Malezję. Ponad dziesięć tysięcy osób przybyło tam w samym tylko listopadzie. Stany Zjednoczone stworzyły program, w ramach którego każdego roku przyjmują dwadzieścia pięć tysięcy indochińskich uciekinierów; Francja od 1975 roku przyciągnęła ich już ponad czterdzieści tysięcy, a kilka tysięcy znalazło schronienie w Australii i w różnych krajach europejskich. To jednak bynajmniej nie rozwiązuje problemu.

-To tak, jakby wybierać deszcz garnkiem. Żadne naczynie nie jest dość duże - mówi mi w Bangkoku pewien amerykański dyplomata.

Pod koniec 1978 roku, po wielu prowokacjach Czerwonych Khmerów, Wietnam dokonuje inwazji na Kambodżę i obala dyktaturę Pol Pota. W lutym 1979 roku Chiny, protektor Czerwonych Khmerów, w odwecie atakuje Wietnam, „aby dać mu nauczkę”. Po dwóch

tygodniach krwawych bitew oddziały Deng Xiaopin- ga wycofują się. W Kambodży nowy rząd utworzony i chroniony przez Hanoi umacnia swoją władzę, ale Czerwoni Khmery nadal stanowią ogromne zagrożenie. Pol Pot, który zbiegł do Wietnamu razem z częścią ludności i kilkoma tysiącami żołnierzy, schronił się w górzystych regionach na granicy z Tajlandią. Ten człowiek, odpowiedzialny za rzeź co najmniej półtora miliona osób, dowodzi stamtąd zbrojnym oporem wobec nowego rządu Phnom Penh z pomocą (podyktowaną wieloma względami) Stanów Zjednoczonych, Chin i Zachodu. Podczas gdy wojska Hanoi atakują twierdze Pol Pota, khmerska ludność tysiącami próbuje przekraczać granicę i szuka schronienia w Tajlandii.

uchodźcy: decydowałem, kto ma żyć,
a kto umrzeć

granica kambodżańska, 2 listopada 1979

Jej głowa kołysze się nad moimi plecami jak puste naczynie. Jej ręka obsypana ropnymi krostami obija się o moją pierś jak złamana gałąź, ale kobieta żyje, bo na szyi nadal czuję słaby oddech. Nie wiem, kim jest; to tylko przerażająca kupka kości podniesiona przeze mnie w lesie, który przemienił się w cmentarz.

- Podążaj za smrodem trupów, a trafisz do Kambodży - usłyszałem od tajlandzkiego żołnierza na ostatnim posterunku, gdzie porzuciłem czerwoną ziemię traktu, aby wejść w głąb buszu. Fetor wkrótce stał się nie do zniesienia. Nawet zwierzęta musiały przestraszyć, bo w biały dzień w dżungli panowała dziwna cisza. Wychodząc z trawy wyższej od mnie, ujrzałem ich na polanie: nieruchomego chłopczyka skulonego nad swoimi odchodami, innego chłopca, już zubożniałego, obok zwłok mężczyzny z dłońmi zeszywniałymi w powietrzu, kobiety wstrząsane drgawkami pod palącym słońcem, wysuszającym ostatnie kałuże i szybko rozkładającym ciała.

Widziałem ich wszędzie, a tych, których nie widziałem, instynktownie wyczuwałem w każdym zaroślaku. Mężczyźni, kobiety, dzieci w wieku moich własnych dzieci, dziesiątkami, setkami rozrzucone po lesie. Z wybałuszonymi, nieobecnymi oczami i patyczkami zamiast nóg, zwiotczałą skórą, przykryci czarnymi szmatami przesiąkniętymi kałem i brudem, trawieni gorączką, niezdolni uczynić choćby jeden krok więcej, leżący na ziemi byle gdzie, tu i tam, niczym wielkie ptaki w samym środku bujnej tropikalnej roślinności. Wycięczeni przez tę starą jak świat, a przez nas już zapomnianą plagę, którą nazywaliśmy „głodem”.

Byli częścią dużej grupy obozującej tu przed paroma dniami. Kiedy większość poszła dalej, oni zostali bez swoich tobołków, bez mat, bez wody. Najsilniejsi podzielili się ich ostatnimi ubraniami. Porzuceni w lesie nie płakali, nie błagali o pomoc; większość należała już do innego świata.

Cisza była rozdzierająca. Do umarłych można się szybko przyzwyczaić, do umierających nie. Widok umierających jest nie do zniesienia, zwłaszcza jeśli się wie, że można by ich uratować. Droga znajdowała się w odległości zaledwie dwóch czy trzech kilometrów - kto tam dotrze, ma szansę na przeżycie. Inni z nadejściem świtu nie będą się różnić od tych pokrytych muchami albo rojącymi się robakami. Przerzucenie sobie przez plecy chudej jak szkielet kobiety i ruszenie w drogę nie było decyzją, lecz odruchem. Leżała najbliżej moich stóp.

Granica między Kambodżą a Tajlandią biegnie przez środek pięknej równiny soczystozielonych lasów, gdzieś przeciętej wierzchołkiem jakiegoś wzgórza, również pokrytego niezgłębioną gęstwiną. Od miesięcy, ogromnymi falami, tysiące Kambodżan, którym głód, choroby i strach odebrały rozsądek, ruszają na zachód i wchodzi niczym armia żywych trupów do dzikiego świata buszu, będącego ogromnym cmentarzyskiem. Szukają jedzenia, wody, lekarstw.

-Jesteśmy jak żółwie, które na oślep brną w stronę jeziora - mówi jeden z nich.

Jeśli dotrą do drogi, zostaną uratowani i trafią do obozu uchodźców.

Wyszedłem z lasu z moim lekkim brzemieniem. W cieniu zagajnika palm kokosowych kilkuset Kambodżan rozbiło obóz i gotowało na zamulonej wodzie jakieś korzonki wykopane z ziemi. Nikt się nie -odwrócił. Ciężką ciszę przerywało tylko stukanie łyżek o czarne garnki nad płonącymi polanami.

Wielu wyglądało zdrowo. Byli silni. Prawdopodobnie należeli do armii Pol Pota, niektórzy nawet do kadr - może komisarzy politycznych, sądząc po zegarkach na nadgarstkach oraz piórach w kieszonkach wypłowiałych i zakurzonych mundurów. Obojętne, wzdurliwie spojrzenia. Obok grupki, która w spokoju się posilała, łapała powietrze jak ryba jakaś dziewczynka, umierająca bez kropli wody na spieczonych wargach. Nikt nie zwracał na nią uwagi.

Silni, twardzi, beznamiętni, wyrosli w kraju, gdzie każdy ślad przeszłości, każda świętość religii i tradycji zostały unicestwione, wyglądali na doskonale okazy owego „nowego człowieka”, którego Pol Pot chciał stworzyć kosztem połowy społeczeństwa. Wyszukoleni w zabijaniu, zdecydowani przetrwać. Jedni z nich dokonywali rzezi, drudzy ocalili z pogromów. Las ich wyrzyguje, katów i ofiary, połączonych głodem i malarią, która nie zna się na polityce.

Ciężarówka Czerwonego Krzyża z trzema młodymi Szwajcarami przystaje na drodze i lekarz na słomianej macie zaczyna szukać żyły umierającego, żeby mu podać glukozę. Powierzam jego opiece moją chudą jak szkielet kobietę i wracam do lasu.

- Proszę brać tylko najlepszych, możemy położyć w ciężarówce najwyżej trzydziestu - słyszę, jak za mną woła.

Człowiek szybko się uczy wybierać, kto może żyć, a kto musi umrzeć. Powróciwszy na polanę, automatycznie zabrałem chłopca leżącego przy martwym ojcu, a nie tego wyniszczonego przez dyzenterię; dziewczynę znajdującą jeszcze siły na odpędzanie od siebie much, a nie tę obok, może jej siostrę, której pul? był ledwie wyczuwalny, a oczy już mnie nie widziały.

Chodziłem tam i z powrotem wiele razy, a jednak bardziej czułem się katem tych, których zostawiałem, niż wybawcą tych, których zabierałem. Dla nich także nie zrobiłem wystarczająco dużo. Chuda jak szkielet kobieta umarła dwie godziny później. Jakby była rzeczą, położyłem ją na stercie trupów piętrzącej się coraz wyżej w zaimprovizowanym przydrożnym szpitalu. W płataninie nóg i rąk nie dało się już zliczyć umarłych.

Wkrótce wokół dywanu z mat zebrała się gromadka tajlandzkich wieśniaków. Po prostu patrzyli, nie wykonując żadnego gestu, nie pomagając. Inni śmiali się cicho z typowo azjatyckim zażenowaniem, mając przed sobą ten fakt zwyczajny, ale przecież nie do zaakceptowania, jakim jest śmierć. Jakaś dziewczyna głaskała z uczuciem małą przituloną do jej piersi, podczas gdy jeden z młodych Szwajcarów szlochał, zamykając powieki chłopca, którego nie potrafił utrzymać przy życiu.

Dzień minął szybko i bezlitosne słońce znikło za koronami palm. Zaszło niespodziewanie, jak to bywa w tropikach, wśród poblasków o barwie ognia. Niebo pociemniało, w okamgnieniu przechodząc przez wszystkie odcienie niebieskiego, pomarańczowego i fioletowego. Kiedy pomagałem ładować umierających na ciężarówkę, stada nietoperzy zaczynały krążyć nad naszymi głowami, a las skrywający swoje bezimienne ofiary pogrążał się w najczarniejszej nocy.

Nadal najbardziej interesowała mnie Kambodża. Jeden z moich przyjaciół z Wietkongu, Bui Hu Nhan, został „doradcą” nowego wietnamskiego rządu w Phnom Penh i to dzięki niemu, wiosną 1980 roku, wraz z Nayanem Chandą z „Far Eastern Economic Review”, otrzymałem wizę. Byliśmy pierwszymi dziennikarzami z Zachodu, którzy bez przeszkód jeździli po Kambodży od czasu upadku Pol Pota. Przez cały miesiąc mieliśmy swobodę

podróżowania po kraju bez eskorty. Sprawozdanie z tego, co było jednym z najbardziej poruszających momentów w całym moim życiu dziennikarza, wraz z opisem rzezi, przerażającego reżimu Czerwonych Khmerów i „odrodzenia” Kambodży pod kuratelą Wietnamczyków, wyszło w trzech numerach „Der Spiegel”, a potem w niemieckiej książce Holocaust in Kambodscha.

Na fali liberalizacji po śmierci Mao Chiny się otwierały. W 1978 roku dostałem trzytygodniową wizę na podróż po kraju, a potem na odwiedzenie jednego z najbardziej odległych regionów, Xinjiangu. Pod koniec 1979 roku kilka zachodnich tytułów prasowych otrzymało zgodę na otwarcie biura w Pekinie. „Der Spiegel” był wśród nich, a ja zdobyłem akredytację ja^{co} korespondent. Rodzina dołączyła do mnie niedługo potem. Dwójka naszych dzieci zaczęła chodzić do chińskiej szkoły. „Domem” było stare mieszkanie w dzielnicy dla cudzoziemców, z żołnierzami stojącymi na straży przy wejściach i szpiegującymi dozorczykami obsługującymi windy.

O zobaczeniu Korei Północnej marzył każdy dziennikarz w Pekinie, ale nawet w „siostrzanej” stolicy wyrobienie wizy graniczyło z cudem. Ja swoją otrzymałem dzięki Enricowi Berlinguerowi, sekretarzowi Włoskiej Partii Komunistycznej, który przejeżdżając przez Chiny po drodze do Phenianu, kazał umieścić moje nazwisko na liście członków jego delegacji odwiedzającej „Wielkiego Wodza”.

Korea Północna: czerwony sztandar,
błękitna krew

Phertian, październik 1980

Samolot, który dwa razy w tygodniu przewozi nielicznych pasażerów z Pekinu do Phenianu, to wehikuł czasu. Podróżny zostawia za sobą współczesne Chiny, a po godzinie i czterdziestu pięciu minutach przekonuje się, że został katapultowany do roku 1984. Korea Północna to spełniony koszmar sen o Orwellovskim społeczeństwie totalitarnym. Tutaj dzieci nie chodzą zwyczajnie do szkoły, one maszerują; dorośli nie pracują, oni walczą o wzrost produkcji. W bibliotekach są tysiące książek, ale napisanych przez jedną osobę; wszystko jest czyste, dobrze zorganizowane i zgodne z planem. Obywatele są zdyscyplinowani, posłuszni i szczęśliwi. To nie jest tylko kraj. Został oficjalnie ogłoszony „rajem”, a Kim Ir Sen, prezydent, nie jest tylko przywódcą stojącym na jego czele od ponad trzydziestu pięciu lat, lecz bogiem, ponieważ wie wszystko, co wiedzieć trzeba, znalazł odpowiedzi na pytania, nad którymi od wieków biedzili się filozofowie, i nawet ptaki ćwierkają ku jego chwale. Tak przynajmniej mówi się gościom i pisze prawie codziennie w gazetach.

Gdyby nie pełne kwiatów ogrody, akacje na zielonych wzgórzach i nad rzeką, Phenian mógłby wydać się miastem nierealnym, sztucznym, jak scenografia stworzona na potrzeby filmu science fiction - bogatym, szalenie kolorowym, supernowoczesnym, lecz niepokojąco pustym. Ulice są szerokie, ale jeździ po nich bardzo mało samochodów. Place są ogromne, tyle że bez ludzi. Wszystko jest nienaturalnie dopracowane i wypielegnowane - parki, place zabaw, jeziora - lecz najwyraźniej nikt nie może się tym cieszyć. Marmurowe pomniki strzelają w niebo, tak samo jak wielkie budynki ze szkła i betonu, a z fontann, którym nikt się nie przygląda, wesoło tryskają różnobarwne strumienie wody. Na skrzyżowaniach umundurowani policjanci bezszelestnie kierują nieistniejącym ruchem. Co sto metrów w cieniu drzwi funkcjonariusz w cywilu obserwuje przez ciemne okulary doskonale równe rzędy pustych domów.

Dzień w Korei Północnej podzielony jest na trzy zmiany. Za zamkniętymi bramami fabryk nigdy nie kończy się praca. Każdy obywatel pracuje osiem godzin i przez trzy się uczy. Nie ma zbyt wiele czasu na spacer, a jedyne osoby spotykane na ulicy po zmroku to ludzie wracający z pogadarek politycznych

I czekający bez słowa, w szeregu, na przystanku autobusowym, albo studenci, także kończący zajęcia późnym wieczorem. Nikt się nie śmieje, nikt nie rozmawia z sąsiadem, każdy wydaje się ..spoglądać ufnie w przyszłość". I słusznie, bo już przeszłość pod wieloma względami okazała się oszałamiającym sukcesem. W chwili zakończenia wojny, w 1953 roku, kraj był zrujnowany, a w Phenianie stały nie więcej niż trzy całe domy po tym, jak miasto latami służyło za pole bitwy wykrwawiającym się wzajemnie armiom z Południa i Północy - tej amerykańskiej i tej złożonej z chińskich „ochotników”.

Dziś Phenian bardziej przypomina metropolię skandynawską niż azjatycką. Mężczyźni w ciemnych, zachodnich ubraniach, białych koszulach, krawatach i skórzanych, zawsze błyszczących butach. Czerwień i błękit na mundurkach dzieci. Kobiety w różnobarwnych spódnicach, jakby na stałe nosiły odświętny strój narodowy. Ani śladu biedy. Trudno uzyskać dane statystyczne w kraju, gdzie wszystko przedstawia się w procentach i gdzie urzędnicy obrażają się, kiedy zapytać ich o konkrety, ale postęp jest oczywisty, widoczny gołym okiem. Z wysokich kominów na obrzeżach stolicy wydobywają się słupy dymu, a wioski wypatrzone z samochodu, którego nie wolno zatrzymywać, wyglądają na zadbane i zamożne. Od kołyski aż po grób obywatel Korei Północnej znajduje się w rękach i pod okiem przezornego Państwa. Opieka zdrowotna jest darmowa, obowiązek szkolny trwa do siedemnastego roku życia. Nikt nie płaci podatków. Mieszkania robotników są małe, ale funkcjonalne i z wygodami. Czynsz jest niski (od pięciu do dziesięciu wonów przy średnich zarobkach rządu dziewięćdziesięciu wonów). „Niczego nie zazdrościmy światu” - śpiewają dzieci, a fakt, że ludzie naprawdę wierzą, iż mieszkają w „raju”, to największe osiągnięcie reżimu.

Proces perswazji zaczyna się w lśniących czystością, zautomatyzowanych, pręźnie działających przedszkolach, gdzie już trzyletnie dzieci uczone są składania ukłonów przed portretem Kima, miłości do swojego przywódcy i opowiadania z pamięci o jego chwalebnych czynach. „Ile dzieci ma prezydent Kim Ir Sen?” - pytałem wiele razy. Zazwyczaj słyszałem to samo: „Wszyscy jesteśmy jego dziećmi”. Przez prawie trzydzieści lat mieszkańcy Korei Północnej żyli jak w izolacji, całkowicie odcięci od reszty świata, o której absolutnie nic nie wiedzą. Radia, jakie widzi się w każdym domu, są ogromne, ale nie odbierają fal krótkich. Rację bytu mają tylko te gazety, w których imię Wielkiego Wodza pojawia się przynajmniej pięćdziesiąt razy w jednym wydaniu. Efekt łatwo sobie wyobrazić: ludzie naprawdę są przekonani, że, na przykład, dwustuczterdziestokilometrowy mur, który ciągnie się wzdłuż strefy zdemilitaryzowanej między Północą a Południem, zbudowali ci okropni Amerykanie, aby mieszkańcy Korei Południowej nie mogli przenieść się do wspaniałego północnego świata, że Seul to miasto nędzy, zdeprawowane przez „prostytucję i turystykę”, że warunki życia reszty globu budzą grozę i że inne narody pragną tylko jednego - poznać i zrozumieć nauki Wielkiego Wodza, Kim Ir Sena.

Pewne północnokoreańskie czasopismo publikuje w najnowszym numerze zdjęcie wiedeńskiego dorożkarza siedzącego na koźle przed Operą, zatopionego w lekturze książki prezydenta. W Wiedniu, jak wiadomo, to częsty widok, bo przecież Wielki Wódz jest wszędzie. Jego wizerunek widnieje na ulicach, w domach, w autobusach, w parkach, w pociągach. I tylko on w całym kraju nie ma znaczka ze swoją podobizną. Dwadzieścia dwa miliony Koreańczyków noszą ją na piersi, po lewej stronie, na sercu. Znaczki różnią się kolorem, kształtem i wielkością. Ich wygląd zależy od pozycji społecznej osoby, od tego, jak dużym cieszy się ona zaufaniem „wspaniałego” przywódcy.

Inaczej niż w Chinach podczas rewolucji kulturalnej, znaczków tych nie można kupić ani dostać. W Korei są one przyznawane. Trzeba na nie zasłużyć, zatem cudzoziemcy szukający pamiątek na próżno starają się wywieźć za granicę choćby jeden. Wszędzie można za to otrzymać sześć tomów dzieł Kim Ir Sena i trzy tomy samej bibliografii, a więc wszyscy zagraniczni goście borykają się z identycznym problemem: jak pozbyć się kłopotliwego prezentu, nie wyrzucając książek do kosza, gdyż czyn ów wiąże się z ryzykiem

natychmiastowego wydalenia z Korei (w zeszłym roku pewien szwajcarski inżynier został wyrzucony tylko dlatego, że przyłapano go na czyszczeniu butów gazetą, w której - jakże by inaczej - znajdowała się fotografia Wielkiego Wodza).

Państwo ma całkowitą kontrolę nad ludnością - na jedno skinienie naród rzuca się do działania. Za każdym razem, gdy bratnia delegacja przybywa do Phenianu, lotnisko zapelniają tłumy wznoszące entuzjastyczne okrzyki, a w tym samym czasie dzielnica, której mieszkańcom nakazano zainscenizować to „spontaniczne powitanie”, świeci pustkami. Dwa lata temu, kiedy fala wyjątkowo złej pogody groziła zniszczeniem dużej części zbiorów, w kilka godzin cały kraj został zmobilizowany i wysłany na wieś: plony uratowano.

W państwie nie ma opozycji. Choć od czasu do czasu ktoś znika ze swojego miejsca pracy i rozplywa się w powietrzu, choć sami urzędnicy rządowi przyznają, że istnieją więzienia dla „wrogów klasowych”, oznak buntu nie widać, szczególnie wśród ludu. W pułapce pracy i aktywności politycznej, z bardzo ograniczonym czasem na normalne życie rodzinne, pod nieustającą kontrolą kolegów, sąsiadów i policjantów, obywatel Korei Północnej nie ma żadnego marginesu wolności. Podróżować po kraju mu nie wolno, chyba że pojawią się szczególne powody. Trzeba oficjalnych pozwoleń, by wykonać jakikolwiek ruch poza trasą dom- praca, a dzięki systemowi ciągłego nadzoru władza ani na chwilę nie spuszcza z oka swoich obywateli. Phenian jest jedynym azjatyckim miastem, w którym nie ma rowerów - to także pomysłowe zabezpieczenie przed potencjalnymi zagrożeniami, jakie niesie nadmierna ruchliwość jednostki.

Cała stolica to pomnik ku czci prezydenta, każda budowla jest dowodem jego miłości do narodu. Olbrzymie dworce kolejowe i gmachy publiczne, twory obsesyjnej manii wielkości, są katedrami prawdziwej religii tego kraju - bynajmniej nie socjalizmu (to słowo coraz bardziej wychodzi z użycia), lecz kimir- senizmu.

- Wielki, czcigodny prezydent Kim Ir Sen osobiście nadzorował budowę i trzysta razy udzielał wskazówek - wyjaśnia dyrektor ogromnego, luksusowego pheniańskiego metra, którego każda stacja upamiętnia jakiś epizod z życia przywódcy. Nikt naj- wwyraźniej nie pamięta, że zbudowały je setki chińskich inżynierów przysłanych przez Mao, ale tak samo nikt nie pamięta, że to radziecka Armia Czerwona pod koniec drugiej wojny światowej wyniosła do władzy Kim Ir Sena, który wziął sobie to imię po otaczanym powszechną miłością i od dawna nieżyjącym legendarnym bojowniku.

- Wielki, szczodry przywódca kazał wznieść tę budowlę dla dobra ludu - mówi jak w transie dziewczyna oprowadzająca zagranicznych gości po zachwycającym, zapierającym dech w piersiach Centrum Zdrowia: gigantycznym kompleksie basenów, pomieszczeń do masażu, saun, salonów piękności, sal gimnastycznych o marmurowych posadzkach i mozaikowych ścianach, z lekarzami i pielęgniarkami do dyspozycji tłumów, po których nie ma tu jednak nawet śladu.

Oczywiście nie jest też używany ogromny Szpital Ginekologicz- no-Położniczy. Trzyście pięter z betonu, granitu i marmuru zbudowanych - symbolicznie? - w dziewięć miesięcy, wyposażonych w najnowocześniejszy sprzęt i w telewizję przemysłową, aby ojcowie i rodziny mogli rozmawiać z położnicami na odległość. Teatr Masudae, kolejna olbrzymia budowla z kamienia, szkła i luster wokół wytwornej widowni, na której jest miejsce dla zaledwie kilkuset osób, to ciąg pomieszczeń o bardzo wysokich sufitach, z watanymi, wyciszającymi wykładzinami dywanowymi w pastelowych kolorach. Schody w kształcie ślimaka, iluminowane jarzeniowym światłem, pną się nad szemrzącymi fontannami o zmiennych kolorach, a na ścianach inne światła tworzą trompe l'oeil ogromnych kaskad wody. Miliony kropel oleju zsuwają się powoli, ku zdumieniu obserwatora, po niewidocznej strukturze z plastikowych włókien. Woda. Woda prawdziwa w dziesiątkach miejskich fontann, fałszywa w elektronicznych sztuczkach z oświetleniem, malowana na ścianach,

wyobrażana na mozaikach i dywanach, wydaje się nieświadomym, powracającym obsesyjnie symbolem tego reżimu i jego irracjonalnego dążenia do czystości.

Wielka fontanna z setkami strumyków, które formują płynny różnokolorowy pomnik, zaskakuje także w wielkiej sali przyjęć rządowego pałacu. Na zewnątrz, na dziedzińcu, żołnierze w mundurach galowych maszerują gęsiego. W środku tuziny ochroniarzy, ordynansów i sekretarzy w czarnych garniturach i ciemnych okularach, wszyscy ze swoimi znaczkami z „Wielkim Wodzem” na piersi. Goście muszą czekać na pojawienie się Kima co najmniej pół godziny; czas odmierzają dwa ogromne zegary ze złotymi figurami żołnierzy i robotników kręcącymi się w kółko. Nagle wszyscy ludzie prezydenta wbijają wzrok w podłogę w głębokim ukłonie, ponieważ pojawia się on: majestatyczny w swojej zapiętej pod szyją ciemnej marynarce, idzie szerokimi schodami przykrytymi najczerwieńszym z dywanów. Cysta, którą ma na karku, jest większa od pięści, ale nie wygląda na to, aby utrudniała mu ruchy. Od lat wciąż rośnie, a jednak nikt nie ma odwagi jej operować. Choć jest chyba nieprawdopodobne, aby mógł to być złośliwy nowotwór, cysta stanowi temat niezliczonych pogłosek i spekulacji. Ale wraz z zakończeniem VI zjazdu partii przyszłość Korei Północnej rysuje się jasno, przynajmniej na papierze. Kim Ir Sen wyznaczył swojego następcę.

- Kim jest ten młody człowiek obok prezydenta? - pytałem kilka razy w dzielnicach robotniczych, wskazując wszechobecną kolorową podobiznę Wodza i jego syna.

- To wspaniałe Centrum - odpowiadano mi. Imię nigdy nie padło, ale lata wyrafinowanej i nieustępliwej propagandy przygotowały fundament pod koreańską drogę do socjalizmu: socjalizmu sukcesyjnego. „Będziemy wierni wielkiemu przywódcy z pokolenia na pokolenie”, mówi jedna z pieśni, jakie można usłyszeć w Phenianie.

Budowa stolicy, megalomańskiego symbolu odrodzenia koreańskiego, konkurującej z zepsutym społeczeństwem konsumpcyjnym usytuowanym na południe od trzydziestego ósmego równoleżnika, postępuje tymczasem, jakby miasto miało stać się utopijną civitas solis człowieka przyszłości. Dzień i noc, nieprzerwanie, ogromne dźwigi i brygady robotników budują kolejne piętro i tak już gigantycznego Centrum Kultury, a w tym samym czasie, niedaleko, przy muzyce orkiestry wojskowej, tysiące żołnierzy kopią fundamenty pod nowe lodowisko.

Przypadek zbiorowego szaleństwa? Być może.

-To jedyny kraj socjalistyczny, w którym działają nawet ubikacje - mówił członek delegacji przebywającej z oficjalną wizytą w Korei, używając jednego ze wspaniałych pisuarów teatru Ma-sudae, gdzie fotokomórki włączają wodę, gdy zbliża się użytkownik.

Przyjęcia w roziskrzanej sali bankietowej Kim Ir Sena, oświetlonej dziesiątkami kryształowych kandelabrow, kończą się wniesieniem wielkich talerzy pełnych koreańskich owoców podawanych przez niewzruszonych kelnerów w białych marynarkach i ze znaczkami na piersi. Mój sąsiad przy stole, pewien europejski komunista², przyglądając się ogromnej, lśniącej gruszce, którą mi podano, wygłosił następujący komentarz:

-Ten kraj jest jak te gruszki: rośnie i rośnie, jakby szwankował mu jakiś gruczoł."

Lata 1979-1984 w Chinach były szczególnym okresem. Po raz pierwszy od 1949 roku my, obcokrajowcy, otrzymaliśmy, choć ze znacznymi ograniczeniami, swobodę podróżowania, poznawania kraju i ludzi. Po raz pierwszy można było zobaczyć to, co przez dziesięciolecia propagandy trzymano w ukryciu przed oczami obcych. Podobnie jak inni koledzy, próbowałem wykorzystać możliwie najpełniej ten margines wolności, udając się we wszystkie zakątki kraju, od Tybetu po Mongolię i Mandzurię, i wysłuchując opowieści jak największej liczby zwykłych ludzi o tym, co maoizm pierwszych lat i rewolucja kulturalna oznaczały w ich życiu. Moja ciekawość nie zawsze była mile widziana. Kilka razy policja zatrzymywała mnie w miasteczkach, na pobyt w których nie miałem „zezwoleń”, a potem w marcu 1984 roku zostałem aresztowany, oskarżony o „przestępstwo kontrewolucyjne”,

przesłuchany, poddany miesięcznej reedukacji i wreszcie wyrzucony z kraju.³ Tak oto wróciliśmy do Hongkongu, tym razem wprowadzając się do podupadającego, ale romantycznego domu - należał do pewnej sławnej konkubiny - nad morzem, z zapierającym dech w piersiach widokiem na zachód słońca u ujścia Rzeki Perłowej. Tam znowu zacząłem zajmować się problemami regionu.

W 1972 roku Ferdinand Marcos, aby uniknąć utraty władzy, ogłosił stan wojenny w jednym z najuboższych i zarazem najsympatyczniejszych krajów Azji: na Filipinach. Dyktatura powoduje tu jeszcze większy głód i plami się ohydnyymi zbrodniami popełnianymi na członkach opozycji. Wiele razy podróżuję po archipelagu. W 1983 roku Ninoy Aquino, ikona liberalnej opozycji wobec Marcosa, człowiek, którego dyktator trzymał w więzieniu przez osiem lat, a potem obiecał mu możliwość wyjazdu do Stanów Zjednoczonych, zostaje zamordowany przez płatnego zabójcę, kiedy schodzi ze schodków samolotu odwożącego go z powrotem do Manili. To morderstwo, naturalnie na zlecenie reżimu, wywołuje wzburzenie narodu i zagraża władzy „małżeńskiej dyktatury” Marcosa oraz jego żony Imeldy.

Filipiny: powiedział mi taksówkarz

Manila, 20 listopada 1984

Czytelnik o tym wie: najlepszym źródłem informacji dziennikarza, który przyjeżdża do jakiegoś kraju i próbuje zrozumieć, co się dzieje, jest zwykle taksówkarz wiozący go z lotniska do hotelu. I rzeczywiście, za ledwie postawiłem walizki, już musiałem przyznać, że moje „źródło” okazało się nieocenione.

- Jak tam sytuacja? - zapytałem, gdy tylko zająłem miejsce w jego okropnie zdezelowanej, skrzypiącej toyocie, powiązanej żelaznym drutem.

- Liczby dzisiejszych ofiar śmiertelnych nie da się jeszcze oszacować - odpowiada.

- Ofiar?

- Tak, tak, jest jeszcze za wcześnie, żeby policzyć ofiary zwykłych morderstw, „akcji ratunkowych”, pożarów, demonstracji, rozboju i tajfunu.

Jest piąta po południu. Samolot, który przyleciał z Hongkongu, był w połowie pusty. Bardzo mało turystów. To dla Filipin powinna być pełnia sezonu, ale od kiedy w sierpniu ubiegłego roku szef opozycji Ninoy Aquino został zabity na lotnisku w Manili, tajemnicze morderstwa są popełniane jedno po drugim, a nieustające demonstracje i starcia z policją paraliżują miasto, ludzie jeżdżą opalać się do innych części Azji. Luksusowe hotele (i tak jest już ich za dużo) świecą pustkami. Wyglądają jak absurdałne, lśniące statki kosmiczne, które przez pomyłkę wylądowały wśród przygnębiającej nędzy pograżonych w ciemności slumsów.

- ...A tanie hotele? - pytam mojego taksówkarza.

- Płoną. W miesiąc cztery hotele drugiej kategorii zostały zniszczone przez pożar. Za każdym razem były ofiary w ludziach.

- Kim są podpalacze?

- Nie można wykluczyć żadnej ewentualności. Mogą to być komuniści, którzy chcą wystraszyć turystów i przysporzyć w ten sposób jeszcze więcej kłopotów gospodarce. Mogą to być wojskowi, którzy chcą oskarżyć o podpalenia komunistów i przywrócić stan wojenny pod pretekstem zaprowadzenia porządku i bezpieczeństwa. Albo mogą to być sami właściciele, którzy chcą wyłudzić odszkodowanie i uciec za granicę... Ach, zapomniałbym - kontynuuje mój taksówkarz - to mogą być także wielkie hotele. Zlecają podpalenia tanich hoteli, żeby zagarnąć ostatnich klientów.

Taksówkarz śmieje się, jakby jego samego ubawiły hipotezy, w których gąszczu się gubi, jak reszta Filipińczyków.

Minął ponad miesiąc, od kiedy został opublikowany niecierpliwie wypatrywany raport komisji Agravy na temat morderstwa Aquina, ale spodziewane rozliczenie z historią nie

nastąpiło. Przez rok kraj czekał, wstrzymując oddech, na rozstrzygający dokument. Ludzie modlili się, pościli, medytowali. Teraz, kiedy raport się ukazał (a właściwie, dla zamydlenia oczu, ukazały się dwa) i oskarża wojskowych o zawiązanie spisku, zabicie Aquina i spreparowanie dowodów, śledztwo stanęło w miejscu...

Nikt nie został aresztowany, nikogo nie postawiono w stan oskarżenia. Generał Fabian Ver, szef sztabu głównego filipińskich sił zbrojnych, będący, według jednego z raportów, naczelnym konspiratorem, wziął „urlop” i odpoczywa w domu. Dokumenty komisji śledczej zostały przekazane specjalnemu trybunałowi, który sędzi urzędników oskarżanych o korupcję. Tym razem ma jedynie zdecydować, czy istnieje wystarczająco dużo dowodów, aby oskarżyć dwudziestu sześciu spiskowców. Akta przechodzą z ręki do ręki.

- W końcu okaże się, że to faktycznie komuniści zabili Ninoya - mówi ironicznie taksówkarz. Potem, zaniepokojony, zerka na

mnie we wstecznym lusterku i niemal z lękiem pyta: - A pan? Jest pan za Marcosem?

Filipińczycy czują już, że wojna domowa jest blisko, że muszą mieć oczy z tyłu głowy i uważać na to, co mówią. Nawet na lotnisku panowała atmosfera napięcia i podejrzeń charakterystyczna dla krajów, w których narasta konflikt. Mężczyzna wyglądający na tajniaka, z plakietką na piersi z napisem: NA SŁUŻBIE, bez specjalnej dyskrekcji fotografował przylatujących. Mnie zrobił jedno zdjęcie, Filipińczykowi, z którym rozmawiałem, dwa. Reżim obawia się coraz bardziej kontaktów filipińskich grup opozycyjnych z zagranicy (szczególnie ze Stanów Zjednoczonych) z lokalną partyzantką. Dlatego aktualizuje swoje akta dotyczące zwolenników i kurierów.

- Na śmietniku dzisiaj rano „uratowanych” było tylko dwóch - mówi taksówkarz.

„Ratowanie”, „uratowani” - to słowa ostatnio często powracające w rozmowach Filipińczyków i trzeba do nich przywyknąć. „Uratowani” znaczy „zamordowani”. Ofiar morderstw na Filipinach jest wiele; w tym przypadku chodzi o osoby zabijane przez żołnierzy i policjantów, którzy wykonują tę pracę po godzinach.

Zwłoki znajduje się zazwyczaj z żelaznym drutem na szyi. Przyczyną śmierci są na ogół ciosy zadane kilofem. „Żeby oszczędzać amunicję”, mówi mój taksówkarz.

- Jeśli trupy mają tatuaże, to byli bandyci, jeśli nie mają tatuaży: komuniści. Proste, prawda? Dzisiaj ciała były tylko dwa - powtarza i wydaje się autentycznie zainteresowany tą dzienną rachubą ofiar.

W Zamboandze na wyspie Mindanao taką rachubą zajmował się sam burmistrz miasta, Cesar Climaco, jeden z najpopularniejszych przywódców opozycji w kraju. Każdego dnia na wielkim plakacie przed urzędem miejskim Climaco umieszczał w krwistoczerwonej obwódce liczbę zamordowanych, jakby prowokując policję i wojsko, które nie tylko nie potrafiły utrzymać porządku w mieście, ale również maczały palce w najgłośniejszych zabójstwach. W ubiegłym tygodniu burmistrz, który zawsze wychodził bez eskorty i ochroniarzy, został uśmiercony ciosem w kark w samym centrum Zamboangi. Jego również „uratowano”.

- Ta sama historia, co z Aquinem - mówi taksówkarz. - Likwidują jednego po drugim. Kiedy opozycja zostanie bez przywódców, przestanie budzić strach.

Toyota harcuje w ruchu ulicznym w godzinach szczytu, podskakuje na dziurawych ulicach przedmieścia, potem wjeżdża w wielką aleję Roxas, dumę bogatej części Manili, kwitnącej i zatrutej spalinami. Na każdym świetłach oblegają nas stadka uśmiechniętych i obszarpanych chłopców, którzy cmokają, żeby zwrócić uwagę na swoje brudne plastikowe torebki pełne cukierków miętowych i otwarte paczki papierosów ułożone w drewnianych pudełkach.

- Marlboro - mówi taksówkarz. Chłopcy się sprzeczą, popychają, wreszcie jeden wygrywa, podaje klientowi papierosa i zapala.

- Pięćdziesiąt centavos - rzuca chłopak.

- Kupując całą paczkę, oszczędza się dwa pesos, ale oni też muszą z czegoś żyć. Poza tym z paczką wiąże się ryzyko, że mi ją podwędzą - wyjaśnia taksówkarz.

Samochody bogatych Filipińczyków zatrzymujące się obok nas na czerwonym świetle mają szoferów, klimatyzację i przydymione szyby, zasunięte, żeby nie było widać, kto siedzi w środku. Nasza toyota natomiast jest otwarta na oścież i moją rękę gładzą, szturchają, ciągną liczne ręce, rączki, łapska żebraków pokazujących na migi głód, ból, smutek, proszących o pieniądze. Przy każdej sygnalizacji scena się powtarza.

- Marcos z zamożnych uczynił bogaczy, a z biednych nędzarzy - mówi sentencjonalnie taksówkarz, nie robiąc nic, aby odepchnąć las rąk, które mnie dotykają i gestykują. Jakiś chłopaczek rzuca się do okna samochodu, żeby sprzedać mi gazetę.

Na pierwszej stronie jest duża fotografia Marcosa wydającego swojemu szefowi sił zbrojnych ad interim rozkaz ścigania bandy muzułmanów, którzy wkroczyli do pewnego miasta w prowincji Lanao Południowego dokonali rzezi tamtejszych chrześcijan i uciekli. Patrzę na zdjęcie, czytam opis.

- To fałszywka - mówi mój taksówkarz. - Marcos umarł.

- Umarł? Jak? Kiedy?

- Może nie tak zupełnie umarł, ale jest bardzo bliski śmierci - oznajmia taksówkarz. Proszę, żeby mi o tym opowiedział, i okazuje się, że tu także możliwych wersji jest wiele. Marcos nie pokazuje się publicznie od początku zeszłego tygodnia, kiedy to przyjmował amerykańskiego senatora. Jeden z rzeczników rządu powiedział, że prezydent wziął sobie wolne, aby napisać „kilka książek”, inny oświadczył, że popłynął swoim jachtem na inspekcję terenów zniszczonych przez tajfun, ale jest jasne, że to bajki- Najczęściej słyszy się głosy, że Marcos został zawieszony do kliniki w Quezon, gdzie jakoby usunęli mu nerkę przeszczepioną w zeszłym roku. I tam podobno umarł. Ostatnie namaszczenie dał dyktatorowi rzekomo niejaki wielebny Ramirez. Według innej plotki Marcos przeżył operację, ale teraz musi mieć przeszczep serca.

Toyota, chrzęszcząc, jedzie aleją i mija manilski Yacht Club. Zatrzymujemy się, żeby zobaczyć, czy wielki jacht Marcosa jest zakotwiczony na swoim stanowisku, przy moło numer 15. Nie ma go i nikt nie potrafi powiedzieć, gdzie się podział.

- Może naprawdę wybrał się w rejs - stwierdza taksówkarz. - Lepiej, żeby go pochowali na morzu, bo z ziemi go wyciągniemy.

Zachód słońca jest cudowny, słońce znika błyskawicznie za linią horyzontu poprzerywaną czarnymi sylwetkami statków. Wzorce zmienia się w bezkresną złocistą płaszczyznę. To jedna z najbardziej poruszających godzin dnia. Filipiny mają swój moment niemal nieskazitelnego piękna.

Suniemy aleją, mijając ciąg majestatycznych, niezwykle kosztownych budowli wzniesionych przez reżim z pretensjami do wielkości: Centrum Kultury, Centrum Filmowe, Pałac Wystaw, luksusowe, nowoczesne budynki, ale prawie nieużywane. Używane są natomiast rozległe trawniki dokoła nas. Z zieleni wyłaniają się chaty z liści palmowych i gałganów, w których koczują setki rodzin bez dachu nad głową.

- We wszystkich parkach Manili mieszkają biedacy - mówi mój taksówkarz.

Po prawej stronie alei, na murze, który zasłania slumsy i dzielnicę burdeli Ermitę, gdzie wszystko jest na sprzedaż o każdej porze dnia i nocy, ktoś białą farbą napisał: **PRECZ Z DYKTATURĄ MARCOSA I STANÓW ZJEDNOCZONYCH.**

Morze powoli pociemniało, niemal nie odróżnia się już od przycumowanych w zatoce statków. Na horyzoncie widać dziwne zielonkawe refleksy, tropikalne powietrze jest przesycone zapachem palonych liści. Z parku w środku miasta podnoszą się bladoniebieskie słupy dymu: żebracy nad swoimi maleńkimi ogniskami gotują kolację wśród metalicznego szmeru palm, o które bije wieczorny wiatr.

- Filipiny? - zapytał kiedyś amerykański generał. - Co to takiego? Jakiś gatunek sardynek?

Dzisiaj Filipiny to kraj w chwili przełomu, kryzysu, kraj pełen niesłychanych sprzeczności, które, jak się zdaje, muszą doprowadzić do wybuchu, ale także kraj wielki duchem, gdzie wystarczy zamienić dwa słowa z jakimkolwiek taksówkarzem, aby odzyskać właściwy ogląd rzeczy, aby znów poczuć atmosferę, jaka tu panuje.

Wychodzę z taksówki i płacę. Portier hotelowy bierze moje walizki i oddala się. Taksówkarz, wskazując oczami swoich kolegów w szeregu żółtych klimatyzowanych aut przed hotelem, z porozumiewawczą miną szepcze: - Ostrożnie, ci tutaj to sami policjanci. kolacja z karabinem

Zamboanga, grudzień 1984

- Rover do bazy: zaraz będziemy. Jesteśmy w odległości pięciuset metrów.

- Baza do rovera: zrozumieliśmy. OK. Otwieramy.

Kierowca wyłącza radio. Człowiek z karabinem siedzący obok mnie szykuje się, żeby wysiąść. Nie jadę na front, lecz do domu pewnego plantatora bananów, który zaprosił mnie na kolację. Land-rover zbliża się do żelaznej bramy, chłopak z betonowej wieżyczki daje znak karabinem komuś w środku i oto otwiera się przede mną duży plac pełen kwiatów. Widzę piękną posiadłość zanurzoną w tropikalnej roślinności i ogromny podświetlony basen.

Naprzeciw mnie stoi uśmiechnięty pan w koszulce i białych spodniach, który, zauważywszy moje pełne rozbawienia zdziwienie, mówi:

- Ech, tak, niestety musimy dzisiaj żyć w ten sposób. Nie mamy wyboru. Każdy musi sam zatroszczyć się o swoje bezpieczeństwo.

On, żeby ochronić rodzinę i pola, zatrudnia armię złożoną z dwustu ludzi.

- W tym roku straciłem już piętnastu.

- Straciłem?

-Tak; pięciu zamordowali komuniści, resztę inni.

-Jacy inni?

-Wszyscy po trochu: wojskowi, organizacje paramilitarne, bandyci...

Mindanao, wielka wyspa na południu, najbogatsza z Archipelagu Filipińskiego, „ziemia obiecana”, jak była nazywana jeszcze kilka lat temu, stała się już polem bitwy, a prowadzone tutaj wojny są rozmaite.

Partyzanci komunistyczni z NPA (New People's Army) walczą przeciwko żołnierzom rządowym; żołnierze rządowi walczą między sobą o kontrolę nad wielkimi inicjatywami gospodarczymi, na których zarówno armia, jak i policja położyły rękę po wprowadzeniu stanu wojennego; miejscowi muzułmanie walczą o swoje państwo niezależne od Manili, różne prawicowe bandy o najdziwniejszych nazwach, jak „Szczury” czy „Cristo rock”, krążą po okolicy, mordując, czy, jak się tutaj mówi z makabrycznym poczuciem humoru: „ratując”, osoby podejrzane o to, że są komunistami. Bandyci natomiast robią to, co zawsze i wszędzie robią bandyci. Podczas dwóch tygodni spędzonych w podróży, nocując niekiedy w hotelach wielkich miast, a niekiedy w chatkach po wsiach, których nazwy nie figurują na mapach, widywałem wyłącznie uzbrojonych ludzi. Często najbardziej niepokoiło to, że nie wiadomo było, do której z owych licznych armii należeli.

Anarchia nie zna granic; kupcy muszą opłacać policję i wojsko, żeby ich sklepów nie atakowali „komuniści”; sąsiedzi domu ogarniętego płomieniami muszą opłacać strażaków, żeby się przyłożyli do gaszenia pożaru. Morderstwa, rabunki i uprowadzenia są na porządku dziennym (tydzień temu dwóch przybyszów z Zachodu, Amerykanin i Niemiec, zostało porwanych przez małą grupkę muzułmańskich rebeliantów, którzy teraz żądają wysokiego okupu). Przemoc stanowi część codziennego życia i prawie nikogo już nie oburza. Pewnego razu jeepney, którym jechałem, zatrzymał się za miasteczkiem Digos. Grupa ludzi stała wokół zwłok chłopaka znalezionej pod mostem z rękoma związanymi na plecach żelaznym drutem i kulą w głowie, co jest charakterystyczne dla „uratowanych”.

- Patrz, patrz, ma buty. To musiał być student - mówiła jakaś kobieta. Pozostali spoglądali bez większego przejęcia.

- Armia nie należy do państwa; należy do tego, kto ją kupi - oświadcza plantator bananów i opowiada mi, jak za stosowną opłatą wojskowi uznają okoliczne obszary za „infiltrowane przez komunistów”. Pod tym pretekstem ewakuują całą ludność i przesiedlają dokądkolwiek. Po kilku miesiącach ziemie, wolne od wieśniaków oraz innych przeszkód, są kupowane i wchłaniane przez wielkie latyfundia. Zakłada się na nich nowe plantacje.

Oto, w jaki sposób niektórzy lokalni posiadacze i oficerowie doszli do pieniędzy. Jeśli zresztą jakiś wieśniak próbuje się buntować, zostaje porwany w nocy przez nieznanym, a dzień później znaleziony jako „uratowany” - na śmietniku albo w kanale.

- Utrzymuję armię także dla obrony przed żołnierzami - mówi plantator. - Od kiedy przeszedłem do opozycji, nie szczędzi mi się gróźb.

Na Mindanao i na całych Filipinach roi się od prywatnych armii. Własne wojsko miał nawet Cesar Climaco, burmistrz Zamboangi zabity w zeszłym miesiącu. Członek komisji parlamentarnej przysłanej przez Manilę w celu przeprowadzenia śledztwa powiedział mi, że jest przekonany, iż Climaca zabili wojskowi, bowiem burmistrz zaczął się przyglądać ich lokalnym brudnym interesom. Jeśli ktoś będzie próbował poznać prawdę, skończy tak samo. Kilka dni po Climacu również jego szofer został zamordowany, a cała rodzina burmistrza opuściła Zamboangę i schroniła się w Manili.

Ścigając rzekomych morderców, żołnierze zaatakowali dom pewnego oficera policji. Ten stawiał opór, a w starciu na czołgi i karabiny maszynowe zginęło pięć osób.

-Armia wyeliminowała w ten sposób konkurencyjną grupę w policji - wyjaśnia mi plantator. - Winę za to wszystko ponosi nie tylko Marcos, ale i każdy z nas, bo latami akceptowaliśmy przywileje i siedzieliśmy cicho jak mysz pod miotłą, kiedy korupcja i przemoc narastały dokoła. Marcos pomagał nam robić pieniądze, a my z tego korzystaliśmy.

W takim domu, z takim człowiekiem podobna rozmowa jeszcze półtora roku temu byłaby na Filipinach nie do pomyślenia. Śmierć Aquina stała się przełomem. Ludzie w rodzaju mojego plantatora bananów postanowili mówić, co myślą.

- Czasu jest mało, ale przecież trzeba chociaż zacząć, jeśli chcemy ocalić kraj.

Na Filipinach nazywają ich „żółtymi”, od koloru, który polityczni spadkobiercy Ninoya Aquina wybrali sobie, aby odróżnić się od „czerwonych”. To załóżki Trzeciej Siły, która w Wietnamie, zduszona między dyktaturą proamerykańską Thieu a partyzantką komunistyczną, nigdy się nie rozwinęła. Kto wie, czy tutaj osiągnie sukces. Ludzie tacy jak mój plantator mówią o odpowiedzialności swojej klasy, o obowiązku poniesienia ofiar ekonomicznych dla uzdrowienia kraju, mówią o wyborach, w których mają nadzieję wziąć udział. A jeśli wyborów nie będzie? W obecnej chwili bardziej niż liczba głosów liczy się liczba żołnierzy i karabinów.

Marcos wciąż jest jeszcze w swoim pałacu Malacanang, ale era po Marcosie już się rozpoczęła. Układy zawierane są w tajemnicy; powstają sojusze, a wraz z nimi listy ludzi, których należy pozostawić na stanowiskach albo odsunąć. Armie należące do osób prywatnych i wojskowych będą miały wielkie znaczenie, jeśli zajdzie konieczność gry w otwarte karty. „Żółci” (a z nimi Amerykanie) bardzo liczą na generała Ramosa, obecnie szefa sztabu głównego, a największą przeszkodę widzą w generale Verze, uznanym przez komisję śledczą za zleceniodawcę morderstwa Aquina. Ver nadal dysponuje ogromną władzą zarówno jako szef służb bezpieczeństwa sił zbrojnych, jak i nieformalny dowódca największej prywatnej armii na Filipinach, stworzonej z tysięcy ochroniarzy pracujących w bankach i hotelach, a werbowanych przez byłych oficerów Vera.

Kolejna niewiadoma to inna tajemnicza, bardzo wpływowa Postać, której nazwiska Filipińczycy wolą nie wymieniać, a jeśli już je wymieniają, to z uczuciem bojaźliwego podziwu: Danding Cojuangco, jeden z najbogatszych ludzi w kraju, jeden z najwier-

mejszych zwolenników Marcosa. Do jego prywatnej wyspy leżącej na południe od Palawanu nikomu nie udaje się zbliżyć bez zaproszenia (jak do wyspy doktora No z filmów o agencie 007). Cojuangco zatrudnia tam kilkudziesięciu izraelskich ekspertów, szkolących jego wojsko i prowadzących kursy specjalistyczne dla oficerów armii państwowej, którzy jednak oddani są jemu: królowi kokosów, królowi cementu, banków i tak dalej.

Gdyby Marcos umarł, a z jego śmiercią wygasł obowiązek wierności prezydentowi, po której stronie opowiedziałby się Cojuangco?

- Kto wie, może po naszej - mówi plantator i dodaje - Albo my po jego.

To dni napięcia i strachu, a ci, którzy pragną uniknąć normalnego procesu konstytucyjnego (w wypadku śmierci prezydenta przewiduje on wybory w ciągu dwóch miesięcy), muszą sięgnąć po środki zaradcze przeciwko „żółtym”.

- Kupując nas albo eliminując - mówi plantator. Ta druga ewentualność wywołuje dreszcz u wielu, którzy długo czuli się bezpieczni, a teraz nie wiedzą, skąd spodziewać się ewentualnego uderzenia: ze strony komunistów? Bandytów? Żołnierzy?

- Potrafi pan strzelać? - pyta człowiek z karabinem maszynowym. Siada obok mnie w land-roverze i towarzyszy mi w drodze do hotelu, zostawiając plantatora w jego fortecy.

- Nie... Nie oddałem strzału w całym swoim życiu.

- A... Bo tu jest kilka karabinów... w razie potrzeby - mówi, wskazując dwa amerykańskie M-16 leżące pod tylnym siedzeniem.

- Rover do bazy: gość dotarł na miejsce - komunikuje przez radio kierowca.

- Baza do rovera: wracaj.

Mam szczęście: kolacja była wyśmienita, a noc jest spokojna.

W 1984 roku na ekran weszła film o Kambodży Pola śmierci. Pewien Kambodżanin mówi w nim do Sydneya Schanberga*: „A więc wy, dziennikarze, pomyliliście się co do Czerwonych Khmerów... prawda?” Ja też sobie zadałem to pytanie i już pod koniec 1975 roku miałem pewność, że odpowiedź powinna brzmieć: tak. Jako dziennikarz, który był w Kambodży, czułem odpowiedzialność za błąd w ocenie i z perspektywy dziesięciu lat próbowałem wyjaśnić, jak mogło do niego dojść.

pomyliliśmy się

Hongkong, marzec 1985

Żywych widziałem tylko dwóch i tylko przez kilka sekund. Schwytyli ich żołnierze rządowi i torturowali, kiedy Sydney, Pran i ja dotarliśmy do odosobnionego, wysuniętego posterunku frontowego o kilka kilometrów od Phnom Penh. Zdążyliśmy akurat na czas, aby zdać sobie sprawę, co się dzieje, i zrobić kilka zdjęć, zanim wojskowi nas przegonili. Oddalając się, usłyszeliśmy dwa strzały z pistoletu. Także ci dwaj Czerwoni Khmerzy stali się tym, czym wszyscy inni widywani przez nas niemal codziennie: anonimowymi, zeszpeconymi trupami, ofiarami wojny, w którą Amerykanie wciągnęli Kambodżę, próbując wygrać wojnę przegrywaną w Wietnamie albo się z niej przynajmniej wyplątać. Była wiosna 1973 roku.

Wieczorem, wokół basenu Hotel Le Phnom, gdzie dawaliśmy ujście emocjom, lękom i frustracjom mijającego dnia, była mowa

Bohaterami filmu są Sydney Schanberg z „New York Timesa” i Dith Pran, jego kambodżański tłumacz. Sydney był w Phnom Penh, kiedy miasto dobyli Czerwoni Khmerzy, ale musiał zostawić Prana, gdy ludzie Pol Poty Pozwolili opuścić kraj jedynie obcokrajowcom.

jak zawsze o absurdalności tej wojny, o tym, jak dziwna jest rola dziennikarzy, bezsilnych obserwatorów zniszczenia kraju i zdziczenia narodu, z którym wszyscy czuliśmy się coraz bardziej związani. Gdy myśleliśmy o nich tutaj, mając jeszcze przed oczami obraz zwłok rozrzuconych po polach ryżowych przez amerykańskie bombardowania, porzucanych na poboczach dróg przez żołnierzy rządowych, którzy niekiedy wycinali im wątroby, aby je zjeść i osiąść w ten sposób ich siłę, Czerwoni Khmerzy, partyzanci Kambodży wieśniaków,

broniącej się przed interwencją amerykańskiego supermocarstwa, występującej przeciwko skorumpowanemu i bezużytecznemu reżimowi wyniesionemu do władzy przez zamach stanu CIA - ci Czerwoni Khmerzy wydawali nam się jedyną szansą na koniec wojennego koszmaru. Gdyby tego wieczoru weszli do Phnom Penh - mówiliśmy sobie - konflikt by się zakończył, a Kambodżanie, pozbawieni zagranicznych protektorów po jednej i po drugiej stronie, porozumieliby się między sobą; Kambodża odzyskałaby swój spokój kraju ubogiego, ale niezależnego. Tak wtedy myśleliśmy.

Jak wielu innych dziennikarzy pracujących w Indochinach, sprzeciwiałem się tej wojnie. Zresztą, czy inne stanowisko było możliwe? Prokonsul amerykański Thomas Enders, który z klimatyzowanego pokoju w ambasadzie Stanów Zjednoczonych kierował bombardowaniami, armia rządowa rekrutująca dzieci i prowadząca listy nieistniejących żołnierzy, żeby oficerowie mogli pobierać żołd wypłacany przez Waszyngton, przerażająca korupcja urzędników, w tym brata prezydenta Lon Nola, kradnącego broń i amunicję z koszar rządowych, aby potem je odsprzedawać Czerwonym Khmerom... To wszystko widzieliśmy na własne oczy. A co więcej, partyzantka pozostawała osnuta tajemnicą i nieznana, podczas gdy Amerykanie pozwalali się obserwować i osądzać.

Ktokolwiek przybywał do Sajgonu z listem polecającym z jakiegokolwiek gazety na świecie, dostawał akredytację i zostawał formalnie mianowanym majorem armii amerykańskiej, dzięki czemu swobodnie przemieszczał się po całym froncie i miał pierwszeństwo w samolotach wojskowych i helikopterach. A jednak nie mogliśmy być po stronie Amerykanów.

Stąd cicha „sympatia” dla tych drugich: partyzantów, Czerwonych Khmerów, tych, których widzieliśmy tylko martwych, tylko jako ofiary. Ale kim byli naprawdę? „To krwiożerczy mordercy, zaślepieni ideologią marksizmu-leninizmu”, twierdzili dyplomaci amerykańscy i agenci CIA kręcący się wokół nas. Nie, bez wątpienia, nie dawaliśmy się indoktrynować. Przeciwnie: byliśmy skłonni myśleć dokładnie na odwrót, właśnie dlatego, że te oceny pochodziły od Amerykanów.

Przypominam sobie sytuację, gdy ambasada amerykańska powiadomiła nas, że Czerwoni Khmerzy weszli nocą do wioski rządowej o kilkadziesiąt kilometrów od Phnom Penh, a opuścili ją po skrupulatnym wymordowaniu wszystkich mieszkańców, włączając kobiety i dzieci. Aby zobaczyć na własne oczy tę „masakrę”, należało pojechać drogą o określonym numerze do takiego a takiego kilometra, potem skręcić, i tak dalej... Udałem się tam z Sydneyem i doskonale pamiętam, jak chodziliśmy pośród dziesiątków trupów z poderzniętymi gardłami, wbitych na pal, stratowanych. Próbowaliśmy samych siebie przekonać, że ci ludzie nie mogli zostać zabici przez partyzantów, że może padli ofiarą amerykańskich bombardowań, a potem zostali tu przeniesieni, abyśmy uwierzyli w historię o zbrodni komunistów.

Innym razem jakiś facet z CIA opowiedział mi z wielkim przekonaniem i ze szczegółami, że Czerwoni Khmerzy, chcąc pokazać, iż wszyscy obywatele Kambodży na terenach „wyzwolonych” muszą uważać się za równych i że nie może być różnic między nimi, zmusili mieszkańców jakiejś miejscowości do zburzenia pięter najwyższych domów i obciążenia dachów chat górujących nad innymi, aby wysokość wszystkich budynków była identyczna. Jak uwierzyć w coś podobnego? Nawet fakt, że żaden z kolegów, którzy poszli z partyzantką, nie wrócił i nie opowiedział, jacy są naprawdę Czerwoni Khmerzy, nie wystarczył, by choć zakiełkowało we mnie podejrzenie, iż coś przerażającego kryje się po drugiej stronie frontu.

Od początku wojny w 1970 roku trzydziestu trzech dziennikarzy zniknęło bez śladu na terenach kontrolowanych przez Czerwonych Khmerów, płacąc najwyższą cenę za poszukiwanie prawdy. Niektórzy z nich byli, jak to się wówczas mówiło, war freaks, młodymi ludźmi żądnymi przygód, przybyłymi do Indo- chin bardziej po to, aby zrozumieć samych siebie niż wojnę. Często nadmiernie ryzykowali dla sensacyjnego materiału. Ale inni byli poważnymi profesjonalistami - świadomie usiłowali nawiązać kontakt z Czerwonymi

Khmerami, żeby opowiedzieć ich wersję tej historii. Koki Ishihara, tłumacz George'a Orwella na język japoński i korespondent agencji Kyodo w Phnom Penh, powiedział wyraźnie kilku przyjaciółom, dokąd się udaje, i pewnego dnia przekroczył linię frontu. Nigdy go już później nie widziano, a jednak przez lata sądziliśmy, że może żyje wśród partyzantów. Ja sam postanowiłem dostać się na „wyzwolone” terytorium Kambodży przez Laos, wraz z korespondentem AFP w Wientianie, Markiem Filloux. Wcześniej tak samo postąpiłem w przypadku Wietkongu w Wietnamie Południowym i wydawało mi się logiczne nie mówić o wojnie jedynie z punktu widzenia Amerykanów. W ostatnim momencie przestraszyłem się, a Marc wyruszył sam i zaginął. Dopiero po latach uchodźcy opowiedzieli o cudzoziemcu pobitym na śmierć. Niedługo po tym, jak przekroczył granicę, został uznany za szpiega.

Nie wierzyłem, że Czerwoni Khmerzy są brutalnymi, wyrachowanymi mordercami. Gdy zdobyli Phnom Penh, miasto, które niedawno opuściłem, próbowałem z Tajlandii dołączyć do kolegów pozostałych jak Sydney w stolicy, aby zdać relację z „wyzwolenia”. Przeszedłem most graniczny między Aranyapthetem a Poipetem i udałem się w głąb Kambodży, ale zostałem złapany i postawiony pod ścianą przez partyzantów. Wtedy właśnie spotkałem pierwszych Czerwonych Khmerów: młodych mężczyzn o ogorzalej skórze, którzy dopiero co wyszli z dżungli-

Zdałem sobie sprawę, że mam do czynienia z innymi ludźmi, twardymi, fanatycznymi, ale wciąż jeszcze nie rozumiałem. Ostatecznie dali się przekonać, żeby mnie puścić i odprowadzić do granicy.

W okolicach listopada 1975 roku fale uchodźców z Kambodży zaczęły docierać do Tajlandii z opowieściami o masakrach, o masowych grobach, o tysiącach osób, które za sprawą Czerwonych Khmerów „znikały”. Niektórzy opowiadali, że Czerwoni Khmerzy, aby demaskować „wrogów klasowych” i rozpoznawać inteligentów, ustawiali ludzi w szeregu i kazali im się wspinać na palmę kokosową. Kto potrafił wdrapać się na sam szczyt, był uznawany za proletariusza i wysyłany do pracy na polach ryżowych; kto tego nie umiał, był eliminowany. Jak uwierzyć w coś podobnego? Wyglądało to na makabryczną parodię selekcji Żydów w obozach zagłady. Inni uchodźcy opowiadali, że Czerwoni Khmerzy, poza radiodbiornikami, obrazami religijnymi i sprzętami niszczyli także wszystkie garnki i inne przybory kuchenne. Jak uwierzyć, że partyzanci chcieli odebrać ludowi jego skromny dobytek? Wyjaśnienie przyszło później, kiedy stało się jasne, że Czerwoni Khmerzy chcieli unicestwić więzi rodzinne, uniemożliwić ludziom wspólne gotowanie i konspirowanie, zmuszając wszystkich do jedzenia w stołówce, gdzie byli pod kontrolą. Spędziłem tygodnie, jeżdżąc tam i z powrotem wzdłuż granicy do wielu obozów, rozmawiając z ludźmi, którzy pochodzili z różnych części kraju. Wszyscy opowiadali mniej więcej tę samą historię.

Powoli dotarło do mnie, że to, co mówili pojedynczy przerażeni uchodźcy, było jedynie detalami wielkiego, potwornego planu, który Czerwoni Khmerzy i ich chińscy protektorzy wprowadzali w życie w Kambodży. Plan ten zrozumiałem w całej jego złożoności dopiero z upływem czasu. Po podróży do Wietnamu, po tym, jak odwiedziłem Kambodżę po upadku Pol Pota i ujrzałem doły, Jamy, tamy z mnóstwem szkieletów. Po przejściu polami, na których nie dało się nie deptać kości tysięcy ludzi uduszonych, pobitych na śmierć, porzuconych.

Czerwoni Khmerzy nie byli jakąś aberracją, lecz ideologicznym potomstwem Mao Zedonga. Zostali ukształtowani w Chinach i Chiny ponoszą za to ogromną odpowiedzialność. Pekin wiedział i pochwalał. Wielkie masakry w Phnom Penh między 1975 a 1979 rokiem miały miejsce w szkole średniej Tuol Sleng, zaledwie kilkadziesiąt metrów od ambasady chińskiej, gdzie nie tylko słychać było krzyki, ale i prowadziło się rachuby mordowanej ludności. Podczas lat spędzonych w Pekinie usłyszałem o pewnym dyplomacie chińskim, który trafił do szpitala psychiatrycznego. Został wysłany do Phnom Penh i jako świadek oraz współnik ludobójstwa postradał zmysły.

William Shawcross w swojej znakomitej książce Sideshow upatruje źródła bezwzględności Czerwonych Khmerów w fakcie, że byli oni ofiarami bezlitosnych nalotów dywanowych Amerykanów, ale to nie tłumaczy wszystkiego. Prawda leży głębiej. Czerwoni Khmerzy są tworem ideologicznym. Pol Pot nie jest szaleńcem, a rzecz, której próbował w Kambodży, to kwintesencja tego, co każdy rewolucjonista zawsze pragnął zdobyć: nowego społeczeństwa.

Działania Pol Pota w Kambodży nie różnią się od tego, co inni rewolucjoniści próbowali zrobić przed nim, od tego, co Mao próbował osiągnąć swoją rewolucją kulturalną. Dzieło Pol Pota wywiera większe wrażenie, bardziej przeraża, wydaje się bardziej nieludzkie tylko dlatego, że on przyspieszył tempo, skrócił czas realizacji, zaczął natychmiast.

Jak wszyscy rewolucjoniści, Pol Pot zrozumiał, że nie można stworzyć nowego społeczeństwa, nie tworząc wcześniej nowych ludzi, a żeby stworzyć nowych ludzi, należy przede wszystkim zniszczyć ludzi starych, należy wyeliminować starą kulturę, należy wymazać pamięć zbiorową o przeszłości. Stąd wielki plan Czerwonych Khmerów starcia z powierzchnią ziemi przeszłości ze wszystkimi symbolami i ze wszystkim, co przenosi jej wartości: religią, intelektualistami, bibliotekami, historią, bonzami. Tak, aby wychować naprawdę nowych ludzi, pozbawionych pamięci. Wychować dzieci jak czyste karty, na których można napisać to, co sobie Angka - partia - życzy.

Gdyby Wietnamczycy nie najechali Kambodży w 1978 roku, ów niesłychany, świętokradczy eksperyment powiodłby się, gdyż nowa generacja mieszkańców kraju, nowych dzieci, które nie miały innej rodziny poza Angką, partią komunistyczną, już dorastała.

Nie przestaje intrygować fakt, że lewica, która ideologicznie wsparła partyzantkę indochińską podczas wojny z Ameryką, nie zajęła stanowiska. Można sądzić, że nie potraktowała poważnie fenomenu Pol Pota, nie próbowała go wytłumaczyć i po prostu odsunęła na bok jako obłąkaną herezję.

Podobnie się stało z chińską rewolucją kulturalną: brano za dobrą monetę to, co dziś)eng Xiaoping próbuje nam wmówić, czyli że lata chaosu, tortur i mordów były jedynie wynaturzeniem czwórki ludzi działających przeciwko partii. Nic bardziej błędnego. A szukając prawdziwych przyczyn rewolucji kulturalnej, odnajdziemy również źródła polpotyzmu i Czerwonych Khmerów. Dostarcza ich ideologia.

Dramat Kambodży trwa, a kłopoty ze zrozumieniem nie mijają, co szczególnie widoczne jest właśnie teraz, gdy Czerwoni Khmerzy znów przeszli do podziemia, do „sił oporu”, a zachodnie rządy dają im wsparcie polityczne i materialne.

Kilka dni temu w obozie Czerwonych Khmerów na terytorium Tajlandii, o kilka kilometrów od granicy z Kambodżą, gdzie ciężarówki ONZ przywoziły wodę i jedzenie, widziałem kobiety i chłopców z partyzantki odchodzących do dżungli. Nieśli na głowach konserwy rybne, „dar Stanów Zjednoczonych”.

Zapytałem szefa obozu (wcześniej członka kadr Czerwonych Khmerów, niewątpliwie zamieszanego w rzezie), co myśli o liczbie ponad dwóch milionów zabitych w czasach, gdy on i jego ludzie byli u władzy. Odparł z uśmiechem: - Skończmy z mówieniem o przeszłości. Pomówmy raczej o teraźniejszości, o tym, że Wietnamczycy okupują nasz kraj. Czy naprawdę powinniśmy skończyć z mówieniem o przeszłości, zważywszy, że zaczęliśmy o niej dyskutować dopiero niedawno?⁴

Mieszkanie w Hongkongu po tym, jak „utraciło się” Chiny, nie było przyjemnością. Zainwestowałem w ten kraj lata nauki i pracy, toteż nie mogłem znieść usunięcia poza jego granice... aż pewnego dnia pomyślałem, że Chińczycy, wypędzając mnie, wyświadczyli mi przysługę: w innym wypadku ja sam, dobrowolnie, nigdy nie opuściłbym Chin. A dzięki temu mogłem poświęcić się innym sprawom, mogłem przestać zajmować się Azją ubogą, Azją rewolucji i niepowodzeń, aby przyjrzeć się Azji bogatej, która odniosła sukces, Azji nowoczesności. Wiosną 1985 roku pojechałem do Tokio, żeby uczyć się japońskiego. W

czterdziestą rocznicę zrzucenia bomby atomowej odwiedziłem miasto, które zostało zaatakowane jako pierwsze.

Hiroszima: dzień, w którym słońce weszło dwa razy

Hiroszima, 3 sierpnia 1985

Chciałem przylecieć samolotem, aby móc zobaczyć ją z lotu ptaka, tak jak pułkownik Tibbets, czterdzieści lat temu, za sterami B-29, któremu, co dziwne, nadał imię swojej matki, Enoli Gay. Z lotu ptaka Hiroszima wygląda wyjątkowo elegancko, okolona soczystozielonymi wzgórzami, leżąca w promieniach słońca nad siedmioma odnogami rzeki Oty. W jej wody tamtego dnia tysiące ludzi rzuciło się i zginęło, próbując ugasić ogień palący skórę albo po prostu dławiące pragnienie.

Dla przybysza odwiedzającego to miasto po raz pierwszy - z obrazami koszmaru atomowego w głowie i nostalgią rodem ze starego filmu o miłości - Hiroszima jest jak cel pielgrzymki. A jednak szybko odkrywa się, że także tutaj nie ma nic świętego. Najjaśniejszy neon rozświetlający noc to COKE ITIS - Nixon przyjechał do Hiroszimy w 1964 roku na otwarcie fabryki Coca-Coli - a pierwszą rzeczą, jaką się zauważa, poza szkieletem sylwetki Katedry Bomby Atomowej, jest korpulentna figura Pułkownika Sandersa przed barem Kentucky Fried Chicken. Za rozlicznymi pomnikami ofiar, dziewczynki od tysiąca żurawi⁵, za tablicami pamiątkowymi wzniesionymi przez Lions Club, Seiko i stowarzyszenie fryzjerów, szklane ściany kabin telefonicznych są pokryte dziesiątkami samoprzylepnych karteczek z kolorowymi zdjęciami ładnych nagich dziewcząt, które oferują swoje usługi i numer telefonu.

Słowo „pokój” jest wszędzie. Także na popularnej marce papierosów. Nawet gołębie w Parku Pokoju, w Alei Pokoju wydają się mieć już po dziurki w nosie tego całego pokoju. Codziennie tysiące osób z dłońmi pełnymi ziarna wabia je, aby mieć ptaki na pamiątkowej fotografii przed Pomnikiem Pokoju. Co rok, w sierpniu, gołębie są chwywane w sieci, wkładane do bambusowych klatek, a potem uwalniane, aby dokonać się rytualny już Lot Pokoju, rankiem 6 sierpnia, dokładnie o 8.15, kiedy bomba zrzucona przez „Enolę Gay” eksplodowała nad miastem, czyniąc z niego symbol wojennego koszmaru.

Minęło czterdzieści lat, a pokój jest tu tak często powracającym i tak czysto okolicznościowym tematem, że nikt, a najmniej mieszkańcy, nie chce o nim słuchać. 60 procent ludności Hiroszimy urodziło się po 1945 roku. Na milion mieszkańców tylko jedna dziesiąta „przeżyła bombę”. To już dawne dzieje. Większymi troskami miasta są dzisiaj zanieczyszczenie i wypadki drogowe.

- Dla młodych ludzi pokój jest jak powietrze, uważają go za coś naturalnego - mówi profesor Yamada Hiroshi, dyrektor Instytutu na rzecz Nauki o Pokoju z lokalnego uniwersytetu. Na jego seminarium w tym roku zapisało się tylko trzech studentów. - Dzisiejszym Japończykom wydaje się, że bomba to problem, który ich nie dotyczy.

A jednak bomba nadal przyciąga - przynajmniej osoby z zagranicy. Przez czterdzieści lat politycy, dygnitarze, pisarze, ludzie mniej lub bardziej znani ściągali z całego świata do Hiroszimy, aby złożyć hołd zmarłym, aby wygłosić okolicznościowe przemówienie i zostawić ślad (inny niż Nixon) - swojej beużytecznej mądrości w ogromnej kolekcji ksiąg pamiątkowych. I wszyscy wyjeżdżali.

Półtora miliona turystów, z których dziewięćdziesiąt tysięcy to obcokrajowcy, odwiedza miasto każdego roku. W Hiroszynie pokój jest dzisiaj towarem na sprzedaż, jak lśniące samochody, które wyjeżdżają z fabryki Mazdy usytuowanej niedaleko stąd. Przybywa się do Hiroszimy w poszukiwaniu śladów jej przerażającej przeszłości, w poszukiwaniu czegoś, co pozwoliłoby umocnić własną wiarę w przyszłość myślą, że wojna nuklearna jest nie do

pomyślenia, ale znajduje się niewiele pociechy. Legendarne miejsce zwane Hiroszimą już nie istnieje. Zostało zmiecione z powierzchni ziemi przez nowoczesność, zutylicowane przez postęp. Ze swoimi szerokimi, sterylnymi ulicami, ze swoimi błyszczącymi drapaczami chmur z betonu, aluminium i szkła, ze swoimi pasażami handlowymi ciągnącymi się po horyzont, ze swoimi ogromnymi domami towarowymi, restauracjami, sklepami, kawiarniami, lodziarniami i znowu sklepami, sklepami, sklepami, zdolnymi zaspokoić każdy kaprys oka i podniebienia, współczesna Hiroszima w żadnym wypadku nie ostrzega przed wojną. Przeciwnie: wydaje się jej makabryczną, absurdalną reklamą. Z tej perspektywy bomba nie tylko jest do pomyślenia; jest czymś dającym się spożytkować.

To miasto, w którym ani jedno źdźbło trawy miało nie wyrosnąć przez co najmniej siedemdziesiąt pięć lat, jak przewidywano. Po wybuchu, jest dziś kwitnące, rześkie, uporządkowane, pełne życia i energii niczym reszta Japonii. Hiroszima ma swój ogród botaniczny ze stu dziewięćdziesięcioma tysiącami roślin ośmiu tysięcy dwustu gatunków, rzeki są pełne ryb, a z trzystu pięćdziesięciu tysięcy osób, które tamtego sierpniowego poranka znalazły się w zasięgu bomby, ponad sto trzysta tysięcy nadal żyje; a to nie wszystko: ich średnia życia jest o dwa lata wyższa niż średnia życia innych Japończyków.

- Takie psikusy płatają statystyki - mówi jeden z kierowników fundacji na rzecz badań skutków promieniowania. - Przede wszystkim ci ludzie już przeszli najbardziej bezwzględną selekcję. Poza tym są pod nieustanną obserwacją, pod kontrolą, dlatego niektórym ich chorobom można zapobiegać.

Inne statystyki mówią, że spośród ocalałych wielu umarło na białaczkę w ciągu trzech lat od eksplozji i że od tamtej pory przypadki zachorowania na raka tarczycy, płuc i piersi są wśród ocalałych trzy-cztery razy częstsze niż wśród innych mieszkańców Japonii.

- Tylko na powierzchni to miasto wydaje się takie jak wszystkie - mówi mi Omuta Minoru, redaktor naczelny lokalnej gazety „Chugoku Shimbun”. - W cieniu wspaniałych wieżowców koszmar tamtego dnia wciąż trwa.

Ze stoków zamku w Hiroszynie, niegdyś z drewna, ale potem zniszczonego przez bombę, a teraz zrekonstruowanego bardzo wiernie, tyle że z użyciem zbrojonego betonu, widać ciąg budynków przegładających się w jeziorze, po którym pływają łabędzie. Można by pomyśleć, że to luksusowe apartamenty bogaczy. Nic podobnego. To noclegownie, w których rząd umieścił niedawno kilka tysięcy ubogich „ocalonych”, wcześniej mieszkających w czymś, co nazywano „gettem atomowym”, dokładnie naprzeciwko dworca. A że było ono pierwszą rzeczą, jaką zauważali turyści, władze postanowiły je przenieść.

Koszmar kryje się wszędzie: w zwykłym słowie hibakusha, „ofiary wybuchu”, które ludzie wymawiają z mieszaniną strachu, szacunku i odrazy; w domach starców, gdzie setki ocalałych, po części kalekich i zdeformowanych, czekają na śmierć. Lekarze uważają, że ich schorzenia mogą być związane z wiekiem, ale hibakusha twierdzą, że wywołała je bomba. Koszmar kryje się w tym, co mogłyby opowiedzieć wątroby, mózgi, płuca, nerki przechowywane w dwóch tysiącach ośmiuset siedemdziesięciu trzech wielkich szklanych słojach ustawionych na półkach Szpitala Atomowego w Hiroszynie.

- Dzisiejsza nauka nam tego nie potwierdza, ale za kilka lat może zdobędziemy dowody. Możliwe, że koszmar zagnieździł się w naszych komórkach - mówi Kuramoto Kiyoshi, zastępca dyrektora szpitala, również hibakusha. Kiyoshi skrupulatnie kataloguje i przechowuje karty chorobowe oraz sekcje organów wszystkich ofiar wybuchu zmarłych w tym szpitalu, przekonany, że wciąż mało wiemy o niektórych skutkach bomby, szczególnie o mutacjach genetycznych. Faktami i liczbami dotyczącymi Hiroszimy często manipulowano, między innymi po to, by nie narażać skomplikowanych, nader wrażliwych stosunków z Ameryką, która z nieprzyjaciela stała się sojusznikiem. Muzeum Pokoju to również klasyczny przykład manipulacji. - Wiosną 1945 roku, kiedy zbliżał się koniec wojny, lotnictwo amerykańskie rozpoczęło na wielką skalę bezlitosne nocne naloty na wszystkie miasta

Japonii... - mówi metaliczny głos z magnetofonu wypożyczanego przez turystę za równowartość pół euro przy wejściu do muzeum. Głos ów jest przewodnikiem po galerii okropieństw. Fotografie zdeformowanych i spalonych zwłok, butelek zniekształconych przez temperaturę i stopionych z resztkami monet, kamieni i ludzkich kości, dramatycznie wyeksponowane w gablotach, pozostawiają wrażenie, że bomba spadła na Japonię bez żadnego kontekstu, jakby pojawiła się znikąd, jako bezsensowny akt przemocy wymierzony w niewinne miasto pełne nieszczęsnych cywilów. W całym muzeum nie ma ani jednego zdjęcia żołnierza japońskiego, ani jednego nawiązania do inwazji na Chiny i inne kraje Azji Południowo-Wschodniej, ani jednej wzmianki o okrucieństwach popełnionych przez cesarską armię na ludności zaatakowanych krajów.

Złość niektórych zwiedzających, zwłaszcza Amerykanów, ujawnia się we wpisach w księdze pamiątkowej. „Nigdy więcej Hiroszimy, oczywiście, ale też nigdy więcej Pearl Harbor”, napisał jakiś turysta. A inny: „Wy, Japończycy, nie nauczyliście się niczego. Wciąż macie tego samego cesarza, w imię którego zostały popełnione wszystkie wasze zbrodnie wojenne”. m

- Gdy zaczniemy badać, kto miał rację, a kto nie, nie uwolnimy się od przeszłości - mówi mi Kawamoto Yoshitaka, dyrektor muzeum, także będący hibakusha. - Dla mnie historia zaczęła się o 8.15, 6 sierpnia 1945 roku. Musimy mówić o cierpieniach od tamtej pory do dziś, jeśli chcemy uniknąć ich w przyszłości.

Historia naturalnie nie zaczęła się czterdzieści lat temu, ale jest jasne, że ów argument pozwalał Japończykom przedstawiać się w roli wielkich pokrzywdzonych drugiej wojny światowej. W ten sposób próbowali wymazać z cudzej pamięci - a przede wszystkim z własnej - potworności, których się dopuścili. Ale obecna polityka polega na zapominaniu. Niedawno administracja miasta Hiroszima próbowała nawet rozebrać Katedrę Bomby Atomowej, potężną budowlę, która, postawiona w 1915 roku przez czeskiego architekta, znalazła się w epicentrum wybuchu. Po części ocalała, od 1945 roku była, ze swoją niema, kaleką obecnością, symbolem ran Hiroszimy i pacyfizmu.

- Musieliśmy walczyć, aby katedra nie została rozebrana - mówi fizyk Kiyoshi Sakuma, także hibakusha. - Problem polega na tym, że wszystko, co inspiruje idee i uczucia pacyfistyczne, jest z gruntu niezgodne z amerykańską strategią nuklearną, a więc i z interesami naszego zachowawczego rządu, który ją popiera.

Sakuma - przez czterdzieści lat jeden z przywódców japońskiego ruchu pacyfistycznego, dziś podzielonego i bardzo słabego - podobnie jak inni ocaleni ma obsesję na punkcie tego, co uważa za swoją misję: ostrzeżenia świata przed niebezpieczeństwem atomowego holokaustu. Opowiada wszystkim, którzy nie widzieli wybuchu, czym naprawdę była bomba. Nie zostało mu wiele czasu. Sakuma ma siedemdziesiąt cztery lata. Ocaleni żyją zwykle trochę krócej.

- Jesteśmy prorokami przyszłości i umieramy - mówi Morita Hiromu, poeta, którego twarz nosi ślady straszliwych poparzeń i licznych zabiegów usuwania dziwnych narośli, bliznowców, jakie wywołała u niego bomba. - Kto po naszej śmierci przechowa pamięć o koszmarze?

Prawda jest taka, że nikomu już nie zależy na tej pamięci. Młodzi Japończycy nie chcą wiedzieć o promieniowaniu ani o statystykach; nie chcą słuchać o „zimie nuklearnej”, która nastąpi po kolejnej wojnie. Dla wielu z nich „dzień później” to tylko tło najnowszego filmu pełnego przygód i przemocy, osadzonego na poatomowej pustyni. Podczas gdy Hiroszima szykuje się do przyjęcia tysięcy „turystów na rzecz pokoju”, którzy przybędą tu z całego świata w czterdziestą rocznicę zrzucenia bomby, dwie sale kinowe w centrum wyświetlają najnowszą megaprodukcję z gatunku „dzień później”: Mad Maksa pod Kopułę Gromu.

Dziwne wrażenie robi młodzież ustawiająca się w kolejce przed okienkami biletowymi tu, w Hiroszynie, gdzie przerażający „dzień później” zdarzył się naprawdę, czterdzieści lat temu.

„Der Spiegel” zaproponował mi wyjazd w roli korespondenta do Japonii. Pod koniec września 1985 roku mieliśmy już dom w Tokio: mieszkanie o malutkich pokojach na wzgórzu Nakamegu- ro z widokiem na śliczny ogródek, który szybko zlikwidowano, żeby zrobić parking.

Japonia: nad krawędzią przepaści

Tokio, listopad 1985

Przyjeżdża się do Japonii, aby zrozumieć ludzi, ale najpierw trzeba opanować komunikację z maszynami. „Wejdz, miły gościu!”, szmerze metaliczny głosik, kiedy przekraczasz próg sklepu. „Dziękuję, odwiedź nas wkrótce!”, mówi ten sam głosik, kiedy wychodzisz. Człowiek się zastanawia, co odpowiedzieć.

Są tu maszyny, które kontrolują stan zdrowia, maszyny, które rozmieniają pieniądze, a nawet automatyczni sprzedawcy. Można od nich kupić wszystko - od napojów po przepowiednie, od skarpetek po karmę dla rybek, od czasopism pornograficznych po bilety na metro.

„Zapłacił pan za mało, proszę o więcej!”, powtarza uparcie głos dobiegający z brzucha dystrybutora papierosów. Zakłopotany, stoję przed nim, bez monet niezbędnych do dokończenia zakupu. Nie mam pojęcia, jaki guzik należy nacisnąć, aby zmusić maszynę do wypłucia połkniętych drobniaków.

W domu mojego przyjaciela u podnóża góry Fudzi wrywa mnie w nocy ze snu dziwna, monotonna przemowa. Wygłasza ją piecyk: „Czcigodny właścicielu, zabrakło nafty. Bądź tak dobry i mnie napełnij... Bądź tak dobry i mnie napełnij...”

Japonia jest krajem statystyk, a statystyki - jak wiadomo - przy całej swojej matematycznej ścisłości bezwstydnie fałszują rzeczywistość. Statystycznie przypada tu na głowę więcej maszyn niż gdziekolwiek indziej (liczba automatycznych urządzeń, na które Japończyk wydaje średnio tysiąc pięćset euro rocznie, wynosi aktualnie pięć milionów sto trzydzieści dziewięć tysięcy), a jednak szybko odkrywamy, że nie jest to bynajmniej kraj zmechanizowany i supernowoczesny, jak go sobie wyobrażaliśmy.

Wiele maszyn to tylko gadżety, wynalezione, aby uczynić znoś- niejszymi skromne warunki, w których żyje przeciętny obywatel. Większość mieszkań nie ma centralnego ogrzewania i być może dlatego Japończycy tak się szczyją podgrzewanymi deskami w swoich, ubikacjach. Słaba pociecha wobec panującego tu chłodu!

Pierwsi ludzie z krwi i kości, do których zwracamy się w Tokio, to policjanci. W występującej z brzegów stolicy (nikt nie wie dokładnie, gdzie się zaczyna, a gdzie kończy) dwanaście milionów mieszkańców słabo orientuje się w terenie. Zupełnie jak w jakiejś wiosce, nie ma tu nazw ulic, tylko numery, nie ma żadnych pomników (jedyny w całym mieście postawiono psu - za jego wierność), toteż punktem odniesienia jest koban, posterunek policji. Koban stoi przed każdą stacją metra, na każdym skrzyżowaniu dwóch ważniejszych ulic, w każdej dzielnicy. Bez przerwy tłoczą się przed nią osoby próbujące uzyskać informację. Zazwyczaj dotyczącą adresu, pod który się udają.

- Pan Tanaka oczekuje pana z kolacją? - pyta policjant. - Proszę chwilę poczekać.

Najpierw patrzy na adres, potem zagląda do swojej kartoteki i podnosi słuchawkę.

- Pan Tanaka? Pański gość z zagranicy jest tutaj, w koban. Proszę po niego przyjść, jeśli to nie kłopot.

I to wcale nie ja dałem mu numer pana Tanaki!

Ze statystycznego punktu widzenia Japończycy są dzisiaj jednym z najzamożniejszych narodów: roczny dochód to średnio około dziesięciu tysięcy dolarów na osobę. A jednak ludzie napotkani przeze mnie podczas porannych spacerów nie wyglądają na bogatych. Ich mieszkania nie są może „zagrodami dla królików”, jak zostały opisane w raporcie Wspólnoty Europejskiej, ale z pewnością nie budzą zazdrości. Nawet domy wysokich urzędników

rządowych i przemysłowców są tak maleńkie i prowizoryczne, że niewielu europejskich robotników zgodziłoby się w nich zamieszkać.

To prawda, większość rodzin posiada pralkę, ale jest również prawda, że nie ma jej gdzie umieścić. Pralki w tym kraju stoją pod nylonowymi pokrywami przy drzwiach do mieszkania. To prawda, większość Japończyków posiada telewizor (jeden albo więcej), odtwarzacz wideo i system stereo, ale jest również prawda, że 66 procent japońskich gmin nie ma kanałów ściekowych. Wielu Japończyków nadal myje się w łaźniach publicznych. A kto jest szczęśliwym właścicielem łazienki, bardzo starannie zakrywa wannę plastikową osłoną, aby woda pozostała gorąca i wszyscy członkowie rodziny mogli się wykapać. To prawda, Japończycy szczerzą się znajomością gry w golfa, ale wielu z nich po prostu wymachuje kijkiem przed drzwiami do domu na plastikowym trawniku, uderzając nieistniejącą piłkę. Naturalnie chciałoby się poznać język, aby móc zrozumieć mentalność narodu. Pierwsze spotkanie z moim nauczycielem przebiegło następująco.

- Zna pan jakieś japońskie przysłowie? - pyta.

-Nie.

-Więc proszę na początek nauczyć się tego: „Kiedy wiatr wieje, wytwórcy drewnianych kadzi stają się bogaci”.

- Nie rozumiem...

- To proste - odpowiada. - Wiatr wznieca kurz, kurz oślepia, ślepcy zarabiają na życie, grając na instrumentach strunowych,

104 struny są wyrabiane z kocich jelit, im więcej ginie kotów, tym więcej myszy biega po mieście, myszy wygryzają dziury w drewnianych kadziach, a im więcej potrzeba drewnianych kadzi, tym bardziej bogacą się ich wytwórcy. Logiczne, prawda? I tak samo logiczny jest język japoński.

Podróżując tokijskim metrem, pobieramy pierwsze proste lekcje japońskości. Pociągi zjawiają się punktualnie, kontrolerzy i naczelnicy stacji są efektywni i precyzyjni. Dłonią obleczoną w białą rękawiczkę i gestami robota witają żółte światła nadjeżdżających pojazdów, a żegnają czerwone, ginące w ciemnościach tunelu. W mrowiu ludzi przeważają osoby w uniformach. Wszyscy uczniowie przypominają małe podobizny admirała Yamamoto albo kadetów pruskiej akademii wojskowej. Wszystkie dziewczynki wyglądają jak siostry Czerwonego Krzyża. Sarari-man, człowiek żyjący ze swojej pensji (ód angielskiego salary), nosi komplet składający się z marynarki i spodni, który sam w sobie jest uniformem. Każdy Japończyk, nawet dziecko, codziennie spędza średnio trzy godziny w metrze, w drodze między domem a szkołą albo domem a miejscem pracy.

Godziny szczytu należą do najbardziej upiornych. W falującej masie ciał przytrzymujących się, napierających i odpychających na zmianę nikt nie nawiązuje z sąsiadem żadnego kontaktu - poprzez spojrzenie, uśmiech lub choćby jedno słowo. Uprzejmość, do której Japończycy czują się zazwyczaj zobowiązani, w ścisłości, czyli na przykład w metrze, nagle ulatnia się przerażająco. Japończyk, zaledwie dostrzeże wolne miejsce, biegnie w jego kierunku, po czym na ogół zatapia się w lekturze jednego z obscenicznych sadomasochistycznych komiksów, będących najwyraźniej codzienną strawą duchową ludności.

O północy ostatnie pociągi odwożą do domów tłumy spóźnialskich. Nieco wstawieni i niepewnie trzymający się na nogach Japończycy na ogół wychodzą z maleńkich barów, pełnych dymu i smrodu, gdzie śpiewali karaoke przed ekranem, na którym zwykle jakaś kobieta rozbiera się na tle góry Fudzi. 105

Japończycy wyglądają na nieszczęśliwych, ale nie wiedzą, że są nieszczęśliwi. Według badań opinii publicznej 80 procent respondentów uważa się za część klasy średniej i jest z tego zadowolona.

Myślimy o Japonii jako o społeczeństwie skomputeryzowanym. Wchodzę do głównej filii Bank of Tokyo.

- Chciałbym założyć konto.

- Konto? A pańska wiarygodność?

Wyjmuję paszport, karty kredytowe, wreszcie plikdolarów. Urzędnik w okienku wzywa wicedyrektora oddziału, a ten dyrektora:

- Nie. Nie może pan założyć u nas konta.

Próbuję w innym banku.

- Czy będzie pan mieszkał w Japonii do końca życia?

- Żebym ja to wiedział!

- A zatem nie może pan mieć u nas konta.

Po długiej dyskusji zgadzamy się na „rachunek oszczędnościowy”. To, co mi w końcu wydają, nie jest książeczką czekową, lecz zeszytikiem i tajnym numerem (nigdzie niezapisanym), który muszę pamiętać, żeby móc podjąć gotówkę. W nagrodę za wybranie ich banku dostają duże pudełko papierowych chusteczek.

Następnego dnia młody pracownik banku dzwoni do drzwi. Pijemy herbatę, a on wypytuje mnie o rodzinę, pracę i zarobki. Żegnając się, mówi, że może przywozić i odwozić pieniądze, jeśli nie będę miał ochoty albo czasu, żeby osobiście udać się do banku.

Zamawiam plik gazet. Ale nie dostarcza mi ich jeden dystrybutor wysyłający pod koniec miesiąca rachunek mojemu bankowi. Nie, każda gazeta ma własnego chłopca na posyłki i prawie co wieczór pojawia się doręczyciel, który chce zapłaty gotówką. Razem z pokwitowaniem daje mi w prezencie bawełniany ręczniczek.

Widziane z zewnątrz, budynki biur wydają się eleganckie i luksusowe. W środku są ascetyczne i skromne. Biura MITI, niestłuchanie ważnego Ministerstwa Handlu Zagranicznego i Przemysłu, składają się z dużych, surowych pomieszczeń, w których tłumy urzędników pracują obok siebie: dosłownie łokieć w łokieć. Na drzwiach każdego biura znajduje się plan ustawienia biurek z nazwiskami siedzących przy nich pracowników. Szef departamentu z jednego z kątów kieruje zalewem papierów i ludzi. W Ministerstwie Spraw Zagranicznych wiele wydziałów koczuje w tym samym pokoju. Wśród nich również wezwany do centrali ambasador. Odwiedzający muszą się rozgościć za parawanem, w wysłużonych fotelach.

Życie w Japonii cechuje atawistyczna spartańska surowość. Zamożne są nie osoby prywatne, lecz instytucje; bogata jest nie jednostka, lecz społeczność. Skromne życie czyni znośnym sterylna czystość. Każdego ranka gospodynie z mojego sąsiedztwa starannie zamiatają, a potem spryskują wodą kilka metrów ulicy przed drzwiami swoich domów. W Chinach ludzie tego nie robią, choć są przymuszani. Tutaj każdy zamiata z własnej woli. Czyżby Japonia była krajem, w którym komunizm naprawdę działa?

Kto choć trochę poznał Chiny, nie może nie porównywać ich z Japonią, bowiem to oczywiste, że Japonia jest dziś tym, czym Chiny z początku XX wieku chciały się stać, ale nie potrafiły. Niektóre zachowania w obu krajach są zdumiewająco podobne. I tu, i tam przed otwarciem sklepu sprzedawcy stają na baczność przed swoimi przełożonymi, którzy ich instruują. Różnica polega na tym, że, odwrotnie niż w Chinach, tutaj podwładni naprawdę słuchają. W jednym z działów wielkiego domu towarowego w Tokio widziałem ekspedientki podnoszące zaciśniętą pięść i obiecujące, że dadzą z siebie wszystko, aby zwiększyć sprzedaż w okresie bożonarodzeniowym.

Japończyk, który chce wynająć mieszkanie, musi wręczyć niemały pieniężny podarek właścicielowi lokalu, jakby wdowód swoich dobrych intencji. Jako cudzoziemiec jestem zwolniony z tego warunku, jednak, aby wynająć mieszkanie, musiałem zapłacić za pół roku z góry i przedstawić życiorys. Na przekór japońskiej nowoczesności stosunki między ludźmi wydają się tutaj o wiele bardziej feudalne niż w Chinach.

„Japończycy tylko kopiują”. Słyszeliśmy to wiele razy, ale nie chcemy wierzyć. A jednak w stereotypach, tak jak w przysłowiach, jest wiele prawdy. Dworzec główny w Tokio to kopia

dworca w Amsterdamie. Pomieszczenia dla gości państwowych (niegdyś rezydencja Hirohito, z czasów, gdy nie był jeszcze cesarzem) z zewnątrz są kopią Pałacu Buckingham, od wewnątrz - Pałacu Luksemburskiego. Tokyo Tower, najbardziej znany symbol miasta, jest kopią wieży Eiffla, tyle że - jakież to japońskie! - o kilka metrów wyższą od oryginału. Tysiące małych kafejek, w których Japończycy są tacy szczęśliwi, to maleńkie repliki kawiarenek budowanych na Zachodzie, od Wiednia po Teksas. Jednym z najchętniej wybieranych projektów jest miniatura Białego Domu.

W Japonii kopiowanie to stary zwyczaj. Po tym, jak trzynastu portugalskich jezuitów w 1591 roku przeszło ulicami Kioto w swoich wystawnych szatach, całe miasto wystroilo się tak samo, kopiując kapelusze, buty i złote portugalskie łańcuchy. Ktoś popisał się nawet różańcem, ktoś inny - sztyletem u boku.

Potrzebuję krzesel do biura. Przy wejściu do największego salonu meblarskiego w mieście muszę najpierw wypełnić jakiś papier, podając nazwisko, adres i numer telefonu. Ostrzeżenie przypomina wchodzącym, że fotografowanie eksponowanego towaru jest zabronione. Zaczynam rozumieć wściekłość europejskiego przemysłowca, który pod koniec swojego pobytu w Tokio (został zaproszony przez lokalną konfederację przemysłu) warknął:

- Nigdy więcej nie pozwolę żadnemu Japończykowi przestąpić progu mojej fabryki. Kiedy wy przyjeżdżacie do nas, pokazujemy wam nasze najnowsze osiągnięcia. Kiedy natomiast my przyjeżdżamy do was, pokazujecie nam przedpotopowe produkty i przestarzałe fabryki i jeszcze mówicie, żebyśmy nie robili zdjęć. Kto by chciał je robić?!

„Japończycy mają mentalność dwunastolatków” - powiedział generał MacArthur, dowódca amerykańskich sił okupacyjnych, i od jego czasów cudzoziemcy często czują pokusę wyjaśniania zachowań Japończyków według tego klucza. Kilka dni temu, w Foreign Correspondents Club, usłyszałem słowa starego amerykańskiego dziennikarza mieszkającego tu od okupacji: -Japończycy? Mają mentalność czternastolatków. Będąc świeżo po lekturze słów generała, poprawiłem go, ale on zaraz zamknął mi usta:

-MacArthur powiedział to w 1945 roku. Przyznasz chyba, że od tamtej pory minęło trochę czasu, nawet dla Japończyków?!

Gdy wybieram numer telefonu 320-2000, doskonałą francuszczyzną przemawia do mnie malarz Auguste Renoir, zmarły w 1919 roku. Z okazji wystawy impresjonistów francuskich (zorganizowanej, jak tu jest w zwyczaju, przez jeden z dużych domów towarowych) Japończycy przestudiowali tchawicę oraz budowę kostną wielkiego mistrza, i po wprowadzeniu wszystkich danych do komputera zrekonstruowali jego głos. Teraz przedsiębiorstwo telefoniczne za dziesięć jenów oferuje swoim klientom usługę specjalną „Zadzwoń do Renoira!”, a głos nieżyjącego artysty streszcza jego teorie dotyczące sztuki.

Zdumienie, fascynacja i lęk przed Japończykami nie mają końca. Niemal codziennie spotyka się przybyszów z Zachodu uważających Japonię za wzór, który warto naśladować, koszmar, którego należy unikać albo zagrożenie, którego trzeba się wystrzegać.

Sukces widać gołym okiem. Po 1945 roku wszystko w Japonii urosło. Japończycy są dzisiaj o dziesięć centymetrów wyżsi, ważą pół kilograma więcej i żyją dłużej. Kobiety osiągają średnio wiek osiemdziesięciu lat, mężczyźni siedemdziesięciu czterech. Gospodarka najlepiej świadczy o prosperity. Japonia prześcignęła Stany Zjednoczone jako eksporter, posiada dodatni bilans handlowy z wszystkimi krajami, jest największym kredytodawcą na świecie i ma najwyższą stopę produkcji. „Jak oni to robią?” - głowi się każdy nowo przybyły.

Wystarczy popatrzeć na robotników. Niczym małe kopie Jamesa Bonda w swoich schludnych kombinezonach i z zaawansowanymi technologicznie kolorowymi narzędziami, pracują w milczeniu i naturalnie chętnie biorą niezliczone bezpłatne nadgodziny. Ma się wrażenie, że w tym kraju pomiędzy człowiekiem a jego pracą istnieje więź gdzie indziej zapomniana. m

-Japończycy jako jedyni kochają swoją pracę i szanują cudzą - twierdzi pewien Europejczyk od lat mieszkający w Tokio.

Wiadomość w gazecie: autobus jedzie przez pola. Na zakręcie kierowca traci nagle panowanie nad pojazdem, autobus przewraca się i trzech pasażerowie giną. Kierowca oddala się w milczeniu z miejsca wypadku, zdejmuje pasek i wieszka się na pierwszym napotkanym drzewie. Wyjaśnienie, jakie zostawia na kartce papieru, jest proste: wstydził się, że źle wykonał swoją pracę.

Na wszystkich rogach ulicy obok mojego domu widnieją plakaty ze zdjęciami piątki poszukiwanych. Czterej z nich to mordercy, piąty - konstruktor bomb. Sąsiedzi ostrzegają mnie przed złodziejami.

-Ale czy Japonia nie jest niemalże wolna od przestępczości?- pytam.

- Oczywiście. Jest. Przestępcami nie są Japończycy, lecz Koreańczycy - zapewniają mnie sąsiedzi.

W Japonii żyje zaledwie milion obcokrajowców. Siedemset tysięcy to Koreańczycy, którzy, choć mieszkają tu od ponad pokolenia, choć kończą japońskie szkoły i nie znają koreańskiego, nadal są traktowani jak gai jin, „obcy ludzie”, barbarzyńcy. Nie mogą także dostać obywatelstwa. A jednym z przejawów dyskryminacji jest właśnie powszechne przekonanie, że odpowiadają oni za wszystkie kradzieże i morderstwa.

Jak wszyscy cudzoziemcy, ja także muszę zostawić odciski palców na policji. Procedura trwa piętnaście minut i przebiega tak 110 higienicznie, jakby to było pobranie krwi. Palec najpierw zostaje przyciśnięty do poduszeczki z atramentem, potem do strony w kartotece, jeszcze później do mojej „legitymacji obcego”, którą muszę nosić. W końcu dają mi papierową chusteczkę i trochę spirytusu, żebym się wyczyścił.

Moi sąsiedzi, którym relacjonuję przygodę, twierdzą, że procedura istnieje głównie z powodu Koreańczyków. Aby jednak uniknąć oskarżeń o dyskryminację, również my, ludzie z Zachodu, jesteśmy wrzucani do worka z „obcymi”.

Nauczyłem się nowego przysłowia. „Żadna z kłócących się stron nie ma racji”. Życiem Japończyka rządzą dążenie do harmonii w kontaktach z drugim człowiekiem i z grupą. Dla wielu stanowi to źródło cierpienia. Szacuje się, że w Japonii 80 procent wszystkich chorób związanych ze stresem powodują skomplikowane relacje interpersonalne.

Rozgłos, sława, z byle jakiego powodu, są tu bardzo w cenie, ponieważ wyrwywają człowieka z anonimowości, zwracają na niego uwagę społeczeństwa. Jednym z tegorocznych bestsellerów (dwieście tysięcy sprzedanych egzemplarzy) jest książka *We mgle*. Jej autor, Issei Sagawa, to ten Japończyk, który w 1983 roku zabił w Paryżu swoją holenderską kochankę, a następnie włożył ciało do zamrażarki, aby móc każdego dnia zjadać ją po kawałku. Francuzi odesłali go do Japonii, a Japończycy niedawno wypuścili z więzienia.

- Dlaczego nie? Interesują go cudzoziemki. Japonkom nie grozi żadne niebezpieczeństwo - tłumaczy Susuma Oda, profesor z wydziału higieny umysłowej na Uniwersytecie w Tsukubie.

Z kanibalem Sagawą przeprowadziło również wywiad czasopismo literackie.

-Jakie było twoje najbardziej emocjonujące przeżycie? - zapytał go kolega po piórze.

- Lektura baśni braci Grimm. Zwłaszcza Czerwonego Kapturka - odpowiedział.

Każdego roku na japoński tłumaczy się pięć tysięcy książek^a- granicznych, ponad cztery i pół miliona mieszkańców archipelagu podróżuje co rok za granicę. Japończycy są już wyspecjalizowani w najrozmaitszych aspektach obcych kultur, ale jako naród wydają się absolutnie odporni na wpływy z zewnątrz.

- Nauczyliśmy się wszystkich technik, ale żadna nie zmieniła naszej duszy - mówi pisarz Yukio Kanazawa.

A jaka ona jest, ta dusza japońska? Wielu cudzoziemców przyjechało do Japonii szukać odpowiedzi, ale najczęściej spotykało ich rozczarowanie. Angielski pisarz Lafcadio Hearn (1850-1904) spędził część życia w tym kraju, aby badać jego kulturę i odkrywać tajemnice. Umarł z przeświadczeniem, że w gruncie rzeczy nie było tu nic do odkrywania.

„W centrum Japonii znajduje się pustka” - pisze francuski filozof Roland Barthes. A Henry Scotts Stokes, biograf i przyjaciel Yukia Mishimy, analizując samobójstwo tego wyjątkowego pisarza, dochodzi do wniosku, że w centrum japońskiej mentalności kryje się pragnienie śmierci.

W ubiegłym roku dwadzieścia cztery tysiące pięciuset dziewięćdziesięciu sześciu Japończyków odebrało sobie życie (w tym pięciuset siedemdziesięciu dwóch uczniów szkół podstawowych). W tym samym okresie w wypadkach drogowych zginęły dziewięć tysięcy siedemset sześćdziesiąt dwie osoby.

Scenerią najchętniej wybieraną przez przyszłych samobójców są wulkany i nastrojowe, odludne zakątki.

Rozmowa eksperta z Japonii z brytyjskim inżynierem.

-Moi koledzy Japończycy mają takie samo przygotowanie jak 112 najlepsi inżynierowie na Zachodzie - mówi Anglik - ale ich umysły są mało elastyczne. Aby dotrzeć z punktu A do punktu E, muszą koniecznie przejść przez B, C i D, podczas gdy mnie najbardziej interesuje znalezienie najkrótszej drogi.

- Tak, ale kiedy ty docierasz do celu, jesteś sam, a kiedy docierają oni, jest ich co najmniej trzystu - odpowiada ekspert z Japonii.

Już na początku XX wieku George Kennan, Amerykanin żyjący w tym kraju, zauważył: „Nie spotkałem jeszcze w Japonii jednostki, która by mnie uderzyła swoją wielkością... Wielkość polega tutaj na myśleniu zbiorowym”.

Japończycy zaczynają postrzegać tę swoją tradycyjną mocną stronę jako potencjalną słabość, zwłaszcza od kiedy i oni coraz częściej wybiegają myślami w wiek XXI: artykuł wstępny w „Japan Timesie” wynosi pod niebiosa geniusz Europy oraz doradza Japończykom więcej kreatywności i indywidualizmu. Rząd już zainicjował badania na rzecz radykalnej reformy systemu szkolnictwa.

- Tylko jednego towaru jesteśmy największym importerem: idei - mówi pewien japoński dziennikarz. - Albo zacniemy wytwarzać je sami, albo jesteśmy skończeni.

Czyżby Japonia zaczęła kopiować również choroby Zachodu? 29 listopada 1985 roku: „czarny piątek”. O świcie około pięciuset bojowników atakuje jednocześnie, w komandach po trzy i pięć osób, trzydzieści trzy newralgiczne punkty na trasie kolei między Tokio a Hiroszimą. Dzięki wyrafinowanej aparaturze elektronicznej udaje im się przechwycić komunikację radiową policji i uciec. Przez cały dzień dziesięć milionów podróżnych nie może się przemieszczać, produkcja jest wstrzymana, a w Tokio panuje chaos. Premier Indii, Radźiw Gandhi, przybyły do Japonii z oficjalną wizytą, dociera z opóźnieniem na spotkanie w ogrodzie zoologicznym dzielnicy Ueno.

Symptomy tego, co gazety nazywają „chorobą państw uprzemysłowionych”, zaczynają być widoczne również na archipelagu. Japończycy nadal pracują więcej niż jakikolwiek inny naród (średnio przez dwa tysiące sto pięćdziesiąt dwie godziny rocznie, podczas gdy na przykład robotnik niemiecki przez tysiąc sześćset trzydzieści), ale Ministerstwo Pracy zauważa z niepokojem, że priorytetami Japończyków są obecnie zdrowie rodziny, zarobki i wykształcenie dzieci. Praca spadła na czwarte miejsce.

Pewien generał skarży się, że nowi rekruci są mniej posłuszni, przemysłowcy twierdzą, że nowo zatrudnieni są mniej skłonni poświęcać duszę i ciało firmie. „Wielka armia obcych szturmuje nasz świat pracy”, pisze dziennik „Mainichi”, robiąc aluzję do młodych japońskich menadżerów, którzy pod wpływem zachodniego systemu wartości wykonują już swoją pracę na sposób, otóż to, „obcy”.

Kim są Japończycy? Oni sami zadają sobie to pytanie. Dziennik „Yomiuri” od tygodni publikuje rezultaty seminarium poświęconego „teorii japońskości”. Temat zgłębiają również w swoich powieściach i sztukach teatralnych autorzy młodego pokolenia. Z trzydziestu

siedmiu książek, które średnio wychodzą tu każdego dnia, największą popularnością cieszą się te o Japonii i Japończykach.

-To dowodzi, że jeszcze nie znaleźliśmy odpowiedzi na pytanie o naszą tożsamość - uważa profesor Idetoshi Kato.

W swojej ojczyźnie Japończycy wiedzą doskonale, kim są, ale gdy tylko ją opuszczają, czują się zagubieni. Za granicą okazują brak pewności siebie. „Nie ma pan globusa, na którym byłaby tylko Japonia?“, pyta swojego księgarza na karykaturze z lat trzydziestych ubrana w kimono dama. To zdanie mogłoby paść również dzisiaj.

- Na mapie świata my, Japończycy, tak naprawdę jeszcze nie znaleźliśmy dla siebie miejsca - wyjaśnia mi pewien dziennikarz telewizyjny.

Niektórzy twierdzą, iż kryzys tożsamości jest jeszcze boleśniejszy przez fakt, że wielu Japończyków nie rozpoznaje się w popularnym za granicą wizerunku Japan: Number One (tytuł głośnej 114 książki, której autorem jest amerykański socjolog Ezra Vogel).

Mity na ich temat i pochlebstwa innych narodów z jednej strony rozbudziły tradycyjną arogancję Japończyków, z drugiej - wprawiły mieszkańców archipelagu w onieśmienie.

Francuska delegacja rządowa z wizytą w Tokio spotyka przedstawicieli japońskiego rządu.

- Wszyscy zachwycają się waszymi sukcesami. Co chcielibyście przekazać światu? - pyta szef delegacji z Paryża.

Następuje moment wielkiego zakłopotania. Japończycy patrzą po sobie, skonsternowani, a wreszcie jeden z ministrów odpowiada:

-My jeszcze jesteśmy w pracy...

Każdego dnia tysiącejapończyków pielgrzymują do świątyni Yasu- kuni w centrum Tokio. Świątynia oficjalnie jest poświęcona pokojowi, ale w rzeczywistości oddaje się tam cześć duszom dwóch i pół miliona japońskich żołnierzy poległych za ojczyznę w wojnach XX wieku. Wśród nich również duszom czternastu zbrodniarzy wojennych powieszonych przez aliantów pod koniec konfliktu w Azji. Wieczorem ogrodnik krąży po zamkniętym terenie, napełnia automatyczne podajniki karmy dla gołębi i zabiera bukiety kwiatów zostawione przez odwiedzających na eksponowanych tu działach i czołgach.

Grupa prywatnych osób, wspierana przez przedsiębiorstwa, postanowiła wyciągnąć na powierzchnię okręt „Yamato“, który 7 kwietnia 1945 roku został zatopiony przez Amerykanów z trzema tysiącami członków załogi na pokładzie i leży w dwóch kawałkach na głębokości trzystu sześćdziesięciu metrów na dnie Morza Wschodniochińskiego.

- Chcę znów zobaczyć „Yamato“. Jeśli nie zdążę w życiu doczesnym, będzie go oglądać moja dusza - mówi mi Mitsugu Uchida, jeden z uratowanych z katastrofy.

Wiedziałem, że zwiedzenie jednej z najświetniejszych i najnowocześniejszych fabryk w Japonii nie będzie łatwe, ale dobrze się bawiłem, wypełniając wszystkie konieczne - jak mi powiedziano - warunki. Musiałem przesłać prezesowi list motywujący moją prośbę, życiorys, wybór artykułów, opis gazety, dla której pracowałem. Miałem szczęście: prezes był germanofilem. m

robot i cesarz

Tokio, styczeń 1986

W mroku słyszę ich szepty, oddechy, chichoty, sapanie. Rozmnażają się. Roboty robią nowe roboty. Noc jest zimna; półksiężyc oświetla zaśnieżone stoki, a mroźny wiatr wieje przez stare lasy sosnowe. Temperatura spadła do piętnastu stopni poniżej zera, ale w ogromnej alkowie jest pięć stopni na plusie. Maszyny same wytwarzają ciepło niezbędne do bicia elektronicznych serc. Nigdy się nie zatrzymują. Ciężko pracują dwadzieścia cztery godziny na dobę, dzień po dniu.

Tokio znajduje się zaledwie o sto dziesięć kilometrów stąd, a jednak po dotarciu na miejsce mam wrażenie, że nie była to zwykła podróż. Fanuc, fabryka robotów u stóp góry Fudzi, należy do świata przyszłości. Masywne żelazne postacie rozwierają ogromne szczęki, smukłe

żelazne ręce biorą kawałki metalu z półek, na których panuje idealny porządek, i wkładają do ust. Szczęki się zamykają. Dwanaście obracających się głów oblega powstającego robota: jedno perforują, inne wygładzają albo polerują. Ręka znów chwyta część i odwraca ją. Zanim fragment robota trafi do następnej maszyny, pochylają się nad nim nowe głowy.

Na korytarzach, po niewidocznych taśmach magnetycznych, suną wagoniki bez maszynisty wydające metaliczne dźwięki.

Widmowe wiadomości w tajemniczym języku niosą się między robotami a magazynami, gdzie gotowe części są równo układane na regałach - do montażu. W kącie grupa nowo narodzonych robotów wykonuje ćwiczenia gimnastyczne, aby się przetestować. Maszyny robią to z radosnymi gestami, wyginają się jak jogini, otoczone nigdy niegasnącą zielonkawą poświatą komputerów. W ogromnej hali nie ma żywej duszy. Jedyną ludzką sylwetką jest ta na podświetlanej tabliczce, wskazująca wyjście awaryjne.

Całe to przekręcanie, odwracanie, wygładzanie, spawanie, składanie i stertowanie jest kierowane z dalekiego centrum dowodzenia, gdzie operator, sam jak palec, siedzi przed całą baterią ekranów telewizyjnych. Jeśli coś się zaczyna, zatrzymuje robota winowajcę, a komputer automatycznie przeprogramowuje podział pracy, a "by odizolować „robotnika”, który się zepsuł. O świcie zajmą się nim ludzie od napraw. Robot popełnia błąd średnio raz na cztery lata i dwa miesiące.

Fanuc to najbardziej zautomatyzowana fabryka na ziemi, jedna z najbardziej wydajnych i jedna z najbardziej zagadkowych. „Nie istnieje nic podobnego na świecie”, napisano jakiś czas temu w amerykańskim piśmie „Fortune”. Gdybyśmy chcieli uwierzyć w teorię głoszącą, że Japończycy za wszelką cenę dążą do podboju świata, że gospodarcza Pearl Harbor już nastąpiła, a Tokio wygrało nową wojnę przeciwko Amerykanom i Europejczykom - tutaj znaleźlibyśmy dowody. A także wszystkie symbole zwycięstwa.

Zbudowana na popiele wulkanicznym góry Fudzi uosabiającej naród, fabryka Fanuc ma wyobrazić odrodzenie kraju z popiołu atomowego po klęsce drugiej wojny światowej. Wojny, która dla Japończyków nadal trwa. Metafory batalistyczne nieustannie pojawiają się w odniesieniu do gospodarki. „Oddziały bojowe Fanuc zostały rzucone w ogień wspaniałej bitwy”, napisano w czasopiśmie ekonomicznym „Nikkei Business” w październiku ubiegłego roku.

Fanuc pod każdym względem przypomina jednostkę wojskową. Robotnicy ubrani na żółto mkną na żółtych motocyklach po po- 117

wierzchni czterystu tysięcy metrów kwadratowych. Żółte są uniformy, żółte hale, żółte maszyny, żółte sale sypialne, żółty dom ogrodnika. Żółte są papierowe serwetki w stołówce przedsiębiorstwa i kartki, na których wszyscy piszą swoje notatki i raporty.

- Kolor żółty musi zalać „ja”, aby wszyscy razem mogli pracować dla dobra fabryki - mówi mi doktor Seiueemon Inaba, lat sześćdziesiąt trzy, pochodzący ze starożytnego rodu samurajów, były inżynier zaopatrzenia, dziś oficjalnie prezes Fanuc, a w rzeczywistości generał tej armii, on także ubrany w żółty mundur.

Jak w wojsku, również w Fanuc wiele rzeczy jest tajnych. Fabrykę można zwiedzać jedynie po otrzymaniu specjalnego zezwolenia, ale nie w całości. Najsurowiej wzbронione jest fotografowanie. Laboratoria badawcze są zamknięte nawet dla kierownictwa. Według regulaminu pracownik wie tylko to, co potrzebne jest do jego pracy. Jeśli ktoś chce od własnego biurka przejść do biurka kogoś innego, musi podać powód.

W Fanuc panuje również wojskowa dyscyplina. Doktor Inaba nie pali, zatem nikt nie może palić i w całej kwaterze głównej nie ma ani jednej popielniczki, nawet dla gości. Żaden kierownik nie może wyjechać za granicę bez zgody prezesa, którego instrukcje są nazywane „najwyższymi rozkazami” i muszą być wykonywane jak najściślej.

- Do zarządzania przedsiębiorstwem lepiej się nadaje roztropna dyktatura niż głupia demokracja - wyjaśnia mi człowiek, którego wielu nazywa „żółtym cesarzem z góry Fudzi”.

A rezultaty jego roztropności są imponujące. Fanuc założono w 1972 roku. Zakład miał produkować obrabiarki sterowane numerycznie jako filia koncernu elektronicznego Fujitsu. W 1980 roku doktor Inaba postanowił odłączyć się od Fujitsu i przenieść fabrykę pod górę Fudzi. Ta przeprowadzka pozwoliła mu zrestrukturyzować zakład i uzyskać całkowitą automatyzację. Po trzynastu latach niezależnej działalności firma Fanuc, zatrudniająca tysiąc pięciuset pracowników, jest warta ponad sześć miliardów dolarów i spośród przedsiębiorstw japońskich ma najwyższą rentowność (36 procent jej obrotu handlowego to wyłącznie profit). Średnia wydajność robotnika Fanuc należy do najwyższych na świecie (każdy pracownik przynosi przedsiębiorstwu pół miliona dolarów rocznie).

Co sprawia, że Japończycy osiągają swój cel? Praca. Praca. Ciężka praca.

- Od końca wojny nie myśleliśmy o niczym innym jak tylko o pracy - mówi mi doktor Inaba.

Dla niektórych krytyków Japonii sukces Fanuc i innych przedsiębiorstw jest częścią gigantycznego, złowrogiego „japońskiego spisku” (taki tytuł nosi książka Marvina Wolfa), którego twórcy zamierzają jakoby zmiażdżyć świat walcem drogowym swojej gospodarki, a żeby to osiągnąć, używają wszelkich dostępnych środków: od „szpiegostwa przemysłowego” po dotacje rządowe, od dumpingu po korupcję. Centrum dowodzenia owym spiskiem ma być podobno w MITI, Ministerstwie Handlu Zagranicznego i Przemysłu. I niewykluczone, że tak jest naprawdę.

Sukces japońskiego przemysłu obrabiarek, a w szczególności sukces Fanuc, stanowi doskonały przykład szalonej determinacji, z jaką po 1945 roku Japończycy zaplanowali długoterminowy wzrost gospodarczy swojego kraju i odzyskanie niezawisłości narodowej.

- Mieliśmy gospodarkę wojenną i postanowiliśmy ją utrzymać - powiedział mi Akio Ikumi, prezes firmy konsultingowej z Tokio.

Japończycy dobrze wiedzieli, że jeśli chcą kontrolować różne gałęzie przemysłu, muszą zacząć od obrabiarek, ponieważ od tych maszyn zależy produkcja wszelkich innych urządzeń. Skupili swoje wysiłki na realizacji owego strategicznego założenia. MITI kierowało atakiem, a prywatne przedsiębiorstwa walczyły na poszczególnych frontach.

W przypadku robotów, arystokracji obrabiarek, sprawy wyglądały mniej więcej następująco: w 1967 roku, kiedy Joseph Engelberger, założyciel Unimation Company, przyjechał do Tokio, żeby wygłosić wykład o swoich odkryciach w dziedzinie robotyki, 119 Japończycy wiedzieli na ten temat mało albo nic. Ale podczas gdy w Ameryce Engelberger gromadził na sali zaledwie kilkudziesięciu słuchaczy, w Japonii przyszło go posłuchać sześciuset. Rok później koncern Kawasaki Heavy Industries otrzymał od Unimation specjalną licencję na produkcję robotów przemysłowych.

Japończycy byli zafascynowani, ponieważ nie chodziło już o antropomorficzne zabawki potrafiące powiedzieć „dzień dobry” albo napisać swoje imię, lecz o maszyny zdolne naśladować rytmiczne ruchy robotnika przy taśmie montażowej. Robot, który narodził się w 1920 roku jako bohater sztuki Karla Čapka R.U.R. (w języku czeskim robota to właśnie „praca”), z teatru trafił do fabryki.

Z początkiem lat siedemdziesiątych Amerykanie byli jeszcze niekwestionowanymi liderami w projektowaniu, produkcji, eksporcie i zastosowaniu robotów przemysłowych. Dziesięć lat później stan rzeczy uległ zmianie: Japończycy, z Fanuc na czele, wysadzili ich z siodła. „I młody przemysł robotyki amerykańskiej nigdy już się nie podźwignął”, jak pisze Robert Reich w czasopiśmie „The New Republic”.

W 1981 roku koncern General Electric stworzył konkurencyjny wobec Fanuc, fabryki u podnóża góry Fudzi, projekt „Piney Mountain”. Przetrwał cztery lata, ale kosztował bezpowrotną stratę stu dwudziestu milionów dolarów. A więc w końcu także szefowie

General Electric doszli do wniosku, że jedynie we współpracy z Fanuc będą mogli nadal produkować roboty. Podobne doświadczenia stały się udziałem wielu innych przedsiębiorstw.

Po ataku Japonii na światowy przemysł obrabiarek nastąpił - także kierowany przez MITI - atak na przemysł samochodowy, a potem elektroniczny. Dzisiaj na celowniku Japończyków znajduje się aeronautyka. MITI wypracowało strategię i ofiarowało pomoc finansową. Wysokość dotacji należy do najściślej strzeżonych sekretów. Pewne jest jedno: w Japonii współpraca między sektorem prywatnym a rządem przebiega o wiele ściślej niż w jakimkolwiek kraju na Zachodzie.

O sukcesie przedsiębiorstwa Fanuc (które obecnie kontroluje 75 procent rynku japońskiego i 50 procent rynku światowego maszyn sterowanych numerycznie) również zadecydowała „ciężka praca”.

Dzień zaczyna się o 8.30. Robotnicy i pracownicy każdej sekcji na równe dziesięć minut gromadzą się wokół przełożonych - na rozmowę motywującą i podział zadań. Syrena, która o 17.25 przerywa ciszę, nie ogłasza końca pracy, lecz po prostu początek godzin nadliczbowych. Każdy podwładny wypracowuje średnio sześćdziesiąt takich godzin miesięcznie. Niektórzy dochodzą do stu. Nikt nie idzie do domu po ośmiu.

-Jakaś niewidzialna, ale nieustępliwa siła trzyma mnie tutaj - mówi pewien robotnik.

Inni twierdzą, że robią tylko to, co ich przełożeni. W biurze doktora Inaby światło palisę przynajmniej do dwudziestej trzeciej. Większość jego podwładnych i tak nie wiedziałaby, co z sobą zrobić i dokąd pójść, gdyby miała więcej wolnego czasu. Połowa robotników mieszka w żółtych salach sypialnych na terenie fabryki. To samo dotyczy dwóch trzecich inżynierów i kierowników, których rodziny zostały w Tokio. W zimnej leśnej samotni nie ma rozrywek. Bar firmowy, urządzone na wzór kantyny, z gołymi panienkami namalowanymi na ścianach i zdjęciem mężczyzny z dwoma ogromnymi fallusami, zwanego „bogiem części zamiennych”, jest otwierany jedynie na przyjazd zagranicznych gości. Fanuc nie ma biblioteki.

- Moi ludzie nie potrzebują książek - tłumaczy doktor Inaba. - Kiedy inżynierowie zaczynają czytać, nic już sami nie wymyślają. Jeśli są przywiązani do przeszłości, nie mogą tworzyć przyszłości.

Dla Inaby przyszłość to roboty. I prawdopodobnie doktor się nie myli. Populacja robotów na świecie rośnie z roku na rok w imponującym tempie. W przemyśle samochodowym zastępują spawaczy i lakierników; w przemyśle elektronicznym monterów. Pierwsze roboty przemysłowe były maszynami zdolnymi jedynie do prostych ruchów i procesów. Dzisiaj wykonują ruchy wymagające „złożonej struktury”. Punktem dojścia ma być stworzenie robotów inteligentnych, podejmujących samodzielnie decyzje dzięki sensorom wzroku i dotyku. Fabryka przyszłości to, według doktora Inaby, zintegrowany system komputerów i robotów, które po otrzymaniu polecenia będą potrafiły projektować i produkować.

Zalety tych maszyn są niezliczone. Przy rosnących kosztach pracy robotników koszt robotów ustabilizuje się, a wraz ze wzrostem produkcji wreszcie spadnie. Roboty, inaczej niż ludzie, pracują na swoim stanowisku dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ich produkcja jest bardzo wysokiej jakości i zawsze jednolita. Poza tym, jak pisze specjalista T.A. Heppenheimer, „roboty nie nudzą się, nie jeżdżą na wakacje, nie muszą iść do toalety ani wytrzeć nosa”. Nigdy nie strajkują, nie żądają emerytury, nie narzekają na gorąco, na opary ani na zagrożenia związane z promieniowaniem.

Dzisiaj wszystkie kraje uprzemysłowione stoją przed tym samym wyborem, jeśli mają utrzymać niskie koszty produkcji i zagwarantować usługi, których ludzie nie chcą już świadczyć: albo sprowadzać tanich pracowników z innych krajów, wywołując konflikty społeczne, albo przenieść fabryki do Trzeciego Świata, rezygnując z doświadczenia produkcyjnego zapewniającego rozwój. Alternatywą są roboty.

Dla Japonii, kraju, w którym pracownicy zagraniczni nie są mile widziani, wszyscy liczą właśnie na nie. Inaczej niż na Zachodzie, tutaj żaden związek zawodowy nie jest przeciwny

wprowadzaniu robotów. W dodatku japoński system wynagrodzenia opiera się wyłącznie na wysłudze lat, a więc bardzo łatwo przenieść pracownika z jednego stanowiska na drugie.

Japonia ma dziś największy zasób robotów na świecie (sto tysięcy, w tym „głupie roboty”, które po prostu podnoszą przedmioty, załadowują i wyładowują). 20 procent wszystkich prac montażowych jest już wykonywanych przez maszyny. Stany Zjednoczone, ze swoimi zaledwie szesnastoma tysiącami robotów (większość w przemyśle samochodowym), dostrzegają konieczność podniesienia tej liczby. Koncern General Motors, w którym pracuje pięć tysięcy robotów, planuje „zatrudnić” kolejne piętnaście tysięcy do 1990 roku. Wszystkie są już zamówione w Fanuc, a przedsiębiorstwo oddaje je w tempie trzystu egzemplarzy miesięcznie. W przyszłym roku możliwości produkcyjne Fanuc będą wynosić około tysiąca maszyn miesięcznie.

Czy to możliwe, aby świat wkrótce zalała żółta armia spod góry Fudzi? A ludzie? Jaki los ich czeka?

Przyszłość, którą żółci inżynierowie z Fanuc obmyślają w cieniu swojej czarodziejskiej góry, niczym mnisi jakiegoś świeckiego zakonu, wydaje się bezludna. Potrzeba dwóch godzin, aby dotrzeć do fabryki z Tokio. Autostrada Chuo jest niebezpieczna, toteż tuzin plastikowych policjantów, uśmiechniętych i gestykułujących, ostrzega, każe zwolnić, pozdrawia kierowców. Do Fanuc prowadzi ogromna żelazna brama, zawsze zamknięta. Pilnują jej dwa kamienne bóstwa. Z wysoka troje ruchomych oczu telewizji przemysłowej obserwuje gości. Drzwi otwierają się, trzeba przejść jeszcze kilkaset metrów, a tam, na majestatycznym tle Fudzi przykrytej śniegiem, pod wielką flagą Japonii i żółtą Fanuc, pojawia się sylwetka dziewczyny ubranej również na żółto, która w milczeniu kłania się kilka razy.

Główny budynek zbudowano ze zwykłego kamienia i marmuru. Jego korytarze są przestronne i wyciszone. Na każdym rogu kolejne sylwetki dziewcząt ubranych na żółto kłaniają się w milczeniu. Roboty? Dopiero kiedy się pochylają, aby zaproponować herbatę, zauważamy, że to istoty ludzkie i że można się do nich odezwać. Wszystkie mają wyższe wykształcenie. Kobiety zajmujące się zaparzeniem herbaty są dietetyczkami. Jak wszyscy pracownicy, zostały wybrane osobiście przez doktora Inabę. Cechy cenione przez niego najwyżej to wierność i wytrwałość.

Nie bez racji pracownicy Fanuc są dumni z przynależności do -żółtej armii spod góry Fudzi". Rzeczywiście, niewiele fabryk może im dorównać. Wszyscy znają historię o tym, jak cesarz Hirohito zwiedzał wystawę robotów. Monarcha przystanął zaniepokojony przed jednym z modeli Fanuc, a kiedy robot złożył ukłon, stary monarcha również mu się ukłonił.

Na osiągnięcia doktora Inaby składa się także timing.

- Armia niemiecka pod Stalingradem została rozniesiona przez nowe czołgi T-34 Sowieców. Gdyby Niemcy wyprodukowali swoje tygrysy zaledwie kilka miesięcy wcześniej, historia świata potoczyłaby się inaczej - mówi mi prezes Fanuc. - Moim celem jest wyprodukowanie nowych typów robotów nieco wcześniej, niż na rynku pojawi się zapotrzebowanie. Za pięć lat świat zapagnie robotów inteligentnych, a my już przygotowujemy się do ich produkcji.

Co się dzieje w ośrodkach badawczych Fanuc i co zostanie zainstalowane w ogromnej podziemnej strukturze (obecnie w budowie), nie wiadomo. Delegacji niemieckiej, która podczas niedawnej wizyty w fabryce poprosiła o możliwość przebadania prototypu „widzącego” robota, odpowiedziano, że uszkodziły go flesze aparatów fotograficznych innych gości. Instytut badawczy finansowany przez MITI pracuje nad prototypami maszyn, które będą pracować jako górnicy na dnie morskim, gasić pożary zamiast strażaków i zastępować ludzi w elektrowniach atomowych.

Czy więcej robotów w fabrykach oznacza wzrost bezrobocia? Prawdopodobnie tak. Według badań Volkswagena, następna generacja maszyn wyposażonych w sensory będzie

wykonywać 20 procent wszystkich prac w przemyśle samochodowym. Z badań Commerzbank wynika, że połowa prac przy taśmie montażowej stanie pod znakiem zapytania. Doktor Inaba wcale się tym nie martwi.

- Będziemy potrzebowali więcej personelu, żeby produkować więcej robotów i żeby je sprzedawać - mówi.

Ale czy roboty uczynią nas szczęśliwszymi? Patrząc na ludzi, 124 którzy je produkują u stóp góry Fudzi, można w to wątpić. Sam doktor Inaba sądzi, że szczęście jest jeszcze kwestią przyszłości. Gdy wieczór przechodzi w noc, w swoim domu na kartce papieru kreśli pędzelmakiem ideogramy starego wiersza: „Kiedyś mieliśmy czas na poszukiwanie pokoju. Dzisiaj już nie”. Mówi mi, że napisał te słowa pewien generał. Podczas wojny.

Inaba żyje walką, a razem z nim wielu innych Japończyków. Zupełnie jakby stracili z pola widzenia człowieka. Kiedy po dwóch dniach spędzonych w roli niewygodnego gościa opuszczam żółtą kwaterę główną doktora Inaby, w pamięci zachowuję głównie krzyki robotów, które dalej będą się reprodukcja dwadzieścia cztery godziny na dobę, i przestronne puste korytarze z obrazami na ścianach przedstawiającymi bezludne księżycowe krajobrazy. Chciałbym dodać gazu i jak najszybciej wrócić do Tokio, ale plastikowi policjanci wzdłuż autostrady nakazują gestami, abym jechał powoli.

Byłem w przyszłości i mogę powiedzieć, że działa. Ale czy nam się podoba? Z Tokio śledziłem także wypadki w Azji Południowo-Wschodniej, szczególnie na Filipinach, gdzie rewolucja People's Power, „Siła Ludu”, zrobiła wielki krok naprzód. Wdowa Cory Aquino, gospodyni domowa, rzuciła poważne wyzwanie dyktaturze Marcosa i jego żony Imeldy, a ostateczne starcie wydawało się bliskie. Spędziłem tam ponad miesiąc. m święta” z Manili, której boi się Marcos

Manila, 3 lutego 1986

Niemi byli jedynie święci na swoich piedestałach, Chrystus z krwawiącym sercem na ołtarzu i biskup - rzucający na wszystkie strony, niezdolny utrzymać na głowie fioletowej piuski. Tłum oblegający bazylikę nie zęgnął się ani nie klękał. Wręcz przeciwnie - przewracając klęczniki i zrywając rozkłady mszy, wrzeszczał, klaskał, szlochał w ekstazie, jakby nagle wśród tych wszystkich świętych z malowanego drewna dostrzegł jednego z krwi i kości:

- Cory! Cory! Cory!

Ludzie nie tylko wołali, patrzyli; każdy chciał podejść, dotknąć, jak gdyby przynosiła szczęście albo rozdzielała błogosławieństwa.

-To nie jest kampania wyborcza, to walka między dobrem a złem - powiedziała jedna z kobiet towarzyszących Cory Aquino. Tłum zebrany wczoraj w mieście Batangas - ubodzy wieśniacy, robotnicy z plantacji trzciny cukrowej, lud z prowincji, chudy, o smagłej skórze, nędznie ubrany i w plastikowych sandałach - był tego pewny.

W całej prowincji ludzie czekali godzinami na słońcu, aż sznur samochodów Cory Aquino przejedzie, a ta drobna kobieta ubrana na żółto, w za dużych okularach, „objawi się” choćby na kil- 126 ka sekund. Kiedy przyjechała do Taal, największej bazyliki na Filipinach, była głęboka noc, ale tłum czekał nadal, w ciemności, na ulicach, na wielkim placu, na schodach kościoła, podniecony, podekscytowany, ze swoimi sztandarami, ze swoimi transparentami, ze swoimi dziećmi pokazującymi znak laban, „walki”, palcem wskazującym i kciukiem prawej dłoni.

- Nigdy nie widziałem niczego podobnego - mówił wielebny Quizon. - I pomyśleć, że nikt im za to nie płaci!

Wczoraj ubodzy, dzisiaj bogaci. Zaproszona przez Izbę Handlową, Cory pojechała rozmawiać z zamożną warstwą Manili. Panie o jasnej cerze, z dobrych rodzin, ludzie interesów, kilku milionerów - wszyscy stłoczyli się dla niej w sali bankietowej hotelu Intercontinental w Makati. Entuzjazm był podobny. Nie wzbudzają go słowa, bo Cory Aquino mówi bardzo mało i może ma także mało do powiedzenia. Entuzjazm wywołuje sama jej

obecność, samo pojawienie się z świętej", która w imię sprawiedliwości, godności i honoru narodowego wyzywa na pojedynek... zło, czyli Marcosa i jego reżim.

Wczoraj po opuszczeniu przez nią bazyliki Taal przed kościół wyszła procesja z wielką statuą z papier-mache przedstawiającą Cory Aquino. Figura była ubrana jak Madonna, tyle że w okularach. Dzisiaj w Manili widziałem także gazety z historią życia pani Aquino w ilustracjach i czymś w rodzaju świętego obrazka z jej wizerunkiem. Przy kościele w Chiapo spośród anting-anting, amuletów chroniących przed złym okiem, największe wzięcie mają te z napisem „Cory”.

Gdy zrozumiemy, jakie uczucia na Filipinach - w kraju siedmiu tysięcy wysp wulkanicznych leżących na środku Pacyfiku, z ludnością mieszaną kulturowo, wciąż przesadną i zafascynowaną zjawiskami nadprzyrodzonymi - wywołuje ta niepozorna kobieta, zdamy sobie sprawę, że dla wielu Filipińczyków konfrontacja między nią a Marcosem to w gruncie rzeczy coś o wiele więcej, a może o wiele mniej niż polityka. Choć o polityce na swoich wiecach, bardzo krótkich, Cory nigdy nie mówi, nikt z tych, którzy krzyczą, klaszczą i płaczą, nie zadaje sobie pytania, czy ma ona 127 jakąś politykę, a jeśli tak, to jaką. Dla ludzi pani Aquino jest świętym Jerzym zabijającym smoka, Dawidem wyzywającym Goliata. I to wystarcza.

Cory jest wdową po Ninoyu Aquinie*, skrzywdzoną przez Marcosa, a więc symbolizującą wszystkie ofiary reżimu. Cory walczy z dyktaturą, toteż identyfikują się z nią wszyscy, którzy doświadczyli niesprawiedliwości. W bidonville** Tondo, mimo presji i prób zastraszania przez popleczników Marcosa, łopoczą dziś żółte sztandary Cory. Czyściciele butów z tego miasta, chłopcy oblegający skrzyżowania i sprzedający ręcznie skręcane papierosy, wszyscy mają na swoich drewnianych pudełkach nalepki z napisem „Cory” i wszyscy pozdrawiają przejeżdżające samochody, układając kciuk i palec wskazujący prawej dłoni w „L” jak laban, walka.

Ta kobieta, pochodząca z jednej z najbogatszych i najbardziej wpływowych rodzin filipińskich, należąca do oligarchii, która w przeszłości głodziła kraj, stała się symbolem oraz nadzieją biednych i uciśnionych. Stała się również przywódczynią oligarchów pragnących zmienić system, wprowadzić reformy i uniknąć w ten sposób coraz bardziej realnej alternatywy - komunizmu. Wygrywając wybory i sięgając po władzę, pani Aquino mogłaby zostać najbardziej popularnym prezydentem ostatniego okresu. Problem w tym, jaką politykę będzie mogła prowadzić, i czy klasa uprzywilejowana jest naprawdę gotowa zreformować społeczeństwo kosztem ugody we własne interesy i ograniczenia własnych przywilejów. Odpowiadając na zarzuty tych, którzy mówią, że nie ma programu politycznego, Cory w przemówieniu Ratunek w więzieniu faraona zasugerowała, co zamierza zrobić przez pierwsze sto dni władzy. Najważniejszymi punktami są: usunięcie wszystkich nie-

* Ninoy Aquino, senator, wielki przeciwnik Marcosa, został zamordowany strzałem z pistoletu w kark w 1983 roku. [Corazon Aquino zmarła 1 sierpnia 2009 roku - przyp. tłum.].
128 ** Dzielnicy baraków (przyp. tłum.).

popularnych podatków, zlikwidowanie monopoli (w szczególności na cukier i kokosy) powierzanych przyjaciom i krewnym Marcosa, zniesienie ustaw antystrajkowych, lepsze traktowanie nauczycieli, uwolnienie więźniów politycznych i przywrócenie habeas corpus, zlikwidowanie wyłączności na prasę i telewizję, dziś w rękach rządu, pozbycie się generałów, którzy, choć przekroczyli wymagany wiek, zachowali władzę dzięki Marcosowi, oraz awans pułkowników.

A po stu dniach? To się okaże. Kiedy ktoś poprosił - zresztą grzecznie - o więcej szczegółów odnośnie podatków i planów związanych z zagranicznymi inwestycjami na Filipinach, Cory okazała niepewność, jakby nie znała się na tych sprawach. Na szczęście dla niej tłum znów zaczął krzyczeć:

- Cory, Cory, Cory!

Zdaniem większości obserwatorów pytanie o plany jest czysto retoryczne, ponieważ Cory, choć popularna, nie wygra wyborów. Ludzie Marcosa ponoć zadbali o to, aby prezydent otrzymał „wiarygodny” margines przewagi i pozostał w pałacu Malacañang. Mówi się o dziesięciu tysiącach urn przygotowanych w tajemnicy i pełnych głosów oddanych na Marcosa: w odpowiednim momencie zastąpią te prawdziwe. Mówi się o zastraszaniu mieszkańców wsi przez ludzi dyktatora (krążących jakoby z walizkami pełnymi pieniędzy). Mówi się o kupionych głosach, o tym, że prasa i telewizja, kontrolowane przez reżim, ogłoszą po kilku godzinach od zamknięcia lokali wyborczych, o trzeciej po południu w najbliższy piątek, zwycięstwo prezydenta. Protesty i oskarżenia o oszustwo szybko przejdą do historii.

- Kto wygra? - zapytałam w nocy pewnego człowieka przed bazyliką Taal, gdy czekaliśmy na Cory.

- My, laban - odpowiedział.

- A jeśli Marcos będzie oszukiwał?

- Wzniesimy rewolucję - odparł twardo i ruszył razem z tłumem. Zadawałem to pytanie dziesiątki razy. Odpowiedź zawsze była

mniej więcej taka sama. Ludzie biorą pod uwagę możliwość 129 wybuchu gwałtownych demonstracji. Wiele ambasad europejskich już się zastanawia, jak ochronić swoich rodaków. Dziś rano ludzie stali w kolejkach przed bankami i wypłacali pieniądze. Miejsca w samolotach wylatujących w pierwszym dniu po wyborach zostały zarezerwowane przez tych, którzy na wszelki wypadek wolą mieć bilet.

- Droga do pałacu Malacañang z każdym dniem robi się ciemniejsza - powiedziała wczoraj Cory, kończąc przemówienie w hotelu Intercontinental. - Siły faraona są zdecydowane trzymać naród w kajdanach jego nędzy, knują podstępne plany, aby okraść naród z jego wolności.

Nie można wykluczyć, że Marcos znów wprowadzi stan wojenny i każe aresztować przywódców opozycji po ogłoszeniu korzystnego dla siebie wyniku. Dlatego pojutrze, kiedy kampania wyborcza oficjalnie się zakończy, Cory, „święta”, zniknie, ukryta przez swoich zwolenników w jakimś domu w Manili. Tam będzie czekać na rozwój wypadków.

Już po wyborach, przeprowadzonych w atmosferze kłamstw i manipulacji. Zarówno Marcos, jak Cory ogłosili swoje zwycięstwo, ale koniec końców to ona objęła urząd prezydenta.

ucieczka helikopterem

Manila, 23 lutego 1986

Naród miał swoje pięć minut. Wdarł się do pałacu dyktatora, tańczył w jego komnatach, jadł w jego kuchniach. Przez okna wyrzucał jego portrety i robił z nich ogniska. Przed sypialnią zatrzymał się ze zdumieniem, żeby obejrzeć półki pełne lekarstw oraz aparatów do dializ, dzięki którym Marcos utrzymywał się przy życiu w ostatnich czasach, i jakby z szacunku dla ludzkiej słabości, cofnął się, zawrócił, by tańczyć, śpiewać i odmawiać modlitwy przy świecach i latarkach kieszonkowych pod tonącymi w mroku tropikalnymi drzewami. Marcosa już nie było.

Zabrał go, razem z rodziną i świętą, amerykański helikopter i przewiózł do Clark Field, bazy wojskowej Amerykanów. Tak przebiegła „dymisja” dyktatora, który chciał nadal być prezydentem. Z Clark Field, kilka godzin później, Marcos wyruszył w kierunku Guam, amerykańskiej wyspy na Pacyfiku. Stamtąd dotrze do Stanów Zjednoczonych. Cory Aquino natychmiast pojawiła się w telewizji i w pierwszym wystąpieniu prezydenckim powiedziała:

- Skończyła się długa agonía. Od dzisiaj jesteśmy nareszcie wolni.

Pałac Malacañang tej nocy nie był już odseparowaną oazą milczącej i aroganckiej władzy, lecz wypełnionym zgiełkiem parkiem publicznym, w którym odbyła się zadziwiająca zabawa ludowa z udziałem największego tłumu, jaki kiedykolwiek na Filipinach wyszedł na ulice. Milion zgromadzonych o północy, dwa miliony

O pierwszej, a ludzie wciąż napływali, obejmowali się, krzyczeli z radości: rodziny trzymające się za ręce, aby się nie zgubić, siostry zakonne z obrazami Matki Boskiej, młodzi lewicowcy z czerwienią i czernią na sztandarach, żołnierze People's Power witani owacjami na swoich ciężarówkach, przybyli z dwiema godzinami spóźnienia, żeby zająć pałac wyzwolony przez lud. Nie była ofiar śmiertelnych, nie było plądrowania, tylko wielka radość, wspólna satysfakcja. Uniknięto wojny domowej i rozlewu krwi, którego wszyscy tak się obawiali.

- Teraz już wierzysz w cuda? - zapytała mnie z tryumfalną miną jedna z uczestniczek „krucjaty” Cory, napotkana w tłumie, na łące przed Malacanang pełnej ludzi i kartek papieru. Dla Filipińczyków, ponizonych i wyczerpanych dwudziestoma latami represyjnego, skorumpowanego, opartego na klientelizmie reżimu, cała seria „cudów” zdarzyła się w tym niezwykle, historycznym dniu. Rozpoczęła go oficjalna proklamacja prezydent Cory Aquino. O ósmej rano w Klubie Filipińskim, centrum rekreacyjnym bogatej dzielnicy Don Juan, zebrali się zamożni mieszkańcy Manili - mężczyźni w białych, przezroczystych barong tagalog z włókien bananowych, damy ze swoją biżuterią i makijażem (wiele ubranych na żółto). Przyszli, aby uczestniczyć w tym, co oficjalnie było powrotem do władzy klasy uprzywilejowanej, owszem, ale także klasy liberalnej i oświeconej, którą Marcos, faszyzujący parweniusz populistyczny, pozbawił znaczenia, upokorzył i zastąpił gangami swoich krewnych oraz akolitów.

„Cud” Cory był właśnie tutaj - w odczytywanych przez mikrofon nazwiskach wielkich rodzin, sygnatariuszy proklamacji, w Kościele reprezentowanym przez wpływowego i bardzo liberalnego biskupa jezuitę Escalera, w osobach adwokatów, biznesmenów, intelektualistów. Liczni spośród zgromadzonych od dawna działali w opozycji, a, co za tym idzie, byli więźniami i ofiarami stanu wojennego. Na uroczystość przybyli tak- 132 że wojskowi i reformiści reprezentowani przez generała Fidela Ramosa⁷, który zbuntował się przeciwko Marcosowi zeszłej soboty i dzisiaj rano został szefem sztabu głównego „nowej armii ludowej Filipin”. Zjawił się również zmienny jak chorągiewka na wietrze Ponce Enrile, do ubiegłej soboty człowiek dyktatora i minister obrony narodowej, pomysłodawca planu, dzięki któremu Marcos w 1962 roku wprowadził stan wojenny. Teraz miał zostać ministrem obrony narodowej w rządzie Cory. Więźniowie i dozorczy razem, w imię filipińskiej jedności.

O 10.25 Cory przysięgła na Biblię należącą do jej męża Ninoya, zamordowanego przez reżim Marcosa, że będzie bronić praw ludu i republiki. Aristokracja okazywała wzruszenie. Lud na zewnątrz - entuzjazm.

Mniej więcej w tym samym momencie identyczna ceremonia miała miejsce - w zupełnie innej atmosferze - w pałacu Malacanang. Dziesięć tysięcy ludzi wiernych Marcosowi, w większości lumpen z najbiedniejszych barrios oraz ciemne typy, którym można zlecić każde przestępstwo, zostało wpuszczonych do pałacowego parku. Każdemu dano sztandar z barwami republiki i garść guzików z napisem: „Prezydent Marcos nas kocha”. Zrzucano im jedzenie z trzech wojskowych ciężarówek zaparkowanych przy wejściu do Malacanang. W przerażającym ścisku ludzie walczyli o jajko na twardo albo kanapkę.

Podczas gdy ta dziwna i niebezpieczna zbieranina cieszyła się nieoczekiwanym darem od losu, Marcos w pałacu przysięgał na swoją Biblię, że będzie przestrzegał konstytucji i bronił praw Filipińczyków przez następne sześć lat. Poza rodziną nikt inny nie widział tej sceny. Ostatni kanał telewizyjny, jaki rząd zdołał utrzymać, w tej właśnie chwili wydawał ostatnie tchnienie. Obraz na kanale 9 zniknął, gdy Marcos podnosił dłoń do przysięgi. Kilku rebeliantów, którzy wzięli szturmem stację, strzeliło w główny nadajnik.

W południe okna Malacanang otworzyły się i rodzina wyszła na balkon do rozentuzjanzmowanego tłumu: Marcos ze swoją nabrzmiałą twarzą, Imelda w długiej jedwabnej sukni, dyskretnie ocierająca łzy wzruszenia chusteczką z białej koronki, córka Irene, syn Bong Bong w mundurze spadochroniarza i z

karabinem na ramieniu. „Zawsze Marcos!” „Stan wojenny!” „Enrile: rozstrzelać!”, wrzeszczała publiczność, wymachując sztandarami.

- Widzi pan, jak my, Filipińczycy, kochamy prezydenta? - pjiła mnie stojąca obok kobieta. Inni mówili, że przyczyną wszystkich problemów są zagraniczni dziennikarze, zakłamanymi i wścibscy.

Zgromadzenie pragnęło przemowy, ale Marcos jedynie powtarzał:

- Niech żyje republika, dziękuję.

Imelda wzięła mikrofon i powiedziała:

- Poświęciłam każdą chwilę życia narodowi filipińskiemu i tak już będzie zawsze.

Potem zaintonowała swoją ulubioną piosenkę miłosną: Dahil sa Iyo (Dla Ciebie, mój drogi), a on, nowo proklamowany prezydent Marcos, także rozdziawił usta, przyłączając się do śpiewu: „Dla Ciebie, moja droga”. Ten duet był ostatnim patetycznym obrazem reżimu. Za ledwie dziesięć godzin później na tym samym balkonie Malacañang kilku młodych ludzi w plastikowych klapkach podnosiło portrety Marcosa i Imeldy, rozbijało szkło, łamało ramy i wśród łopotu białych firanek rzucało je w tłum, aby podsycić płomień ogniska. Na tle czerwonej poświęty ogromniały cienie tysięcy wzniesionych dłoni, złożonych w znak „L”, walki.

Tam, gdzie o poranku publiczność Marcosa rzucała się na skrzynki z napojami, jajka na twardo i kanapki spadające z ciężarówek rządowych, wieczorem naród rzucał się na papiery z archiwów dyktatora sfruwające z otwartych na oścież okien. Każdy chciał mieć kartkę z nagłówkiem PREZYDENT FILIPIN, teksty przemówień Marcosa, plakaty z jego kampanii, listy z jego szuflad. Zdobycie Malacañang było dziełem ludu. Oblężenie trwało kilka dni. Dostępu do pałacu broniły z każdej strony żelazne rusztowania najeżone drutem kolczastym. Za każdą blokadą stały wozy pancerne, czołgi i żołnierze w rynsztunku bojowym tarasujący drogę niekiedy setkom, niekiedy tysiącom osób. Naród od czasu do czasu atakował, rozbił część barykad; z drutu kolczastego robił obręcze przypominające korony cierniowe Chrystusa na obrazach Pasji. Te korony stały się symbolem wyzwolenia. Każdy chciał mieć taką pamiątkę.

O 20.30 żołnierze zaczęli się wycofywać, a lud zza barykad ruszył naprzód. Długie negocjacje między Marcosem, zamkniętym wraz ze swoimi w Malacañang, a przywódcami rebeliantów, którzy zostali dziś rano oficjalnie członkami rządu Cory, zakończyła gwarancja listu żelaznego dla dyktatora, jego rodziny i najbliższych współpracowników.

O 21.05 z okna domu stojącego o zaledwie pięćdziesiąt metrów od Malacañang usłyszałem dźwięk silnika łodzi motorowej, a potem dwóch helikopterów, które ze zgaszonymi światłami unosiły się w powietrze i kierowały ku Zatoce Manilskiej. Marcos, jego żona Imelda, córka i syn opuścili pałac Malacañang i dotarli do małego placu na drugim brzegu rzeki Pasig. Helikoptery wylądowały na pięć minut, a potem odleciały ze wszystkim, co zostało z dwudziestu lat reżimu: grupką wystraszonych osób z kilkoma spakowanymi w pośpiechu walizkami.

U wylotu mostu Mendiola oddziały piechoty i gwardii prezydenckiej, które miały bronić pałacu, zaczęły porzucać swoje pozycje i przesuwać się w stronę koszar wśród aplauzu tłumu. Lud rzucił się na bramy, próbował przeskoczyć białe mury ogrodzenia, ale ze środka dobiegały strzały z karabinów i leciał grad kamieni. Marcos zażądał od swoich najwierniejszych, przybyłych na inaugurację prezydentury, aby zostali i go bronili; niektórzy to zrobili, deklarując, że są gotowi na śmierć. Na szczęście nie mieli broni ciężkiej. Starcia, głównie na kamienie, trwały zaledwie pół godziny. Na widok rannych lud krzychał: „Przerwać rozlew filipińskiej krwi!”, „Zostawcie te kamienie!” Rozlegały się okrzyki: „Dostyc, wszyscy jesteśmy braćmi!”, skierowane do ludzi Marcosa, chronionych już tylko przez chwiejące się metalowe ogrodzenia i ostatnie kamienie.

I wtedy nastąpił cud: zobaczyłem, jak znikąd pojawił się pochód sióstr zakonnych trzymających się pod ramię, idących ze śpiewem. Za nimi, ustawiony na żółtej półcieżarówce, jechał posąg Matki Boskiej, u stóp której migotały w ciemności setki świec. Tłum rozstał się, ochłonął. Najwierniejsi ludzie Marcosa skorzystali z okazji, aby uciec, zniknąć w mroku, zmieszać się z tysiącami innych Filipińczyków. A ci, szczęśliwi, wdzierali się do pałacu dyktatora, tańczyli w jego komnatach, jedli w jego kuchniach i wyrzucali przez okna jego portrety.

Zabawa trwa.

Z biegiem lat kupiłem wszystkie książki, jakie o nim wyszły, ale nie zaspokoili one mojej ciekawości. Kiedy zamieszkałem w Tokio - gdzie żył i gdzie został stracony - postanowiłem odnaleźć wszystkich, którzy go znali.

Richard Sorge: James Bond socjalizmu

Tokio, czerwiec 1986

Szpieg nie zazna spokoju nawet w grobie. Pod ciemnymi, ponurymi modrzewiami cmentarza Tama, na zachodnim krańcu Tokio, kamień nagrobny Richarda Sorgego trzy razy zmienił już miejsce i leżące pod nim prochy czeka niepewna przyszłość. Czterdzieści dwa lata po tym, jak Sorge został powieszony przez Japończyków jako tajny agent Sowieców, doczesne szczątki człowieka, który był jednym z najzręczniejszych i najsławniejszych szpiegów w historii, nadal są w centrum niejawnych manewrów, podwójnych gier i kłamstw.

Co dwa-trzy miesiące w zaułku tokijskiej dzielnicy Mitaka zatrzymuje się samochód na tablicach dyplomatycznych. Wsiada z niego mężczyzna, przemierza krętą uliczkę i puka do drzwi drewnianego domku. Wchodzi do środka, rozmawia ze starszą panią, wypija filiżankę kawy i zostawia kopertę pełną banknotów po dziesięć tysięcy jenów.

- Szkoda, że nie zjawia się częściej - mówi siedemdziesięciopięcioletnia Hanako Ishi, dawna kochanka Richarda Sorgego, fascynująca, pełna życia kobieta, której twarz nosi ślady minionej piękności. Hanako przedstawia się jako spadkobierczyni i obrończyni pamięci Sorgego.

Podczas ostatniej wizyty mężczyzna po raz pierwszy poprosił o przysługę w zamian za swoją hojność: Związek Radziecki pragnąłby otrzymać od Hanako-san zgodę na przewiezienie do Moskwy prochów Sorgego, kamienia nagrobnego i małego pomnika postawionego na cześć jego grupy współpracowników-szpiegów.

W 1944 roku, kiedy Niemiec Richard Sorge, członek partii nazistowskiej, korespondent „Frankfurter Zeitung” i tajny agent Stalina w Japonii, stał pod szubienicą, Moskwa mogła jeszcze uratować mu życie, oferując Tokio wymianę szpiegów, ale Rosjanie zachowali się tak, jakby o tym człowieku nigdy nie słyszeli. Dziś wydaje się natomiast, że Związek Radziecki postanowił odzyskać Richarda Sorgego i zrobić z niego wzór dla przyszłych pokoleń. Pragnąc wykreować swojego własnego socjalistycznego Jamesa Bonda, Sowieci odkrywają, z kilkoma dekadami opóźnienia, nadzwyczajną postać - nie dzieło wyobraźni, lecz ich własnej historii.

O Sorgem powstaje teraz wiele książek, poczty ZSRR drukują znaczki z jego wizerunkiem, ulice, szkoły i statki noszą jego imię, wiele pomników zostało postawionych ku jego czci. W szkołach dzieci uczą się o czynach bohatera. Kult ten propaguje KGB - wszechpotężna agencja sowieckiego wywiadu - z zamiarem wydobycia Sorgego z cienia „szpiega” i przydania mu aury romantyzmu oraz przygody. Brakuje tylko jednej rzeczy: grobu.

- Młodzi pionierzy, którzy tak go kochają, nie mogą przyjechać do Tokio - wyjaśnił Hanako-san radziecki dyplomata. Aby otrzymać zgodę starszej pani na przewiezienie prochów,

zapewnił ją, że tysiące mieszkańców Moskwy będą się opiekować grobem Sorgego. Wśród nich nawet niektórzy z jego szkolnych kolegów.

-Co naturalnie nie jest prawdą - mówi, śmiejąc się, Hanako- -san. - Sorge nigdy nie chodził do rosyjskiej szkoły.

Richard Sorge urodził się, owszem, w 1895 roku w Baku, jako syn Niemca i Rosjanki, ale, inaczej niż twierdzą Sowietci, już w wieku trzech lat zamieszkał w Niemczech. Prawda o jego życiu wydaje się dzisiaj nie do przeniknięcia. Wszyscy kłamią, wszyscy fantazjują, dokumenty historyczne są ukrywane albo fałszowane. Bardzo możliwe, że prawdziwa tożsamość tego człowieka na zawsze pozostanie zagadką.

Przez lata po zakończeniu drugiej wojny światowej krążyła pogłoska, iż Sorge żyje. Mówiono na przykład, że Japończycy, zamiast na szubienicę, wysłali go w nowym ubraniu (pewien krawiec z Tokio był gotów przysiąc, że mu je uszył) do Makau. Tam miał rzekomo zostać przekazany agentom Moskwy w zamian za kilku japońskich szpiegów więzionych przez Związek Radziecki. Inni utrzymują, że spotkali Sorgego w 1948 roku w Szanghaju.

Sędziwi, zapomniani, niektórzy bohaterowie tej niesamowitej opowieści szpiegowskiej żyją jeszcze, porzuceni po gigantycznym mieście, jakim jest Tokio. Każdy z własnymi świadectwami, własnymi pamiątkami i własnymi wspomnieniami. Każdy pochłonięty obroną własnej prawdy, każdy odurzony myślą, że w ten czy inny sposób był zaplątany w ową niebywale tajemniczą historię.-

W dzielnicy Kodaira nieszka siedemdziesięcioletni Ito Ritsu, dzisiaj głuchy i ślepy, a niegdyś członek kadr Japońskiej Partii Komunistycznej, człowiek, który podobno zdradził siatkę Sorgego. Współczesny Judasz - zgodnie z tytułem pewnej wydanej w Japonii książki. Zniknął w 1950 roku i pojawił się ponownie w 1980 roku. Pojechał do Pekinu prosić o azyl polityczny, ale został wtrącony do chińskiego gułagu - na dwadzieścia siedem bardzo długich lat. Dla Japońskiej Partii Komunistycznej Ito Ritsu nadal jest wielkim zdrajcą, ale niektórzy twierdzą, że on sam padł ofiarą wewnętrznych porachunków (dotknęły one środowiska komunistyczne w wielu krajach).

Zaledwie pięć kilometrów dalej mieszka Hotsuki Ozaki, brat najbliższego japońskiego współpracownika Sorgego, który również zawisł na szubienicy. W 1945 roku Hotsuki założył stowarzyszenie w celu obrony grupy Sorge-Ozaki przed atakami. Nadal próbuje udowodnić, że jego brat nie był szpiegiem, lecz patriotą.

Na peryferiach Jokohamy mieszka Toshiko Yamasaki, wdowa po Jugosłowianinie Branku Vukeliciu, najważniejszym po Sorgem członku grupy. Vukelić został skazany na dożywocie i umarł z głodu oraz zimna w jednym z więzień w Abashiri, na japońskiej 139 Syberii, na krótko przed klęską 1945 roku. Wdowa chce, żeby wszyscy członkowie grupy, nie tylko Richard Sorge, przeszli do historii.

Z siedemnastu aresztowanych z kręgu Sorgego dwóch zostało powieszonych (Sorge i Ozaki), siedmiu zaś zmarło w więzieniu. Z pozostałych ośmiu, uwolnionych wraz z przybyciem Ameryk[^] - nów, sześciu umarło, jeden zniknął, a ostatni, Kodai Yoshinobu, żyje jako kupiec detaliczny w prefekturze Gumma i od czterdziestu lat nie chce mówić o sprawie Sorgego. Hanako Ishi natomiast mówi często i chętnie. Spośród ocalałych bohaterów tej historii robi najwięcej. Jej książka, autobiograficzna i bardzo uczuciowa, Ningen Sorge (Człowiek o nazwisku Sorge) - ma już czwarte wydanie.

Hanako-san poznała Sorgego w 1935 roku. Przyjechała do Tokio, aby szukać posady pielęgniarki, ale nie znalazła pracy i została kelnerką w Rheingold, znanej piwiarni w dzielnicy Ginza, której właścicielem był Niemiec Wilhelm Ketel. Japończycy aresztowali go w Qingdao, w Chinach, i deportowali do Tokio jako jeńca wojennego. Po wyjściu na wolność Ketel otworzył Rheingold i lokal szybko stał się miejscem spotkań tokijskich nazistów. 4 października 1935 roku Sorge świętował tam swoje urodziny. Hanako-san poszła z nim wieczorem do domu.

Była jedną z wielu kobiet, z jakimi spotykał się słynny szpieg, nie zaś wielką miłością: ta nadal pozostaje nieznaną. Hanako-san nie mieszkała z Sorgem, miała jednak klucze do jego mieszkania w dzielnicy Azabu i kiedy chciała, nocowała u niego. Ta dwójka z trudem się porozumiewała: Sorge nie mówił po japońsku, a ona nie znała ani niemieckiego, ani angielskiego.

18 października 1941 roku policja japońska aresztowała Sorgego. 7 listopada 1944 roku szpieg, razem z Ozakim, został powieszony. Hanako-san o niczym nie wiedziała. Rodzina Ozakiego odebrała ciało, ale nikt nie przyszedł po zwłoki Sorgego. Skazaniec powinien był zostać skremowany, ale w dniach końca wojny brakowało benzyny, toteż został pochowany na Zoushigaya, cmentarzu nędzarzy i włóczęgów w okolicach więzienia Sugamo, gdzie przeprowadzono egzekucję. Nazwisko wypisano na zwykłej drewnianej tabliczce.

Dopiero w 1945 roku Hanako-san dowiedziała się, że jej przyjaciela stracono. W 1947 roku poinformowano ją, że został pochowany gdzieś w Tokio. Wtedy zaczęła szukać grobu. Sorgego szukali również Amerykanie, przybyli do Japonii w 1945 roku jako siła okupacyjna, ale bezskutecznie: drewniana tabliczka na grobie nieszczęśnika została zużyta na opał, a wszystkie mogiły wyglądały tak samo.

Pewnego dnia zjawił się jednak u Hanako-san grabarz i powiedział jej, że znalazł ciało, które może ją interesować: z pewnością zwłoki cudzoziemca, ponieważ kości były zbyt duże, aby chodziło o Japończyka. Hanako-san pospieszyła na miejsce. Nie miała wątpliwości: to był Sorge. Jak przystało na dobrą pielęgniarkę, rozpoznała złamaną kość udową prawej nogi, na którą w następstwie rany odniesionej podczas pierwszej wojny światowej szpieg zawsze kulał. Rozpoznała także jego sztuczną szczękę. Ze sterty kości wyjęła okulary Sorgego, kłamrę paska i złote plomby. Kazała zrobić z nich obrączkę; nadal nosi ją na palcu. Zeznanie Hanako-san pozostaje do dzisiaj najważniejszym dowodem na śmierć Sorgego.

- Chciałam zabrać także jego wielkie buty, ale były już przegniłe - mówi. - My, Japończycy, wierzymy, że włosy nadal rosną po śmierci, więc zdziwiłam się, że trup jest łysy. Zwróciłam uwagę na protezę. Poznałam ją natychmiast. Byłam jeszcze młoda, kiedy się spotykaliśmy, i z początku trochę się brzydziłam jego sztucznej szczęki. Po jedzeniu wkładał ją do szklanki, w której lśniła białym blaskiem...

Hanako-san kazała skremować zwłoki, kupiła kawałek ziemi na cmentarzu Tama i pochowała prochy. Na kamieniu nagrobnym poleciła wyryć gotykiem: „Richard Sorge”. Pod spodem umieściła tekst po japońsku: „Tu spoczywa bohater, który oddał życie w walce przeciwko wojnie, na rzecz światowego pokoju”.

Czasy były ciężkie. Kochankę szpiega okrywała hańba. Prasa pisała, że to za sprawą Richarda Sorgego Japonia została pokonana. Zawsze, gdy ukazywał się artykuł o agencie, Hanako-san dostawała anonimowe pogróżki i ostrzegawcze listy. Każdy, kto miał coś wspólnego z Sorgem, był prześladowany i dyskryminowany. Japońska wdowa po Vukeliciu przez całe lata nie mogła znaleźć pracy i żyła z dzieckiem w nędzy. Brat Ozakiego został wyrzucony z biura i z mieszkania. Hanako-san przeprowadziła się do małego drewnianego domku w dzielnicy Mitaka i jakoś wiązała koniec z końcem, podnajmując trzy miejsca noclegowe studentom.

Po ocaleniu doczesnych szczątków Sorgego Hanako-san postanowiła uratować także jego reputację. Od trzydziestu lat gromadzi w swoim domku wszystko, co ukazuje się na temat agenta - książek jest już ponad sto - i pisze listy do dziennikarzy oraz autorów. Poprawia błędy pojawiające się w ich tekstach.

Sorge nie był pijakiem, jak mówią ludzie. Picie należało do jego technik kamuflażu. Jasne, że lubił kobiety, ale zachowywał się rycersko wobec tych, które kochał.

- Myślę, że to część jego niemieckiego charakteru - oznajmia Hanako-san. W książce, którą w 1949 roku napisała o nim i o ich związku, opowiada, że jeden jedyny raz pokłóciła się z kochankiem o inną kobietę: żonę ambasadora niemieckiego w Tokio, Eugena Otta. - Dziś żałuję, że wymieniłam to nazwisko. Sorge nigdy by tego nie zrobił. Był dżentelmenem.

W 1964 roku Sorge został zrehabilitowany: oczywiście nie w Tokio, lecz w Moskwie. Po dwudziestu latach milczenia Sowietów, nieoczekiwanie i bez wyraźnego powodu, uczynili z niego bohatera ZSRR. Hanako-san została zaproszona do Moskwy (była tam potem jeszcze dwukrotnie) i po długich pertraktacjach z radzieckimi dyplomatami w Tokio (ówczesny tłumacz ambasady jest obecnie ambasadorem) zgodziła się na wymianę kamienia nagrobnego. Na nowym czarnym granicie pojawił się również tekst rosyjski, a jako że bohaterowie socjalistyczni nie mogą prowadzić swobodnego życia, Hanako Ishi jest w nim określana jako „żona”.

-Słowo ai jin, „kochanka”, wprawiałyby w zakłopotanie delegacje przyjeżdżające ze Związku Radzieckiego - wyjaśnia mi Hanako.

Ambasada radziecka w Tokio organizuje wycieczkę na cmentarz Tama dla wszystkich ważnych gości. Marynarze ze statków, które zawijają do Jokohamy, są tam zabierani autokarem. Dla Rosjan pamiątkowe zdjęcie przed grobem Sorgego jest obowiązkową częścią wycieczki po Japonii, podobnie jak zakup sprzętu elektronicznego w dzielnicy Akihabara.

Od roku Sowietów jeszcze bardziej troszczą się o mit Sorgego. Imponujący pomnik - składający się z pary tajemniczych oczu wyrzeźbionych w ścianie - został odsłonięty w Baku, rodzinnym mieście agenta, a z okazji „dziewięćdziesiątej rocznicy urodzin szpiega również Moskwa postawiła mu pomnik w stylu socrealizmu. Przedstawia on mężczyznę osłoniętego prochowcem i przechodzącego przez mur.

- Zdumiewa mnie, jak bardzo fałszuje się dzisiaj historię - mówi Hotsuki Ozaki, który właśnie wrócił z Moskwy. Brał tam udział w kongresie pisarzy i odwiedził jedno z pięćdziesięciu gimnazjów noszących imię Richarda Sorgego. - Młody pionier wyrecytował przede mną historię, zgodnie z którą Sorge, mimo tortur, całe miesiące nie zeznawał, a jego współpracownik, poeta Miyagi, popełnił harakiri, żeby nie wydać towarzyszy. A przecież niektóre szczegóły już znamy: Sorge zaczął mówić po ośmiu dniach tortur, Miyagi zaś zmarł w więzieniu na gruźlicę.

Prawda o sprawie Sorgego nie interesuje Sowietów. Mimo wszystkich pomników, książek, znaczków i propagandy, nadal nie otworzyli oni archiwów i nie chcą ujawnić ich zawartości. Tajne są nawet wiadomości, które Sorgemu udawało się przesyłać z Tokio i które - jak chce legenda - uratowały Moskwę przed atakiem nazistów. „Tajna” pozostaje, a przynajmniej na to wygląda, nawet córka zostawiona przez Sorgego w Związku Radzieckim.

Kiedy agent wyjechał z Moskwy do Tokio, jego druga, rosyjska żona była w ciąży. Kobieta zginęła podczas stalinowskich czystek i przez długi czas myślano, że dziewczynka podzieliła jej los, ale sami Sowietów, w 1965 roku, ujawnili, że żyje.

- Chcieli, aby i ona wzięła udział w uroczystościach ku czci grupy Sorgego - opowiada pani Yamasaki-Vukelić (ona także została zaproszona do Moskwy). - Powiedzieli mi jednak, że sieroty, noszącej obecnie nowe nazwisko, nie da się odnaleźć.

Sowiecka część Sorge story jest prawdopodobnie zbyt okrutna, aby Rosjanie ją upublicznili. Generał Berzin, człowiek, który wysłał Sorgego jako agenta Kominternu najpierw do Szanghaju, a potem do Tokio, został rozstrzelany podczas czystek w 1938 roku. To samo spotkało jego następcę. Prawdopodobnie zginąłby również Sorge, gdyby wrócił do Moskwy, jak mu rozkazano po egzekucji Berzina. Ale on odmówił.

Niemiec Sorge zbyt głęboko wniknął w aparat wojskowy nazistów w Tokio, aby nie wzbudzić u swoich moskiewskich mocodawców podejrzenia, że w rzeczywistości stał się agentem wroga. Stalin nie wierzył w wiadomości przesyłane przez swojego szpiega.

- Niewątpliwie Sorge był podwójnym agentem, ale w ostatecznym rachunku dochował wierności Moskwie - mówi mi Ishido Kiyotomo, historyk japońskiego ruchu komunistycznego.

Nie jest natomiast jasne, czy faktycznie brano pod uwagę Sorgego podczas pertraktacji dotyczących wymiany szpiegów pozostających w niewoli. Rosjanie wiedzą coś na ten temat, ale nie chcą nic powiedzieć.

- Gdyby odbywały się takie pertraktacje, musiałbym być o tym poinformowany - twierdzi generał Seizo Arisuei, szef kontrwywiadu cesarskiej armii japońskiej w latach 1942-1945. Zdołałem go odnaleźć, dziś dziewięćdziesięciodwuletniego, w skromnie urządzonej domku w Tokio.

Oficjalnie Rosjanie nie chcieli mieć nic wspólnego z Sorgem.

144 Kiedy został aresztowany pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Kominternu, rzecznik ambasady radzieckiej w Tokio stwierdził: „To prowokacja SS”. A gdy pani Hanako Ishi, potem zaś wdowa Vukelić udały się po wojnie do ambasady w poszukiwaniu pomocy, obie zostały dosłownie wyrzucone za drzwi.

Według legendy Sorge był szpiegiem wszech czasów. Z kilkoma bezcennymi tygodniami wyprzedzenia miał poinformować Stalina o zbliżającym się ataku nazistów na Związek Radziecki, myśląc się jedynie o kilka dni w dacie; miał też powiadomić Moskwę na czas, że Japończycy obiorą kierunek na Azję Południowo- -Wschodnią, nie zaś na Rosję. Wiadomość owa ponoć pozwoliła Stalinowi wezwać ważny kontyngent oddziałów z frontu syberyjskiego i rzucić je na Zachód przeciwko Niemcom. Sorge byłby więc „człowiekiem, który uratował Moskwę”, zgodnie z tytułem książki Roberta Guillaina⁸.

Dziś natomiast wydaje się[^]bardziej prawdopodobne, że sprawy wyglądały nieco inaczej.

-O tym, że Japończycy zamierzają zaatakować na południu, a nie na północy, mówili wszyscy - uważa Yukio Kanazawa, historyk przygotowujący książkę o okresie powojennym w Japonii.- To, że Sorge telegrafował do Moskwy, nie było tajemnicą państwową.

Zdaniem Kanazawy agent już na całe miesiące przed aresztowaniem został namierzony przez policję japońską i poddany kontroli. Aresztowanie i rozbicie grupy Sorgego miał zlecić i wykorzystać generał Tojo, aby wyeliminować z rządu liberalne elementy, w jakiś sposób powiązane z sowieckim szpiegiem. I ponoć nieprzypadkowo Tojo został premierem dokładnie na dzień przed aresztowaniem Sorgego.

Pozostaje zagadką, co Sorge robił w więzieniu.

- Słyszałem, jak cały czas pisze na maszynie - opowiada mi Ta- kehiko Nakamura, zamieszany w morderstwo ministra Hiranumy ultranacjonalista, który znajdował się w więzieniu równocześnie z Sorgem. - Ze spotkań na korytarzu pamiętam tylko jego zapadnięte, pałające oczy. Pod słomkowym kapeluszem, który każdy z nas musiał nosić.

Kiedy Amerykanie przybyli do Japonii, natychmiast zaczęli szukać akt sprawy Sorgego. Dla nich agent był człowiekiem, który walczył po stronie aliantów; w konsekwencji wydali rozkaz aresztowania oficerów i funkcjonariuszy japońskich odpowiedzialnych za jego powieszenie.

- Policja japońska miała jednak czas, aby sfałszować dokumenty - mówi historyk Kanazawa. - Wszystkie informacje o planach grupy Sorgego: zapobiegnięcia wojnie między Japonią a ZSRR i stworzenia pacyfistycznego świata, zostały usunięte z papierów. Uwydatniono natomiast poszlaki wskazujące na „spisek komunistyczny”.

Podczas tej operacji zniknął także testament ideologiczny napisany przez Ozakiego i dziennik, który, jak wiadomo, Sorge prowadził w więzieniu.

Podczas amerykańskiej okupacji środowiska liberalne w administracji wojskowej zostały szybko zmarginalizowane i zastąpione przez konserwatywne. Sorge stał się w ten sposób wielkim szpiegiem komunistów, a jego akt, opublikowanych podczas politycznego awansu McCarthy'ego, użyto przeciwko amerykańskiej lewicy i do usprawiedliwienia polowań na czarownice w samych Stanach Zjednoczonych. Przypadek Sorgego miał pokazać, że siatka komunistyczna na usługach Moskwy, podobna do tej w Tokio, istniała i działała zarówno w Ameryce, jak i w Europie.

Mit Richarda Sorgego, „największego szpiega w historii”, stworzony przez Japończyków, potem zaś z wielu powodów podchwycony przez Amerykanów, posłużył dwadzieścia lat później Sowietom. Trwała destalinizacja, a Sorge, ofiara, w pewnym sensie, stalinizmu, stał się bohaterem ZSRR. Jako bojownik proletariatu, z pochodzenia Niemiec, ale wierny Związkowi Radzieckiemu, człowiek ten był doskonałym wzorem solidarności wewnątrz bloku wschodniego, którą Moskwa chciała wtedy propagować. Nieprzypadkowo w Niemieckiej Republice Demokratycznej błyskawicznie wydrukowano książeczki dla dzieci, opowiadające, w formie bajki, o bohaterskim życiu „sowieckiego” herosa.

Większości rządów zamieszanych w tę sprawę nadal zależy na ukrywaniu prawdy o Sorgem. Chińczycy są tak samo wstrzeźliwi jak Sowieci (mimo dzielących ich różnic ideologicznych) w upublicznianiu tego, co wiedzą o agencie, a partia komunistyczna Mao uniemożliwia badania nad dokumentami związanymi z okresem, który Sorge spędził w Szanghaju.

- Powód jest prosty - mówi profesor Ishido. — W tych dokumentach znalazłyby się dowody na to, że dzięki informacjom otrzymanym od oficerów niemieckich zbliżonych do Kuomintangu Sorge pomógł Mao Zedongowi uniknąć wielu prób osaczenia go ze strony armii nacjonalistycznej. A Chińczycy wolą przypisywać sukcesy raczej sobie niż jakiemuś cudzoziemskiemu agentowi.

Dla Japońskiej Partii Komunistycznej, poważnie zamieszanej w sprawę Sorgego, cała historia nadal jest absolutnym tabu. Drobiazgowa rekonstrukcja tego, co się stało, ujawniłaby, że wielu przywódców partii komunistycznej, w tym jeden z jej założycieli i pierwszy przewodniczący po zakończeniu wojny, Sanzo Nosa-ka, było szpiegami Kominternu. A to, nawet w dzisiejszej Japonii, oznaczałoby dla JCP wielką plamę na honorze, politycznie bardzo niebezpieczną.

Ślady prawdziwego Richarda Sorgego zaczynają znikać z Tokio. Dom szpiega, o którym mówi się w Domku w Azabu (taki tytuł nosi książeczka dla dzieci opublikowana w Niemieckiej Republice Demokratycznej), został zniszczony przez bomby amerykańskie. Piwiarnia Rheingold, która po wojnie stała się sklepem mięsnym, zamknęła ostatnio swoje podwoje, ponieważ, jak twierdzi Helmut Ketel, wnuk założyciela lokalu, „społeczność obcokrajowców w Tokio nie jada już niemieckiej kiełbasy”. W budynku otwarto natomiast nową restaurację Ketel. Stare więzienie Sugamo, gdzie Sorge zawisł na szubienicy, musiało ustąpić miejsca blokowi mieszkalnemu i parkingowi. W małym ogródku stoi pomnik, nie ku czci Sorgego, lecz siedmiu wielkich zbrodniarzy wojennych, straconych w tym więzieniu po procesie toczącym się równoległe z norymberskim. Inskrypcja głosi: „W nadziei na wieczny pokój”.

Na cmentarzu Tama, gdzie wiele postaci z japońskiej przeszłości znalazło miejsce spoczynku, wczorajsi zaciekli wrogowie leżą obok siebie. O kilka kroków od mogiły komunisty i pacyfisty Ozakiego znajduje się kamień nagrobny generała Yamashity, „malezyjskiego tygrysa”, straconego przez aliantów w Manili za zbrodnie wojenne. Parę metrów dzieli nagrobek Sorgego od nagrobka admirała Yamamoto, odpowiedzialnego za atak na Pearl Harbor - atak, o którym agent miał z wyprzedzeniem poinformować Moskwę.

Wszyscy nareszcie spoczywają w pokoju. Tylko przyszłość Sorgego jest jeszcze niepewna.

- Kiedy umrę, moja siostrzenica będzie zajmować się jego grobem - zapewnia mnie Hanako-san. - Problem polega na tym, że ona też ma już pięćdziesiąt osiem lat.

W dzisiejszej Japonii, gdzie wielu młodych ludzi nie słyszało nawet o drugiej wojnie światowej, Richard Sorge nie jest już ani częścią historii, ani znaną osobą. W ubiegłym roku, kiedy stowarzyszenie założone przez brata Ozakiego, obecnie pod nazwą Stowarzyszenie na rzecz Zbadania Sprawy Sorge-Ozaki, zwołało kongres, z całej Japonii przyjechało nie więcej niż dziesięciu uczestników. Większość miała ponad siedemdziesiąt lat. I także tego argumentu używają Rosjanie, aby przekonać panią Hanako Ishi:

- W Japonii już tylko kilka starszych osób zajmuje się Sorgem. A w Moskwie tysiące ludzi dzień w dzień przynosiłyby mu kwiaty - mówią.

Na razie Hanako-san zdecydowanie odrzuca pomysł przeniesienia grobu do Związku Radzieckiego. W geście dobrej woli zaproponowała, aby, jak to się robi w Azji, Rosjanie zabrali do Moskwy część prochów, ale oni są przeciwni takiemu rozwiązaniu.

- Albo wszystko, albo nic - powtarzają.

Sowieci są nawet gotowi - jeśli tylko Hanako-san wyrazi zgodę - na pertraktacje z rządem Japonii: prochy Sorgego w zamian za prochy generałów japońskich poległych na Syberii podczas drugiej wojny światowej.

Każdy cudzoziemiec zauważa rozróżnienie, jakiego Japończycy nieustannie dokonują między sobą a tymi wszystkimi, którzy nie są Japończykami. Przeczytałem gdzieś nawet, że mieszkańcy archipelagu sądzą, iż mają jelita dłuższe niż inni ludzie. Z tego powodu postanowili przeprowadzić badania nad japońską „wyjątkowością”.

Japończycy w lustrze

Tokio, październik 1986

Dyplomata i bankier europejski wchodzi do ekskluzywnego nocnego klubu w dzielnicy Ginza. Gdy tylko siadają, elegancki Japończyk przy stoliku obok zwraca się do swojego towarzysza hulanki:

- Śmierdzi! Coś tu śmierdzi!

Europejczycy udają, że nie rozumieją, i zamawiają dwie whisky. Japończyk powtarza swoje:

- Śmierdzi!

A potem przez hostesę przesyła im bilecik, na którym jest napisane: „...i uważajcie, tu nie będziecie nawet w stanie zapłacić rachunku!”

Rzeczywiście, udaje im się z najwyższym trudem. Rachunek opiewa na równowartość pięciuset euro.

Nowo zdobyte bogactwo obudziło w Japończykach arogancję, a ich silna niechęć wobec gai jin, obcych, objawia się obecnie o wiele częściej niż w przeszłości. „Nie ma pan nic przeciwko siedzeniu obok gai jin?”, pytają niekiedy stewardesy JAL, przeprowadzając check-in pasażerów pierwszej klasy. Jakiś czas temu prasa opublikowała list cudzoziemca, który opowiadał, jak jego japoński kolega, towarzysz podróży, nieustannie był przeproszany przez japońską szefową stewardes „za dyskomfort związany z siedzeniem obok gai jin”.

Niektóre dyskoteki w dzielnicy Roppongi są najzwyczajniej w świecie zamknięte dla obcokrajowców. „Gai jin robią za dużo hałasu” - oto rzekomy powód. Na drzwiach sauny Oban w dzielnicy Shinjuku - tylko dla mężczyzn - widnieje napis: „Cudzoziemców prosi się o niewchodzenie”. Gai jin są uważani za nosiciele HIV.

Wyspiarze, których morze oddziela od świata, pustelnicy, którzy przez ponad dwieście lat (od 1638 do 1853 roku) dobrowolnie rezygnowali z kontaktów z zagranicą - Japończycy zawsze mieli duże trudności w porozumiewaniu się z innymi. Rozdarci pomiędzy kompleksem niższości a kompleksem wyższości, znajdują ratunek w myśli, że są tak różni od wszystkich, że aż wyjątkowi, i dlatego^ oczywiście, nikt nie może ich zrozumieć.

- Życzę wam miłego pobytu, ale muszę powtórzyć, że nigdy nas nie zrozumiecie - powtarza co rok pewien profesor Uniwersytetu w Kioto, witając zagranicznych studentów przyjeżdżających uczyć się o Japonii.

The Roads to Sata, piękna, dopiero co opublikowana książka młodego Anglika Alana Bootha, który na piechotę przeszedł prawie trzy tysiące kilometrów archipelagu, kończy się znaną rozmową między autorem a pewnym staruszkiem z wyspy Hokkaido. Gdy Japończyk wyjaśnia pisarzowi, że nic nie zyska, poznając język, podróżując po kraju czy rozmawiając z ludźmi, Anglik pyta go, co w takim razie powinien zrobić.

- Nic. Nic. Wy nigdy nie zrozumiecie Japonii.

Niektórzy twierdzą, że w przeszłości Japończycy nie byli aż tak świadomi „bycia Japończykami”.

- Inaczej niż wy, ludzie Zachodu, my nigdy nie musieliśmy konfrontować się z innymi narodami, nigdy nie prowadziliśmy wojen, a jedynie małe lokalne potyczki - mówi Shichihei Yamamoto, historyk, właściciel niedużego wydawnictwa w Tokio. - Jednym z najważniejszych wydarzeń z naszej przeszłości jest bitwa, która trwała cztery godziny.

Dopiero w połowie XIX wieku, kiedy Japonia musiała otworzyć granice, kraj ten nauczył się konkurować z Zachodem i określać własną pozycję w stosunkach międzynarodowych. Wtedy Japończycy zaczęli zadawać sobie pytanie, kim są. Idea wyjątkowości została zaczerpnięta od cudzoziemców. Jezuita Francesco Saverio, który w 1549 roku dotarł na południe archipelagu, napisał w swoim dzienniku: „Ludzie przez nas napotkani należą do najwartościowszych... i mam wrażenie, że nie spotkamy już nikogo, kto by mógł równać się z Japończykiem”. Od tamtej pory zdumienie i zachwyty wywołane innością tubylców wpływały na zachodni ogląd tego kraju i jego mieszkańców. Japończycy to wykorzystali.

Od dziesięciu lat badają oni nową dziedzinę, nihonjin ron, „teorię japońskości”. Dziesiątki „okrągłych stołów”, programów telewizyjnych i rozpraw mają za temat Japonię. Książek objaśniających „człowieka japońskiego” człowiekowi japońskiemu jest już ponad tysiąc. Wiele stało się bestsellerami. Jedną z nich, opartą na rzekomym podobieństwie pomiędzy Japończykami a Żydami, sprzedano w ciągu roku w liczbie miliona egzemplarzy. Każdy aspekt „japońskości” jest traktowany z uwagą, od „myśli japońskiej” po „uśmiech japoński”. Niedawno weszła do księgarń pozycja pod tytułem Japoński nos.

-Japońskość stała się prawdziwą religią Japonii - mówi profesor Yamamoto. -Japończycy sami są dla siebie bogami.

Czy tak było od początku? Najstarszą religią Japończyków jest szintoizm i zawsze uderzał mnie fakt, że na głównym ołtarzu świątyni szintoistycznych, zamiast wizerunku boga albo jego symbolu, znajduje się lustro, jakby naprawdę bóstwem byli przeglądający się w nim Japończycy.

Ostatnio pewien pracownik wydziału medycyny na Uniwersytecie Tokijskim opublikował książkę, pozornie naukową, Mózg japoński: unikalność i uniwersalizm. Przy pomocy komputerowych diagramów i kolorowych schematów doktor Tadanobu Tsuno- da wykazuje, że umysł Japończyków funkcjonuje inaczej niż u pozostałych istot ludzkich. Zgodnie z tą teorią, Japończycy są

Japończykami, ponieważ mówią po japońsku. Jako że język japoński jest o wiele bogatszy w samogłoski od innych języków (na przykład ooo oooo oo oo oznacza: „Dzielny król ukrywa swój ogon, kiedy wychodzi”), mózg Japończyka, dzięki długiej ekspozycji na te dźwięki, miałby rozwijać się szybciej niż u reszty ludzi. Dwadzieścia lat eksperymentów pozwoliło doktorowi Tsunodzie skonstatować także, iż Japończycy przetwarzają samogłoski w lewej półkuli mózgu, podczas gdy inne narody —w prawej. To wyjaśniałoby, zdaniem uczonego, dlaczego Japończycy mają lewą część mózgu o wiele lepiej wykształconą niż gajjin.

Zdumiewa w tym wszystkim fakt, iż książeczka, przeznaczona dla wąskiego grona naukowców, stała się narodowym bestsellerem. Może dlatego, że istnieje nieuświadomione, ale szeroko wśród Japończyków rozpowszechnione pragnienie posiadania cech, których inni nie mają. Testy przeprowadzone przez doktora Tsunodę dowodzą na przykład, że Japończycy są „osobami wyjątkowo wrażliwymi, znajdującymi ukojenie podczas słuchania cykad albo innych owadów”. Ludzie Zachodu, przeciwnie, są jakoby absolutnie niewrażliwi na owe dźwięki. „Dla gajjin te delikatne odgłosy przypominają hałas starego samochodu albo szum klimatyzatora”, pisze Tsunoda. A Japończycy się cieszą.

Pogląd, że mieszkańcy tego kraju jako jedyni żyją w szczególnej harmonii z naturą, jest w Japonii bardzo popularny. Podziela go z pełnym przekonaniem sam Nakasone. W kwietniu tego roku premier, w obecności tysiąca gości zaproszonych na podziwianie kwitnących wiśni

w cesarskich ogrodach Shinjuku, powiedział, że owszem, widywał pelargonie w oknach Europejczyków podczas swojej niedawnej podróży na nasz kontynent, ale Japończycy to jedyny naród, który naprawdę potrafi rozkoszować się kwiatami.

Teoria wyjątkowości jest wykorzystywana chociażby w kontaktach międzynarodowych. Japończycy tłumaczą, że muszą postępować „na sposób japoński”, unikając w ten sposób respektowania oczywistej zasady wzajemności. Japonia to na przykład jedyny kraj na świecie, który nie uznaje testów lekarstw przeprowadzanych za granicą, czyli na cudzoziemcach. Od niedawna niektóre zagraniczne preparaty farmaceutyczne mogą być sprzedawane także tutaj... ale tylko pod warunkiem, że cudzoziemcy, na których zostały wykonane testy, mieszkają w Japonii! W ubiegłym roku podczas pewnej konferencji międzynarodowej profesor uniwersytetu pracujący dla MITI stwierdził, że śnieg padający na archipelagu jest unikalny - bardziej wilgotny i miękki od europejskiego, a zatem wyłącznie narty japońskie mogą być używane w tym kraju. Narty z importu nie gwarantowałyby bezpieczeństwa.

Teoria wyjątkowości leczy japońskie kompleksy. Bowiem choć Japończyk uważa, że gajjin śmieją się (używa się tu określenia „ci, którzy cuchną masłem”), jego ideał piękna to jednak cudzoziemiec. Na przykład w niemal wszystkich reklamach mody występują modelki i modele z Zachodu. Japończycy nie uważają się za ładnych. Na początku XX wieku pisarz Soseki Natsume wyznał w dzienniku prowadzonym podczas pobytu w Londynie, jak bardzo cierpiał, porównując się z Europejczykami - czuł się niski, brzydki i trupio blade. Dwa lata później wyjechał z Anglii z głęboką depresją.

Opuściwszy swoją ojczyznę, Japończyk ma wrażenie, że jest niezdarny i nieprzygotowany. To dlatego każde duże japońskie przedsiębiorstwo posiada specjalny dział szkoleń dla pracowników udających się za granicę. Są oni instruowani, jak postępować w samolotach, restauracjach i hotelach na Zachodzie. Kursy trwają zazwyczaj kilka tygodni.

Ichiro Kawasaki, japoński ambasador, który służył swojemu rządowi w Buenos Aires i Warszawie, napisał w książce *Japan Unmasked*: „Ze wszystkich ras na świecie Japończycy są fizycznie najmniej atrakcyjni, z wyjątkiem może Pigmejów i Hotentotów”. Swoją szczerą przyczyną utraty stanowiska.

Teoria wyjątkowości narodziła się pod koniec XIX wieku, w epoce Meiji, kiedy obcokrajowcy tysiącami przyjeżdżali do Japonii, aby przekazywać Japończykom podstawy technologii i nauk Za

chodu. Miała ona działać jak psychologiczny mechanizm obronny wobec napływu gajjin. Fakt, że dziś teoria odżywa, czterdzieści lat od klęski w drugiej wojnie światowej, i to z taką gwałtownością, zaczyna niepokoić wielu intelektualistów. Wtedy doprowadziła do szowinizmu i ultranacjonalizmu lat trzydziestych. Co przyniesie tym razem? „Opowiadając się za wyjątkowością Japonii, obudzimy nietolerancję, która zawsze gdzieś się w nas czai”, czytamy w artykule wstępnym dziennika „Nihon Keisai Shimbun”. Od „wyjątkowego” do „lepszego” jest tylko jeden krok.

Czym uzasadnić tak wielką butę? Premier Nakasone znalazł bardzo prostą odpowiedź:

- Rasa japońska jest doskonała, ponieważ od czasów bogini Amaterasu Japończycy pozostali nieskażeni domieszkami niczym najlepsza sake; robiona wyłącznie z ryżu. - Dwa lata temu Nakasone powtórzył swoją teorię w Hiroszimie: - Tak wiele osiągnęliśmy, ponieważ od dwóch tysięcy lat nasza rasa nigdy się nie zmieszała z żadną obcą rasą.

Często właśnie „czystością rasową” tłumaczone są dzisiejsze sukcesy ekonomiczne Japonii. Cudzoziemcowi pytającemu, dlaczego przestępczość jest tu niższa niż na Zachodzie, władze odpowiadają: „Ponieważ my jesteśmy narodem etnicznie bardziej jednorodnym”. I utrzymują, że kryzys przemysłu samochodowego w Ameryce zapoczątkowało przyjęcie czarnych robotników do fabryk Detroit.

Japońskie uprzedzenia związane z obcokrajowcami jeszcze się pogłębiają, gdy gai jin jest kolorowy. Pewna japońska klasa, która w najlepsze korespondowała z klasą dzieci

amerykańskich, otrzymała nagle od dyrektora nakaz zerwania wymiany listów. Szkoła odkryła, że korespondenci ze Stanów byli czarni.

Pogląd, iż mniejszości utrudniają rozwój kraju, jest tu popularny, a ugruntował go oczywiście Nakasone, kiedy 22 września ubiegłego roku przed zgromadzeniem młodzieżówki swojej partii wyraził opinię, że Japończycy są bardziej inteligentni od Amerykanów, gdyż Afroamerykanie, Portorykańczycy i Meksykanie 15!

obniżają średnią IQ w Stanach Zjednoczonych. Japończycy generalnie nie uważają dyskryminacji za fakt godny potępienia. Praktykują ją we własnym społeczeństwie.

Siedemset tysięcy potomków Koreańczyków przybyłych do Japonii trzysta lat temu w poszukiwaniu pracy albo przywleczonych tutaj siłą i wyznaczonych do robót przymusowych na początku XX wieku nadal jest uważanych za obcych i za obywateli drugiej kategorii. Około dwóch milionów burakumin, czyli niedotykalnych z dawnych czasów, wciąż stanowi mniejszość traktowaną z pogardą. Po 1975 roku, kiedy trzeba było znaleźć miejsce dla setek tysięcy uchodźców z Kambodży i Wietnamu, Japonia przyjęła niechętnie zaledwie kilka tysięcy. Uciekinierzy z Indo- chin nie potrafiliby się odnaleźć w jednorodnym etnicznie społeczeństwie japońskim - taki argument podało Tokio.

W rzeczywistości mieszkańcy archipelagu wcale nie są jednorodni. Wystarczy przejść się ulicami Tokio, aby spotkać Japończyków, którzy przypominają Mongołów czy Filipińczyków, ale to im nie przeszkadza nadal szczerzyć się mitem jednorodności. Nawet za cenę ukrywania prawdy historycznej. W ubiegłym roku nieoczekiwanie zostały wstrzymane prace archeologiczne w starożytnym grobowcu cesarskim niedaleko miasta Osaka, pod pretekstem, że świeże powietrze zniszczyłoby znajdujące się w nim dzieła sztuki. Prawdziwy powód, oczywiście nigdy niewypowiedziany wprost, jest taki, że wyniki prac wykopaliskowych mogły potwierdzić niewygodną dla Japończyków hipotezę, czyli że przodkowie rodziny cesarskiej, „czyste” krwi japońskiej, byli Koreańczykami. Zgodnie z mitem, ród cesarzy Japonii pochodzi w prostej linii od bogini słońca Amaterasu i jakkolwiek w 1946 roku władca został zmuszony do stwierdzenia, że jest „człowiekiem”, w dzisiejszych podręcznikach szkolnych nadal czytamy, że cała nacja pochodzi od bogów.

Ideę „czystej rasy” rozdmuchano podczas drugiej wojny światowej. Oficjalna propaganda tamtych czasów stwierdzała, że Japończycy różnią się od innych narodów i że to do nich, jako „potomków bogów”, należy historyczne dzieło panowania nad światem. Po tym, jak generał Yamashita w 1941 roku pokonał Brytyjczyków i podbił Singapur, mieszkańcy Tokio powtarzali z satysfakcją swoje popularne powiedzenie: „Biali, w opinii ich własnego uczonego, Darwina, pochodzą od małp. My, Japończycy, pochodzimy od bogów. Jest oczywiste, kto wygra wojnę, jeśli bogowie walczą z małpami!”

W pamięci średniego pokolenia Japończyków - a należy do niego także Nakasone - propagandowa idea „czystej rasy” pozostaje niezatarta, tak samo jak przekonanie o niższości innych narodów, w szczególności azjatyckich. Oto powód, dla którego ludzie z Azji Południowo-Wschodniej mają ogromne trudności ze znalezieniem mieszkania w Tokio, a studentom medycyny z Malezji, Indonezji czy Filipin nie wolno praktykować na japońskich pacjentach.

Kiedy Nakasone powiedział, co sądzi o inteligencji japońskiej i amerykańskiej - zanieczyszczonej przez czarnych - słuchało go około pięćdziesięciu lokalnych dziennikarzy, ale nikt nie powtórzył jego słów. Wypowiedź premiera nie była żadną sensacją: wszyscy myślą tutaj tak samo. Dopiero kiedy gazeta partii komunistycznej „Akahata” (Czerwony Sztandar) opublikowała przemówienie i podchwyciła je prasa amerykańska, wybuchł skandal i Nakasone musiał się tłumaczyć.

Nieco wcześniej szef Ministerstwa Edukacji Fujio stwierdził, że jego zdaniem Japończycy nie muszą już się wstydzić roli odegranej podczas drugiej wojny światowej. Najwyraźniej

Japonia nie czuje się dobrze w roli pokonanego i kozła ofiarnego, którą znosiła przez ostatnie czterdzieści lat.

Dzisiaj Japonia jest pierwszym krajem kredytodawcą świata; krajem z najwyższym dochodem, krajem, który bardzo wielu cudzoziemców wskazuje z podziwem jako wzór, krajem, który wkrótce prześcignie Stany Zjednoczone i Wielką Brytanię pod względem bogactw posiadanych poza granicami. A jednak ten ekonomiczny olbrzym pozostaje politycznym karłem; kimś w rodzaju 157

uczniaka cały czas zagrożonego tym, że skrzyczy go nauczycielka. Gdy premier składa hołd poległym za ojczyznę w świątyni Yasu-kuni, Pekin protestuje z oburzeniem. Gdy podręczniki szkolne prezentują japońską wersję przebiegu drugiej wojny światowej, wszystkie inne kraje azjatyckie oponują z furją. To zrozumiałe, że Japończycy nie chcą już być traktowani jak parias społeczności międzynarodowej.

Minister Fujio nie zwlekał z oceną sytuacji. Zaraz po objęciu urzędu powiedział, że:

- tak zwane „rzezie” popełnione przez Japończyków w Azji nie są żadnymi rzeziąmi, ponieważ „zabijanie to nie przestępstwo, kiedy jest się na wojnie”;
- odpowiadający norymberskiemu procesowi tokijski, w którym skazano na śmierć ośmiu hierarchów starego reżimu, był „arbitralnym procesem wytoczonym zwyciężonym przez zwycięzców”;
- bomby atomowe zrzucone przez Amerykanów na Hiroszimę i Nagasaki, których ofiarą padły setki tysięcy ludzi, były prawdopodobnie jeszcze bardziej niemoralne od masakr i wojennych zniszczeń dokonanych przez Japończyków w Azji.

Nakasone - głównie z powodu reakcji świata na to przemówienie - zażądał dymisji Fujia. Ale kiedy ten wyszedł po raz ostatni z ministerstwa, setki urzędników pojawiły się w oknach, żeby bić mu brawo.

To naturalne, że Japończycy chcą zajmować w świecie miejsce odpowiadające ich nowo zdobytemu bogactwu. „W XIX wieku Wielka Brytania wprowadziła międzynarodowy ład ekonomiczny i stanęła na jego straży. Stany Zjednoczone zrobiły to samo w wieku XX. Czas, aby Japonia stworzyła system międzynarodowy, który odzwierciedlałby jej interesy”, napisał niedawno pewien ekonomista z tokijskiego instytutu badawczego Nomura. Jego rodacy przygotowują się do tej globalnej roli. A jako że Anglicy i Amerykanie wpłynęli na świat nie tylko poprzez gospodarkę, ale i kulturę, Japończycy zastanawiają się teraz, co mogą dać planecie oprócz swojej silnej waluty.

Na siódmym piętrze Ministerstwa Edukacji mała, starannie wyselekcjonowana grupa tworzy pod kierownictwem profesora Takeshiego Umehary Międzynarodowy Instytut do Badań nad Japonią, o którym tak marzył Nakasone. Instytut zostanie otwarty w Tokio, zatrudni około sześćdziesięciu uczonych wielu specjalności, a jego budżet wyniesie miliard jenów.

- Naszym zadaniem będzie odnaleźć specyfikę kultury japońskiej, aby ją przekazać reszcie ludzkości - mówi profesor Umehara, szczęśliwy, że może mi przedstawić swoje teorie i nadzieje. Zauważając, że jestem Włochem, dodaje: - W przyszłości cudzoziemcy będą musieli umieć cytować naszego poetę Basho, tak jak my umiemy cytować Dantego.

Wiele osób, zwłaszcza w sąsiednich krajach, gdzie Japonia ma bardzo niewiele przyjaciół, niepokoi się możliwą eskalacją tej „nowej japońskiej arogancji”, jak ją nazwał dziennik „Asahi”. Inni uważają, że to spóźniona reakcja. Jared Taylor napisał w swojej ostatniej książce *Shadows of the Rising Sun: A Critical View of the Japanese Miracle*: „Od kiedy Japończycy znów zaczęli się puszyć, przestawanie z nimi staje się coraz trudniejsze”.

Japonia, ze wszystkimi swoimi problemami, dostarczała dziennikarzowi ciągłej pożywki, zwłaszcza intelektualnej. Trzeba było dużo czytać, spotykać się z ludźmi, ze specjalistami. A jednak tęskniłem za przygodą, za wyzwaniem związanym z robieniem czegoś trudnego, na granicy ryzyka. Gdy na Oshimie wybuchł wulkan, ludność została ewakuowana, a władze zakazały wstępu na wyspę, ruszyłem w drogę.

głos świętego ognia

wyspa Oshima, grudzień 1986

Ziemia jest czarna i poruszona. Dymi, bulgocze, syczy. Z głębi gigantycznego krateru dobiega co jakiś czas tajemniczy, złowrogi głos, jakby tysiąca pociągów przejeżdżających z hukiem przez tunel. Tam, w środku, olbrzymia siła bawi się kawałkami skały; zlepia je, stapia, wypływając w powietrze rozżarzone błoto...

Gdy tak stoję nad kraterem wulkanu Mihara, na wyspie Oshima, sto dwadzieścia kilometrów od Tokio, nie uspokaja mnie widok błękitnego nieba ani Fudzi wznoszącej się z niezmaconym spokojem na horyzoncie. Tu, w górze, czuję paraliżujący brak przygotowania, obezwładnia mnie strach, że świat dokoła, taki cichy i piękny, w każdej chwili może wylecieć w powietrze ze zwykłym „bang!” A ja razem z nim.

Z tym uczuciem Japończycy się rodzą, z tym strachem idą przez życie.

Japonia to jeden z najbardziej zagrożonych krajów na świecie. Spośród stu czterdziestu czterech wulkanów rozrzuconych po archipelagu siedemdziesiąt osiem jest czynnych. Do tej liczby dodać należy wulkany nadal nieznanne, znajdujące się pod dnem morskim, zawsze gotowe tworzyć nowe wyspy albo pochłonąć którąś z istniejących, jak często bywało w przeszłości. Archipelag japoński leży na dwóch nakładających się płytach skorupy ziemskiej. Jedna dąży na północ, druga na południe. Wrze między nimi rów z magmą, należący do największych na Ziemi. „Dryfujemy po morzu ognia”, doniósł niedawno dziennik „Mainichi” w artykule wstępnym.

Wulkany i trzęsienia ziemi idą z sobą w parze. W Japonii średnio występuje tysiąc wstrząsów rocznie. Kiedy trzęsienie przebiega pod morzem, na wybrzeża spada tsunami, gigantyczna fala osiagająca nawet dwadzieścia metrów. Ostatnie tsunami sześć lat temu w mgnieniu oka pochłonęło sto cztery osoby, między innymi obywatelkę Szwajcarii. Do tego należy doliczyć trzy lub cztery tajfuny w ciągu roku.

W dziejach archipelagu japońskie dzieci nauczyły się obawiać czterech rzeczy: trzęsienia ziemi, gromu, ognia i ojca. Dokładnie w tej kolejności. I nic się nie zmieniło: boją się również dzisiaj. Nauka i technologia nie mają na to większego wpływu. Najwyżej mogą pomóc określić prawdopodobieństwo wystąpienia katastrof naturalnych: Tokio, na przykład, co sześćdziesiąt lat nawiedza ogromne trzęsienie ziemi. Jako że ostatnie miało miejsce w 1923 roku, najbliższe, z punktu widzenia statystyki, spóźnia się o trzy lata. Według wszelkich prognoz poprzedzi je erupcja wulkanu. Z tego powodu 21 listopada, kiedy wulkan Mihara na wyspie Oshima zaczął nieoczekiwanie wypływać słupy lawy, a rozżarzone iskry widać było aż z wybrzeża, na wszystkich ekranach telewizyjnych pojawił się komunikat: „Nie obawiajcie się! To jeszcze nie jest zapowiadane wielkie trzęsienie ziemi”. Jednak dwa dni później, po erupcjach wulkanów Sakura-jima na południu i Kikurachki na północy, wielu Japończyków uwierzyło, że nadchodzi koniec.

Oshima, skrawek ziemi stulecia temu wyrzucony w górę przez wybuch podmorskiego wulkanu, znajduje się na zachód od Tokio, na wprost półwyspu Izu. Według geologów w efekcie drugiej eksplozji podmorskiej powstał na wyspie wulkan Mihara o wysokości siedmuset pięćdziesięciu ośmiu metrów. W latach trzydziestych Mihara był jednym z miejsc najczęściej wybieranych na samobójstwo. Moda zaczęła się w 1933 roku, kiedy studentka filologii rzuciła się do kipiącego krateru, zostawiając wiersz adresowany do przyjaciółki. Po niej ten rodzaj śmierci wybierały średnio trzy osoby dziennie, w większości młodzi ludzie. Jednak od zakończenia wojny kandydaci na samobójców wolą skakać w morskie fale ze skały Nishikigakura na półwyspie Izu.

Wulkan jest jedyną atrakcją turystyczną, jaką mogą się pochwalić mieszkańcy Oshimy. Na cześć jego świętej obecności wzniesli świątynię, a ku pamięci ofiar postawili rząd małych posągów Buddy wzdłuż drogi prowadzącej na szczyt. Jedyny pomnik na placu Motomachi, małej stolicy dystryktu, gdzie przybijają do brzegu stateczki parowe z Tokio, to wysoki na

trzy metry kawałek zastygłej lawy, wyrzucony podczas ostatniego wybuchu w 1777 roku. Kilka ulotek reklamowych w budkach telefonicznych zachęca do wybrania numeru 04992-23700 i posłuchania zarejestrowanego „głosu świętego ognia”.

Ostatnie rżężenie Mihary słyhać było w 1974 roku. Potem wulkan umilkł i spadła liczba turystów. Dla uczestników wycieczek ciekawszy stał się półwysep Izu i czterysta krokodyli przywiezionych z Azji Południowo-Wschodniej do parku Atakagawa oraz „głos dżungli” na przylądku Hirosaki, gdzie prywatna firma zrekonstruowała tropiki pod gigantycznym plastikowym namiotem. Gdy człowiek znajdzie się w środku, ma nieodparte wrażenie, że jest w buszu, wśród gwaru małp i trąbienia słoni niesionego przez ukryte w listowiu głośniki.

1 to dlatego 15 listopada, kiedy wulkan Mihara znów zaczął wydawać groźne pomruki, pierwszą reakcją mieszkańców Oshimy była radość: „głos świętego ognia” znów przyciągnie tłumy turystów. Ale szczęście nie trwało długo. Po południu 21 listopada słupy dymu buchały już w niebo, lawa wylewała się w kierunku Motomachi, a przy sto dziewięćdziesiątym piątym wstrząsie gubernator Tokio, któremu podlega Oshima, zarządził ewakuację wyspy. W ciągu zaledwie kilku godzin trzydzieści dziewięć statków handlowych oraz okrętów weszło do portu. Następnego ranka dziesięć tysięcy pięciuset osiemdziesięciu mieszkańców Oshimy, a także kilkuset turystów, znajdowało się już w obozie uchodźców w Tokio. Jedyną ofiarą był pewien staruszek, który umarł na zawał. Akcję przeprowadzono bez zarzutu.

Na wyludnionej wyspie ogłoszono stan wyjątkowy. Nikt nie może się do niej zbliżyć. Pilnują jej dwa okręty, helikoptery wojskowe i policyjne przelatują nad opuszczonymi polami i wioskami, automatyczne kamery telewizyjne śledzą krater. Nieliczni wpuszczeni na ten teren Japończycy przypominają żołnierzy na polu bitwy. Każdy nosi mundur: siedemdziesięciu dwóch strażników miejskich z Tokio - szary, trzystu czterdziestu dziewięciu strażaków - czarny, stu czterdziestu dziewięciu policjantów - granatowy. Naukowcy mają wypisaną nazwę swoich uczelni na żółtych opaskach na prawej ręce; głowy chronią białymi kaskami. Przy nabrzeżu stoją trzy statki pasażerskie, które służą za hotel i restaurację policjantom oraz innym funkcjonariuszom. Zabiorą stąd wszystkich, jeśli wulkan jeszcze raz wybuchnie.

Miałem szczęście: dotarłem na Oshimę z moim japońskim przyjacielem małą wynajętą łodzią. Udawaliśmy, że płyniemy na ryby. Kiedy zaczęło robić się ciemno, przybiliśmy tuż za portem i stamtąd ruszyliśmy na piechotę - nikt nie śmiał pytać, czy mamy pozwolenie.

Bardziej niż na dotkniętą erupcją wyspa wygląda na krajobraz po wybuchu bomby neutronowej albo po huraganie, który wyssał stąd wyłącznie ludzi. Wulkan nie wywołał żadnych szkód i miasto Motomachi jest absolutnie nietknięte. Domy stoją puste, drzwi są zaryglowane, ale światło, woda i telefony działają normalnie. Kiedy słońce zachodzi w morzu, neony opuszczonych sklepów i restauracji włączają się automatycznie. Na ulicach zapalają się latarnie, a światła uliczne nadal funkcjonują, zmuszając wozy policyjne, aby przystawały na wyludnionych skrzyżowaniach za każdym razem, gdy włącza się czerwone. Gdzie spojrzeć, drepczą opuszczone psy i koty, które uchodźcy musieli zostawić. Nie dzieje im się żadna krzywda: do zadań policji należy rozdzielanie worków z karmą wśród zwierząt, które najwyraźniej przytyły aż zanadto.

Minęły trzy tygodnie, a jednak mieszkańcy Oshimy nie otrzymali jeszcze pozwolenia na powrót do domów. Czy ewakuacja w ogóle była uzasadniona? Prawdopodobnie nie.

- Mieszkańcom wyspy nie groziło niebezpieczeństwo - twierdzi najślynniejszy wulkanolog francuski, Renaud Vie Le Sage, który przyjechał do Japonii, aby przyjrzeć się Miharze.

Shunichi Suzuki, gubernator Tokio, ma jednak inny pogląd na sprawę. Musiał pokazać, że potrafi stawić czoło niedużemu kryzysowi, jak ten na Oshimie, aby przekonać dwanaście milionów mieszkańców Tokio, że podczas wielkiej katastrofy w stolicy będzie umiał zapanować nad sytuacją. Wystarczyłoby kilka ofiar na wyspie, aby stracił popularność (w kwietniu startuje w kolejnych wyborach) i przyczynił się do wybuchu paniki. Ewakuując

wszystkich, nic nie ryzykował. Teraz też chce uniknąć ryzyka, nie pozwalając ludziom wrócić.

Naukowcy nie potrafili dać mu żadnych gwarancji.

- Erupcja Mihary była do przewidzenia, ale nie skala zagrożenia - mówi profesor Kentaro Tazawa, który od trzydziestu dwóch lat kieruje instytutem meteorologicznym na Oshimie. W ostatnim tysiącleciu Mihara wybuchał średnio co sto czterdzieści pięć lat. Od ostatniej erupcji minęło ich już dwieście sześć.

Tokio śledziło zdarzenia na Oshimie z zapartym tchem. Telewizja co godzinę transmitowała raport o sytuacji i każdego dnia wielkie dzienniki wysyłały helikoptery z dziennikarzami nad krater w ogniu. Kanał 4 wysłał nawet na wyspę, ze stosownymi pozwoleniami, ekipę ratunkową, aby zabrała psa zostawionego przez rodziców pewnej gwiazdy filmowej.

Japończycy nie wątpią, że w najbliższej przyszłości Tokio padnie ofiarą kolosalnego trzęsienia ziemi. Mówią to uczeni i potwierdza cała literatura - coraz modniejsza - o końcu świata. W pewnej opublikowanej kilka lat temu książce wielkie trzęsienie ziemi rozpoczyna się od erupcji góry Fudzi, symbolu Japonii. Jej autor to badacz z państwowego instytutu prognozującego klęski żywiołowe. Książka natychmiast stała się bestsellerem.

- Wybuch Fudzi jest prawdopodobny, a ostatnio zarejestrowaliśmy wiele wstrząsów bezpośrednio pod szczytem - stwierdza profesor Toshi Asada, szef sześciuosobowej grupy naukowców, która będzie doradzać rządowi, kiedy w Tokio zostanie wprowadzony stan wyjątkowy. - Ale obecnie to nie Fudzi stanowi zagrożenie.

Profesor Asada, podobnie jak inni, jest przekonany, że trzęsienie ziemi musi nastąpić. Najbardziej obawia się reakcji ludności na pierwsze wstrząsy. Ostatnie badania wykazują, że już przy sile pięciu stopni połowa ludzi zachowuje się nierozważnie, zaś przy sile sześciu stopni niemal sto procent postępuje całkowicie irracjonalnie.

Także podczas wielkiego trzęsienia ziemi z 1923 roku, które do dzisiaj przetrwało w zbiorowej świadomości jako koszmar, panika była główną przyczyną dużej liczby ofiar śmiertelnych. Zaczęło się tuż przed południem. Mieszkańcy miasta wybiegli na ulice, nie wyłączwszy ognia, na którym gotowali obiady. Wybuchło dziesięć tysięcy pożarów, ludzie nie znajdowali drogi ucieczki i sto czterdzieści tysięcy osób spłonęło żywcem.

Sytuacja może się powtórzyć. Według badania przeprowadzonego przez Taisho Marinę i Fire Insurance Company, podczas kolejnego ogromnego trzęsienia ziemi ulice zostaną zablokowane przez ruch uliczny, a w ciągu kilku minut temperatura domów ogarniętych płomieniami osiągnie taką wysokość, że wybuchną zbiorniki z benzyną w samochodach. Największym zagrożeniem będą taksówki.

Wszystkie drapacze chmur w stolicy mają zabezpieczenia przed trzęsieniem ziemi, ale nie dotyczy to setek składów gazu należących do fabryk chemicznych z Zatoki Tokijskiej. Podczas trzęsienia gazy się ulotnią, formując toksyczne chmury nad całym obszarem. Z tego powodu samochody firmowe, którymi jeżdżą dyrektorzy, zostały wyposażone w maski przeciwgazowe. Wielkie przedsiębiorstwa mają już zapasowe komputery w odległych miastach, takich jak Osaka (na wypadek, gdyby w Tokio zabrakło elektryczności), a niektórzy eksperci zasugerowali nawet przeniesienie siedziby rządu, aby zagwarantować przywództwo po czasie wielkiej klęski.

Pod wszystkimi budynkami publicznymi metropolii znajdują się magazyny z kocami, sucharami oraz wodą pitną. 1 września, w rocznicę trzęsienia ziemi z 1923 roku, stolica ćwiczy procedury antysejsmiczne. Każdy supermarket ma dział z akcesoriami ułatwiającymi przetrwanie, a w wielu domach przy drzwiach wejściowych wisi worek z artykułami spożywczymi, zapawkami i lekarstwami.

Profesor Asada nie umiejscawia epicentrum trzęsienia w Tokio, lecz nieco bardziej na zachód, niedaleko miasta Shizuoka, na półwyspie Izu. W miastach na wybrzeżu plakaty informują ludność o miejscach, w których powinna się zebrać w razie pożaru.

- Nie możemy zapobiec trzęsieniu ziemi, ale jeśli przewidzimy je na czas, unikniemy paniki i uratujemy wiele istnień - mówi profesor Asada. - Panika sama w sobie jest katastrofą.

Asada i jego grupa otrzymują dane ze wszystkich ośrodków sejsmicznych w kraju. Dostają także raporty przesyłane przez dwa niezwykle kosztowne czujniki elektroniczne spuszczone niedawno na dno morza oraz wyliczenia dotyczące przylądka Omae, na zachód od Shizuoki, który coraz bardziej pogrąża się w morzu. Z raportów tych odczytują sygnały zapowiadające wielkie trzęsienie. Grupa zbiera się co trzy miesiące i za każdym razem, kiedy rejestrowana jest jakaś anomalia. W tym drugim wypadku uczeni spotykają się w tajemnicy, ponieważ nawet zwykła wiadomość o zebraniu może przyczynić się do wybuchu paniki.

- Najważniejszym wskaźnikiem poważnego zagrożenia będzie brak małych wstrząsów - mówi profesor Asada, który uważa, że zdoła ostrzec ludność wystarczająco wcześnie.

Z tej perspektywy ewakuacja Oshimy była doskonałym przykładem pełnej kontroli nad ludnością. Przeprowadzono ją, zanim mieszkańcy zaczęli się zachowywać irracjonalnie, a wszystkie polecenia władz zostały skrupulatnie wykonane. „To dowodzi, że jesteśmy społeczeństwem dzieci”, pisze w czasopiśmie „Shincho” Matsuro Morimoto, jedyny japoński dziennikarz, który publicznie podał w wątpliwość konieczność ewakuacji.

Stulecia klęsk żywiołowych uczyniły z Japończyków to, czym są dzisiaj: naród posłuszny, wytrzymały i zdyscyplinowany, który podporządkowuje się surowej organizacji społecznej, ponieważ uważają za niezbędną. Tę umiejętność życia w ciągłym zagrożeniu wykorzystywano politycznie poprzez nieustające żądanie poświęceń, czasem nawet przesadnych. Do 1945 roku czynnikiem mobilizującym była wojna, potem klęska, na początku lat siedemdziesiątych szok naftowy. Dzisiaj to wojna gospodarcza dyscyplinuje ludzi.

W sytuacji zagrożenia Japończycy funkcjonują zadziwiająco dobrze. Wykazała to ewakuacja Oshimy: wszystko zostało przewidziane, zaplanowane i wykonane w najdrobniejszych szczegółach. Naprawdę w najmniejszych, najmniej znaczących szczegółach.

Przed opuszczeniem wyspy włożyłem monetkę do telefonu publicznego w wymarłym mieście i wybrałem numer 23700. Chciałem posłuchać „głosu świętego ognia”. Po pierwszym sygnale usłyszałem jednak uprzejmy, kategoriyczny głos mężczyzny nagrany na taśmie: „Usługa została czasowo zawieszona. W zaistniałych okolicznościach byłaby niestosowna”. Po zawarciu porozumienia Londyn-Pekin w związku z restytucją Hongkongu, 26 marca 1987 roku Portugalczycy i Chińczycy porozumieli się również co do restytucji Makau. Po raz pierwszy na terytorium portugalskim znalazłem się w 1967 roku podczas dramatycznych wystąpień Czerwonej Gwardii. Od tamtej pory często wracałem - czasem po to, żeby spędzić noc w kasynach, a czasem z rodziną, żeby wyrwać się z klaustrofobicznego Hongkongu. Byłem zadowolony, że znów mogę pojechać do Makau - tym razem z Japonii - i spędzić tam dziesięć dni.

Makau: podróż w czasie, która dobiega końca

Makau, kwiecień 1987

Gdyby historia miała zapach, pachniałaby jak to miasto o świcie, kiedy kościoły są puste, a domy gry jeszcze pełne, kiedy żebracy podnoszą się z ławeczek nadmorskiej promenady, a zmarznięte pary oglądają w witrynach lombardów zegarki, złote łańcuszki, wieczne pióra oddane w zastaw i utracone przez graczy.

Z wysokości swoich piedestałów kamienni bohaterowie i święci celują mieczami oraz łacińskimi krzyżami w przejaśniające się azjatyckie niebo. Nad chińskimi świątyniami unoszą się chmury kadzidła i szmer modlitw. Po żółtawych wodach zatoki, do której wpada Rzeka Perłowa, suną drewniane dżonki z rozpostartymi żaglami.

Świt w Makau nie jest początkiem nowego dnia, lecz tylko chwilą w nieustającej wymianie ciemności i światła, podobnej do następowania po sobie czerwonych i czarnych pól w ruletce, której koła nigdy się nie zatrzymują. Nad labiryntem nędznych chińskich ruin i

podupadających will Portugalczyków góruje potężny kościół św. Pawła. Została z niego tylko fasada, ale to właśnie ona, ze swoimi oknami podobnymi do ślepych oczu wpatrzonych w pustkę, jest najbardziej wymownym pomnikiem wielkich nadziei z przeszłości i najtrafniejszym symbolem ich upadku.

Makau - szesnaście kilometrów kwadratowych europejskiej ziemi na wybrzeżu Chin, gdzie od czterystu lat ludzie różnych kultur, pchani wiarą albo zabobonem, w poszukiwaniu bogactw i rozkoszy, ryzykowali życie i majątek - było pierwszą bazą Zachodu w Azji. Teraz jest także ostatnią.

Uгода została podpisana: 20 grudnia 1999 roku, na dziesięć dni przed końcem wieku, Portugalia zwróci Makau, z jego półmilionową społecznością, Chińskiej Republice Ludowej. Nastąpi to po dwóch i pół roku od oddania przez Brytyjczyków Chinom ich kolonii w Hongkongu. „Hongkong i Makau to relikty historii o nierozstrzygniętym losie”, mówili chińscy komuniści od 1949 roku, a Deng Xiaoping chciał, żeby jego sukcesorzy weszli w XXI wiek bez tego brzemienia. Najpierw wymusił porozumienie w sprawie Hongkongu, potem w sprawie Makau. Do całkowitej reunifikacji kraju brakuje jeszcze Tajwanu, ale to problem zupełnie innej natury: dotyczy samych Chińczyków. „Wraz z powrotem Hongkongu i Makau w objęcia Macierzy ostatnie ślady kolonializmu zostaną usunięte”, napisał tryumfalnie „Dziennik Ludowy”.

Dla Lizbony utrata Makau to wyłącznie kwestia sentymentu. Od dziesięcioleci Portugalczycy nie czerpali z kolonii żadnych korzyści i wiele razy próbowali zwrócić maleńki półwysep oraz jego dwie małe wysepki Chinom. Za pierwszym razem w 1966 roku, za ostatnim w 1974 roku. Chińczycy zawsze odmawiali. „Wykorzystywaliście nas przez czterysta lat, a więc bądźcie tu teraz tak długo, jak my sobie życzymy”, brzmiała odpowiedź. Dla Chińczyków fakt, że Makau należało do Portugalczyków i że za fasadą obcej administracji mogli robić interesy, jakie tylko chcieli, był wielką wygodą.

Pekin zawsze czerpał z Makau duże zyski, nie tylko dzięki eksportowi chińskich produktów, ale, szczególnie w ostatnich latach, dzięki nieoficjalnemu dochodowi z kasyn. Dla nikogo nie jest tajemnicą, że co tydzień małe opancerzone półcieżarówki pełne banknotów ruszają z dziedzińca jednego z banków kontrolowanych przez Pekin w krótką podróż za granicę. Na przejściu granicznym, za które służy stara brama, jedynymi strażnikami są właśnie Chińczycy.

Makau powstało dla obopólnych korzyści. Portugalczyk u szczytu swojego panowania nad morzami, potrzebowali portu dla statków pływających z Goa do Japonii. Chińczycy szukali kogoś, kto uwolniłby ich od piratów grasujących u południowych wybrzeży. Portugalczycy swoimi armatami zrobili miazgę z bandytów, a Niebiańskie Cesarstwo pozwoliło im w zamian osiąść na małym półwyspie Makau i dwóch pobliskich wysepkach, Taipie oraz Coloane. Był rok 1557.

Inaczej niż trzysta lat później Hongkong, Makau nie było więc łupem wojennym ani nie zostało wyrwane Chinom siłą. Nie miało też stać się - znów inaczej niż Hongkong - wyłącznie ośrodkiem handlu i źródłem zysku. Portugalczycy widzieli w nim raczej centrum cywilizacji zachodniej w Azji. Dlatego miasto, w stylu śródziemnomorskim, zbudowane na bezludnym wybrzeżu prowincji Kanton, od początku miało nie tylko wiele kościołów, seminarium i szpital, ale także teatr i uniwersytet.

Tak oto Makau stało się punktem wyjścia dla poszukiwaczy przygód, misjonarzy i nawigatorów, którzy nie tylko sprzedawali, kupowali i podbijali, lecz również odkrywali i nawracali. Stąd pochodził ksiądz, który dał językowi wietnamskiemu alfabet, i ten, który jako pierwszy ujrzał ruiny Angkoru. Z Makau wyruszyli misjonarze, którzy chcieli schryścianizować Japonię. Z Makau wybrali się na podbój chińskiej duszy niezwykle jezuici, jak Matteo Ricci. Madonna, jeszcze dziś zdobiąca zniszczoną fasadę kościoła św. Pawła, nie depta węży, symbolu grzechu, lecz smoka, symbol Chin. Marzenie o nawróceniu

nieprzebranych rzesz ateistów z kontynentu azjatyckiego nigdy się nie ziściło - Chiny nadal pozostają głęboko niechrześcijańskie, Japonia jeszcze bardziej - a jednak żyje w każdym zakątku tego miasta. W inskrypcjach posągów, w śpiewach liturgicznych dobiegających ze szkół prowadzonych przez starych księży.

Portugalczyki pozwalali osiadać na półwyspie każdemu, kto tego pragnął, toteż Makau stało się azylem dla uchodźców i prześladowanych. Luis Camões, wielki poeta portugalski, uniknął więzienia w Lizbonie, udając się tutaj na wygnanie, i w Makau napisał swoje wspaniałe dzieło *Luzjady*. George Chinnery, irlandzki malarz, przybył do miasta, uciekając przed wierzycielami i okropną żoną, i spędził w nim dwadzieścia siedem lat, do śmierci w 1852 roku. W 1937 roku, kiedy Japonia napadła na Chiny, tysiące Chińczyków schroniły się w kolonii Portugalczyków. W 1941 roku, kiedy także Hongkong wpadł w ręce oddziałów Wschodzącego Słońca, przybyły tu setki małych statków wypełnionych po brzegi ludźmi. Makau osiągnęło wówczas najwyższą liczbę ludności w swojej historii: sześćset tysięcy osób. W nowszych czasach dwadzieścia tysięcy Chińczyków z Birmy, których nikt nie chciał, znalazło dom w Makau. Dzieci chińskich emigrantów z Indonezji, wysłane na początku lat sześćdziesiątych - z patriotyzmu - na naukę do Pekinu, a potem prześladowane podczas rewolucji kulturalnej, zamieszkały w Makau.

W ten sam sposób przybyli uchodźcy z Armenii, Wietnamu, Kambodży i mieszkańcy ze wszystkich terytoriów należących niegdyś do Portugalii. Półkrwi Indusi z Goa, półkrwi Afrykanie z Angoli, Mozambiku i Timoru znaleźli schronienie w Makau. W 1962 roku przyjechało kilka ciężarówek ze ślepcami i kalekami. W Chinach zostali oni uznani za „nieproduktywnych darmozjadów” i wydalenii poza granice kraju. W Makau zajął się nimi Święty Dom Miłosierdzia. Wielu jeszcze dziś chodzi po ulicach z aluminiową miseczką, w której brzęczy moneta - wydająca ten monotony, natrętny dźwięk, kojarzący się nieodparcie z nędzą. Setki trędowatych również znalazły tutaj azyl.

- Makau to ostatnia stacja nadziei - mówi ojciec Mario Acqui- stapace, salezjanin, który został wygnany z komunistycznych 171

Chin w 1949 roku, a z komunistycznego Wietnamu w 1975 roku. Teraz jest proboszczem małego kościółka na wyspie Coloane i wie, co go czeka.

W każdą niedzielę ojciec Mario kończy mszę podniesieniem rąk do nieba. Zwrócony ku Chinom widocznym zaledwie kilkaset metrów dalej przez kwadrat otwartych na oścież drzwi, krzyczy:

- Odstap, Szatanie!

Od zawsze Makau było także centrum nałogów i gier. Mężczyźni i kobiety różnych narodowości, zmarnowawszy życie gdzie indziej, szukali tutaj nowej egzystencji albo nowych rozkoszy. Burdele na sławetnej Rua de Felizidade należały do najbardziej renomowanych w Azji, a tutejsze palarnie opium do najbardziej wyrafinowanych.

Najstarszą tradycyjną grą jest fantan: krupier używa odwróconego kubka, aby wziąć ze stosu garść żetonów, które powoli oddziela długą drewnianą laseczką na kupki po cztery. Gdy żetony są jeszcze ukryte pod kubkiem, gracze zakładają się, ile zostanie na koniec odliczania: cztery, trzy, dwa czy jeden.

Od kiedy prostytutka została oficjalnie zakazana, Rua da Felizidade słynie z kulinariów. Poza mięsem psa i węża liczne restauracje i stragany oferują dania ze wszystkich zwierząt, którymi handel jest zakazany, od sów po jaszczury. Słodkawy i ostry zapach jedzenia, odór gnijących śmieci mieszają się z woniami charakterystycznymi dla procesji i uroczystości religijnych celebrowanych na ulicach.

Ostatni wielki pogrzeb w Makau miał miejsce w 1964 roku. Wtedy to jeden z najstarszych rodów kolonii wygasł wraz ze śmiercią swojego ostatniego potomka, który zakończył w spokoju życie spędzone na pogoni za przyjemnościami. Opowiada się o nim, że dobiegłszy sędziwego wieku, kazał się lizać od stóp do głów zastępowi dziewic.

Prostytucja kwitnie dziś w Makau za zasłoniętymi firankami, a triady, tajne spółki gangsterów chińskich, kontrolują około 172 dwustu villas, małych pensjonatów, gdzie do dyspozycji gości pozostaje ponad tysiąc dziewczyn. Z kolei hazard do tego stopnia wszedł miastu w krew, że dzisiaj całe życie Makau jest kontrolowane i podkopywane przez tę działalność. Biedni rybacy i robotnicy fabryczni przepuszczają w kilka sekund swoje wielodniowe zarobki. Poza grą w pięciu wielkich kasynach należących do spółki, która zatrudnia ponad dziesięć tysięcy ludzi i której dwoma największymi akcjonariuszami są multimilionerzy z Hongkongu (Stanley Ho i Henry Fok, ten drugi w doskonałych stosunkach z Pekinem), w Makau można jeszcze spróbować szczęścia w dziesiątkach loterii albo obstawiając wyścigi koni, psów i turnieje peloty.

Każdego roku Makau odwiedzają ponad cztery miliony osób. Ogromną większość stanowią Chińczycy przyjeżdżający z Hongkongu, gdzie gry hazardowe są zakazane... Czy chińskie władze nie zamkną kasyn po 1999 roku?

-Jeśli mają szacunek dla historii, wszystko zostanie po staremu - mówi Stanley Ho. - Gra jest częścią tradycji Makau.

Na ten temat Chińczycy się nie wypowiedzieli. Na elegancki bankiet wydany przez Stanleya Ho w pierwszych dniach roku, z okazji dwudziestej piątej rocznicy jego monopolu na gry w Makau, nie przyszedł żaden z zaproszonych chińskich funkcjonariuszy. Ale Stanley Ho już wykonał swój ruch: tuż przed podpisaniem przez Chińczyków i Portugalczyków porozumienia na rzecz „powrotu Makau w objęcia Macierzy” w 1999 roku, zdołał otrzymać od obecnego rządu przedłużenie licencji na gry do 2001 roku.

Za sprawą hazardu ostatnio bardzo wzrosła przestępczość. Kiedy gracze nie mają już nic do zaoferowania dwudziestu dwóm lombardom otwartym dzień i noc wokół kasyn, ostatnia nadzieja to „prywatni bankierzy”: członkowie triad, pożyczający pieniądze „na godziny”. Ich zysk może wynieść nawet sto procent. Jako zabezpieczenie swoich pożyczek gracze muszą zostawić paszport. Jeśli dług nie zostaje spłacony, gracz trafia do jednego z „prywatnych więzień” w mieście i tkwi tam, aż jakiś krewny albo przyjaciel przyjedzie z kolonii brytyjskiej, aby go wykupić.

Do zajęć triad należy również patrolowanie nocą granicy i dokonywanie - przed policją - obław na ludzi, którzy próbują nielegalnie przedostać się do Makau z Chin. Ładne dziewczyny zmuszane są do prostytucji w dziesiątkach „willi z wyżywieniem” rozsianych po Makau, te brzydsze są sprzedawane zamożnym rodzinom do pomocy w domu. Dziewczeta nie mają dokumentów i w każdym momencie mogą zostać aresztowane jako nielegalne imigrantki, a potem odesłane do Chin, toteż wiele z nich całymi latami pracuje po kryjomu, w zamknięciu, nie wychodząc za próg. Co roku ponad pięćdziesiąt tysięcy Chińczyków próbuje przekroczyć granicę.

Na ulicach Makau można kupić wszystko: stół z trzema nogami, łożysko bez kulek, wagę z czasów dynastii Qing, dziewicę albo śmierć wroga. W 1982 roku dwaj Kanadyjczycy otrzymali tu zaliczkę w wysokości pół miliona dolarów od agentów Korei Północnej. Zlecono im zamordowanie prezydenta Korei Południowej. Obaj stanęli przed kanadyjskim trybunałem.

W czasach, gdy Pekin nie utrzymywał jeszcze normalnych stosunków dyplomatycznych z Zachodem, Makau było terenem szkoleniowym dla chińskich szpiegów. Dziś nadal jest wykorzystywane do tego celu przez Koreę Północną. Ludzie Kim Ir Sena działają pod przykryciem małej restauracji, spółki zajmującej się importem i eksportem oraz firmy sprzedającej żeń-szeń i afrodyzjaki.

Jednym z największych interesów, jakie robi się ostatnio w Makau, jest przemyt chińskich antyków i skarbów narodowych. Oddziały Armii Ludowo-Wyzwoleńczej odnajdują grobowce, wieśniacy kopią, a siatka wspólników, w którą włączeni są komisarze polityczni, urzędnicy celni i pracownicy biura ochrony zabytków, zajmują się przewozem dzieł sztuki do

Makau. Wielcy antykwariusze z Tokio i Nowego Jorku mają tu swoich ludzi, którzy spędzają dni na grze w madzonga w herbaciarniach, czekając na wiadomość o dostarczeniu towaru albo o „aukcji” odbywają- 174 cej się na pokładzie jednej z dzonek w zatoce. Duża część wartościowych chińskich przedmiotów, które znalazły się w ostatnich latach w Sotheby's i Christie's w Londynie i Nowym Jorku, została przemycona z Chin przez Makau.

Co się zmieni wraz z przejściem tego terytorium przez Chiny? Chińczycy zadeklarowali w porozumieniu z Portugalią, że po powrocie pod zarząd Pekinu Makau zachowa na następne pięćdziesiąt lat swój system społeczny i ekonomiczny. Jak to będzie możliwe, nie wiadomo. To samo pytanie dotyczy również Hongkongu. „Ludność Makau będzie zarządzać Makau”, powtarzają do znudzenia wysłannicy Pekinu, ale wszyscy wiedzą, że nawet dzisiaj nie ludność Makau, lecz Chińczycy rozdają karty w mieście. Portugalczycy nie mają już nic do powiedzenia.

O zachodzie słońca, gdy ministrowie i sekretarze wychodzą z różowego-pałacu gubernatora na bulwar z torbami pełnymi dokumentów i, niespuszczani z oka przez chińskich strażników, z wyniosłością białego człowieka idą do samochodów z chińskimi szoferami, wydają się aktorami sztuki historycznej, postaciami z odtwarzanego w nieskończoność filmu kostiumowego. Prawa Makau są zapisane w języku portugalskim, sędziowie to Portugalczycy, w sądzie można mówić jedynie po portugalsku, a gubernator jeszcze kilka miesięcy temu nie odpowiadał na listy, które nie były napisane w tym języku, ale portugalska administracja Makau nie wie nawet, ilu ludzi naprawdę mieszka na półwyspie.

Wiedzą to natomiast Chińczycy z Pekinu, którzy poprzez swoją spółkę Nam Kwong importują każde ziarenko ryżu zjadane przez mieszkańców Makau. Dzięki swoim bankom, firmom zajmującym się importem i eksportem, syndykatom, połowie gazet i związkom dzielnicowym chińscy komuniści mają już w garści losy Makau. Portugalczykom pozostaje naprawdę niewiele albo nic: nie kontrolują przestrzeni powietrznej nad Makau ani wód, które je oblewają. Jakby dla przypomnienia wszystkim, kto tu naprawdę rządzi, Chińczycy wysyłają co jakiś czas kilka łodzi patrolowych pod czerwonym sztandarem, zatrzymujących się dokładnie na wprost domu gubernatora.

Coraz częściej Chińczycy wysyłają także małe statki z turystami, aby ci mogli przyjrzeć się z daleka kapitalizmowi.

- W przeszłości to Europejczycy i Amerykanie przybywali tutaj, by rzucić okiem na komunistów za granicą. Dziś jest odwrotnie - mówi dyrektor hotelu Pousada de Santiago.

Co wieczór, kiedy w teatrze Lisboa Hotel zaczyna się Paris Crazy Horse Show, na widowni w ogromnej większości siedzą chińskie wycieczki. Wieśniacy i robotnicy w towarzystwie swoich komisarzy politycznych tkwią nieruchomo w wyściełanych fotelach, z rozdziawionymi ustami, naprzeciwko dwunastu nagusieńkich blondynek, tańczących wokół innego symbolu chińskich marzeń: wielkiego plastikowego radiomagnetofonu. Z obawy, by nie okazać zaudowanego entuzjazmu, nikt nie klaszcze, i jedyne brawa to te nagrane i puszczone z głośników pod koniec każdego numeru. Ale przy stołach do blackjacka i bakarata spotyka się już chińskich funkcjonariuszy w ich klasycznych marynarkach a la Mao.

Mimo obietnic Pekinu odnośnie przyszłości Makau, kto tylko może stąd uciec, ucieka. Ucieka nawet Kościół, który - jakkolwiek oficjalnie deklaruje optymizm - sprzedaje swoje tereny

w najlepszych lokalizacjach i kupuje hurtowo mieszkania w Stanach Zjednoczonych. Stary ojciec Texeira, dominikanin, autor ponad stu książek o historii Makau, mieszkający teraz samotnie w ogromnym opustoszałym seminarium, zaczął przenosić swoje archiwa do Lizbony.

- Przynajmniej historia zostanie ocalona - mówi, zawiedziony, że Chińczycy nie okazali żadnego „szacunku dla przeszłości” i że potraktowali Makau tak samo jak Hongkong. - My,

Portugalczyki, nie wytoczyli Chińczykom żadnej wojny opiumowej, ale w końcu postąpili z nami jak z Anglikami.

Jego głos z trudem przebija się przez dudnienie kroków na drewnianej podłodze w pustych korytarzach.

Jedynym ustępstwem, na jakie zgodził się Pekin, jest termin: Makau nie zostanie oddane Chińczykom równocześnie z Hongkongiem, lecz dwa i pół roku później.

- Odwrotna kolejność byłaby lepszym rozwiązaniem - mówi pewien portugalski bankier, zmartwiony faktem, że miasto nie ma swojego lotniska i że cała komunikacja musi odbywać się przez kolonię brytyjską. - Hongkong to jedyne połączenie, a jeśli w 1997 roku przejdzie w ręce Chińczyków, jak zdołamy tu zostać do 1999 roku?

Portugalczyki nie będą mieli kłopotu: pojedą do Portugalii. Bogaci Chińczycy mogą emigrować do Kanady, Australii, Ameryki. Ale gdzie się podzieje dziesięć tysięcy „Makańczyków”, w połowie Chińczyków, w połowie Portugalczyków, uważających się za coś w rodzaju osobnej nacji, na którą źle patrzą obie pozostałe? Nikt nie rozpacza bardziej od nich.

- Jesteśmy dziećmi romansu między Zachodem a Wschodem - mówi Enrique Senna Fernandez, adwokat i pisarz. - Możemy przetrwać jedynie na Makau, ale gdy odejdą stąd Europejczycy, to miejsce nie będzie już Makau. Wyjazd jest dla nas rzeczą straszną, lecz pozostanie jeszcze gorszą.

Raz w miesiącu grupa Makańczyków gromadzi się w willi na Coloane po prostu po to, aby wspominać przeszłość tego niezwykłego miejsca, „w którym ludzie mogli spokojnie dyskutować, a poeci marzyć”, jak napisał jeden z nich.

- Woda w zatoce jest płytka i nawet silny wiatr nie podniesie nigdy wysokich fal - mówi Ma Man Kei, człowiek Pekinu próbujący przekonać lokalnych chińskich kapitalistów, aby nie wycofywali stąd swoich pieniędzy i zainwestowali je w wielkie projekty, jakie Chiny chcą zrealizować: w drugi most między półwyspem a wyspą Taipa, lotnisko, autostradę łączącą Makau i Kanton, a potem również Hongkong. Wszystko to mogłoby ożywić Makau i wyrwać je z dzisiejszego odrętwienia. Ale nikt nie czuje się bezpiecznie. Jedno tak czy inaczej niewątpliwie dobiegnie końca w roku 1999: przeszłość, wielka przeszłość tego awanpostu Zachodu w Azji.

Każdy, kto po przybyciu z Hongkongu zatrzymuje się, aby spojrzeć na miasto z werandy hotelu Belavista, odnosi wrażenie, że raczej odbył podróż w czasie niż w przestrzeni. Na menu hotelu- 177

wym Austin Coates, angielski poeta, który żył przez dziesięć lat na Wschodzie, napisał epitafium dla tego wyjątkowego, niepowtarzalnego doświadczenia zwanego Makau:

Tutaj leży krzyżowiec, miecz i kamień nagrobny pokryte zielenią zapomnienia.

Od czasu Przed rewolucję uwielbiałem Bertolucciego. A zatem, kiedy dostałem informację, że na uroczystości zakończenia tokijskiego festiwalu filmowego będzie mieć miejsce światowa premiera jego filmu o Chinach, postarałem się o zaproszenie.

Bertolucci w Chinach

Tokio, październik 1987

Piękny, ale nieprawdziwy. Ostatni cesarz to wielka - niewyobrażalnie kosztowna - zmarnowana szansa. Od reżysera o dorobku Berolucciego, który bierze na warsztat życiorys niezwyklej postaci, jaką był Pu Yi, osadzony na tronie Chin w wieku trzech lat, zdeponowany w wieku lat sześciu, uczyniony władcą Man- dzukuo przez Japończyków, uwięziony przez Sowieców i oddany przez nich później Mao jako „zbrodniarz wojenny”, mogliśmy spodziewać się czegoś innego. Albo opowieści o wyjątkowym narodzie w jednym z najbardziej dramatycznych i rozdierających momentów jego długiej egzystencji - u kresu

tysiącletniego imperium, na początku nowoczesnej dyktatury - albo prywatnej historii człowieka, który rodzi się jako „Syn Niebios”, a umiera jako „obywatel”. Historii ukazanej na tle obrazoburczego azjatyckiego komunizmu, który aby stworzyć nowe społeczeństwo, próbuje stworzyć na nowo ludzkie dusze.

Film Bertolucciego nie jest ani tym, ani tamtym. Ostatni cesarz to plik zachwycających kolorowych pocztówek wysłanych z kraju, który nigdy nie istniał. Chiny Bertolucciego, zarówno cesarskie, jak rewolucyjne, nie są w żadnym razie Chinami, lecz owym osobliwym „innym” kontynentem, jakim chcieli i wciąż chcą go sobie wyobrażać niektórzy ludzie Zachodu. Historia Pu Yi w Zakazanym Mieście na początku XX wieku według Bertolucciego to nie historia szlachetnie urodzonego Chińczyka w dobiegającym zmierzchu cesarstwie, lecz raczej historia Europejczyka, który został cesarzem Chin. Podobnie z Pu Yi dorosłym: to nie jest Chińczyk oddający się najstarszej z uprawianych tu sztuk, czyli sztuce przetrwania, nie prawdziwy Pu Yi zdeprawowany, skorumpowany, ograniczony i prawie ślepy, o którym mówią jego współcześni. Po tym, jak wielu zachodnich intelektualistów przez „żyło fascynację chińskim komunizmem - i na szczęście się z niej otrząsnęło - Bertolucci wyważa dawno otwarte drzwi, odkrywając „reedukację”.

Reżyser zdumiewa się, że Pu Yi został „cudownie i zagadkowo” uwolniony (podczas gdy w Europie zbrodniarzy wojennych stracono). Tylko naiwność osoby nieznającej chińskich realiów może tłumaczyć to zdumienie. Choć tak naprawdę, po wszystkim, co napisano i powiedziano na temat chińskich gułagów, podobna naiwność nie znajduje usprawiedliwienia. Kręcenie w dzisiejszych Chinach filmu nie o jakiejś egzotycznej i niemal legendarnej postaci (na przykład o Marco Polo), lecz poruszającego temat tak polityczny i aktualny, jak koniec starych Chin i narodziny nowych, oznacza nieuchronnie współpracę z propagandą Pekinu. Tym bardziej w sytuacji, gdy cudzoziemcy (czyli Bertolucci, scenarzysta Mark Peploe i reszta ekipy) nie mają żadnej wiedzy o kraju ani o jego mieszkańcach i o wszystko - nawet o szklanę wody - muszą prosić Chińczyków wyznaczonych przez partię i organy bezpieczeństwa do kontaktów z obcokrajowcami. A służby interesują się zwłaszcza tymi obcokrajowcami, którzy z racji zawodu, jak dziennikarze albo filmowcy, będą opowiadać światu o Chinach.

Choć może się to wydawać niedorzeczne, obrazy Bertolucciego w Ostatnim cesarzu - piękne i sugestywne, jeśli oglądać je w oderwaniu od faktów - służą sprawie komisarzy politycznych Pekinu. Tylko dlatego, że uznali przedsięwzięcie za korzystne dla siebie, Chińczycy współpracowali przy produkcji filmu - i dlatego najbardziej znany aktor chiński, a dziwnym zbiegiem okoliczności również wiceminister kultury, Yin Ruochan, zagrał nierealistyczną rolę dobrego strażnika więziennego reedukującego Pu Yi (nie zaś strażnika specjalizującego się w praniu mózgow).

Kompromisy, do jakich Bertolucci był zmuszony podczas pracy nad filmem, są oczywiste. Reżyser chciał nakręcić rzecz o dekadencji, a w końcu zrobił film o metamorfozie człowieka, który przechodzi, jak sam napisał, „od ciemności do światła”. Czy to nie miód lany na serce pekińskiego agitpropu? Bertolucci sądził, że manifestuje swoją wolność artysty, gdy oficjalną wersję Pu Yi, czyli człowieka słabego i niezdecydowanego, symbol dekadentkich, zepsutych, starych Chin, wzbogacił o przebłyki moralności, kilka zasad i zdolność - przynajmniej na początku - do opierania się manipulacjom. Ale przez to reżyser jeszcze bardziej uwiarygodnił przemianę Pu Yi „z cesarza w obywatela” i pokazał skuteczność-reedukacji, która jest dla Bertolucciego czymś w rodzaju orientalno-konfucjafiskiej wersji naszej psychoanalizy.

A tymczasem historia reedukacji w Chinach po 1949 roku, podobnie jak w Wietnamie po 1975 roku, jest historią okrucieństw i przemocy. Fakt, że Pu Yi został umieszczony w jednym z najłagodniejszych obozów, potwierdza tylko wielką biegłość w tworzeniu iluzji, opanowaną do perfekcji przez chińskich komunistów. Za uwolnieniem Pu Yi po dziesięciu latach reedukacji w obozie w Fushun nie stoi żaden „cud” ani „zagadka”, tylko nadzwyczajny zmysł

polityczny Zhou Enlai, który od początku zajmował się tą sprawą i uczynił ją przedmiotem błyskotliwej akcji public relations. Pokazanie, że nawet cesarz-zdrajca może zaznać socjalistycznej wyrozumiałości i zreformować się do takiego stopnia, by zostać „wzorowym obywatelem” Republiki Ludowej, było ostatecznym trymfem mitu o Nowych Chinach.

Stąd kolacje komunistycznego premiera i byłym cesarzem, stąd autobiografia, która została za Pu Yi napisana i stała się - na polecenie partii - bestsellerem. Swoim filmem, opartym właśnie na tej biografii, Bertolucci przysłużył się mitowi. Zastanawiające, że do wiernej rekonstrukcji obozu reedukacji reżyser użył zdjęć opublikowanych w książce propagandowej wydanej przez Pekin o Pu

Yi; zastanawiające, że więźniowie w chwili uwolnienia uprawiają tradycyjną gimnastykę „walki z cieniami”⁹, zupełnie jak więźniowie na pocztówkach propagandy rządowej.

Sposób przedstawienia rewolucji kulturalnej ociera się o śmieszność - z Czerwoną Gwardią, która u Bertolucciego podczas demonstracji przeciwko elementom pravicowym pokazuje* się na ulicach Pekinu w czymś w rodzaju baletu poprzedzającego właściwe wypadki. Tak samo fałszywe jest wyobrażenie reżysera

o starych Chinach. Według świadków tamtych czasów, Zakazane Miasto było anachroniczne i niszczące. Tak ogromne panowało w nim zaniedbanie, że liczne dziedzińce porastała trawa, a wielu dworzan miało szaty w strzępach, pogryzione przez mole i pełne wszy. Tymczasem u Bertolucciego Zakazane Miasto jest czyste

i świeżo odmalowane, a szaty jego mieszkańców, przetykane złotem i perłami, przypominają kostiumy aktorów Opery Pekińskiej, nie zaś stroje dawnego dworu.

Praca Bertolucciego trwała cztery lata i kosztowała dwadzieścia pięć milionów dolarów. Już podczas produkcji film był bardzo nagłaśniany. W ślad za tym obrazem, oczywiście z intencją wykorzystania wysiłku reklamowego związanego z Ostatnim cesarzem, pojawiły się następane dwa dzieła. Jedno z nich to biografia Pu Yi napisana przez Edwarda Behra, wieloletniego korespondenta „Newsweeka”. Drugim jest film nakręcony w wielkim pośpiechu przez Hongkong. Opowiada o ostatnich latach „obywatela” Pu Yi, ale z rozbudowanymi retrospekcjami.

Portrety Pu Yi autorstwa Behra i twórców produkcji zrealizowanej w Hongkongu (która, początkowo zatytułowana Ognisty smok, w ostatnich dniach weszła do tokijskich kin pod tym samym tytułem, co film Bertolucciego) należą do niezwykle udanych. Postać ostatniego cesarza jest bardziej dwuznaczna, zepsuta, a przy tym bliższa rzeczywistości niż u Bertolucciego. Również Chiny w tle filmu z Hongkongu są bardziej realistyczne niż u włoskiego reżysera. Edward Behr, świetny dziennikarz, czerpał informacje z wiarygodnych źródeł. Li Hanxiang, reżyser filmu z Hongkongu, jest Chińczykiem i pracował w Chinach. Ci dwaj, choć różnymi drogami, potrafili dotrzeć do prawdy ukrytej za fasadą i nie zatrzymali się, zdumieni, przed pozorną mądrością kilku aforyzmów konfucjańskich odgrzanych przez chińskich komunistów.

Dla Bertolucciego Chiny, nim pojechał nakręcić Ostatniego cesarza, były fascynującą tajemnicą. I tym dla niego najwyraźniej pozostały.

To przedziwne, ale Japończycy są przekonani, że mają na swoich wyspach wszystko: od grobu Chrystusa po piramidy, od doskonałej kopii niemieckiego miasteczka po „oryginalny” zamek Świętego Mikołaja. Trzeba przyznać, że Japonia posiada specjalistów od wszelkich dziedzin ludzkiej wiedzy. Pewnego dnia odkryłem, że mieszka tu nawet największy światowy autorytet w takiej materii, jak...

kultura toalet

\

Tokio, 20 marca 1988

Nieczęsto się o tym myśli, ale ubikacje odgrywają doniosłą rolę w życiu człowieka.

Japończycy właśnie dokonali powyższego odkrycia i toalety są teraz niezwykle modne w

kraju, który nigdy nie traci okazji, aby wysforować się na czoło peletonu i zarobić na tym pieniądzu.

Wielkie domy towarowe w Tokio konkurują z sobą, zakładając coraz bardziej ekstrawaganckie toalety, aby przyciągnąć klientów. Znane restauracje bardziej zachwalają wyrafinowanie swoich szaletów niż wyrafinowanie jedzenia. O ubikacjach mówi się na przyjęciach, dyskutuje się o nich na seminariach naukowych. Japonia od tego roku obchodzi Narodowy Dzień Toalet, a w stolicy właśnie zakończyło obrady międzynarodowe sympozjum poświęcone ubikacjom, na które przyjechało dwustu dwudziestu delegatów z wielu krajów. Najbardziej szykowne miejsce spotkań to obecnie urocza kawiarnia na trzydziestym siódmym piętrze supernowoczesnego drapacza chmur Ark Mori w eleganckiej dzielnicy Akasaka. Stoliki z pięknym widokiem na Tokio stoją w środku ekspozycji najdroż- 184 szych, najdziwniejszych misek klozetowych z całego świata.

Przy kasie można kupić suweniry. Rozchwytywane są zwłaszcza rolki cudownie delikatnego papieru toaletowego z nadrukowanym Dawidem i napisem: SERDECZNIE PRZEPRASZAMY MICHAŁA ANIOŁA.

Japończycy ni stąd, ni zowąd nagle mówią o „kulturze toalet” i to zagadnienie ma już swoją „literaturę”. Rośnie liczba „ubika- cjologów”. W przyszłym miesiącu w Japonii zostanie oficjalnie otwarte Muzeum Toalet, pierwsze na świecie - jak się zdaje - w miasteczku na wyspie Sikoku, którego nazwa, Kagawa, oznacza po japońsku „rzekę zapachów”.

W sprzedaży są już dziesiątki wysoko wyspecjalizowanych ubikacji - zwanych tutaj high-tech toilets - i ogromny wybór zaskakujących akcesoriów. Dwaj wielcy producenci toczą zażarty bój o budowę tego, co w żargonie branżowym jest nazywane „ubikacją przyszłości”. Jej użytkownik nie tylko będzie korzystał ze standardowych usług świadczonych przez najnowocześniejsze toalety, ale w dodatku zobaczy na ekranie telewizyjnym wyniki błyskawicznej analizy swoich odchodów.

- Z początku analiza będzie dość prosta, ale wkrótce połączymy elektronicznie ubikacje ze specjalistycznymi szpitalami i badania staną się bardziej kompleksowe - mówi mi profesor Hideo Nishioka, największy ekspert japoński, a może również światowy, w dziedzinie ubikacji.

Nishioka był profesorem antropogeografii na prestiżowym Uniwersytecie Keio, kiedy, na początku lat sześćdziesiątych, spółka wyznaczona do budowy wielkiej autostrady między Tokio a Na- goją poprosiła go o wyrażenie opinii w materii szaletów: w jakiej odległości je stawiać, o jakiej pojemności, i tak dalej. Od tamtego czasu Nishioka bada wyłącznie toalety. Zwiedził siedemdziesiąt dwa kraje, aby przestudiować różne sposoby korzystania z ubikacji, a przy okazji skompletował najpiękniejszą prywatną kolekcję papieru toaletowego.

-Tylko jedna trzecia populacji światowej używa papieru. Pozostałe dwie trzecie uciekają się do rozmaitych metod. Sklasyfikowałem ich czternaście - mówi Nishioka, który cztery miesiące temu opublikował bardzo dobrze sprzedającą się książkę Historia kulturowa papieru toaletowego.

Zdaniem uczonego nawyki defekacyjne narodów zaważyły na wielu wydarzeniach historycznych. Grecy - jak mówi - nigdy by nie zdołali pokonać Persów, gdyby tamci, przyzwyczajani do wy^ próżniania się w suchym i ciepłym klimacie pustyni, nie zostali zdziękowani epidemiami wywołanymi przez własne ekskrementy. W wilgotnym i zimnym klimacie greckich gór stały się one ogniskiem licznych chorób zakaźnych.

Podczas drugiej wojny światowej Amerykanie zdołali rozgromić Japończyków na wyspie Guadalcanal tylko dzięki błędowi w obliczeniach. Szpiedzy amerykańscy ustalili ilość odchodów pozostawianych dziennie przez wrogie oddziały w przeznaczonych do tego dołach, ale sądząc, że średnia „produkcja” każdego Japończyka będzie wynosić sto gramów (a nie czterysta), przecenili po- nadczerokrotnie siły nieprzyjaciela. W efekcie Amerykanie wysłali o wiele więcej żołnierzy, niż było trzeba do podbicia wyspy.

Dzięki swojej znajomości tematu profesor Nishioka został konsultantem igrzysk olimpijskich w Tokio, a teraz uczestniczy w pracach nad toaletami dla igrzysk w Seulu.

- Wystarczy raz pomylić się w szacunkach dotyczących tego, jak tłum używa ustępów, i wszystko może pójść źle - mówi uczonego, który wynalazł nawet własną jednostkę miary: CSU („czas spędzany w ubikacji”). W oparciu o lata badań Nishioka doszedł do wniosku, że mężczyźni japońscy średnio spędzają w ubikacji tylko 31,7 sekundy dziennie, kobiety japońskie minutę i 37 sekund. Mężczyźni i kobiety z Zachodu przebywają w ubikacji cztery razy dłużej.

Jedną z głównych trosk Japońskiego Towarzystwa do Spraw Toalet jest poprawa warunków w szaletach publicznych. Ruszyła właśnie wielka narodowa kampania przeciwko „czterem K”: kita- na, kusai, kurai, kowai. Czyli przeciwko ubikacjom, które są brudne, śmierdzące, ciemne i odstrasżające.

Japonia ma już trzydzieści tysięcy toalet publicznych, ale niedawno został rozpisany konkurs na budowę kolejnych setek. 10 listopada, w Narodowym Dniu Toalet, będzie się nagradzać dziesięć najładniejszych szaletów.

Wiele gmin prześciga się teraz w oryginalności. Są już wychodki w stylu baru, kościoła, kapsuły kosmicznej i buddyjskiej świątyni. W mieście Ito, w prefekturze Shizuoka, sześć nowych toalet publicznych, stylizowanych na stare domy herbaciane, stało się wielką atrakcją turystyczną.

- Nawet cudzoziemcy przyjeżdżają je fotografować. Zastanawiam się tylko, czy wiedzą, do czego one służą - mówi osoba odpowiedzialna za roboty publiczne.

Również przy wyborze domowej toalety Japończycy mają w czym wybierać. Poza zwyczajnymi ubikacjami z deską nagrzewającą się, gdy ktoś na niej siada, są i takie, które pod naporem ciała zaczynają wygrywać melodyjki albo wydawać ptasie trele. Jeszcze inne, przy akompaniamencie muzyki lub bez, usuwają brzydki zapach dzięki wiatraczkowi rozsiewającemu miłe wonie. Najnowszy model obywają się bez papieru toaletowego: strumień ciepłej wody myje, a potężne podmuchy ciepłego powietrza osuszają użytkownika. Model z pilotami kontrolującymi strumień wody kosztuje około dwóch tysięcy euro. A że według badań profesora Nishioki kobiety japońskie potrzebują przeciętnie dwunastu metrów papieru toaletowego dziennie, mężczyźni zaś trzech i pół metra (papierem toaletowym zużywanym każdego dnia w Japonii można by cztery razy opasać kulę ziemską), te nowe ubikacje, nazwane Wash Let, są bardzo oszczędne.

To jednak nie wszystko. Niektórzy socjologowie wyrazili wątpliwość co do nowego typu ubikacji: przyzwyczajanie japońskich dzieci do rezygnowania z papieru może przysporzyć im trudności, gdy znajdą się w miejscach, gdzie takie toalety nie istnieją... Zwłaszcza za granicą.

Koszty użytkowania toalet zostały przeanalizowane przez wielkie przedsiębiorstwa japońskie po tym, jak niektórzy „ubikacyjni” odkryli, iż pracownice, zwłaszcza młodsze, wiele razy ciągną za spłuczkę, aby nie było słychać odgłosów, jakie w tych okolicznościach wymusza fizjologia. Zważywszy, że każde pociągnięcie za spłuczkę to pięć litrów wody, że każda dziewczyna idzie do ubikacji średnio pięć razy dziennie i że za każdym razem ciągnie za łańcuch - albo raczej wciska guzik (przynajmniej trzy razy), wstydlive Japonki dzień w dzień marnotrawią miliony litrów wody. Rozwiązanie przyniósł „wytlumiacz dźwięków”, trzydziestocentymetrowe urządzenie na baterie naśladujące odgłos spłuczki. Urządzenie kosztuje ponad pięćdziesiąt euro, ale Fuji Bank, który ma wśród personelu pięć tysięcy kobiet, twierdzi, że oszczędził około czterdziestu tysięcy dzięki zainstalowaniu tysiąca sześciuset „wytlumiaczy” w swoich filiach.

- Prawdziwa ubikacja przyszłości to taka, w której nawet woda nie będzie potrzebna - oznajmia profesor Nishioka. - Należy spojrzeć prawdzie w oczy: człowiek jest opóźniony wobec innych zwierząt pod względem tego, jak eliminuje fekalia. Zwierzęta nie używają ani

wody, ani papieru i są bardzo czyste. My tymczasem jesteśmy uzależnieni od tylu przedmiotów i urządzeń...

Obecnie w centrum uwagi „ubikacjologów” znajduje się panda. Z prostego powodu: odchody pandy są absolutnie bezwonne.

- To musi mieć związek z bambusem, którym panda się żywi. Albo z czymś w jej żołądku - mówi profesor. Celem naukowca (i pewnego tokijskiego koncernu produkującego pożywienie w płatkach) jest przeniknięcie „sekretu” pandy i zastosowanie go w ludzkiej diecie.

W sklepach można już znaleźć sprej, który użyty w kociej karmie sprawia, że odchody tych zwierząt nie cuchną. Trwają prace nad odpowiednikiem dla psów.

- W przypadku człowieka badania potrważą trochę dłużej - mówi Nishioka. Mimo wszystko profesor jest przekonany, że przed końcem XX wieku dzięki japońskiej technologii ludzkie odchody będą przypominać kozie: - Małe, suche bobki, łatwo się rozkładające, a przede wszystkim bezwonne.

Dzięki tym wszystkim urządzeniom, które są obecnie w sprzedaży, japońskie ubikacje coraz bardziej przypominają kabinę pilota, a coraz mniej miejsce „duchowego spokoju”, opisywane przez Junichira Tanizakiego w jego rozprawie Pochwała cienia. Dla sławnego pisarza atmosfera zacienionej japońskiej toalety z podłogą z drewna kamforowego, ścianami z papieru, widokiem na błękitne niebo i zielonym mchem w ogrodzie była „czystą doskonałością”.

Dzisiaj to wszystko uległo zmianie. Nishioka radzi swoim studentom, którzy muszą wybrać przedsiębiorstwo, często na całe życie: - Nie przywiązujcie nadmiernej wagi do pensji, jaką wam proponują. Pójdźcie raczej obejrzeć ich ubikacje, a przekonacie się, czy firma, która chce was zatrudnić, jest dobra i solidna.

Jesienią 1988 roku miało się odbyć w Seulu otwarcie igrzysk olimpijskich. Dla Korei było to wydarzenie historyczne. Dla mnie - okazja, aby naszkicować obraz kraju, który odwiedzałem jedynie w czasie burzliwych demonstracji studenckich, rozruchów oraz budzących wielkie emocje wyborów. Spędziłem tu ponad miesiąc i zjechałem Koreę wszędy i wzdłuż. ? "

Korea Południowa: krewetka między dwoma wielorybami

Seul, sierpień 1988

Dach po dachu, wśród nieustającego falowania krzywizn, miasto rośnie i sunie naprzód.

Wchodzi na wzgórze, znika i wyłania się ponownie w dolinach. Rozściela się w dół rzeki,

pełniej połykającymi drapaczami chmur i labiryntami nowoczesnych mieszkań, aby

zatonać w zielonych i błękitnawych liniach dalekich gór osnutych mgłą. Seul: ogromne ciało, które oddycha, powiększa się, silne, wibrujące, pewne siebie, pełne życia i nadziei.

Południowi Koreańczycy lubią nazywać swoją stolicę „pięknością w lustrze” -

ośniewającą, ale nieuchwytną.

Podobnie jak obraz w lustrze, Seul bardzo łatwo ugodzić. Zwłaszcza teraz, gdy ma swoje spotkanie z historią.

17 września o 10.30 rano XXIV Igrzyska Olimpijskie, największe w dziejach, pierwsze organizowane w byłej kolonii, zostaną otwarte w Seulu: trzynaście tysięcy sportowców reprezentujących sto sześćdziesiąt jeden narodów (w Los Angeles było sto czterdzieści, w Monachium sto dwadzieścia trzy), piętnaście tysięcy dziennikarzy i dwieście pięćdziesiąt tysięcy widzów zgromadzi się tutaj z okazji największych uroczystości, jakie Korea 190 kiedykolwiek oglądała.

A jednak mogą mieć towarzystwo. Myśliwce Korei Północnej są w stanie dotrzeć nad miasto w ciągu półtorej minuty, czołgi pół- nocnokoreańskie - wejść do Seulu w godzinę. Granica, jedna z najbardziej wrażliwych na świecie, znajduje się zaledwie pięćdziesiąt sześć kilometrów dalej. Istnieje też możliwość, że jakaś grupa terrorystyczna, sponsorowana przez reżim komunistyczny Phenianu, spróbuje ataku, albo że studenci o radykalnych poglądach

wykorzystają moment, w którym oczy całego świata będą zwrócone na Seul, do zorganizowania protestu przeciwko ustrojowi Południa.

- To najniebezpieczniejszy moment w całej historii koreańskiej - mówi C.C. Wills, amerykański bankier. - Wystarczy jedna bomba, aby zniszczyć uroczystość.

Na sukces J:ej uroczystości Południowi Koreańczycy pracowali od lat i ich oczekiwania są duże.

Olympik, Olympik: to słowo stało się obsesją. Każde miasto w kraju, każdy urząd publiczny liczy dni pozostałe do Olympik, jakby Koreańczycy chcieli delektować się czasem, po którego upłynięciu zaczną nowe życie.

- Igrzyska olimpijskie będą datą naszego odrodzenia - mówi Kim Yong Nae, burmistrz Seulu.

Każdy kraj nadaje faktowi goszczenia igrzysk własne znaczenie. Te z Tokio z 1964 roku - pierwsze przeprowadzone w kraju „niebiałym” - oznaczały dla Japonii powstanie z wojennych popiołów i powrót w roli mocarstwa na scenę międzynarodową. Dla Korei to nie jest powrót, lecz debiut, ponieważ na płaszczyźnie światowej nigdy nic nie znaczyła. Korea. Gdzie to jest? Co to jest?

- Miejsce na wietrze. Krewetka między dwoma wielorybami - mówi mi Lee O Young, jeden z najznakomitszych eseistów tego kraju.

Zakleszczony pomiędzy ogromnym terytorium Chin a potężnym archipelagiem japońskim, Półwysep Koreański był ofiarą inwazji, podbojów, zniszczeń, a często polem cudzych wojen. Zawsze ujarzmiany, zawsze uciśniony.

Koreańczycy żyją od wieków na swojej „ziemi dziesięciu tysięcy gór, dziesięciu tysięcy wysp, dziesięciu tysięcy wodospadów”, ale rzadko bywali jej właścicielami. Nigdy nie mieli całkowitej niezawisłości ani swobody wyrażania swoich cierpień i gniewu. Zmuszeni okolicznościami zginać kark przed mocniejszymi, nauczyli się trwać przy swojej tożsamości w milczeniu, opisując to uczu*cie poprzez nieprzetłumaczalne słowo han, oznaczające smutek i nadzieję, tęsknotę za minionym szczęściem i ufność w wyzwolenie, które nadejdzie w przyszłości.

Od Chińczyków wzięli język pisany, prawodawstwo, system rządów, sztukę i religie (nawet chrześcijaństwo przyszło do Korei z Chin), a cesarzom musieli płacić daniny. Władcy Korei nosili tytuł królewski i zanosili swoje ofiary przed ołtarz Ziemi. Ścisły związek z Niebem był zastrzeżony dla chińskiego cesarza.

A jednak milczący, zatwardziali, „pełni han” Koreańczycy zachowali swoje tradycje, swoją tożsamość światłego narodu. Przez długi czas wyprzedzali cywilizacyjnie Japończyków, którzy podziwiali ich lepszą znajomość kultury chińskiej. Japonia wiele zawdzięcza Korei. Pewien mnich koreański przeniósł na archipelag buddyzm. Koreańscy architekci pomogli Japończykom zbudować ich pierwsze świątynie buddyjskie. Koreańscy lekarze nauczyli Japończyków chińskiej medycyny, a koreańscy rzemieślnicy pokazali im bardziej wyrafinowany sposób wyrabiania ceramiki. Koreańscy wychowawcy edukowali japońskich księży. W 815 roku naszej ery w Japonii powstał spis szlacheckich rodów: jedna trzecia była pochodzenia koreańskiego.

Japończycy nigdy nie uznali swojego długu kulturowego wobec Korei (ten temat jeszcze dzisiaj stanowi tabu), a kiedy na początku XX wieku jako nowa potęga militarna dokonali okupacji półwyspu, zrobili wszystko, aby zatrzeć tam wszelkie ślady „koreańkości”. Japończycy próbowali unicestwić język koreański, walczyli z buddyzmem koreańskim, sfalszowali historię Korei. Starali się nawet zniszczyć pewien gatunek róży, który Koreańczycy wybrali na symbol swojego kraju. Mieszkańcy półwyspu od stuleci przedstawiali Koreę pod postacią tygrysa. Japończycy kazali im utożsamiać się z królikiem. Zmusili Koreańczyków do przyjmowania japońskich nazwisk, do składania przysięgi

wierności cesarzowi Hirohito, a wzdłuż dróg postawili kamienie z napisem: JAPONIA I KOREA STANOWIĄ JEDNOŚĆ.

Koreańczycy w średnim wieku wspominają jeszcze ze złością, jak w dzieciństwie byli karani za to, że zwrócili się do nauczycieli po koreańsku. Ludzie z miasta portowego Kunsan nadal wskazują zwiedzającym ogromne spichlerze, w których Japończycy przechowywali ryż koreański przed wysłaniem go do Japonii. Mieszkańcy Pusanu pokazują nabrzeża, skąd setki tysięcy Koreańczyków popłynęły na roboty przymusowe w japońskich kopalniach i fabrykach.

W 1945 roku, kiedy okupacja japońska wreszcie dobiegła końca, Koreańczycy nie mieli czym się szczycić. Wyzwolili ich Amerykanie, którzy bombami zrzuconymi na Hiroszimę i Nagasaki położyli kres imperialnym planom Japonii. Niewielu Koreańczyków walczyło przeciwko Japończykom. Większość kolaborowała i to właśnie kolaborantami posłużyli się Amerykanie, gdy tworzyli nowy koreański rząd po wojnie.

- Nasza historia zna tylko upokorzenia i wstyd - powtarza Lee O Young. - Od stuleci jesteśmy zranionym narodem.

Rany Korei są wielorakie. Te zadane podczas kolonizacji japońskiej (w latach 1905-1945) widać na każdym kroku.

W centrum Seulu, w głębi bulwaru Sejong, przed starym pałacem królewskim stoi brzydki granitowy budynek z kopułą. Postawili go Japończycy, ponieważ tokijski wróżbita oznajmił, że tam, u podnóża góry Pugak, mieszka duch Korei i że tylko odciskając na nim piętno swojej władzy, Japończycy zdołają go ujarzmić. Budynek został więc zaprojektowany w kształcie ideogramu słońca symbolizującego Japonię.

- Przez pięć tysięcy lat potrafiłmy, mimo wszystko, pozostać Koreańczykami - powtarzają ludzie. Pięć tysięcy lat pochodzi z mitu, który mówi, że Koreańczycy wywodzą się od Tan-guna,

legendarnego bohatera spłodzonego przez boga i kobietę-nieź-wiedzącę. W 333 roku przed Chrystusem Tan-gun miał jakoby założyć pierwsze państwo koreańskie, Chosun.

Koreańczycy wciąż są bardzo przywiązani do owego mitu. Wierzą też, że wynaleźli zegar słoneczny, zegar wodny, rynnę i, jeszcze przed Gutenbergiem, nawet druk. W ten sposób usiłują wzmocnić swoje poczucie tożsamości. Lista wynalazków jest wyryta na kamieniach w całym kraju. W Seulu wygrawerowano ją w marmurowej ścianie eleganckiej restauracji budynku Kyobo, odwiedzanego przez młodych menadżerów.

Najboleśniejsza rana to ta, która dzieli naród. Szeroki na cztery kilometry pas ziemi niczyjej, otoczony wysokimi palisadami i drutem kolczastym, przepoławia Półwysep Koreański od wybrzeża do wybrzeża, mniej więcej wzdłuż trzydziestego ósmego równoleżnika.

Równoleżnik miał być tymczasową linią demarkacyjną, stworzoną w 1945 roku w celu oddzielenia sił sowieckich od amerykańskich, przybyłych, aby przyjąć kapitulację Japończyków. Mimo to granica wciąż istnieje. W 1948 roku powstały rywalizujące z sobą rządy: komunistyczny na Północy, pod władzą Kim Ir Sena, ze stolicą w Phenianie, i prozachodni na Południu, pod władzą Syngmana Rhee, ze stolicą w Seulu.

W 1950 roku Północ, próbując zjednoczyć Koreę siłą, zaatakowała nieoczekiwanie przez trzydziesty ósmy równoleżnik. Stany Zjednoczone wraz z piętnastoma innymi krajami wysłały swoje oddziały na pomoc Południu. Chiny, wówczas jeszcze pod władzą Mao, pospieszyły z odsieczą komunistom z Północy. Wywiązała się krwawa wojna, a w 1953 roku, kiedy doszło do rozejmu, liczba ofiar śmiertelnych przekraczała dwa miliony.

Od tamtej pory ludność po obu stronach żyła odizolowana: nie było kontaktów, wymiany listów, wizyt. Matki, które wsadziły dzieci na ciężarówki jadące na Południe, z nadzieją, że dołączą później, zostały za granicami Północy i nigdy ich już nie zobaczyły. Na Południu jedna rodzina na cztery ma na Północy

krewnych, od których od trzydziestu pięciu lat nie otrzymała wiadomości.

Koreańczycy odczuwają ten podział jako poniżającą niesprawiedliwość narzuconą przez zewnętrzne siły.

- Podzielenie Niemców było zasłużoną karą. Ostatecznie to oni rozpętali drugą wojnę światową - mówi Kim Jun Tai, poeta z Kwangju. - Ale my, Koreańczycy, czym zawiniliśmy?

Jeszcze bardziej upokarzające jest dla Koreańczyków to, że dla obrony przed rodakami z Północy, z którymi chcieliby się zjednoczyć, muszą korzystać z ochrony obcego mocarstwa: Stanów Zjednoczonych. USA utrzymują w Korei Południowej siły składające się z czterdziestu dwóch tysięcy ludzi i stu jedenastu instalacji wojskowych, kilku ze składami broni atomowej. Amerykański generał jest zwierzchnikiem wszystkich oddziałów Południa, czyli całej armii koreańskiej i, teoretycznie, nawet jej głównodowodzącego, prezydenta republiki. W Korei Południowej ludzie nie przestają myśleć o wojnie.

- Od urodzenia mam wrażenie, że śpię z jednym okiem otwartym - mówi trzydziestosześcioletni makler wekslowy. - I nie widzę w tym nic szczególnego.

Wszystkie drogi są zbudowane tak, aby w kilka minut mogły stać się awaryjnymi pasami lądowania dla myśliwców. Kraj ma sześćset tysięcy ludzi w armii czynnej i trzy miliony rezerwy. Północ posiada armię czynną liczącą osiemset osiemdziesiąt tysięcy ludzi i pięć milionów rezerwy.

Od 1948 roku oba ustroje ściagały się o to, który będzie Koreą bardziej słuszną, bardziej zamożną, bardziej koreańską. Początkowo zwyciężała Korea Północna. Do 1965 roku Kim Ir Sen zdołał przeobrazić swoją część kraju w państwo uprzemysłowione ze średnim dochodem o wiele wyższym niż na Południu. Potem, w połowie lat sześćdziesiątych, sytuacja się odwróciła. Rozwój Północy został zahamowany, natomiast Południa - przyspieszony.

Aby móc importować obcą technologię, obie Koree zapożyczyły się na wielkie sumy. Północ nie była w stanie oddać pożyczek,

Południe natomiast wyrobiło sobie opinię „idealnego dłużnika”. W okresie najbliższych siedmiu lat Korea Południowa, najbardziej zadłużony kraj na świecie, powinna spłacić wszystkie zobowiązania. Podczas gdy Północ jest izolowana politycznie nawet przez własnych sojuszników, Południe utrzymuje wszelkie możliwe kontakty, nawet z państwami bloku komunistycznego, obecnie ogromnie zainteresowanymi wymianą handlową z Sęulem.

- Wyścig skończony, wygraliśmy - mówi Suh Sang Mok, jeden z architektów cudu gospodarczego Korei Południowej, symbol nowej klasy młodych, inteligentnych, świetnie wykształconych i bardzo zdeterminowanych „magów kapitalizmu” kierujących krajem.

Bez wątplenia dla wielu mieszkańców Korei Południowej igrzyska są uczczeniem „zwycięstwa” odniesionego nad Północą. To jednak także potwierdzenie własnej wartości.

- Czekamy na ten moment od pięciu tysięcy lat - mówi Kim Jil Sol, zastępca redaktora naczelnego dziennika „Chunchon”. - Wreszcie możemy pokazać całemu światu, kim jesteśmy i czego zdołaliśmy dokonać.

To, co Koreańczycy mają do pokazania, jest niewątpliwie imponujące. Niektórzy mówią nawet o „cudzie”. Trzydzieści lat temu Korea Południowa była zdewastowaną ziemią, zamieszkaną przez biednych, cierpiących głód wieśniaków. Ludzie wspominają ze wzruszeniem czasy, gdy żyli w chatach krytych strzechą, kiedy droga między Seulem a Pusanem nie była wyasfaltowana, a stolica przypominała „księżycowy krajobraz poprzecinany kikutami drzew i spalonymi ruinami”. Istniał tylko jeden most na rzece Han, a i on 25 lipca 1950 roku, pierwszego dnia wojny, został wysadzony, aby opóźnić pochód Północy.

Dzisiaj Seul ze swoimi ponad dziesięcioma milionami mieszkańców jest pod względem wielkości piątą metropolią na świecie, pełną nowoczesnych drapaczy chmur ze szkła i stali. Mostów przez rzekę Han przerzucono osiemnaście. Krajowa gospodarka należy 196 do najbardziej dynamicznych na świecie z jedną z najwyższych

stóp wzrostu (12 procent w poprzednich dwóch latach, około 10 procent w tym roku). Korea produkuje wszystko: od dzinsów po samochody, od butów po elektronikę. Jest trzecim wśród największych producentów (po Japonii i Stanach Zjednoczonych) procesorów komputerowych. Koreańczycy pracują więcej niż inne narody (pięćdziesiąt siedem godzin tygodniowo w stosunku do czterdziestu sześciu w Japonii i czterdziestu w Republice Federalnej Niemiec); ich stopa życiowa zrównała się, przynajmniej na papierze, ze stopą niektórych krajów europejskich i jest już, jak mówi pewien urzędnik rządowy, „wyższa niż w Portugalii”.

Wsie wyglądają kwitnąco - 72 procent pól ryżowych, znów urodzajnych, należy do chłopów, którzy je uprawiają. Obszary leśne, pod koniec wojny w 90 procentach zniszczone, znów są zachwycająco bujne: dwie trzecie Korei Południowej pokrywają lasy i sady. Zbudowano .tysiąc pięćset osiemdziesiąt osiem kilometrów dróg, a administracja publiczna jest wszechobecna - nie tylko pod postacią posterunków policji i koszar, lecz także szkół i urzędów pocztowych.

Miang Sal to siedemnaście drewnianych domków z papierowymi drzwiami. Znajdują się one na jednej z gór na północ od Ha- dongu, w prowincji Kyongsangnam. W wiosce nie ma świątyni, zastępuje ją sterta kamieni pod starym drzewem, gdzie, zgodnie z wyznawanym przez wieśniaków szamanizmem, mieszka duch tego miejsca. Chata sześćdziesięciodwuletniego Kang Ye Hyena przypomina tysiące innych wiejskich chat: ma klepisko, chlew, oborę dla krowy. Kiedy jego żona przygotowuje jedzenie w ciemnej kuchni, ciepło i dym są odprowadzane do przyległego pomieszczenia, aby podgrzać ondol, typową podłogę koreańską z nawoskowanego papieru. Znajdują się tu dwie piękne komody, telewizor, zegar elektryczny i telefon.

- Od czterech lat każda miejscowa rodzina jest podłączona do linii - mówi pani Kang. Życie w Miang Sal bardzo się poprawiło od 1949 roku, kiedy tu przyjechała. Martwi ją tylko jedno: - Wszyscy młodzi wyjeżdżają do miast. Kto się zatroszczy o mój grób?

W 1962 roku dwie trzecie Koreańczyków żyły na wsiach, a jedna trzecia w miastach. Dziś proporcje się odwróciły: w samym Seulu mieszka 25 procent obywateli. Napływ młodych ludzi do ośrodków miejskich nadal trwa, często okupiony goryczą i rozczarowaniem, bo to właśnie tam Południowi Koreańczycy zapłacili najwyższą cenę za „cudowny” rozwój kraju.

Pusan jest drugą pod względem wielkości metropolią Korei Południowej i najważniejszym portem. Chociaż będzie ona gościć niektóre konkurencje olimpijskie, nie została jeszcze odnowiona jak Seul i pozostaje jednocześnie symbolem sukcesów i porażek koreańskiego cudu gospodarczego.

Mieszkańcy nazywają Pusan „miastem kontenerów”. Mają na myśli zarówno te, które dniem i nocą prosto z fabryk jadą do portu, a stamtąd za granicę, jak te, w których żyją ludzie. Trzy i pół miliona Koreańczyków z Pusanu mieszka w ogromnym mrowisku sześcianów przykrywających, bez niemal żadnej plamki zieleni, wzgórze miasta.

Najuboższa część Pusanu nosi nazwę Gai Ya Hachan, ale mieszkańcy mówią o tym miejscu „księżycowa wioska”, ponieważ nie ma tu żadnej rozrywki, nie ma kina, nie ma baru, a nocą można oglądać tylko księżyc.

- Księżyc jest takim samym biedakiem jak my - słyszę od pewnego robotnika, jednego z tysięcy żyjących w zaułkach, gdzie dzieci bawią się obok szczurów. Aby zaoszczędzić, ludzie palą w kuchniach plastikowymi odpadami z fabryk butów, które dają zatrudnienie całemu miasteczku baraków. „Gdy buty się sprzedają, Korea idzie naprzód”, oznajmiał przez lata slogan Pusanu.

Samhwa to fabryka w centrum z czterdziestoma dwiema liniami montażowymi i dziesięcioma tysiącami robotników. Produkuje dwadzieścia pięć milionów par butów sportowych rocznie.

- Żadnych fotografii - ostrzega oprowadzający nas dyrektor. Sekretem, który chce ochronić, nie jest technologia. Ten sekret to ludzie, którzy umożliwili postęp gospodarczy Korei Południo-

198 wej. Setki dziewcząt o żółtawej cerze i chorowitym wyglądzie pracują łokieć w łokieć w duszącym odorze klejów i ogłuszającym hałasie maszyn do szycia. Chodzą do fabryki jedynie przez trzy-cztery lata, przed zamążpójściem.

- Nie mogłyby robić tego dłużej - mówi pewien związkowiec. - Byłyby tak osłabione, że nie znalazłyby już męża.

Średnia płaca dziewczyny pracującej dziesięć godzin dziennie, sześć dni w tygodniu, to sto pięćdziesiąt tysięcy wonów. Około stu euro.

Sto dwadzieścia kilometrów na północ od Pusanu, w nadmorskim mieście Pohang, znajduje się POSCO, największy koncern stalowy w Korei.

- Dwadzieścia lat temu, kiedy huta została otwarta, rząd polecił, aby stal sprzedawano o 30 procent poniżej ceny światowej. To było decydujące posunięcie. Umożliwiło uruchomienie przemysłu samochodowego i stoczniowego - opowiada mi profesor J. Krakowski, polski ekonomista z wizytą w Instytucie Rozwoju Korei. - Widziałem, w jaki sposób kraj bogaty - Polska - popadł w biedę - mówi uczony - a teraz uczę się, jak kraj biedny - Korea Południowa - zdobył bogactwo.

Stolica koreańskiego przemysłu samochodowego znajduje się o sześćdziesiąt kilometrów na północny wschód od Pusanu. Nosi nazwę Ulsan, ale zapomina się o tym, ponieważ wszędzie, na murach fabryk i domów, na autobusach i na mundurach tysięcy robotników, studentów i sprzedawców widnieje tylko jedno słowo: Hyundai, „epoka współczesna”. „Świat jeździ samochodami dzięki koreańskiej technologii”, oświadcza dumnie plakat przy wejściu do fabryki. To niemalże prawda. W tym roku produkcja wyniosła milion trzysta tysięcy aut. Plan zakłada oddanie trzech i pół miliona w 1993 roku: prawie wszystkich przeznaczonych na eksport.

Ogromne stocznie Daewoo w Chung Mu - o dwie godziny jazdy samochodem z Pusanu, na południowy zachód od tego miasta - rysują się, imponujące, na tle morza i osnutych mgłą wysepek. W tym miejscu w 1952 roku dzięki admirałowi Yi Sun Shinowi Koreańczycy wygrali jedną ze swoich nielicznych bitew przeciw-

ko japońskim agresorom. Admirał miał błyskotliwy pomysł: kazał zbudować okręty w kształcie żółwi, z dymem buchającym ze „szczęk” i żelazną skorupą. To tutaj Koreańczycy zamierzają znów pokonać Japończyków, tym razem w wyścigu przemysłu stoczniowego. 30 procent rynków światowych należy już do nich. 34 procent jest w rękach Japończyków, ale jeśli wziąć pod uwagę zamówienia, Korea wychodzi na prowadzenie. 1

- Plan był prosty: w latach sześćdziesiątych wysoki wzrost gospodarczy poprzez eksport; w latach siedemdziesiątych rozwój przemysłu ciężkiego i chemicznego; w latach osiemdziesiątych korekty i zaawansowana technologia - mówi administrator Suh. Jego zdaniem plan podziałał dzięki ważnemu czynnikowi: Koreańczykom, „ludziom dobrej jakości za małe pieniądze”.

Ale sami Koreańczycy nie wystarczyliby. Bardzo istotnym składnikiem sukcesu był człowiek, który zdołał narzucić plan bez dyskusji, bez żadnego respektu dla praw obywatelskich: dyktator. Nazywał się Park Chung Hee i miał żelazną wolę. Nawet jego wrogowie i ofiary przyznają dzisiaj, że to on był twórcą „cudu” Korei.

Generał Park doszedł do władzy w wyniku puczu w 1961 roku. Reżim jego poprzednika, Syngmana Rhee, był represyjny, ale nieskuteczny. W Korei wybuchły rozruchy studentów i wieśniaków. Park obiecał przywrócić porządek i uczynić kraj bogatym. Dotrzymał słowa.

Urodzony w rodzinie ubogich chłopów, Park dorastał pod rządami japońskich kolonizatorów, został wykształcony w japońskiej akademii wojskowej i służył w Mandżurii

jako oficer japońskiej armii cesarskiej. W późniejszym okresie, kiedy wrogowie chcieli go obrazić, używali japońskiego nazwiska, które wtedy nosił: Matsumoto.

Park był pierwszym generałem, jaki sięgnął po władzę w koreańskiej historii, pierwszym, który zaszczerpił temu społeczeństwu „kulturę wojskową”. W Korei, podobnie jak w Chinach, nigdy nie była ona dobrze widziana. Park ożywił legendę admirała Yi Sun Shina i otoczył jego postać kultem. Potężna sylwetka Yi z wielkim mieczem w zaciśniętej dłoni i okręt-żółw pokryty żelazem stały się symbolami odrodzonej „chlubnej tradycji militarnej Korei”.

Posągi admirała Yi stały w każdej szkole, na szczytach wiejskich wzgórz i na miejskich placach. Podania i opowieści o koreańskim męstwie weszły do podręczników szkolnych. Trzy zasady admirała Yi („poświęć się dla ojczyzny”, „bądź śmiały i twórczy”, „nigdy nie trać czujności”) wpajano dzieciom, a pomniki na cześć żołnierzy wznoszono w całym kraju.

Siły zbrojne dostarczyły zaufanych ludzi gospodarce. Generałowie w stanie spoczynku zostali prezesami przedsiębiorstw państwowych, oficerowie armii - dyrektorami prywatnych firm. Całe społeczeństwo przesiąkło wojskowym duchem. Rozkazy były wydawane na sposób wojskowy i musiały być wypełniane jak w wojsku. I w gospodarce, i na każdym innym polu.

W 1949 roku na południowej wyspie Cheju wybuchła chłopska rewolta przeciwko reżimowi Seulu i dwadzieścia tysięcy osób zostało zabitych. Zabroniono o tym mówić, pisać: miało być tak, jakby rebelia nigdy się nie zdarzyła. Rząd nakazał, aby odmalowano wszystkie wioski przy głównych drogach. Słomiane strzechy wymieniono na płaskie dachówki. Kraj musiał zdobyć „nowoczesny” wygląd i zdobył go.

Kto dzisiaj podróżuje po równych drogach Korei Południowej, prawie wszędzie obwiedzionych rabatami kwiatów, łatwo zapomina, że znajduje się w kraju azjatyckim. I dopiero gdy przystaje, aby zapytać o drogę czterech mężczyzn pijących wino ryżowe i żujących surowy czosnek przed straganem, wraca do rzeczywistości, ponieważ wyciągają się cztery dłonie wskazujące cztery różne kierunki i padają cztery różne odpowiedzi.

- Tym ludziom kilometry nic nie mówią - wyjaśnia student uniwersytetu, który służy mi za przewodnika i tłumacza. - To starożytny lud, chociaż żyje przy nowoczesnej drodze.

Park wiedział doskonale, że rozwój Korei wymaga wykształconej ludności, a więc zainwestował w oświatę publiczną. Tysiące szkół, które zbudował, stały się dumą kraju.

Dzisiaj w Korei

Południowej analfabetyzm praktycznie nie istnieje, procent osób z wyższym wykształceniem należy do najwyższych w Azji.

Park wiedział także, że aby wzmocnić miłość własną Koreańczyków, musi nauczyć ich historii. Rozkazał odkryć na nowo przeszłość Korei. Powstały muzea - nie tylko w wielkich miastach. Dostała je każda prowincja. „

W 1979 roku, kiedy Park został zamordowany przez szefa KCIA, koreańskich tajnych służb, i Chun Doo Hwan, inny generał, przejął władzę, nic się nie zmieniło: ani dyktatura wojskowa, ani polityka, ani sam rytm postępu.

- Wojskowi mieli projekt i realizowali go na sposób wojskowy, nie troszcząc się o opinię publiczną i nie przedkładając go na zebraniach akcjonariuszy - mówi pewien inwestor amerykański.

Typowym przykładem była ekspansja przemysłu stalowego. Pod koniec lat siedemdziesiątych producent POSCO, zdając sobie sprawę, że Chiny niebawem zliberalizują gospodarkę, chciał postawić nową hutę stali. Wybrano piękne miejsce nad morzem, niedaleko miasta Kwangyang, na wschód od Sunchonu. Trzystu czterem rodzinom wieśniaków i rybaków, którzy tam mieszkali, kazano spakować manatki. W 1982 roku zaczęły się prace i dzisiaj nie ma już śladu ani po polach ryżowych, ani po niegdysiejszych wysepkach. Na ich miejscu stoi „dla szczęścia ojczyzny i dla przyszłych pokoleń Koreańczyków najnowocześniejsza huta stali na świecie”, jak czytamy w broszurze.

Za kilometrami drutu kolczastego, za żelaznymi bramami pilnowanymi przez umięśnionych, futurystycznych mężczyzn w biało-czarnych hełmach, setki robotników chodzą tam i z powrotem w brązowych uniformach i żółtych kaskach. Wszyscy pozdrawiają się na sposób wojskowy. Wszystko jest nowe, lśniące, uporządkowane, a ludzie są dumni z gigantycznego cudu, który czyni z POSCO trzeci koncern stalowy na świecie.

- Kiedy byłem studentem, mówili nam, że tak mały kraj nie może posiadać własnej huty stali. Tymczasem oto ona, supernowoczesna, przed moimi oczami - mówi mi ze szczerą dumą właściciel kawiarni niedaleko POSCO. - Sprawia, że czuję się silny jako Koreańczyk.

Silny czuje się także dzięki faktowi, że Samsung jest jednym z największych koncernów elektronicznych świata, że Amerykanie i Kanadyjczycy jeżdżą samochodami Hyundai, że nazwy Daewoo, Lucky-Goldstar (LG) i Sunkyong (SKC) wkrótce będą na świecie tak znane, jak japońskie Sony i Toshiba.

A więc warto było wprowadzać dyktaturę? Oficjalną odpowiedź, jasną i dobitną, przynosi osobliwy spektakl, najbardziej zajmujący, jaki Koreańczycy kiedykolwiek oglądali. Do budynku w ogromnym parku otoczonym pięknymi górami, otwartego w ubiegłym roku, każdego dnia przyjeżdża pięćset autobusów z turystami. Tutaj Koreańczycy uczą się, że są „wyżsi od przeciętnego człowieka”, tutaj uczą się, że ich „wysokie czoło jest oznaką wielkiego potencjału intelektualnego”, tutaj, podczas trwającej kilka godzin podróży w czasie, ozywają wszystkie dramaty z ich przeszłości.

Zdumione wieśniaczki w białych strojach ludowych i wycieczki szkolne oglądają niezwykle realistyczne sceny przedstawiające ludzi umierających z głodu i słynne bitwy; zaglądają do sali tortur, gdzie japońscy oficerowie z wosku przesłuchują półnagie koreańskie dziewczęta, śledzą egzekucje i straszliwe obrazy wojny. Dopiero na koniec przychodzi katharsis. W ósmej sali zwiedzający tę rekonstrukcję koreańskiej historii w miniaturze stają naprzeciw ogromnych fotografii fabryk, stoczni, hut stali. Mogą dotknąć produktów, które z nich wychodzą. Oglądają pokoje „typowego” domu koreańskiego, z rodziną otoczoną wszelkimi symbolami szczęścia: telefonem, telewizorem, zachodnim łóżkiem, pluszowym dywanem. Wyczerpani, siadają wreszcie pod powiększonymi zdjęciami stadionu olimpijskiego w Seulu, z flagami wszystkich uczestników igrzysk. Ich ostatnie spojrzenie pada na wielką mapę świata, w którego centrum znajduje się... Korea.

Wszyscy wracają do domu z jasnym i prostym przekazem: cierpienie się skończyło, poświęcenie miało swój sens. 203

- Oczywiście, że dyktatura działa. Proszę spojrzeć tutaj! - mówi dwudziestosześcioletni Kim Kang, pokazując nad łokciami ślady sznura, który głęboko werznął się w skórę jego rąk. W 1987 roku Kim Kang był studentem ekonomii i brał udział w demonstracjach przeciwko reżimowi. Został aresztowany, był torturowany całymi dniami, a wypuszczono go po siedmiu miesiącach. Dzisiaj jest dziennikarzem w Kunsanie. To jedna z tysięcy osób, które noszą, nie tylko na ciele, ślady ran zadanych przez dyktaturę.

Jeżdżąc po Korei, rozpoznaje się ich błyskawicznie: bladzi, chudzi, twardzi, ale rozbici, z melancholijnym spojrzeniem w zapadniętych oczach, wylęknieni, jakby nadal byli ścigani. Pracują w związkach zawodowych, w niedawno otwartej opozycyjnej gazecie, w organizacjach broniących praw obywatelskich. Są częścią „dziedzictwa bólu”, jak mówi pewien dziennikarz z „Chosun Ilbo”; dziedzictwa pozostawionego przez dyktaturę wojskową.

Miejscem, w którym tym bólem niemal się oddycha, jest Kwang-ju, zranione miasto, nadal żądające sprawiedliwości za masakrę dokonaną w 1980 roku.

Prezydent Park został zamordowany, generał Chun Doo Hwan i jego kolega, generał Roh Tae Woo, przeprowadzili zamach stanu. Studenci demonstrowali przeciwko wojskowemu i domagali się demokracji. Przybyli spadochroniarze - drogi zapełniły się okaleczonymi i zniekształconymi ciałami. Były to prawdziwe stosy trupów. Rząd utrzymuje, że zginęło jedynie sto osiemdziesiąt pięć osób, ludzie z Kwangju mówią, że ponad dwa tysiące.

Miasto Kwangju, nadal centrum działań opozycji (Kim Dae Dzung pochodzi z tego regionu), po rzezi stało na czele ruchu prodemokratycznego i dziś jest najważniejszym ośrodkiem innej „historycznej misji”: zjednoczenia kraju.

O zjednoczeniu ludzie nie mówią. A jednak myśli o nim, niemalże nieświadomie, każdy Koreańczyk. Za biurkiem dyrektora i szeregowego pracownika często można zobaczyć obraz przedstawiający symbol Korei - znajdujące się na Północy tajemnicze 204 jezioro Chongji z góry Paktou. Na karteczkach, które ludzie zostawiają w świątyniach z prośbami do bogów, często można przeczytać: „Żeby ojczyzna stała się jednością”.

- W przeszłości wierzyliśmy, że nasi przywódcy polityczni dokonają zjednoczenia. Teraz jest dla nas jasne, że sami musimy się o to postarać - mówi przeor mnichów z buddyjskiej świątyni Mun Pin Chong znajdującej się pod Kwangju, jeden z liderów ruchu na rzecz dialogu między narodami Korei Północnej i Południowej. Według wyników ostatniego sondażu, większość młodych ludzi uważa, że jedynie zjednoczenie zapobiegnie nowej, krwawej wojnie na półwyspie.

Jak na ironię, dyktatura doprowadziła do tego, że po trzech dekadach nieustępliwej edukacji antykomunistycznej młodzi ludzie z Korei Południowej odczuwają dzisiaj wielkie, niemal chorobliwe zainteresowanie komunizmem.

- Wiem, że w naszych żyłach płynie ta sama krew i że krew jest silniejsza od ideologii - mówi Nam Pyong O z Federacji Młodzieży Katolickiej. - Byliśmy zatruci przez wiele lat propagandą antykomunistyczną. Czas, abyśmy się odtruli.

Kwangju jest także ogniskiem antyamerykanizmu, który zaczyna się rozprzestrzeniać po całym kraju.

- Do czasu rewolty w Kwangju myśleliśmy, że Amerykanie są naszymi przyjaciółmi. Teraz zaczynamy zdawać sobie sprawę, że to oni stworzyli wszystkich koreańskich dyktatorów - mówi mi Myong Ro Kuen, profesor literatury z Uniwersytetu Chonnam, który został skazany na osiemnaście miesięcy więzienia. Myong Ro Kuen jest ojcem dwóch córek. Jedna spędziła w więzieniu dwa lata, druga dwa miesiące.

W Korei Południowej Amerykanie nie cieszą się już wielką sympatią. Także ich rola odegrana podczas wojny jest umniejszana i prawie zapomniana. Obecność amerykańską, niegdyś źródło zysków, wraz z rosnącym powszechnie dobrobytem Koreańczycy postrzegają jako źródło korupcji. Znajdująca się niedaleko bazy lotniczej w Kunsanie wioska, w której G.I. mieszkają ze swoimi koreańskimi „tymczasowymi żonami”, jest przez wszystkich nazywana „amerykańskim miasteczkiem”. To rodzaj obcego ciała, ludzie trzymają się od niego z daleka.

Jaki model realizuje Korea, nie wiadomo. Obecnie bardzo przypomina on japoński. Sprzedawczynie z wielkiego domu towarowego Lotte w centrum Seulu kłaniają się klientom przy wejściu do wind, mamrocząc swoje uprzejme litanie, tak samo jak sprzedawczynie z Takashimaya w Tokio. Robotnicy z Hyundai rozpoczynają dzień pracy od odśpiewania hymnu firmy i pozdrowienia sztandaru - niczym robotnicy z Toyoty. Niemalą część infrastruktury przemysłowej Korei Południowej uruchomili Japończycy i sporo dużych przedsiębiorstw koreańskich jest w mniejszym lub większym stopniu kopią przedsiębiorstw japońskich.

Koreańczycy z Południa produkują już wszystko, od wind po części samolotów, często korzystając z doświadczeń Japończyków: kupić obcą technologię, wyuczyć się jej, skopiować, rozwinać własną technologię i zdobyć niezależność.

Technologię można kupić na różne sposoby. W każde piątkowe popołudnie lotem JAL 955 z lotniska Narita w Tokio przybywa do Seulu wielu Japończyków. Nie wszyscy pasażerowie to turyści czy biznesmeni podróżujący w sprawach przedsiębiorstwa. Wielu jest inżynierami, którzy wykorzystują weekend, aby popracować dla firm koreańskich. Lokuje się ich w dobrym hotelu, towarzyszy im tłumacz, a dostają od trzystu do pięciuset dolarów

amerykańskich za dzień pracy. Jeśli konsultacja zawiera także elementy cennego szpiegostwa przemysłowego, wynagrodzenie może być o wiele wyższe. Zaniepokojone firmy japońskie zaczęły kontrolować paszporty swoich pracowników i umieszczać szpiegów na lotnisku, aby mieli na oku weekendowych podróżnych.

Koreańczyk nie przepada za Japończykiem, Japończyk pogardza Koreańczykiem, a cudzoziemcowi nie może przydarzyć się nic gorszego, niż pomylić jednego z drugim. Mimo to narody ściśle współpracują.

- Nie jesteśmy zależni od Japonii - mówi administrator Suh. - My jesteśmy po prostu współzależni.

Pod względem ekonomicznego zaangażowania w Korei Japonia prześcignęła USA. Ze wszystkich inwestycji poczynionych w tym kraju między 1962 a 1986 rokiem połowa należy do Japończyków, jedna trzecia do Amerykanów.

Park Chung Hee rozumiał, że Korea nie może ruszyć z miejsca bez odwołania się do swojej kolonialnej przeszłości i bez odnowienia - co nastąpiło dzięki jego odważnej decyzji w 1965 roku - stosunków dyplomatycznych z Tokio. Postąpił zrezygnując: otworzył kraj dla biznesmenów i inżynierów - i tylko dla nich. Kasety i płyty z japońskimi filmami i muzyką są zakazane w Korei. Z okazji igrzysk rząd zgodził się wyjątkowo, aby japoński zespół opery kabuki dał przedstawienie w Seulu i Pusanie.

Rząd nigdy nie zakazał natomiast „turystyki seksualnej”, która przeobraziła część Korei Południowej w wielki dom publiczny dla Japończyków. Pusan jest: dobrym przykładem tego zjawiska. Grupy Japończyków przypluwają małymi statkami z Shimonoseki albo przylatują samolotami z Tokio czy Osaki i zostają na kilka dni. Dziewczyna jest wliczona w cenę biletu i hotelu.

Jak na ironię, zaledwie o godzinę drogi samochodem z Pusanu, w starożytnym mieście Chinju, stoi świątynia poświęcona jednej z najsłynniejszych bohaterek w historii Korei, Non Gae. Była ona kisaeng, koreańską gejszą. Zmuszona do zabawiania japońskiego generała, który przybył jako zwycięzca podczas inwazji w 1592 roku, zaprowadziła go nad urwisko nad rzeką Nam i trzymając w objęciach, rzuciła się razem z nim w przepaść. W świątyni zbudowanej na szczycie skały dwie świece nieustannie palą się na jej cześć, a we wszystkich szkołach bohaterstwo Non Gae jest od stuleci stawiane za wzór młodemu pokoleniu.

„Z twarzy kobiet najłatwiej wyczytać cenę przetrwania zapłaconą przez Koreę” - pisał John Ashmead, amerykański pisarz, w swojej powieści o drugiej wojnie światowej, *A Mountain and a Feather*.

1 nic się nie zmieniło. Nie protestując, nie buntując się, koreańskie kobiety nadal są podporządkowane mężczyznom w spo-

łeczeństwie, które we wszelkich innych dziedzinach szybko się modernizuje. Pracują w tabang, gdzie bardziej niż o kawę chodzi

o ich towarzystwo, w salonach fryzjerskich, gdzie po ogoleniu się

1 obcięciu włosów mężczyźni są przez nie masturbowani, w setkach room salons, lokalach typowo koreańskich, gdzie dziewczyny w ludowych strojach albo w seksownych zachodnich ubraniach karmią i pieszczą swoich gości. Kobiety pracują również w dzielnicach nocy Seulu Miari, gdzie tysiącami można je oglądać w wielkich witrynach, i w labiryncie nędznych klitek wokół dworca Yongsan. Nocami mężczyźni kupują je tam za bezcen.

Trzy dekady reżimu wojskowego nie poprawiły znacząco losu koreańskich kobiet. Konfucjański porządek społeczny, który odzwierciedla konserwatywizm ludności, został utrzymany.

- Konfucjanizm jest częścią naszego życia, jak chrześcijaństwo jest częścią cywilizacji europejskiej - mówi sześćdziesięcioośmioletni Kang Kuk Young, emerytowany rektor jednej ze szkół wyższych w Chinju. - Możemy zaakceptować zmiany, ale pod warunkiem, że będą stopniowe.

Konfucjanizm oznacza, że kobieta musi być posłuszna najpierw ojcu, potem mężowi, a wreszcie synom; oznacza szacunek dla władzy i starszych. W 1950 roku, kiedy oddziały Korei Północnej napadły na Południe, ludźmi najbardziej wstrząsnęło to, że młodzi żołnierze komunistyczni nazywali starszych mężczyzn „towarzyszami”.

- To było nie do pomyślenia, nie do przyjęcia. Wbrew naturze - mówi profesor Kang.

Na wsi etyka konfucjańska nadal rządzi stosunkami między ludźmi. O zachodzie słońca, przy lekkich podmuchach wiatru, gdy wieśniacy zbierają się pogawędzić albo zagrać w szachy w przewiewnym pawilonie, który ma każda osada (to jeden z najbardziej malowniczych obrazów w pejzażu koreańskim), starzy i młodzi siadają oddzielnie, a kobiety dyskretnie trzymają się na uboczu. Syn wracający do domu - jak mój student przewodnik - klęka przed ojcem, dotykając czołem podłogi.

Ład konfucjański oznacza także, że rodziny zamożne pozostają zamożne, a biedni albo źle opłacani nie buntują się przeciwko swojej kondycji i pozostają biedni. Szybki wzrost gospodarczy jeszcze pogłębił przepaść. Pięć minut drogi dzieli rezydencje bogaczy ze Skywalk w Seulu od prymitywnych betonowych bloków, których mieszkańcy nadal chodzą po wodę z wiadrem i nie mają własnej ubikacji.

Bogacze stali się jakby osobną rasą. Żyją we własnym kręgu, między sobą robią interesy. Jako jedyni mogą wyjechać za granicę, czyli cieszą się przywilejem niedostępnym dla większości Koreańczyków od trzydziestu lat. Dzięki staremu systemowi aranżowanych małżeństw dzieci bogatych poślubiają innych bogatych, aby dobra nie rozpraszały się, lecz przeciwnie, sumowały. -

Każdym koreańskim miastem rządzi kilka wysoko postawionych rodzin. Gospodarka całego kraju jest zdominowana przez chaebol, rodzinne konglomeraty, które pod ochroną reżimu wojskowego z czasem stały się jeszcze większe i jeszcze bardziej wpływowe. Piętnaście chaebol (między innymi Samsung, Daewoo, Hanjin i Lotte) stanowi ponad połowę produktu krajowego.

Podczas gdy bogaci mogą sobie pozwolić na pielęgnowanie tradycji i wielu z nich chlubi się posiadaniem bezcennej księgi rodzinnej wyliczającej nawet stulecia antenatów, biedni gwałtownie tracą łączność z korzeniami. W wyniku błyskawicznej urbanizacji miliony wieśniaków utraciły także wiele tradycyjnych wartości, w tym, jakże ważne w Korei, wartości rodzinne.

„Gdzie jesteś, mamusiu?”, pyta z plakatu porzucone dziecko. Każdego roku ponad dziewięć tysięcy koreańskich sierot jedzie „na eksport”, do rodzin adopcyjnych za granicą. Cena za dziecko, w którą wliczony jest transport i dokumentacja, to cztery tysiące dolarów.

Sukces gospodarczy najwyraźniej niszczy to, co Koreańczycy zdołali zachować nawet pod dominacją japońską: tożsamość. Ludzie są rozgoryczeni. 209

- Przeceniliśmy modernizację i teraz zdajemy sobie sprawę, ile straciliśmy - mówi poeta Kim Jun Tai z Kwangju. - Wszystko, co nas otacza, zostało przeobrażone na styl zachodni, nasze domy, nasze zwyczaje, nasz sposób myślenia.

Seul coraz bardziej upodabnia się do Tokio. Nawet wyspa Cheju, gdzie nie ma niczego poza „kamieniami, wiatrem i kobietami”, posiada luksusowe hotele i kąpieliska - takie same jak na całym świecie. Stare praktyki religijne - na przykład szamanizm - nie interesują młodzieży i są już tylko atrakcjami turystycznymi. Nawet burmistrz Seulu dostrzega niebezpieczeństwo:

- Poświęciliśmy ostatnie dwadzieścia lat na gromadzenie bogactw - mówi. - Teraz musimy zatroszczyć się o kulturę.

Szybki zanik dawnego stylu życia obudził ogromną tęsknotę za przeszłością. Studenci chodzą na kursy tańców ludowych, ludzie z klasy średniej chcą jeść wyłącznie koreańskie jedzenie i mieszkać w tradycyjnych domach, niektórzy członkowie Zgromadzenia Narodowego chodzą do pracy w strojach narodowych. Wiele miast na prowincji używa

konfucjańskich świątyń do dawania lekcji „postępowania na sposób konfucjański”. W Sunchonie na takie zajęcia chodzi kilkaset osób: to sami młodzi ludzie.

W wysoko położonej dolinie góry Chiri leży Chunghak, Wieś Niebieskiego Żurawia. Dwadzieścia trzy rodziny schroniły się w niej, aby uciec przed współczesnym światem. Żyją tak, jak ich przodkowie żyli setki lat temu - zbierając zioła lecznicze i wytwarzając miód. Ubierają się w tradycyjne białe odzienie, młodzi wolnego stanu noszą długi warkocz, dorośli chowają włosy pod wysokimi czarnymi kapeluszami z końskiej sierści, podobnymi do cylindrów. Dzieci chodzą do prowizorycznej szkoły, nad wejściem do której widnieje napis: „W cieniu gór wyrastają wielkie dusze”. Jediną rzeczą, jakiej uczą się od starego nauczyciela, są dialogi Konfucjusza. Cała wioska ściśle przestrzega etyki konfucjańskiej.

- Bardziej niż miejsce na ziemi to ideologiczny raj - mówi na- 210 czelnik wioski, Kim Tek Chun, powitawszy mnie i poczęstowawszy filiżanką herbaty. Podobnie jak jego ludzie, jest przekonany że Koreańczycy odegrają niezwykle doniosłą rolę w przyszłości człowieka, i uważa za swoją misję zachowanie duchowości koreańskiej w świecie, który jest nadmiernie przywiązany do materii

- Ubiegłe stulecie należało do Anglików. To należy do Amerykanów. Przyszłe będzie należeć do Koreańczyków. My się przygotowujemy-wyjaśnia mi LiJong Suk, duchowy przywódca wioski. Podczas gdy mówi o nowym łądzie i o nadchodzącej erze pokoju pod przewodnictwem Korei, dzieci wokół nas bawią się kawałkami drewna i udając, że to samochody, naśladują odgłosy silnika.

Do skutków osłabienia tradycyjnych wartości należy aktywność robotników w organizacjach i pojawianie się nowych związków zawodowych. Starcia są coraz częstsze: w samym 1987 roku było trzy tysiące siedemset czterdzieści dziewięć strajków, więcej niż w poprzednim dziesięcioleciu. W pierwszych pięciu miesiącach tego roku policja użyła dwustu siedemdziesięciu pięciu tysięcy butli z gazem łzawiącym, aby rozprędzić demonstrujących na rzecz poprawy warunków pracy. Na razie jednak przeważa skłonność do kompromisu.

Chociaż najbardziej przerażające elementy dyktatury zostały zniesione (aresztanci nie są już bici i zdaje się, że zrezygnowano ze stosowania tortur wobec więźniów), kultura wojskowa wprowadzona przez Parka bynajmniej nie zniknęła. Dowodzi tego sposób, w jaki Seul przygotował się do igrzysk. Całe barakowe miasteczka zostały usunięte buldożerami ze wzgórz stolicy, cztery tysiące ludzi - ślepców i nędzarzy - zostało przegnanych. Szesnaście tysięcy domokrążców i trzy tysiące wielobarwnych namiotów, w których Koreańczycy lubią upijać się wieczorami, ma zniknąć z ulic. Dyktatura działa, i to doskonale: urzędnicy Komitetu Olimpijskiego twierdzą, że koreańska organizacja igrzysk jest jedną z najlepszych, jakie kiedykolwiek widzieli.

Po upadku eksperymentu socjalistycznego w maoistowskich Chinach jedynymi krajami azjatyckimi, które w ostatnich trzydziestu latach odniosły sukces (wyjąwszy Japonię, uprzemysłowaną jeszcze przed wojną), były te o rządach autorytarnych, prozachodnich i kapitalistycznych. Korea Południowa, z najbardziej autorytarnym reżimem, osiągnęła najwięcej: więcej od Singapuru, Hongkongu i Tajwanu.

Niebezpieczeństwo polega dziś na tym, że tryumf Korei Południowej, podkreślony przez igrzyska, zaakcentuje także porażkę Korei Północnej i przyczyni się do osłabienia reżimu z Phenia- nu, który legitymizuje swoją władzę głównie poprzez rywalizację z Południem. Wszyscy inni rewolucjoniści Azji w ten czy inny sposób zwyciężyli: Mao zjednoczył Chiny, Ho Chi Minh przynajmniej zza grobu ujrzał zjednoczony Wietnam. Kim Ir Sen jest obecnie jedynym, który nie ma się czym pochwalić. Czy to ścierpi? A jego syn, Kim Dzong II, czy to ścierpi? Istnieje możliwość, że Phenian będzie podzegał do ataku terrorystycznego (Carlosa? niedobitki japońskiej Armii Czerwonej?), aby zniszczyć igrzyska.

Porozumienie między krajami nie jest wykluczone. Rozejm na półwyspie mógłby być w interesie każdej ze stron. Eksperci zauważają, że obie części Korei, tak boleśnie podzielonej

od 1945 roku, wydają się wręcz stworzone do współpracy gospodarczej (surowce z Północy w zamian za wyroby fabryczne z Południa) i że czterdzieści milionów mieszkańców Południa w połączeniu z dwudziestoma dwoma milionami mieszkańców Północy mogłoby uczynić z Korei jedną z prawdziwych azjatyckich potęg.

Wojna sprzed czterdziestu lat nie była wojną między Koreańczykami, lecz między Wschodem a Zachodem, między komunizmem a kapitalizmem, toteż wielu mieszkańców półwyspu uważa, że wraz ze stopniowym zanikaniem różnic ideologicznych w świecie zdominowanym przez odprężenie Korea może stać się „symbolem epoki postideologicznej”. Seulczycy znów z zainteresowaniem czytają Jonngam Rock, zbiór przepowiedni koreańskich z XIII wieku. Jedna z nich wydaje się odnosić do naszych czasów. Pod koniec tysiąclecia, mówi prorocstwo, ludzkości będzie groziła zagłada. Wtedy jednak w pewnym peryferyjnym kraju model życia ulegnie zmianie, a pokój

zastąpi wojnę. Owym krajem, który znajdzie się w centrum pojednanego świata, jest Korea.

- Kiedyś to wydawało się szaleństwem, ale dziś już nie - mówi pisarz Lee O Young. - Trzydzieści osiem lat temu młodzi ludzie z całego świata przybyli tutaj, aby umrzeć na wojnie. Dziś przyjeżdżają w przyjaźni, aby walczyć na igrzyskach. Wtedy Korea była cmentarzem, dzisiaj to plac zabaw. Przemiana jest ogromna, a pokój światowy mógłby naprawdę zacząć się w tym miejscu.

Kontemplując ze stoków Namsan wspaniałe i witalne ciało Seulu połyskujące w dolinie, nie mogę nie myśleć o „piękności w lustrze”, która dziś się szykuje do swojego trudnego spotkania z historią; o zagrożeniu przyczajonym za granicą odległą o jedyne pięćdziesiąt sześć kilometrów; o prorocztwie mówiącym, że pokój na świecie stąd weźmie swój początek; o dziwnym spotkaniu z koreańskim chłopem siedzącym pod drzewem obok pawilonu wioski Yu Ling Li.

Staruszek zdjął lewy but, potem prawy i postawił oba przed swoimi stopami. Potem zamienił je miejscami i znów założył. Leżały jak ulał.

- Widzi pan? - zapytał z uśmiechem. - Lewy i prawy, komunizm i kapitalizm, to zachodnie pomysły. My, Koreańczycy, nie znamy tych różnic. Nasze buty pasują na obie stopy. Przez lata każdy dziennikarz podróżujący po Korei Południowej odwiedzał dom Kim Dae Dzunga. Bez wzmianki o tym człowieku portret kraju nie byłby pełny.

Kim Dae Dzung: prezydent-ciefr.

Seul, sierpień 1988

W Tokio sądził, że jest bezpieczny, ale agenci budzącej powszechną grozę KCIA, tajnych służb południowokoreańskich, bez trudu go znaleźli. Weszli nocą do pokoju hotelowego, zaaplikowali mu narkotyki, wrzucili do worka, a potem do bagażnika w samochodzie, stamtąd zaś do ładowni statku, który natychmiast wypłynął na otwarte morze. Planowali go utopić, aby zwłoki nigdy nie zostały odnalezione, a zbrodnia nie mogła zostać przypisana dyktaturze wojskowej rządzącej wtedy krajem.

Jakimś cudem Kim Dae Dzung, wielki dysydent, zaciekle przeciwnik reżimu, symbol walki na rzecz demokracji w Korei - przeżył. Załoga japońskiego samolotu wojskowego ujrzała z daleka dziwny statek na pełnym morzu, Tokio zawiadomiło Waszyngton, a z CIA przyszła błyskawicznie „rada” dla koreańskich kolegów, aby wstrzymali operację. Kim został zawieszony do Seulu i tam skazany na śmierć, ale także ten wyrok, politycznie ogromnie kłopotliwy dla reżimu, nie wyeliminował Kim Dae Dzunga.

Od trzydziestu lat życie dysydenta jest historią przerażających spotkań ze śmiercią i cudownych ocalań, heroicznymi walkami i chwalebnych porażek, z których każda wydawała się ostatnią. W 1971 roku, po tym, jak śmiało wystąpił przeciwko kandydatowi wojska, generałowi Park Chung Hee, i przegrał w wyborach prezydenckich, Kim Dae Dzung został uznany za politycznego ban- 214 kruta. A jednak się podźwignął. Dziesięć lat później, gdy zgodził

się wyjść z więzienia i pojechać na wygnanie do Stanów Zjednoczonych, mówiono, że Koreańczycy o nim zapomną i że nigdy nie zdoła wrócić. Wrócił. W grudniu zeszłego roku, kiedy Kim Dae Dzung został pokonany w wyścigu o fotel prezydencki przez byłego generała Roh Tae Woo, kandydata wojska, wielu mówiło i pisało, że tym razem to naprawdę koniec. Z szeregów jego własnej partii podnosiły się głosy żądające, aby Kim jako przegrany złożył dymisję i ustąpił pola młodszym członkom kierownictwa. Lecz także wtedy Kim pokazał, że potrafi jakimś cudem w ostatniej chwili wyjść z worka, że umie podnieść się z politycznego grobu, w którym widzieli go już nawet sojusznicy. Zaledwie osiem miesięcy od palącej porażki w wyborach prezydenckich Kim Dae Dzung ponownie znajduje się w centrum koreańskiej sceny politycznej i jest „bardziej prezydentem od samego prezydenta”, jak mówią niektórzy komentatorzy w Seulu.

To od Dzunga - od głosów jego ludzi wybranych do parlamentu - zależy, czy ustawa przejdzie, czy nie. To od niego zależy spokój na ulicach w najbliższych miesiącach. Człowiek, którego wojskowi zawsze postrzegali jako symbol rewolucji (Kim Dae Dzung krytykuje obecność Amerykanów w Korei Południowej, chce zacząć rozmowy z komunistyczną Koreą Północną i myśli o zjednoczeniu półwyspu), z każdym dniem ma coraz więcej do powiedzenia o przyszłości kraju.

Roh Tae Woo jeszcze oficjalnie urzęduje w Błękitnym Domu, ale Kim Dae Dzung jest już „prezydentem-cieniem”. W tej chwili stawia na umiar.

- Ostatnia rzecz, jakiej pragniemy, to chaos - powiedział niedawno swoim zwolennikom. Roh (na spotkaniu jeszcze kilka miesięcy temu nie do pomyslenia) poprosił go o współpracę przy procesie demokratyzacji kraju. Oznacza to przede wszystkim zlikwidowanie aparatu władzy stworzonego przez dawny reżim wojskowy i utrzymanego przez reżim Roh Tae Woo.

Pierwsze ciosy już zostały zadane, zdecydowane i silne. Brat generała Chun Doo Hwana, prezydenta kraju do lutego tego 215

roku, został aresztowany pod zarzutem korupcji. Były prezydent musiał zrezygnować ze wszystkich swoich doradczych funkcji. Wojskowi nie mają wyboru. Wyjąwszy próbę zamachu stanu - niebezpieczną i kłopotliwą, szczególnie ze względu na igrzyska olimpijskie - mogą tylko grać z Kimem w demokrację.

W ostatnich dniach wizytę Kim Dae Dzungowi złożył pewien małomówny pan. Obiecał mu, że odtąd jego ludzie będą się trzy- " mać z daleka od polityki wewnętrznej. Dodał, że Kim nie musi się z jego strony niczego więcej obawiać. Był to szef południowo-koreańskich tajnych służb. Kim przyjął go z szerokim uśmiechem, otoczony fotografami, aby ironia tej sceny mogła przejść do historii.*

^^imDa^Dzung wygrał wybory w 1997 roku i jest obecnie prezydentem Korei. [Przestał pełnić funkcję prezydenta w 2003 roku, zmarł 18 sierpnia 2009 roku - przyp. tłum.].

Do zadań korespondenta z Tokio należało teraz także obserwowanie samopoczucia cesarza. Latem 1988 roku Hirohito zapada na zdrowiu.

W połowie września jego stan ulega pogorszeniu. Życie władcy wydaje się dobiegać końca. Japonia: agonía boga

Tokio, 23 września 1988

Ciągle pada [pałac cesarski wygląda bardziej posępnie niż zwykle. Woda w fosie jest czarna, sosny w parku złowieszcze. Nawet wielkie złote chryzantemy na portalach tej średniowiecznej fortecy w środku supernowoczesnego, a gdzieśgdzie futurystycznego miasta, nie wydają się już symbolem korony, lecz śmierci, z którą za tymi murami walczy człowiek uważany za istotę narodu. Wczoraj rano Hirohito przeszedł kolejną transfuzję, ale życie w żyłach osiemdziesięciosiedmioletniego cesarza dobiega kresu i pałac nieustannie oblegają pielgrzymki. Tysiące osób w każdym wieku krążą wokół kamiennych stoków i po placu przy wejściu głównym. Tłum milczy. Słychać tylko chrzęst żwiru pod stopami tych, którzy przychodzą napisać swoje nazwisko na ciągnących się w nieskończoność pasach

białego papieru, szmer modlitw i rytmiczne klaskanie, jakim klęczący obwieszczają niebu swoją obecność. Japonia rozpoczęła czuwanie i przygotowuje się, zaniepokojona, do tej śmierci.

To pierwszy raz, gdy cesarz urodzony - zgodnie z religią państwową - jako bóg, umiera - zgodnie z konstytucją narzuconą przez Amerykanów po wojnie - jako człowiek i obywatel. Wraz z odejściem Hirohito zamknie się definitywnie pewien rozdział w historii Japonii, a ludzie wiedzą, że nowy rozdział już teraz 217

jest pełny znaków zapytania: głównie co do przyszłości samego cesarstwa. Rzecz nie w tym, czy Japonia stanie się republiką (wszystkie sondaże opinii publicznej wskazują, że jedynie 10 procent Japończyków popiera taką zmianę), lecz czy po śmierci Hirohito system cesarski zachowa obecny kształt i nadal będzie nie tylko wpływać na różne aspekty życia w Japonii (choćby na sposób liczenia lat), ale przede wszystkim stanowić fundament tożsamości narodu. Czyli spełniać funkcję, jakiej nie spełnia już żadna monarchia.

- Społeczeństwo japońskie nie może istnieć bez cesarstwa - mówi profesor Yoichi Kamishima, religioznawca - a cesarstwo nie może istnieć bez boskiej natury cesarza.

Dla kultury Japonii niezwykle ważne jest szamanistyczne przekonanie, że przedmioty i naturę ożywiają kami - duchy-bóstwa. Cesarza uważa się za żyjącą duszę narodu. Jedną z pierwszych (spośród ponad siedemdziesięciu) ceremonii objęcia tronu polega na tym, że następca spędza trzy dni i trzy noce sam na sam z ciałem zmarłego władcy. Przejmuje wówczas jego duszę i staje się symbolem „japońskości”, tej zbiorowej świadomości, która czyni Japończyka Japończykiem.

Zdaniem Kamishimy i innych uczonych, gdyby odebrać atrybut boskości cesarzowi, samopoznanie Japończyków radykalnie by się zmieniło. Amerykanie podczas okupacji archipelagu zmusili Hirohito do formalnego odrzucenia „boskości”, ale jako że od tamtej pory wciąż zasiada na tronie, zapomniano o jego rezygnacji i przytłaczająca większość Japończyków, także młodego pokolenia, nadal wierzy w szczególną naturę Ohoribaty, „czcigodnej osoby po drugiej stronie fosy”. Szkoły wciąż uczą mitu, zgodnie z którym rodzina cesarska pochodzi od bogini słońca, a bardzo wielu Japończyków, także nowych generacji, wierzy w często powtarzane przez prasę popularną historyjki: na przykład, że prezydent Wenezueli, jeden z ostatnich gości, jacy zostali przyjęci w pałacu, zaczął płakać w obecności cesarza albo 218 że nawet Hu Yaobang, sekretarz Komunistycznej Partii Chin, na widok monarchy zaczął się trząść, jakby porażony prądem elektrycznym.

Akihito, syn i następca imperatora, który poślubił kobietę bez szlacheckiego pochodzenia, a na dodatek został wykształcony przez amerykańską wychowawczynię, w powszechnej opinii może utracić ową otoczkę boskości. A przecież właśnie z tym atrybutem wiąże się wiele dziedzin życia w Japonii. Na przykład lat nie liczy się na archipelagu, jak w całym zachodnim świecie, od narodzin Chrystusa, lecz od wstąpienia na tron panującego cesarza. Epoką Hirohito była Showa, jego ojca - Taisho, dziadka - Meiji. Dyskusja na temat nazwy dla epoki po Hirohito już się rozpoczęła, ale coraz częściej słychać głosy (wczoraj ten temat poruszono nawet w artykule wstępnym dziennika „Asami”) sugerujące przyjęcie uniwersalnego kalendarza. Byłaby to niemała zmiana.

- Połączenie mijających lat z biegiem życia cesarza wywiera na ludzi głęboki wpływ - mówi Shigeyoshi Murakami, profesor historii religii z Uniwersytetu Keio. - Przypomina nieustannie, że cesarz ma władzę nad czasem i przestrzenią, sprawia, że Japończycy czują się poddani, nie zaś panami swojego kraju.

Śmierć Hirohito tak czy inaczej wyrzyje piętno na psychice Japończyków, ponieważ wraz z nim umiera owa pewność ciągłości, która odegrała doniosłą rolę w zespoleniu społeczeństwa wzburzonego wydarzeniami ostatnich dekad.

Od 1921 roku, kiedy został regentem, a potem od 1926 roku, gdy koronowano go na cesarza, Hirohito stanowił jedyną stałą, jedyny niewzruszony punkt odniesienia dla milionów japończyków, którzy widzieli, jak - czasem przerażająco - zmienia się wokół nich świat. Ostatnie trzy czwarte stulecia były dla potomków Wschodzącego Słońca najburzliwszym okresem w ich historii: odnieśli nieprawdopodobne zwycięstwa, ponieśli upokarzające porażki, przeżyli przerażające tragedie, od trzęsienia ziemi w 1923 roku, które całkowicie zniszczyło Tokio, po wojnę z Chinami w latach trzydziestych, od ataku na Pearl Harbor po inwazję na Azję Południowo-Wschodnią w 1941 roku i dwie bomby atomowe zrzuco-

ne na Hiroszimę i Nagasaki w 1945 roku. Tak wiele rzeczy zburzono i obalono, ale nieprzenikniona twarz, nieobecne spojrzenie za grubymi szklami tego niskiego, zawsze nieco niezgrabnego mężczyzny - najpierw w mundurze wojskowym, na grzbiecie białego konia, a potem w garniturze, marynarce i kamizelce zachodniego kroju - dodawały otuchy zwykłemu Japończykowi. Hirohito wciąż, był obecny. Przypominał swoją rzekomą nieśmiertelnością o nieśmiertelności narodu japońskiego.

- Nie przywykliśmy myśleć o sobie bez niego - mówi pewien pięćdziesięcioletni dziennikarz. - Jest tak, jakby po nim mogła przyjść tylko pustka.

Pustki jednak nie będzie, ponieważ gdy Hirohito umrze, jego syn natychmiast obejmie tron. Problem stanowi wybór formy. Czy uroczystości pogrzebowe i przekazanie sukcesji przebiegną zgodnie z rytuałami nakazanymi przez tradycję - co byłoby w zasadniczej sprzeczności z nową konstytucją - czy też obrządek będzie laicki, co jednak odbierze systemowi cesarskiemu jego boski charakter, na którym zależy tak wielu obywatelom?

Konstytucja mówi, że cesarz jest głową kraju i symbolem narodu, ale mówi także, iż Japonia rezygnuje na zawsze z posiadania własnych sił zbrojnych. A one już istnieją i, choć nazywane „siłami samoobrony”, należą do najbardziej liczących się na świecie. Dla Japończyków konstytucja jest ciałem obcym, narzuconym przez Amerykanów. Wielu chciałoby ją przynajmniej znowelizować. Kwestia przyszłości cesarstwa mogłaby być dobrą okazją do dyskusji.

Stąd nastrój wyczekiwania w ostatnich dniach oraz pytania o to, co nastąpi po śmierci cesarza. Czy pogrzeb będzie pogrzebem boga, w zgodzie z religią szintoistów, czy może uroczystością świecką? A Akihito, czy zostanie cesarzem, w zgodzie z tradycją, czy też wraz z jego panowaniem rozpocznie się nowa era? Od odpowiedzi będzie zależało poczucie tożsamości Japończyków w najbliższych latach i postrzeganie ich samych przez inne 220 narody, zwłaszcza w regionie.

Przy wezgielciu starego Hirohito walka już rozgorzała. Świadczy o tym fakt, że Agencja Służby Cesarskiej, teoretycznie organ rządowy, a w rzeczywistości jeden z najbardziej zachowawczych i konserwatywnych ośrodków władzy, trzyma w tajemnicy nie tylko przed opinią publiczną, ale i samym rządem, stan zdrowia cesarza i zarządza jego agonią.

Śmierć Hirohito będzie przełomem, ponieważ zmusi Japonię do gwałtownego rozstania z przeszłością. Wraz z odejściem cesarza zniknie z oczu świata, zwłaszcza azjatyckiego, symbol japońskiej agresji. Nowy monarcha (a z nim dyplomacja japońska) nareszcie będzie mógł swobodnie poruszać się po scenie międzynarodowej, bez dźwigania brzemienia dawnych przewinień.

Człowiek, który umiera w posępnym pałacu, w strugach deszczu, człowiek, w którego imię Azja spłynęła krwią, żyje już dużo dłużej od wszystkich swoich wielkich przeciwników z przeszłości: Stalina, Churchilla, Roosevelta, de Gaulle'a, Trumana, Czang Kaj-szeka i Mao.

żałoba
Tokio, 12 grudnia 1988

Urzednicy bankowi chodzą do pracy z czarnym krawatem w kieszeni. Prezentery telewizyjni mają w biurze odświętne ubranie na wieszaku, rodziny trzymają flagę z czarną wstęgą w zasięgu ręki.

Od kiedy rząd i środki masowego przekazu zmobilizowały naród w przewidywaniu wielkiej, historycznej żałoby, żaden minister japoński nie opuścił kraju, żaden obcy dygnitarz nie został przyjęty w Tokio.

- Stan cesarza jest stabilny. To Japonia zapadła w śpiączkę - mówi redaktor naczelny jednego z dużych dzienników. - Od półtora miesiąca zachowujemy się, jakbyśmy nie byli już częścią świata. Nie prowadzimy polityki zagranicznej.

Odwołano między innymi przyjazd De Mity oraz ministrów spraw zagranicznych Niemiec i Chin. Radziecki minister spraw zagranicznych Szewardnadze miał przyjechać 19 grudnia, ale teraz i ta wizyta stoi pod znakiem zapytania.

Przedwczesna i zbyt alarmistyczna oficjalna reakcja na chorobę cesarza najpoważniej odbiła się na ekonomii. Biorąc przykład z rządu, również wielkie koncerny odwołały uroczystości i bankiety, izolując się w świecie biznesu. Dziesiątki miast zrezygnowały z targów. Wielu obywateli nie obchodzi swoich uroczystości. Wielkie hotele, które w Japonii są centrami życia społecznego, poniosły olbrzymie straty (sam Imperial Hotel w Tokio stracił sześćset milionów jenów w ciągu miesiąca). Sprzedawcy słodczy, jedwabiu i suwenirów (wymienianych w Japonii pod koniec każdego przyjęcia) przeżywają kryzys. Kilka dni temu z powodu odwołania w ostatnim momencie kilku bankietów na targu rybnym w stolicy nie sprzedało się tysiąc sześćset langust. Nie tylko setki kelnerów, 222 lecz także aktorzy oraz muzycy nagle są bez pracy.

Nigdy nie ma bezpośredniego odwołania do cesarza. Powszechnie używaną formułą jest po prostu: w związku z zaistniałymi

okolicznościami". Każdy Japończyk wie, co to oznacza, i każdy praktykuje jishuku, czyli „samokontrolę, powściągliwość”. To słowo jest teraz najwyraźniej na ustach wszystkich.

Z powodu jishuku wielkie domy towarowe zdjęły z półek słodczyce zrobione z mąki z czerwonej fasoli, ponieważ są one symbolem szczęścia; z powodu jishuku kwiaciarze nie sprzedają już czerwonych róż. Z powodu jishuku zostały usunięte wszystkie reklamy, w których padały wyrazy: „nowy”, „narodziny”, „gratulacje”, ponieważ mogłyby się kojarzyć z nową erą, jaka nastanie po śmierci Hirohito, a to oznaczałoby brak szacunku.

Jako że cesarz cierpi na ciągle krwotoki, a o jego utracie krwi i transfuzjach mówi się co godzinę w komunikatach radiowych i telewizyjnych, wycofano „wszystkie „krwawe” programy, na przykład relacje z bardzo popularnych wśród Japończyków zawodów zapaśniczych.

Jesień jest w Japonii sezonem turystyki krajowej. Miliony osób przemieszczają się w tych dniach po całym archipelagu, aby brać udział w setkach targów. Fakt, że większość została odwołana, to cios dla przemysłu turystycznego i związanej z nim działalności.

Kioto straciło ponad dwa miliardy jenów z powodu odwołania festiwalu ognia i jarmarku w wielkiej świątyni Heian. Miasto Kita-kiusiu straciło dziesiątki tysięcy turystów, którzy mieli uczestniczyć w święcie dużej lokalnej huty stali. Nawet kiermasz używanych książek odbywający się co roku w tokijskiej dzielnicy Kanda został odwołany.

Konformizm rządzący społeczeństwem japońskim każe wszystkim zachowywać się, przynajmniej publicznie, zgodnie z wymogami jishuku.

- Ci, którzy chcieliby postępować inaczej, szybko zostaną upomnieni - mówi mi Isozaki Hiroguchi, sekretarz generalny związku zawodowego pracowników telewizji. - Prawica bardzo gorliwie pilnuje, aby wszyscy maszerowali w jednym rytmie.

W Japonii istnieje wiele organizacji skrajnej prawicy. Niektóre z nich robią dużo zamieszania. Na przykład ta, która każdego dnia wysyła na ulice stolicy, szczególnie w okolice ambasady radzieckiej, ciężarówkę z megafonami. Płyną z nich marsze i

antykomunistyczne hasła. Jedne środowiska działają mniej jawnie i z większym wyrafinowaniem, inne mają powiązania z japońską mafią, jakuzą. Prawicowcy od półtora miesiąca są coraz' hałaśliw" si, a członkowie ugrupowań patriotycznych i neofaszystowskich narzucają innym jishuku.

Właściciele sklepów odwiedzają dziwne osoby, które tłumaczą im konieczność nagięcia się do zasad jishuku. Duże przedsiębiorstwa otrzymują „rady”, jak działać, „...zważywszy zaistniałe okoliczności”.

Rezultaty są widoczne jak na dłoni. Wielkie tokijskie księgarnie usunęły wszystkie książki choćby lekko krytyczne wobec Hirohito, kierownicy niektórych sal konferencyjnych odmawiają wynajmowania ich grupom, które chcą dyskutować o przyszłości systemu cesarskiego. Wszystkie organy prasowe i telewizje prywatne, zależne od swoich sponsorów - wielkich koncernów - są bardzo ostrożne i zachowawcze, gdy mówią o cesarzu.

Jeszcze bardziej niepokojącym zjawiskiem jest milczenie japońskich intelektualistów. Nikt ze znakomitych pisarzy, reżyserów, maitres a penser nie śmiał dotąd wyrazić publicznie niezależnej opinii o tym, co właśnie się dzieje. Nikt nie ma odwagi zmierzyć się z tak zwanym tabu chryzantemy, na przykład z odpowiedzialnością Hirohito za drugą wojnę światową. Jako powód podaje się szacunek dla umierającej osoby, ale więcej prawdy jest chyba w słowach jednego z wybitnych myślicieli, który zgodził się ze mną zobaczyć, jednak pod warunkiem, że nie wyjawię jego nazwiska:

- To niewłaściwy moment, by mówić, co się myśli. Można zapłacić własnym życiem. Zagrożenie prawicowym terroryzmem jest nieustające.

Wszystkim trudno znieść niepewność oczekiwania. Trudno jest drukarzom, obawiającym się oddawać kalendarze na rok 1989, który z wszelkim prawdopodobieństwem będzie pierwszym rokiem nowej epoki, a nie sześćdziesiątym trzecim epoki Showa, przypisanej Hirohito. Trudno jest tysiącowi dwustu dziennikarzy i fotografów, którzy zmieniają się przed czterema bramami pałacu cesarskiego w oczekiwaniu na wiadomości: trzech już zmarło na atak serca.

Podczas tego wyczekiwania jishuku rządzi życiem Japończyków. W jego imię ludzie, choć w rzeczywistości znużeni, są gotowi zaakceptować i usprawiedliwić wszystko.

Kiedy pracownicy wielkiego biura w centrum Tokio dowiedzieli się, że planowana akcja usunięcia wszy i karaluchów, bardzo tutaj licznych, została wstrzymana, wielu sądziło, że to także wiąże się z „zaistniałymi okolicznościami” i że decyzja została podjęta, ponieważ byłoby niestosowne - z buddyjskiego punktu widzenia - zgładzić tyle istot, kiedy cesarz niestrudzenie walczy o swoje życie. Ale prawdziwy powód był inny. Robotnik wyznaczony do dezynsekcji po prostu zachorował.

nie słyhać już głosu żurawia

Tokio, 7 stycznia 1989

Głos żurawia umilkł, a miasto jest ciemne i ciche. Momentami słyhać jedynie łopotanie na wietrze flag: opuszczonych do połowy masztu na budynkach w centrum, z czarną wstążką przed zamkniętymi sklepami i na drzwiach wielu domów. Neony wielkich reklam, kabaretów i sal gry zostały wygaszone, muzyka ucichła, ale Tokio, które straciło swojego boga cesarza panującego od sześćdziesięciu dwóch lat, tej ostatniej nocy epoki Showa wydaje się, o dziwo, raczej obojętne niż zrozpaczone. Żałoba bardziej wygląda na doskonale zorganizowaną niż spontaniczną. Pierwszy dzień po Hirohito był jak realizacja planu - od dłuższego czasu przygotowywanego w najdrobniejszych szczegółach.

O 7.55 rano, kiedy pojawił się oficjalny komunikat, że Tenno Heika, „Jego Wysokość Władca Niebios” zmarł o 6.33, przed pałacem cesarskim tłoczyli się tylko policjanci i dziennikarze, ale w ciągu kilku minut imponująca japońska machina została wprawiona w ruch, dając pokaz całej swojej skuteczności i zachowawczości. Pracownicy banków, sprzedawczynie z wielkich domów towarowych otwierające jak co dzień sklepy mieli już przygotowane krawaty i małe biało-czarne kokardki. O 8.30 przy wyjściach z metra i na

wielkim skrzyżowaniu Ginza z ciężarówkami z gazetami wyładowano wydania specjalne - wszystkie z identycznymi tytułami - i rozdano przechodniom. Nikt nie wydawał się zaskoczony. Śmierć cesarza, oczekiwana od 19 września ubiegłego roku, kiedy Hirohito miał duży krwotok wywołany rakiem trzustki, była już czymś pewnym i Japonia oswoiła się z tą myślą.

Również ludzie, którzy po pierwszym komunikacie zaczęli oblegać plac przed pałacem cesarskim, raczej odgrywali przypi- 226 sane im rolę niż przeżywali autentyczne wzruszenie. Kiedy jakaś starsza kobieta uklękła, płacząc, na żwirze, otoczył ją tłum fotografów. Trzech członków organizacji prawicowych, którzy bardzo chcieli przybyć jako pierwsi, musiało klękać wiele razy, aby zadowolić niezliczone kamery telewizyjne. Tłum wokół pałacu zagęszczał się, z rozsianymi tu i ówdzie lamentującymi bonzami nacjonalistów i członkami organizacji neofaszystowskich w paramilitarnych mundurach. Tymczasem w mieście życie biegło normalnym torem. Przez cały dzień tysiące osób, korzystając z wolnej soboty, udawały się na zwyczajowy spacer odbywany na początku roku do świątyni Meiji.

O 10.00 w pałacu odbyła się ceremonia przekazania „skarbów” i pieczęci cesarskich. W ten sposób Akihito formalnie objął sukcesję po ojcu. Nowy cesarz, otoczony dziećmi i w obecności rządu pierwszego ministra Takeshity, odebrał od głównego szambelana paczkę z jedwabiu zawierającą święte przedmioty (rodzaj miecza-maczugi i klejnot)10, które według mitologii szintoistycznej są podarunkiem od bogini słońca mającym chronić jej potomków - cesarzy Japonii. Wszystko przebiegło w milczeniu. Uroczystość trwała zaledwie cztery minuty. Nowość polegała na tym, że obrzęd został uwspółcześniony i że zamiast tradycyjnych szat wszyscy uczestnicy ceremonii mieli na sobie zachodnie garnitury. Jedyne, co pozostało niezmiennie - i dlatego może budzić kontrowersje - to fakt, że rząd uznał tę ceremonię, czysto religijną, za „akt państwowy”.

Śmierć Hirohito kończy pewną epokę. O północy zamyka się sześćdziesiąty drugi rok epoki Showa i zaczyna pierwszy rok nowej - nazwanej Heisei, co oznacza „ziszczony pokój”. Nazwa, podana przez popołudniowe gazety, znów z identycznymi nagłówkami, wzbudziła rozczarowanie wielu osób, zwłaszcza młodego pokolenia, które chciało, aby rok ten był, jak wszędzie, rokiem 1989.

W mojej dzielnicy wypożyczalnie kaset wideo przeżyły niesłyszane obłęzenie chłopców i dziewcząt. Dzięki filmom młodzi ludzie przetrwają dwa dni obowiązkowej żałoby bez konieczności oglądania licznych kanałów telewizyjnych, które nieprzerwanie i niezmiennie będą transmitować historię minionej epoki.

Od przyjazdu do Japonii wydawało mi się jasne, że właśnie on jest najciekawszym i najbardziej tajemniczym mieszkańcem tego kraju. Zbliżenie się do niego czy znalezienie oryginalnych materiałów na jego temat nie było jednak możliwe11. Któregoś dnia, dzięki wpływowemu japońskiemu przyjacielowi, otrzymałem wraz z Angielą pozwolenie na odwiedzenie miejsca „po drugiej stronie fosy” i spędzenie ranka w jego „królestwie”: na małym polu ryżowym, w laboratorium naukowym, w parku, w stajniach, wśród kolekcji bonsai, w szintoistycznej świątyni.*” To również była część przygotowań do tego artykułu.

Hirohito: więzień historii

Tokio, 7 stycznia 1989

Urodził się, aby być bogiem, a umarł jako zwykły człowiek. Wielu Japończyków uważało go za bohatera, inni widzieli w nim zbrodniarza wojennego. Zgodnie z oficjalną wersją był sto dwudziestym czwartym cesarzem Japonii, ale i to, jak inne szczegóły z jego życia, nie jest prawdą. Zapisał się w historii jako jedna z wielkich postaci XX wieku, ale pozostaje także tą najbardziej nieprzeniknącą. Jego śmierć nie rozwiązała zagadki. Wręcz przeciwnie.

W 1945 roku Wielka Brytania, Australia, Chiny i Związek Radziecki chciały, aby Hirohito został osądzony i powieszony. A tymczasem za kilka tygodni przedstawiciele tych samych państw wraz

z dygnitarzami z całego świata przybędą złożyć hołd jego doczesnym szczątkom.

Kim naprawdę był Hirohito, nie dowiemy się może nigdy, ponieważ wszystkimi informacjami na jego temat - od tego, co myślał przez trzy czwarte stulecia, po ostatnie technienie, jakie wydał przed kilkoma godzinami - zawsze zarządzał i będzie zarządził aparat dworski. A jego odwiecznym zadaniem jest otaczanie cesarza mistyczną, nieprzeniknioną aurą tajemnicy i kształtowanie obrazu publicznego władcy zgodnie z wymogami politycznymi danej chwili.

Wraz z tysiącami Japończyków i paroma cudzoziemcami po raz ostatni oglądałem Hirohito z bliska 28 kwietnia, w dniu jego osiemdziesiątych siódmych urodzin. Tłum, w drodze wyjątku wpuszczony na teren pałacu, wymachiwał plastikowymi chorągiewkami i krzychał: *Termo Heika Banzai!* - „Życzymy długiego życia Jego Wysokości Władcy Niebios!” A on, z balkonu, za grubym kuloodpornym szkłem zainstalowanym po tym, jak pewien poddany przy podobnej okazji posłał w jego stronę kilka żelaznych kul, odpowiadał na pozdrowienie powolnym ruchem dłoni.

Ten gest sprawiał wrażenie, jakby pochodził z niemego wnętrza akwarium; jak gdyby cesarz stał na scenie i musiał, po raz kolejny, odgrywać napisaną dla niego rolę. Bardziej niż protagoni- stą japońskiej historii, Hirohito wydawał się jej więźniem. Może zawsze nim był.

Przez całe życie cesarz służył za symbol: symbol różny w zależności od tego, jak zmieniały się czasy. Do 1945 roku Hirohito był symbolem Japonii walczącej i agresywnej, po 1945 roku Japonii pokonanej, w ostatnim dziesięcioleciu Japonii odnoszącej wielkie ekonomiczne sukcesy i poszukującej swojej kulturowej tożsamości. Za każdym razem symbolem wykorzystywanym przez innych do osiągania celów, z którymi cesarz nie musiał się zgadzać. A przynajmniej nie ma na to żadnych dowodów.

Kiedy Amerykanie po klęsce Japonii przybyli jako okupanci na 230 archipelag, odkryli, że archiwa wojskowego sztabu głównego znajdującego się w pałacu cesarskim zostały zniszczone. Każdy, kto próbował udokumentować bezpośredni udział Hirohito w przygotowaniu wojny przeciwko Chinom w 1931 roku i przeciwko Stanom Zjednoczonym oraz Azji Południowo-Wschodniej w 1941 roku - na przykład historyk David Bergamini, autor *The Imperial Conspiracy* - musiał korzystać ze źródeł wtórnych.

Nie ma żadnych wątpliwości, że Hirohito był moralnie i politycznie odpowiedzialny za wojnę. Jeśli w niektórych przypadkach okazał sceptycyzm, to tylko dlatego, że nie do końca ufał optymizmowi swoich generałów i że nie przekonywały go ich zapewnienia o zwycięstwie. Klimat ideologiczny, w jakim dorastał, nie zaszczerpił mu oczywiście uczuć pacyfistycznych ani demokratycznych wartości, które dzisiejsza historiografia dworska przypisuje cesarzowi.

Kiedy Hirohito przyszedł na świat - oficjalnie w 1901 roku, ale w rzeczywistości prawdopodobnie w 1900 roku, w tajemnicy, ponieważ jego rodzice nie mieli jeszcze ślubu - Japonia dopiero co zaczęła się przeobrażać z orientalnego feudalnego państewka w nowoczesną światową potęgę. Pod rządami dziadka Hirohito, cesarza Meiji, który wstąpił na tron w 1868 roku, Japonia zdecydowała, że musi opanować, skopiować i przyjąć od Europy to wszystko, co będzie potrzebne, aby dorównać Zachodowi. Konstytucja japońska została utworzona na wzór pruskiej, flota na wzór brytyjskiej, armia na wzór francuskiej. Kilka tysięcy inżynierów, prawników i wojskowych zaangażowano w Europie i przywieziono do Japonii jako *yatoi*, „żywe maszyny” (ciekawy sposób określania obcokrajowców!), żeby przekazali mieszkańcom archipelagu swoją wiedzę.

W serce tej nowoczesnej Japonii wszczepiono starożytną ideę: cesarza-boga. To także nie był pomysł Tokio. Japończycy wzięli go od Bismarcka. Od stuleci rodzina cesarska żyła

odizolowana w Kioto i wielu Japończyków nie wiedziało nawet o istnieniu Termo. Cesarz został przewieziony do stolicy, a jego osobę postawiono na szczycie systemu politycznego i religijnego. Przypomniano również mit o boskim rodowodzie władcy, który miałby sięgać VI wieku przed naszą erą (dla porównania - tysiąc lat później Japończycy nauczyli się - od Chińczyków - pisać).

W ciągu kilku lat Japonia zmieniła swoje oblicze i wdarła się na scenę międzynarodową. Było to głównie uderzenie militarne. Na sześć lat przed narodzinami Hirohito Japonia zaatakowała i pokonała Chiny; cztery lata po jego urodzeniu zwyciężyła Rosję, stając się pierwszym krajem wschodnim, który wygrał z „białym” mocarstwem. Na losy przyszłego imperatora niewątpliwie te wydarzenia wpłynęły i oczywiście nieprzypadkowo czteroletni Hirohito podczas pierwszego publicznego wystąpienia (musiał pojechać na dworzec Shimbashi po posła Edwarda VII, króla Anglii) miał na sobie mały mundur oficera marynarki.

W wieku jedenastu lat Hirohito otrzymał lekcję, która zaważyła na reszcie jego życia. W dniu, w którym dziadek chłopca, cesarz Meiji, został pochowany, młodego księcia wezwał wychowawca - generał Nogi. Hirohito był do niego ogromnie przywiązany. Przez trzy długie godziny Nogi mówił podopiecznemu, jak ważną osobą jest dla niego cesarz, i o tym, że spędziwszy całe życie na służbie Meiji, musi pójść za nim do grobu. Generał pożegnał się z księciem, wrócił do swojej rezydencji i tam w tradycyjny sposób rozpruł sobie brzuch, dając chłopcu ostatnią lekcję „Japońskiej drogi”.

Jego dzieciństwo było bezbrzeżnie smutne. Jako przyszłemu bogu, Hirohito zabroniono kontaktowania się ze zwykłymi śmiertelnikami. Wyrastał bez przyjaciół, a każdą sekundę jego dni regulowała Agencja Służby Cesarskiej, która do śmierci nie odstępowała go ani na moment. Jedną z radości młodego księcia była gra w go, rodzaj warcabów. Gdy Hirohito miał dwanaście lat, porzucił tę rozrywkę, zauważył bowiem, że wszyscy pozwalają mu wygrywać.

- Żyłem jak ptak zamknięty w klatce - powiedział w wywiadzie, którego udzielił pewnemu dziennikarzowi japońskiemu osiem- 232 naście lat temu.

Hirohito, podobnie jak większość współczesnych Japończyków, pierwszy raz poczuł się wolny za granicą. Sześciomiesięczna podróż, którą w 1921 roku odbył do Anglii, Francji i Włoch, była jednym z najszczęśliwszych okresów w całym jego życiu. W Londynie po raz pierwszy zobaczył Całą gazetę (w Tokio dworscy urzędnicy pozwalali mu czytać tylko niektóre wycinki). W Paryżu po raz pierwszy został potraktowany jak normalny człowiek (kontroler nie pozwolił mu wejść do zatłoczonego wagonu). Do jego ukochanych pamiątek z tej podróży należał bilet na metro, który sam sobie kupił.

Powrót z Europy był dla Hirohito niczym powrót do klatki. Jego ojciec, cesarz Taisho, coraz bardziej popadał w obłęd (na jednym z posiedzeń parlamentu, które miał otworzyć, wziął kartkę ze swoim przemówieniem, zwinął starannie w rulon i podnosząc do oczu jak lunetę, zaczął się przyglądać, jednemu po drugim, członkom niewzruszonego zgromadzenia). Musiał zostać odsunięty od władzy. Hirohito w ten sposób został regentem i zaczął wypełniać powinności cesarza.

W 1926 roku, wraz ze śmiercią Taisho, Hirohito wstąpił na tron, czego - jak twierdzą niektórzy - nigdy nie pragnął. Jego prawdziwym zainteresowaniem była nauka. Urzędnicy dworscy, gdy tylko młody książę wyraził chęć studiowania zoologii, zasugerowali, że przyszłemu cesarzowi wypada zajmować się zwierzętami dużymi i szlachetnymi, jak na przykład lew, ale on, ze skromnością, której potem dał dowód w innych sytuacjach, postanowił specjalizować się w najmniejszych, niemal niewidocznych stworzeniach żyjących na dnie morza. Dzięki temu miał przynajmniej pewność, że żaden Japończyk nie będzie musiał porzucić swoich badań, aby zrobić dla niego miejsce. Poza tym wybrana dziedzina pozwalała wypłynąć od czasu do czasu na morze małą motorówką - bez zbyt wielu urzędników dworskich depczących mu po piętach.

Kiedy zasiadł na tronie, niekiedy był bezlitosny - na przykład w 1936 roku, gdy osobiście polecił stłumić rewoltę młodych oficerów. Nigdy się jednak nie przeciwstawił wojskowym, zagarniającym scenę polityczną, i wreszcie swoim podpisem rozpoczął wojnę z Chinami, potem zaś, poprzez atak na Pearl Harbor, ze Stanami Zjednoczonymi.

Wojskowi doprowadzili kult jego osoby do absurdu. Bez oporu ze strony cesarza całe pokolenie musiało zabijać i ginać w jego imię. Każdy Japończyk, który przechodził obok pałacu albo nawet przejeżdżał w pewnej odległości tramwajem, miał obowiązek skłonić się w kierunku rezydencji. Kiedy pociąg cesarski jechał przez kraj, ludzie musieli zamykać okna i spuszczać oczy, aby go nie zobaczyć.

W samotności swojego pałacu Hirohito żył w poczuciu nieusuwalnej sprzeczności. Choć był naukowcem, musiał potwierdzać nienaukowy fakt posiadania wśród stu dwudziestu czterech pokoleń swoich przodków bogini słońca oraz krokodyla. Mit ten Japończycy stworzyli w VII wieku, aby nie odstawać od swoich sąsiadów Chińczyków i Koreańczyków, którzy szczylic się starożytnymi i bardziej autentycznymi rodowodami.

Choć musiał reprezentować kwintesencję „japońskości”, Hirohito był naprawdę - do końca swoich dni - wielkim wielbicielem Zachodu. Inaczej niż większość Japończyków, nigdy nie spał na tatami, słomianej macie, tylko w wysokim europejskim łóżku; jego dzień zawsze zaczynał się od śniadania nie z alg i ryb, lecz jajek i szynki; jego ubrania na ogół miały krój zachodni. Jedną z zasług cesarza dla dzisiejszej Japonii była popularyzacja golfa, w którego grał po raz pierwszy podczas swojej wizyty w Anglii i który stał się bardzo modny wśród jego poddanych.

Jeśli nawet miał wątpliwości w związku z wojną, nie uczynił nic, aby jej uniknąć. Nie sprzeciwił się generałom, a jego drobna figura okularnika w mundurze, zastygła na grzbiecie białego konia, stała się dla reszty świata symbolem agresji i brutalności Japończyków. W latach 1931-1945 polityka Tokio prowadzona w imieniu Hirohito kosztowała około osiemnastu milionów ofiar śmierci - 234 tysięcy w Chinach, dwa miliony w Indonezji, ponad milion na

Filipinach, dwieście tysięcy w Korei, nie licząc ofiar wśród aliantów i samych Japończyków.

Bez wątplenia Hirohito, jako zwierzchnik cesarskich sił zbrojnych, wiedział o przebiegu wojny i o okrucieństwach popełnianych przez jego oddziały. Jednym z dowódców odpowiedzialnych za dokonaną w 1937 roku masakrę w Nankinie (ponad sto tysięcy chińskich cywili zostało wówczas z zimną krwią zabitych w ciągu trzech dni) był książę Asaka, jego wuj. Hirohito, wkrótce po masakrze, przyjął Asakę w pałacu, aby przyznać mu odznaczenia i medale.

Cesarz nie mógł nie być poinformowany o działalności osławionego „oddziału 731”, jednostki wyspecjalizowanej w wojnie bakteriologicznej, która w Mandżurii przeprowadzała barbarzyńskie eksperymenty na chińskich więźniach i aliantach. Po straszliwych torturach zabito kilka tysięcy ludzi, a Hirohito osobiście powierzył pieczęć i flagę dowódcy oddziału. Amerykański oficer wyznaczony po wojnie do zbadania japońskich doświadczeń związanych z wojną bakteriologiczną niedawno potwierdził, że na dokumentach często pojawiała się imię cesarza. Potwierdził także, że Amerykanie postanowili całą sprawę trzymać w tajemnicy i przyznać nietykalność wszystkim japońskim członkom „oddziału 731” w zamian za ich wiedzę i wyniki badań.

Na korzyść Hirohito świadczy rola, jaką cesarz odegrał w ostatnim momencie - zmuszając nadal wahający się rząd do zaakceptowania klęski (którego to zresztą słowa, jak przystało na dobrego Japończyka, nigdy nie wypowiedział) i zakończenia wojny. Podczas gdy kilku jego generałów, mimo dwóch bomb atomowych zrzuconych na Hiroszimę i Nagasaki, nadal myślało o uzbrojeniu cywili i o walce przeciwko Amerykanom dom po domu, Hirohito 15 sierpnia 1945 roku przemówił przez radio do poddanych. Powiedział im, że przyszedł

moment „zniesienia czegoś, co jest nie do zniesienia”. Po raz pierwszy zwykli ludzie usłyszeli jego głos, „głos żurawia”. Tak Japończycy nazywają słowa kogoś, komu winni są bezwzględne posłuszeństwo. 235

Ta decyzja uratowała kilkaset tysięcy istnień ludzkich, zarówno po stronie Japonii, jak i Ameryki. Nie zmyło to jednak win Hirohito. Możemy przypuszczać, że on sam był ich świadom. We wrześniu 1945 roku, kiedy stanął przed generałem MacArthurem, przybyłym rządzić Japonią na czele amerykańskich oddziałów okupacyjnych, Hirohito powiedział: '

-Jestem tu, by poddać się osądowi aliantów za to wszystko, co mój naród uczynił w czasie wojny.

Nie należy jednak zapominać, że jedynym źródłem przytaczającym ten epizod jest sam MacArthur, który, dziwna rzecz, mówi o nim tylko w swoich wspomnieniach napisanych wiele lat później. MacArthur był „głęboko poruszony” postawą Hirohito i zdał sobie sprawę, że m^o przed sobą „pierwszego dżentelmena Japonii”. Ta wersja wydarzeń może nie jest prawdziwa, ale pasowała do nowego, kreowanego przez Amerykanów wizerunku władcy. Prywatnie MacArthur mówił o cesarzu „Charlie”, a chuda sylwetka Hirohito - istotnie przypominającego orientального Charliego Chaplina w szarych spodniach w prążki i czarnej marynarce z połami, obok potężnego Amerykanina bez marynarki i z rękoma opartymi o boki - stała się symbolem Japonii skruszonej, uległej, pokonanej i współpracującej.

Podobno na tym pierwszym spotkaniu MacArthur poczęstował cesarza papierosem, a Hirohito z grzeczności zapalił (po raz pierwszy i ostatni w życiu) - i przyplącił to atakiem kaszlu i wielkim zażenowaniem. Co naprawdę sobie powiedzieli wtedy i na pozostałych jedenastu spotkaniach, wciąż jest tajemnicą. W odróżnieniu od reszty aliantów, którzy chcieli aresztować Hirohito, osądzić go jako zbrodniarza wojennego i może nawet powiesić, Amerykanie zdecydowali, że ocalą cesarzowi życie i użyją jego autorytetu, aby uspokoić Japonię i wprowadzić reformy, które uważali za konieczne. Wsadzenie go za kratki z innymi zbrodniarzami wojennymi przyczyniłoby się tylko do powstania anty- amerykańskiej partyzantki, a na tym posunięciu w ostatecznym rachunku skorzystaliby japońscy komuniści - jedyni w kraju opowiadający się za zniesieniem systemu cesarskiego.

Na procesie tokijskim generał Tojo zaryzykował stwierdzenie, że „nigdy nie uczynił niczego wbrew życzeniom cesarza”, ale szybko przekonano go, aby porzucił tę linię obrony, wskazując imperatora jako najwyższą władzę wydającą, również w sensie formalnym, wszystkie rozkazy. Imię Hirohito usunięto z list zbrodniarzy i cesarz nie był przesłuchiwany - nawet jako świadek. Dzień, w którym pierwszy minister Tojo i sześciu innych poddanych cesarza zostało powieszonych w więzieniu Sugamo, on, Hirohito, spędził, milcząc, w swoim pałacu. Tego samego dnia jego syn i następca Akihito kończył piętnaście lat.

Druga wojna światowa - wojna przeciwko nazizmowi i faszyzmowi - została wygrana, ale zaczynała się następna - zimna wojna przeciwko komunizmowi. Japonia, pod duchowym przywództwem Hirohito, mogła stać się niezwykle ważnym sojusznikiem Zachodu na azjatyckim terenie walk. Dowodów dostarczył szybko konflikt w Korei. Jedynym warunkiem Amerykanów, pod jakim Hirohito miał zachować swój tron, była rezygnacja z „boskości”. Cesarz spełnił ów warunek bez trudu i bardzo chętnie. 1 stycznia 1946 roku w klasycznym języku japońskim, który rozumiało niewielu jego poddanych, oświadczył narodowi, że jest „człowiekiem”. Człowiekiem, a mimo to nadal więźniem.

- Drzwiczki klatki są otwarte, ale dokąd mogę pofrunąć? - powiedział kiedyś do jednego ze swoich adiutantów. - Mam do zaśpiewania tylko jedną pieśń. Po cóż marnować ją tam, gdzie zginęłyby na wietrze?

Autorami pieśni byli tym razem Amerykanie, chcący doprowadzić do zacieśnienia relacji między Tokio a Waszyngtonem. Hirohito odśpiewał ją perfekcyjnie, nawet w szczegółach. Znow był symbolem, teraz ocieplenia stosunków. Podczas wizyty w Stanach Zjednoczonych

w 1971 roku pojechał nawet do Disneylandu i wrócił do Tokio z zegarkiem z Myszka Miki na nadgarstku.

Cesarz nosił go często, także z okazji niektórych oficjalnych uroczystości. „Ten zegarek mówi więcej niż tysiąc przemówień tysiąca premierów”, napisał Henry Scott Stokes, znawca Japonii.

Wielu Japończyków zarzucało Hirohito amerykańską ich kraju po 1945 roku. Inni nie wybaczyli mu odrzucenia boskości, w imię której ponad dwa miliony Japończyków poległy na wojnie. „Dlaczego cesarz musiał stać się człowiekiem?”, zadaje sobie pytanie bohater samobójca z powieści Yukia Mishimy.

W latach tuż po wojnie Hirohito i jego żona, cesarzowa Nagako, zjeżdżali Japonię wszędzie i wzdłuż, odwiedzając fabryki, szkoły, wioski, i zachęcając ludzi do odbudowywania kraju ze zgliszczy. Hirohito stał się postacią popularną, przystępną, demokratyczną. Wielu Japończyków zaczęło go nazywać „pan Ah so desu-ka!” („Ach, coś takiego!”), od zdania, które powtarzał za każdym razem, gdy ktoś odezwał się do niego publicznie. Ale ten okres trwał krótko. W 1951 roku, wraz z końcem okupacji amerykańskiej, Hirohito znów zamknął się w swoim pałacu, odizolowany, odległy od narodu.

- Nie muszę zazdrościć ludziom, którzy podróżują - powiedział ambasadorowi amerykańskiemu Reischauerowi - od kiedy mam taką piękną lornetkę.

Kolejny raz Hirohito zmieniał swój wizerunek: stawał się symbolem tej Japonii, którą generał de Gaulle nazwał „krajem sprzedawców tranzystorów”.

Jakkolwiek według powojennej konstytucji cesarz jest tylko „symbolem państwa i jedności narodu”, aparat dworski, trzymając go z daleka od ludzi, za „chryzantemową kurtyną”, powoli przywrócił Hirohito część dawnej aury nietykalności. Sposób zmobilizowania narodu podczas agonii imperatora, sposób podawania wiadomości przez prasę i telewizję potwierdzają, że także na łożu śmierci Hirohito został wykorzystany: tym razem przez siły konserwatywne, które chcą umocnienia systemu cesarskiego i ponownego umieszczenia w centrum Japonii, oparciu - 238 wanej przez technologię i nowoczesność, religijno-politycznej figury cesarza, autorytetu dla zagubionych Japończyków. Hirohito znów został więźniem rozgrywek, którym nigdy nie śmiał się przeciwstawić.

- Gdybym choć przez jeden dzień mógł nie być cesarzem - powiedział kiedyś.

Jego życzenie nigdy się nie spełniło.

Podczas skomplikowanych przygotowań do pogrzebu jednym z zagrożeń, z jakimi musiały się liczyć japońskie władze, była możliwość ataku terrorystycznego. Niebezpieczeństwo stanowiły odłamy radykalnej ultralewicy, jakoby rewolucyjnej. Ci „partyzanci” mnie zaciekawili.

szaleńcy z „Fortu”

Tokio, 23 lutego 1989

Na pogrzeb Hitlera nie pojechaliby. A więc czemu przyjeżdżają na pogrzeb Hirohito? To zdrada międzynarodowego proletariatu i armia rewolucyjna ukarze zdrajców tu... tu...

Na planie miasta rozłożonym na stoliku mężczyzna wskazuje mi konkretny punkt: ogród cesarski Shinjuku, gdzie prezydenci, premierzy i głowy panujące - „zdrajcy” - zbiorą się, aby oddać cześć Hirohito. Człowiek, który stoi przede mną w betonowym bunkrze w centrum Tokio - pięćdziesiąt lat, czarny sweter, czarne niespokojne oczy - mówi o imperatorze jako o „Hitlerze Japonii”, o jego pogrzebie jako o „ostatniej bitwie”, o 24 lutego jako o „historycznym dniu, w którym zacznie się wielka międzynarodowa rewolucja”.

Znajduję się w sztabie głównym Chukaku-ha, Głównej Grupy, organizacji terrorystycznej budzącej największy lęk w Japonii, tej samej, która w maju 1986 roku wstrząsnęła stolicą, atakując pięcioma pociskami rakietowymi szczyt państw uprzemysłowionych, a teraz poprzysięgła sobie zakłócić ceremonię pogrzebową Hirohito. **MUSIMY ZNISZCZYĆ WIELKI POGRZEB**, krzyczy wielkimi literami napis na pierwszej stronie tygodnika

Chukaku-ha, który dopiero co wyszedł spod prasy. Powy- 240 żej: hasło, plan bitwy i ogromna czarna strzałka wskazująca aktywistom kierunek marszu podczas szturm na ogród cesarski.

- Zagrożenie terrorystyczne jest realne. Przygotowaliśmy się na każdą ewentualność - powiedziała kilka dni temu jedna z osób odpowiedzialnych za bezpieczeństwo stolicy. W pogotowiu są trzydzieści dwa tysiące ludzi, wszędzie stoją policjanci, niektóre ulice już zostały zamknięte, helikoptery, a teraz także sterowiec, patrolują z wysoka szare ciało tego ogromnego miasta z dwunastoma milionami mieszkańców. Ich załogi starają się wypatrzeć coś podejrzanego.

Ale kim są ci „terrorysty” trzymający w szachu tak nowoczesne i tak kontrolowane społeczeństwo?

W odróżnieniu od innych krajów, w Japonii terroryści mają numer telefonu i adres, toteż bez najmniejszego trudu złożyłem im wizytę. Oddalony o dziesięć minut drogi od przystanku metra Ikebukuro, naprzeciwko stacji benzynowej, między sklepem z gitarami a drukarnią, stoi trzypiętrowy betonowy budynek pomalowany na ciemnoczerwono. Okna są chronione potężnymi kratami, na dachu, jak na stoku średniowiecznej twierdzy, „partyzant” w białym hełmie, z rękawicami zasłaniającymi pół twarzy obserwuje przez lornetkę przejeżdżające samochody i przechodzących ludzi. Przez walkie-talkie kontaktuje się z tymi, którzy są w środku.

Drzwi wejściowe do „Fortu”, jak nazywają dom sąsiedzi, to stalowa płyta grubości piętnastu centymetrów, osłonięta workami z piaskiem niczym placówka wojskowa. Pukam. Zostaje zidentyfikowany przez wizjer (bycie cudzoziemcem w tym wypadku pomaga). Drzwi się otwierają i wchodzę do małego betonowego pomieszczenia. Przede mną drugie żelazne drzwi. Dopiero gdy pierwsze się zamykają, z przeraźliwym zgrzytem zasuw i sztab, otwierają się kolejne. Dwaj „partyzanci” w hełmach, z rękawicami zasłaniającymi dół twarzy i w ciemnych okularach prowadzą mnie w głąb bunkra, gdzie czeka „szef”. Bunkier ma izolację akustyczną.

- Nie chcemy, aby policja nas podsłuchiwała.

- Tak, ale czy policja nigdy tu nie przychodzi, nie aresztuje was? - pytam.

- Czasem nas atakują, ale my jesteśmy legalną organizacją polityczną, a policja musi przestrzegać prawa. Nie może aresztować organizacji. •

Z punktu widzenia prawa wszystkie zamachy, których autorstwo przypisuje sobie Chukaku-ha, są dziełem armii rewolucyjnej, a jej członkowie działają wyłącznie w ukryciu.

- To armia rewolucyjna zaatakuje ceremonię - mówi szef. - Międzynarodowy kapitalizm przeżywa kryzys i dzieli się na bloki. Po jednej stronie jest Europa, po drugiej Stany Zjednoczone, a Japonia, która pozostaje na zewnątrz, ucierpi bardziej niż inne państwa z powodu zbliżającego się załamania gospodarki. Japonia jest najsłabszym ogniwem systemu imperialistycznego. I to tutaj zacznie się rewolucja. Niedługo, bardzo niedługo.

Gdy słucham tego pięćdziesięcioletniego mężczyzny używającego retoryki studenckiej z lat sześćdziesiątych, w absurdalnym bunkrze usytuowanym w najbardziej materialistycznym, najbardziej nastawionym na przyszłość i najmniej rewolucyjnym mieście świata, zaczynam wierzyć, że oglądam niedobitka jakiegoś wymarłego plemienia, że mam do czynienia z ostatnimi romantykami niezdolnymi zrezygnować ze swoich młodzieńczych marzeń. I że ich groźby ukarania „zdrajców” przybyłych na pogrzeb Hirohito pozostaną pustymi słowami.

Ale nic z tych rzeczy.

- Jeden zdrajca już został ukarany przez armię rewolucyjną - stwierdza „szef”, jakby obwieszczał rzecz najzupełniej oczywistą. Mówi prawdę. Informacja o zdarzeniu znajduje się w gazecie. Dwa tygodnie temu pewien działacz związku zawodowego pracowników kolei, aktywista innej radykalnej organizacji, Kaku- maru (Rewolucja Marksistowska), oskarżony

przez Chukaku-ha o współpracę z policją, „został wyeliminowany”, jak pisze gazeta 242 „partyzantów”. Innymi słowy, zamordowany.

Nie jest to przypadek odosobniony. Od końca lat sześćdziesiątych, kiedy ruch studencki podzielił się na wiele frakcji, ponad sto pięćdziesiąt osób zostało zabitych podczas bratobójczych porachunków między „rewolucjonistami”. Organizacja Chukaku-ha osiągnęła wtedy przewagę i dziś jest najsilniejsza. Liczy około dwóch tysięcy działaczy i ma duże możliwości technologiczne, ponieważ wielu jej członków to byli studenci wydziałów ścisłych, również inżynierii. Dwa i pół roku temu, najzwyczajniej w świecie atakując kilka punktów kontroli elektronicznej kolei, Chukaku-ha zdołała na cały dzień zablokować najważniejsze połączenia w kraju i pozostawić bez środka transportu dziesięć milionów podróżnych. Dwa lata temu zaskoczyła policję podczas tokijskiego szczytu, wystrzelując pociski rakietowe z automatycznymi zapalnikami o zasięgu czterech kilometrów.

Co zrobi tym razem? Opuszczając „Fort” niczym wyspę szaleńców i powracając w drugie szaleństwo - stolicy szykującej się do historycznego dnia - nadal słyszę niepokojące obietnice „szefa”. Jest dla mnie coraz bardziej jasne, że pogrzeb, na który przybędą tak niezwykle żałobnicy, to dla „partyzantów” jedyna okazja, aby o nich mówiono i aby mogli nadal wierzyć w swoją obłąkaną ideę.

pokłon świata

Tokio, 24 lutego 1989

Chłodny dzień, atmosfera jeszcze chłodniejsza. Hirohito zszedł* ze sceny podczas mechanicznego i pozbawionego emocji pogrzebu. Było to doskonale przedstawienie dla publiczności składającej się z królów, prezydentów i pierwszych ministrów, przybyłych tu z obowiązku albo dla pieniędzy, ale z pewnością nie poruszająca ceremonia pożegnalna, głęboko przeżywana przez ludzi.

O 9.35 rano, kiedy w drobnym, natarczywym deszczu kondukt żałobny - sznur sześćdziesięciu samochodów - spod pałacu cesarskiego udał się do ogrodu Shinjuku, na sześciokilometrowej trasie nie napotkał milionowego tłumu zapowiadanego przez władze. Było to najwyżej dwieście tysięcy osób. Na ich twarzach malowało się głównie zaniepokojenie. Nikt nie płakał, tylko nieliczni mieli dłonie złożone na znak pozdrowienia, wielu robiło pamiątkowe zdjęcia. W czarnym karawanie z zaciągniętymi białymi firankami i złotą chryzantemą zamiast tablicy jechały doczesne szczątki człowieka, który dla wielu był bogiem - symbol upadku i odrodzenia Japonii - ale najwyraźniej nikogo to nie obchodziło. Obserwujący myśleli o osłonięciu się przed deszczem, tysiące policjantów stojących wzdłuż trasy wypatrywały demonstrantów i terrorystów.

Gdy orszak wjechał do ogrodu Shinjuku między dwoma skrzydłami wojskowych prezentujących broń w galowych mundurach i rozpoczęła się uroczystość, symbolika zaginęła wśród organizacyjnej perfekcji. Służący odbierali ortalionowe kaptury, którymi szintoistyczni duchowni chronili podczas oczekiwania swoje szarozielone tuniki i czarne berety o staroświeckim kroju. Telebimy umożliwiły śledzenie uroczystości osobom znajdującym się 244 zbyt daleko. Ogromny sterowiec z napisem POLICJA pojawił się na niebie dokładnie nad trumną i nagle ten nowoczesny potwór stał się głównym bohaterem wydarzeń, a nie Hirohito odwiedzający po raz ostatni ogród, w którym w 1927 roku celebrowano pogrzeb jego ojca, cesarza Taisho, a wcześniej, w 1905 roku, zwycięstwo Japonii nad Rosją.

Trumna została wysunięta z samochodu i położona na ciężkiej lektyce z drewna bambusowego. Niosło ją na ramionach stu dwudziestu młodych ludzi w długich czarnych togach. Chrzęszcząca na żwirze masa drewnianych chodaków, które małymi kroczkami, niczym ogromna stonoga, przesuwały się w stronę ołtarza, lepiej przywołała atmosferę przeszłości niż wszystkie kostiumy i chorągwie - jakby wyjęte z kufarów trupy teatralnej.

Tysiące gości, ścierpniętych z zimna pod białymi namiotami chłostanymi wiatrem i deszczem, usłyszały nuty marsza żałobnego napisanego sto lat temu przez Niemca i świst piszczałek dworskich grających tradycyjną melodię Wielki smutek. Towarzyszyło im złowieszcze krakanie wron krążących nad drzewami parku. Huk dwudziestu jeden wystrzałów armatnich, w hołdzie imperatorowi, wielu osobom w tym międzynarodowym zgromadzeniu z pewnością przywiódł na myśl miliony innych wystrzałów oddanych w imię cesarza w ciągu czternastu lat wojny, od której spłynęła krwią cała Azja.

Za baldachimem, samotnie, pod ociekającym parasolem, kroczył powoli w płaszczu nowy cesarz, Akihito. Kilka metrów za nim osiemdziesięcioletnia cesarzowa matka Nagako, w żałobie, z twarzą ukrytą pod długą czarną zasłoną. Potem inni dygnitarze. Po obu stronach - pod wielkimi płachtami osłaniającymi przed deszczem - siedzieli goście. W pierwszych rzędach królowie i prezydenci. Za nimi inni żałobnicy (wielu z krajów nieuprzemysłowionych), przybyli po prostu po pomoc ekonomiczną. Japonia jest obecnie największym donatorem na świecie.

Uroczystość szintoistyczna, postrzegana przez wielu Japończyków jako jawne pogwałcenie konstytucji (przedstawiciele czterech krajowych partii oraz wiele osobistości odmówiło wzięcia

w niej udziału), trwała półtorej godziny. Akihito przeczytał swoje pożegnanie z ojcem, duchowni złożyli ofiary z pokarmu i jedwabiu, wszyscy goście wstali.

Potem, jak w antrakcie przedstawienia teatralnego, spuszczone kurtynę. Drewniana brama torii, kontrowersyjny symbol szintoizmu, została usunięta i przez kolejną godzinę trwała cpremonia- państwowa - mowa pożegnalna wygłoszona przez pierwszego ministra Takeshitę oraz ostatni, niesłuchanie doniosły akt, który wydaje się jednym z głównych powodów zorganizowania uroczystości: pokłon świata.

Na wezwanie z megafonu stu sześćdziesięciu trzech zagranicznych gości po kolei wstawało i szło przed trumnę Hirohito, aby oddać cześć cesarzowi. Niektórzy zwykłym skinieniem głowy, inni - głębokim ukłonem. I choć protokół dyplomatyczny daje pierwszeństwo osobom najdłużej sprawującym swoje funkcje, Japończycy narzucili inny porządek, aby Amerykanin Bush, który dopiero co został prezydentem, nie musiał podchodzić jako ostatni. Umieścili Busha zaraz po Mitterrandzie i Weizsa- ckerze, odsyłając Cossigę na dwudzieste ósme miejsce po wielu innych prezydentach, wśród których znalazła się także Cory Aquino.

- Bardziej niż cesarzowi Showa, cudzoziemscy goście pokłonili się nowej potędze ekonomicznej Japonii - powiedział w transmisji na żywo komentator telewizyjny.

Tuż przed drugą po południu orszak żałobny opuścił ogród Shin- juku i przemierzył sześćdziesiąt kilometrów w drodze na cmentarz cesarski Hachioji. Na trasie przejazdu dwaj aktywiści z ultra- lewicowej grupy Chukaku-ha przeskoczyli barierki, wrzeszcząc:

- Precz z Hirohito, zbrodniarzem wojennym!

Zostali natychmiast aresztowani. Bomba ukryta w gaśnicy eksplodowała w strategicznym punkcie estakady, która prowadzi na autostradę. Powstała dwumetrowa dziura, ale nie wstrzymała konduktu.

Na Hachioji, podczas ceremonii, która ciągnęła się do późnej nocy, trumna Hirohito została opuszczona do grobowca. Wraz z cesarzem pochowano około stu jego ulubionych przedmiotów: mikroskop, kapelusz, krawat, skarpetki, kilka orderów i miecz.

w maju 1989 roku wystąpienia ludowe w Chinach przeciwko korupcji i na rzecz demokracji stają się coraz bardziej dramatyczne. Dla mnie, przyklejonego do telewizora, śledzenie ich z Japonii jest nie do zniesienia. Ambasada chińska w Tokio, znając mnie jako dawnego korespondenta usuniętego z kraju, nie przyznaje mi wizy. W Hongkongu dostaję wizę turystyczną, al?" także ona, po dwóch tygodniach spędzonych głównie w Szanghaju (unikałem Pekinu), traci ważność. W niedzielę 4 czerwca, o świcie, na rozkaz Deng

Xiaopinga armia chińska atakuje demonstrantów na placu Tiananmen, dopuszczając się rzezi. Piszę artykuł wstępny do „Corriere della Sera”.

Chiny: bóg po dwakroć przegrany

Tiananmen, 5 czerwca 1989

Na placu Tiananmen komunizm chiński odniósł swój największy tryumf- Na tym samym placu poniósł największą i nieodwracalną klęskę. Ten wyjątkowy ruch narodowy, powstały oficjalnie w 1921 roku po latach zaciętych walk, zdołał zjednoczyć ogromny kraj, dać mu dumę i nadzieję, i pozwolił Mao, na tym placu, 1 października 1949 roku, ogłosić światu: „Chiny się podźwignę- ły”. Wraz z masakrą dokonaną w ostatnich dniach stracił legitymizację, prawo do mówienia o moralności, prawo do kierowania narodem liczącym przeszło miliard obywateli.

Podczas czterdziestu lat u władzy Komunistyczna Partia Chin, poza krótkimi okresami spokoju, poddawała kraj nieustającym kampaniom politycznym, które podzieliły ludzi. Nieustające zmiany kursu zdezorientowały naród, nieustające czystki zniszczyły najlepsze pierwiastki w każdym pokoleniu. Ale partia za- 248 wsze potrafiła wybrnąć, przetrwać, tłumacząc, że rozumiała swoje błędy z przeszłości, i zapewniając o słuszności nowego stanowiska.

Ta seria błędów, które od 1949 roku kosztowały miliony istnień, osiągnęła kulminację podczas masakry na Tiananmen. Odtąd żadne usprawiedliwienie nie będzie już możliwe, żadna obietnica nie będzie wiarygodna. Partia może utrzymać się przy władzy już tylko dzięki karabinom. Przynajmniej dopóki karabiny będą posłuszne.

Dla Chin jest to niewyobrażalna tragedia, ponieważ teraz, gdy partia komunistyczna traci „mandat Niebios”, żadna inna siła nie jest w stanie zastąpić jej w tym kraju - bardzo biednym i grożącym rozpadem. Na Chiny składa się wiele regionów, a każdy ma własną tożsamość i historię.

Komuniści zdołali utrzymać wszystkich pod jednym dachem, dać wszystkim wspólny język i wszystkich pociągnąć za nadzieją wspólnego rozwoju. To, co dzieje się obecnie, grozi rozłamek, oddaniem pola regionalizmowi, małym ośrodkom władzy jak w czasach warlordów*.

Wszystkie regiony przygraniczne zamieszkują ludy niechińskie, niechętne centrali w Pekinie. Komunistom udało się - niekiedy przemocą, jak w przypadku Tybetu - utrzymać te ludy przy sobie, chroniąc własne granice. Teraz to może być trudne.

Co sprawiło, że wielki projekt komunistyczny nie powiódł się, nie uczynił z Chin kraju nowoczesnego, silnego, niezależnego? Odpowiedź jest prosta: spowodowała to sama natura komunizmu. Ideologia totalitarna tego ruchu dała mu siłę do walki z inwazją japońską, do wygrania wojny domowej, ale gdy już znalazł się u władzy, ta sama ideologia osłabiła go intelektualnie, ponieważ eliminowała jakąkolwiek dyskusję, uniemożliwiała refleksję.

Komunistyczna Partia Chin, oparta na chłopstwie, kierowana przez „cesarza” wieśniaka - najpierw Mao, a potem Deng

Tak zwanych panów wojny, dygnitarzy wojskowych prowadzących samodzielną, decentralistyczną politykę w prowincjach (przyp. tłum.). 249

Xiaopinga - zawsze upatrywała swoich głównych wrogów wśród intelektualistów i w niemal regularnych odstępach czasu likwidowała najbardziej liberalne umysły każdego pokolenia. Gdy tylko podnosił się jakiś niezależny głos przeciwko partii, był dławiony. W pewnym sensie masakra młodzieży na placu Tiananmen, a t[^] raz polowania na studentów na uniwersytetach, są kontynuacją tego, co objawiło się podczas kampanii przeciwko prawicy po Stu Kwiatkach i podczas rewolucji kulturalnej. Tym razem ruch studencki był silniejszy niż zazwyczaj, ponieważ potrafił wykorzystać resentymenty różnych warstw społeczeństwa, szczególnie ludności miejskiej, od dziesięcioleci sfrustrowanej biedą spowodowaną błędami politycznymi partii.

Nie ma już wątpliwości, że rozruchy w Pekinie, rozpoczęte wraz z pogrzebem Hu Yaobanga¹², były pierwszym potężnym powstaniem narodowym przeciwko chińskiemu reżimowi komunistycznemu. A więc argument reżimu, zgodnie z którym armia musiała interweniować, aby zdusić „spisek kontrrewolucyjny”, jest w zasadzie prawdziwy.

Studenci śpiewali Międzynarodówkę i maszerowali pod czerwonymi sztandarami, lecz ich protest był antykomunistyczny, chociaż, z oczywistych powodów, ani razu otwarcie nie zażądali obalenia systemu. Ironia losu polega na tym, że człowiek na celowniku studentów i ludu jest tym samym, który rozpoczął proces liberalizacji Chin i zapoczątkował reformy gospodarcze: to Deng Xiaoping. Jego reformy, siły przez niego wyzwolone doprowadziły do powstania ruchu prodemokratycznego i - w odpowiedzi - do masakry.

Mao narzucił Chinom dyktaturę opartą na ideologii, ze szkodą dla gospodarki. Deng przewrócił do góry nogami politykę, odsuwając na bok ideologię i stawiając na rozwój, w złudzeniu, że można zliberalizować system ekonomiczny, pozostawiając bez zmian system polityczny. Rezultatem było narastające żądanie wolności, które, zduszone po raz pierwszy w 1979 roku (wraz ze zniszczeniem Ściany Demokracji), wybuchło na nowo podczas manifestacji narodowych w ostatnich dniach.

Deng Xiaoping, wielki iluzjonista, zdołał przekonać dużą część świata zachodniego, że jest człowiekiem historii powoli rozmontowującym system socjalistyczny. Tymczasem okazał się człowiekiem partii, który skąpał kraj we krwi, aby znów narzucić system totalitarny.

To nie może dziwić. Ten sam człowiek, odpowiedzialny za masakrę swojej ludności, poparł w Kambodży Pol Pota, wspierał i zaopatrywał w broń Czerwonych Khmerów, nawet gdy świat dowiedział się o ich rzeziach.

W jego postaci jest coś tragicznego, bowiem po tym, jak próbował uratować chiński komunizm, w końcu zadekretował jego śmierć i postawił kraj w jeszcze bardziej rozpaczliwym położeniu niż Mao.

Zastosowanie przez Denga mechanizmów kapitalistycznych w ekonomii, otwarcie Chin na interesy obcego kapitału stworzyło klimat dla większego dobrobytu, owszem, ale także zaostrzyło kontrasty wynikające z samej struktury kraju: obszary na wybrzeżu skorzystały bardziej niż regiony wewnętrzne, interesy obcokrajowców znów skupiły się tam, gdzie dominowały w okresie kolonialnym.

Deng zerwał z ideologią maoistowską, która w pewnym sensie narzucała rewolucyjną etykę egalitaryzmu, ale nie zastąpił jej systemem praw. Robotnicy w fabrykach stracili korzyści płynące z kolektywizmu, nie zyskując korzyści wynikających z kapitalizmu.

Huśtane od logiki maoistowskiej, zgodnie z którą ubóstwo było cnotą, do logiki Denga, według której „zdobywanie bogactwa jest chwalebne”, całe pokolenie Chińczyków wychowywało się bez bohaterów, bez ideałów i przeżywało coraz silniejszą fascynację, szczególnie w miastach, zachodnim konsumpcjoni-
Xiaopinga - zawsze upatrywała swoich głównych wrogów wśród intelektualistów i w niemal regularnych odstępach czasu likwidowała najbardziej liberalne umysły każdego pokolenia. Gdy tylko podnosił się jakiś niezależny głos przeciwko partii, był dławiony. W pewnym sensie masakra młodzieży na placu Tiananmen, a teraz polowania na studentów na uniwersytetach, są kontynuacją tego, co objawiło się podczas kampanii przeciwko prawicy po Sfti Kwiatkach i podczas rewolucji kulturalnej. Tym razem ruch studencki był silniejszy niż zazwyczaj, ponieważ potrafił wykorzystać resentymenty różnych warstw społeczeństwa, szczególnie ludności miejskiej, od dziesięcioleci sfrustrowanej biedą spowodowaną błędami politycznymi partii.

Nie ma już wątpliwości, że rozruchy w Pekinie, rozpoczęte wraz z pogrzebem Hu Yaobanga¹³, były pierwszym potężnym powstaniem narodowym przeciwko chińskiemu

reżimowi komunistycznemu. A więc argument reżimu, zgodnie z którym armia musiała interweniować, aby zdusić „spisek kontrrewolucyjny”, jest w zasadzie prawdziwy.

Studenci śpiewali Międzynarodówkę i maszerowali pod czerwonymi sztandarami, lecz ich protest był antykomunistyczny, chociaż, z oczywistych powodów, ani razu otwarcie nie zażądali obalenia systemu. Ironia losu polega na tym, że człowiek na celowniku studentów i ludu jest tym samym, który rozpoczął proces liberalizacji Chin i zapoczątkował reformy gospodarcze: to Deng Xiaoping. Jego reformy, siły przez niego wyzwolone doprowadziły do powstania ruchu prodemokratycznego i - w odpowiedzi - do masakry.

Mao narzucił Chinom dyktaturę opartą na ideologii, ze szkodą dla gospodarki. Deng przewrócił do góry nogami politykę, odsuwając na bok ideologię i stawiając na rozwój, w złudzeniu, że można zliberalizować system ekonomiczny, pozostawiając bez zmian system polityczny. Rezultatem było narastające żądanie wolności, które, zduszone po raz pierwszy w 1979 roku (wraz ze zniszczeniem Ściany Demokracji), wybuchło na nowo podczas manifestacji narodowych w ostatnich dniach.

Deng Xiaoping, wielki iluzjonista, zdołał przekonać dużą część świata zachodniego, że jest człowiekiem historii powoli rozmontowującym system socjalistyczny. Tymczasem okazał się człowiekiem partii, który skapał kraj we krwi, aby znów narzucić system totalitarny.

To nie może dziwić. Ten sam człowiek, odpowiedzialny za masakrę swojej ludności, poparł w Kambodży Pol Pota, wspierał i zaopatrywał w broń Czerwonych Khmerów, nawet gdy świat dowiedział się o ich rzeziach.

W jego postaci jest coś tragicznego, bowiem po tym, jak próbował uratować chiński komunizm, w końcu zadekretował jego śmierć i postawił kraj w jeszcze bardziej rozpaczliwym położeniu niż Mao.

Zastosowanie przez Denga mechanizmów kapitalistycznych w ekonomii, otwarcie Chin na interesy obcego kapitału stworzyło klimat dla większego dobrobytu, owszem, ale także zaostrzyło kontrasty wynikające z samej struktury kraju: obszary na wybrzeżu skorzystały bardziej niż regiony wewnętrzne, interesy obcokrajowców znów skupiły się tam, gdzie dominowały w okresie kolonialnym.

Deng zerwał z ideologią maoistowską, która w pewnym sensie narzucała rewolucyjną etykę egalitaryzmu, ale nie zastąpił jej systemem praw. Robotnicy w fabrykach stracili korzyści płynące z kolektywizmu, nie zyskując korzyści wynikających z kapitalizmu.

Huśtane od logiki maoistowskiej, zgodnie z którą ubóstwo było cnotą, do logiki Denga, według której „zdobywanie bogactwa jest chwalebne”, całe pokolenie Chińczyków wychowywało się bez bohaterów, bez ideałów i przeżywało coraz silniejszą fascynację, szczególnie w miastach, zachodnim konsumpcjonizmem, o jakim ogromna większość obywateli oczywiście wciąż może tylko marzyć.

Trzeba sobie uzmysłwić, że za oburzeniem z powodu masakry, za protestami i barykadami, które dzisiaj wznoszą się w wielu miastach Chin, stwarzając pretekst do kolejnych krwawych interwencji wojska, nie stoi jedna idea ani jeden nowy pomysł na społeczeństwo.

Studenci, rozdarci między tęsknotą za moralnością maoistowską a snem o demokracji i dobrobycie zachodnim, chcą więcej swobód. Robotnicy chcą lepiej zarabiać. Do nich dołączyły miejskie bandy bezrobotnych.

Choć miliony ludzi wyszły na ulice, protest na razie ogranicza się do miast. Osiemset milionów wieśniaków - tych, których reformy Denga wtrąciły w ubóstwo, i tych, których szybko wzbogaciły, nie zajęło stanowiska. I prawdopodobnie właśnie na masach chłopskich chce oprzeć się reżim, aby usprawiedliwić krwawe represje. Jedną z sił, których reformy Denga nie rozbroiły, ale przeciwnie, wzmocniły, jest aparat bezpieczeństwa, machina puszczona teraz w ruch z całą swoją makabryczną skutecznością. To jeszcze nie koniec starć.

Rewolucja komunistyczna przegrała, lecz nim Chiny odnajdą jedność i własną drogę do rozwoju, będą musiały przetrwać kolejne próby i być może kolejne masakry.

Nie potrafię usiedzieć w Tokio. Mam w kieszeni kolejną wizę turystyczną, którą, wyjeżdżając z Chin, dostałem w Hongkongu. Postanawiam spróbować szczęścia.
w środku przerażenia

Pekin, 7 czerwca 1989

Samolot lecący z Tokio ma dwieście pięćdziesiąt dwa miejsca, ale pasażerów zaledwie dwudziestu sześciu. Z lotu ptaka, przycupnięty na starodawnej równinie, Pekin wydaje mi się niezmienny; szary, zakurzony, ponury, jak wtedy, gdy zmuszony do wyjazdu, opuszczałem go pięć lat temu. Powrót wywołuje silne emocje. Także niepokój. Równina wygląda na obumarłą. Wioski na peryferiach robią wrażenie opuszczonych. Nie widzę chłopów na polach ryżowych ani rowerów na zniwelowanych polnych drogach. Tylko na szosach od czasu do czasu samochód. Strach przed tym, co przyniosły ostatnie dni, ale może jeszcze bardziej przed tym, co mogą przynieść kolejne, jakby wymiół ludzi, zamroził życie.

Na ziemi dramat Pekinu oblega mnie krzykami, płaczem, stertami walizek, uściskami. Setki cudzoziemców tłoczą się w terminalu lotniska, próbując znaleźć miejsce w samolocie. Ten, którym tu dotarłem, odleci wypełniony. Loty specjalne zabiorą wkrótce całą społeczność międzynarodową: rodziny dyplomatów, biznesmenów, studentów.

Taksówkarz chce zawieźć mnie do miasta za astronomiczną sumę. Aby uzasadnić cenę, opowiada o stosach martwych ciał, o czołgach, które spotkamy na ulicy. Robi wymowne miny, aby mi uświadomić, z jakim okrucieństwem żołnierze strzelali i nadal strzelają do ludzi. Nie natykamy się na żaden czołg, na ani jednego żołnierza. Z naprzeciwka nadjeżdżają tylko taksówki, wypeł-

nione samochody na tablicach dyplomatycznych i riksza z Japończykiem, który, nie znalazłszy auta, powierzył swoją nadzieję na ucieczkę oraz wielką walizkę staremu Chińczykowi, pedałującemu gorliwie.

Dopiero przy wjeździe do miasta widzimy pierwsze grupy żołnierzy. Gromady ludzi stoją przed strażnikami, który strzegą obo. zu ukrytego w zagajniku. To „dobry”, tłumaczy mi taksówkarz. Należą do 38. Armii. Opowiedzieli się przeciwko „złym” z 27. Armii, odpowiedzialnej za masakrę i okupującej centrum Pekinu.

W hotelu, jednym z najbardziej luksusowych, niegdyś na pewno przyciągającym tłumy bogatych turystów z całego świata, dziś tłoczą się setki zagranicznych rezydentów. Opuścili swoje mieszkania i czekają na ewakuację. Jadę windą z młodą Kanadyjką, która zabrała z sobą kanarki w klatce. Nie ma paniki, tylko ogromne napięcie. Hotele, z atmosferą luksusu i elegancji, są jak bańki mydlane unoszące się w powietrzu przesiąkniętym nieszczęściem i przerażeniem. Zamknięty w szklanych i stalowych ścianach, wśród złocen dekoracji i muzyki w tle, człowiek czuje się bezpieczny. Ma złudzenie eksterytorialności. Kto nie udał się do ambasad, z których wiele już otworzyło drzwi dla swoich rodaków, ucieka instynktownie tutaj, do hoteli. Przypominam sobie opowieści cudzoziemców oblężonych w dzielnicach ambasad podczas powstania bokserów z początku XX wieku.

Znajduję jakiś samochód i robię pierwszą rundę po mieście, wokół tego, co zostało z barykad wzniesionych z autobusów i szczątków wojskowych ciężarówek spalonych przez tłum. Dziesięć leży przed najwyższym w Chinach drapaczem chmur, wciąż nieukończonym, pięknym, nowoczesnym, ze szkła. Przygnębiający kontrast między tym, czym ten kraj chciał być, a czym jest, między snem o nowoczesności a przebudzeniem wśród gruzów. Co jakiś czas przemykają samochody obcokrajowców, każdy z flagą swojego kraju powiewającą z okna albo namalowaną ręcznie po bokach: spontaniczny, naiwny gest obronny tych, którzy 254 muszą się przemieszczać po stolicy. Nie można dojechać do Pe-king Hotel. Aleja Changan - Długiego Pokoju - jest zablokowana na wysokości Jianguomenwai przez czołgi z działami wymierzonymi w cztery strony świata.

Dziesiątki żołnierzy okutanych w szerokie zielone poncza nie spuszczaają z oczu małego tłumku, który również ich obserwuje. Niektórzy przyszli z dziećmi, jakby na spacer. Zza

groźnych kształtów czołgów wylania się szara sylweta starego obserwatorium astronomicznego, gdzie niegdyś pracował Matteo Ricci. Przyjazd cudzoziemca zwraca uwagę ludzi, każdy chce opowiedzieć o tym, co widział, albo o tym, co słyszał od innych, wszyscy mówią o niedzielnej masakrze. Nikt nie potrafi określić liczby ofiar. Dwa tysiące? Trzy tysiące? Oczywiście, zginęło wiele osób, ale nie było nawet pogrzebu. Brakuje czasu, a przede wszystkim ciał. Ludzie relacjonują, że wojsko sprowadziło buldożery, zepchnęło zwłoki na stertę i spaliło, niekiedy polewając je benzyną, niekiedy używając miotacza ognia. Zapada zmierzch. Ulice pustoszeją. Ile rodzin w tym przerażonym mieście, za drzwiami i oknami nędznych chińskich domków, w hutong, skąd nikt już nie wywozi śmieci, właśnie zadaje sobie pytanie, co się stało z dziećmi, które nie wracają?

Wśród cudzoziemców zamkniętych w bańkach mydlanych hoteli krążą najróżniejsze pogłoski. Najczęściej powtarza się wieść, że „dobrzy” zaatakują w nocy. To mało pocieszająca perspektywa. A tymczasem w niektórych chronionych punktach życie toczy się jak gdyby nigdy nic. W restauracjach nadal można zamówić, czego dusza zapagnie, w dyskotecce Club Lido ludzie tańczą przy pulsującym psychodelicznym światłach, podczas gdy na ekranie wyświetla się kreskówka z Asteriksem. W wielkiej kręgielni młodzi Amerykanie i Europejczycy toczą duże czarne kule biegnące na spotkanie rzędów białych kręgli. „Dobrzy”, „źli”?

Na ekranach telewizorów w hotelach, nadal otrzymujących wieści drogą kablową, każdy ogląda raz jeszcze przekazywane przez Stany Zjednoczone sceny tego, co dzieje się dokoła. Noc mija spokojnie, przerywana jedynie telefonami kolegów i przyjaciół, którzy uważają, że „dobrzy” zaraz zaatakują. To nieprawda, o świcie wszystko jest bez zmian. Chińczycy nadal czekają, aby o ich losie zdecydowało starcie dwóch armii. Wychodzę pobiegać, jak co dzień. „Dobrzy” u wlotu drogi prowadzącej na lotnisko gotują ryż nad ogniem. Niektóre stragany wciąż sprzedają papierosy i paczki. Ruch rowerowy. Trzykołowe wozy z drewnianymi plaformami nadal poplamionymi krwią, bo transportowały rannych, przejeżdżają teraz pełne warzyw. Konwoje autobusów z flagami wielu ambasad, wiozące kobiety i dzieci, zmierzają na lotnisko. W zachodniej części miasta panuje spokój. Ale nie w centrum.

O dziesiątej z kolumny czołgów i wozów pancernych, które okupują plac Tiananmen, wyjeżdża sznur ciężarówek. Żołnierze mają karabiny wycelowane w górę.

- Jesteśmy tu, aby bronić ludu - krzyczą. - Precz z korupcją wysokich urzędników!

Ludzie tłoczą się, żeby popatrzeć. „Źli”, którzy próbują odgrywać rolę „dobrych”? Nikt nie rozumie, ktoś w tłumie w końcu zaczyna klaskać. Ale żołnierze nieoczekiwanie strzelają w powietrze. Biegnę czym prędzej w stronę Peking Hotel.

Cała historia Chin XX wieku zawiera się w tym budynku. Pierwsze skrzydło, granitowe, zostało postawione przez Francuzów w czasach ambasad (które stały dokładnie naprzeciwko). Drugie, z czerwonego kamienia - przez Rosjan po pierwszej wojnie światowej. Trzecie skrzydło zostało zbudowane w latach sześćdziesiątych, w stylu socrealizmu. Ostatnie, ze szkła i stali, buduje spółka joint venture, której przyszłość jest teraz niepewna.

W hotelu prawie nie ma gości. Na parterze wyłączono elektryczność, zamknięte są wszystkie sklepy i bar, przy którego stolikach siedzieli najwięksi podróżnicy i poszukiwacze przygód XX wieku. Z pokoi na najwyższych piętrach widok jest niesamowity i wstrząsający. Aleja Długiego Pokoju ciągnie się kilometrami, opustoszała, aż po horyzont. Po prawej, przed wielkim portretem Mao, czarna masa czołgów, wozy opancerzone, setki żołnierzy, przylatujące i odlatujące helikoptery na placu przed pomnikiem Męczenników Rewolucji.

O jedenastej kolumna dwóch tysięcy żołnierzy zaczyna wymarsz z placu i kieruje się na wschód. Ogromny zielony wąż pełźnie powoli po asfalcie, okrążając szkielety spalonych autobusów. W przytłaczającym milczeniu miasta (wszystkie sklepy są zamknięte, a urzędy puste) słyszy się jedynie lekki szelest płóciennych butów o asfalt i metaliczny rytm wybijany

przez karabiny uderzające o pasy przewieszane przez ramię. Jedna grupa będzie okupować Ministerstwo Handlu Zagranicznego, druga kieruje się ku Jianguomenwai, jednej z dzielnic, w których mieszkają zagraniczni dyplomaci, biznesmeni i dziennikarze.

11.30. Przesuwając się aleją, kolumna ciężarówek z żołnierzami, dotarłszy na 14 wysokość biurowca Citic, zaczyna strzelać jak szalona. Przez cztery minuty sttzały padają w powietrze, a potem w budynki cudzoziemców. Leci szkło z rozbitych szyb. Wiele rodzin ucieka na wewnętrzny dziedziniec, ale na próżno. Wszystkie wejścia kompleksu dyplomatycznego blokują żołnierze, którzy z wycelowaną bronią wchodzą do Jianguomenwai jak na łapankę.

Czyżby szukali jakiegoś dysydenta? Może poszukiwanym jest Fang Lizhi? Waszyngton dopiero co poinformował, że sławny astrofizyk, najznakomitsza postać ruchu prodemokratycznego, schronił się w ambasadzie amerykańskiej i poprosił o azyl polityczny. Może żołnierze chcą go pojmać, nim zdoła wyjechać? Obleżenie trwa prawie godzinę, potem żołnierze odjeżdżają, zabierając młodego Chińczyka w koszulce i krótkich spodenkach. Mówią, że szukali strzelca wyborowego, który z dachu strzelał do ich kolumny. Czy ten chłopak naprawdę był snajperem?

W dzielnicy dyplomatycznej wraca normalność, ale epizod, ze szczegółami relacjonowany przez rodziny, które stały przy oknach i cudem się uratowały, przekonuje innych cudzoziemców do spakowania walizek i schronienia się w hotelach w oczekiwaniu na ewakuację.

Biegnie wieść, że „dobrzy” z 38. Armii zgromadzili się o kilka kilometrów od Pekinu, wokół Pachnących Wzgórz. Z innych części kraju kolejne grupy „dobrych” ponoć maszerują w stronę stolicy, aby „ukarać złych” i przywrócić porządek w mieście, w którym coraz bardziej odczuwa się brak władzy. Poza, oczywiście, władzą karabinów - kiedy te dają się zobaczyć albo usłyszeć.

Przed zachodem słońca robię ostatnią rundę po ulicach. Czołg” przyczajone wcześniej na moście, tajemniczo zniknęły. Z daleka widzę tylko szarą bryłę obserwatorium. Nikt nie potrafi tego wytłumaczyć. Wracam myślami do historii. Także w 1949 roku ścierały się dwie armie. W Pekinie byli nacjonaliści. Za miastem wojsko Mao. W końcu Pekin został zdobyty przez komunistów bez walki. Czy to możliwe, aby wrogie obozy, oceniwszy własne siły, znów dogadały się, kto wygrał, a kto przegrał, oszczędzając starej stolicy kolejnego męczeństwa?

Nieprzeniknione milczenie zapadającej nocy budzi otuchę.
miasto koszar

Pekin, 10 czerwca 1989

Nawet żałoba nie jest możliwa. Pekin, okupowane miasto, stracił prawo do łez. Młodych ludzi, zmasakrowanych przez wojsko, były tysiące”, ale ich rodzice i rodzeństwo nie mają odwagi założyć czarnej opaski. Boją się, że zostaną zidentyfikowani i aresztowani przez żołnierzy, którzy przetrząsają dzielnice w poszukiwaniu „kontrrewolucjonistów”. W Chinach przestępstwo kontrrewolucji należy do poważnych. Karą może być nawet śmierć.

„Buntownicy mają poddać się władzom. Ci, którzy próbują uciekać, będą bezlitośnie karani. Ludność musi współpracować i identyfikować kryminalistów”, powtarzają radio i telewizja, podając numery, pod które można zadzwonić, aby zadenuncjować znajomego albo sąsiada. Obiecywane wynagrodzenie to nieduża suma pieniędzy.

Po krwawym zdławieniu - dokładnie tydzień temu - największego powszechnego powstania bez broni przeciwko chińskiemu reżimowi komunistycznemu, armia i policja, na rozkaz Deng Xiaopinga, starają się przekonać ludność, że wszystko wróciło do normy. Jednocześnie rozpoczęły skrupulatne, przerażające dzieło represji.

Niezliczone zdjęcia robione przez tajniaków podczas demonstracji, strajku głodowego i okupacji placu Tiananmen oraz filmy i kasety wideo skonfiskowane zagranicznym

dziennikarzom w ostatnim tygodniu zostały wykorzystane, aby przygotować akta tysięcy osób. Polowanie na dysydentów trwa.

Na obwodnicy numer dwa, szerokiej autostradzie okalającej stolicę, widziałem ciężarówkę wojskową zatrzymującą się na skrzyżowaniu przy Świątyni Lamy. Sześciu żołnierzy wyskoczyło z samochodu, ruszyło biegiem z karabinami wycelowanymi w skupisko domów i wywlokło stamtąd chwilę później mniej więcej dwudziestoletniego chłopaka. Innych sześciu żołnierzy pilnowało grupy osób, które patrzyły wylężnione, milcząc.

- Tym razem przegraliśmy, bo nie mieliśmy broni - szepcze do mnie jakiś mężczyzna, kiedy ciężarówka odjeżdża.

Porządek w Pekinie powraca i życie - roślina o niesłychanie mocnych korzeniach - trwa, ze smutkiem i uporem, jakby nic nie zaszło. Barykady są rozbierane, szkielety autobusów, wojskowych dżipów, wozów opancerzonych podpalonych przez demonstrantów- usuwane. Otwierają się drzwi sklepów. Policjanci kierują coraz większym ruchem ulicznym. Na brzegach jeziora, przed wiekową Wieżą Bębna, rybacy wygrzewają się w słońcu. W hutong, na jednej ze starych ulic za Zakazanym Miastem, gromadka dzieci bawi się w wojnę, strzelając z drewnianych karabinów.

„Twardogłowi” wygrali. Ciężki walec propagandy i terroru przejeżdża po tym mieście, które przez kilka tygodni miało - tutaj tak niezwykle - pięć minut wolności. Wczoraj wyszły gazety. Wszystkie z identycznymi tytułami mówiącymi o „wspaniałym” dziele wojska. Telewizja pokazuje żołnierzy pomagających przechodzić przez jezdnię starszkom, delegacje narodu wręczające upominki armii i młodych ludzi w kajdankach, związanych, niekiedy krwawiących i opuchniętych, przewożonych do więzień i przesłuchiowanych.

Oficjalnie schwytych „kontrrewolucyjnych buntowników” jest „ponad czterystu”, ale nikt nie może już wierzyć w oficjalne komunikaty. Władza utrzymuje na przykład, że ofiarami masakry byli żołnierze, nie ludność: „kontrrewolucyjni buntownicy” mieli zamordować trzystu żołnierzy, plac Tiananmen miał zostać opróżniony bez rozlewu krwi. „Ani jeden student nie został zabity”, powiedział burmistrz. „Ani jeden student”, powtarzają spikerzy telewizyjni. Ludzie słuchają i milczą. Wierząc, że świat musi poznać prawdę, niektórzy młodzi ryzykują aresztowanie: wręczają nielicznym pozostałym w Chinach cudzoziemcom zdjęcia albo relacje z rzezi, aby opublikowano je za granicą.

Szybko także te akty biernego oporu ustaną. Uniwersytety są prawie puste - studenci pojechali do domów albo się ukryli. Robotnicy, którzy demonstrowali, musieli stawić się w swoich miejscach pracy, gdzie teraz ujawniają się ludzie bezpieki. Wszystkie ośrodki intelektualnego oporu podsycającego ruch prodemokratyczny są okupowane przez wojsko. Akademia Nauk Społecznych, „świątynia dumania” członków partii, ale także ognisko krytyki wobec ortodoksji marksistowskiej, stała się czymś w rodzaju koszar. Podobnie redakcje gazet, które w ostatnich miesiącach były najbardziej liberalne.

Żołnierze są wszędzie. Obozują na ulicach, w szkołach, na placach budowy. Stoją na straży na skrzyżowaniach miasta, na wszystkich mostach, wzdłuż drogi kolejowej. Nawet na stokach starego obserwatorium astronomicznego, wśród przyrządów skonstruowanych w XVI wieku przez europejskich jezuitów, widać teraz hełmy i karabiny.

Wygląd okupowanego Pekinu oddaje istotę tego, co zdarzyło się w Chinach w ostatnim tygodniu: w zasadzie to zamach stanu. Deng Xiaoping, który od lat mówił, że chciałby przejść na emeryturę, a formalnie jest tylko szefem partyjnej komisji wojskowej, użył części armii, aby sięgnąć po władzę, wyeliminować swojego następcę i przeciwnika, Zhao Ziyanga, oraz narzucić krajowi linię polityczną niezatwierdzoną ani przez partię, ani przez rząd.

Aby zapewnić rewolucyjną legitymizację owemu puczowi gwałcącemu konstytucję partyjną i państwową, Deng Xiaoping wezwał na ogłoszenie swojego zwycięstwa starych członków

kierownictwa, oficjalnie niepełniących już znaczących funkcji, których on sam w ostatnich latach zdyskredytował i odsunął.

W rezultacie partia jest praktycznie poza grą (przynajmniej trzy razy Deng próbował wymusić posiedzenie Komitetu Centralnego, aby ten przyjął dymisję Zhao - bez skutku), władzę cywilną reprezentuje jedynie formalnie pierwszy minister Li Peng, którego rząd nie cieszy się już oczywiście zaufaniem parlamentu (i dlatego nie obraduje), a jedyną władzą w państwie są dziś wojskowi. Ruch studencki i okupacja placu Tiananmen nie były wcale przyczyną puczu, lecz pretekstem. Powstanie ludowe, mimo swojego głębokiego podłoża i spontaniczności, zostało po części sprowokowane i użyte jako uzasadnienie wielkiej czystki. Ma ona wyeliminować nie tylko demokratyczny opór ludności, lecz przede wszystkim liberalno-reformistyczną opozycję wewnątrz partii.

Walka dotyczyła - i nadal dotyczy - przyszłości reform wprowadzonych przez samego Deng Xiaopinga. Problem był i jest następujący: przeprowadzone reformy dały bardzo pozytywne efekty, zrewitalizowały gospodarkę i podniosły stopę życiową części społeczeństwa. A jednak wywołały również ogromne problemy, dysproporcje ekonomiczne pomiędzy regionami wybrzeża a wnętrza kraju, między bogatymi wieśniakami a ubogimi wieśniakami, uzależniły Chiny jeszcze bardziej od sceny międzynarodowej, zwiększyły obce wpływy, rozpowszechniły „myślenie kapitalistyczne”, wywołały dążenia prodemokratyczne, podważyły władzę partii i poważnie zagroziły, jak pokazują żądania studentów, socjalistycznej podstawie Republiki Ludowej.

W konsekwencji wybuchł spór na partyjnej górze. Po jednej stronie był Zhao Ziyang i jego ludzie, którzy uważali reformy za nieuniknione i chcieli je przyspieszyć. Po drugiej stronie był Li Peng, który chciał je spowolnić lub ewentualnie zatrzymać. Deng Xiaoping, stary stalinowiec, opowiadał się za reformami nie po to, aby zdemontować komunizm (jak sądzono na Zachodzie), lecz przeciwnie, aby uczynić go skuteczniejszym. Teraz nie miał wątpliwości, kogo poprzeć.

Dla Denga nie były ważne reformy, lecz przyszłość Chin - komunistyczna lub niekomunistyczna. Żadna cena nie wydawała się zbyt wysoka, aby ocalić tę przyszłość: nawet masakra. Myśląc o wydarzeniach ostatnich tygodni, widzimy coraz jaśniej, że Deng Xiaoping rozegrał znakomitą partię, w której kłamstwa 262 i szantaże były nie mniej ważne niż liczba dywizji. Kłamał, udając chorego, umierającego, a w końcu zmarłego. Kłamał, dając do zrozumienia, że Zhao Ziyang zdobywa przewagę.

W ten oto sposób wszyscy jego przeciwnicy odkryli swoje karty. Wang Li został nakłoniony do powrotu ze Stanów Zjednoczonych, gdzie w publicznej wypowiedzi wziął stronę studentów. Porwano go do Szanghaju i zmuszono do milczenia. Równocześnie Deng otaczał Pekin pierścieniem żołnierzy, do których miał zaufanie. W pewnym momencie było ich prawdopodobnie nawet trzysta tysięcy.

To na tych karabinach oparł się Deng Xiaoping. Uchodzący już za nieżyjącego, niczym z klasycznej operze chińskiej powrócił niby zmartwychwstały cesarz - „promieniejący siłą i zupełnie zdrowy”, jak piszą dzisiaj gazety.

Kraj, który wymykał mu się z rąk, Deng znów trzyma w garści. Jego nieprzyjaciele ujawnili się i są teraz ścigani i eliminowani. Ten sędziwy, ostatni cesarz wieśniak, którego edukacją polityczną była przede wszystkim partyzantka i jaskinie Jenanu, zareagował na przemiany w Chinach właśnie jak „człowiek jaskiniowy”, według słów pewnego dyplomaty. I chociaż Chiny cofnęły się o całe dekady w dążeniu do zmian, Deng wie, że ich socjalistycznemu przeznaczeniu nic nie zagraża, nawet jeśli ceną było strzelanie do bezbronnego tłumu, a teraz wojskowy terror. W tym mieście - gdzie każdy oficjalny komunikat jest kłamstwem, a prasa nie publikuje już informacji - krążą najróżniejsze pogłoski. Zgodnie z najnowszą, Zhao Ziyang, oskarżony o popieranie studentów i kontrrewolucjonizm, został postawiony przed

plutonem egzekucyjnym. Razem z nim miałyby zostać rozstrzelane inne osobistości, między innymi szef „Dziennika Ludowego”.

Możliwe, że także owe pogłoski są rozpuszczane po to, aby jeszcze bardziej przerazić ludzi i zniechęcić buntowników. Zresztą ta partia nie ma zwyczaju rozstrzeliwania kierownictwa odsuniętego od władzy. Prawdą jest jednak, że masakra zmieniła wszystko. Chiny nie są już i nigdy nie będą takie same.

Przed mauzoleum, gdzie zabalsamowany Mao leży jak zapomniany w swojej szklanej trumnie, kilkadziesiąt czołgów dzień i noc stoi na placu Tiananmen, niczym potomstwo straszliwych potworów, które uwiły sobie gniazdo w sercu tego kraju.

Wielkie Kłamstwo

Pekin, 27 czerwca 1989

Noce są ostatnimi czasy niespokojne w Chinach. Zasypia się z głową pełną obrazów codziennego terroru pokazywanych w dzienniku telewizyjnym. Ze snu wyrывa metaliczny zgrzyt megafonów, które zostały włączone po latach milczenia.

Trzy tygodnie temu czołgi zmiażdżyły ciała ludzi. Teraz gąsienice propagandy miażdżą umysły tych, którzy przeżyli. Stare Chiny komunizmu maoistowskiego, prania mózgow, ksenofobiczne Chiny rewolucji kulturalnej, które tak wielu ludziom w ostatniej dekadzie kazały wierzyć, że się zmieniły - i to zmieniły na zawsze - powracają teraz, nieoczekiwanie, z tymi samymi sloganami, tymi samymi hasłami. To nieuniknione.

Telewizja przynajmniej cztery godziny dziennie pokazuje młodzież - chwytaną, przesłuchiwaną, wystawianą na pośmiewisko z kartkami na szyi, skazywaną. Radio i megafony na ulicach, w fabrykach, na dziedzińcach szkolnych informują, że obowiązkiem każdego obywatela jest denuncjowanie „ślugusów kontrewolucji”, a przede wszystkim „jednoczenie swoich myśli z myślą partii”. Piskliwy głos spikerki rozbrzmiewa donośnie, monotonicznie, ale nieustępliwie, w każdym domu, w każdej dzielnicy.

Pekin słucha i spuszcza głowę coraz niżej. Jeszcze kilka tygodni temu miasto łączyła zdumiewająca, nieoczekiwana iluzja wolno-264 ści. Wszyscy rozmawiali ze wszystkimi. Ludzie sobie pomagali.

Teraz znów są osobno. Każdy boi się sąsiada, unika jego spojrzenia. Obawia się, że inni rozpoznają w nim człowieka, którym był niedawno.

- A ty demonstrowałaś na Tiananmen? - pytam młodego taksówkarza odwożącego mnie na lotnisko. Chłopak rozgląda się, wystraszony, jakbyśmy nie byli sami w samochodzie, jakby aleja wysadzana po bokach wierzbami płaczącymi, które dzisiaj wydają się smutniejsze niż zazwyczaj, nie była pusta.

- Tak... Ale muszę o tym zapomnieć... Muszę zjednoczyć moje myśli z myślą partii.

Nie mówi tego z ironią. Chińczycy znów praktykują swoją wielką sztukę - sztukę przetrwania.

Aby przetrwać, należy zakamuflować się w anonimowym tłumie, przestać myśleć, przekonać samego siebie, że jedyną prawdą jest prawda Wielkiego Kłamstwa, które obecnie powtarzają wszystkie organy propagandy. Zamieszki wybuchły w wyniku spisku, do którego podzegli obcy agenci; w Pekinie nie było żadnej masakry; na placu Tiananmen nikt nie został zabity; armia nawet nie strzelała. Aby się ocalić, wystarczy to powtarzać. I większość powtarza.

Opuszczanie Chin zawsze przychodziło mi z trudem, ponieważ spędzone tu lata uczyniły ze mnie współuczestnika tragedii narodu, który od stu lat szuka sposobu, aby rozstać się z przeszłością i dostosować do nowych czasów. A jednak tym razem w drodze na lotnisko czuję także ulgę. Całymi dniami słyszałem w radiu, czytałem w gazetach, widziałem w telewizji Wielkie Kłamstwo i pocieszałem się, myśląc o wersach, które Lu Xun, jeden z wielkich Chińczyków XX wieku, napisał w 1926 roku, po tym, jak ówczesny rząd wyparł się masakry

dokonanej na studentach: „Kłamstwa spisane atramentem nigdy nie przesłonią faktów spisanych krwią”.

Przejeżdżając przez Pekin po raz ostatni, czułem duszące, nieznośne brzemie starego reżimu totalitarnego, który znów ścisnął za gardło swój lud. Na rogach ulic stoją jak niegdyś członkowie komitetów dzielnicowych z czerwonymi opaskami. Teoretycz- 265 nie mają kierować ruchem. W rzeczywistości - szpiegują. Donosy są dobrze widziane i nagradzane kokardami oraz pieniędzmi. System informatorów został przywrócony. Przywrócone zostały także kamery telewizyjne, które brytyjska firma przekazała Pekinowi do kontrolowania ruchu. Tajna policja wykorzystwała je do identyfikacji demonstrantów. Ludzie to zrozumieli - podczas starć obrzucili urzędników kamieniami i uszkodzili. Teraz, głównie w wielkiej alei Changan, wszystkie kamery zostały ustawione z powrotem. Obok zainstalowano lampy, które dają silne światło. W przyszłości teleszpiegdy sprawdzą się również w nocy. Ale czy będą nowe marsze, nowe demonstracje?

Ambasada amerykańska zajmuje trzy budynki i chińska policja jeszcze nie ustaliła, gdzie został ukryty Fang Lizhi, astrofizyk i dysydent, który poprosił o azyl polityczny. Przed wejściem do każdego stoi teraz niemal niezauważalna furgonetka. Zza brązowych zasłonek kilka kamer telewizyjnych rejestruje każde wejście i wyjście. Jeśli policja zamierza zorganizować „spontaniczną ludową demonstrację” i odbić Fanga oraz jego żonę, musi działać bez wahania. Nie byłby to pierwszy raz. W 1966 roku „spontaniczna” demonstracja ludności oraz Czerwonej Gwardii zaatakowała i podpaliła ambasadę brytyjską.

SŁUŻYĆ NARODOWI - taki napis widnieje przy bramie koszar. Aby udowodnić, że armia nadal jest wierna sloganowi Mao i jakby chcąc zatrzeć wspomnienie o masakrze, żołnierze otworzyli przed Muzeum Wojskowym punkt „służby narodowi”. Oferują reperowanie rowerów przechodniom i telewizorów gospodyniom domowym, mierzenie ciśnienia starszym osobom. Ale cywile trzymają się z daleka.

W budynkach postawionych dzięki pierwszym reformom Denga mieszkają wysokie kadry partyjne. Wiele rodzin oplakuje tam dzieci, które znalazły śmierć na placu Tiananmen. Policja robi ciągle naloty, szuka tych, co przeżyli.

- Wiele młodych ofiar rzezi było jedynakami. To jest dług krwi, 266 jaki partia będzie musiała zapłacić - mówi pewien zachodni dyplomata. Krąży wieść, że niektórzy starzy komuniści, którym zabito bliskich, zawiązali grupę mścicieli. Mają w odwecie mordować odpowiedzialnych za masakrę.

Chiny są przybite, złamane, w pewnym sensie upokorzone tym, że jeszcze raz przegrały, próbując stać się nowoczesnym narodem. Pokładały nadzieję w Mao i zgotowano im męczeństwo. Wierzyły w Denga i zostały zmiażdżone. Zachód często się identyfikował ze zmaganiem tego ludu, który, gdy powstawał, podsycał nasze marzenia. Chiński ruch studencki rozpałił wyobraźnię świata. Chłopak, który samotnie, rozpostartymi ramionami, zatrzymał czołg, nam także przywrócił wiarę w siłę ducha.

- Chiny powinny wysłać go w podróż po świecie, tak jak Rosjanie wysłali Gagarina - mówi jeden z ambasadorów europejskich, kiedy idę się pożegnać.

Czy coś zostanie z tych niezwykłych dni? Każdy z nas ma własną historię, którą zapamięta. Moja jest bardzo prosta. Trzeciego wieczoru po masakrze byłem na małej uliczce za Parkiem Świątyni Słońca. Od grupy osób czytających przyczepioną do latarni fotokopię gazety z Hongkongu odłączył się mężczyzna około pięćdziesiątki, z rowerem. Mijając mnie, szepnął, jakby nagle odkrył w sobie nieznane dotąd pokłady odwagi: „Da dao Li Peng” - „Precz z Li Pengiem”. Potem odjechał, pedałując, z cebulami na bagażniku.

Lotnisko przez jakiś czas nie będzie się nadawać do użytku. W budynku panuje chaos. Żaluzje zerwane, ściany zburzone. Nie ma tłoku. Ani zwykłego tłumu ciekawskich przybyłych obejrzeć przyloty i odloty, ani wzburzonego tłumu uciekających cudzoziemców, który ujrzałem po wylądowaniu. Nikt nie przyjeżdża, bardzo nieliczni wyjeżdżają. Żadnego

Chińczyka. Od dwóch dni granice są praktycznie zamknięte. Wszystkie pozwolenia na wyjazd wystawione przed masakrą muszą zostać potwierdzone przez policję.

Lotnisko wygląda na wymarłe. W sali odlotów jesteśmy tylko my - mała grupa obcokrajowców. Kilka strzałek narysowanych 267 ręcznie na kartkach wskazuje drogę przez labirynt lad wystawienniczych dutyfree przykrytych zakurzonymi prześcieradłami. Kilka dziewczyn śpi z głowami na oparciach krzeseł w urzędzie pocztowym i w banku. Celnik nie chce nawet zajrzeć do mojej torby. Oficer policji stempluje z roztargnieniem paszport. W długich korytarzach, gdzie ruchoma taśma nie działa, a podłoga wydaje się niezamiatana od tygodni, stoją kolejni policjanci. Rozmawiają na stronie ściszym głosem. Czuję się bardzo niepokojnie! Podczas całego pobytu unikałem oficjalnych kontaktów i pokazywania się publicznie. Tajna policja mogła mnie jednak rozpoznać i czekać właśnie tutaj. Nareszcie widzę dwie uśmiechnięte stewardesy z Japan Airlines, kłaniające się z gracją przed wejściem. Jeszcze jeden krok i zapachy, dźwięki, twarze, ciężar Chin wydają się bardzo odległe.

Kiedy jet startuje, mam wrażenie, że jestem nie tyle w samolocie na trasie Pekin-Tokio, co na statku kosmicznym, który mnie przenosi z dalekiej przeszłości w teraźniejszość, jaką żyje reszta świata.

W tej przeszłości tkwi jak w pułapce ponad miliard Chińczyków. O czym myślą? Czego pragną? Kim naprawdę są Japończycy? Od stuleci powyższe zagadnienia spędzały sen z powiek wszystkim cudzoziemcom, którzy postawili stopę na tym dziwnym archipelagu. Szukając, podobnie jak oni, odpowiedzi, zacząłem od zadania sobie pytania: o czym marzą Japończycy?

fabryka marzeń

Tokio, październik 1989

Mieszkają w miniaturowych domach, pracują do bardzo późna i rzadko biorą urlop. Mówią, że są szczęśliwi, ale kiedy zapada wieczór, nawet Japończycy muszą marzyć. A że tylko nieliczni mają własne marzenia, większość kupuje jedno z wielu oferowanych przez rynek.

W Japonii istnieje mnóstwo punktów sprzedających tylko ten towar: marzenia. Każde miasto ma całe dzielnice, każda wioska, nawet najmniejsza, ma przynajmniej jedną ulicę, gdzie po zachodzie słońca Japończyk może spełnić swoje marzenie. Że jest sławnym piosenkarzem albo mężnym samurajem, że jest namiętnie kochany przez kobietę, że jest kołysany przez matkę albo po prostu że ma przyjaciela, który go rozumie.

Marzenia są kosztowne: przeciętnie Japończyk wydaje trzecią część tego, co ma, nayoka, czyli „czas wolny”, „czas na rozrywkę”. Yoka to obecnie jedna z najlepiej prosperujących gałęzi krajowego przemysłu. W ciągu roku Japończycy zostawiają w barach, restauracjach, salach tanecznych, salach do gry w pachinko, kinach, nocnych klubach i podobnych lokalach astronomiczną sumę: równowartość ponad dwustu siedemdziesięciu miliardów euro.

- To niemalże wysokość całego budżetu państwowego - mówi Miyano Takayuki, dyrektor Instytutu do Spraw Rozwoju Czasu 269

Wolnego w Ministerstwie Przemysłu. - A w tej sumie nie zawiera się to, co ludzie wydają na seks!

Prostytucja, w Japonii powszechna i niesłychanie dochodowa, została zdelegalizowana w 1956 roku, a że oficjalnie nie istnieje, nie istnieją też oficjalne statystyki.

W Japonii droga do marzeń zaczyna się w barze. To tam, a nłfc do domu, kieruje się Japończyk, gdy wychodzi z pracy. Otwiera małe drzwiczki i przenikliwy głos mama-san pozdrawia go, jakby kobieta czekała tylko na niego. Pierwszy krok do bram rajy został uczyniony.

W Japonii jest ponad sto tysięcy barów. Mama-san i ich pomocnic, hostess, gotowych zaspokoić każde pragnienie i każdą wersję klientów - ponad milion. Istnieją całe ulice, przy których stoją wyłącznie małe bary, istnieją całe dzielnice z nowoczesnymi budynkami

mieszczącymi dziesiątki nocnych lokali każdego typu, pozwalających Japończykowi, sfrustrowanemu dniem pracy, na błyskawiczną ucieczkę w inną czasoprzestrzeń. Niektóre to punkty spotkań dla Japończyków wykonujących ten sam zawód, inne - dla Japończyków o tych samych skłonnościach. W pewnym barze w starej tokijskiej dzielnicy Ueno klienci przebierają się za kowbojów i słuchają muzyki country. W lokalu w dzielnicy Akihabara mężczyźni mogą nosić jedwabne pończochy oraz spódnice i udawać kobiety.

- To jednak nie jest lokal dla homoseksualistów - zastrzega właściciel. - Oni mają swój własny klub.

Barów for boys only, „tylko dla chłopców”, jest kilkadziesiąt, większość w dzielnicy Shinjuku. Każdy ma swojego papa-san i swój floor-show. Byli oficerowie marynarki spotykają się w barze w dzielnicy Aoyama urządzonym jak okręt, z oknami w kształcie iluminatorów, z których ogląda się wzburzone morze. Inni tęskniący za wojną Japończycy odwiedzają Top Club w Roppon-gi, gdzie chór dziewcząt przebranych za uczennice z lat czterdziestych wyćwiera pieśni dawnej armii cesarskiej.

- Tokio potrzebowało miejsca, w którym można z dumą powspominać wojenne czasy - mówi właściciel lokalu, szcząc się tym, że ma wśród swoich byłych dyrektorów banków, prezesów wielkich spółek i pierwszoplanowych polityków.

Są również bary wyróżniające się ubiorem hostess. Na przykład takie, w których dziewczyny przebierają się za pensjonarki, ale nie zakładają majtek. W innych hostessy noszą wyłącznie maseczkę z białej gazy na ustach. Bar w dzielnicy Akasaka proponuje szczególnie rodzaj „relaksu”: goście udają, że są noworodkami, a dziewczyny zmieniają im pieluchy. W eleganckim hotelu w Ha-kone o sto kilometrów od Tokio klienci, za jakieś sto euro, mogą wcielić się w role samurajów w starannie przygotowywanej co weekend scenografii.

Japończycy, zmuszeni (Jzień w dzień nosić swoje nienagane czarne garnitury urzędników, lubią przywdziać od czasu do czasu piękną średniowieczną zbroję. Prawie dziewięćdziesięcioletni Ryoichi Sasagawa (niegdyś zbrodniarz wojenny, ojciec chrzestny japońskiej prawicy, a dziś filantrop na skalę międzynarodową z ambicją zdobycia pokojowej Nagrody Nobla) wśród materiałów reklamowych dla prasy umieszcza swoje zdjęcie w przebraniu starożytnego wojownika na tle pałacu cesarskiego.

Mieszkańcy Japonii, których domy są ciasne i ciemne, marzą przede wszystkim o tym, aby choć na chwilę mieć dla siebie trochę przestrzeni i wygod. Cała seria lokali czyni zadość ich pragnieniu, odtwarzając atmosferę „wykwintnego salonu” mieszczańskiej europejskiej rodziny. Jeden z tych lokali znajduje się w Roppongi. Przez zwyczajne drzwi wchodzi się do przestronnego i jasnego salonu. Ściany, fotele i wykładzina - wszystko nieskazatelnie białe. Przy białym fortepianie siedzi dziewczyna spowita w biały tiul i gra Chopina. Nic tu nie przywołuje na myśl baru (butelki są schowane). Za godzinę w tym miejscu trzeba zapłacić sto pięćdziesiąt euro.

Najpopularniejszym i najtańszym barem jest lokal karaoke - trzy-cztery stołki przy barze, przyciemniane światła, na ścianach rzędy butelek, każda z nazwiskiem klienta na szyjce. Karaoke (dosłownie „pusta orkiestra”) to odtwarzacz wideo z muzyką. Gość zamawia swoją ulubioną piosenkę i bierze mikrofon. Podczas gdy po ekranie przesuwają się sugestywne obrazy, często deszczu, śniegu, kwitnących wiśni, a z odtwarzacza płynie melodia, uczestnik śpiewa, czytając wyświetlające się słowa, zmieniające kolor w chwili, kiedy powinny być zaśpiewane. Cała uwaga lokalu skupia się na nim, koledzy klaszczą i przez kilka minut sa-rari-man, „człowiek firmy”, czuje się bohaterem wielkiego show telewizyjnego, czuje się gwiazdą, jak ci, których pełne są kolorowe czasopisma.

Bar karaoke to w ostatnich latach niemalże instytucja narodowa. Kolejne zainstalowały karaoke w niektórych pociągach. Pewne przedsiębiorstwo budowlane produkuje dźwiękoszczelne pomieszczenia, aby bary z karaoke nie przeszkadzały sąsiadom, którzy chcą

spać. Inne przedsiębiorstwo sprzedaje kasety z karaoke do użytku domowego. Można z nimi poćwiczyć przed wystąpieniem w barze.

Za każdym drzwiami, jakie Japończyk otwiera podczas swojej nocnej wędrówki, stoi kobieta, która go pieści, napełnia mu kieliszek, zapewnia o jego talentach i męskości. Mama-san i hostessy są westalkami współczesnego japońskiego społeczeństwa.

- Mężczyzna żyje tu na dwóch polach walki: rodziny i pracy. My jesteśmy jak poduszka między tymi dwiema - mówi dobiegająca pięćdziesiątki Fumiko Honda, która prowadzi mały bar za dworcem Shibuya. - Tym, co sprzedajemy, jest nasz czas. Czas na wysłuchanie klientów i pocieszenie ich.

Piwo, szklanka whisky i gra się rozpoczyna. On mówi, mama-san słucha. On otwiera usta, ona karmi go pałeczkami. On się chwali albo skarży, ona się zdumiewa albo go pociesza. Seks jest częścią tej gry, ale najczęściej kończy się na słowach.

- Społeczeństwo japońskie jest z gruntu homoseksualne. Kobiety to tylko mediatorki ułatwiające relacje między mężczyzną-

272 mi - wyjaśnia amerykańska socjolożka, która przez rok pracowała jako hostessa w tutejszych nocnych klubach. - Jeśli Japończyk potrzebuje rozładowania seksualnego, po drodze do domu znajdzie wiele innych miejsc.

A są one bardzo różne. W pink salons, wyciemnionych „różowych salonach”, klient pijący piwo ledwie widzi dziewczynę, która go masturbuje. W „ośrodkach zdrowia” rzecz odbywa się w pełnym świetle, ponieważ usługa nosi nazwę „masażu”. Natomiast w innych lokalach klient robi wszystko sam, oglądając na przykład podniecający występ nagiej dziewczyny zamkniętej w klatce zwisającej z sufitu.

Live shows z udziałem publiczności wychodzą z mody, ponieważ bilet kosztuje co najmniej dwadzieścia pięć euro, a prawdopodobieństwo, że zostanie się zaproszonym do uprawiania na scenie seksu ze striptizerką, nie jest duże. Bardzo popularne są natomiast punkty wideo, gdzie w zaciszu maleńkiego pokoiku klient ogląda filmy erotyczne. Cena: jedyne dziesięć euro.

Czy zatem Japończyk dobrze się bawi? Jest szczęśliwy? Takie pytania zadajemy sobie raczej my, ludzie Zachodu. Dla przeciętnego mieszkańca archipelagu marzenia to coś w rodzaju obowiązku, sposób, żeby naładować baterie i być jeszcze bardziej wydajną częścią maszyny produkcyjnej. Tak czy inaczej, nawet uciekając od rzeczywistości, Japończyk nie jest nigdy sam, nigdy nie jest jednostką. Zawsze należy do grupy.

Dlatego nocne kluby, bary, restauracje i małe lupanary, w których wieczorem zatrzymuje się po drodze do domu, nie są prawdziwymi przybytkami rozkoszy czy rozrywki, lecz przede wszystkim miejscami, gdzie umacnia się więzi między kolegami, gdzie nowy pracownik zostaje wzięty za rękę przez szefa i wprowadzony do firmy. To w tych właśnie miejscach Japończyk staje się sarań-ma-nem. To tutaj, między szklaneczką whisky a kęssem surowej ryby, wylewa swój żal na przedsiębiorstwo, wyładowuje się, ale także powoli rezygnuje z ostatnich skrawków własnej indywidualności.

Każdy nowo zatrudniony wie, że szczególnie w pierwszych dwóch latach, musi prawie co wieczór wychodzić z kolegami. 273

-Jeśli nie pójdę, coś stracę - mówi młody pracownik towarzystwa ubezpieczeniowego. - W dzień opanowuję techniki i dane, ale wieczorami poznaję tajemnice firmy i buduję w ten sposób podstawy mojej kariery.

Bary i restauracje są już przyległościami biura, rozrywka staje się przedłużeniem pracy. Przyjemność stanowi zawór bezpieczeństwa, a przedsiębiorstwom bardzo zależy, żeby ten zawór działał skutecznie. Dlatego za niego płacą. Każda firma podpisuje umowę z siecią lokali, do których chodzą - częściej lub rzadziej, zależnie od pozycji służbowej - pracownicy. Podwładny składa podpis, rachunek trafia do pracodawcy. Pewien ekonomista policzył, że firmy japońskie wydają równowartość ponad pięćdziesięciu milionów euro dziennie na rozrywki pracowników i klientów.

Z czasem te wieczorne wyjścia z kolegami wchodzą w krew. Długie godziny spędzane w barze oraz innych lokalach są już częścią codziennej rutyny Japończyka. Dom w takim układzie to niewiele więcej niż sypialnia, w której swoją drogą mało się śpi: w niedawno przeprowadzonym sondażu 80 procent pracowników wielkich koncernów wyznało, że czuje „chroniczne zmęczenie”. Cierpi na tym życie rodzinne. To samo badanie wykazało, że 30 procent japońskich żon ogląda swoich mężów przez godzinę dziennie, a 12 procent przez dziesięć minut.

Nawyki od dziecka do dyscypliny i do sztywnych ram społecznych, zmuszony żyć i pracować w małych pomieszczeniach, Japończyk znajduje w picciu łatwą drogę ucieczki. Alkoholizm jest w Japonii bardzo powszechnym zjawiskiem. O północy, kiedy bary i nocne lokale kończą pracę, setki tysięcy osób, zataczających się i zagubionych, wylęgają na ulice. Stacje metra, w którego korytarzach za dnia słychać tylko szuranie milionów stóp, niespodziewanie rozbrzmiewają głosami, śmiechami biegnącymi z ogromnego tłumu ożywionych ludzi. Niewielu zachowuje się powściągliwie, niewielu idzie prosto. Gdzie nie spojrzeć, ktoś wymiotuje albo się potyka, chwiejnym krokiem zdążając do ostatniego pociągu.

wykapmy się razem

Osaka, październik 1989

Zanurzanie się nago jak nas Pan Bóg stworzył w wannie z ukropem i kontemplowanie w towarzystwie innych ludzi przyrody albo unoszącej się pary wodnej - oto dla Japończyka istota przyjemności, prawdziwe wytchnienie.

W Japonii znajdziemy co najmniej dwa tysiące dwieście trzydzieści siedem onsen, „gorących źródeł”. Wokół nich skupiły się hotele, nocne kluby, porno shows i wszystkie inne centra rozrywki, w których dzisiejszy Japończyk realizuje swoje marzenia.

Przyjazd do onsen oznacza zdjęcie ciemnego garnituru noszonego na co dzień i założenie innego uniformu obowiązkowego podczas zabawy: szlafroka-kimona z bawełny z wypisaną nazwą hotelu, którego jest się gościem, i głośno stukających drewnianych chodaków. Do onsen przeciętny Japończyk nigdy nie jeździ sam. Nie przyjeżdża też z rodziną. Udaje się tam z kolegami z pracy i na koszt firmy. Na tabliczkach przed wejściem do wielkich hoteli albo małych pensjonatów onsen widnieją jedynie nazwy przedsiębiorstw, które zarezerwowały miejsca dla swoich pracowników. Śpią oni w pokojach sześć- lub siedmioosobowych, razem jedzą posiłki, razem się kąpią, razem, wieczorami, chodzą na porno show i na to, co następuje później. Razem się upijają. Relaks służy wyłącznie umacnianiu więzi między kolegami i lojalności wobec przedsiębiorstwa.

Kiedy autobusy pełne mężczyzn wracających z wycieczki zakładowej opuszczają Yamashiro - jedno z wielkich miast rozkoszy znajdujące się trzysta kilometrów od Tokio - przystają jeszcze przed bardzo szczególnym supermarketem, nad którym górują dwa spółkujące, wysokie na sześć metrów betonowe żółwie. Starsze panie w białych fartuchach biorą gości pod swoje skrzydła, prowadzą ich między półkami i kontuarami eksponującymi 275 różne preparaty, wszystkie na bazie substancji z węża albo żółwia, i mówią:

-Jeśli wczorajszej nocy zawiodłeś albo dzisiaj trzęsą ci się nogi, weź to lekarstwo.

Seks dla Japończyków nie jest ani tabu, ani źródłem kompleksów. W całym kraju stoją dziesiątki świątyń poświęconych niskim lub żeńskim narządom płciowym. Obowiązkową częścią wizyty w wielkim sanktuarium szintoistycznym w Ise jest zwiedzenie usytuowanego nieopodal muzeum porno. Do jego wielkich atrakcji należy live show z parą kopulujących koni.

Pornografia to część codzienności Japończyka. Fotografie i rysunki gwałconych, torturowanych, molestowanych kobiet wypełniają pisma, które młodzi i starzy przeglądają w metrze z tą samą dezynwolturą. Każde miasto w tym kraju ma całe „dzielnice targowe”, gdzie jedynym towarem na sprzedaż jest seks. Niegdyś lokale, w których odbywał się ten handel,

nazywano turko, ale od kiedy rząd z Ankary zaprotestował, nazwa została zastąpiona określeniem tomko sopu-rando, od angielskiego soap land, „mydlana kraina”.

W Tokio największe skupisko sopu-rando znajduje się w Yoshi-warze, starej dzielnicy na północnym zachodzie miasta, która zawsze słynęła z domów publicznych. W czasach szogunatu były one zarezerwowane dla samurajów, którzy dzięki nim nie musieli wracać do domu, do swoich żon; potem bywalcami stali się głównie kupcy. W sopu-rando nazywanym Watykanem dziewczyny są przebrane za zakonnice, w innym o nazwie Airline - za stewardesy.

Na brzegu jeziora Biwa, na północ od starożytnej stolicy Kioto, kilka kilometrów od świątyni Ishiyama (tutaj w 1004 roku szlachetnie urodzona pani Murasaki napisała pierwsze słowa swojej sławnej Opowieści o księciu Genji) leży miasteczko Ogoto, w którym każdy dom to sopu-rando. Ogoto powstało piętnaście lat temu, a o jego lokalizacji zdecydowało sąsiedztwo wielkich studiów filmowych. Ktoś wpadł na błyskotliwy pomysł, że niedoszłym aktorkom trzeba proponować alternatywną karierę. Ogoto odniosło wielki sukces i szybko stało się sławne w całej Japonii jako „raj dla mężczyzn”.

Niestety, jak dzisiaj mówi urzędnik z lokalnego biura turystycznego, ofiarowując mi z zapalem plan miasteczka i swoje rady, „także raj jest nękany przez AIDS”. W Ogoto nie było jeszcze żadnego udokumentowanego przypadku, ale sani strach sprawił, że dwie trzecie stałych klientów nie pokazały się w tym roku. Przed mrugającymi neonami dziesiątków sopu-rando (jeden lokal został zaprojektowany na wzór meczetu, inny - fortecy, kolejny - zamku) widać jedynie cienie młodych posłańców, którzy z kijkami w rękę trenują grę w golfa. Niektóre domy zostały zamknięte, inne zlikwidowały połowę pokoi. Z tysiąca dziewczyn, niedoszłych aktorek, które jeszcze trzy lata temu tutaj pracowały, pozostało sześćset. Tylko ceny nie uległy zmianie: za osiemdziesiąt minut trzeba zapłacić od stu dwudziestu pięciu do trzystu euro.

W Osace dzielnica rozkoszy nazywa się Tobita, „latające pole ryżowe”. Tu Japonia wydaje się wyjęta z XIX-wiecznych rycin. Wąskie zaułki, niskie domki, latarnie o bladym świetle. Każde drzwi są jak mały teatr. Dwie kobiety, młoda i stara, siedzą w plamie światła w progu i uśmiechają się do przechodzących. Kamienny kot, lalka, karłowate drzewko w tle dopełniają absurdalności sceny. Istnieją dziesiątki takich teatrzyków, w których za pięćdziesiąt euro za godzinę młoda „gości swoich przyjaciół” w pokoju „wynajmowanym” od starej. Jako że prostytutka jest nielegalna, ta formuła pozwala uniknąć kłopotów.

A jednak również Tobitę nęka kryzys, choć niezupełnie z powodu AIDS.

- Dzisiejsi młodzi są zepsuci - mówi stara właścicielka domu. - Chcą, aby traktować ich bardziej indywidualnie, chcą emocji, jaka towarzyszy prawdziwej przygodzie.

Ktoś zrozumiał tę potrzebę i zdołał ją wykorzystać, tworząc „kluby telefoniczne”, które sprzedają właśnie „emocję”. Najnowsza sieć w Osace nazywa się Friday. Za pięć euro można zostać członkiem klubu, za kolejne piętnaście dostaje się na pół godziny jeden z wielu pokoiów w filiach Friday rozsianych w centrum miasta. Każde pomieszczenie jest wyposażone w wygodny fotel, stół z popielniczką, pudełko papierowych chusteczek i dzwoniący nieprzerwanie telefon. Po drugiej stronie słuchawki - tylko kobiety. Zgodnie z reklamą klubu są to „dziewczęta z dobrych rodzin pragnące poznać życie, samotne aktorki, sfrustrowane h(T stessy i wdowy”.

Te dzisiejsze rozrywki Japonii - która wyrafinowaniem gejsz i wymyślnością swoich dawnych rozkoszy rozpałała wyobraźnię całego świata - świadczą o upadku gustu jej mieszkańców.

- Bardzo niewiele potrafi dziś docenić tę sztukę. Nasze miejsce zajmują hostessy-mówi Hazuko Suzuki, sześćdziesięciosiedmioletnia gejsza, obecnie właścicielka ryotei Szczęśliwych Mędrców w dzielnicy Kagurasaka w Tokio.

Ukryte wśród betonowych sześcianów nowoczesnej architektury, za starymi ścianami ze słomy i błota, wciąż jeszcze istnieją w dzisiejszej Japonii małe wyspy dawnego luksusu: ryotei. Zwykła brama, krótka ścieżka wijąca się przez bambusowy zagajnik, kamienna lampa, próg z wygładzonego drewna i kobieta w eleganckim kimonie składająca ukłon. Gość zdejmuje buty i wychodzi ze swojej codziennej roli. Ze świata, w który się zagłębia, opisanego przez zachodnich podróżników XIX wieku, dzisiejsi Japończycy zachowali niewiele albo nic.

- Jesteśmy strażniczkami w muzeum nostalgii - mówi mi stara gejsza z ryotei Szczęśliwych Mędrców. - Czterdzieści lat temu byli jeszcze mężczyźni, którzy spędzali wieczory w takich domach. Ale od kiedy każdy jest pracownikiem, nikt nie może zapłacić za tę przyjemność z własnej kieszeni.

Wieczorem przed kruchymi drewnianymi domkami w zaułkach Kagurasaki - z oknami z papieru i ciężkimi czarnymi dachami - zatrzymują się nieliczne czarne limuzyny wielkich przemysłowców. W dzielnicy Akasaka bywają politycy i członkowie rządu. Każda frakcja Partii Liberalno-Demokratycznej jeździ na swoje dyskretne spotkania do własnego ryotei i tam sprowadza zaufane gejsze.

- Przyszłość Japonii często rozstrzyga się w intymności ryotei - mówi pani Suzuki - dlatego dobre gejsze to te, które potrafią dochować tajemnicy.

W ryotei wynajmuje się pokój - papierowe ściany, podłoga ze słomianych mat, widok na ogródek skalny - i przyjmuje gości.

- Ja biorę wynagrodzenie za atmosferę - mówi pani Suzuki.

Pokój kosztuje jedynie sto euro. Kolacja jest przynoszona w pięknych miseczkach z laki z pobliskiej restauracji (siedemdziesiąt pięć euro), dziewczęta przychodzą z domów gejsz, które funkcjonują jak prawdziwe agencje (pięćdziesiąt euro za godzinę spędzaną z dziewczyną). Koszt wieczoru dla sześciu gości i dwóch gejsz można porównać z miesięczną płacą przeciętnego urzędnika (około tysiąca pięciuset euro). Ale tradycja odchodzi już w przeszłość. W 1969 roku w samej dzielnicy Kagurasaka było jeszcze sześćdziesiąt ryotei i siedemset gejsz. Dziś ryotei jest tylko dwadzieścia siedem, a gejsz osiemdziesiąt.

Najsłynniejsze gejsze ma Kioto. To tam znajdują się najpiękniejsze ryotei w Japonii, tam działa najlepsza szkoła dla gejsz. Problem polega na tym, że brakuje uczennic. „Nauka jest zbyt trudna, a dzisiejsze dziewczyny wolą iść do pracy w biurze”, mówi osiemdziesięcioczeroletnia Yashiko Inoue, najslawniejsza nauczycielka tańca, czczona przez starsze pokolenia i wyróżniona tytułem „skarbu narodowego”. Zgodnie z tradycją, każdego roku Kioto organizuje wielką paradę, podczas której maiko, dziewczyny kształcące się na gejsze, są przedstawiane miastu. Jest ich już tak niewiele, że niektóre emerytowane gejsze są błagane, aby zechciały wziąć udział w pochodzie, przebrane za nastolatki.

- Należymy do wymierającego gatunku. Każda epoka ma swoje zabawy. Nasze nikogo już nie interesują - mówi Chieko, gejsza pracująca w Tokio. - Mężczyźni są teraz inni. Żeby się nami cieszyć, musieliby mieć czas, rozluźnić się, tymczasem oni zawsze są w biegu, spieści. Musieliby słuchać, a tymczasem mówią, mówią. Mówią zawsze to samo: pieniądze, pieniądze, pieniądze.

uciekać w bezruchu

Tokio, listopad 1989

Ich sylwetki dominują nad pejzażem, ich kuszące neony rozjaśniają noc. Love hotels, czyli „hotele miłości”, są częścią Japonii jak przepełnione metro, surowa ryba i zdyscyplinowanie ludności. Love hotels jak nocne kluby, bary, soppu-rando i sale do gry w pa-chinko to miejsca ucieczki, należą do świata marzeń, w którym przeciętnyjapończyk chroni się, aby uciec od anonimowości, dławiącej codziennej rutyny.

Aby znaleźć love hotels, nie trzeba daleko szukać. Są wszędzie. Setki w wielkich miastach, co kilka kilometrów na wsi, jeden obok drugiego przy wjeździe na autostradę. Kto przylatuje

do Tokio samolotem, widzi około dwudziestu po drodze z lotniska Narita na lotniczy dworzec miejski.

Idea love hotels powstała zaraz po wojnie, kiedy Japończycy cierpieli wielką biedę, ich domy były w dużej części zniszczone, a ludzie nie mieli nawet kącika, aby się odizolować. Teraz Japończycy są bogaci, ale nadal brakuje im przestrzeni, a intymność wciąż stanowi luksus, na jaki mogą sobie pozwolić nieliczni. Z tego powodu love hotels stały się bardzo modne. Odwiedzają je narzeczeni, kochankowie, osoby w stałych związkach i spotykające się okazjonalnie, a także zamężne pary. Love hotel gwarantuje czystość i dyskrecję. Kto przyjeżdża samochodem, wie, że tablice rejestracyjne zostaną natychmiast zasłonięte.

Wszystko jest zautomatyzowane. Nie ma portierów, kelnerów czy pokojówek. Żadnych świadków. Drzwi wejściowe otwierają się automatycznie, gdy para podchodzi, a metaliczny głos mówi: „Witajcie!” Na kolorowej tablicy w korytarzu znajdują się fotografie pokoi, również w kolorze. Podświetlone są wolne. Naciska się guzik wybranego pokoju. „Oto klucz”, mówi głosik. Również w windzie dotrzymuje towarzystwa byt komputerowy:

„Witajcie,

życzymy wam mile spędzonych godzin”. Ten sam głos dziękuje, kiedy po jednej albo dwóch godzinach para wyjeżdża. Rachunek przychodzi do pokoju pocztą pneumatyczną i tak samo zostaje uiszczony.

W architekturze love hotels wyraża się cała dziwaczna fantazja Japończyków. Każda konstrukcja ma coś z absurdu, coś zdumiewa* jącego. Każda stara się zrealizować eskapiczne marzenie. Jedne wyglądają jak średniowieczne zamki, inne jak statki kosmiczne albo namioty nomadów. Pewien love hotel niedaleko Okayamy przypomina jumbojet, inny jest kopią wieży w Pizie, kolejny, stojący przy autostradzie między Osaką a Gifu, próbuje udawać piramidę. W tokijskiej dzielnicy Meguro sławny love hotel, cały czas osnuty błękitnym światłem, wyobraża jeden z zamków króla Ludwika Bawarskiego. Hotel nieopodal Shizuoki jest kopią Białego Domu. Liczne love hotels mają na dachu Statuę Wolności, inne - gigantyczne czarne goryle.

Nazwy są najróżniejsze: Cest La Vie, Utopia, Casa De Due (sic!), Epizod. Często pojawia się odniesienie do bieli: Biały Zamek, Królowna Śnieżka, Czysta Biel. Wiele ma tylko numer: najpopularniejszy to 69. I oczywiście mnóstwo pensjonatów nazywa się Amour, Amore i Liebe. Z kolei love hotel przy autostradzie między Tokio a Jokohamą wygląda jak brytyjski transatlantyk. Właściciel zaprosił na inaugurację brytyjskiego ambasadora, aby ten przeciął wstęgę, ale dyplomata wymówił się od udziału w imprezie, bowiem hotel nosi nazwę Queen Elizabeth II.

Nie ma dwóch takich samych love hotels, a w love hotel dwóch podobnych pokoi. Wszystkie są jednak wyposażone w to, czego Japończykom brakuje w domach: w szerokie łóżka i przestronne łazienki. Każdy pokój kopiuje klimat innych krajów i innych czasów: antycznego Rzymu, Japonii samurajów, Holandii tulipanów albo kolonii w przestrzeni kosmicznej. W Nogai jest nawet love hotel z sypialnią w stylu nazistowskich Niemiec. W Księciu Kwiatów Wiśni w Osace pokoje są urządzone na wzór gabine- 282 tu ginekologicznego. W love hotel w Gifu pewien pokój wygląda jak kort tenisowy. Wiele jest hoteli z asortymentem sadomaso- chistycznym: jeden z najbardziej znanych stoi w centrum Tokio, dokładnie za ambasadą radziecką. Z kolei w love hotel niedaleko miasta Kumagaya przez okna widać zachód słońca, świt, a potem kolejny zachód słońca, aby goście mieli wrażenie, że spędzili w pokoju dwadzieścia cztery godziny, niejedną.

Co do łóżka, może być ono wielką muszlą, mercedesem, karuzelą, środkiem dżungli albo repliką karety, jaką księżę Karol i lady Diana jechali do ślubu. Materace są powietrzne albo wodne, tańczą albo się kołyszają; niektóre mają wbudowane głośniki, „aby czuło się muzykę głęboko w ciele”. Są także łóża z czujnikami akustycznymi, które, gdy tylko westchnienia

albo okrzyki kobiety wzmagają się, zapalają czerwone światełka i uruchamiają znajomy komputerowy głosik, mówiący do mężczyzny: „Brawo! Udało ci się. Nie przestawaj!”

- Miłość musi być zabawą - twierdzi Shin Ami, architekt specjalizujący się w zarządzaniu love hotels. Dziesięć lat temu projektował wnętrza dla dzieci, teraz projektuje „zabawy dla dorosłych”, jak sam to określa.

W Japonii jest około pięćdziesięciu tysięcy love hotels: ponad cztery tysiące w samym Tokio. Stanowią one świetną inwestycję. Właścicielami wielkich sieci są banki, towarzystwa ubezpieczeniowe, a nawet świątynie buddyjskie i szintoistyczne. Nowy typ love hotels to „model rodzinny”, ze żłobkiem, w którym rodzice mogą zostawić dzieci, gdy udają się do sypialni. Niektóre łączą seks i sport. Inne jeszcze są stworzone dla grup... nawet do pięćdziesięciu osób. Społeczeństwo japońskie szybko się starzeje, a więc jest także sieć love hotels dla ludzi po sześćdziesiątce.

- Ważne, aby hotel nie przypominał domu publicznego - mówi architekt Ami. - Musi to być miejsce, o którym dziecko powie: „Kiedy będę duży, ja też chcę się tutaj bawić!”

Innym miejscem spotkań Japończyków, jeszcze bardziej dostępnym i tańszym, jest kawiarnia. Skopiowana z europejskiego pierwowzoru w epoce Meiji (pod koniec XIX wieku), kawiarnia 283

japońska to rodzaj trompe l'oeil, imitacja w miniaturze zamorskiego świata, którego każdy Japończyk pożąda, ale któremu w rzeczywistości nie śmie stawić czoła. W Japonii jest około stu pięćdziesięciu tysięcy kawiarni. Znajdziemy je na wszystkich ulicach, wokół dworców, w przejściach podziemnych, w wielkich sklepach, w drapaczach chmur, rozrzucone po wsiach, a wieczorem rozświetlone jak domki czarownic.

Podobnie jak w love hotels, w kawiarniach liczy się wierność oryginałowi. Raz mamy wrażenie, że przebywamy w Paryżu intelektualistów czasów Edith Piaf, innym razem - że jesteśmy w szwajcarskiej willi górskiej z zegarem z kukułką. W kawiarniach sieci Mozart usłyszymy muzykę wielkiego mistrza. Nawet nazwy słodczy wiążą się z kompozytorem. To samo dotyczy kawiarni Beetho- ven. Najskromniejsza sieć kawiarni Renoir jest tak pomyślana, aby sarari-man mógł uciąć tu sobie drzemkę, podczas gdy nowa sieć La Mille (sic!) kusi, zwłaszcza bogate panie, wyrafinowanym wnętrzem angielskiego salonu ze sztucznym kominkiem, obrazami olejnymi w złożonych ramach i sofami z białą koronką.

Menu, szczególnie w najdroższych kawiarniach, jest spisane zlepkim wszystkich języków europejskich, ale z przewagą słów francuskich. Na drzwiach eleganckiej kawiarni w dzielnicy Shinjuku można przeczytać napis złożonymi literami: Parlons un peu du cafe. Każda kawiarnia ma swoją małą bibliotekę z komiksami. Bierzymy kilka, czyścimy dłonie wilgotnymi serwetkami i usypiani jakąś muzyką, sączymy kawę, osiągając nareszcie spokój i wytchnienie.

Filizanka kawy jest droga (do pięciu euro), ale oczywiście nie płaci się za napój, lecz za luksus posiadania dla siebie odrobiny przestrzeni. Dla pracownika dojeżdżającego do pracy, mieszkającego na bardzo odległym przedmieściu, dla kobiet, które nie przyjmują przyjaciółek w salonie, bo go nie mają, kawiarnia stanowi wygodne i przyjemne pied-a-terre, gdzie można odetchnąć.

Drugim obok kawiarni obowiązkowym punktem dniajapończyka 284 jest rodzaj stojącego flippera, czyli pachinko (słowo to nic nie oznacza). Przekręca się gałkę i garście połyskujących stalowych kulek spadają z góry, przebiegają przez labirynt składający się z co najmniej trzystu gwoździków, rozmaitych przeszkód, światełek i znikają z ogłuszającym hałasem w kilku otworach. Jeśli kulka wpadnie do oświetlonego otworu, maszyna zwraca wygraną pod postacią kolejnych kulek do rozegrania. Kiedy kulki się kończą, można je tylko dokupić: za dwadzieścia cztery zapłacimy pół euro.

Wymyślone w Stanach Zjednoczonych w latach trzydziestych, a po wojnie reaktywowane w Nagoi (musiano coś zrobić z zapasem łożysk kulkowych z japońskich fabryk amunicji),

pachinko w zamyśle było grą dla dzieci. Dzisiaj jest symbolem rozrywki dorosłych Japończyków, rodzajem kultu narodowego, który wygrywa z pokusami telewizji, wideo i ustawami anty hazardowymi.

Japończycy" mówią z dumą, że pachinko to gra stuprocentowo japońska i że cudzoziemcy nie mogą jej zrozumieć. Nie mylą się. To, co dla cudzoziemca jest piekłem, Japończykom wydaje się bramą niebios. Od dziesiątej rano, kiedy salony pachinko podnoszą swoje żaluzje, do dziesiątej wieczorem, kiedy je opuszczają, setki tysięcy mężczyzn i kobiet spieszą do swojego magicznego małego bilardu, i tam, w najprzeróżniejszym hałasie, jakby byli w jakiejś obłąkanej fabryce, trwają nieruchomo, w uporządkowanych szeregach, każdy zahipnotyzowany automatem.

- Przy pachinko zapominam o wszystkim. Nie ma nic lepszego na stres - mówi Takako Doi, sekretarz generalny Japońskiej Partii Socjalistycznej, który ze względu na wielką namiętność do tej gry otrzymał od Narodowego Towarzystwa do Spraw Czasu Wolnego pierwszą nagrodę w kategorii kultura pachinko.

Dla Tamary Machi, najmłodszej i najbardziej popularnej japońskiej poetki (jeden z jej ostatnich tomików został sprzedany w dwóch milionach i czterystu tysiącach egzemplarzy), pachinko to rodzaj lustra naszej egzystencji. „Patrzę na biegnące kulki i czuję, że jestem jak one”, napisała.

Nasuwa się pytanie, czy pachinko nie odnosi takich sukcesów dlatego, że Japończykowi bardziej odpowiada towarzystwo 285

maszyny niż drugiego człowieka. Amerykański pisarz Donald Richie, mieszkający w Tokio od ponad czterdziestu lat, twierdzi, że „Japończyk widzi w automacie pachinko swojego tajemnego przyjaciela” i że łokieć w łokieć z setkami innych osób, z którymi jednak nie czuje potrzeby rozmawiać, przeżywa coś w rodzaju „zbiorowej samotności”.

Ogłuszeni odgłosami spadających kulek, wyciem „rozgorączkowanych” maszyn, głośnikami zachęcającymi, żeby grać dalej, militarnymi melodyjkami, osnuci migotliwym neonowym światłem, które pozwala zapomnieć, czy na zewnątrz jest dzień, czy noc, Japończycy wydają się osiągać stan absolutnego odklejenia od rzeczywistości.

-Pachinko to najpowszechniejsza metoda medytacji - mówi Donald Richie.

Coraz większe i coraz bardziej popularne, sale do gry w pachinko górują nad szarymi równinami miast jak kusocielskie katedry, w których oddaje się cześć szaleństwu.

Pachinko, kluby nocne, love hotels, kawiarnie, wideokluby, kluby telefoniczne, salony, onsen i lupanary: Japonia jest nie tylko niesłychanie wydajną machiną produkcyjną, lecz także gigantycznym parkiem rozrywki. Sekretu sukcesu ekonomicznego, który tak zdumiewa i przeraża resztę świata, należy może szukać i w tej kombinacji, w fakcie, że fundament systemu - przeciętny Japończyk - pracuje z takim zapalem i z takim poświęceniem, ponieważ na wyciągnięcie ręki ma zawsze iluzję ucieczki.

Wytwórnia marzeń, skuteczna jak wszystkie inne wytwórnice Japonii, oferuje mu nieprzerwanie nowe produkty, a każda z owych baniek mydlanych, odsuwając go od rzeczywistości, czyni bardziej znośnym jego nieznośne życie.

Na mapie wyspa wydawała się o krok od Japonii, ale w rzeczywistości była niedostępna. Przez całe dekady żaden obcokrajowiec nie zdołał postawić stopy na jej brzegu. To właśnie - poza historią wyspy - budziło we mnie pragnienie odbycia tej podróży. Poprosiłem o wizę w ambasadzie Związku Radzieckiego. Otrzymałem ją i spędziłem na Sachalinie trzy tygodnie. Sachalin: przeklęta wyspa

Jużnosachalińsk (Związek Radziecki), lipiec 1989

Widziany ze zdradzieckich fal morza, każdy skrawek ziemi zawsze jawił się żeglarzom jako wytchnienie, schronienie, nadzieja. Ale nie ta wyspa. Sachalin, leżący na wprost wybrzeża Syberii, na północ od Japonii, wyłania się z mlecznych oparów nad czarnymi falami Morza

Ochockiego niczym jakaś niepokojąca obecność, ciemny ogrom wiecznie zamglony i milczący.

Taką wyspa wydała się ponad tysiąc lat temu Chińczykom, którzy uznali ją za część swojego imperium i nazwali „ziemią błakających się diabłów”. Taką wydała się zachodnim odkrywcom, którzy nie śmiejąc przybić do jej brzegu, oznaczyli Sachalin na mapach pod nazwą „czarne skały”. Taką wydała się Rosjanom i Japończykom, kiedy dwieście lat temu zapuścili się tutaj, aby zdobyć jej ogromne zasoby naturalne. Wódz plemienia, które wówczas zamieszkiwało Sachalin, rzucił na intruzów klątwę: na tej ziemi nigdy nie zaznają szczęścia, z tej ziemi nigdy nic nie będą mieli.

Od tamtej pory Sachalin żył w cieniu sławy „przeklętej wyspy”. W połowie XIX wieku „wyspa na końcu świata” stała się miejscem zesłania tych, których carska Rosja określała jako swoje „ludzkie śmieci”. Kryminaliści wszelkiego typu, okrutni mordercy i szlachetni rewolucjoniści byli tu przywożeni na roboty przymusowe. 287

Żywiono nadzieję, że zdołają rozwinąć gospodarkę. Nie zdołali i Sachalin stał się synonimem koszmaru. Anton Czechow, który w 1890 roku, już chory na gruźlicę, przyjechał tu, aby przestudiować lokalny system karny, pisał o „miejscu nieopisanego cierpienia”. Tolstoj nazwał Sachalin „wyspą bólu”; pisarz Wasilij Doro-szewicz „wyspą stworzoną przez naturę w wybuchu wściekłości”. Europa drżała na sam dźwięk tej nazwy: Sachalin. Pewien gubernator nawet poprosił cara, aby zmienił jej nazwę, w nadziei, że nowy wizerunek wyspy przyciągnie kolonistów. Prośbę odrzucono.

W 1906 roku osławiona katorka została zlikwidowana, ale koszmar Sachalinu na tym się nie skończył. W latach trzydziestych w północnej części powstał gułag sowiecki i trafiły tu tysiące nieszczęśników, ofiar terroru stalinowskiego - skazanych na rozstrzelanie albo po prostu na zapomnienie. Jeszcze na początku lat pięćdziesiątych w mroźnej tajdze Sachalinu znajdowały się obozy pracy dla „wrogów ludu”. Praca tych więźniów politycznych polegała na wykopywaniu, często bez żadnych narzędzi, gołymi rękoma, tunelu pod pięcioma kilometrami morza oddzielającymi wyspę od kontynentu. Tunel do dzisiaj jest nieukończony, ponieważ po śmierci Stalina prace przymusowe zostały zakazane. Sachalin jednak nadal żył ze swoją klątwą, a jego nazwa nieodmiennie budziła przerażenie świata: w 1983 roku samolot południowokoreańskich linii cywilnych (lot KAL 007) został zestrzelony przez radziecki myśliwiec i zatonął w morzu u wybrzeży Sachalinu z dwustu sześćdziesięcioma pięcioma pasażerami na pokładzie.

Od 1945 roku cała wyspa (długości tysiąca kilometrów, szerokości stu pięćdziesięciu, z sześciuset czterdziestoma tysiącami mieszkańców) należy do Związku Radzieckiego, a jedyne połączenie z zewnętrznym światem zapewnia jej prom, który kursuje, nadal bardzo nieregularnie, między portem w Chołmsku a Wakkanai, najbardziej wysuniętym na północ miastem Japonii.

Podróżni, niezmiernie rzadko trafiający na Sachalin drogą mor- 288 ską (płynie się siedem godzin), widzą wyspę taką, jaką zawsze widzieli ją wszyscy wędrowcy: osnutą mgłą i tajemnicą, przywodzącą na myśl ubóstwo. Jednakowe rzędy biednych szarych domków schodzą ku zatoce, strzępy czerwonych sztandarów łopoczą na budynkach publicznych, slogany socjalistyczne bledną na pokrytych pleśnią fasadach domów stojących przy głównej drodze. Jedyne światła, jakie zapalają się o zachodzie słońca, to zielone, żółte i niebieskie neony w pustych witrynach domu towarowego. Wszystko jest ubogie, zakurzone, byle jak polatane. Tylko słowo Welcomel na urzędzie celnym zostało świeżo namalowane.

Sachalin dzieli od Moskwy dziesięć tysięcy kilometrów, ale pierestrojka i głośność dotarły także tutaj, i wyspa, która przez dziesięciolecia była ziemią zakazaną, zamkniętą dla obcych, nagle się otwiera, próbuje wyjść z izolacji i nawiązać kontakty ze światem. Obecnie jako jedyni są nią zainteresowani Japończycy - odwieczni przeciwnicy Rosjan w tej części świata. I tak zaczyna się nowy rozdział pewnej starej historii.

Rosjanie i Japończycy walczą o Sachalin od dwustu lat. Bajeczne zasoby wyspy i jej strategiczne położenie zawsze były pokusą. Dla Rosjan posiadanie Sachalinu oznaczało zakończenie ekspansji terytorialnej w kierunku wschodnim, ku Oceanowi Spokojnemu. Dla Japończyków z kolei oznaczało dołączenie dużego terytorium, praktycznie bezludnego, do małego i przeludnionego archipelagu. Pierwsza batalia o Sachalin odbyła się między Rosjanami a Japończykami w 1806 roku. Od tamtej pory wyspa wiele razy przechodziła z rąk do rąk. W latach 1855-1875 Rosjanie i Japończycy dzielili ją między siebie, a od 1875 roku Rosjanie byli jedynymi panami Sachalinu. W 1905 roku, po porażce rosyjskiej podczas historycznej bitwy morskiej pod Tsushimą, Japonia odzyskała południową część wyspy - do pięćdziesiątego równoleżnika - i nazwała ją Karafuto.

Karafuto stała się dla Tokio „nową granicą”, terytorium, które trzeba było dopiero ukształtować. W latach 1905-1945 Japończycy wszelkimi środkami nakłaniali swoich kolonistów do imigracji, poczynili wielkie inwestycje, rozwinęli miasta, zbudowali 289 pierwsze koleje i pierwsze fabryki. Podczas gdy japoński Sachalin stał się częścią nowoczesnego świata, ów północny, kontrolowany przez Moskwę, pozostał tym, czym był: enklawą średniowiecza.

W tamtym okresie zarówno Tokio, jak i Moskwa nadal uważały podział wyspy za fakt wyłącznie przejściowy. Rosjanie czekali tylko na okazję, aby zepchnąć Japończyków do morza, a z kolei Japończycy próbowali za wszelką cenę zdobyć także północną część wyspy. Raz siłą, innym razem pieniędzmi. W obu wypadkach bez powodzenia. Japończycy do tego stopnia martwili się

o swoje bezpieczeństwo na Karafuto, że każdy obcokrajowiec, jaki odważył się tu przybyć, był dniem i nocą pilnowany przez policję - relacjonuje Fosco Maraini, florencki poszukiwacz przygód, badacz kontynentu azjatyckiego, który w 1939 roku zdołał odwiedzić wyspę.

O mały włos druga wojna światowa w Azji nie zaczęła się na Sachalinie. W 1941 roku wysokie dowództwo cesarskiej armii japońskiej badało szansę zaatakowania Związku Radzieckiego poprzez pięćdziesiąty równoleżnik. Dopiero później Japonia postanowiła uderzyć w Pearl Harbor i ruszyć na azjatycki południowy wschód.

Choć się nie rozpoczęła, wojna dobiegła końca na Sachalinie. Kiedy Japończycy byli już na kolanach, praktycznie pokonani przez dwie amerykańskie bomby atomowe zrzucone na Hiroszimę i Nagasaki, Sowieci przekroczyli granicę i w kilka dni odebrali Japonii zarówno Karafuto, jak i Wyspy Kurylskie. Czteryście tysięcy Japończyków, osadników z Sachalinu, zostało wygnanych

1 zastąpionych przez obywateli radzieckich. Wyspę zamknięto. Od 1945 roku nikt nie dotarł na Sachalin bez specjalnego pozwolenia. Nikt nie mógł go opuścić. Wśród ludzi, którzy znaleźli się w pułapce, były czterdzieści trzy tysiące Koreańczyków przemocą przywiezionych przez Japończyków z ich ówczesnej kolonii do pracy w kopalniach. Ci, co jeszcze nie umarli, żyją tam nadal: za-
290 pomniani jeńcy drugiej wojny światowej.

Dla Związku Radzieckiego Sachalin miał od 1945 roku wielkie znaczenie militarne. Wyspa służyła jako tarcza Flocie Wschodniej z bazą we Władywostoku i pozwalała na obserwację amerykańskich baz wojskowych na Hokkaido, stając się w ten sposób jednym z najwrażliwszych terenów pogranicza między „wolnym światem” a światem komunistycznym. Zestrzelenie KAL 007, może ostatni dramat zimnej wojny, było związane ze strategicznym położeniem wyspy. Samolot, który zszedł z kursu, przelatywał nad najściślej strzeżonymi instalacjami sowieckimi i został „automatycznie” zestrzelony.

- Tego dnia sądziliśmy, że wybuchła trzecia wojna światowa - opowiada mi Aleksandr Fiodorow, urzędnik z wyspy. - Dziś jest nie do pomyślenia, aby zdarzyło się coś podobnego.

Polityka Gorbaczowa i jego nowa doktryna wojskowa ograniczyły znaczenie Sachalinu do bazy wsparcia strategicznego ZSRR na Pacyfiku. Najistotniejsze instalacje zostały już

przeniesione na półwysep Kamczatka na północnym wschodzie kraju. Restrykcje związane z podróżowaniem po Sachalinie właśnie zostały zniesione. Zagraniczni turyści i inwestorzy są teraz mile widziani.

- Nie mamy już tajemnic - mówi Walerij Biełonosow, główny ideolog partii komunistycznej na Sachalinie. - Jesteśmy gotowi do współpracy z każdym i na każdym polu.

Otwierając Sachalin, Rosjanie przyznają się do porażki i proszą, bardzo dyskretnie, o pomoc. Po czterdziestu czterech latach nieprzerwanego zarządu Sowietów wyspa jest ubogą i zapóźnio- ną prowincją, miejscem, nad którym wisi katastrofa ekologiczna, gettem nieufnych ludzi, więźniów własnych niepowodzeń i rozczarowań. I pomyśleć, że Sachalin to przecież wyspa skarbów! Jej ziemia rodzi wszystko: fosfor, żelazo, złoto, srebro, wolfram, rtęć, nie licząc wielkich złóż ropy i węgla. Jej morza i rzeki należą do najbardziej obfitujących w ryby na świecie, jej lasy do najbuj- niejszych. A jednak starodawna klątwa wydaje się sprawdzać, ponieważ z tych wszystkich bogactw naturalnych ani wyspa, ani jej mieszkańcy nigdy nic dla siebie nie mieli.

Warunki życia ludności pozostały prymitywne. Wyspa jest pozbawiona infrastruktury. Depliant rządu szczyci się trzema i pół tysiąca kilometrów dróg, ale to przeważnie wyrównane ścieżki, nieprzejezdne dla samochodów. Nad drogą prowadzącą ze stolicy do miasta Poronajsk na północy unoszą się bez przerwy tumany kurzu. Rosjanie - jak młody kierowca dzipa, który mnie wiezie - pocieszają się, mówiąc, że droga jest jak język teściowej: długa, pokrętna i brudna.

W tym samym depliant czytamy, że wyspa posiada tysiąc kilometrów drogi żelaznej. Nie pisze się w nim jednak, że każda z trzech linii ma różny rozstaw kół, że żaden z owych rozstawów nie jest identyczny z istniejącym na kontynencie i że linia główna została skonstruowana przez Japończyków. Na wagonach nadal widnieje napis MADE IN JAPAN i zabawnie wyglądają korpulentni rosyjscy podróżni siedzący w małych przedziałach zaprojektowanych dla filigranowych pasażerów. Nie istnieje jeszcze połączenie kolejowe między głównymi miastami. Komunikacja lotnicza jest niesłychanie prymitywna i niepewna.

Nawet Nogliki (pięćset pięćdziesiąt kilometrów na północ od Jużnosachalińska), jedno z głównych centrów naftowych na północno-wschodnim wybrzeżu wyspy, nie ma lotniska, a mały samolot śmigłowy linii krajowych musi lądować na zwykłym pasie piasku. W drewnianym domku, który służy za terminal, pasażerowie są zapraszani do poczęstowania się filiżanką gorącej herbaty i zimnym kotлетem.

Co do miast, nie posiadają one kanałów ściekowych, a większość domów nie ma bieżącej wody. Stolica, Jużnosachalińsk (Toyohara dla Japończyków), to nędzny obóz pracy, zimą przygnieciony śniegiem, latem wszędobylskimi chwastami. Ocha, najdalej wysunięta na północ miejscowość na Sachalinie i główny ośrodek produkcji gazu i ropy, przypomina scenografię horroru. Kiedy wieje wiatr, miasto pokrywa piasek, kiedy pada, jego ulice 292 zmieniają się w potoki. Nad szarą niziną drewnianych domów poruszają się czarne ramiona pomp ropy, jak czułki gigantycznego insekta, który przybył z innego świata.¹⁵

-A gdzie jest centrum? - pytam towarzyszącego mi sekretarza partii.

- Tutaj - odpowiada.

Jak we wszystkich innych miejscowościach zbudowanych przez Sowietów na Sachalinie, centrum jest po prostu tam, gdzie ulica Komunizmu krzyżuje się z ulicą Rewolucji, przy placu, który musi nazywać się placem Lenina.

Jużnosachalińsk jest szary i przygnębiający. Bardziej niż na stolicę „wyspy skarbów” wygląda na symbol sowieckiej porażki na Sachalinie.

- Pracowaliśmy i produkowaliśmy bez wytchnienia, ale nasze życie na tyrrr ucierpiało - wyjaśnia Wasilij Czesalin, redaktor naczelny „Czerwonego Sztandaru” (nakład: siedem tysięcy siedemset egzemplarzy), gazety z Aleksandrowska - byłej stolicy Sachalinu carskiego i nadal jedynej miasta wyspy, które ma odrobinę uroku.

Sachalin naprawdę produkował bardzo dużo. I wciąż produkuje. Jedna piąta wszystkich ryb zjadanych w Związku Radzieckim jest łowiona właśnie tutaj. Cały sławny czerwony kawior pochodzi stąd. Papier we wszystkich zeszytach, w których piszą dzieci w szkołach od Uralu po Syberię, powstaje tutaj, tak samo papier, na którym są drukowane wszystkie gazety Związku Radzieckiego. Węgiel, gaz i ropa naftowa z Sachalinu ogrzewają wszystkie miasta nad Morzem Ochockim, służą wszystkim hutom stali na Syberii, jak również trzymają przy życiu i na chodzie sowiecką flotę dalekowschodnią.

Przez ponad czterdzieści lat Sachalin musiał rezygnować ze swoich bogactw na rzecz kontynentu: pięć milionów ton węgla rocznie, trzy miliony metrów sześciennych drewna, dwa i pół

miliona ton ropy naftowej. Do tego trzeba dodać dwa miliardy metrów sześciennych gazu, które obecnie są wysysane z Sachalinu przez rurociąg liczący pięćset siedemdziesiąt kilometrów, przechodzący pod Cieśniną Tatarską i prowadzący na stały ląd.

Ze wszystkich tych skarbów na Sachalinie nie pozostały chyba nawet okruszki. Oczywiście zostały za to szkody.

- Sachalin był ekologicznym rajem, teraz jest piekłem - twierdzi Witalij Gulij, trzydziestosześcioletni dziennikarz z Jużnosa- chalińska niedawno wybrany do parlamentu, na miejsce tradycyjnie należące do lokalnego sekretarza partii komunistycznej.

Nadmierna eksploatacja wyspy zniszczyła jej najcenniejszy skarb: naturę. Na północy wydobycie ropy zmieniło habitat morski i ani jedna ryba nie żyje już w całej zatoce Urkt. Szpic dalekiej północy, Półwysep Szmidta, sławny z powodu swojej tundry, wciąż niezamieszkałej, a po części jeszcze niezbadanej, jest teraz zagrożony wielkimi plamami ropy z platform wiertniczych. Na południu wyspy wody niemal wszystkich rzek zostały zanieczyszczone odpadami z fabryk papieru. Lasy ogromnie ucierpiały z powodu niekontrolowanej wycinki.

Droga z Poronajska do Tymowska, w sercu wyspy, przecina wzgórze - niegdyś zadrzewione, a dziś zasmucająco nagie. Nieco dalej na wschód ciągnie się, dziś w całości pokryte czarnym popiołem, dwieście dwadzieścia tysięcy hektarów lasu pochłoniętego przez ogromny pożar, który wybuchł na początku czerwca. Podsycone przez gwałtowny wiatr płomienie biegły tygodniami przez doliny i góry z prędkością sięgającą niekiedy pięćdziesięciu kilometrów dziennie. Interwencja dwóch tysięcy żołnierzy i stu pięćdziesięciu buldożerów w końcu pozwoliła otoczyć i opanować to piekło. Władze martwią się teraz nie tylko stratą w drewnie, lecz skutkami pożaru w dalszej perspektywie. Połowa wszystkich danieli na północy zginęła w płomieniach, a łososiom z regionu grozi wielkie niebezpieczeństwo.

-Jeśli nie ma lasu, nie ma łososa - tłumaczy mi pani Zoja Ja- 294 kunina, ichtiolożka pracująca na wyspie. Przez pożar spadł poziom wód w regionie i łososie, które właśnie teraz powinny płynąć w górę rzek, umierają.

Czerwony kawior z ikry łososa z Sachalinu jest najslawniejszym produktem wyspy. Ryba rodzi się w zimnych rzekach, płynie do morza, gdzie pozostaje przez trzy lub cztery lata, a potem, kiedy osiąga dojrzałość, w zdumiewający sposób wraca do ujścia rzeki, z której wyruszyła, przepływa jej bieg, składa ikrę i umiera. Martwymi łososiami żywią się odwieczni mieszkańcy wyspy: sachalińskie niedźwiedzie.

Jeszcze niedawno łososie żyły w sześćdziesięciu rzekach wyspy. Teraz w ich połowie nie ma już ryb. Wody są tak zanieczyszczone, że kiedy łosoś zbliża się do ujścia, aby wrócić do rzeki, robi w tył zwrot i zostaje w oceanie, przerywając w ten sposób łańcuch reprodukcji.

W Poronajsku, mieście fia wybrzeżu zachodnim z dwudziestoma czterema tysiącami mieszkańców, nawet morze nie pachnie już morzem: spienione fale w kolorze okropnej żółci uderzają o szarą plażę usłaną odpadkami. Wielka fabryka papieru, z której żyje miasto, wypływa dzień i noc czarny dym i pieniające się płyny, które zatruwają duży obszar oceanu.

Mieszkańcy nazywają Poronajsk „cuchnącym miastem”. Wieczorami na nieoświetlonych ulicach słychać jedynie wycie bezdomnych psów i wrzaski pijaków, którzy zabawiają się rozbijaniem pustych butelek o ściany. Dwa razy w miesiącu wynędzniali brodaci mężczyźni o zaczerwienionych twarzach wychodzą ze swoich ciemnych ruder i ustawiają się w kolejce po państwowo rozdzielany alkohol. Obecny przydział to dwie butelki na głowę miesięcznie. Nielegalne destylarnie odpowiadają na resztę zapotrzebowania. Jest ich ponoć około trzystu na wyspie.

Alkoholizm, kradzieże, prostytutka i wandalizm to bolączka wszystkich miast Sachalinu. Wyspa jest kulturalną pustynią. Nie ma uniwersytetu. Brakuje miejsc w przedszkolach i w szkołach średnich. Kilka kin i parę sal wideo to jedyne istniejące rozrywki. Młodzież się nudzi. Do najpopularniejszych sposobów zabijania

czasu w mieście takim jak Jużnosachalińsk należy rozbijanie szyb w budkach telefonicznych.

Moskwa nadal opisuje Sachalin jako „kraj, w którym jada się kawior łyżkami” i nakłania swoją ludność do imigracji, jednak nikt nie ma już ochoty osiedlać się tu i pracować. Rząd zainwestował na Sachalinie niewiele albo nic z tego, co wydobył. Wyspa produkuje ropę, ale nie ma ani jednej rafinerii. Daje ryby i drewno, ale nie ma nawet przemysłu, który zająłby się ich obróbką. „Jesteśmy prawdziwą kolonią, wykorzystywaną przez kontynent”, mówi Walerij Paresławczow, historyk, który na początku roku odszedł z partii komunistycznej po dwudziestu latach.

Na Sachalinie uczucie solidarności nie rodzi się, jak to ma miejsce w innych częściach ZSRR, ze wspólnych korzeni, lecz ze wspólnego losu.

- To dziwna siła, która nas jednoczy - mówi Diana Urina, szefowa gazety z Ochy. - Siła, która powstaje ze wspólnego znoszenia udrek ciężkiego życia.

Na Sachalinie każdy życiorys wydaje się skrywać tajemnicę.

- Zawsze gdy pytam ojca o powody jego przyjazdu na wyspę, odpowiada mi, że takie były okoliczności - mówi szesnastoletnia dziewczyna z Aleksandrowska. Wciąż jeszcze nie zrozumiała, dlaczego przypadło jej w udziale urodzić się na Sachalinie. W Jużno-sachalińsku mieszka pewien człowiek, którego wszyscy nazywają „Włochem”, ale on sam nie potrafi powiedzieć, czemu nazwisko jego rodziny brzmi Graziano.

Z sześćset czterdziestu tysięcy mieszkańców tej wyspy większość przybyła właśnie w wyniku nieszczęśliwych „okoliczności”. Sachalin to azjatycka plaża, na którą zostali wyrzuceni rozbitkowie z wielu europejskich katastrof: Żydzi uciekający przez Harbin i Szanghaj, „biali” Rosjanie, Polacy i wielu Niemców. Pierwszymi obcymi, jacy zapuścili tutaj korzenie, byli rosyjscy więźniowie skazani na dożywocie, w większości bandyci i mordercy, zesłani na tę odległą wyspę, ponieważ, jak mówiono, stąd nigdy nie

296
Morze, mgłę, mróz, tajgę, niedźwiedzie, muchy, głód uważano za niezrównanych strażników więziennych. I nie bez powodu.

Od 1859 roku statki pełne skutych łańcuchami skazańców odpływały z portu w Odessie i dobijały po miesiącach wyniszczającej podróży przez pół świata - przez Suez, Cejlon, Singapur i Hongkong - do plaż w Due, niedaleko Aleksandrowska. Tam więźniowie byli segregowani do pracy w kopalniach węgla. Nadal można oglądać drążone przez nich tunele. Na przylądku Żonkjer znajduje się spiżowy dzwon z 1851 roku, który pewien car zesłał na Sachalin, ponieważ zawinił obwieszczeniem swoimi uderzeniami złej wiadomości Petersburgowi.

Skazani żyli i pracowali w okowach. Mieszkali w nieludzkich warunkach w wilgotnych i przepełnionych chatkach. Za każdy przejaw nieposłuszeństwa byli chłostani albo przywiązywani do swoich tacek. Uciekiniere - który został ujęty, miał gołą połowę głowy, aby wszyscy mogli go rozpoznać. Podczas swojej wizyty w 1890 roku Czechow zauważył, że na Sachalinie zakuwa się w kajdany nie tylko istoty ludzkie, lecz także kury i świnie. Odgłos

wlokących się łańcuchów i żelaznych kul prześladował go nawet po powrocie do Moskwy. To były najbardziej ponure czasy Sachalinu.

Po odbyciu kary więzień, który zdołał przeżyć, był wypuszczany. Dawano mu siekiere, piłę, kilka ziemniaków, garść ziarna i tyle ziemi, ile potrafił odlesić i obrobić.

Kobiety były tak cenne - w 1887 roku na siedem tysięcy mieszkańców przypadało ich jedynie siedemset - że więźniarki przysyłane z Rosji na katorgę zamawiali jeszcze przed przybyciem statku urzędnicy lokalnej administracji i dozorca. Także więźniowie, którzy zachowywali się poprawnie, mogli liczyć na taką nagrodę. Kobiety często mordowały niechcianych „małżonków”, w nadziei, że następnym razem będą miały więcej szczęścia. Te, które naiwnie podążyły za swoimi mężczyznami na Sachalin, zostawały prostytutkami, aby przeżyć. Dzieci spłodzone w takich okolicznościach, zwłaszcza dziewczynki, były cenionym dobrem. 297

- Mój ojciec miał dwadzieścia osiem lat, ale żona, która mu przypadła, już pięćdziesiąt - opowiada mi Grigorij Kucerenko, stary rybak z Aleksandrowska. - Kiedy statek z nowymi więźniami wszedł do portu, mężczyźni przybyli przed nim dokonali wyboru i najlepsze więźniarki zostały rozdzielone.

Ojciec rybaka się nie poddał. Po kilku latach, gdy tylko usłyszą[^] że przypląwa nowy statek, pożyczył konia od kolegi, dotarł do portu przed wszystkimi i znalazł sobie zaledwie siedemnastoletnią dziewczynę. Urodziła mu szesnaścioro dzieci, między innymi także Grigorija. Prawie wszyscy mieszkańcy Aleksandrowska - w tym burmistrz - są potomkami skazańców.

Czechow spędził na wyspie trzy miesiące, chcąc przyjrzeć się katordze. Jego książka Sachalin, opublikowana w 1895 roku, przyczyniła się do zniesienia tego systemu więziennego.

Dla kierownictwa sowieckiego Czechow jest nadal niewygodną postacią. Choć wyspa ma Górę Czechowa i wiele szkół (a nawet jeden klub) nosi jego imię, dzieła pisarza są praktycznie nieznane.

- Czechow to symbol praw człowieka, a jako taki jest niewygodny dla partii - mówi Walerij Czesalin, przywódca Ruchu Czechowa, którego czterystu sześćdziesięciu członków żąda demokratyzacji życia politycznego na wyspie.

W okresie terroru stalinowskiego, między rokiem 1936 a początkiem lat pięćdziesiątych, tysiące osób zniknęły z Sachalinu, ale dopiero w ostatnich miesiącach głośno ujawniła tę ranę.

Gdzie są groby naszych ojców?

Jak policzymy
ciała w gęstym lesie?

Poła milczą,
dziś nareszcie możemy wypełnić
te puste lata.

Głośno jest jak bicie dzwonów 298 - pisze młody poeta z Aleksandrowska w gazecie partyjnej.

W Górnym Armudanie, w dolinie między Aleksandrowskiem a Tymowskim, dwaj młodzi badacze z Ruchu Czechowa próbują odnaleźć masowe groby, w których pochowano od sześciu do dziesięciu tysięcy rozstrzelanych więźniów. W Górnym Armudanie mieścił się nie tylko stalinowski obóz zagłady, lecz także ośrodek radzieckiego kontrwywiadu. Antena radiowa, która podczas drugiej wojny światowej odbierała wiadomości od Richarda Sorgego, szpiega sowieckiego w Tokio, nadal stoi.

Pierestrojka i głośno jakby wyrwały Rosjan z Sachalinu z letargu. Mieszkańcy nagle dostrzegają wszystkie bolączki wyspy, ale także środki zaradcze. Sowietci nie mają technologii, aby eksploatować złoża gazu i ropy niedawno odkryte na północy wyspy;

Japończycy ją posiadają i potrzebują obu surowców. Sowieci chcą przeobrazić swoje anachroniczne fabryki papieru na Sachalinie w nowoczesny i mniej zaturawający środowisko przemysł; Japończycy są w tej dziedzinie specjalistami. Co więcej, fabryki, które trzeba zmodernizować, zbudowali właśnie oni, ponad pięćdziesiąt lat temu. Turystyka mogłaby szybko zasilić Sachalin obcą walutą, a Japończycy stworzyliby na wyspie infrastrukturę hotelową.

Japonia! Japonia! Każda miejscowość, każda fabryka na Sachalinie wydają się pokładać swoje nadzieje w Japonii. I słusznie. Moskwa jest oddalona o dziesięć tysięcy kilometrów, podczas gdy Hokkaido, najdalej wysunięta na północ wyspa archipelagu, leży zaledwie czterdzieści cztery kilometry od południowego krańca Sachalinu.

- Jesteśmy jak dwie osoby, które mieszkają w dwóch pokojach tego samego mieszkania - mówi Fiodor Chrustalew, redaktor naczelny „Sowieckiego Sachalińska”. - W przeszłości to sąsiedztwo było niebezpieczne, dzisiaj może przynieść ogromną obopólną korzyść.

Dla Sowieców postrzeganie Japonii jako wielkiej nadziei jest upokarzające. Przez czterdzieści cztery ostatnie lata metodycznie zacierali na Sachalinie każdy ślad, każde nazwisko, każdy budynek, które przypominałyby dawną obecność Japończyków. 299 W Jużnosachalińsku stara świątynia szintoistyczna stała się fabryką tekstylną, dawny bank japoński jest dzisiaj salą wystawową.

Poza pomnikami Lenina jedynymi posągami, jakie Sowieci postawili na Sachalinie, są te upamiętniające „chwalebne wyzwolenie spod japońskiego jarzma w 1945 roku”. Czołgi, karabiny maszynowe i działa ustawione na betonowych postumentach w różnych punktach wyspy przypominają o zwycięstwie. Dzisiaj Sowieci muszą z pokorą przyznać, że Japończycy, pokonani przed czterdziestoma czterema laty, zrobili po wojnie o wiele większe postępy niż oni. Jest to nawet tematem żartów.

- AIDS to dzuma XX wieku. Uratują się jedynie Rosjanie z Sachalinu i Japończycy - mówi funkcjonariusz rządowy z Sachalinu, czekając, bym zapytał: „A dlaczego?” - Ponieważ my żyjemy jeszcze w XIX wieku, a Japończycy już w XXI!

Japonia przyjmuje z wielkim zainteresowaniem pierwsze próby nawiązania kontaktu z strony Sachalinu. Wakkanai, miasto na najdalej wysuniętym na północ krańcu wyspy Hokkaido, za Cieśniną La Perouse'a, odczuwa nostalgię za starą Karafuto. Miasto, które wyrosło i prosperowało dzięki okupacji japońskiej na wyspie, od 1945 roku cierpi z powodu izolacji. Miejskie muzeum jest poświęcone kolonizacji japońskiej Sachalinu, lokomotywa, która przebyła trzy miliony kilometrów, aby przetransportować na wyspę ludzi i maszyny, dziś stoi zabetonowana w porcie. Główna świątynia szintoistyczna w mieście nazywana jest „bramą na północ”, a Japończycy modlą się w niej, aby owa brama znów została otwarta. Na wybrzeżu stoi pomnik ku czci dziewięciu telefonistek japońskich, które 24 sierpnia 1945 roku, kiedy Sowieci zdusili opór Japończyków na wyspie, odebrały sobie życie. Ich ostatnie słowa zostały wryte w kamieniu: „Bracia i siostry, przyszedł koniec. Sayonara!”

Japończycy pielgrzymują do Wakkanai i z wieży obserwacyjnej, zbudowanej na najwyższym wzniesieniu, śledzą horyzont z nadzieją, że wypatrzą odległą sylwetkę zakazanej wyspy. „W bezchmur- 300 ne dni wydaje się, że można dotknąć jej ręką”, mówi strażnik.

Prom, którym dostałem się na Sachalin, jako pierwszy popłynął na starej trasie przez Cieśninę La Perouse'a. Wypełniali go Japończycy, którzy w przeszłości żyli na Karafuto. Setki mieszkańców Wakkanai zebrały się na molo, życząc pomyślnej podróży. „Banzai! Banzai!” - „Niech żyje!”, krzyčeli ludzie, machając na pożegnanie.

Powoli Japończycy znów kładą rękę na Sachalinie. Tokijscy biznesmeni ruszyli z pierwszymi spółkami joint venture w branży rybackiej, a w Chołmsku wielką atrakcją jest nowo otwarta japońska restauracja. Rosjanie ustawiają się w kolejce, aby wydać jedną trzecią swoich miesięcznych pensji na posiłek, który uważają za raj dla podniebienia. Młodzi akademicy japońscy dołączają do pierwszych grup turystycznych, aby zaktualizować badania

dotyczące wysp/. Trudności nie robią już Sowieci, lecz rząd w Tokio, który chce uzależnić ściśle współpracę gospodarczą z Sachalinem od jednego warunku: Sowieci muszą oddać Japonii cztery Wyspy Kurylskie zagarnięte w 1945 roku.

Wpadłem na pomysł tego artykułu, kiedy przyjaciel podarował mi bonsai, karłowate drzewko, i powiedział: - W Japonii robią to samo z ludźmi. Formując ich i przycinając, sprawiają, że wszyscy rosną zgodnie z oczekiwaniami.

szkoła: małe tresowane foki

Tokio, luty 1990

Wielką tajemnicę japończyków kryją ich fabryki. Tutaj należy szukać przyczyn sukcesu ekonomicznego: w precyzji, w wydajności, z jaką produkują. A fabryką, która odniosła największy sukces, jest ta produkująca samych Japończyków: szkoła.

Każdego roku ze zautomatyzowanych linii montażowych systemu szkolnictwa schodzi dwadzieścia osiem milionów chłopców i dziewcząt. Jak wszystkie produkty japońskie, ci młodzi ludzie są najwyższej jakości i można mieć do nich pełne zaufanie. Jednocześnie jednak są wystandaryzowani, bez indywidualności, jak wszystkie przedmioty wytwarzane seryjnie.

Obowiązek szkolny w Japonii trwa dziewięć lat. 94 procent Japończyków dociera do szkół średnich, 36 procent zapisuje się na studia. Rezultaty działania tej fabryki są budujące. Mimo skomplikowanego języka - wyklada się tu, na przykład, trzy różne systemy pisma - wszyscy potrafią czytać i pisać. Uczniowie są świetni w rachunkach: na międzynarodowych konkursach matematycznych regularnie zajmują pierwsze miejsce. Także z muzyką dobrze sobie radzą. Wśród uczestników dopuszczanych do warszawskiego Konkursu Chopinowskiego przynajmniej jedna czwarta to zawsze Japończycy. Niemal żaden nie dociera jednak do finału.

- Nie można ich odróżnić - wytłumaczył mi niedawno jeden z jurorów. - Wszyscy grają tak samo.

W Japonii szkoła to najpewniejsza droga do kariery, toteż każdy Japończyk od małości jest przymuszany do nauki. Jedną trzecią dzieci rodzice posyłają do szkoły w wieku trzech lat, połowę w piątym roku życia.

- Dwudziestoletni Japończyk jest zdyscyplinowany, posłuszny i okazuje szacunek władzy - mówi pisarz Shuichi Kato. - Szkoła ma niesłychaną skuteczność: potrafi przeobrazić małe istoty ludzkie w tresowane foki.

Zdaniem niektórych ekspertów system edukacji, który nieprzerwanie, w błyskawicznym tempie produkuje pilnych i uległych Japończyków, jest podstawą stabilności kraju, a „cud gospodarczy” powojnia ma swoje korzenie w „cudzie edukacyjnym”. Natomiast według innych specjalistów, pięta achillesowa japońskiego giganta to właśnie szkoła - wychowująca ludzi niezdolnych stawiać czoło problemom przyszłości.

- Jeśli nie zaprzestaniemy jak najszybciej tej masowej produkcji robotów drugiej kategorii, Japonia nie będzie miała czego szukać w następnym stuleciu - mówi mi Naohiro Amaya, były zastępca szefa Ministerstwa Handlu Zagranicznego i Przemysłu, a dzisiaj jeden z dyrektorów kolosa reklamowego Dentsu. - Coraz bardziej potrzebujemy młodzieży kreatywnej, z wyobraźnią, ale szkoły nadal nam dają coś dokładnie przeciwnego.

Choć sami zaniepokojeni Japończycy dyskutują o minusach swojej edukacji, wielu obcokrajowców wciąż jest wpatrzonych jak w obrazek w japoński system nauczania. Niektórzy proponują nawet przeniesienie pewnych jego elementów do naszych krajów. Niedawno przeprowadzone amerykańskie badania definiują szkołę japońską jako „bardzo skuteczną i demokratyczną”.

- Uważają ją za demokratyczną, ponieważ każdemu dziecku aplikuje się identyczny typ edukacji. A w rzeczywistości ta forma egalitaryzmu to nowy totalitaryzm - twierdzi Steven Platzer,

pedagog z Uniwersytetu Chicagowskiego, obecnie pracujący na Uniwersytecie Tokijskim.

Nie można oprzeć się wrażeniu, że uczniowie japońscy to surowo kontrolowana zbiorowość pod nieustającą presją. Kiedy wychodzą rano ze stacji metra, zawsze w ciemnych mundurkach, najmłodszy z tornistrami na plecach, potem zaś ustawiają się karnie w szereg, na baczność, na dziedzińcach szkół, przywodzą na myśl małych żołnierzy.

Każda szkoła ma swój mundur. Wszystkie są wzorowane na modelu pruskim, który Japonia przyjęła w XIX wieku, kiedy dążący do modernizacji kraj postanowił skopiować wszystko, co mógł, od Zachodu: ciemnoniebieska plisowana spódnica z marynarską koszulą dla dziewcząt, czarne spodnie z marynarką z guzikami aż pod szyję dla chłopców. Berety nie różnią się od tych, jakie były w modzie w Niemczech za czasów Bismarcka.

Każda szkoła ma swój regulamin. Przestrzeganie go jest obowiązkowe, a uwzględnia on najdrobniejsze szczegóły: od długości spódnic do wielkości teczek i koloru skarpetek. Chłopcy muszą mieć włosy obcięte najeża i ukrywać je pod beretem; dziewczynki nie mogą ani ich farbować, ani robić sobie trwałe. Jeśli dziewczyna ma naturalnie kręcone włosy albo w odcieniu innym niż kruczoczarny, typowy dla większości Japończyków, zawsze nosi z sobą stosowne zaświadczenie wyjaśniające jej „anomalie”. Jedna ze szkół uchwaliła na przykład, że buty do gimnastyki muszą mieć dwanaście dziurek na sznurowadła, inna - że dziewczynom wolno nosić wyłącznie białe majtki. Matka pewnego chłopca z Tokio, który podczas wycieczki szkolnej do Nary, oddalonej o trzysta siedemdziesiąt kilometrów od stolicy, został zauważony w spodniach nieco węższych niż przepisowe, musiała jak najszybciej dostarczyć mu parę o regulaminowym kroju. Inaczej zostałby ukarany.

Nieposłuszeństwo karane jest różnie, w zależności od szkoły, ale często są to kary fizyczne, zawierają jakąś formę przemocy.

304 Przypadek profesora, który przyszedł do domu uczennicy, aby zasugerować jej, że powinna przebić się nożem kuchennym po tym, jak została nakryta na paleniu papierosów, jest oczywiście wyjątkowy, ale prasa nieustannie mówi o przemocy w szkołach. Według niedawno przeprowadzonego sondażu Ministerstwa Edukacji jeden uczeń na trzech w szkole średniej otrzymał karę fizyczną. 70 procent ukaranych odniosło jakieś obrażenia. Pewien oburzony nauczyciel licealny napisał do gazety „Asami”, aby opowiedzieć, że widział w swojej szkole „chłopców, którym ogolono głowę, policzkowanych i zamykanych w szafkach przebieralni”.

Co najmniej pięcioro nastolatków w ostatnich dwóch latach zmarło w wyniku przemocy w szkołach, ale mimo protestów części rodziców kary cielesne, choć nielegalne, na ogół są akceptowane.

- Rodzice też byli bici w dzieciństwie i uważają, że nauczyciel, który bije, angażuje się w swoją pracę - tłumaczy Kenichi Nagai, założyciel grupy obywatelskiej na rzecz obrony praw dzieci.

W Japonii konformizm jest uważany za wielką cnotę. Jednostkę bardzo wcześnie poddaje się naciskom, żeby się podporządkowała, żeby nie zakłócała „społecznej harmonii” indywidualistycznymi zachowaniami.

„Powierzam wam moje dziecko, abyście zrobili z niego dobrego członka społeczeństwa, takiego, który nie sprawia kłopotu innym” - oto formułka, jakiej najczęściej używają japońskie matki, kiedy po raz pierwszy zostawiają pociechy w przedszkolu.

To właśnie w przedszkolu rozpoczyna się „montaż” dobrego obywatela. Nieruchomy, z rękoma złączonymi na kolanach, wyprostowanymi plecami, mały Japończyk przywyka, by zajmować niewiele miejsca i kontrolować własne ruchy. Błyskawicznie uczy się przestrzegania regulaminów. Wieje przedszkoli wymaga, żeby wszystkie dzieci przynosiły to samo drugie śniadanie w przepisowym pojemniczku. Przedszkolaki muszą jeść poszczególne składniki w określonej kolejności.

W szkole dziecko nie jest przyzwyczajane do samodzielnego myślenia. Ma po prostu mówić właściwą rzecz we właściwym momencie. Na każde pytanie istnieje tylko jedna odpowiedź, wyucza- 305

na na pamięć. „Co się dzieje, kiedy śnieg się rozpuszcza?“, pyta nauczycielka, a klasa odpowiada chórem: „Zmienia się w wodę!“ Jeśli komuś zdarzy się powiedzieć: „Przychodzi wiosna!“, jest karcony. Tym popisem wyobraźni ustawia się poza grupą, co jest źle widziane. „Wystający gwóźdź trafia pod młotek“, mówi stare japońskie przysłowie. Ta zasada nie straciła na aktualności. Kto w? chodzi przed szereg, kto myśli po swojemu, kto sądzi, że sam da sobie radę, jest „niepożądany“. Bycie po prostu „innym“ niż grupa jest przewinieniem, wykluczenie z grupy to najgorsza kara. Kilka miesięcy temu pewien czternastolatek z Shimabary popełnił samobójstwo, ponieważ po drobnym naruszeniu szkolnego regulaminu bał się, że zostanie wyrzucony z drużyny baseballowej.

Sama treść nauczania nie pozostawia jednostce żadnego wyboru. Minister Edukacji Narodowej decyduje o programie. Podręczniki podlegają bardzo surowej cenzurze, a uczeń japoński, czytający do woli sadomasochistyczne komiksy zalewające rynek, nie znajdzie w szkole ani jednej książki, która przedstawiałaby obiektywny obraz drugiej wojny światowej, ani jednej, która używałaby określenia „inwazja“ w stosunku do natarcia japońskiego na Chiny i azjatycki południowy wschód, ani jednej, która mówiłaby o okrucieństwach popełnionych przez armię cesarską w tych krajach. Całe pokolenia są tak wychowywane, toteż nie mają pojęcia o najnowszej historii kraju ani o stosunkach tego kraju z resztą Azji, przez którą Japonia nadal jest traktowana z dużą podejrzliwością.

- Dopóki obywatele nie będą nalegać na swoje prawo do informacji, Japonia nie stanie się krajem naprawdę demokratycznym - mówi profesor Teruhisa Horio, dziekan Wydziału Pedagogiki na Uniwersytecie Tokijskim i jeden z najsurowszych krytyków japońskiego systemu szkolnictwa. - Na razie to państwo decyduje, co mają myśleć ludzie.

A państwo wydaje się posiadać bardzo jasny pogląd na to, jacy powinni być jego obywatele i „modelowyjapończyk“ produkowa- 306 ny przez szkołę. „Model“ został opisany z wielką drobiazgowo- cią w pięćdziesięcioczostronicowej książeczce z żółtą okładką. Leży ona dzisiaj w szufladzie każdego dyrektora i nosi tytuł Obraz idealnego Japończyka.

Opublikowana przez Ministerstwo Edukacji w 1964 roku, definiuje funkcje i cele systemu szkolnictwa. „Aby państwo i społeczeństwo osiągnęły dobrobyt, Japonia potrzebuje nowego typu człowieka“, czytamy. „Człowieka, który miałby świadomość swojej japońskiej wyjątkowości, człowieka, który znajdowałby satysfakcję w całkowitym oddaniu swojej pracy“.

Pomysł był rewelacyjny. W tamtych latach Japonią, nadal biedną, wstrząsały gwałtowne konflikty społeczne. Lewica miała jeszcze dość siły, aby kontestować prawo konserwatystów do rządu, a wielki przemysł japoński projektował swój własny Wielki Skok, aby katapultować kraj, jak to się wówczas mówiło, „w erę maksymalnego wzrostu gospodarczego“. Chodziło o to, aby ludzie zapomnieli o polityce, o to, aby każdemu podstawić pod nos marchewkę dobrobytu. Należało zapełnić fabryki, place budowy, biura - zapełnić Japończykami, którzy byliby jednocześnie dobrze wykształceni, lojalni i posłuszni. Szkole powierzono doniosłe zadanie wyprodukowania obywateli, których profesor Horio nazywa „niewolnikami przedsiębiorstwa“.

Zadanie to nigdy nie zostało zdefiniowane. Obraz idealnego Japończyka, który doczekał się dwudziestego wydania, nadal jest biblią tutejszych wychowawców. wierni służy państwa i przedsiębiorstwa

Tokio, luty 1990

Dwaj Japończycy spotykający się po raz pierwszy muszą natychmiast ustalić pozycję społeczną rozmówcy... choćby po to, aby wiedzieć, jak nisko mają się uklonić. Jako że w Japonii człowiek nie jest tym, kim jest, lecz pracą, którą wykonuje, obsesyjna wymiana

wizytówek opisujących bardzo precyzyjnie rangę właściciela chroni Japończyków przed nieznosnym zakłopotaniem, w jakie wprawia ich niewiedza. Niewiedza o tym, gdzie się znajdują względem swojego rozmówcy.

W społeczeństwie japońskim wszystko jest sklasyfikowane i każda jednostka ma swój status. Decyduje o nim przede wszystkim ukończona szkoła: pozwala aspirować do wyższej lub niższej pozycji w społeczeństwie. Hierarchia jest ogólnie znana: pracownik Ministerstwa Finansów, na przykład, jest kimś ważniejszym niż jego odpowiednik z Ministerstwa Handlu Zagranicznego i Przemysłu, a ten z Ministerstwa Handlu jest ważniejszy od tego z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Również stanowisko robotnika, urzędnika albo kierownika w jednym z sześciu wielkich koncernów znaczy więcej niż to samo stanowisko w przedsiębiorstwie niższego stopnia.

Aby otrzymać stanowisko pierwszej rangi, na przykład w Ministerstwie Finansów albo w jednym z sześciu wielkich koncernów, trzeba skończyć uniwersytet pierwszej rangi, ale żeby pójść na taki uniwersytet, trzeba skończyć liceum pierwszej rangi, żeby pójść do liceum pierwszej rangi, trzeba... i tak dalej, aż do przedszkola. Jako że przedszkoli pierwszej rangi jest oczywiście mało, „wybrańców” czeka egzamin wstępny. Aby przygotować się do tego trudnego pierwszego spotkania z przeznaczeniem, tysiące małych Japończyków, w swoich pięknych mundurkach, drepczą 308 do nauczycieli, kiedy mają zaledwie trzy lata.

- Decydująca batalia w naszym życiu rozgrywa się, gdy jesteśmy dziećmi - mówi Miho Kometani, dziennikarka telewizyjna. - Kto ją przegrywa, ryzykuje swoją przyszłość.

Po zdaniu egzaminu do przedszkola trzeba zdać do dobrej szkoły podstawowej, potem do dobrej szkoły średniej, i tak dalej, aż do niesłychanie ważnego egzaminu wstępnego na dobrą uczelnię. Najlepszy ze wszystkich jest Uniwersytet Tokijski, znany jako Today. Właśnie trwają egzaminy, co trzyma w napięciu rodziny w całym kraju. Świątynie są zasnuwane gęstymi obłokami kadzidła. Na ołtarzach piętrzą się drewniane tabliczki wotywno, na których tysiące młodych ludzi zwracają ku Niebu swoją jedyną prośbę: „Spraw, żebym zdał”.

Egzaminy są w zasadzie identyczne. Trzeba wypełnić formularze. Obok pytania widnieje kilka odpowiedzi. Tylko jedna jest właściwa. Należy ją wskazać krzyżykiem. Testy sprawdzają komputery, które także automatycznie ustalają stopnie. W ciągu dwóch dni wyniki są ogłaszane. Egzamin odbywa się bez rozmowy, bez zadawania pytań, bez spotkania oko w oko. Prace pozostają anonimowe, osobowość studenta nie ma żadnego znaczenia.

Celem chodzenia do szkoły jest nie tyle otrzymanie edukacji, ile zdanie egzaminów, toteż przez ostatnie trzydzieści lat obok państwowego systemu szkolnictwa rozwinął się równoległy, który odpłatnie przygotowuje uczniów do egzaminów. System szkół korepetytorskich nazywa się juku i stanowi dzisiaj jedną z najbardziej popularnych i dochodowych inicjatyw prywatnych w kraju.

Istnieje trzydzieści sześć tysięcy takich szkół. Niektóre stały się wielkimi przedsiębiorstwami z akcjami notowanymi na giełdzie, inne są tak zaawansowane technologicznie, że używają satelity, aby transmitować do licznych filii lekcje udzielane przez najlepszych wykładowców. Co do uczniów - nie mają wyboru. Bombardowani reklamami i przekonani, że nikt nie jest w stanie zdać egzaminu bez chodzenia do juku, rodzice zdobywają się na ogromne poświęcenia, aby wysłać dzieci na korepetycje, często nie do jednej, lecz do dwóch lub trzech różnych szkół. 309

Jak wszystko w Japonii, także szkoły korepetytorskie mają swoją rangę. Zależy ona od liczby absolwentów pomyślnie przechodzących przez egzaminy. Aby więc dostać się do szkoły korepetytorskiej pierwszej rangi, trzeba zdać egzamin wstępny. Pomagają w tym juku, które przygotowują do egzaminów do innych juku. Szaleństwo, a do tego niezwykle kosztowne. Utrzymanie dziecka od przedszkola do uczelni kosztuje dzisiaj średnio dwadzieścia dwa miliony jenów (sto dziesięć tysięcy euro), jeśli chodzi ono do szkoły publicznej, a pięćdziesiąt

osiem milionów jenów, jeśli chodzi do szkoły prywatnej. To jedna czwarta tego, co robotnik zarabia przez całe swoje życie.

Gdy się na nich patrzy - wracających z lekcji, zmęczonych, zawsze z dwiema teczkami, jedną do szkoły, drugą na korepetycje, gdy się widzi, jak zasypiają, kiedy tylko usiądą w metrze - ma się wrażenie, że uczniowie japońscy są synonimem braku szczęścia. Dla wielu dzień zaczyna się o szóstej rano i trwa - spędzany w szkole, na korepetycjach, w dojazdach - do dziewiątej wieczorem. Dla niektórych jest jeszcze dłuższy. Nowe juku reklamują swoje kursy wieczorowe. Zaczynają się one o wpół do jedenastej, kiedy inne juku kończą zajęcia, a trwają do pierwszej trzydzieści nad ranem.

Ci młodzi Japończycy, wciąż zapędzani do nauki, mają mało czasu na rozrywki nastolatków z innych krajów. Mają mało czasu, żeby uprawiać sport, co tłumaczy, dlaczego Japonia zdobywa tak niewiele medali na igrzyskach olimpijskich. Mają mało czasu na poznawanie przyjaciół. W gazecie „Asami”, w artykule wstępnym zatytułowanym „Pozostawmy młodym ich młodość!”, czytamy: „Wychowujemy dzieci, które fantastycznie wypadają na egzaminach, ale są słabe, egocentryczne i niedojrzałe”. Stowarzyszenie zrzeszające uczelnie prywatne z przeprowadzonych ostatnio badań poświęconych edukacji wyciąga wniosek, że dzisiejsza japońska młodzież jest „poddawana lobotomii” przez szkołę.

Swój bardzo krótki czas wolny młodzi Japończycy spędza- 310 ją przy grach wideo. Wśród chłopców modna jest obecnie Dwuwymiarowa kochanka. Na ekranie pojawia się dziewczyna. W miarę, jak gracz zbiera punkty, ona się uśmiecha i zdejmuje ubranie.

- Zamiast poszukać prawdziwej przyjaciółki, chłopcy mają czas tylko na randki z maszyną - mówi Tamato Sengoku, pedagog.

Frustracje związane z nieustającą presją szkoły nastolatki rozładowują poprzez przemoc i przestępczość. W 1988 roku w Japonii aresztowano sto osiemdziesiąt dziewięć tysięcy osób między czternastym a piętnastym rokiem życia, większość pod zarzutem ijime. Tak określa się niesłychanie powszechne wśród Japończyków zjawisko wyszukiwania i torturowania „słabego”, „innego”. Ijime i presja egzaminów są również przyczyną wielu samobójstw. Z dwudziestu dwóch tysięcy siedmiuset dziewięćdziesięciu pięciu Japończyków, którzy w 1988 roku odebrali sobie życie, tyśiąc sześćset trzydziestu pięciu było uczniami.

Historia Yoko Uehary, trzynastolatki z Nagano, jest typowa. Dziewczyna, wyśmiewana i dręczona przez koleżanki, prosi o pomoc nauczyciela. Ten nakazuje klasie wyjaśnić w zadaniu pisemnym, jakie są wady Yoko i dlaczego rówieśnicy ją odtrącają. Dziewczęta piszą, że Yoko wygląda jak ośmiornica. Nauczyciel daje dziewczynie do przeczytania prace koleżanek. Kilka dni później Yoko wiesza się w swoim domu.

Wielu intelektualistów niepokoi „nowyjapończyk” produkowany przez szkołę.

- Potrafimy robić świetne samochody, ale nie wychodzą nam ludzie - mówi dziewięćdziesięciodwuletnia Shizue Kato, niegdyś deputowana partii socjalistycznej i jedna z pierwszych feministek w Japonii. - Nasz system edukacji stał się niedorzeczny. Powinniśmy z nim skończyć.

To jednak niemożliwe. Młodzi nauczyciele, w tym systemie wychowani, inaczej niż ich poprzednicy, nie protestują. Jeszcze kilka lat temu związek zawodowy nauczycieli, Nikkyoso, był jednym ze środowisk przeciwnych obowiązującemu modelowi nauczania. Dzisiaj większość jego sześciuset tysięcy członków przystąpiła do nowego zrzeszenia, o wiele bardziej zachowawczego.

Na studiach Japończyk może wreszcie odetchnąć. Nikt już od niego nie oczekuje, aby zdobywał wiedzę. Dla przedsiębiorstwa i państwa, które go zatrudnią, przygotowanie uniwersyteckie nic nie znaczy.

-Absolwenci muszą być pustymi naczyniami, które napełni się kulturą firmy - mówi pewien profesor z Uniwersytetu "Meiji.

Z ukończoną uczelnią niemal automatycznie wiąże się miejsce pracy. Magistrzy prawa z Uniwersytetu Tokijskiego trafiają w większości do ministerstw (połowa powojennych premierów zdobyła wykształcenie na Today), ci z Uniwersytetu Waseda do wielkiego przemysłu, ci z Uniwersytetu Keio do dziennikarstwa i średniego przemysłu. Posiadacze dyplomów uczelni drugiej kategorii dołączają do tłumu sarari-men.

Masowa produkcja ludzi, którzy posłusznie dostosują się do roli wyznaczonej im w systemie społecznym i ekonomicznym Japonii, nie jest oczywiście niczym przypadkowym.

- To część naszej tradycji: uważać obywateli nie za istoty ludzkie, lecz za niewolników - twierdzi Yoshikazu Sakamoto, profesor z Uniwersytetu Meiji.

Tradycja ta ma niewiele ponad sto lat. W połowie XIX wieku edukacja była uważana za broń mogącą ocalić kraj przed kolonizacją. W 1868 roku, z ogromnym wysiłkiem, zaczęto wprowadzać na terenie całej Japonii nowoczesny system szkolnictwa w stylu zachodnim. Cel był prosty: „Stworzyć pełne cnót sługi państwa, wierne i uległe”, jak obwieścił ówczesny minister edukacji. Dzięki temu systemowi szkolnictwa Japonia zdołała dotrzymać kroku czasom i zachować niepodległość. Ale ten sam system doprowadził ją później do militarystyki i wojny.

W 1945 roku, kiedy zwycięscy Amerykanie przybyli jako okupanci do Japonii, między innymi zreformowali oświatę - ów pas transmisyjny ideologii nacjonalistycznej i totalitarnej. Reformy prodemokratyczne nie trwały jednakże długo. W 1952 roku, gdy tylko Amerykanie wyjechali, część starej gwardii politycznej 312 znów zagarnęła kraj, a przekonana, że „demokratyzacja”, jakiej

chciał Waszyngton, osłabiłaby narodowy charakter i wywołała niepotrzebne konflikty społeczne, stopniowo przywróciła dawny porządek. W szkołach, zamiast mówić o prawach obywatelskich, znów mówiono o obowiązku „wierności” obywateli w stosunku do państwa.

- W ciągu kilku lat znów zaczęliśmy produkować sługi państwa i przedsiębiorstwa - mówi profesor Teruhisa Horio, dziekan Wydziału Pedagogiki na Uniwersytecie Tokijskim.

Przywracanie przedwojennych wzorców trwa. Od niedawna w szkołach znów wciąga się flagę, śpiewa hymn narodowy (rzecz nie do pomyślenia dla starego związku nauczycielskiego) i realizuje program nauczania podkreślający historyczną rolę bohaterów wojennych. Odpowiedzialne jest za to Ministerstwo Edukacji, regularnie obsadzone przez*prawicowców z Partii Liberalno-Demokratycznej. Restauracji dawnego szkolnictwa towarzyszy restauracja systemu cesarskiego i szintoizmu jako religii państwowej. Niektórzy w tym rozwoju wypadków widzą niebezpieczeństwo.

-Japonia ma rozbuchane ambicje związane ze swoją pozycją w świecie XXI wieku - mówi profesor Horio. - A dzisiejsza potulna młodzież z pewnością nie będzie ich poddawać krytyce ani powstrzymywać.

Na studiach Japończyk może wreszcie odetchnąć. Nikt już od niego nie oczekuje, aby zdobywał wiedzę. Dla przedsiębiorstwa i państwa, które go zatrudnią, przygotowanie uniwersyteckie nic nie znaczy.

-Absolwenci muszą być pustymi naczyniami, które napełni się kulturą firmy - mówi pewien profesor z Uniwersytetu Meiji. •

Z ukończoną uczelnią niemal automatycznie wiąże się miejsce pracy. Magistrzy prawa z Uniwersytetu Tokijskiego trafiają w większości do ministerstw (połowa powojennych premierów zdobyła wykształcenie na Today), ci z Uniwersytetu Waseda do wielkiego przemysłu, ci z Uniwersytetu Keio do dziennikarstwa i średniego przemysłu. Posiadacze dyplomów uczelni drugiej kategorii dołączają do tłumu sarari-men.

Masowa produkcja ludzi, którzy posłusznie dostosują się do roli wyznaczonej im w systemie społecznym i ekonomicznym Japonii, nie jest oczywiście niczym przypadkowym.

- To część naszej tradycji: uważać obywateli nie za istoty ludzkie, lecz za niewolników - twierdzi Yoshikazu Sakamoto, profesor z Uniwersytetu Meiji.

Tradycja ta ma niewiele ponad sto lat. W połowie XIX wieku edukacja była uważana za broń mogącą ocalić kraj przed kolonizacją. W 1868 roku, z ogromnym wysiłkiem, zaczęto wprowadzać na terenie całej Japonii nowoczesny system szkolnictwa w stylu zachodnim. Cel był prosty: „Stworzyć pełne cnót sługi państwa, wierne i uległe”, jak obwieścił ówczesny minister edukacji. Dzięki temu systemowi szkolnictwa Japonia zdołała dotrzymać kroku czasom i zachować niepodległość. Ale ten sam system doprowadził ją później do militaryzmu i wojny.

W 1945 roku, kiedy zwycięscy Amerykanie przybyli jako okupanci do Japonii, między innymi zreformowali oświatę - ów pas transmisyjny ideologii nacjonalistycznej i totalitarnej. Reformy prodemokratyczne nie trwały jednakże długo. W 1952 roku, gdy tylko Amerykanie wyjechali, część starej gwardii politycznej znów zagarnęła kraj, a przekonana, że „demokratyzacja”, jakiej

chciał Waszyngton, osłabiłaby narodowy charakter i wywołała niepotrzebne konflikty społeczne, stopniowo przywróciła dawny porządek. W szkołach, zamiast mówić o prawach obywatelskich, znów mówiono o obowiązku „wierności” obywateli w stosunku do państwa.

- W ciągu kilku lat znów zaczęliśmy produkować sługi państwa i przedsiębiorstwa - mówi profesor Teruhisa Horio, dziekan Wydziału Pedagogiki na Uniwersytecie Tokijskim.

Przywracanie przedwojennych wzorców trwa. Od niedawna w szkołach znów wciąga się flagę, śpiewa hymn narodowy (rzecz nie do pomyślenia dla starego związku nauczycielskiego) i realizuje program nauczania podkreślający historyczną rolę bohaterów wojennych. Odpowiedzialne jest za to Ministerstwo Edukacji, regularnie obsadzone przez rawników z Partii Liberalno-Demokratycznej. Restauracji dawnego szkolnictwa towarzyszy restauracja systemu cesarskiego i szintoizmu jako religii państwowej. Niektórzy w tym rozwoju wypadków widzą niebezpieczeństwo.

-Japonia ma rozbuchane ambicje związane ze swoją pozycją w świecie XXI wieku - mówi profesor Horio. - A dzisiejsza potulna młodzież z pewnością nie będzie ich poddawać krytyce ani powstrzymywać.

Pierwszy raz zetknąłem się z nimi przypadkiem, w malutkim barze w Shinjuku. Człowiek siedzący obok przedstawił mi się jako „jakuza na emeryturze”. Wcześniej japońskich gangsterów znałem tylko z książek i artykułów prasowych. Ów „emeryt”, z którym spędziłem parę wieczorów przy szklance, pomógł mi zobaczyć japońską mafię od środka i podał nazwiska oraz adresy kolegów, z którymi miałem się zobaczyć. Większość mieszkała w stolicy gangsterów: Osace.

jakuza: „jesteśmy spadkobiercami samurajów”

Osaka, czerwiec 1990

Na spotkanie - w godzinie picia herbaty - jestem umówiony w najbardziej eleganckim hotelu w mieście, Nikko Hotel. Gangster pojawia się punktualnie. Lśniący biały rolls-royce sunie przed wejściem, dwaj młodzi ochroniarze w modnych dwurzędówkach rzucają się otworzyć drzwi, a on, blady, wytworny, flegmatyczny, kroczy wśród niskich ukłonów portierów i służących, którzy natychmiast go rozpoznają. W Japonii gangsterzy mają szczególny status społeczny: są szanowani i poważani. Umówił nas przywódca tokijskiej szajki, mówiąc: - Chce pan poznać nasze życie? Dobrze. On może panu powiedzieć wszystko. To bardzo wysoko postawiona osoba. Człowiek, który żyje nad chmurami.

Oto i on. Czterdzieści pięć lat, nienaganny wygląd, twarz sinawa, włosy zaczesane do tyłu, granatowy garnitur o idealnym kroju, na nadgarstku zegarek drogiej marki z diamentami, czarny krawat przyszpilony błyszczącym klejnotem do śnieżnobiałej, wykrochmalonej koszuli.

Rytuał prezentacji jest na wskroś japoński. Podaję mu obiema dłońmi swoją wizytówkę. On podaje mi dwie. Według pierwszej jest prezesem wielu spółek zajmujących się finansami, nieruchomościami, transportem i budową. Druga wizytówka, na bardziej wyszukanym

papierze, przedstawia go jako jednego z szefów ja-kuzy, japońskiej mafii. Największej obecnie organizacji przestępczej na świecie.

- Społeczeństwo nazywa nas bandytami, ale my jesteśmy spadkobiercami samurajów - mówi mężczyzna, kiedy siadamy przy odosobnionym, zarezerwowanym dla nas stoliku. - We współczesnej Japonii jako jedyni mamy jeszcze zasady, mamy jakąś moralność. Inni, normalni obywatele, sarari-men, biurokraci, politycy, myślą tylko o pieniądzu. My natomiast żyjemy zgodnie z tradycją, zgodnie z ideałami dawnych wojowników. Japonia nas potrzebuje.

Wiele wydaje się przemawiać za tym, że ma rację.

W Japonii jest dzisiaj osiemdziesiąt sześć tysięcy pięćset pięćdziesięciu dwóch jakuzów. Wszyscy są znani policji, ale władzy ani się śni ukrócenie ich działalności. Dlatego bandyci nie muszą się ukrywać. Wręcz przeciwnie. Jakuzowie noszą w butonierce znaczki organizacji, do której należą. „Biura przedstawicielskie”, które bandy mają w każdym japońskim mieście, można łatwo rozpoznać po mosiężnych tabliczkach przed drzwiami. Ich numery telefonu są w książkach telefonicznych. Policja japońska ma specjalną sekcję do walki z przestępczością zorganizowaną, ale komisarz nadzwyczajny, który nią kieruje (pojechałem odwiedzić go w Tokio, nim ruszyłem w podróż do bandytów), przyznaje otwarcie, że „wyeliminowanie mafii jest praktycznie niemożliwe”.

Oficjalne wyjaśnienia tego stanu rzeczy są następujące: wraz z demokratyzacją kraju po drugiej wojnie światowej policja jest zbyt słaba, aby ugodzić w bandy. Ale w rzeczywistości jakuzowie stanowią integralną część japońskiego społeczeństwa, pełnią w nim niezbędne funkcje i nikt naprawdę nie ma interesu w tym, aby ich wyeliminować.

-Jakuzi należy do fizjologii Japonii, nie jest jej chorobą - poinformował mnie Yukio Yamaguchi, jeden z adwokatów mafii. - Nikomu nie przyszłoby do głowy usunąć jelita z ciała człowieka tylko dlatego, że praca, jaką wykonują, jest niezbyt czysta. •

W społeczeństwie japońskim - w którym mówi się jedną rzeczą, a myśli drugą, w którym pozór traktuje się jak rzeczywistość, chociaż wszyscy wiedzą, że nią nie jest, istnieje wiele prac „niezbyt czystych” i ktoś musi je wykonywać. Prace te wszyscy znają, choć każdy udaje, że nic o nich nie wie. To między innymi prostytutka, handel narkotykami i organizacja gier hazardowych. Mafia ma na nie monopol.

Prostytucja, jak przystało na nowoczesne państwo, jest nielegalna. Ale tylko oficjalnie. Wszędzie działają sale masażu i „różowe salony”, w których półnagie dziewczyny oferują klientom pospieszne usługi seksualne, szybkie i aseptyczne. Zwykle miejsca te znajdują się o parę kroków od koban, posterunków policji, ale jakuzowie zarządzają nimi bez przeszkód. Zawsze tak było.

Przed wojną jakuzowie wyprawiali się na wsie, aby kupować córki biednych chłopów i zabierać je do sławnych burdeli Yoshi-wary. Podczas wojny wysyłali tysiące prostytutek - nazwa oficjalna brzmiała „kobiety do wygód” - za armię cesarską maszerującą przez Azję. Dzisiaj, kiedy cud gospodarczy zniechęca japońskie dziewczęta do najstarszego zawodu świata, jakuzowie muszą zaopatrywać się za granicą. „Stypendium na uniwersytet japoński oferuje się” - oto treść ogłoszenia opublikowanego w prasie Bangkoku. Na ten szczególny uniwersytet zdają tylko najładniejsze dziewczyny.

W Manili ogłoszenia są bardziej bezpośrednie. „Impresario-wie” japońscy szukają tam młodych aktorek, śpiewaczek, tancerek. Kiedy dziewczyny trafiają do Japonii, odbiera im się paszport i redukuje obiecane zarobki. W gruncie rzeczy stają się one 316 zakładniczkami bandytów. Około sześćdziesięciu tysięcy cudzoziemek pracuje dzisiaj w tych warunkach w Japonii. Kilkaset z nich to Europejki.

Gra hazardowa również jest nielegalna, ale jakuzowie praktycznie kontrolują piętnaście tysięcy hałaśliwych sal do gry w pachinko. Japończycy zostawiają tam więcej pieniędzy niż gdziekolwiek indziej, łudząc się, że zdobędą dużą wygraną.

To samo dotyczy narkotyków. Najpopularniejszy, shabu, jest rodzajem amfetaminy. Produkowało go podczas wojny państwo japońskie i dawało robotnikom z fabryk amunicji oraz kamikadze przed samobójczym lotem. Dzisiaj narkotyku używają głównie taksówkarze pracujący na wyczerpujące zmiany po dwanaście godzin, studenci przed egzaminami i kierowcy ciężarówek, od których zależy superwydajny system dystrybucji towarów.

W Japonii regularnych konsumentów shabu jest około pięciuset tysięcy. Jakuzowie zajmują się zaopatrywaniem ich, a interesy idą pełną parą. Kilogram shabu w miejscu produkcji (w Korei i na Tajwanie) kosztuje trzy miliony euro. Na ulicach Tokio sto siedemdziesiąt pięć milionów. Jako że rynek narkotykowy jest w całości w ich rękach, jakuzowie robią wszystko, aby nie odebrano im monopolu. W lutym tego roku pewien Kolumbijczyk, który próbował sprzedawać kokę w dzielnicy Shinjuku, został natychmiast aresztowany. Jakuzo namierzyła go i zademonstrowała policji.

- Heroina i kokaina to nieszczęście, które przychodzi z Zachodu. Mamy obowiązek chronić Japonię przed tą plagą - mówi szef szajki.

Porozumienie między społeczeństwem a gangsterami oczywiście nie jest jawne, ale przecież istnieje. W zamian za kontrolę nad szarą strefą jakuzo pomaga w utrzymaniu najwyższej wartości, świętej dla wszystkich Japończyków: porządku. Jest tak, jakby jakuzowie i policjanci czuli tę samą odpowiedzialność. Dzielią tylko pomiędzy siebie zadania.

W każdym mieście Japonii istnieją dzielnice skupiające porno shows, love hotels i salony gry. Wieczorami, kiedy wypełniają się gośćmi, policjanci znikają. Jakuzowie przejmują ich obowiązki. Je- 317

Śli dwaj pijacy zaczynają się awanturować, jeden z kędzierzawych młodzieńców stojących na każdym rogu podchodzi i szepcze groźnie parę słów: tamci przepraszają, kłaniają się i odchodzą.

W Japonii wszystko musi być zorganizowane przez grupę. Jednostka nie ma nic do powiedzenia. Dotyczy to także przestępczości. Samotny kieszonkowiec, który działa bez ochrony ze strony organizacji, albo złodziej napadający na bank na własne konto narusza harmonię społeczną, zwraca uwagę, a to fakt nie do przyjęcia. Jakuzowie mają, by tak powiedzieć, wyłączność na przestępczość i dbają, aby nikt im jej nie odebrał. Jakiś czas temu zdarzyła się w Tokio rzecz niecodzienna: bandyci napadli na bank w centrum i uciekli z pokaznym łupem w jenkach. Szybko okazało się, że skok przygotowali Francuzi. Zostali ujęci.

Z początku, trzysta lat temu, jakuzowie byli jeszcze wędrownymi sprzedawcami i organizatorami gier hazardowych na jarmarkach. Słowo „jakuza” oznacza dosłownie „8-9-3”, najgorszą kombinację cyfr w starej grze karcianej. Powiedzieć „jakuza” znaczyło więc to samo, co: „nic dobrego”, „nic”. I choć wszyscy nadal ich tak nazywają, gangsterzy japońscy są już asami w społecznej grze.

Jakuzowie mają powiązania z polityką i aktywnie działają w gospodarce. Są związani z giełdą, rynkiem nieruchomości i sztuki oraz wieloma gałęziami przemysłu. Trzech znanych jakuzów zasiada w parlamencie, liczni reprezentują lokalną administrację. Fakt, że utrzymują bliskie stosunki z najwyższymi władzami, w żadnym razie nie oburza Japończyków. Niedawno, na przykład, gazeta „Yomiuri” opublikowała fotografię szefa sztabu głównego sił samoobrony na spotkaniu z bossem z wyspy Sikoku. Obecność mafii jest już uważana za niezbędną w społeczeństwie, w którym bardziej niż prawo liczą się nadal tradycyjne relacje i stosunki podległości.

W czasach feudalnych tylko samurajowie mogli nosić miecz. Dzisiaj jakuzowie mają wyłączność na przemoc. Wielu Japończyków się nimi wysługuje. Firma nie jest w stanie wyegzekwować 318 zapłaty za towar? Zleca jakuzie odzyskanie należności. Właściciel nie chce sprzedać terenu spółce budowlanej? Jakuzowie idą go przekonać. Polityk nie życzy sobie, aby konkurent startował w jego okręgu? Jakuzo wyperswaduje mu ten pomysł.

Wiadomo, że w każdym dużym japońskim przedsiębiorstwie są kierownicy odpowiedzialni wyłącznie za utrzymywanie kontaktów z mafią i zlecenie jej interwencji w razie potrzeby.

- Bez nas Japonia stanęłaby w miejscu. Jesteśmy smarem w jej trybach - mówi szef bandy.

Każdemu zdaniu potakują stojący za jego krzesłem dwaj ochroniarze. Gdy dłoń gangstera zbliża się do leżącej na stole paczki papierosów, jeden z młodzieńców przyskakuje z zapalniczką. Kiedy szef zaledwie zwraca głowę w ich stronę, któryś natychmiast nadstawia ucha, aby usłyszeć niemal bezgłośnie polecenie.

- Posłuszeństwo to reguła numer jeden. Ten, kto wchodzi do organizacji, musi jej przestrzegać. A ten, kto popełnia błąd, płaci - mówi szef.

-Jak?

- Zgodnie z tradycją - odpowiada i robi gest, jakby odcinał sobie palec. Ten zwyczaj nie należy do przeszłości. Jeśli jakuza zrobi fałszywy krok albo zachowa się niestosownie, tylko tak może uzyskać przebaczenie: odcinając sobie paliczek małego palca i wysyłając szefowi na znak posłuszeństwa. - To rytuał, który nie zmienił się od stuleci - mówi.

Jego słowa docierają do mnie wśród ściszonych rozmów eleganckich gości w strojach wieczorowych i dźwięków melodii Chopina brzdąkanej na fortepianie w atrium. Za wielkimi oszklonymi drzwiami znajduje się Japonia technologii, elektroniki, komputerów, robotów. Japonia znana i podziwiana przez świat skrzy się światłami, ale człowiek, który siedzi przede mną, jest niczym ciemna strona Księżyca. To twarz Japonii, o której często się zapomina. Za jej pozorną otwartością i nowoczesnością, za jej pragnieniem bycia jak inne państwa uprzemysłowione, a nawet czymś lepszym, Japonia pozostaje krajem dusznym i feudalnym, a mafia to jeden z wielu przykładów tej sprzeczności. 319

Ochroniarza wzywają do telefonu. Wraca i szepcze coś do ucha pracodawcy. Szef wszystkich szefów, który pojechał do Okinawy na golfa, został zatrzymany przez policję z wyspy i wkrótce dotrze na lotnisko w Osace. Bossowie z miasta mają pojechać go odebrać. Mój gangster spieszy do swojego rolls-royce'a. Ja wskazuję do taksówki, jadę za nim i wkrótce staję się świadkiem nife samowitej sceny.

Długi szereg dwustu nowych, błyszczących niby gwiazdy mercedesów, cadillaców, roverów i rolls-royce'ów blokuje dostęp do lotniska. W sali dla oczekujących tłoczą się bandyci - elegancy, w dwurzędówkach, ciemnych okularach, wielu z kędzierzawymi włosami i telefonami komórkowymi. Każdy szef w otoczeniu ochroniarzy. Przez półtorej godziny lotnisko pierwszego po stolicy miasta w Japonii wygląda jak okupowane przez siłę militarną przybyłą z innej planety. Oniemiały tłum zwykłych Japończyków patrzy z osłupieniem na pięciuset bandytów, którzy ni stąd, ni zowąd kłaniają się nisko przejeżdżającemu czarnemu mercedesowi ze złoceniami i wołają chóralnie: „Osh\ Osh” - „Niech żyje! Niech żyje!”

- Kim jest ten człowiek? Co się dzieje? - pytam jednego z policjantów, udając, że nie rozumiem.

-Jaki człowiek? Nikogo nie widziałem. Nic się nie stało - pada odpowiedź.
bandyta na rogu

Kobe, czerwiec 1990

W jednym z zaułków Hanakumy, dzielnicy Kobe, które w XIX wieku upodobali sobie pierwsi cudzoziemcy, co rano mężczyzna w kamizelce kuloodpornej wychodzi z białego, nieróżniącego się od innych domku i starannie zamiata przed drzwiami. Na chodniku naprzeciwko staruszka w fartuchu, zajęta sprzątaniem przed swoim domem, pozdrawia go uprzejmym ukłonem. Gangster odwzajemnia ukłon. Japonia to dziwny kraj i przestępcy, jak wszyscy inni porządni Japończycy, są zdyscyplinowani, grzeczni i troszczą się o to, co powiedzą sąsiedzi. „Członków Yamaken-gumi prosimy o niekręcenie się po ulicy, niepodnoszenie głosu i nieśmiecie- nie”, obwieszcza plakat przed białym budynkiem.

Yamaken-gumi jest jedną z najważniejszych band (po japońsku gumi) w Kobe. Biały domek to kwatera główna. Na dwóch mosiężnych tabliczkach, zawsze lśniących, widnieje wyryta

stylizowanym pismem nazwa i symbol (góra) bandy-matki: Yamaguchi- -gumi, największej i najpotężniejszej organizacji przestępczej na świecie. Kto chce odnaleźć gangsterów - na przykład listonosz - nie ma z tym żadnego kłopotu. Ja dotarłem na miejsce dzięki żółtym stronom książki telefonicznej Kobe. Yamaken-gumi znajduje się w rubryce: „Instytucje pożyczkowe”. Także nazwiska członków nie są tajemnicą. W pierwszym pokoju, do którego pozwolono mi wejść - z obojętną uprzejmością - widzę na ścianie gablotkę z drewnianymi tabliczkami. Na każdej nakreślono czarnym tuszem nazwisko. Tabliczka szefa znajduje się na samej górze. Poniżej są tabliczki trzech zastępców, a potem, według hierarchii, innych bandytów.

- Jest ich sto osiemdziesiąt trzy - mówi człowiek, który mnie wpuścił. Zauważył, że próbuję policzyć tabliczki.

Choć jest środek dnia, gabinet oświetla jarzeniowe światło, ponieważ żelazne płyty ochraniające okna nie przepuszczają słońca. Po krwawej bitwie między bandami, która kosztowała życie trzydziestu gangsterów, czterdziestoosmioletni Yoshinori Wata- nabe z Yamaken-gumi został wybrany na szefa wszystkich szefów. Niektórzy rywale jeszcze nie zaakceptowali decyzji i dlatego atmosfera w świecie mafii pozostaje napięta. - m

Hanakuma to dzielnica-wioska, jakich są tysiące w dzisiejszej Japonii; z zaułkami, małymi sklepikami, automatycznymi dystrybutorami wzdłuż murów i plastikowymi kwiatami, które zwisają ze słupów wysokiego napięcia szpecących każdy zakątek kraju. Życie w Hanakumie (nazwa oznacza „cień kwiatów”) płynie spokojnie mimo obecności gangsterów. Za kwaterą główną Yamaken-gumi znajduje się dzielnicowe biuro partii komunistycznej, po drugiej stronie ulicy buddyjska świątynia, kilka budynków dalej komenda policji.

- Najlepsza metoda, aby pozbyć się bandytów, to odciąć ich od źródeł zarobkowania, jednak, mimo naszych wysiłków, w dzisiejszym społeczeństwie mafia ma łatwy dostęp do pieniędzy - mówi mi Itzuo Hokusaki kierujący miejską sekcją do walki z przestępczością zorganizowaną. Podobnie jak reszta przemysłu japońskiego, także przemysł zbrodni jest obecnie w fazie intensywnej ekspansji, staje się coraz bogatszy i coraz bardziej wpływowy. - Jakuzą jest ważną częścią mozaiki ekonomicznej kraju - kończy policjant.

Zgodnie z niektórymi szacunkami, obrót mafii równy jest rocznemu utargowi wszystkich japońskich supermarketów. Gangsterzy mają imponującą płynność finansową i podobnie jak inne przedsiębiorstwa japońskie odkrywają nowe możliwości inwestowania swojego majątku. Szukają rynków za granicą. Mafia, która wcześniej działała jedynie na Tajwanie i w Korei Południowej, jest teraz obecna nie tylko we wszystkich krajach Azji Południowo-Wschodniej, lecz także w Australii 322 i Europie.

- Internacjonalizacja jakuzy jest oczywistą, naturalną tendencją - powiedział mi przedstawiciel FBI przy ambasadzie amerykańskiej w Tokio. - Musimy się przygotować, jeśli nie chcemy, aby nas zaskoczono, jak pół wieku temu, kiedy mafia włoska zaczęła rozszerzać swoją działalność poza granice Sycylii.

Władze amerykańskie są zaniepokojone: właśnie odkryły, że przedsiębiorstwa japońskie, które w poprzednich latach kupowały hotele i pola golfowe, głównie na Hawajach, znajdują się pod kontrolą jakuzy. Takiego samego odkrycia dokonali Australijczycy na Złotym Wybrzeżu.

- Strategia jakuzy jest prosta - tłumaczył mi człowiek z FBI. - Najpierw kupuje ziemię, potem przejmuje turystykę i szybko zaczyna kontrolować prostytutkę, gry hazardowe, handel narkotykami oraz porwania dla okupu.

Rząd Filipin, próbując przeszkodzić jakuzie w otwartej działalności w tym kraju, zwrócił się do Japończyków z prośbą o przekazanie listy najbardziej znanych bandytów, aby móc ich zatrzymać, gdy tylko wylądują w Manili. Ale Filipińczycy nie byli usatysfakcjonowani współpracą z Japonią.

- Podanie nazwisk oznaczałoby pogwałcenie praw tych osób - wyjaśnia policjant z Kobe. A przecież nazwiska są na wyciągnięcie ręki. Za policjantem, na wielkiej tablicy, znajduje się schemat organizacyjny wszystkich band działających w mieście i aktualne fotografie oraz życiorysy najważniejszych bandytów, z wykazem ich zajęć, zarówno legalnych, jak nielegalnych. Choć jakuzowie oficjalnie są „wrogami społeczeństwa”, rozprawienie się z nimi najwyraźniej nie należy do priorytetów władz. Z około tysiąca agentów specjalnych z komendy głównej policji w Tokio wydział walki z przestępczością zorganizowaną liczy tylko czterestu. Z dwustu pięćdziesięciu tysięcy policjantów, którzy działają w całej Japonii, zaledwie kilkuset zajmuje się jakuzą.

Policja japońska, kiedy chce, pracuje skrupulatnie i z wielką skutecznością. Siedem spraw na dziesięć zostaje szybko roz-

wiązanych, winni zostają aresztowani, postawieni przed sądem i w 99,8 procentach przypadków skazani. Nic nie umyka - albo niewiele - japońskim policjantom. Widzi się ich na każdym kroku. Ci z koban, małych posterunków dzielnicowych, którzy pożyczają pieniądze osobom w nagłej potrzebie, odwożą do domu pijanych i upominają właścicieli brudnych samochodów, znaj[^] wszystkich mieszkańców okolicy. A jednak w przypadku jakuzy nic jeszcze nie działo. Żadna ważna szajka nie została rozbita; żaden z wielkich szefów nie został aresztowany ani skazany; żadne z nielegalnych zajęć mafii nie zostało wzięte pod lupę. To prawda, że w ostatnich dwudziestu pięciu latach liczba jakuzów spadła (w 1965 roku gangsterzy byli liczniejsi niż żołnierze armii: sto osiemdziesiąt sześć tysięcy ludzi), ale to przede wszystkim efekt boomu ekonomicznego, który zmniejszył bezrobocie. Gangsterzy zrestrukturyzowali wówczas swoją organizację i przesunęli tysiące ludzi do kontrolowanych przez siebie prywatnych agencji ochrony.

Do początku lat osiemdziesiątych band było ponad cztery tysiące. Dziś jest ich niewiele więcej niż trzy tysiące, a tylko trzy są „matkami”, od których zależą wszystkie pozostałe: Sumiyoshi- rengo, Inagawa-kai, obie z siedzibami w Tokio, i największa, Ya- maguchi-gumi, działająca właśnie tutaj, na terenie Kobe-Osaki.

- Naszym celem jest połączenie „matek” pod jednym przywództwem - mówi mi jeden z zastępców szefa w białym domku w Hanakumie. - Podczas burzy wielkie drzewa dają najlepszą ochronę.

Używanie broni palnej jest w Japonii surowo zakazane. Żadna osoba prywatna nie może posiadać nawet zwykłego pistoletu, a pięćset dwadzieścia tysięcy sztuk broni łowieckiej istniejącej w kraju jest ewidencjonowanych i kontrolowanych. Jednak dla jakuzy posiadanie broni to punkt honoru; jak kiedyś dla samurajów, jest ona symbolem ich rzemiosła, ich władzy.

- Zakładamy, że każdy gangster ma przynajmniej jeden pisto- 324 let - przyznaje policjant z Kobe.

Jeszcze kilka lat temu najprościej było kupić broń na Filipinach. Teraz, aby uniknąć oskarżenia o przemyt, jakuzami zamiast broni importuje rusznikarzy, głównie z wyspy Cebu. Są tani i potrafią odwzorować każdy typ broni palnej. W kwietniu czterech filipińskich rusznikarzy stanęło przed sądem pod zarzutem fabrykowania broni dla bandytów. Od kiedy przybyli do Japonii, przekazali sto sześćdziesiąt rewolwerów i ponad tysiąc kul. Jednak ich pracodawcy nadal odpowiadają z wolnej stopy.

Mimo potężnego arsenału, gangsterzy otwierają ogień rzadko i unikają miejsc publicznych. Nawet podczas wewnętrznych porachunków wydają się robić wszystko, aby nie wciągać w nie zwykłych obywateli. Niedawno, właśnie tu, w Kobe, Yamaguchi-gumi, jak zrobiłoby każde przedsiębiorstwo japońskie, zorganizowała konferencję prasową, na której przeprosiła opinię publiczną za „niewygody” związane ze[^]trzelaninami.

Podobnie jak wszystkie japońskie grupy społeczne, także gangsterzy mają swoje rocznice, swoje święta, swojego patrona. Drukują również własne pismo, „Asahi Gino”, z najnowszymi

doniesieniami, plotkami, ogłoszeniami o zaręczynach, ślubach i pogrzebach podziemnego świata.

W Japonii wszyscy noszą mundur - zamiatacze ulic, pracownicy przedsiębiorstwa telefonicznego, intelektualiści i studenci. Gangsterzy nie są wyjątkiem. Jakuzi, którzy chcą cieszyć się szacunkiem i odnieść sukces w pracy, musi być rozpoznawalny. Stąd znaczenie munduru: kolorowe, zwracające uwagę garnitury, trwała ondulacja i znaczek bandy w butonierce. Tatuże na całym ciele, zwykle przedstawiające kobiety w kimonach, kwiaty i smoki, są równie ważne, zwłaszcza dla żołnierzy mafii.

- Kiedy się przedstawiam, wystarczy, że rozepnę trochę koszulę - mówi młody gangster w białym domku. - Tatuż robi wrażenie i nie muszę dodawać nic więcej. Ludzie rozumieją. „Rozumieją”, czyli płacą, aby uniknąć kłopotów. Japonia to kraj, w którym tradycja liczy się bardziej niż prawo, w którym ludzie wolą raczej się ugiąć niż dochodzić sprawiedliwości, a pójście do 325

sądu jest uważane za hańbę. Jakuzi robi na tym łatwe pieniądze. Przykład z ostatniego okresu: pewien młody gangster udaje, że zapomniał torby w domu towarowym. Wraca nieco później, odnajduje torbę, ale twierdzi, że coś ważnego zniknęło. Dom towarowy troskliwie płaci „odszkodowanie”, aby uniknąć oskarżenia, że jego sprzedawcy są złodziejami. Inny przykład: w Abashir[^] miejscowości na wyspie Hokkaido, mafia odkrywa, że lokalny bank, zamykając konto jakiegoś klienta, pomylił się o dwadzieścia jenów. Całymi miesiącami jakuzowie nękały bank, aż wreszcie ten wypłaca im „nagrodę” w wysokości wielu milionów jenów, aby wyjść z krępującej sytuacji.

Nawet wielkie przedsiębiorstwo, takie jak Fuji Bank, nie potrafiło przeciwstawić się tej formie szantażu. Bank należy do jednego z sześciu dużych koncernów, które dominują w gospodarce japońskiej. Składa się na nie sto pięćdziesiąt firm, między innymi Nissan, Hitachi, Canon i Marubeni, bardzo wyczulone na punkcie negatywnej prasy. Kiedy filia Fuji Bank w Nowym Jorku poniosła poważne straty i pewna banda się o tym dowiedziała, kierownictwo, aby uniknąć upublicznienia sprawy, udzieliło gangsterom pożyczki bez zabezpieczeń. Bank wie, że nie zobaczy już pieniędzy. Również tych, które musiał dać później drugiej bandzie, grożącej, że ujawni pożyczkę udzieloną pierwszej.

- Musieliśmy zapłacić pod naciskiem nieustających gróźb - powiedział rzecznik Fuji Bank, odmawiając jednak podania szczegółów.

To na tym lęku przed antyreklamą, przed „utrącią twarzy”, jak się tutaj mówi, jakuzi robi jeden z najbardziej wyrafinowanych i lukratywnych interesów. Sogaya, czyli „prowokatorzy”, obierają sobie za cel ataku walne zgromadzenia akcjonariuszy. Gra jest prosta: gangsterzy kupują trochę akcji pewnej spółki, a potem zwracają się do kierownictwa, grożąc, że będą zadawać kłopotliwe pytania podczas zebrania akcjonariuszy. Aby uniknąć problemów, spółka płaci.

W oczach przeciętnego Japończyka jakuzi nie są plagą, przed którą należy się bronić. Przeciwnie.

- Warto znać któregoś z nich - mówi taksówkarz z Kobe. - To zawsze może się przydać.

Jemu mafia pomogła, gdy towarzystwo ubezpieczeniowe próbowało odwlekać wypłatę odszkodowania.

Jakuzi pomaga także w inny sposób. Zatrudnia młodych ludzi, którzy porzucają studia i nie mają szansy na zatrudnienie w wielkich firmach. Koreańscy, którzy od pokoleń są w Japonii dyskryminowani i traktowani jak obcy, robią w mafii karierę, a niekiedy zdobywają władzę: bossem jednej z band w Osace jest właśnie Koreańczyk. To samo dotyczy burakumin, „niedotykalnych” Japonii, grupy od stuleci spychanej do getta i pogardzanej, ponieważ w tradycyjnym społeczeństwie japońskim zajmowała się pracami „nieczystymi”, na przykład wykonywała zawód rzeźnika czy grabarza. W mafii burakumin są traktowani na równi z

innymi. Dlatego obecnie przynajmniej jedna trzecia gangsterów z regionu Kobe-Osaka to ludzie o pochodzeniu buraku.

Wszystkim, którzy nie wytrzymują presji konformistycznego społeczeństwa japońskiego i żyją poza nawiasem, jakuzza daje szansę integracji. Nieprzypadkowo bandy nazywają się „rodzinami”. Boss to oyabun, „ojciec”, podlegli mu ludzie to kobun, „dzieci”, a wpływowy członek bandy to „starszy brat” dla nowo przyjętego „młodszego brata”.

- Jak wyjaśnić fakt, że człowiek, któremu kazano zabić, zabija bez dyskusji, choć wie, że będzie musiał spędzić piętnaście albo dwadzieścia lat w więzieniu? - pyta Yamanuchi, adwokat gangsterów. - Robi to, bo banda jest wszystkim, co jakuzza posiada.

Wejście do bandy wiąże się z ceremonią, która, jak wszystkie rytuały w życiu gangstera, odbywa się w jednym z tradycyjnych japońskich hoteli. Starzy członkowie bandy są ubrani w kimona, kandydat - zwyczajnie.

Uczestnicy wymieniają między sobą czarki z sake, winem ryżowym. Na zakończenie nowy członek otrzymuje kimono i znaczek grupy. Często świeżo upieczeni gangsterzy muszą się oczyścić podczas nocnej kąpieli w rzece, która płynie przez Ise, święte miasto szintoistów.

Najważniejsza uroczystość to koronacja nowego bossa. Przebiega ona na wzór koronacji cesarza. Kiedy Yoshino H Watanabe został wybrany na szefa wszystkich szefów Yamaguchigumi, ceremonię nagrano na wideo i sześćset pięćdziesiąt kaset z filmem, elegancko zapakowanych w biało-złoty jedwab, rozdano gościom jako pamiątkę „szczęśliwego zdarzenia”.

Chociaż są na oczach wszystkich, jakuzowie pozostają, jak cesarz, Koreańcy i burakumin, jednym z tabu Japonii. Mało się o nich mówi, mało się o nich pisze (wyłączając rzeczy związane z propagandą albo folklorem). Jak dotąd, jedynym poważnym studium na temat mafii i jej roli w powojennym społeczeństwie jest praca napisana pięć lat temu przez dwóch Amerykanów. Od tamtej pory dwudziestu japońskich wydawców wyraziło chęć opublikowania przekładu, ale żaden się jeszcze nie odważył.

jak być Japończykiem

Osaka, 1990

Targ w Kamagasaki działa od wpół do szóstej rano. W sprzedaży jest dzień ludzkiej pracy. Siedem tysięcy jenów (pięćdziesiąt pięć euro) płaci się za stróża, jedenaście tysięcy za robotnika. Do dwudziestu tysięcy jenów (stu euro) zarobi człowiek pracujący na rusztowaniach wieżowców. Stawki są wypisane na szybach małych busów zaparkowanych pod mostami kolejowymi, wykrzykiwane przez dziesiątki młodzieńców o kręconych włosach (wielu nosi paramilitarne mundury), którzy na wyścigi wybierają, wśród masy mizernych ludzi tłoczących się na tym dziwnym targu, pracowników robiących najlepsze wrażenie.

Jednym z wielu mitów Japonii jest przekonanie, że nie ma tu bezrobocia i że ludzie pracują w jednej firmie do emerytury. To nieprawda, a jednak mit pokutuje. Większość Japończyków nie może liczyć na zatrudnienie na całe życie. Wielu ma wyłącznie prace tymczasowe.

W Osace są w toku liczne projekty budowlane, między innymi nowe lotnisko powstające na sztucznej wyspie pośrodku zatoki - a więc pracy starcza dla wszystkich. O siódmej rano, kiedy targ w Kamagasaki zamyka się i małe busy załadowane siłą roboczą ruszają do miejsc przeznaczenia, bez zajęcia zostają tylko pijacy, koczujący wokół ognisk z płonących dętek rowerowych.

- W społeczeństwie japońskim istnieje działający odgórnie mechanizm przemocy. Ci na dnie, najslabsi, są miażdżeni - mówi niemiecki misjonarz, który od lat pracuje wśród czterdziestu siedmiu tysięcy mieszkańców dzielnic i próbuje uratować niektórych z nich przed powszechnym tu alkoholizmem. - Kamagasaki to punkt zbiorczy zniszczonych ludzi.

Zresztą niejedyny. Każde duże miasto japońskie ma dzielnicę, do której trafiają rozbitkowie. Ludzkie odpady tego społeczeństwa - 329

stwa w gruncie rzeczy nieznanego współczucia. Na targu w Kamagasaki znajdziemy robotników z fabryk, które zbankrutowały (w Japonii nie istnieje zasilek dla bezrobotnych), młodych, którzy rzucili szkołę, starych, którzy nie mają z czego żyć, oraz tych, którzy „wyparowali”. W ten sposób określa się normalnych „ludzi firmy”, którzy pewnego dnia, nieoczekiwanie, zostawiają swą codzienną, nie pokazują się więcej w biurze, nie wracają do domu, zmieniają miasto i dołączają do owego dziwnego plemienia „bez stałego miejsca pobytu”, kręcącego się po targach sprzedających siłę roboczą.

WRÓĆ DO DOMU. MAMA JEST CHORA. Taki napis widnieje na plakacie z fotografią mężczyzny około pięćdziesiątki. Apel wisi na słupach elektrycznych wzdłuż głównej ulicy w Kamagasaki. Podobnych widzi się dziesiątki.

Całą dzielnicą rządzi jakuzą. Dla początkującego gangstera rekrutacja robotników to pierwszy krok w karierze. Wielkie przedsiębiorstwa budowlane zamawiają określoną liczbę ludzi, bandyci ich wyszukują. Za każdego człowieka przyprowadzonego na plac budowy kędzierzawy młodzieniec otrzymuje „premię”. Drugą wypłaci mu robotnik.

Przestępcy działający w takich dzielnicach są często tylko kandydatami na jakuzów albo żołnierzami z małych band. Rynek pracy tymczasowej nie daje dużych pieniędzy. O wiele bardziej dochodowy jest rynek imigrantów kontrolowany przez duże organizacje. Co miesiąc tysiące Filipińczyków, Koreańczyków, Lan-kijczyków i Pakistańczyków przyjeżdżają do Japonii z kilkudniową wizą turystyczną i trafiają do pracy na placach budowy oraz w fabrykach. Rzecz jest nielegalna, robotnicy są wykorzystywani (wielu otrzymuje jedną trzecią normalnej pensji), ale przemysł japoński potrzebuje siły roboczej, a władze najwyraźniej zdecydowały, że przepływ ludzi musi trwać.

„Nielegalnych” jest w Japonii już ponad sto tysięcy. Przybędzie jeszcze wielu. Jakuzą o to zadba. Gangsterzy w wielu krajach Azji 330 mają swoich werbowników, ludzi, którzy przywożą „turystów”

do miejsc pracy, i bojówki interweniujące, jeśli ktoś spróbuje przeszkodzić w biznesie. Gdy pewien młody Japończyk, obrońca praw człowieka, przygotowuje małą demonstrację przeciwko wyzyskowi imigrantów, pod jego dom podjeżdżają groźnie wyglądające czarne ciężarówki, obwieszane japońskimi flagami, z megafonami, które wrzeszczą: „Wyłaż! Zdrajco! Czemu nie masz szacunku dla ojczyzny?”

Mafia dawno temu odkryła, że nacjonalizm jest świetną przykrywką dla kryminalnej działalności. Właśnie dzięki niemu odzyskała wpływy po wojnie. Okupujący kraj Amerykanie zaniepokoiли się rosnącą popularnością socjalistów oraz komunistów i szybko sięgnęli po środki zaradcze. Wypuścili z więzień kilku najważniejszych szefów skrajnej prawicy - odsiadujących zbrodnie wojenne - i użyli ich w walce przeciwko komunizmowi. Wśród tych kryminalistów był między innymi Yoshio Kodama, który z pomocą mafii zorganizował wielką kampanię antyzwiązkową, zdławił serię strajków i wreszcie sfinansował utworzenie Partii Liberalno-Demokratycznej. Od ponad trzydziestu lat ma ona wyłączność na władzę w Japonii.

Kodama nie żyje, ale japońską prawicę i bandytów nadal wiele łączy. Prawdę mówiąc, między tymi strukturami nie ma wielkiej różnicy. Według policji, prawicowcy mają sto dwadzieścia pięć tysięcy ludzi. Praktycznie ci sami ludzie figurują na listach mafii, jeśli wziąć pod uwagę, że zarejestrowanych bandytów jest osiemdziesiąt sześć tysięcy i że do liczby tej trzeba dodać kandydatów na jakuzów oraz bandytów współpracujących z organizacją. Wymuszenia i czarny terroryzm idą z sobą w parze. Zamiast przychodzić jako bandyci i żądać pieniędzy za ochronę, jakuzowie przyjeżdżają do firm w paramilitarnych mundurach organizacji prawicowych i żądają „podatków” na rzecz „wyzwolenia terytoriów północnych”, czyli czterech Wysp Kurylskich, które Sowieci odebrali Japonii w ostatnich dniach wojny i które teraz Tokio chce z powrotem. Jeśli firma nie płaci, ciężarówki z megafonami ustawiają się przed jej siedzibą i robią wielki hałas, oskarżając

kierowników o „brak patriotyzmu”. W kraju, w którym „twarz” ma ogromne znaczenie i gdzie ludzie wolą ustąpić silniejszemu niż bronić sprawiedliwości, firmy płacą i siedzą cicho.

Spółki robiące interesy ze Związkiem Radzieckim są najbardziej narażone na ten rodzaj szantażu. Banki finansujące projekty w państwach socjalistycznych otrzymują paczuski z zatrutą żywnością. Ich dyrektorzy - listy albo telefony z pogrózkami. Groźby prawicy są brane na poważnie w kraju jak ten, gdzie terroryzm polityczny ma długą tradycję. W latach trzydziestych seria morderstw przygotowanych przez nacjonalistyczną prawicę wyniosła wojskowych do władzy. W okresie powojennym akty czarnego terroryzmu były bardzo liczne: od zabicia sekretarza generalnego partii socjalistycznej w 1960 roku do zamachu przeciwko burmistrzowi Nagasaki, Hitoshiemu Motoshimie. Motoshima zawinił, mówiąc, że cesarz Hirohito był częściowo odpowiedzialny za drugą wojnę światową.

- Musiał zostać ukarany - powiedział przed sądem zamachowiec, który, co charakterystyczne, okazał się jednocześnie jakuzą i członkiem organizacji prawicowej o nazwie Szkoła Czystej Myśli.

Kula w plecach nie zmusiła bohaterskiego Motoshimy do zmiany poglądów, ale groźby wystraszyły jego kolegę z Hiroszimy. Muzeum miejskie poświęcone bombie atomowej było restrukturyzowane, toteż burmistrz zaproponował, aby dodać salę objaśniającą wydarzenia historyczne poprzedzające zrzućenie bomby i wspominającą także o ofiarach agresji japońskiej. Kampania organizacji prawicowych zmusiła go do publicznego wycofania projektu. Goście zwiedzający Hiroszimę będą zatem, jak w ostatnich czterdziestu latach, dalej wnosić z muzeum wrażenie, że Japończycy byli ofiarami drugiej wojny światowej: atakowanymi, a nie atakującymi. A właśnie tego życzy sobie prawica.

Jakuza i ultranacjonałiści robią wszystko, aby społeczeństwo japońskie nie zapomniało o ich istnieniu. Niemal każdego dnia 332 w porze obiadowej ciężarówka prawicy wyjeżdża na ulice w centrum Tokio. W niedzielę jakuzowie, niczym oddziały wojskowe, jadą złożyć hołd poległym za ojczyznę w świątyni Yasukuni. Można by pomyśleć, że to folklor, bez żadnego znaczenia, bez związku z resztą kraju, która zresztą zdaje się ich ignorować. Ale to mylne wrażenie. W oczach przeciętnego Japończyka jakuzowie są ludowymi bohaterami, romantykami, którzy odwołują się do tradycji samurajów i bronią wartości dawnej Japonii. Mafia występuje w gloryfikujących ją bestsellerowych powieściach i niezwykle popularnych filmach. Przestępcy i ultranacjonałiści cieszą się poparciem politycznym, co daje im dużą władzę.

O kilka kroków od parlamentu, w dzielnicy Nagatacho, znajduje się Palais Royal. Tutaj mają swoje biura najważniejsi politycy Partii Liberalno-Demokratycznej (między innymi wicepremier Shin Kanemaru), reprezentanci jednej z najbardziej znanych band i organizacja ultranacjonalistyczna. Do swojej śmierci w 1984 roku człowiekiem, który łączył te różne światy, stając się jedną z najbardziej wpływowych postaci w kraju, był Kodama. Jego następcą jest Ryoichi Sasagawa. On także został uwięziony przez Amerykanów w 1945 roku jako zbrodniarz wojenny klasy A, on także został wypuszczony i przysłużył się krucjacie antykomunistycznej.

Sasagawa, kontrolujący zakłady związane z wyścigami motorówek, jest dzisiaj jednym z najbogatszych ludzi w Japonii, ojcem chrzestnym prawicy i jedyną osobą, która potrafi godzić zwaśnione strony podczas sporów, jakie od czasu do czasu wybuchają pomiędzy bandami. W ostatnich latach Sasagawa zdywersyfikował działalność i zajmuje się głównie filantropią, która, jak wierzy, zatrze pamięć o jego przeszłości i pozwoli mu zrealizować ostatnie marzenie: zdobycie pokojowej Nagrody Nobla. Aby osiągnąć ten cel, poprzez fundację noszącą jego imię obdziela ogromnymi sumami pół świata - osoby prywatne i instytucje. W ubiegłym tygodniu zorganizował w Tokio wielki kongres międzynarodowy poświęcony pomocy krajom nierozwiniętym. Na jego koszt zostało zaproszonych dwustu pięćdziesięciu delegatów z różnych kontynentów. Aby imprezie dodać nieco prestiżu, Sasagawa 333

zdołał włączyć w swoje przedsięwzięcie, jako kosponsor, stary Klub Rzymski.

Ten, kto sądzi, że Japonia - na przykład pod presją społeczności międzynarodowej - zacznie kontrolować swoją mafię, raczej przeżyje rozczarowanie. Nawet policja, teraz już oficjalnie, nie zajmuje się tym zjawiskiem. Na ostatniej stronie najnowszego raportu o przestępczości zorganizowanej czytamy: „Zważywszy aktualne okoliczności, będzie bardzo trudno wyeliminować wszystkie organizacje przestępcze”. Jest oczywiste, że „aktualne okoliczności” to „społeczeństwo japońskie”.

„Emerytowany” szef tokijskiej bandy, któremu zawdzięczam nawiązane kontakty, powiedział to samo, jednak bardziej otwarcie:

-Jak długo Japonia będzie mieć cesarza, tak długo będzie mieć także jakuzę.

Po przyjeździe usłyszałem od przyjaciela: - Nie siedź w Japonii dłużej niż pięć lat. Potem robi się niebezpiecznie. My, Europejczycy, możemy tu oszaleć. Latem 1990 roku „Der Spiegel” zgodził się, abym opuścił Tokio i pojechał do Bangkoku. Zakończywszy przeprowadzkę, ogoliłem głowę i jak pielgrzym z dawnych czasów poszedłem złożyć hołd najstarszemu i najbardziej namacalnemu bóstwu tego kraju: górze Fudzi.

Japonia widziana z góry

Daigo (prefektura Ibaragi), sierpień 1990

To najwyższa, najświętsza, najpiękniejsza góra Japonii. Kraj u jej stóp, widziany z trzech tysięcy siedmiuset siedemdziesięciu sześciu metrów, okolony lśniącym morzem i zmieniającymi się odcieniami niebieskości odległych łańcuchów górskich, wydaje się dokładnie taki, jak w mitologii: wspaniały, nietknięty, wieczny - niczym ziemia bogów.

Niestety, sama Fudzi nie jest zupełnie taka, jaka być powinna. Góra, która z daleka wydaje się mocna i wyniosła, czarodziejska i elegancka, z bliska jest zdumiewająco mała i bezbronna, zwyczajna i mizerna: po prostu sterta popiołów. Popiołów szarych, czerwonych, czarnych, ale zawsze popiołów, pozbawionych tej podnoszącej na duchu solidności właściwej skale. Nie ma świętości, nie ma piękna, nie ma magii.

Gęste słupy dymu nad krawędzią krateru nie wydobywają się z siarkowych wnętrzości wulkanu, lecz z cuchnących stosów śmieci, które muszą być cały czas palone... Daleki, łagodny głos kobiecy szemrzący w środku nocy na szczycie nie należy do litościwej bogini, która według legendy ma tam swoją siedzibę, lecz do automatycznego dystrybutora, który dziękuje spragnionemu, cierpiącemu na bezsenność klientowi, że kupił sobie napój. W ciemności różnokolorowe światelka urządzenia jaśnieją mocniej niż wszystkie gwiazdy.

Po drodze na szczyt można zrobić sobie postój, odpocząć i poobserwować malejący powoli świat. Każda stacja nosi romantycy ną nazwę - Oberża Białych Chmur, Pawilon Pierwszego Światła - ale na koniec z tych miejsc pamięta się tylko gryzący odór uryny.

Co rok piętnaście milionów Japończyków wspina się na Fudzi. Tylko trzysta tysięcy dociera na szczyt, ale wszyscy zostawiają po sobie jakiś ślad. Puste puszki, butle tlenowe, wyładowane baterie, berety, ręczniki, stare gazety i kolorowe plastikowe opakowania z okruchami wszystkich specjałów, jakie produkuje Japonia, czynią z góry wysypisko śmieci.

W regularnych odstępach święta droga jest poprzecinana drewnianymi bramami, szintoistycznymi torii, ostrzegającymi wędrowca, że wstępuje do królestwa bogów. Wygląda jednak na to, że niebiańscy mieszkańcy góry wynieśli się stąd, zostawiając Fudzi ziemskim spekulantom. „Zatrzymaj się, spędź tutaj noc!”, wrzeszczą podejrzani naganiacze, próbując przyciągnąć pielgrzymów do swoich prymitywnych baraków. Nocleg na szczycie to tylko kwestia ceny. Pięć tysięcy osiemset jenów kosztuje małe miejsce na drewnianej platformie obok setek innych ludzi i brutalna pobudka o czwartej rano, kiedy wschodzi słońce.

Trudno cieszyć się nadzwyczajną urodą tego codziennego święta, ponieważ na szczycie Fudzi - ołtarza słońca - magię poranka niszczą oślepiające reflektory, ciszę natury mącą ryczące generatory. Podczas gdy kilka staruszek kłania się pobożnie pierwszym złotym promieniom, inni wędrowcy, ukryci w kłębach papierosowego dymu, patrzą z wielkim dystansem na wstające słońce.

Wschód nad kraterem Fudzi przynosi przede wszystkim potworny zamęt bazaru. Jakby znikąd pojawiają się stragany oferujące gorące zupki, alkohol i widokówki. W małej świątynce 336 szintoistycznej dwaj młodzi duchowni za dwieście jenów (mają monopol na tę działalność) stemplują czerwoną pieczęcią wszelkie suveniry na dowód odbytej wspinaczki. Na terenie wielkiej świątyni, poniżej, otwierany jest tymczasem supermarket z amuletami i talizmanami. I oto bezdrzewna ścieżka, która biegnie wzdłuż krateru, przeobraża się w zatłoczoną główną drogę japońskiej wioski, gdzie można kupić wszystko i gdzie święta góra jest skomercjalizowana i sprowadzona do tandetnej pamiątki. Ale czy Fudzi nie była czymś więcej niż tylko zwykłą górą? Nie była symbolem Japonii? Częścią japońskiej duszy? Nie była, razem z cesarzem, istotą tożsamości tego kraju? Prawdziwym powodem, dla którego Japończycy czują się Japończykami?

W przeszłości tak na pewno było. Przez stulecia Japończycy widzieli w Fudzi siedzibę bogów, miejsce ze swoich legend, ucieleśnienie idei* piękna. „Nic nie odegrało tak determinującej roli w ukształtowaniu mentalności japońskiej jak Fudzi”, napisał pół wieku temu eseista Okakura. Malarze i poeci wystawiali swój talent na próbę, podejmując temat niezrównanej góry. Niektórzy żartobliwie:

Na swój sposób to było zabawne nie dostrzec Fudzi we mgle i deszczu

-napisał ponad trzysta lat temu Basho, Dante Alighieri Japonii, wielki mistrz haiku.

Fudzi była dla mieszkańców archipelagu odzwierciedleniem wyjątkowej więzi, jaka zawsze łączyła ich z naturą. Mieli dla góry szacunek, oddanie, czuli wobec niej świętą bojaźń. Z takich uczuć powstała stara japońska religia, szintoizm, w którym każda siła przyrody to bóstwo, kami, a słońce jest początkiem wszystkich kami oraz samych Japończyków. W tym panteonie Fudzi była ich obrończynią, opiekunką ich losu.

Obłoki na niebie z czcią się zatrzymują. Skarb ofiarowany śmiertelnym boskie oko nad Japonią.

Słowa te, w 757 roku naszej ery, napisał Tachibana no Moroe. To fragment wiersza o Fudzi, którego od tamtej pory każde japońskie dziecko musi uczyć się na pamięć.

Wchodząc na górę, Japończycy pragnęli odpędzić swoje lęki i przeżyć odrodzenie. Rokkon shojo, „oby sześć dusz mojego ciała odzyskało czystość”, recytowali przez wieki pielgrzymi, wdrapując się po stoku usypanym z popiołu, odziani w najprostsze białe tuniki, w słomianych sandałach, trzymając laskę z ośmioma fasetami i dzwonkiem, którego dźwięk towarzyszył tej litanii.

Koniom wstęp był wzbroniony. A także kobietom. 16 Na trasie umieszczono dziesięć stacji: pielgrzym zatrzymywał się w nich, aby odpocząć i zmówić modlitwę. W szintoistycznej świątyni czczono boginię góry o imieniu tłumaczącym się jako: „Ta, która sprawia, że rozwijają się kwiaty na drzewach”.

Modlitwa do wschodzącego słońca na szczycie Fudzi była radością i aktem przebłagalnym. Nawet sam sen o górze interpretowano jako wróżbę pomyślnych zdarzeń. Fudzi była świątynią najgłębszej wiary Japończyków, bytem, który odzwierciedlał, jak lustro, ich namiętności:

Odrzuć zasłonę chmur i pokaż mi, pokaż swoją skórę białą i czystą.

Zdanie to napisał pod swoim sławnym obrazem Fudzi pewien malarz zen.

Każda wioska, z której widać było górę, miała świątynię Fudzi. Prowincje pozbawione błogosławieństwa jej widoku, nazywały imieniem Fudzi najwyższą górę w okolicy. W całej

Japonii umieszczano świątynie z replikami wulkanu (niekiedy wyższymi od domu), aby dać ludziom namiastkę świętej wspinaczki.

Cudzoziemcy pragnący poznać japońską duszę, słysząc, że ten naród jest tak oddany górze i że wielbi w niej szczególnie symetrię formy, dochodzili do wniosku, że Japończycy są bardziej zainteresowani powierzchownością niż substancją, bardziej emocjami niż wartościami. Zdaniem niektórych przywiązanie do góry to niepodważalny dowód duchowej pustki w sercu tego kraju.

- Udać się na poszukiwana istoty Japonii to jak obierać cebulę - mówili obcokrajowcy mieszkający w Japonii na początku XX wieku. - Obiera się, obiera, a w końcu zostaje tylko mnóstwo łupin.

To samo można powiedzieć o Fudzi. Na wierzchołku góry, zdobywanej na przestrzeni stuleci przez całe miliony Japończyków, nie ma nic poza pustym kraterem, w którym, białymi kamyczkami na czarnym popiele, ludzie rysują ideogram własnego imienia... albo ideogram swojej firmy. Krater ma półkilometrową średnicę i dwustupięćdziesięciometrową głębokość. Spacer po ośmiu szczytach i oglądanie wstającego słońca z wierzchołków zwróconych na wschód to największa ambicja każdej pielgrzymki.

A jednak sensowniej jest usiąść i obejrzyć obniżające się słońce z jednego z zachodnich wierzchołków. Kiedy światło dnia dogasa, a ciemność połyka błyskawicznie morze, łańcuchy górskie i samą Fudzi z pochłoniętymi wspinaczką pielgrzymami, w powietrzu czuje się zapowiedź śmierci. I prawdopodobnie to właśnie śmierć Japończycy od wieków wiązali ze swoim wulkanem.

To nią byli zawsze zafascynowani, to z nią się mierzyli. Miecze są najbardziej wyrafinowanymi dziełami ich sztuki, polegli wojownicy najzarliwiej czczonymi bohaterami. Szczególna więź tego narodu z Fudzi ma źródło w oczarowaniu śmiercią, o której 339 krater, ze swoją nieprzewidywalnością, nieustannie przypomina. Nieprzypadkowo w mitologii japońskiej Fudzi była bramą do zaświatów, nieprzypadkowo pragnieniem każdego Japończyka była śmierć z oczami zwróconymi ku górze. Związek pomiędzy Fudzi a śmiercią istnieje również dzisiaj.

„Pomyśl o rodzicach! Pomyśl o tych, których kochasz! Życie to cenny dar... Zanim skoczysz, powiadom policję” - czytamy na plakatach wokół Aokigamori, „Lasu o błękitnym drewnie” u podnóża Fudzi, lepiej znanego jako „Las samobójców”. Aby zabić się w cieniu czarodziejskiej góry, ludzie przybywają z całej Japonii. Policja często musi prosić miejscowych wolontariuszy o pomoc w szukaniu zwłok.

Niedawno Akira Kurosawa, wielki reżyser, wybrał pokłady czarnego piasku Fudzi na miejsce, w którym popada w obłęd japoński król Lir. Tutaj też Kurosawa osadził ostatnią, epicką bitwę swojego filmu Ran. Powieść fantastyczna Koniec Japonii, przez siedem lat nieschodząca z list bestsellerów, rozpoczyna się od opisu wybuchającej Fudzi.

Przed stu laty do cech przypisywanych Fudzi dołączyła jeszcze jedna. Góra stała się symbolem japońskiej „wyjątkowości”. Były to czasy, w których Japonia, skonfrontowana z potęgami zachodnimi, postanowiła zniszczyć wiele swoich tradycji, postanowiła, że historia, kultura, obyczaje japońskie zostaną usunięte, aby powstał kraj nowy i nowoczesny. Japończykom jako powód do dumy pozostawiono naturę. To miało ich odróżniać od ludzi Zachodu. Przyroda japońska została określona jako „wyjątkowa” i Fudzi stała się jej symbolem. A więc i symbolem wyższości narodu.

Odtąd wspinaczka poza wymiarem duchowym posiadała również wymiar patriotyczny. Flaga ze wschodzącym słońcem dołączyła do dwóch dzwonek przy lasce pielgrzyma. Tenno jako „jedyny, wyjątkowy” cesarz i Fudzi jako „jedyna, wyjątkowa” góra zostali wykorzystani, by nadać znaczenie polityczne starej idei przynależności do narodu bogów. Wizerunki cesarza i Fudzi roz- 340 powszechniano w całej Japonii. Od tamtej pory patriotyczny kult

Tenno i góry wzajemnie się dopełniały. Fudzi była źródłem siły i dumy narodowej. Armia cesarska założyła obóz szkoleniowy u jej stóp. Hirohito wszedł na szczyt w 1923 roku, jeszcze jako następca tronu.

Później nowi „wojownicy” Japonii schronili się w opiekuńczym i budzącym nadzieję cieniu Fudzi. Inaba zbudował swoją niezwykłą żółtą fabrykę, gdzie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę roboty produkują roboty. Inne fabryki i laboratoria poszły w jego ślady. Członkowie nacjonalistycznej prawicy postawili tam pomnik upamiętniający generała Tojo i innych zbrodniarzy wojennych powieszonych przez Amerykanów. Sekta buddyjska Sokagakkai założyła cmentarz z pięćdziesięcioma tysiącami miejsc pochówku dla swoich wyznawców. Biała flaga z czerwonym słońcem pośrodku, Hinomaru, lub ta z promieniami słonecznymi wychodzącymi z centrum, Kyoku Gitsuki, stanowią część wyposażenia każdego Japończyka szykującego się do wspinaczki.

A jednak pielgrzymowanie straciło swój dawny sens i jak wiele innych japońskich doświadczeń przynosi rozczarowanie. Przygnębienie ogarnia na samym początku. Pierwszych pięciu stacji już nie ma. Pod górę biegnie coś w rodzaju autostrady, pozwalając tysiącom właścicielom samochodów oszczędzić sobie drogi. Gdy powstaje korek, przez głośniki ukryte wśród sosen - większość drzew już uschła, zatruta spalinami - prosi się kierowców o zawrócenie.

Powyżej nieistniejącej już piątej stacji trasę wyznaczają sznury, łańcuchy i niezliczone znaki ostrzegające pielgrzymów przed możliwością osunięcia się kamieni albo przed niebezpieczeństwami związanymi z pójściem na skróty. Inne znaki chwala go za drogę już pokonaną i dodają otuchy na dalszą. Czasami przepływ wędrowców jest tak duży, iż ma się wrażenie, że znajdujemy się raczej w metrze w godzinach szczytu niż na stoku góry. Całymi tysiącami Japończycy brną przez czyściec pyłu i gorąca, zachowując porządek i posłuszeństwo, bez najmniejszego pojęcia, dlaczego to robią.

„Czemu wchodzisz na Fudzi?” - pytała dziennikarka lokalnej telewizji ludzi, którzy wdrapywali się z mozołem. „Ponieważ istnieje”. „Ponieważ wszyscy wchodzi” - takie były najczęstsze odpowiedzi. Dla wielu Fudzi stała się po prostu miejscem ustanawiania rekordów (w kategoriach „najstarszy człowiek, który wszedł na górę” lub „ten, który wniósł największy ciężar albo najdziwniejszy przedmiot”). Inni czynią ją sceną jakiegoś nonsensownego gestu, na przykład zanieśienia na szczyt roweru, co jest ostatnim krzykiem mody wśród nastolatków.

Fudzi to przede wszystkim znak firmowy. Oprócz Fuji Bank i sieci TV Fuji istnieją niezliczone produkty z górą w nazwie, od lodów po silniki Diesla. Tysiące lokali nazywają się Fudzi, od kręgielni po love hotels. Handlowe wykorzystanie tej nazwy, niegdyś świętej, najwyraźniej nie wywołuje żadnego zażenowania.

Nawet ideogram góry zmienił się z biegiem czasu. Kiedyś Fu ji pisano dwiema literami, które oznaczały: „nie istnieje druga” albo w innej wersji: „bez śmierci”. Litery wciąż są dwie, ale te używane dzisiaj oznaczają: „bogactwo”.

- Fudzi żyje-mówią japońscy naukowcy, przekonani, że góra nadal należy do grupy siedemdziesięciu ośmiu czynnych wulkanów na archipelagu. To możliwe, chociaż po raz ostatni Fudzi wybuchła w 1707 roku. Natomiast jako byt czarodziejski Fudzi niewątpliwie umarła, a tysiące zdobywających ją dzisiaj Japończyków uczestniczą w smutnym, chociaż nieświadomym wielkim pogrzebie: pogrzebie cywilizacji, która wybrała wulkan na swój symbol.

Na pewnej starej ilustracji widzimy małego ślimaka u podnóża ogromnej góry. I napis: „Nawet małe stworzenie, jeśli ma silną wolę, może dotrzeć na szczyt”. Japończycy to właśnie robili przez ostatnie sto lat. Z niewiarygodną determinacją, zachowując świadomość swojej przynależności, szli naprzód, dotarli na szczyt, stając się zamożnymi i nowoczesnymi. Drogo jednak zapłacili za zwycięstwo. Utracili więc z tą samą siłą, która przez stulecia była źródłem ich sztuki, literatury, religii i tożsamości.

342 Z naturą.

Wchodząc na Fudzi razem z nimi, można pojąć ogrom straty, jaką na własne życzenie ponieśli Japończycy. Przeprowa, niezależnie od tego, czy trwa pięć, czy dziesięć godzin, nie jest już odkrywaniem świata w stanie czystym, komunią z przyrodą, lecz tylko ćwiczeniem z modern living, jak oni sami lubią to nazywać. Wierzchołek góry nie jest już ołtarzem słońca ani potężnych mocy natury, lecz jeszcze jedną kopią tego, co każdy zostawił za sobą: sztucznego świata wielkich miast. Turyści cieszą się, że także tu w górze znaleźli urząd pocztowy i rzędy takich jak wszędzie zielonych telefonów, przed którymi mogą stanąć w kolejce, aby zadzwonić do kogoś „z najwyższej położonej budki telefonicznej w kraju”, że są grupy innych turystów, którzy przybyli na szczyt tylko po to, aby zainstalować swoje amatorskie anteny radiowe i powiększyć kakofonię bazaru o własne niemądre komunikaty. Biała kula stacji meteorologicznej i wielka zagarniarka zaparkowana naprzeciwko są ulubionym tłem większości pamiątkowych fotografii.

Sami Japończycy, którzy przez wieki żyli w doskonałej harmonii z naturą, przerażeni i urzeczni jej mocami, teraz, kiedy osiągnęli najwyższy poziom rozwoju technologicznego, chyba stracili dla niej cały respekt. Z wielbicieli stali się niszczycielami natury: zarówno własnej, jak cudzej.

Duża część japońskiej fauny wymiera. Prawie wszystkie rzeki mają betonowane brzegi. Ponad połowę wybrzeży szpecą sztuczne zapory w kształcie obrzydliwych betonowych trójnogów. Wielkie lasy dziewicze świata są stopniowo pożerane przez japońskie przedsiębiorstwa, morskie głębiny są przeszukiwane przez „sieci śmierci” japońskich kutrów rybackich. Wiele organizacji ekologicznych określiło Japonię jako „wroga numer jeden przyrody”. A konsekwencje tego wszystkiego nie ograniczają się do środowiska naturalnego.

Już sto lat temu wielki myśliciel Japonii, Nyozezan Hasegawa, dostrzegł niebezpieczeństwa kryjące się w takim rodzaju postępu, jaki wybrała jego ojczyzna. „Brak szacunku współczesnych

Japończyków dla natury nasuwa myśl, że nasza cywilizacja nie będzie twórcza”, napisał. Jego obawy okazały się prorocze.

Obserwowany ostatnio materializm i pogoń za zyskiem zagrażają Fudzi następną falą zniszczeń. W ostatnich trzech latach cena terenów u stóp góry czterokrotnie wzrosła, starych wieśniaków wygnano z ich pól ryżowych, 20 procent lasów wokół Fudzi zostało wykupionych przez spekulantów, którzy zbudują kolejne pole golfowe, źródło, jak dzisiaj wiadomo, potwornych zanieczyszczeń. Spekulanci myślą już o samej górze i mówi się o projekcie kolejki linowej, która woziłaby narciarzy na wysoczyźnie, tam, gdzie leży wieczny śnieg.

Wiele osób sprzeciwia się tym planom, ale siła pieniądza prędzej czy później przeważa. Ostatnią torii na górze, drewnianą bramę obwieszającą wędrowców, że dotarł do świętego celu, pokrywają monetki. Japończycy mówią, że robią tylko to, co się robi przy fontannie di Trevi, ale nie można odpędzić myśli, że złoty cielec zamieszkał także w najwyższym punkcie tego kraju.

Zdesakralizowana, zniekształcona, zawalona śmieciami, Fudzi wydaje się uosabiać destrukcyjną siłę Japończyków i ich duchową dekadencję. Sama nazwa być może kryje w sobie przekleństwo. Słowo to nie jest japońskie. Pochodzi z języka Aj nów*, pierwszych mieszkańców archipelagu, którzy zostali niemal doszczętnie wybici przez najeźdźców.

Dziwny los Japończyków! Ze wszystkich narodów chyba jako jedyni wybrali na symbol swojej cywilizacji fragment natury. Inaczej niż Chińczycy z ich Wielkim Murem czy Egipcjanie z ich piramidami, związali swoje przeznaczenie, jak na ironię, z wulkanem. A przecież chcą dzisiaj uchodzić za naród doskonałych twórców!

* W języku Ajnów Fudzi oznacza „boginię ognia”.

Co więcej, cała wartość symbolu tkwi w jego kształcie i to właśnie kształtowi grozi teraz niebezpieczeństwo.

Zachwycający w czas pięknej pogody, zachwycający w dni chmurne i deszczowe, kształt Fudzi nigdy się nie zmienia

- mawiali starcy. Według legendy każde ziarenko piasku, które pielgrzymi wynosili z góry za dnia, w nocy cudownie powracało, aby Fudzi pozostała niezmienna. Ale te czasy już minęły. Z roku na rok góra traci około dwustu tysięcy metrów sześciennych piasku i lawy. Sławny kształt Fudzi, symetrycznego stożka, o którym mawiano, że jest „stabilny jak system polityczny kraju”, szybko się zmienia z powodu erozji i lawin. Ale Japończycy nie rozpaczają: rozważają otoczenie szczytu czymś w rodzaju ogromnego betonowego kołnierza, aby przynajmniej z daleka góra wyglądała tak jak przed wiekami.

Nic ich nie powstrzyma tych Japończyków! Od kiedy przeszli na religię nowoczesności i utracili wiarę w miliony bogów*, mało co jest dla nich święte. Niedawno pewien student z Uniwersytetu Tokijskiego podczas dyskusji powiedział:

- Powietrze? Co z tego, że będzie zanieczyszczone albo go zabraknie. Zdołamy odtworzyć je sztucznie!

Nikt nie zapytał, czy życie miałyby wtedy jeszcze jakąś wartość. Takich pytań tutaj się nie zadaje.

Na początku XX wieku Japończycy byli tak dumni ze swojej modernizacji, że szczycili się nią, mówiąc iż w zaledwie dwie dekady dokonali tego, co ludziom Zachodu zajęło dwa stulecia. Ich sukces gospodarczy wywołuje podobną, absurdalną arogancję. Ich zdolność uczenia się, kopiowania, adaptowania i ulepszania każdego cudzego wynalazku każe im sądzić, że są w awangardzie przyszłości. Postrzegają się jako wzór do naśladowania dla innych. Homo japonicus to według nich człowiek jutra.

345

W szintoizmie jest około ośmiu milionów bogów.

Ich siła polega na solidarności społecznej i determinacji, tak podobnej do uporu ślimaka ze starej ilustracji.

O świtaniu z wyżyn Fudzi widać, jak nadchodzą, nadchodzą, nadchodzą. Ze swoimi lampami przypominają rój świetlików. Idą po lawie i po odpadkach, niosąc swój sprzęt, swoje worki, swoje szalasy górskie, swoje dzwonki, swoje namioty, swoje urządzenia elektroniczne, swoje rowery, swoje sztandary, zadowoleni z tego, że czują się Japończykami, że robią coś, co robią także inni.

Czyjaponia widziana z góry przestała być zagadkowa? Oczywiście nie. Ale przynajmniej wiemy, że ten kraj nie jest czymś dużo większym, niż się wydaje. Podobnie jak Fudzi - wielki jest jedynie z daleka.

Wybrałem Tajlandię, ponieważ po pięciu latach aseptycznej, efektywnej i zimnej nowoczesności Japonii czułem ogromną tęsknotę za zapachami, kolorami chaotycznego ludzkiego ciepła Azji tropikalnej. Rozpadający się dom, w którym zamieszkaliśmy, był najpiękniejszym w całym naszym życiu. Zbudowany z drewna, stał nad stawem, w którym mieszkał ogromny, sędziwy żółw. Zanim moje nazwisko pojawiło się na liście akredytowanych korespondentów, poprosiłem o zwykłą wizę turystyczną do Birmy.

Birma: nie ma kwiatów dla umarłych

Rangun, styczeń 199J

Jak wszystkie dyktatury, także birmańska nie przepada za dziennikarzami. W egzemplarzu jednego tutejszego dziennika (wręczono mi go wraz z kluczem do pokoju w Strand Hotel) w

artykule wstępny czytam atak na „falszywe wiadomości rozpuszczane przez pewnych zagranicznych korespondentów, którzy w przebraniu przenikają do kraju i których naród birmański ma obowiązek tropić”. Jestem jednym z nich. Aby otrzymać wizę, nie podałem prawdziwego zawodu, aby dołączyć do grupy turystów, zapłaciłem astronomiczną sumę. A gdy już się tutaj znalazłem, za kilka dolarów kupiłem sobie swobodę ruchów i dzięki pomocy zwykłych Birmańczyków, bynajmniej niezainteresowanych za- denuncjowaniem mnie, próbuję zajrzeć za fasadę porządku i czystości, którą dyktatura wojskowa chce zamydlić światu oczy.

Rangun to doskonały przykład trompe l'oeil na użytek turystów. Kolonialne fasady budynków publicznych, podupadające fronty prywatnych domów ostatnio odświeżono wapnem, które przykryło starą pleśń i dziury po kulach. Kanały ściekowe zostały oczyszczone, dziury na ulicach wypełnione asfaltem. W parkach miejskich nowe fontanny wyrzucają w powietrze wesołe strumyki wody. Wieczorami, na tle bezchmurnego nieba pełnego gwiazd i ptaków, widać eleganckie sylwetki pagód. Spokojne, piękne miasto? Stolica kraju pogodzonego z samym sobą? Nic podobnego.

Wściekłość i strach czuje się podskórnie. Niewiele czasu za muje odkrycie, że ludzie musieli się zadłużyć, aby wykonać rozkaz pobielenia swoich domów, że wody - wysyłanej do fontann - brakuje w dwóch szpitalach w centrum, że oświetlenie pagód zostało wyłączone z systemu stolicy, coraz dotkliwiej nękanej przerwami w dostawie prądu. Mówiąc o nowoczesnych rozwiązaniach wprowadzonych przez dyktaturę, państwowi przewodnicy lubią wskazywać wiadukty biegnące nad głównymi ulicami, ale pewien Birmańczyk zwraca mi uwagę na niepokojący, nieoczywisty aspekt tych konstrukcji:

- Stamtąd żołnierzom będzie łatwiej strzelać do demonstrantów niż z dachów.

We wrześniu 1988 roku setki tysięcy Birmańczyków przeszły alejami stolicy, domagając się wolności i demokracji. Protesty zostały krwawo stłumione. Teraz wzdłuż alej wojskowi wzniesli wysokie zasieki, a na najważniejszych skrzyżowaniach postawili małe forty z otworami strzelniczymi zwróconymi w różne strony. Gdyby ktoś się odważył znów protestować, nie będzie miał dokąd uciec. Demonstranci znajdują się jakby w tunelu, pod ostrzałem karabinów maszynowych.

Terror jest odwiecznym narzędziem władzy i wojskowi birmańscy robią wszystko, aby ludzie się bali. Ciężarówka pełna żołnierzy z wycelowanymi karabinami mkną przez centrum Rangunu o każdej godzinie dnia i nocy, żołnierze z palcem na spuście stoją przy wejściu do każdej pagody, do każdego klasztoru. Uniwersytet Ranguński, zamknięty od trzech lat, jest okupowany przez wojsko. Dom, w którym od lipca 1989 roku Aung San Suu Kyi, bohaterka ruchu prodemokratycznego, jest trzymana w areszcie, bez możliwości komunikowania się ze światem, otaczają oddziały w mundurach bojowych. 17 Już pięćdziesiąt metrów dalej znak na chodniku obwieszcza: „Przejdźcie wzbronione”. Nikt zresztą nie próbuje tędy chodzić. Elegancki budynek parlamentu został dopiero co pobielony, ale jest cichy i pusty. Stoi w środku parku, gdzie aż biją w oczy mundury i broń. Nie ma szans, aby zebrało się tu czterystu osiemdziesięciu pięciu deputowanych, których naród birmański wybrał w ostatnich wolnych wyborach w ubiegłym roku.

Wojskowi obiecali te wybory, kiedy dokonali zamachu stanu we wrześniu 1988 roku, ale jako że wyniki nie były po ich myśli (82 procent głosów przypadło Narodowej Lidze Demokratycznej, partii Aung San Suu Kyi), odmówili powołania nowego parlamentu. Generałowie ze SLORC (State Law and Order Restoration Council), jak kaže się nazywać wojskowa junta, nie mają zamiaru odstąpić sterów kraju rządowi cywilnemu. Wręcz przeciwnie. Podczas dwóch lat u władzy wojskowi wykorzystali wszelkie środki, aby wyeliminować swoich przeciwników. Same wybory, jak się poniewczasie okazało, służyły temu celowi. Dzięki zdjęciom i kasetom wideo z manifestacji i zgromadzeń Narodowej Ligi Demokratycznej wojskowi w każdym mieście i w każdej wiosce zdołali zidentyfikować i

wyeliminować przywódców ruchu prodemokratycznego. Tysiące studentów trafiły do więzień i obozów pracy, setki zwyczajnie zniknęły. Jeden po drugim, nowo wybrani deputowani zostali wezwani przez wojskowe władze i szantażami oraz groźbami zmuszeni do podpisania deklaracji, w której potwierdzali władzę SLORC. Kto nie podpisał, trafiał do więzienia. Dziesięć osób zdołało przekroczyć granicę z Tajlandią i uformować rząd na wygnaniu, jednak żaden kraj na świecie go nie uznaje.

Amnesty International w ostatnim raporcie na temat sytuacji w Birnie mówi o „doraźnych egzekucjach, powszechnie stosowanych torturach, niewyjaśnionych zgonach więźniów”. A mimo to kraje Wspólnoty Europejskiej nie zrobiły nic poza „oziębieniem” swoich stosunków z Rangunem i wstrzymaniem pomocy wysyłanej do Birmy. Zresztą nie na długo. Już rośnie presja tych, którzy chcą przywrócić kooperację i handel.

- Rząd wojskowy jest nielegalny - mówi pewien zachodni dyplomata - ale jako jedyny utrzymuje kontrolę nad krajem.

O niemoralności tego „realistycznego stwierdzenia” przekonują się przede wszystkim sami Birmańczycy.

„Jesteśmy masakrowani. Błagam, niech pan poinformuje Narody Zjednoczone”, znajdują angielskie słowa na bileciku, który jakiś człowiek zostawia mi na ławce w parku.

Wzruszający gest. Naiwność. Narody Zjednoczone mają mało do powiedzenia.

Październikowa próba przepchnięcia do Zgromadzenia Ogólnego rezolucji, która potępiałaby rząd z Rangunem, została od razu odrzucona pod naciskiem delegacji japońskiej. Tokio ma w Birnie ogromne interesy ekonomiczne i musi ich bronić. Organizacja Narodów Zjednoczonych dalej prowadzi swoje programy pomocowe i miliony dolarów przepływają do kas państwowych Birmy. Dyktatura korzysta z nich bez umiaru i nadal łamie podstawowe zasady rządzące tą międzynarodową organizacją.

- Chciałby pan coś wiedzieć o deportacjach? - pyta mężczyzna telefonujący do mnie do hotelu. Spotykamy się po zachodzie słońca na brzegu jeziora Inle. Ciemność jest tak nieprzenikniona, że nie widzę jego twarzy, jednak informacje są precyzyjne: całe dzielnice Rangunem, z których pochodzili najbardziej radykalni uczestnicy prodemokratycznych rozruchów, zostały opróżnione. Mieszkańców zmuszono do porzucenia stolicy i ulokowano w dalekich osadach. Rząd mówi o „nowych miastach”, ludzie o „obozach koncentracyjnych”. Jednym z takich miejsc jest Dagon, dziesięć kilometrów na północ od Rangunem. „Bez dyscypliny nie ma postępu”, głosi slogan rządowy przy bramie. Widok jest wstrząsający. Na posępnej rów- 350 nynie bez ani jednego drzewa, w prymitywnych drewnianych barakach żyje dwadzieścia tysięcy osób. Jedyna woda, jaką mają do dyspozycji, to ta z bagna, nad którym latają chmury komarów. Słońce pali bezlitośnie, a ziemia jest wyschnięta. Nie da się nic uprawiać. Ludzie nie przestają szukać pracy w mieście. Kto jednak zostaje złapany w Rangunem po zachodzie słońca, trafia do więzienia. Podobnie jak stolica, każde miasto w Birnie zostało „oczyszczone”, a „niezdyscyplinowani” wysłani do nowych osad. Świat nie zaprotestował. Narody Zjednoczone nie zawiesiły swoich programów pomocowych. Z Paganu, miasta dwóch tysięcy pagód, cała ludność, która żyła w obrębie starych murów, została deportowana w ciągu trzech dni. A ONZ nadal finansuje restaurację pagód.

Inny koszmar, za który jest odpowiedzialna dyktatura, to „tragarze”. Żołnierze chwytają tysiące ludzi, często przypadkowych. Używają ich jako zwierząt jucznych na górskich terenach pogranicza, gdzie rząd z Rangunem walczy z mniejszościami etnicznymi domagającymi się niepodległości.

- Mój sąsiad wracał do domu po godzinie policyjnej. Żołnierze zatrzymali go i zabrali - opowiada mi taksówkarz.

Szukam adresu rodziny. Żona potwierdza historię. Po mężczyźnie ślad zaginął sześć miesięcy temu. Słyszałem dziesiątki takich opowieści. Na północy Birmy spotkałem człowieka, który, udając się w interesach do miasta Lashio, widział kolumnę ciężarówek

wojskowych przykrytych bambusowymi płachtami. Przewoziły setki młodych ludzi w stronę granicy. Wśród nich rozpoznał aresztowanego w maju siostrzeńca. Niewielu „tragarzy” wraca, aby opowiedzieć o swoich przeżyciach w górach, ale kiedy im się to udaje, relacje mrozą krew w żyłach. Tragarze są przywiązywani do ładunków amunicji i żywności, posyłani na rozpoznanie na zaminowane pola i używani jako żywe tarcze przez żołnierzy podczas bitew. Ich trupy, przysypane liśćmi, porzuca się wzdłuż ścieżek. O tej potworności poza granicami Birmy wiadomo niewiele albo nic.

Birmańska tragedia nie przebiła się do świadomości świata. Trudno wyjaśnić dlaczego. Tysiąc zabitych w centrum Pekinu wstrząsnął międzynarodową opinią publiczną i nadal rzuca cień na obraz Chin. Dwa, trzy, może cztery tysiące zamordowanych w Birmie, kraju o zaledwie czterdziestodwumilionowej ludności, nie zrobiły takiego wrażenia. Aby oszukać pamięć świata, generałowie z Ranguny zmienili nazwę swojego kraju na Myanmar. W ten sposób jakby wymazali wspomnienie o Birmie i jej rzezi*

Ilu było zabitych, nie wiadomo, ale przez dwa tygodnie, podróżując po kraju pociągiem, statkiem, autobusem, słyszę o morzu krwi, którego ludzie łatwo nie zapomną. Jakaś dziewczyna opowiada o trzystu zabitych w mieście Pymmana i o kamieniołomie, w którym kilkuset studentów zostało skazanych na prace przymusowe. Pewien handlarz drewnem opowiada o masowym grobie niedaleko miasta Taunggyi, do którego żołnierze wrzucili razem z umarłymi dziesiątki konających ludzi.

Reżim nie ma się już czego obawiać. Z dwudziestu tysięcy studentów, którzy poszli do dżungli na granicy z Tajlandią, chcąc założyć partyzantkę, część wróciła po przebaczenie, część została aresztowana albo zabita. Reszta ludności ugięła kark. Terror zadziałał. Nikt nie trąbi na znak solidarności, przejeżdżając obok domu Aung San Suu Kyi. Nikt nie kładzie kwiatów w miejscach, gdzie dokonano rzezi. Nikt już nawet nie pisze na murach stolicy hasel przeciwko wojskowym.

- Nie mamy broni, nie mamy przywódców, nie mamy odwagi - mówi mężczyzna, który był działaczem Narodowej Ligi Demokratycznej. - Gdyby ktoś na ulicy zawołał: „Precz z dyktaturą!”, ludzie uciekliby dzisiaj z przerażeniem.

Nadzieja w tym, że ratunek przyjdzie z zewnątrz. „Świat nie może o nas zapomnieć”, słyszałem wiele razy podczas podróży. Smutne jest to, że świat ogląda zbyt wiele tragedii, aby pamiętać o tak odległym dramacie - czterdziestu dwóch milionów mieszkańców pewnego dziwnego kraju zwanego dziś Myanmar.

rewolta bonzów

Mandalaj, styczeń 1991

Kiedy sto czterdzieści lat temu król Mindon postanowił przenieść do tego miasta stolicę kraju, najpierw kazał pochować żywcem w fundamentach swojej nowej siedziby pięćdziesiąt dwie osoby. Miały one zostać „duchami opiekuńczymi”. Jego następca, król Thibaw, obawiając się, że ktoś zechce odebrać mu tron, wtrącił do więzienia wszystkich swoich krewnych, a osiemdziesięciu z nich zabił.

Masakra trwała trzy dni. Przebiegała przy dźwiękach muzyki i w rytm tradycyjnych tańców. Kiedy królestwu zaczęli zagrażać Brytyjczycy, którzy przesuwali się z Indii w stronę Birmy, król Thibaw pomyślał, że potrzeba więcej duchów opiekuńczych. Kolejnych sześciuset ludzi zakopano żywcem wokół pałacu królewskiego.

W tradycji birmańskiej władza zawsze była postrzegana jako wola bogów; dlatego zbrodnie popełniane przez panujących nigdy szczególnie nie oburzały ludności. Dziwna rzecz, ale nic się nie zmieniło. Dyktatura wojskowa po wymordowaniu kilku tysięcy osób w 1988 roku nadal aresztuje, torturuje i zabija swoich przeciwników, ale ogół najwyraźniej traktuje to wszystko jak plagę przysланą z nieba, na którą nic nie można poradzić. Historia po prostu się powtarza.

Tutaj, w Mandalaju, pałac należący niegdyś do królów Mindona i Thibawa służy dziś za rezydencję generałom odpowiedzialnym za północ kraju. Przeciwników dyktatury wtrącono do XIX-wiecznego więzienia: to smutny, szary budynek w północno-wschodnim rogu murów. Większość więźniów stanowią tym razem mnisi.

Mandalaj jest centrum duchowym Birmy. Tutaj znajdują się najważniejsze klasztory buddyjskie, tutaj stoją jedne z najświętszych pagód. Tutaj także rzucono najgroźniejsze wyzwanie reżimowi. 353

Stało się to za sprawą młodych bonzów. Po zdławionej - jak zwykle krwawo - manifestacji studenckiej, zaczęli oni nawoływać do bojkotu, który natychmiast okazał się o wiele potężniejszą bronią od strajków i demonstracji, ponieważ wstrząsnął jedną z najistotniejszych dziedzin birmańskiego życia. Od stuleci, każdego dnia, w pierwszym świetle brzasku, dziesiątki tysięcy mnichów, bosych, owiniętych w pomarańczowe tuniki, wychodzą z klasztorów i gęsiego, z pustymi miseczkami, krążą po ulicach miast i wsi. Ich przybycie jest często obwieszczane przez dźwięk gongu, w który uderza młodzieńki bonza wyprzedzający zbierających datki. Ludzie czekają na progach domów i proponują przechodzącym mnichom ryż, owoce i kwiaty, dając dyskretnie dowód swojej pobożności. Nie jest to tylko rytuał, który wyznacza rytm każdego dnia, lecz przede wszystkim okazja, by buddysta swoimi ofiarami mógł się zasłużyć na poczet przyszłego życia.

Fakt, że nagle mnisi z Mandalaju, a potem z całej Birmy odmówili przyjmowania ofiar od rodzin żołnierzy, że przestali przychodzić na uroczystości wojskowe i celebrować śluby oraz pogrzeby mundurowych, był bardzo dotkliwym ciosem.

- O wiele mocniejszym niż sto bomb - mówi pewien dyplomata.

Dla prostych żołnierzy bojkot był jak ekskomunika i niesłuchanie podkopał ich morale. Bonzowie, ze swoim autorytetem i ruchliwością, stali się spoiwem narodowej opozycji wobec reżimu.

Wojskowi natychmiast zdali sobie sprawę z niebezpieczeństwa i zareagowali. W październiku w ciągu trzech dni wszystkie klasztory w Mandalaju zajęło wojsko, kilkuset mnichów aresztowano, a domy, baraki, sklepiki tysięcy osób, które osiadły wzdłuż murów świątyń, trwale łącząc tym samym duchownych i społeczność, zniszczono. Mieszkańcy zostali zapędzeni do obozu oddalonego o siedem kilometrów.

Dzisiaj klasztory są odizolowane. Każdą budowlę religijną otacza pas ziemi niczyjej, który tylko bonzowie mogą przekraczać.

Każda świątynia jest pilnowana przez żołnierzy w mundurach polowych. „Teren święty - teren wojskowy. Pomocy!” - czytam angielskie słowa na kawałku papieru, który młody bonza podaje mi ukradkiem, kiedy odwiedzam stojącą w centrum miasta pagodę Złotego Żurawia. Na dziedzińcach i w wielu kaplicach stacjonują dziesiątki żołnierzy. O marmurowych Buddów uśmiechniętych łagodnie w swoich niszach oparte są karabiny i hełmy.

Od dwóch miesięcy mnisi, którzy w przeszłości podróżowali swobodnie z jednego końca kraju na drugi (z szacunku zawsze sadzani na honorowym miejscu, obok kierowcy samochodu i autobusu), nie mogą już opuszczać klasztorów bez pisemnego zezwolenia przeora. Tysiące mnichów reżim zmusza do porzucania szat duchownych i powrotu do świeckiego życia, inni są aresztowani i oskarżani o takie zbrodnie, jak gwałt i kradzież. Birmański mnich musi dochowywać wiary czterem ślubom: nie zabijać, nie kraść, nie utrzymywać stosunków seksualnych i nie chwalić się, że zrobił postępy na drodze do oświecenia.

- Dyktatura dodała piąty ślub - mówi mi młody bonza. - Nie zajmować się polityką.

Do zeszłego roku było w Birmy trzysta trzydzieści tysięcy mnichów. Junta wojskowa w rozpoczętej właśnie kampanii „Oczyszczanie buddyzmu” chce zmniejszyć liczbę przynajmniej o 20 procent. Dla zrównoważenia represji wobec kleru, szczególnie młodszego i aktywnie działającego, wojskowi robią teraz wszystko, aby mieć po swojej stronie starych

przeorów, którzy są przełożonymi w klasztorach i których nominacja zależy od rządu. Niemal w każdym wydaniu jedynej gazety codziennej, jaka wychodzi w Birnie, „Dziennika Ludu Pracującego”, na pierwszej stronie widnieją zdjęcia generałów wręczających hierarchom Kościoła buddyjskiego (zwanego Sanghą) pudła z żywnością, kolorowe telewizory i wielkie sumy na renowację świątyń.

Mimo represji, jakie dotyczą mnichów, Birna wydaje się dzisiaj przeżywać wielkie odrodzenie religijne. Wszędzie w kraju widać restaurowane pagody, odmalowywane klasztory, robotników 355 złojących pinakle świątyń. Wojskowi najwyraźniej starają się wykorzystać religię do uprawomocnienia swojej władzy.

„Kiedy król jest sprawiedliwy, religia kwitnie i odnajdywane są wielkie skarby”, mówi stara przepowiednia birmańska, którą generałowie dyktatury - co za zbieg okoliczności - właśnie na nowo odkryli i upowszechnili. Bambusowe rusztowania w[^]- kół każdej pagody i każdego posągu Buddy mają być dowodem, że to generałowie ze SLORC są owym „sprawiedliwym królem”, którego wszyscy wypatrują. Innym dowodem ma być odnalezienie w Birnie, właśnie teraz, wielkiego skarbu: największego rubinu świata. Zdarzenie wywołało wielką sensację i podobno miało następujący przebieg: grupa poszukiwaczy z Mandalaju, kopiąc w pobliskich górach, znalazła bezcenny kamień, z którym, jak mówią, żaden inny nie może się równać: ma sto pięćdziesiąt karatów i doskonały blask. Rubin został przemycony do Tajlandii i sprzedany. Oburzeni generałowie ze SLORC poprosili o współpracę swoich przyjaciół z tajlandzkich tajnych służb. Po kilku tygodniach kamień wrócił do Rangun, gdzie teraz jest pokazywany publicznie, na dowód, że dyktatura posiada przychylną Niebios.

„Skarbem” o wiele ważniejszym od rubinu (jeśli zostanie odnaleziony) jest dla junty ropa. Kasy Birmy świecą pustkami. Aby przetrwać u władzy i zapłacić za nedorzeczną ilość broni importowanej przez generałów, przede wszystkim z Chin (miliard dwieście milionów dolarów w samolotach i czołgach), junta wojskowa sprzedaje, co tylko może. Ogromne koncesje na wyręb ostatnich wielkich lasów tekowych oddano Tajlandczykom. Zezwolenia na połów ryb wzdłuż birmańskich wybrzeży zostały sprzedane kutrom Korei Południowej i Tajlandii. Dochody z tych umów nie wystarczą jednak na długo.

Jedyną nadzieją jest ropa naftowa. Spółki międzynarodowe podpisały kontrakty z generałami z Rangun i pracuje tu już ponad tysiąc ekspertów europejskich, amerykańskich, australijskich i ja- 356 pońskich. Pierwsze wiercenia są obiecujące. Teraz trzeba czekać.

-Jeśli w ciągu najbliższych pięciu lat z szybów popłynie ropa, dyktatura przetrwa kolejne trzydzieści - mówi pewien zachodni dyplomata. Jego opinię podziela wielu obserwatorów.

Junta wojskowa, mimo swojej niepopularności po masakrach z 1988 roku i licznych późniejszych okrucieństwach, mocno trzyma się u władzy. Teraz, kiedy zagrożenie ze strony mnichów buddyjskich zostało wyeliminowane, nikt nie stawia jej już czoła.

Fakt, że ruch prodemokratyczny narodził się w miastach i był kierowany przez miejską elitę intelektualną, pozwolił wojskowym odseparować go łatwo od mas, w ogromnej większości mieszkających na wsiach i prowadzących tradycyjne, zanurzone w przeszłości życie, które mało ma wspólnego z dzisiejszym światem.

Pociąg Raŋgun-Mandalay Express (błysk światła w ciemności ogromnego pola ryżowego pomiędzy dwiema wielkimi rzekami) jest ze swoim conocnym zgrzytaniem jak potwór z innej planety, na którego rzucają się, ujadając, stada bezdomnych psów. W mroku widać tu i tam migotanie prymitywnych lamp naftowych w domkach z drewna i słomy. Wioski nie mają elektryczności, nie mają bieżącej wody. Ludzie żyją bardziej w świecie mitów niż faktów i informacji. Legendy znaczą tu o wiele więcej niż historia.

Przed grotami Pindaia, na południe od Mandalaju, gdzie w wilgotnych wnętrzościach góry odwieczna religijna żarliwość Bir- mańczyków zgromadziła kilka tysięcy posągów Buddy, przewodnik rządowy wyjaśnia turystom „historię” miejsca: „Dawno, dawno temu pewien

książę podróżujący po tym regionie ujrzał wielkiego pająka wchodzącego do jaskini, poszedł za nim i..."

W Mandalaju, w wielkiej świątyni Maha Muni, każdego dnia setki mężczyzn (kobiety nie są wpuszczane) wchodzą na piedestał wielkiego Buddy pośrodku świątyni i przyklejają drogie złote liście do posągu, z nadzieją, że to uleczy ich choroby.

Demokracja i prawa jednostki dla birmańskiego wieśniaka, który nadal czuje się związany feudalnymi stosunkami ze swoim „panem”, stanowią koncepcje dość mgliste. 357

W mieście Taunggyi chciałem zwiedzić fabrykę cheroot, sławnych birmańskich cygar. Gdy tam dotarłem, usłyszałem sugestywną pieśń płynącą z drewnianego pomieszczenia, gdzie około sześćdziesięciu kobiet siedziało w kucki, zwijając pospiesznie zielone liście tabaki. Ten śpiew był częścią ich pracy. Właściciel fabryki, pobożny buddysta, znajdował się na łożu śmierci, a śpiewanie sutry miało mu ułatwić przejście do nowego życia. Za każde tysiąc cygar, całodzienną pracę, kobiety dostają piętnaście kyatów, około dziesięciu eurocentów. Wiele z nich, aby zdobyć tę kwotę, przyprowadza z sobą małe dzieci, które im pomagają.

W tym społeczeństwie lud nigdy nie miał władzy, masy są jakby pogodzone, że ich los zależy od możnych - zazwyczaj okrutnych, a często po prostu szalonych. „Taka jest tradycja”, słyszałem wiele razy. Królowie Mandalaju w XIX wieku trzymali na dworze słonia. O jego potrzeby dbał minister, utrzymanie zwierzęcia zapewniały podatki z całej prowincji. Kiedy słon był mały, kobiety z miasta rywalizowały o przywilej karmienia go mlekiem.

W Mandalaju słonia nie ma już od dawna, jednak Birma nadal rządzi dziwni władcy. Ne Win, dyktator, który był u władzy od 1962 do 1988 roku, oprócz wielu dziwactw narzucił krajowi banknoty o nominale nie pięćdziesięciu czy stu kyatów, lecz dziewięćdziesięciu, ponieważ wierzył w magię cyfry 9. Z kolei banknoty o nominale siedemdziesięciu pięciu kyatów dodano, aby uczcić jego siedemdziesiąte piąte urodziny.

Dyktaturę Ne Wina zastąpiła, wraz z zamachem stanu w 1988 roku, dyktatura SLORC. Szefem junty wojskowej, która dzisiaj terroryzuje Birma, jest generał Saw Maung.

On również - według słów jego osobistego lekarza - jest wierny tradycji. I rzeczywiście, wystarczy posłuchać przemówień publicznych generała. Za każdym razem, gdy Saw Maung wygłasza mowę, chwali się, że przeczytał kilka książek. Jednym z jego ostatnich „dziwactw” było stwierdzenie, że Chrystus i Budda żyli w tym samym czasie.

psychodeliczna aureola

Pagan, luty 1991

Niektóre widoki sprawiają, że człowiek czuje się dumny z przynależności do rodzaju ludzkiego. Pagan o świcie jest jednym z nich. Na ogromnej równinie, od której odcina się jedynie srebrzyste lśnienie wielkiej rzeki Irawadi, jasne sylwetki setek pagód wyłaniają się powoli z ciemności i mgły: eleganckie, lekkie, każda jak zwiewny hymn na cześć Buddy. Ze szczytu świątyni Anandy słychać panie kogutów, konie stąpające po niewyrównanych jeszcze drogach. Zupełnie jakby jakaś magia zatrzymała tę dolinę w chwili jej minionej wielkości.

Przybyłem do Paganu starym stateczkiem, który płynie z Mandalaju mulistym biegiem rzeki Irawadi. Podróż trwa całą godzinę, a „chłopcy okrętowi” długimi kijami sondują nieustannie dno, wymijając mielizny. Gdy już przepłynie się pod wielkim mostem Ava, zbudowanym w latach trzydziestych przez Anglików (to wciąż jedyna konstrukcja łącząca brzegi wielkiej rzeki), stateczek sunie ze swoim starożytnym ludem na pokładzie przez pejzaż, który nie należy do naszych czasów.

Na wysokich piaszczystych brzegach nie widać ani jednej fabryki, ani jednej betonowej budowli, ani jednego słupa wysokiego napięcia, ani jednego magazynu ropy naftowej. Tylko gdzieś tam ze szmaragdowej zieleni pól ryżowych wyłaniają się białe szczyty pagód, niskie słomiane dachy drewnianych domków. Ludzie - i ci na pokładzie, i ci stłoczeni na

brzegu, zachwalający swoje towary, gdy stateczek przybija do nabrzeża - są ubrani jak przed wiekami. Jak przed wiekami łowią ryby, modlą się, pracują.

Nic nie jest współczesne, nic nie jest z XX wieku. Stądka dzieci myją się i baraszkują w wodzie. Powietrze jest krystalicznie czyste. Nie ma śladu zanieczyszczenia. Raj? Pokusa, by odpowiedzieć „tak”, jest ogromna i muszę pamiętać, że aby zachować 359

tę pozorną czystość, Birma zapłaciła innymi formami zanieczyszczenia. Aby zachować pozorny spokój, Birmańczycy zapłacili i nadal płacą najwyższą cenę - przemocy.

Czar Birmy polega na tym, że tutaj historia naprawdę się zatrzymała, a tragedia Birmy - że rozwój został zahamowany na rozkaz despotów dławiących krwawo każdą próbę wejścia na drogę postępu.

Po zakończeniu drugiej wojny Birma miała największe szanse dogonienia świata spośród krajów, które właśnie uzyskały niepodległość. Posiadała wszystkie bogactwa naturalne, o jakich kraj rozwijający się może marzyć: ropę, gaz, węgiel, drogie kamienie i ogromne lasy drzew szlachetnego gatunku. Poziom wykształcenia ludności należał do najwyższych w Azji. Struktury administracyjne działały skutecznie. Dzięki obecności społeczności hinduskiej i chińskiej system handlowy Birmy był bardzo konkurencyjny. Rangun, stolica, miał najlepsze księgarnie i najlepsze hotele w Azji, a także znakomitą uczelnię.

Potencjał ten trzeba było wykorzystać, modernizując kraj. Próbę podjął rząd demokratyczny, ale zamach stanu Ne Wina w 1962 roku przerwał eksperyment.

Ne Win, generał, uczestnik wojny przeciwko kolonializmowi brytyjskiemu, wierzył, że znalazł odpowiedź na pytanie nurtujące w owym czasie wszystkie młode niepodległe państwa: jak się rozwijać, nie tracąc własnej tożsamości, jak się modernizować, jednocześnie nie przyjmując bezkrytycznie wartości zachodnich? Jego celem było stworzenie buddyjskiego rajy na ziemi, jego receptą - „birmańska droga do socjalizmu”.

Aby zrealizować swój plan, Ne Win odizolował kraj od świata. Pod tą utopią kryła się stara idea „złotej przeszłości”, pragnienie cofnięcia historii do szczęśliwych czasów sprzed kolonizacji. Ne Win uważał się w pewnym sensie za spadkobiercę niegdysiejszych władców. Do swojej rezydencji w Rangunie kazał przenieść lwi tron należący do Thibawa, ostatniego króla zesłanego na wygnanie przez Anglików, a jedna z jego siedmiu żon była w prostej linii potomkinią rodziny królewskiej.

Z oponentami walczył z niesłychaną brutalnością. Gdy grupa studentów zamknęła się w budynku uniwersytetu, aby zaprotestować przeciwko dyktaturze, Ne Win kazał wysadzić budowlę i jej okupantów dynamitem. Mniejszościom etnicznym domagającym się autonomii w ramach Unii Birmańskiej Ne Win odpowiedział rozpętaniem wojny domowej, w której w ciągu trzydziestu lat zginęło ponad sto trzydzieści tysięcy ludzi. Wojna ta nigdy się nie skończyła.

„Birmańska droga do socjalizmu” była ślepym zaułkiem. Zniszczyła istniejącą infrastrukturę i roztrwonila zasoby. Dzisiejsza Birma nie produkuje niczego z tego, co jest jej potrzebne. Rowery, czajniki, zegarki i garnki do gotowania ryżu muszą być importowane i opłacane twardą walutą. Nawet longyi, długie kawałki materiału, w które owija się każdy Birmańczyk, mężczyzna i kobieta, zazwyczaj pochodzą z Indii albo z Chin. Nieliczne fabryki postawione przez dyktaturę mają wydajność na poziomie jednej trzeciej swoich możliwości. Huta stali Anizakhan w okolicach Maymyon, zbudowana przez Włochów w latach osiemdziesiątych, produkuje dziennie tylko trzydzieści z potencjalnych dziewięćdziesięciu ton. Fabryka szkła niedaleko Basseinu jest zamknięta od dwóch lat. Fabryka mleka w prosku, zbudowana zeszłego lata na południe od Mandalaju z pomocą Australijczyków, nie zaczęła jeszcze działać, bo brakuje wykwalifikowanych robotników. Trzydzieści lat izolacji i stagnacji gospodarczej (w 1989 roku wzrost wyniósł mniej niż 11 procent) bardzo zubożyło przeciętnych Birmańczyków. Dzisiaj ich średni dochód, jeden z najniższych na świecie, to dwieście dziesięć dolarów rocznie.

Bieda w kraju zmieniała mozaikę społeczną. Po wojnie, kiedy Birma była jeszcze jednym z wielkich eksporterów ryżu, żebracy praktycznie nie istnieli. Dzisiaj rynki są pełne nędzarzy żywiących się odpadkami. Bandy dzieci wyciągających ręce oblegają tę pozorną czystość, Birma zapłaciła innymi formami zanieczyszczenia. Aby zachować pozorny spokój, Birmańczycy zapłacili i nadal płacą najwyższą cenę - przemocy.

Czar Birmy polega na tym, że tutaj historia naprawdę się zatrzymała, a tragedia Birmy - że rozwój został zahamowany na rozkaz despotów dławiących krwawo każdą próbę wejścia na drogę postępu.

Po zakończeniu drugiej wojny Birma miała największe szanse dogonienia świata spośród krajów, które właśnie uzyskały niepodległość. Posiadała wszystkie bogactwa naturalne, o jakich kraj rozwijający się może marzyć: ropę, gaz, węgiel, drogie kamienie i ogromne lasy drzew szlachetnego gatunku. Poziom wykształcenia ludności należał do najwyższych w Azji. Struktury administracyjne działały skutecznie. Dzięki obecności społeczności hinduskiej i chińskiej system handlowy Birmy był bardzo konkurencyjny. Rangun, stolica, miał najlepsze księgarnie i najlepsze hotele w Azji, a także znakomitą uczelnię.

Potencjał ten trzeba było wykorzystać, modernizując kraj. Próbę podjął rząd demokratyczny, ale zamach stanu Ne Wina w 1962 roku przerwał eksperyment.

Ne Win, generał, uczestnik wojny przeciwko kolonializmowi brytyjskiemu, wierzył, że znalazł odpowiedź na pytanie nurtujące w owym czasie wszystkie młode niepodległe państwa: jak się rozwijać, nie tracąc własnej tożsamości, jak się modernizować, jednocześnie nie przyjmując bezkrytycznie wartości zachodnich? Jego celem było stworzenie buddyjskiego raj na ziemi, jego receptą - „birmańska droga do socjalizmu”.

Aby zrealizować swój plan, Ne Win odizolował kraj od świata. Pod tą utopią kryła się stara idea „złotej przeszłości”, pragnienie cofnięcia historii do szczęśliwych czasów sprzed kolonizacji. Ne Win uważał się w pewnym sensie za spadkobiercę niegdysiejszych władców. Do swojej rezydencji w Rangunie kazał przenieść lwi tron należący do Thibawa, ostatniego króla zesłanego na wygnanie przez Anglików, a jedna z jego siedmiu żon była w prostej linii potomkinią rodziny królewskiej.

Z oponentami walczył z niesłychaną brutalnością. Gdy grupa studentów zamknęła się w budynku uniwersytetu, aby zaprotestować przeciwko dyktaturze, Ne Win kazał wysadzić budowlę i jej okupantów dynamitem. Mniejszościom etnicznym domagającym się autonomii w ramach Unii Birmańskiej Ne Win odpowiedział rozpętaniem wojny domowej, w której w ciągu trzydziestu lat zginęło ponad sto trzydzieści tysięcy ludzi. Wojna ta nigdy się nie skończyła.

„Birmańska droga do socjalizmu” była ślepym zaułkiem. Zniszczyła istniejącą infrastrukturę i roztrwonila zasoby. Dzisiejsza Birma nie produkuje niczego z tego, co jest jej potrzebne. Rowery, czajniki, zegarki i garnki do gotowania ryżu muszą być importowane i opłacane twardą walutą. Nawet longyi, długie kawałki materiału, w które owija się każdy Birmańczyk, mężczyzna i kobieta, zazwyczaj pochodzą z Indii albo z Chin. Nieliczne fabryki postawione przez dyktaturę mają wydajność na poziomie jednej trzeciej swoich możliwości. Huta stali Anizakhan w okolicach Maymyon, zbudowana przez Włochów w latach osiemdziesiątych, produkuje dziennie tylko trzydzieści z potencjalnych dziewięćdziesięciu ton. Fabryka szkła niedaleko Basseinu jest zamknięta od dwóch lat. Fabryka mleka w proszku, zbudowana zeszłego lata na południe od Mandalaju z pomocą Australijczyków, nie zaczęła jeszcze działać, bo brakuje wykwalifikowanych robotników. Trzydzieści lat izolacji i stagnacji gospodarczej (w 1989 roku wzrost wyniósł mniej niż 11 procent) bardzo zubożyło przeciętnych Birmańczyków. Dzisiaj ich średni dochód, jeden z najniższych na świecie, to dwieście dziesięć dolarów rocznie.

Bieda w kraju zmieniła mozaikę społeczną. Po wojnie, kiedy Birma była jeszcze jednym z wielkich eksporterów ryżu, żebracy praktycznie nie istnieli. Dzisiaj rynki są pełne nędzarzy żywiących się odpadkami. Bandy dzieci wyciągających ręce obiegają zagranicznych turystów przed hotelami i przy wejściu do świątyni, błagając: „Jeden kyat... Jeden kyat”. Dworce kolejowe są obozowiskami dla setek ludzi bez dachu nad głową.

Poziom edukacji w kraju drastycznie spadł z powodu ubóstwa. Według badań przeprowadzonych przez UNICEF, ponad jedna trzecia dzieci od piątego do dziewiątego roku życia nie chodzi do szkoły. Dwie trzecie z tych, które chodzą, kończy naukę 8-letniej szkoły podstawowej. Problem nie wydaje się martwić wojskowych. Przeciwnie. Żołnierze wiedzą, że to intelektualiści buntują się wobec ich władzy, że to na uniwersytetach powstał ruch na rzecz demokratyzacji i modernizacji Birmy. Właśnie dlatego uczelnie, opróżnione trzy lata temu, nadal są zamknięte i okupowane przez armię.

Oczywiście na pierwszy rzut oka idylliczny obraz Birmy, nietkniętej postępu i niecierpiącej z powodu jego skutków, fascynuje i wzrusza podróżnika z Zachodu szukającego egzotyki i biedy, które można by pokochać. Ale jak długo to potrwa? Jak długo naród, który już tysiąc lat temu pokazał swoimi pagodami z Paganu, że należy do najlepiej rozwiniętych na świecie, będzie znosił poniżenie pozostawienia na marginesie? Jak długo przemoc dyktatury może wstrzymywać historię?

O świecie, patrząc na równinę Paganu z najwyższego pinakla świątyni Anandy, nie znajduję odpowiedzi i nie jestem też w stanie powiedzieć, czego naprawdę należy życzyć temu niezwykłemu i smutnemu krajowi. Wyrwanie go teraz, gwałtownie, z izolacji oznaczałoby jedynie błyskawiczną okcydentalizację. Padłby wówczas ofiarą wszystkich zagranicznych przedsiębiorców i spekulantów, którzy już ustawiają się w kolejce przed drzwiami generałów z Rangunu po zezwolenia i koncesje, aby móc bez przeszkód eksploatować bogactwa kraju. W gruncie rzeczy chęć zatrzymania postępu nie jest niczym nowym w Birmie, a Birmańczycy chyba akceptują fakt, że historia, po buddyjsku, ciągle się powtarza. Przypomina o tym opowieść o powstaniu świątyni 362 Anandy - najpiękniejszej w kraju.

Polecił ją zbudować w 1090 roku pewien król. Zafascynowany buddyjskimi opowieściami mnichów przybyłych z Indii, zapragnął ujrzeć przed sobą, na tej równinie w kolorze ochry, pejzaż Himalajów. Kiedy świątynia, ze swoimi zdumiewającymi pinaklami, białymi jak ośnieżone szczyty, została ukończona, król był zachwycony, ale kazał ściąć głowę architektowi, który urzeczywistnił jego marzenie. Nie chciał, aby ten w przyszłości zbudował coś piękniejszego.

W oddali, na brzegu Irawadi, wznosi się sylwetka świątyni Min-gun. Także tam król, który zażyczył sobie największego dzwonu na świecie, kazał zabić ludwisarza po ukończeniu dzieła. Ci władcy nie chcieli dopuścić do postępu, podobnie jak nie chcą tego dzisiejsi despoty, tłumiący krwawo każde żądanie przemian.

Czy to okrucieństwo ocaliło birmańską duszę? Czy pomogło krajowi zachować tożsamość kulturową, ochronić go od zła modernizacji i materializmu, które niesie cywilizacja Zachodu? Nic na to nie wskazuje. Chociaż Birmańczycy palą swoje cygara cheroot i ubierają się w longyi, wszystko, co pochodzi z zagranicy, najwyraźniej ma dla nich fetyszystyczny powab. Na targach sprzedawane są filmy porno przemycane z Tajlandii. Obok kalendarzy z wizerunkami Buddy leżą kalendarze z aktorami i aktorkami ubranymi w zachodnie ubrania. Dziewczyny nakładają jeszcze na twarz puder z tannaka, drzewa sandałowego, ale nawet na weselach tańczą przy muzyce rockowej. W Rangunie, w najświętszej pagodzie Shwedagon, o której się mówi, że w jej fundamentach leży osiem włosów Buddy podarowanych przez Oświeconego handlarzowi w zamian za odrobinę miodu, wielką atrakcją są chwilowo nowe schody ruchome „made in Germany”, zainstalowane ubiegłego lata. Do najbardziej cenionych prezentów, jakie wojskowi wręczają przeorom klasztorów, aby im się przypodobać, należą

psychodeliczne lampy, które teraz, złowróźnie, błyskają niby aureole nad głowami niezliczonych Buddów.

Najwyraźniej Birma nie jest w stanie uniknąć fascynacji tym, co nowoczesność przyniosła reszcie świata, a nie mając wolno-

ści wyboru, otrzymuje z postępu tylko to, co najgorsze. Kraj pozostaje więźniem.

W świątyni Manuhy, tuż za murami Paganu, znajduje się ogromny kamienny Budda, którego Birmańczycy wskazują dziś jako symbol swojego położenia. Dach świątyni uciska mu głowę. Ściany napierają na ramiona. Klatka piersiowa wygląda, jakby nie mógł oddychać. Ciało jest ściśnięte niczym w celi. Budda tkwi w tym miejscu od ponad tysiąca lat, jako więzień, ze smutnym uśmiechem zwróconym do ściany. Kazał go wyrzeźbić pewien król, który utracił wolność i pragnął, aby jego lud pamiętał o cierpieniach niewoli.

- My, Birmańczycy, jesteśmy jak on. Mamy pierś przepelnioną goryczą, pełną słów, których nie możemy wypowiedzieć - szepcze człowiek klęczący obok mnie podczas modlitwy.

Przestraszony własną śmiałością, wstaje i ucieka. Taka jest dzisiejsza Birma.

Gorbaczow jechał z oficjalną wizytą do Tokio. Pertraktacje miały dotyczyć głównie Wysp Kurylskich, kolejnego terytorium zamkniętego dla cudzoziemców od 1945 roku. Przyszedł czas uruchomić kontakty nawiązane na Sachalinie. Otrzymałem wizę i przez trzy tygodnie podróżowałem po archipelagu.

Kuryle: wyspy na końcu świata

Jużnokurylsk (Związek Radziecki), marzec 1991

Gdyby świat miał jakiś początek, koniec mógłby być tylko tutaj, gdzie dym z wulkanów miesza się z morską mgłą, a natura przeraża swoimi nieugiętymi, straszliwymi mocami. Z okienka starego samolotu śmigłowego, antonowa, który niepokojąco chwieje się na mlecznym niebie, ziemia nareszcie dostrzeżona pod skrzydłem wygląda jak próg zaświatów. Spienione fale rozbijają się o niedostępne, czarne wybrzeże. U stóp wulkanu widzę dwa jeziora: w jednym wody są białe i zamrożone, w drugim muliste i bulgoczące jak w ogromnym kotle.

Wyspy Kurylskie to najbardziej wysunięta na wschód własność imperium sowieckiego. Jeszcze dziś należą one do najmniej znanych zakątków kuli ziemskiej. Bardzo niewielu cudzoziemców zdołało dotrzeć na Kuryle i sami obywatele radzieccy potrzebują specjalnej przepustki, aby przybić do brzegu. Gdy widzi się wyspy z wysoka, bezdrzewne i złowrogie, nie można nie zadać pytania, dlaczego ktoś mógł chcieć tu zamieszkać.

Samolot ląduje na pasie pokrytym żelazem, koła drżą, rozchlapując ogromne bryzgi błota. Kiedy drzwi się otwierają, zdaję sobie sprawę, że jestem w obozie wojskowym. Przez dziesięciolecia wyspy pozostawały za kurtyną skrywającą nie wiedzieć jakie 365 tajemnice. Teraz, gdy kurtyna się podnosi, odkrywamy, że jedynymi tajemnicami są nędza i zaniedbanie, w które władza sowiecka pozwoliła popaść swojemu dalekiemu pograniczu.

Stolica jest oddalona o trzydzieści dwa kilometry, ale nie ma dobrej drogi. Dżip wojskowy trzęsie się, zagłębia i tonie w błocie, które najpierw ciągnie się przez las karłowatych brzoźek, a potem miesza z czarnym jak noc piachem plaży usianej wrakami. Resztki kutrów rybackich, szkielety stateczków transportowych tkwią tu, przerdzewiały, z nazwami płowiejącymi na burtach. Przedmieścia to kolejny cmentarz: przeżarte rdzą karoserie ciężarówek, dźwigów, samochodów i czołgów leżą na stercie razem ze starymi kołami i cysternami. Nasuwa się wrażenie, że ktoś tu walczył i przegrał wielką bitwę. Oczywiście: bitwę o uczynienie z tych wysp bastionu socjalizmu.

Sowieccy „pionierzy” dotarli na Kuryle w 1945 roku. Wielu przygnał zapał rewolucyjny, który, jak wierzono, miał podbić świat. Innych zwykła nadzieja na lepsze życie, dzięki zarobkom dwa razy wyższym niż na kontynencie. Ale życie okazało się niezwykle trudne.

Minęło czterdzieści sześć lat. Praca pionierów przyniosła jedynie bezbrzeżne rozczarowanie. „Stolica” Kunaszyru to nic innego, jak szary, pozbawiony wyrazu ciąg drewnianych baraków

przykrytych smołowanym papierem. Na tle nieba nie rysuje się żaden pomnik ani dzwonnica; tylko trzy kominy fabryczne wypluwające chmury czarnego dymu. Gdziekolwiek spojrzę, dostrzegam jedynie źle załatane dziury, niedokończone prace, dzikie zielsko, rozbite butelki, puste konserwy, przewrócone kosze na śmieci. Każdy dom ma ogrodzenie, które otacza wyłącznie chwasty. O zachodzie słońca „stolica” tonie w ciemności.

-Jeśli Japończycy zabiorą sobie te wyspy, najpierw będą musieli rozwalić to wszystko i zacząć od nowa - mówi młody robotnik w stołówce hotelu Magnolia, śmierdzącym baraku, gdzie glód zaspokaja się czarnym chlebem i algami morskimi 366 z puszki.

Kunaszyr jest jedną z czterech wysp archipelagu, które Japonia od dziesięcioleci wytrwale stara się odzyskać. Związek Radziecki jak dotąd odmawiał nawet rozmów na ten temat, toteż - właśnie z powodu Wysp Kurylskich - Moskwa i Tokio nie podpisały jeszcze traktatu pokojowego kończącego formalnie drugą wojnę światową w Azji. Wizyta Gorbaczowa za dwa tygodnie w Tokio może odblokować sytuację. Szef Kremla jedzie do Japonii prosić o pomoc gospodarczą dla swojego kraju. Japończycy oznajmili gotowość do współpracy (mówi się o dwudziestu pięciu miliardach dolarów), ale tylko pod warunkiem rozwiązania kwestii „terytoriów północnych”, jak propaganda tokijska nazywa cztery wyspy. Gorbaczow stoi przed niezwykle trudnym wyborem. Jeśli ustąpi w sprawie wysp, zaryzykuje podarowanie swoim przeciwnikom politycznym broni, która może okazać się dla niego zabójcza. Jeśli nie ustąpi, zaryzykuje powrót do domu z pustymi rękami, a wraz z tym pogłębienie kryzysu ekonomicznego, w jaki popada Związek Radziecki.

Kuryle są archipelagiem trzydziestu dwóch wysp ciągnących się na obszarze tysiąca dwustu kilometrów, od sowieckiego półwyspu Kamczatka do wielkiej japońskiej wyspy Hokkaido. Na wyspach południowych panuje dość łagodny klimat i trzy z nich - Iturup, Kunaszyr i Szykotan - zamieszkuje około dwudziestu tysięcy Rosjan. Właśnie te trzy wyspy, a ponadto siedem małych wysepki grupy Habomai - w sumie cztery tysiące dziewięćset dziewięćdziesiąt siedem kilometrów kwadratowych - tworzą tak zwane „terytoria północne”, które Japonia stara się odzyskać.

Spór między Rosją a Japonią o kontrolę nad Kurylami trwa od dwustu lat. Dla Rosjan wyspy są główną linią obrony Syberii na wschodzie. Dla Japończyków to naturalne przedłużenie największej z ich wysp, Hokkaido. Wyspy mają także znaczenie ekonomiczne. Morze oblewające Kuryle należy do najbardziej obfitujących w ryby na świecie. Dzięki ciepłemu prądowi z południa nie zamarza zimą, będąc tym samym niezawodnym kanałem komunikacyjnym i transportowym.

Zarówno Rosjanie, jak Japończycy, dochodząc swoich praw, utrzymują, że pierwsi „odkryli” łańcuch wysp. A prawda jest taka, że przez tysiąclecia Kuryle były ojczyzną tajemniczego ludu Ajnów, którym przybycie „odkrywców” przyniosło zagładę.

W połowie XIX wieku, aby uniknąć starć zbrojnych i kolejnych ofiar, Rosjanie i Japończycy porozumieli się i określili swoje str#»fy wpływów na Kurylach. W traktacie z 1855 roku granica została wytyczona pomiędzy Urupem a Iturupem. Dwadzieścia lat później podpisano nowy traktat: car rosyjski zrezygnował ze swojej części Kurylów w zamian za południową część Sachalinu. Tak oto Japończycy weszli w posiadanie całego archipelagu. Należał do nich do 1945 roku.

W ostatnich dniach wojny, kiedy Japonia została rzucona na kolana przez Amerykanów, Sowieci przeszli do ataku i wyruszając ze swoich baz na Kamczatce, zdobyli, jedna po drugiej, wszystkie Kuryle. W ciągu trzech lat siedemnaście tysięcy dziewięćset czterdziestu pięciu Japończyków, którzy je zamieszkiwali, zostało deportowanych. Dzisiaj wielu mieszkańców Rosji obawia się, że podobny los przypadnie również im w udziale.

Bardzo zaniepokojona, ludność z wyspy Szykotan (długości dwudziestu dziewięciu kilometrów, szerokości dziewięciu kilometrów) już zamówiła pięćset kontenerów, aby przewieźć na kontynent swój dobytek.

- Jesteśmy tylko pionkiem w międzynarodowej grze Gorbaczowa - mówi robotnica w zakładzie produkcji konserw rybnych w Krabozawodsku, czyli „miejsce, w którym znajduje się przetwórnia krabów”.

Ponad połowa populacji nie ma dokąd wracać.

- Jeśli nas wygnają, powiększymy szeregi żebraków Związku Radzieckiego - stwierdza Władimir, robotnik urodzony na Szykotanie trzydzieści osiem lat temu.

Lęk o przyszłość uśmierza nadzieja na odszkodowania, jakie Japończycy być może zapłacą, aby przekonać ludzi do odejścia.

368 Po dwóch miasteczkach na wyspie krążą najbardziej nieprawdopodobne pogłoski. Jedni wierzą, że Japończycy dadzą każdej rosyjskiej rodzinie telewizor, odtwarzacz wideo, lodówkę, a może także samochód. Inni boją się, że odszkodowania zostaną zapłacone bezpośrednio Moskwie i że oni, mieszkańcy, nie zobaczą nawet kopiejki. Jeszcze inni mają nadzieję, że będą mogli zostać i pracować dla nowej administracji.

- Jestem silny, a Japończycy będą przecież potrzebowali ludzi takich jak ja - mówi młody Rosjanin. Inny oponuje:

- U Japończyków na pewno będziemy żyć lepiej, ale jako służący.

Podczas gdy mieszkańcy Szykotanu martwią się o swoją przyszłość, ci z Nemuro, japońskiego miasteczka na wyspie Hokkaido, zastanawiają się nad cenami ziemi na wyspach. W Nemuro mieszka wielu Japończyków wypędzonych z Kuryłów w 1948 roku i ich potomków. Według japońskiego prawa są oni nadal legalnymi właścicielami porzuconych ziem i agenci nieruchomości już przygotowują atrakcyjne oferty, aby zrealizować plany rozwoju, gdy tylko sztandar Wschodzącego Słońca znów załopocze nad archipelagiem.

U źródeł obecnego problemu z Kuryłami leży konferencja w Jałcie. Amerykanie chcieli, aby Związek Radziecki po pokonaniu nazistowskich Niemiec w Europie wziął udział w wojnie przeciwko Japonii. Stalin się zgodził, pod warunkiem że zostanie mu obiecana północna część Sachalinu, ta, którą Japończycy odebrali Rosji podczas wojny 1905 roku, jak również wszystkie Wyspy Kurylskie. Roosevelt to zaakceptował.

Japonia sama zrezygnowała, na mocy traktatu pokojowego ze Stanami Zjednoczonymi z 1951 roku, „ze wszystkich praw i roszczeń do Wysp Kurylskich”. Dopiero kilka lat później Japończycy „odkryli”, że nie wszystkie wyspy nazywają się „Kurylskimi” i że ostatnie cztery z archipelagu stanowią w rzeczywistości „terytoria północne”, według nich „bezprawnie okupowane” przez Sowieców.

W 1956 roku, żywiąc nadzieję, że dojdzie do traktatu pokojowego z Japonią, który położyłby także podstawy pod współpracę 369 na rzecz rozwoju Syberii, Chruszczow zaoferował Tokio zwrócenie dwóch wysp leżących najbliżej Hokkaido - Szykotanu i Habomai - lecz Tokio, po przyjęciu i podpisaniu wstępnego porozumienia, całymi miesiącami nie doprowadzało do definitywnej ugody. Moskwa była tak pewna, że kompromis zostanie osiągnięty, iż poczyniła wszelkie przygotowania do restytucji. Armia Czerwona wycofała się z Habomai pod koniec 1956 roku, dając tysiącowi siedmiuset Rosjanom, którzy tam mieszkali, cztery miesiące na spakowanie manatków.

- Powiedzieli nam, że nie ma już krabów w morzu i że trzeba zamknąć przetwórnię - opowiada Władimir Prokofiew, który przyjechał tu w 1946 roku jako „pionier”. - Żyło nam się ciężko. Najgorsza była samotność i brak owoców oraz warzyw. Alkohol był naszą jedyną rozrywką - wspomina.

Kiedy w maju 1957 roku ostatni Rosjanie opuszczali po dwunastu latach Habomai, domy były jeszcze oświetlane lampami naftowymi. Liczba budynków na wyspie - w stosunku do tych pozostawionych przez Japończyków - wzrosła zaledwie o dwa. Od tamtej pory Habomai jest niezamieszkała. Jedyne ślady po dawnym życiu to sterty panczerzy morskich zwierząt,

które puszkowała przetwórnia. Pomędzy tymi szczątkami czterestu radzieckich żołnierzy trzyma straż na bezludnej wyspie.

Najpiękniejsi na Kurylach są ludzie. Silni, serdeczni, wylewni, trochę szaleni, Rosjanie z wysp, po spędzeniu wielu lat na dalekim pograniczu, stali się jakby osobną rasą.

- Powiedz mi, kto ci złamał rękę, to pójde do niego i też mu złamię! - ryczy młody, zwalisty jak szafa robotnik na widok mojego świeżego gipsu, rezultatu niechlubnego orła wywiniętego na łodzi skuwającym wyspy o tej porze roku.

Zimą Kuryle są smagane mroźnymi wichrami, latem zmagają się z plagą nieżnośnych much. Ziemia drży codziennie, a na spokojnym morzu na skutek podziemnych erupcji zniecka podnoszą się ogromne fale.

Ludzie przybyli z głębi Związku Radzieckiego (w 1945 roku lub później), zmuszeni liczyć na własne siły, przyzwyczaili się do tej nieprzewidywalnej przyrody. Żyjąc blisko natury, wyrastają zdrowi i mocni. Z biegiem czasu wyniszcza ich jednak fatalne odżywianie. Często tracą zęby i noszą okropne protezy, przez które mają „żelazne” uśmiechy.

Od kiedy Kuryle są własnością Moskwy, ta uznaje je po prostu za źródło surowców, nie troszcząc się zbytnio o życie pracujących na wyspach „pionierów”. Infrastruktura wciąż jest prymitywna. Poza siedzibami partii - budynkami z cegły otoczonymi betonowymi chodnikami (to jedyne skrawki ziemi, gdzie nie wpada się w błoto) - władza sowiecka nie zbudowała wiele.

Między wyspami nie ma stałego połączenia promowego. Aby z Kunaszuru dostać się na Iturup (a dzieli je zaledwie trzydzieści kilometrów), musiałem przelecieć prawie tysiąc kilometrów do Jużnosachalińska i zawrócić. Na wyspach nie ma też środków transportu publicznego i ludzie przywykli do pokonywania na piechotę piętnastu kilometrów między Kurylskiem a Riedjowem i do natykania się po drodze na niedźwiedzie. Dojście z Jużnokurylska do Gołownina zajmuje cały dzień.

Gołownino jest jedną z najsmutniejszych osad na Kunaszyrze. Pod rządami Japończyków to portowe miasto miało pięć tysięcy mieszkańców. Dzisiaj żyje tu zaledwie dwustu czterdziestu Rosjan. Gołownino jest usytuowane od strony Japonii i rybacy z drugiego brzegu stworzyli z miejscowymi pomysły system wymiany, nielegalny, ale bardzo praktyczny. Kiedy Rosjanie czegoś potrzebują, po prostu wypływają na morze i zarzucają sieci. Po ich wyciągnięciu zamiast krabów, kalmarów i homarów, które Japończycy biorą w zapłacie, znajdują telewizory, skrzynki z piwem albo kosmetyki, wszystko dobrze zabezpieczone przed wodą. Na Boże Narodzenie Japończycy wysłali ludziom z Gołownina paczki z darami, w których były ziemniaki i zupki w proszku.

- Podzieliliśmy ziemniaki na równe części. Na każdą rodzinę wypadło po siedem, ale zamiast je zjeść, postanowiliśmy użyć ich do zasiewów na wiosnę - mówi burmistrz.

- Jestem Rosjaninem i czuję dumę z przynależności do nacji, która, gdy tupnęła, wprawiała w drżenie świat. Dzisiaj się wstydzę, że muszę przyjmować te ziemniaki. Jak myśmy skończyli? • zadaje sobie pytanie Władimir Kuznicow, pięćdziesięcioletni były dziennikarz z Tuły w centralnej Rosji, zesłany tu dwadzieścia lat temu i przekwalifikowany do pracy murarza za napisany tekst. Usłyszawszy o niecodziennym gościu, zaprosił mnie na danie z „nielegalnej ryby”. Absurdalne, ale prawdziwe: jako że wszystkie produkty morskie należą do państwa, prywatny połów jest uważany za kradzież i wyspiarze nie mają nawet prawa do posiadania łodzi z wiosłami.

Centralizacja, biurokracja i brak prywatnych inicjatyw zdusiły gospodarkę na Wyspach Kurylskich jeszcze bardziej niż w innych częściach Związku Radzieckiego. Właśnie dlatego, że mieszkańcy byli pionierami na dzikiej ziemi, należało pozostawić im swobodę, pozwolić na wynalazczość, na używanie wyobraźni. Tymczasem od samego początku pionierzy słyszeli głos Moskwy: „Wy puszkujecie ryby w przetwórniach, my myślimy o reszcie”. Przez pewien czas wszystko szło gładko i wyspy regularnie zaopatrywano w artykuły spożywcze i dobra

konsumpcyjne. Potem dostawy zaczęły przychodzić rzadziej, aż wreszcie sklepy stały się „pornograficzne”, jak tutaj mawiają, jako że „półki są zawsze gołe”.

Porażka komunizmu na wyspach wpłynęła naturalnie na to, co mieszkańcy myślą o restytucji.

-Widzieliśmy już, co potrafią Sowieci. Przekonajmy się, jak sobie poradzą Japończycy - mówi sprzedawczyni w jedynej księgarni na Kunaszyrze. 17 marca zagłosowała w referendum za restytucją.

Prawda jest taka, że wyspy „zdobyte krwią”, jak lubił powtarzać Stalin, są odzyskiwane dzień po dniu przez pokusy japońskiego dobrobytu. Fotokopiarka z biura burmistrza Jużnokurylska jest japońska, tak samo jak wielki żółty dźwig pracujący w centrum miasteczka. Każdego dnia mieszkańcy Wysp Kurylskich wlepiają oczy w nieme programy kanałów japońskiej telewizji, które tu łatwo złapać, tyle że bez głosu. Morze nieustannie wyrzuca na brzeg odpadki konsumpcyjnego społeczeństwa, jakiego socjalizm nie był w stanie zbudować, a jedną z ulubionych rozrywek tutejszej ludności są ostatnio długie spacery po plażach w poszukiwaniu puszek i plastikowych torebek przyplływających z Japonii - innego świata.

Wśród porzeczonych statków stojących w porcie Kitawo, na wyspie Iturup, wyróżniają się dwa nowoczesne i lśniące kutry. One także pochodzą z Japonii. Zostały skonfiskowane w grudniu-podczas połowu na wodach terytorialnych Związku Radzieckiego. Spółdzielnia lokalnych rybaków odkupiła je na aukcji i teraz zachwyceni Rosjanie próbują uruchomić elektroniczny system pokładowy służący do automatycznego namierzania ławic ryb w morskiej głębi.

Spośród czterech spornych wysp Iturup jest położony najdalej od Japonii. Wojskowi odgrywają tu ważną rolę. Jedyna powierzchnia ze zbrojonego betonu na całym archipelagu znajduje się właśnie na Iturupie, w Zatoce Wieloryba. To pas lotniskowy, z którego nieprzerwanie startują migi 23. Już Japończycy mieli na tej wyspie potężną bazę. Zderzające się ciepłe i zimne prądy morskie tworzą mur nieprzeniknionej mgły, w której w grudniu 1941 roku ukryła się gigantyczna japońska flota. Niewidoczna dla Amerykanów, zaatakowała potem Pearl Harbor.

Dzisiaj Sowieci mają na Iturupie jedną z najnowocześniejszych baz lotniczych w ich systemie obronnym w Azji. Stąd kontrolują cały obszar Pacyfiku. W japońskiej prasie można czasem przeczytać, że na Iturupie znajdują się rakiety i składy broni atomowej. Rosjanie zaprzeczają, twierdząc, że ich obecność wojskowa na Wyspach Kurylskich ma charakter wyłącznie obronny.

Bez względu na rozmiary sił radzieckich stacjonujących na Kurylch (mówi się o około dwudziestu tysiącach żołnierzy), ten, kto podróżuje dziś po wyspach, nie ma wątpliwości, że życie archipelagu jest zdominowane przez armię. To armia narzuca klimat tajności, który nie pozwala burmistrzom podawać precyzyjnych danych demograficznych. Podróżnik może, co prawda, oglądać źródła termalne, z których armia jest bardzo dumna, ale tylko nocą, kiedy nie widać wojskowych instalacji.

Wyspy Kurylskie nadal mają strategiczne znaczenie dla Moskwy.

-Jeśli zwrócimy japończykom cztery wyspy, których od nas żądają, w archipelagu powstanie szczelina - mówi Michaił Bugajew z gazety „Wolny Sachalin”. - Morze Ochockie straciłoby wtedy swój charakter morza wewnętrznego, a my musielibyśmy wydać miliardy rubli na obronę wybrzeża Syberii.

Jest absolutnie nieprawdopodobne, aby Gorbaczow chciał do tego doprowadzić. Co najwyżej mógłby oddać dwie wyspy - Szykotan i Habomai - jako że pozostałe dwie - Iturup i Kunaszyr - wystarczą, aby zamknąć łańcuch.

Problem polega na tym, że wielu Rosjan sprzeciwia się zaciekle ustąpieniu choćby jednego metra kwadratowego. Michaił Wysocki, historyk z muzeum w Jużnosachalińsku, wyraża ich uczucia następująco:

- Oczywiście, wyspy zostały odebrane Japończykom siłą, ale to nie powód, aby je zwracać. Cztery lata temu Rosja była małym krajem, dziś jest imperium o powierzchni dwudziestu dwóch milionów kilometrów kwadratowych. Prawie całą tę ziemię w taki lub inny sposób podbiliśmy. Czy mielibyśmy ją zatem oddać?

Japończycy powołują się na historię. Mówią, że wyspy były ich własnością przez co najmniej sto pięćdziesiąt lat. To prawda. Ale jest również prawdą, że Sowieci mają tu swoją własną historię: wysiłków trwających już prawie pół wieku. Jeśli wyspy zostaną 374 oddane Japonii, Kuryle będą jeszcze jednym dowodem socjalistycznego marnotrawstwa. Zmarnują się przede wszystkim ludzie, ci piękni, twardzi rosyjscy ludzie, którym po wielu latach pracy nie pozostanie nic innego, niż rozchylić usta w smutnym żelaznym uśmiechu.¹⁸

Pisząc dla tygodnika, nie musiałem śledzić wiadomości przysyłanych nieustannie przez agencje. Wystarczyło słuchać dwa razy dziennie BBC. Nie zajmowałem się dotąd Indiami, ale wyruszyłem w drogę, gdy tylko usłyszałem w radiu pierwszy komunikat obwieszczający...

śmierć Radziwa

Sriperumbudur (Indie), 23 maja 1991

Indie biorą cudzoziemca szturmem, chwytają za gardło i ściskają żołądek. Nie pozwalają tylko na jedno: na obojętność.

Przybyłem do tego miasta na południu, aby powtórzyć drogę Radziwa Gandhiego jadącego na spotkanie ze śmiercią. Pierwszy obraz, który przykuwa moją uwagę, to kobieta w czerwonym sari ze złotą lamówką zbierająca gołymi dłońmi łajno bawołów na pustej ulicy. Oto Indie odwieczne, ubogie.

Przybyłem do tego miasta, zadając sobie pytanie, co zostało z Indii tolerancji i pacyfizmu.

Gdy tylko wypożyczony samochód rusza, grupka wyrostków z kijami i kamieniami próbuje mnie zatrzymać. Oto Indie współczesne, agresywne.

Przychodzi mi na myśl stara książka w różowej okładce z przemówieniami Gandhiego - Słowa jak kamienie. Na krótko przed śmiercią (on również został zamordowany) Mahatma powiedział: „Gdy odzyskamy wolność, osuszmy każdą łzę”. Wolność nadeszła czterdzieści cztery lata temu, ale od tamtej pory łez Indii

wciąż przybywa.

W Sriperumbudurze kobiety łkają w ciemnych kątach. Mężczyźni stoją w milczeniu w cieniu wielkich drzew. Sriperumbudur to mała wiejska osada przy drodze z Madrasu do Bangaloru.

376 W szeregu białych domów o słomianych dachach życie jakby zamarło. Plac targowy jest wyludniony, sklepy są zamknięte. Nie słychać odgłosów codzienności. Tylko ptaki nadal ćwierkają radośnie w koronach palm cukrowych.

Przez stulecia Sriperumbudur trwał, nikomu nieznan, na równinie koloru ochry, czterdzieści dwa kilometry od Madrasu, w sercu Tamil Nadu, „najszlachetniejszej prowincji” Indii. Przez stulecia kilka tysięcy Indusów żyło tu bez zmian: ludzie uprawiali swoje wyschnięte pola, doili swoje chude krowy i w każdym pokoleniu chodzili myć się oraz pić z zielonkawych wód jeziora niedaleko świątyni.

Potem, nieoczekiwanie, w zeszły wtorek, nocą, Radziw zatrzymał się tutaj i Sriperumbudur przeszedł do historii. To tutaj tajemnicza, niezwykle potężna eksplozja na zawsze przerwała linię dynastyczną Nehru-Gandhir która dominowała w polityce Indii od półwiecza. W Sriperumbudurze być może załamała się indyjska stabilizacja.

- Dlaczego tutaj? Dlaczego musimy być pamiętani z tego powodu? - pyta Krishan, elektryk, który zainstalował ponad sto lamp oświetlających przejście Radziwa na podium, gdzie był pierwszy minister miał wygłosić krótkie przemówienie wyborcze. Wiele wskazuje na to, iż

Radziw zatrzymał się w Sriperumbudurze po prostu dlatego, że był tu już w 1986 roku, aby odsłonić pomnik swojej matki Indiry, ale miejscowi mówią teraz tylko o „przeznaczeniu” i dostrzegają jego znaki we wszystkim, co się zdarzyło.

Tego wieczoru Radziw był spóźniony z programem i ostatnia część podróży miała zostać odwołana. On jednak nalegał, by ją kontynuować, i gdy mały samolot, który sam pilotował, wylądował na przedmieściach Madrasu, były premier idący na spotkanie śmierci symbolicznie powtórzył drogę, która go uczyniła - jego, polityka wbrew własnej woli - przywódcą Partii Kongresowej oraz Indii.

Zatrzymał się w Kathiparze, małym miasteczku u stóp wzgórza poświęconego świętemu Tomaszowi (wedle legendy to tutaj apostoł zginął męczeńską śmiercią). Radziw przemówił na placu

i złożył hołd posagowi Nehru. Przy wjeździe do Sriperumbuduru znów się zatrzymał, aby ozdobić girlandą kwiatów srebrny posąg Indiry. Dziadek i matka. Tym osobom Radziw zawdzięczał swoją karierę polityczną, za którą zapłacił własnym życiem.

Marzeniem Radziwa było pilotowanie jumbo jetów, nie rządzenie Indiami. Musiał jednak wejść do świata polityki, ponieważ Indira traktowała swoją władzę jak rodzinne dziedzictwo. Gdy umarł jej pierwszy syn, zwróciła się do drugiego. Ona sama odziedziczyła władzę po swoim ojcu Nehru, choć inni politycy mieli o wiele więcej inteligencji, wiedzy i doświadczenia. Tego właśnie Mahatma pragnął uniknąć. Jeszcze w latach kampanii przeciwko brytyjskiemu rządowi kolonialnemu powiedział, że celem Partii Kongresowej jest zdobycie niepodległości. Po jej odzyskaniu partia powinna się rozwiązać i zrobić miejsce innym, umacniając demokrację. To jednak nie nastąpiło i partia stała się czymś w rodzaju dynastycznej domeny, stopniowo coraz mniej w duchu Mahatmy, a coraz bardziej skorumpowanej. Dowodem jej utajonej niedemokratyczności jest dokonana w tych dniach próba postawienia Soni, włoskiej wdowy po Radziwie, na czele partii. Właśnie to wypaczenie pierwotnej idei poprowadziło Radziwa na jego ostatnie spotkanie w Sriperumbudurze.

Kiedy Radziw przyjechał do wioski, tłum oczekiwał go od wielu godzin. Plac targowy był zbyt mały i wiec został zorganizowany na otwartej przestrzeni, na polu nieopodal opuszczonej świątyni. „Zła wróżba”, mówią teraz ludzie, ponieważ było to miejsce święte i nigdy wcześniej nie organizowano w nim spotkań politycznych.

Na ziemi położono czerwoną matę, a wybrani lokalni członkowie partii ustawili się w szeregu, aby wręczyć Radziwowi kwiaty. Policja miała listę nazwisk i pobieżnie przeprowadziła rewizję, kiedy weszli na ogrodzony teren.

- Stałam w szeregu, ale gdy Radziw przechodził obok, nie wziął ode mnie kwiatów. Od mojej siostry też nie. Potem przystanął - opowiada mi ze łzami, robiąc długie przerwy, dwudziestoośmio- 378 letnia Shamthakumari. - Usłyszałam dziwny dźwięk, coś jakby pstryknięcie... Nie pamiętam nic więcej. Kiedy spróbowałam się podnieść, siostra leżała u moich stóp, bez głowy. A Radziw, tam, obok... Zobaczyłam tylko but i nogę.

Dziewczyna opowiada. Kobiety z sąsiedztwa siedzące w kucki na betonowej podłodze biednego i brudnego domu podkreślają poszczególne części opowieści krzykami i szlochami. Fotografie zabitej siostry są wyjmowane ze starego kartonowego pudełka i przechodzą z rąk do rąk.

- To na pewno nie był nikt z nas. To musiał być ktoś obcy - powtarza kobieta, a inne chóralnie jej przytakują. Policja jest tego samego zdania. Z szesnastu ciał rozrzuconych w strzępach po polu tylko piętnaście zostało rozpoznanych. Zwłoki około trzydziestoletniej kobiety pozostają niezidentyfikowane.

Zgodnie z-obiegową opinią (władze Indii wydają się ją podzielać), kobieta należała do 19 samobójczego oddziału przysłanego przez Tamilskie Tygrysy, partyzantów ze Sri Lanki. Na razie nie ma na to dowodów, a fakt, że Radziw trzy miesiące wcześniej spotkał się z przedstawicielem Tygrysów, by przekreślić przeszłość i wrócić do rozmów, przeczy

powszechnemu przekonaniu. Pewne jest tylko jedno: ktokolwiek przywiózł bombę do Sriperumbuduru, był gotowy na śmierć.

- Kobieta miała materiał wybuchowy w specjalnym pasie wokół talii. Włączyła mechanizm, kiedy Radziw nachylił się nad nią - mówi lokalny inspektor, który dwa dni po zamachu dalej szuka prymitywnym magnesem maleńkich fragmentów bomby wśród kosmyków włosów, strzępów ubrań i dziesiątków plastikowych sandałów zgubionych na polu przez uciekający tłum.

„Witamy naszego ukochanego Radziwa” - nadal oznajmia kolorowy transparent. Portret uśmiechniętego mężczyzny, naturalnej wielkości, wciąż stoi na podium.

- Nigdy się nie dowiemy, kto go zamordował - mówi Radza, mój kierowca.

Tożsamość mocodawców nie ma jednak większego znaczenia. Radziw, tak jak jego matka, zginął, bowiem Indie poniosły poli-

tyczną klęskę. Następcy Mahatmy nie dotrzykali obietnic. Pokój jest niemożliwy w tym ubogim kraju, gdzie liczba ludności przez czterdzieści lat prawie się podwoiła, a większość społeczeństwa nie może dzielić z bliźnimi tego, co ma, lecz przeciwnie, musi o wszystko walczyć, jeśli chce przeżyć.

-Jedynie, co mają, to gniew. Dużo gniewu - mówi Radza na widok wyrostków z kijami i kamieniami, na których znów się natykamy w drodze powrotnej. Asfalt gdzieś pokrywa szkło z zaatakowanych przez nich samochodów. Szczątki paru spalonych ciężarówek leżą na skarpie. Nas nic złego nie spotyka. Powiewający sztandar Partii Kongresowej, który Radza podniósł z pola, miejsca śmierci Radziwa, wydaje się nas ochraniać.

Lata w Tajlandii miałem wypełnione intensywną dziennikarską pracą. W związku z nieudaną próbą przywrócenia pokoju w Kambodży przez ONZ często jeździłem do Phnom Penh. Po wybuchu wulkanu Pinatubo udałem się na Filipiny. Exodus plemienia Rohingya, muzułmanów z Birmy, sprawił, że pojechałem do Bangladeszu. Zamach stanu, a potem straszliwa masakra ludności cywilnej w centrum Bangkoku zatrzymały mnie w domu. Cały rok 1993 spędziłem, podróżując pociągiem i statkiem, aby uniknąć śmierci w katastrofie lotniczej, którą przepowiedział mi wróżbita." W 1994 roku, kiedy zwolniło się miejsce korespondenta „Der Spiegel” w Indiach, w Hamburgu przypomniało sobie, że zawsze chciałem zamieszkać w kraju, który dał początek wszystkiemu, co interesowało mnie w Azji. W czerwcu mieliśmy już dom: tym razem w centrum Nowego Delhi, na pierwszym piętrze podupadającej kolonialnej budowli. Była to brytyjska kwatera oficerów.

Mniej więcej pod koniec sierpnia ze stanów Maharasztra i Gudżarat w środkowych Indiach docierają pierwsze wiadomości o dziwnych zgonach setek szczurów, a potem kilku ludzi. Szybko zaczyna krążyć przerażające słowo: dżuma. Wybucho panika. Władze twierdzą, że duże dawki tetracykliny mogą zapobiec zarażeniu. Trudno wyrobić sobie pojęcie o sytuacji, nie opuszczając stolicy.

dżuma

Surat (Indie), wrzesień 1994

**

Nie miała twarzy, jednak na zawsze zachowam taki właśnie obraz dżumy. Sinawe chmury dymu unoszące się nad stertami śmieci. Krowy, psy, kozy, świny i kruki wyszarpujące uparcie swój posiłek z płomieni. Milczący ludzie przed opuszczonymi żaluzjami sklepów.

Dotarłem do Suratu starą taksówką. Kierowca za trzy razy wyższą stawkę od normalnej zgodził się zawieźć mnie do miasta z oddalonego o sto dwadzieścia sześć kilometrów lotniska w Baro- dzie. Wjechaliśmy od północy. Nie było kontroli ani blokad. Ruch w obie strony przepływał normalnie, ale mężczyzna się bał.

- To jest w powietrzu. Jest wszędzie. Nie możemy się zatrzymywać - powtarzał, zakrywając sobie, jak wszyscy, nos i usta chusteczką. Dla niego i dla reszty świata Surat był symbolem „czarnej śmierci”, bicza bożego, o którym myślano, że należy do przeszłości, przekleństwa, przed którym nie ma ucieczki. A jednak po tygodniu od wybuchu epidemii miasto wydawało się już oswojone z tą niewidzialną, groźną obecnością.

Targi, szkoły, sklepy, banki, biura są zamknięte. Połowa ludności - milion osób - wyjechała. Brakuje żywności, ale życie biegnie dalej i dzieci z płaskich dachów biednych domków puszczają swoje małe latawce z kolorowego papieru. Nie ma paniki. Nie ma rozpacz.

Przyłożyłem chusteczkę do ust, wziąłem pierwszą dawkę tetracykliny i wkrótce dla mnie także dżuma stała się mniej apokaliptyczna, mniej przerażająca, niż kiedy słuchałem o niej z daleka. Spędziłem w Suracie trzy dni.

Pierwszą niespodzianką było odkrycie, że nie zbiera już takiego żniwa jak przed wiekami: liczba ofiar bardzo się zmniejszyła. Oficjalne źródła mówią o pięćdziesięciu jeden zmarłych w ciągu tygodnia. Jest to prawda, a pogłoski, że dżuma zabiła setki ludzi, należy uznać za absolutnie fałszywe. Wiem o tym, bo spędziłem kilka godzin tam, gdzie trafiają wszystkie zwłoki z miasta: w krematorium. Na lewym brzegu rzeki Tapti trzynaście stojących na otwartej przestrzeni pieców pracowało w zwyczajnym rytmie: trzydzieści ciał dziennie, sto pięćdziesiąt kilogramów drewna, trzy godziny ognia. Stada kóz wyjadały kwiaty z wieńców pogrzebowych.

- Dla nas to dni normalnej pracy - powiedział mi dyrektor. - Rok temu mieliśmy starcia na tle rasowym, dwa tygodnie temu powódź, teraz ze względu na dżumę jest kilku zmarłych więcej, ale średnia wychodzi zawsze taka sama.

W swoim rejestrze dyrektor skrupulatnie notował nazwiska i adresy osób posyłanych w ogień. Wszyscy zadżumieni pochodzili z jednej dzielnicy: Vedu.

Poszedłem tam. Już z daleka zastanawiałem się, jak to możliwe, że cała ludność nie została wybita, jak to możliwe, że razem z dżumą nie wybuchły tyfus albo cholera. Ved to cuchnące, gnijące obozowisko koczowników, a jego historia pomaga zrozumieć jedną z wielu sprzeczności targających współczesnymi Indiami. Jeszcze piętnaście lat temu Ved był po prostu bagnem. Potem miasto Surat stało się wielkim ośrodkiem przemysłu tekstylnego i szlifierni diamentów, i Ved nagle przeobraził się w ogromną 382 noclegownię robotników.

Powód jest prosty: związki zawodowe z fabryk w Bombaju były zbyt silne. Właściciele postanowili się przenieść i zacząć produkować z nową, nierozpolitykowaną siłą roboczą. Milion młodych ludzi, pochodzących z najbiedniejszych stanów Orissa i Andhra Pradeś, napłynął do Suratu w poszukiwaniu pracy. Speculanci budowlani postawili dla nich to osiedle betonowych sześcianów bez bieżącej wody i bez kanałów ściekowych. W pokojach o powierzchni dwa na trzy metry mieszkało nawet dziesięć osób. Zmiany w pracy trwały po dwanaście godzin, a więc pięciu robotników miało miejsce na sen, podczas gdy pozostali byli w fabryce. Za głodowe pensje (od siedemdziesięciu pięciu eurocentów do półtora euro dziennie) ci młodzi ludzie - a nawet dzieci - w dusznych fabrykach, wśród ogłuszającego hałasu, produkowali luksusowe towary. Wyrabiali tkaniny przetykane złotymi i srebrnymi niciami i szlifowali 60 procent indyjskich diamentów.

Dwa tygodnie temu Tapti wystąpiła z brzegów, Ved został zatopiony, a betonowe rudery znalazły się pod półtorametrową warstwą obrzydliwego szlamu, w którym utonęły wszystkie zwierzęta, jakie można zobaczyć w indyjskiej dzielnicy: szczury, świnię, psy, krowy. Ich trupy, otoczone rojami much, rozkładały się na powietrzu całymi dniami.

To właśnie tutaj wybuchła dżuma. W niedzielę 18 września trzech młodych robotników z Vedu zostało przyjętych do szpitala w Suracie z objawami niewydolności oddechowej. Po kilku godzinach zmarli.

- Uznaliśmy ich za ofiary ostrego zapalenia płuc - opowiada mi stażysta, który był wtedy w pracy. - Potem pojawili się kolejni z tymi samymi symptomami, ale dopiero w środę mieliśmy dowody, że to dżuma.

Wieść, przerysowana przez niedorzeczne plotki (na przykład, że woda w mieście została zatruta), okrążyła Surat w mgnieniu oka i zaczął się exodus. Pierwsi uciekli ci, którzy mogli załadować rodziny i bagaże do samochodów. Uciekli w ten sposób bogacze, lekarze, farmaceuci i niektórzy funkcjonariusze lokalnej administracji. Czwartek 22 sierpnia był dniem wypłaty w fabrykach, toteż po otrzymaniu swojej garści rupii zbiegli także robotnicy z Vedu, próbując wrócić w swoje rodzinne strony. Ved niemal się wyludnił. Coraz więcej pacjentów trafiało do szpitali z objawami dżumy. Kilkuset po oględzinach lekarza uciekło.

W piątkowy wieczór lokalne władze zaczęły wreszcie spryskiwać miasto DDT, wyrzucać tony wapna przy domach i rozdawać miliony kapsułek tetracykliny. Przez radio, telewizję i megafony na ciężarówkach wyjaśniano, jak używać lekarstwa: pięćset miligramów co sześć godzin. Najwyraźniej całe miasto jest w nie zaopatrzone i mieszkańcy pokazują mi często, z dumą, swoją kapsułkę, przechowywaną troskliwie w kieszeni jak coś drogiego, cudownego. I być może tetracyklina istotnie dokonała cudu. Liczba zmarłych zaczęła spadać. Ubiegłej soboty było jeszcze sześciu, potem jeden dziennie. Wczoraj nikt.

- Ludzie będą umierać gdzie indziej - mówi lekarz ze szpitala. - W wioskach, gdzie nie ma ani kontroli, ani opieki.

Doniesienia o pacjentach hospitalizowanych z objawami dżumy we wszystkich dystryktach stanu Gudżarat, w wielu innych częściach kraju, również w Bombaju i Delhi, wydają się potwierdzać jego słowa.

-Władze powinny były poddać miasto kwarantannie i przeszkodzić ludziom w ucieczce - twierdzi.

Ale czy to było możliwe?

- Aby zatrzymać dwa miliony ludzi, musielibyśmy użyć dwóch milionów żołnierzy - mówi szef gazety z Suratu. - Wybuchłyby zamieszki i ofiar byłoby znacznie więcej, niż zabrała dżuma. Mamy tu demokrację i nie możemy odebrać ludziom swobody poruszania się.

Także dla największego poety języka gudżarati izolacja miasta nie miałaby sensu.

- Każdy człowiek umiera, kiedy przychodzi czas - mówi.

Zostałem go wyciągniętego w hamaku na werandzie. Czytał Dżumę Camusa. Z jego dzielnicy nie uciekła ani jedna rodzina.

Każdy w Suracie przypisuje inne znaczenie temu, co się dzieje. Dla dziekana Wydziału Socjologii Uniwersytetu Gudżaratu dżuma jest po prostu rezultatem błędnej polityki wzrostu gospodarczego.

- Nie podejmuje się decyzji w interesie narodu, lecz pod wpływem nacisków Banku Światowego - mówi profesor Jaga-nath Pathy. - Na papierze 20 procent wzrostu zarówno w fabryce tekstyliów, jak i w szlifierni diamentów wygląda dobrze, ale w rzeczywistości oznacza eksplozję tego miasta, oznacza, że na dwa miliony osób przypada liczba sanitariatów wystarczających zaledwie dla miliona, oznacza przyjmowanie do pracy, szczególnie do cięcia diamentów, ośmioletnich dzieci. Ci mali robotnicy w dwudziestym piątym roku życia będą prawie ślepi.

Cała społeczność muzułmańska z Suratu pozostała na miejscu.

- Dżuma jest zemstą Allacha na hindusach za to, co nam zrobili w zeszłym roku - mówi z przekonaniem imam z meczetu na Chow Bazar.

Muzułmanie z Suratu nie zasłaniają ust maseczkami i odmawiają przyjmowania tetracykliny. Wszyscy zawierzili słowom Proroka: „Jeśli wiesz o kraju, w którym wybuchła dżuma, nie jedź tam; jeśli wybuchła w kraju, w którym przebywasz, nie uciekaj. Wierni zostaną oszczędzeni”.

Także prostytutki w domach publicznych z ulicy Mirza Swami w dawnym centrum miasta, wylęgarniach AIDS, najwyraźniej nie odczuwają strachu. Jak zawsze, siedzą na progach swoich ruder, nie ukrywając za żadną maską smutnego uśmiechu, którym nadal próbują wabić klientów.

Surat ma wielką przeszłość i fakt, że dżuma wybuchła właśnie tutaj, wydaje się tajemniczo przemawiać za tezą o powtarzalności historii. Miasto, ze swoim portem, przez stulecia było jednym z kluczowych punktów w handlu między Orientem a Europą. To w Suracie, wraz z osiedleniem się tu pierwszego urzędnika z Kompanii Indyjskiej w 1608 roku, Brytyjczycy rozpoczęli kolonizację kraju. I to z Suratu, na pokładach statków handlowych, 385 wyruszyły w poprzednich stuleciach sławne indyjskie „czarne szczury”, które przeniosły dżumę na obszar śródziemnomorski, a stamtąd do całej Europy.

Ze względu na podziemne kolonie szczurów śniadych Indie na początku naszej ery były jednym z wielkich światowych ognisk dżumy. Także teraz obwinia się te zwierzęta. Wszystko zaczęło się w sierpniu w stanie Maharasztra, pięćset kilometrów od Bombaju. W wielu wioskach nagle zaczęły umierać szczury wędrownie. Rok wcześniej region nawiedziło trzęsienie ziemi, szczury śniade musiały opuścić swoje zniszczone tunele, gdzie żyły w symbiozie z bakcylem dżumy, i zbliżyć się do siedzib ludzkich. Pchły przeniosły dżumę na szczury z wiosek. Kiedy te wyginęły, pchły zaatakowały ludzi i niektórzy wieśniacy zaczęli się skarżyć na pierwsze objawy dżumy gruczołowej. Wiadomość dopiero po miesiącu dotarła do Delhi. Mniej czasu zajęło dżumie dotarcie do Suratu - za sprawą trzech młodych robotników z dzielnicy Ved, którzy przyjechali na wesele do jednej z zarażonych wsi. To oni byli pierwszymi ofiarami śmiertelnymi w miejskim szpitalu.

- W Vedzie bakcyl znalazł idealne środowisko do rozwoju - mówi jeden ze stażystów w oddziale dla zadżumionych.

Dla Indii dżuma jest czymś ogromnie wstydlivym. Właśnie teraz, gdy kraj próbuje wyjść z półizolacji, kiedy próbuje dołączyć, jak wszystkie inne kraje, do wyścigu, w którym stawką jest przyszłość na wzór zachodni, uderza weń coś, co wydaje się zemstą przeszłości. Indie to nadal kraj ogromnych kontrastów, kraj, w którym dziewięćset milionów osób żyje pod tą samą szerokością geograficzną, ale nie w tym samym momencie historycznym; w tym samym miejscu, ale nie w tym samym czasie. Obok ludzi, którzy mają samochód, lodówkę, komputer i lekarstwa XX wieku, mieszkają - często zwyczajnie kilka metrów dalej - ludzie, którzy nie mają wody ani światła jak w średniowieczu, albo są wykorzystywani niczym w początkach rewolucji przemysłowej. I to stąd wychodzą zarodki tego prastarego źródła strachu: dżumy.

Zaledwie trzy lata temu Indie zaczęły liberalizować gospodarkę i przyciągać zagraniczne inwestycje. Miały stać się, jak Chiny, azjatyckim tygrysem. Dżuma zadaje temu marzeniu bezlitosny cios. Piętnaście kilometrów od Suratu, w Hazirze, rząd chciał założyć ośrodek wytwarzania nowych technologii. Ubiegłej niedzieli do portu wpłynął statek i zabrał cały zagraniczny personel z wielu przedsiębiorstw. Dużo czasu upłynie, nim wróci.

Bombaj, stolica stanu Maharasztra, położony dwieście dwadzieścia trzy kilometry od Suratu, jest centrum finansowym kraju, a co za tym idzie, symbolem „nowych” Indii. Bombaj chciałby stać się Hongkongiem subkontynentu. Na wieść o dżumie giełda runęła. Oczywiście w interesie rządu jest teraz bagatelizowanie wydarzeń.

„Dżuma to choroba niebezpieczna, ale uleczalna”, obwieszają plakaty na murach dworca w Suracie. Tylko jak długo potrwa ten stan rzeczy? Tetracyklina działa, póki się ją bierze. Pchły i muchy zaczynają objawiać odporność na DDT. Tysiące młodych ludzi z dzielnicy Ved jest rozrzuconych po kraju. To potencjalni nosiciele bakcyli, którego inkubacja trwa wiele dni.

Władze nadal nie podejmują drastycznych środków zaradczych. Każdego dnia ponad dwadzieścia pociągów zatrzymuje się w Suracie, na linii Delhi-Bombaj. Niełatwo zdobyć bilet i setki osób, które wciąż próbują wyjechać, czekają całymi godzinami, koczując w

poczekalniach i na korytarzach, aż nadejdzie ich kolej. Powietrze jest nieruchome i cuchnące. Słyszysz pokasywanie, kichnięcia i krzyki dzieci zza białych maseczek. W jednym z kątów widziałem dwójkę młodych ludzi wachlujących gazetą leżącego na ziemi, gorączkującego kolegę. Nikogo nie poddawano kontroli, nikogo nie zatrzymywano.

Kiedy pociąg zatrzymał się na trzy minuty, niektórzy szczęśliwcy zdołali wsiąść. Czy między nami, na drodze do Delhi, była i ona, nie wiem, ponieważ dzuma nadal nie ma twarzy. Dwóch amerykańskich dyplomatów ginie z rąk morderców w Karaczi. Pakistan, ze swoimi wieloma zapomnianymi wojnami, znów zwraca uwagę międzynarodowej opinii publicznej. Jadę tam na dwa tygodnie.

Pakistan: kraj czystych

Karaczi, marzec 1995

Czuje się strach, ale nie wiadomo dokładnie, przed kim. Przed tą grupką mężczyzn przy murze? Przed samochodem zatrzymującym się obok na światłach albo przed dwoma strażnikami uzbrojonymi po zęby, którzy mogą nie być strażnikami?

Stąd lęk: każdego dnia w tym mieście liczącym dwanaście milionów mieszkańców zdarza się masakra, wybucha bomba albo odcięta ręka zostaje wrzucona, jako ostrzeżenie, do czyjś ogrodu. Nikt już nie czuje się bezpiecznie. Handlarze heroiną działają jawnie na rogach ulic, mordercy strzelają w biały dzień, a policjanci nie chcą ich ścigać.

- Jaki sens dać się zabić? - spytał oficer, który tydzień temu, widząc śmierć dwóch jadących na lotnisko funkcjonariuszy konsulatu amerykańskiego, odmówił wszczęcia pościgu za samochodem terrorystów.

Nietykalne są tylko furgonetki Abdula Sattara Edhiego - człowieka znanego jako Matka Teresa z Karaczi. To jedna z nielicznych respektowanych jeszcze reguł. Samochody krążą codziennie po mieście i zbierają zwłoki. (Od początku grudnia było ponad pięćset zabitych.) Taką właśnie furgonetką wjechałem do Pak Colony, jednej z najbardziej niebezpiecznych dzielnic, gdzie grasuje wiele uzbrojonych band.

Centrum miejskie z wielkimi hotelami, bankami, biurami i życiem, które zachowało pozór normalności, jest tylko o kilka minut stąd. Dalej ulice są wyludnione, a sklepy zamknięte. Wjeżdżając w meandry zniwelowanych wąskich uliczek, furgonetka zostaje otoczona przez młodych ludzi i pokierowana ku betonowej ruderze. Ściany są dziurawe od kul, na podłogach krew, buty, połamane meble. Mordercy zjawili się o jedenastej przed południem i zabili siedem osób w pierwszym pokoju. Mniej więcej trzydziestoletni chłopak, który był w drugim pomieszczeniu, próbował ocalić życie, chowając się w zbiorniku na wodę pod podłogą, ale nie zdążył na czas zamknąć nad sobą pokrywy i został zabity strzałem w twarz. Jego szczątki najtrudniej zebrać. Kiedy furgonetka odjeżdża ze zwłokami, na placu zostaje milczący tłum i martwa koza, jeszcze jedna niepotrzebna ofiara strzelaniny. Pozostają także pytania, na które chyba nikt nie potrafi odpowiedzieć.

- Toczą się tu co najmniej cztery różne wojny - wyjaśnia Fazal Qureshi, dyrektor pakistańskiej agencji prasowej. - Między sunnitami a szyitami, między mafiami narkotykowymi, między partiami politycznymi i między normalnymi przestępcami a policją. Ale to nie wszystko.

„Reszta” - to sześć tajnych służb pakistańskich, które mają w Karaczi ponad sześć tysięcy ludzi, indyjscy agenci wywiadu (zainteresowani destabilizacją w Kaszmirze), agenci amerykańscy z wydziału antynarkotykowego i CIA, szpiedzy z Afganistanu, Iranu, Arabii Saudyjskiej, oraz handlarze bronią, na którą jest tu wielki popyt.

Karaczi, jeden z najważniejszych portów azjatyckich, to niedająca się kontrolować spirala przemocy. Istnieje ryzyko, że będzie drugim Bejrutem i doprowadzi do podziału samego Pakistanu. Przyczyn takiego rozwoju wypadków należy szukać głównie w historii.

W 1947 roku Brytyjczycy, przyznając niepodległość swojemu imperium, zgodzili się na podział Indii na dwa państwa: Indie faktyczne, w których przeważała ludność wyznania

hinduskiego, oraz Pakistan, gdzie przeważali muzułmanie. Już na papierze Pakistan, „kraj czystych”, mimo swojej pięknej nazwy rodzi się źle, z dwóch bardzo różnych regionów oddalonych o tysiące kilometrów: jednego na zachodzie ze stolicą państwa, Karaczi, drugiego na wschodzie ze stolicą regionu, Dakką. Podział daje początek ogromnej fali migracji oraz pogromom. Setki tysięcy Hindusów są mordowane przez muzułmanów i odwrotnie.

Karaczi jest wówczas małym miastem, liczącym zaledwie dwieście tysięcy mieszkańców. Napływ imigrantów muzułmańskich z Indii, którzy mówią językiem urdu, którzy są o wiele bardziej wykształceni, o wiele bardziej nowocześni i przedsiębiorczy od lokalnej ludności mówiącej w sindhi, wywraca do góry nogami strukturę społeczną i wywołuje antagonizmy pomiędzy dwiema grupami. A te z biegiem czasu jedynie się pogłębiają. Hindusi zmonopolizowali władzę centralną, między innymi przenosząc stolicę z Karaczi do Islamabadu. Imigranci czuli się coraz bardziej dyskryminowani w nadal najważniejszym mieście w kraju. PPP Be- nazir Bhutto, dziś u władzy”, to zasadniczo partia ludności mówiącej w sindhi; MQM, partia imigrantów muzułmańskich, ma wsparcie ludowe w Karaczi, ale nie rządzi. W ostatnich trzech latach setki jej zwolenników wybiła armia i organizacje sponsorowane przez wojskowych, którzy próbowali przejąć kontrolę nad miastem. Przywódca MQM przebywa teraz na wygnaniu w Londynie.

To z tej partii, nadal ogromnie popularnej wśród tutejszej ludności, zaczynają wychodzić żądania większej autonomii, a nawet niepodległości Karaczi. Niektórzy marzą już o uczynieniu z tego miasta wolnego portu i centrum finansowego na wzór Singapuru. Byłby to jednak dalszy ciąg rozczłonkowania pierwotnego Pakistanu, który w 1971 roku stracił wschodnią część kraju na skutek wojny i powstania Bangladeszu.

Inną ważną historyczną przyczyną obecnego stanu rzeczy może być wojna w Afganistanie. Amerykanie, od początku sprzymierzeni z Pakistanem przeciwko prosowieckim Indiom, czynią z tego kraju bazę oporu afgańskiego przeciw rządowi z Kabulu i siłom interwencyjnym Sowietów. Miliardy dolarów napływają do Pakistanu na finansowanie mudzahedinów, „świętych wojowników”, i szkół koranicznych, w których do walki z komunistami szkoleni są żołnierze „świętej wojny”. Do Karaczi trafia całe wyposażenie wojskowe, jakie Stany Zjednoczone dają miejscowemu ruchowi oporu.

Fakt, że część broni ginie po drodze na terytorium pakistańskie, nie martwi przesadnie Waszyngtonu, podobnie jak fakt, że w kontenerach, które wracają puste z granicy, są przemycane olbrzymie ilości heroiny. Narkotyki, przez Karaczi, rozjeżdżają się na cały świat. Przez lata priorytetem USA było pokonanie Związku Radzieckiego w Afganistanie i przyspieszenie rozpadu ZSRR. Amerykanie odnieśli wielkie zwycięstwo. Cenę tej strategii płaci jednak Karaczi: około pięćdziesięciu tysięcy karabinów maszynowych jest dzisiaj w rękach osób prywatnych, a mafia narkotykowa stała się ważnym ośrodkiem władzy kontrolującym, poprzez swoich ludzi na wysokich stanowiskach politycznych, działalność wielu partii, włączając MQM.

Zwycięstwo Amerykanów w Afganistanie pozostawiło także bardzo wielu bojowników „świętej wojny” islamskiej bez zatrudnienia. To spośród nich liczne organizacje i tajne służby rekrutują swoich żołnierzy oraz prowokatorów. Masakry, pozornie o podłożu religijnym - jak atak na szyicki meczet albo rzeź dwóch rodzin (mężczyzn torturowano przez co najmniej trzy godziny na oczach krewnych, nim zostali zabici) - nie były dziełem sunnitów, lecz zagranicznych agentów zainteresowanych wprawieniem w ruch koła zemsty i utrzymaniem terroru w mieście.

Co do morderstwa na dwóch Amerykanach, oto jedno z popularnych wyjaśnień. Waszyngton chce rozwiązać problem narkotyków i naciska rząd pakistański, by ten zaatakował mafię.

Odpowiedzią jest zasadzka na jadących na lotnisko dwóch funkcjonariuszy, dla których dyplomacja stanowiła może tylko przykrywkę. Wiele środowisk może odpowiadać za tę zbrodnię.

Jedynym bezradnym jest rząd. Benazir Bhutto, przybyła do Karaczi w ostatnich dniach, przyrzekła użyć wszelkich możliwych środków, aby przywrócić w mieście porządek. Wkrótce potem policja ogłosiła, że aresztowała ponad trzystu podejrzanych. Wystarczyło kilka godzin, aby gazety podały, że byli to głównie włóczędzy i narkomani, i aby - w biały dzień - zdarzyła się następna masakra.

Dlatego Karaczi jest miastem strachu - miastem, gdzie trudno sobie wyobrazić życie bez lęku.

uniwersytet „świętej wojny”

Peszawar (Pakistan), marzec 1995

Pierścień murów wzniesiono z błota. Tak samo budynki w środku, które widzę przez chwilę. Na wywieszce przed bramą widnieje napis UNIWERSYTET, ale taksówkarz, zamiast się zatrzymać, jak go proszę, przyspiesza, wskazując mi czarny furgon bez tablic rejestracyjnych stojący na skraju drogi. Za szybami z przydymionego szkła widać cienie brodatych mężczyzn i karabinów.

- Oto studenci! - mówi, pochylony nad kierownicą, jakby chciał stać się mniejszy.

Boi się nie!ez powodu. Według wielu źródeł na tym dziwnym, niedostępnym „uniwersytécie”, zagubionym na kamienistej pakistańskiej równinie u podnóża gór Chirat, blisko granicy z Afganistanem, wykłada się nie literaturę czy medycynę, lecz podstawy terroryzmu. W tych domkach z błota, bardzo podobnych do domków z okolicznych wiosek, uknuto ponoć spiski, nad którymi biedzą się służby policyjne połowy świata. Bomba sprzed dwóch lat w World Trade Center²⁰, w sercu Nowego Jorku, bomba przygotowana w Manili na wizytę papieża na początku roku - obie miały wiele wspólnego z „uniwersytetem”. Ich domniemany wytwórca między jedną a drugą zagraniczną podróżą był tu częstym gościem.

Nazwa uniwersytetu, wypisana na biało na kawałku zielonego płótna, sama w sobie jest programem: Dawat and Jihad, WITAJCIE NA ŚWIĘTEJ WOJNIE. „Studentów” uczy się tu kilkuset. Trening ma z nich zrobić bojowników o chwałę islamu. Młodzi aktywiści muzułmańscy, ukształtowani w poprzednich latach w tych murach z błota, walczą teraz „na froncie”: w Algierii, w Tadżykistanie, w Bośni, na Filipinach i w Kaszmirze.

Założony w czasach inwazji sowieckiej na Afganistan, „uniwersytet” to jeden z wielu przykładów tego, jak starania Amerykanów, aby pokonać ZSRR, wydały na świat potwory. Żyją one dzisiaj własnym życiem i nikt nie potrafi odzyskać nad nimi kontroli.

Aby wygrać zimną wojnę, Waszyngton pozwolił organizacjom antykomunistycznym finansować się z handlu narkotykami, i w efekcie heroina załała Zachód. Waszyngton dał tym organizacjom góry broni, która teraz trafia na prywatny rynek i w ręce terrorystów. Waszyngton matkował mudżahedinom w walce przeciwko ateistycznemu rządowi w Afganistanie, a teraz oni stają się żołnierzami fundamentalizmu islamskiego przeciwko prozachodnim rządów arabskim i przeciwko samemu Zachodowi.

- Kiedy mudżahedini przybywali tu podczas wojny, przyjmowaliśmy ich z otwartymi ramionami - mówi szef policji pakistańskiej w Peszawarze. - Przywiodła ich szlachetna sprawa. Nie zadawaliśmy żadnych pytań.

W latach 1979-1989 ponad dwadzieścia pięć tysięcy młodych muzułmanów z Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej przejechało przez Pakistan, aby wziąć udział w dżihadzie, „świętej wojnie” w Afganistanie. Teraz, kiedy wojna się skończyła, wielu z nich - pozostałych bez zajęcia i bez żadnej możliwości powrotu do domu, gdzie zostali uznani za wywrotowców - jest werbowanych na wojnę znacznie większą i niebezpieczniejszą: o narzucenie światu islamu. Granica północno-zachodnia, jak nazywają ten górzysty region na pograniczu afgańskim, to idealny teren dla armii fanatyków religijnych.

Duża część regionu, ze swoimi piętnastoma milionami mieszkańców oraz dwoma i pół milionami uchodźców afgańskich, jest tylko formalnie kontrolowana przez Pakistan i nie podlega prawom obowiązującym w reszcie kraju. W miasteczku Darra, na przykład, zaledwie dwadzieścia osiem kilometrów od Peszawaru, wszystkie sklepiki przy głównej ulicy sprzedają ten sam towar: broń. Karabiny, pistolety i bazooki są jawnie oferowane klientom, a wraz z nimi odpowiednia amunicja. AK-47 kosztuje jedyne sześć tysięcy rupii, czyli półtora tysiąca euro. Nie są jednak eksponowane stingery, śmiertelne pociski strącające samoloty i helikoptery, podążające za źródłem ciepła. Amerykanie dali im kilka tysięcy mudzahedinom. Teraz ci sami Amerykanie proponują miliony dolarów za oddanie im nieużywanych stingerów, ale bardzo niewiele sztuk wróciło. Najwyraźniej pociski są o wiele cenniejsze na rynku terrorystów.

Władze pakistańskie wiedzą od lat, że region stał się bastionem fundamentalistów i że za fasadą „uniwersytetu” - tak samo jak za fasadą niektórych arabskich organizacji humanitarnych - prowadzona jest działalność powiązana z operacjami terrorystycznymi. A jednak dopiero teraz, po ogromnych naciskach ze strony USA, Pakistańczycy zaczynają stawiać czoło zjawisku. Sytuacja kraju jest skrajnie niepewna. Od swojego powstania w 1947 roku Pakistan szukał w islamie potwierdzenia narodowej tożsamości. Od tamtej pory każdy rząd używał religii, aby utrzymać się przy władzy. Fundamentalisci - finansowani przez Iran i z rozmaitych interesów świata arabskiego - skorzystali z tego, aby zapuścić korzenie w Pakistanie. Z czasem zdobyli sobie takie wpływy, że dla premier Benazir Bhutto wypędzenie ich za granicę byłoby ogromnie ryzykowne. Istnieje niebezpieczeństwo, że zwróciliby się przeciwko rządowi z Islamabadu, oskarżyliby go o bycie antyislamskim i służyć Stanów Zjednoczonych. Rozpętałiby w Pakistanie „świętą wojnę”, aby wyeliminować wpływy zachodnie i narzucić ścisłą ortodoksję islamską, jak to robią w Afganistanie talibowie.

Pakistan jest krajem ogromnych podziałów społecznych, zdominowanym przez elitę wielkich posiadaczy ziemskich. Ma ona wyłączność na władzę i bogactwo, żyje w miastach, wysyła dzieci na studia za granicę, nie jest szczególnie religijna, ale używa religii jako legitymizacji swojej pozycji społecznej. Natomiast dla ogółu ludności, żarliwie przywiązanej do tradycji, jedyną dostępną formą edukacji są wiejskie szkoły koraniczne, gdzie uczniowie czytają w kółko - czasami przywiązani do ławek - Koran. 395

To spośród młodzieży z owych szkół, przesiąkniętej fanatyzmem, zwerbowano armię „studentów”, talibów, którzy próbują teraz zdobyć Afganistan, a także bojowników przetrzucanych do indyjskiego Kaszmiru i uczestników wielu wojen islamskich krążących po świecie.

W odpowiedzi na napór kultury zachodniej, która poprzez telewizję dociera do najodleglejszych wiosek, wiele społeczeństw

o wzorze feudalnym wraca do religii w jej najbardziej radykalnej

i tradycyjnej postaci. Stąd umacnianie się fundamentalizmu islamskiego, postrzeganego przez wielu jako jedyna broń w walce ze „złem” przychodzącym z Zachodu.

Dlatego też Peszawar, ognisko intryg i wylegarnia szpiegów od pierwszych lat zimnej wojny (stąd wyruszył U-2, amerykański samolot wywiadowczy strącony w ZSRR), nagle znów wrze od tajemnic i spisków. Tym razem związanych z wojną Zachodu przeciwko nowemu nieprzyjacielowi: fundamentalizmowi islamskiemu. W mieście roi się od agentów poszukujących morderców dwóch dyplomatów amerykańskich z Karaczi. A także szpiegów próbujących podążać szlakiem Algierczyków, Marokańczyków, Jemeńczyków, Palestyńczyków, Saudyjczyków, którzy z paszportami pakistańskimi kupionymi za cztery tysiące rupii (około stu euro) podróżują po świecie i stosują w praktyce to, czego nauczyli się w murach z błota. Na uniwersytecie „świętej wojny”.

Miejsc na świecie, do których „cywilizacja” jeszcze nie dotarła, jest już niewiele. Jedno z nich miało się znajdować w pewnym zapomnianym zakątku Nepalu.

Mustang: raj utracony
kwiecień 1995

W dalekiej dolinie za oblodzonymi szczytami Himalajów żyje król z innych czasów. Jego zamek jest zbudowany z kamieni i błota, jego skarbami są owce i konie. Jedyne strażnik to mastif o sierści czarnej jak smoła. Monarcha ma zaledwie cztery tysiące pięciuset poddanych, lecz jego królestwo pobudza wyobraźnię podróżnika, który szuka krainy ze snu.

„Mustang to kraj doskonałej szczęśliwości, gdzie wszystko, co upragnione, jest na wyciągnięcie ręki, gdzie poddani jaśnieją jak gwiazdy, a duch rozkoszuje się kontemplacją władcy”, czytamy w starych manuskryptach, które dzisiaj pokrywa kurz w gompach, buddyjskich klasztorach tego królestwa.

Czyżby to właśnie był ziemski raj? Jak świat światem, ludzie udawali się na poszukiwania podobnego miejsca, które rozwiewało się niczym mgła, gdy tylko uwierzyli, że je odnaleźli.

Mustang, skrawek ziemi o powierzchni trzech tysięcy pięciuset siedemdziesięciu trzech kilometrów kwadratowych, znajduje się w północno-zachodniej części Nepalu, na granicy z Tybetem. I to z Tybetu pochodzi jego lud, jego tradycje, jego religia. W 1380 roku pewien szlachetnie urodzony pan z Lhasy ogłosił się królem i wśród tych zadziwiających gór zbudował miasto. Otoczył je grubymi murami z błota i nazwał Lo Mantang, „równiną dążeń ducha”.

Jigme Palbar Bista, sześćdziesięciodwuletni monarcha, jest dwudziestym piątym spadkobiercą w linii prostej założyciela 397

dynastii-jednej z najstarszych dynastii istniejących na świecie. Każdego ranka, przed świtem, wstaje i przez półtorej godziny medytuje. Potem wychodzi przez wielką drewnianą bramę miejską. Szybko przesuwał paciorki różańca i mrużąc swoje modlitwy, wiele razy okraża mury, jak to robili przez ponad sześćset lat wszyscy jego poprzednicy.

Odcięty od świata, nieskażony zewnętrznymi wpływami, Mustang pozostał zatrzymany w czasie. Nieprzebyte góry ochroniły go przed „postępem”. Kiedy w 1951 roku oddziały Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej wkroczyły do Tybetu, małe królestwo zamknęło północne granice i stało się formalnie częścią Królestwa Nepalu, unikając w ten sposób „wyzwolenia” - a więc i zniszczenia - przez komunistyczne Chiny.

Także w 1959 roku, podczas okupacji Tybetu, oddziały Mao Ze-donga, uznając władzę Katmandu, zatrzymały się na granicy Mustangu. Sześć tysięcy Kampów - żołnierzy uzbrojonych przez Dalajlamę - schroniło się wówczas w Mustangu i stąd, z pomocą CIA, przez lata prowadziło akcje partyzanckie przeciwko Chińczykom. Cały region stał się jeszcze bardziej niedostępny, a Mustang-jeszcze bardziej tajemniczy.

Wojna ruchu oporu tybetańskiego przeciwko Pekinowi skończyła się w 1974 roku. Sam Dalajlama poprosił bezgranicznie oddanych mu żołnierzy, aby złożyli broń. Wielu to uczyniło, odbierając sobie jednocześnie życie. Ale Mustang pozostawał krainą niedostępną: jedną z ostatnich, jedną z najbardziej fascynujących.

W czasach takich jak nasze, gdy każda zagadka wydaje się rozwiązana, każda tajemnica wyjaśniona, każdy zakątek ziemi odkryty, wieść, że małe królestwo zdołało przetrwać, niedosiężne i nietknięte wśród najwyższych gór świata, wywołała ogromną ciekawość i tęsknotę. Mustang stał się czymś w rodzaju symbolu najwyższych aspiracji człowieka, zawsze podążającego za tą potrzebą, o której Kipling pisze w Poszukiwaczu, wierszu z 1898 roku:

Coś w ukryciu. Idź to znaleźć. Idź poszukać za Górami.

Coś, co znikło za Górami, wciąż na ciebie czeka. Idź!

Od zawsze wszystkie religie i legendy Azji lokowały w Himalajach ziemski raj. To w Himalajach hindusi umiejscawiają swoją mityczną górę Meru, centrum świata i siedzibę niebiańskich duchów. To z Himalajami Chińczycy identyfikują swoją Nefrytową Górę, na którą odeszło Ośmiu Nieśmiertelnych. To tutaj dla Tybetańczyków znajduje się Szambala, kraina doskonałej czystości, z której pochodzą najtajniejsze nauki buddyzmu.

Przez stulecia pielgrzymi i odkrywcy wyruszali na poszukiwania sekretnego królestwa wśród himalajskich szczytów. Wielu nigdy nie powróciło. Niektórzy po drodze zrozumieli, że ścigają chimere, że punkt dojścia nie jest fizyczny, lecz duchowy, i że raj trzeba szukać w samym sobie. A jednak idea ukrytej krainy spokoju i szczęścia za łańcuchami gór nigdy nie została zapomniana.

Jeszcze w 1933 roku pewien młody Anglik, James Hilton, napisał powieść, której miliony egzemplarzy sprzedawały się na całym świecie. Nosiła tytuł Zaginiony horyzont. Mały samolot z trzema mężczyznami i jedną kobietą na pokładzie zostaje porwany i ląduje wśród oblodzonych szczytów Himalajów. Czterech pasażerów trafia do doliny, gdzie czas nie istnieje, gdzie ludzie żyją setki lat, nie starzejąc się, gdzie w tybetańskim klasztorze jest przechowywana cała mądrość świata - dla ludzkości, która odrodzi się po ostatniej, apokaliptycznej wojnie. Temu miejscu Hilton dał nazwę Szangri-La, nazwę, która weszła do wszystkich języków jako synonim raj na ziemi.

Dzisiaj również podróż do Mustangu zaczyna się na pokładzie małego czternastoosobowego samolotu startującego w Pokhara, w środkowym Nepalu, i lecącego szybko ku niebieskiemu cieniowi najwyższych szczytów masywu Annapurny, jakby przekraczając granice znanego świata. Podróżny, zawieszony w nieogarnionej pustce i wstrząśnięty pięknem gór, zadaje sobie pytanie, czy on także nie jest porwany do Szangri-La.

Nieoczekiwanie samolot obniża lot nad zalanym światłem płaskowyżem i ląduje w Jomoson, punkcie, z którego wyruszają wszyscy zdobywcy Annapurny. STĄPAJ OSTROŻNIE PO TYM KRUCHYM ŚWIECIE - taka prośba widnieje na plakacie. Umieścili go ekolodzy próbujący ograniczyć straty spowodowane przez turystykę, która w ciągu ostatnich dwudziestu lat przyczyniła się - do rozwoju Nepalu, ale przyniosła też szkody.

W marcu 1992 roku pod naciskiem międzynarodowych agencji turystycznych rząd Nepalu otworzył Mustang. Ograniczona liczba cudzoziemców (z początku jedynie dwieście osób rocznie) otrzymała pozwolenie na przemieszczanie się grupowo z Jomoson do Lo Mantang. Turyści nie mogą niczego przyjmować od lokalnej ludności i muszą mieć z sobą wszystko, co niezbędne do życia, od pożywienia po opał do przygotowania posiłku. Śmieci należy eliminować. Każdej grupie towarzyszy nepalski policjant odpowiedzialny za przestrzeganie tych reguł.

Nie ma dróg prowadzących do królestwa Mustangu. Wiedzie tam ścieżka przecinająca ogromną równinę otoczeków: wyschnięte łożysko rzeki Kali Gandaki, która przez tysiąclecia wyłobliła najgłębszy kanion świata. Dalej ścieżka, wykuta w ścianach gór, ciągnie się wzdłuż przerażających urwisk, wije się wężowato przez płaskowyże i wspina do przełęczy na wysokości czterech tysięcy metrów. Klimat jest bezlitosny. Grupa wyruszająca o poranku pod pięknym słońcem po południu wpada w środek zamieci śnieżnej.

Ziemia, po której, powoli i ostrożnie, poruszają się nasze muły i konie, była miliony lat temu dnem oceanu. Zderzenie płyt indyjskiej i eurazjatyckiej podniosło z głębin morskich ten ogrom i wypiętrzyło łańcuch Himalajów. Tylko tak można wytłumaczyć złoża koralu, które jeszcze dzisiaj znajdujemy na szczytach gór, i tajemnicze czarne kamienie - niespotykanej, niekiedy idealnej krągłości - odnajdywane tu i ówdzie wśród zwykłych szarych kamieni. W dotyku okazują się one o wiele zimniejsze od innych, a gdy się je rozłupie, we wnętrzu można zobaczyć skamieniałość morskiego stworzenia albo przedziwne, złote i skrzące się jajo sprzed stu lub stu pięćdziesięciu milionów lat.

Przyroda zachowała tu swoje pierwotne piękno. Góry wydają się pochylać, tworzyć kopuły, wieże, gładkie, wypolerowane ściany lub puszczaki olbrzymich organów. W nieprzeniknionej ciszy, wręcz kosmicznej, człowiek ma wrażenie, że jest pierwszą istotą ludzką na Ziemi po Wielkim Wybuchu. Tylko widok maleńkiej jaszczurki w kolorze piasku albo sylwetki jeźdźcy konnego majaczącej na odległym grzbiecie górskim przypomina, że to nadal nasz świat.

Czasem stroma ścieżka dla zwierząt jucznych przecina białą równinę soli, czarną - łupka albo wchodzi w świeży rów rdzawej ziemi. Idąc nieprzerwanie naprzód, w całkowitym spokoju, zaczyna się szybko odczuwać lekkość bytu, nikłe znaczenie własnego życia wobec potężnej obecności boskiego pierwiastka w naturze. Łatwo zrozumieć, że dla ludzi żyjących od wieków w tym krajobrazie wiatr nie jest niczym innym, jak oddechem gór, a każda skała i każdy załom skalny to domostwo boga, którego łaskawość należy sobie zaskarbić.

Za każdym razem, gdy karawana pokonuje przełęcz, nasi tybetańscy przewodnicy rzucają w powietrze kamyki, aby odpędzić złe duchy, i wrzeszczą, ile sił w płucach:

- Sio, sio, sio!

Powiadają w ten sposób bogów, że przechodzimy. Na najwyższych grzbietach górskich puszczają w powietrze paski leciutkiego białego materiału z wypisanymi modlitwami. Wiatr zanieś je do nieba.

Tą samą niezwykłą ścieżką buddyzm dotarł z Indii do Tybetu. Przyniósł go tam Padma Sambhawa, „ten, który urodził się w kwiecie lotosu”, sławny jogin i mag hinduski. W VIII wieku po Chrystusie udał się z dwiema żonami w podróż do Lhasy przez Mustang. To w jego nauczaniu, interpretującym buddyzm poprzez zmysły, sfera seksualna została uznana za świętą. Dzięki swoim magicznym mocom Padma Sambhawa ujarzmił ponoć demony tych gór i uczynił z nich obrońców Mustangu oraz jego religii.

- To jest, widzisz, krew potwora, którego zabił Padma Sambhawa - mówi człowiek od mułów, wskazując dziwny pas czerwonej ziemi. Naprawdę wygląda jak krew spływająca po stokach góry. - A tam są jego jelita - dodaje, pokazując mi bardzo długi i niski mur wijący się po bezdrzewnym zboczu. Dopiero gdy przechodzimy obok, przekonujemy się, że mur powstał z dziesiątków tysięcy kamyków. Wryto w nich modlitwę odmawianą przez każdego Tybetańczyka: Om mani padme hum - „Chwała klejnotowi w kwiecie lotosu.”

Religia i zabobon zawsze były częścią życia w Mustangu. Wszędzie widać stosiki kamieni ułożone prostodusznie przez pielgrzymów na cześć bogów oraz imponujące czorteny, relikwiarze stojące w dolinach i na przełęczach. Przy wejściu do każdej wioski, przez którą przejeżdża karawana, zauważamy rzędy małych młynków modlitewnych. Młynki znajdują się również w progach domów i nad źródłkami, gdzie obraca je woda, „powtarzając” umieszczoną na nich modlitwę.

Na wzniesieniu nad wioską Geling dwie wytworne gompy pomalowane na czerwono stoją na baczność niczym wartownicy. Ściany są pokryte starodawnymi freskami. Na ołtarzach leżą cenne przedmioty z brązu i unikalne tanki owinięte w jedwab. W forcie miasteczka Tsarang przechowywany jest starożytny rękopis Kanjur, świętej księgi Tybetańczyków. Tekst wypisano czystym złotem i tom waży czterdzieści kilogramów.

Ściany gompy w Lo Gekar, stojącej na szczycie góry w otoczeniu stu ośmiu czortenów, są pokryte setkami kamiennych tabliczek. Wryto w nich postacie bogów. W półmroku, za ołtarzem głównym, wznosi się wysoka na metr, bardzo zmysłowa figura z brązu przedstawiająca Padmę Sambhawę podczas aktu młodsze- go z jedną ze swoich małżonek. Gompa ta jest najstarszą świątynią w regionie. Według tradycji Padma Sambhawa spędził w niej kilka miesięcy.

Z biegiem dni człowiek zaczyna rozumieć, że ten przygnębia- 402 jący pejzaż pełen jest niezliczonych, nieznanymi nikomu małych Kaplic Sykstyńskich buddyzmu i że w chłostanych wiatrem gompach zachowały się kolekcje tank, które wzbudziłyby zawiść najlepszych muzeów. Większość pochodzi z XIV i XV wieku, złotej ery Mustangu, kiedy karawany przewożące sól z Tybetu na północ Indii płaciły podatek za przejście przez tę krainę.

To, co w Tybecie zostało unicestwione, to, co Chińczycy spalili albo zburzyli, w Mustangu pozostało nietknięte. Tutaj starodawna sztuka i tradycje Tybetańczyków przetrwały w swoim

pierwotnym kształcie. Tak samo jak mityczna Szangri-La, Mustang strzeże nieprzebranych skarbów.

Skarbowi grozi dziś niebezpieczeństwo. Z klasztoru w Ge-lingu w niewyjaśnionych okolicznościach zniknęło piętnaście tank. Zaledwie na kilka tygodni przed naszą wyprawą ludność złapała człowieka, który krążył po Mustangu z fotografiami dzieł sztuki. Jak potem zeznał - pewien antykwariusz z Katmandu polecił mu je zdobyć. Na światowych rynkach brąz albo malowidło z Mustangu ma wartość porównywalną ze stadem jaków. Pokusa jest duża, zwłaszcza teraz, gdy liczne miejsca kultu zostały bez opieki.

Z klasztorów zniknęli lamowie. W kuchni starej gompki w Gami są jeszcze dwa ogromne żelazne kotły, w których swego czasu gotowano ryż dla tysiąca mnichów. Dzisiaj w całym kompleksie mieszkają tylko dwaj starzy lamowie. W dormitoriach wielkiego klasztoru w Tsarangu ptaki uwiły sobie gniazdo nad pięknym freskiem, na którym Mara, bóstwo śmierci, czterema łapami przytrzymuje koło narodzin, aby je pożreć. Piętnastowieczny fresk kruszy się, jak setki innych w kraju.

Po pięciu dniach marszu, niekiedy na piechotę, niekiedy w siodle, niespodziewanie w środku równiny otoczonej bezdrzewnymi, żółtawymi pagórkami widzimy Lo Mantang. Ze swoimi trzema gompami pomalowanymi na czerwono, murami z błota pobielonymi wapnem i dwiema ogromnymi wierzbnami, miasto wydaje się nieskazitelne - jakby wzniesiono je dzisiaj. Z daleka odnosimy wrażenie, że oto wreszcie dotarliśmy do serca tajemnicy. 403

A jednak z bliska obraz się urealnia i podróżny nareszcie zaczyna rozumieć: sens poszukiwania polega na przebytej drodze, nie na osiągnięciu celu. Podróżuje się, aby podróżować, nie zaś docierać do miejsca przeznaczenia.

Zaledwie karawana zdąży się nacieszyć upragnionym widokiem „równiny dążeń ducha”, już oblegają ją chmury dzieci, które nadbiegają z wyciągniętymi rękoma i proszą o pieniądze, czekoladę i długopisy. Niektóre nauczyły się żebrać w obcym języku. Mają zaczerwienione i zaropiałe oczy, ciekące nosy.

Bramę miejską przekracza się na piechotę. Tylko król ma prawo przejeżdżać przez nią w siodle. Pod ścianami domów kobiety przędą wełnę. Kilku starszych modli się, przesuwając koraliki różańca. Od sześciu miesięcy nie padało, ale na ulicach zalega wodnista mieszanina błota i odchodów.

Na czwartym piętrze pałacu król, siedzący na łożu z kobierców, przyjmuje swoich gości. Długi koński ogon, w który wiąże włosy, owinięty ma wokół głowy. W płatkach uszu władca nosi wielkie turkusy. Osobiście wita każdego cudzoziemca. Herbata, którą nas częstuje, jest gorąca jak ukrop, atmosfera jak z bajki.

Całe życie Lo Mantang skupia się wokół monarchy. Mustang nie ma praw ani więzień i to władca rozstrzyga wszystkie spory. Niektórzy poddani przybywają z bardzo odległych wiosek, aby rozsądził ich zatargi o ziemię albo wodę. Jego słowo jest ostateczne, nieodwołalne, a za każdy wydany wyrok król otrzymuje daninę. To zawsze on rozdaje ziarno pod siew wieśniakom.

Obecność władcy zapewnia ochronę miastu. Dach pałacu pokrywają czaszki i poroża zwierząt, kamienie z wrytymi magicznymi inskrypcjami i wizerunki medytującego Buddy. Kiedy król opuszcza Lo Mantang, przez wiele dni nikomu nie wolno używać miotły, aby przy zamiataniu nie podniosły się złe duchy i nie podążyły jego śladem.

Dla Nepalczyków, którzy są hindusami, mieszkańcy Mustangu, buddyści, z ich językiem i kulturą, to obcy. Na dodatek obcy 404 z niższej kasty. Słowo bhote, jakim Nepalczycy określają Tybetańców, jest synonimem „prymitywnego”, „brudnego”. Stąd ich całkowity brak szacunku dla tego, co tybetańskie, i wielkie zagrożenie dla Mustangu. Małe, zapomniane królestwo wśród gór jest ostatnią kroplą czystego, starodawnego Tybetu, a Katmandu dąży dziś do jego „nepalizacji”, asymilacji.

Wszyscy nauczyciele przysyłani przez nepalski rząd do Mustangu to hindusi, którzy nie mówią po tybetańsku. Zaraz po przyjeździe nadają miejscowym dzieciom hinduskie imiona. Nawet dyrektor szkoły dla młodych mnichów w Lo Mantang nie jest buddystą. Dla Katmandu Mustang to dzisiaj po prostu produkt do sprzedania na dochodowym rynku międzynarodowej turystyki i dlatego zamiast dwustu cudzoziemców, jak niegdyś, obecnie do królestwa Mustangu może przyjeżdżać ponad tysiąc osób rocznie.

Kiedy moja karawana dociera do Lo Mantang, przed murami miasta znajduje się już obóz trzech innych zagranicznych wycieczek: francuskiej z kilkoma błękitnymi namiotami, włoskiej z namiotami zielonymi i niemieckiej, mieszkającej w namiotach typu igloo. Chmary dzieci zamęczają wszystkich bez różnicy, wznosząc chóralne prośby.

- Otwarcie kraju na turystykę jest destrukcyjne. Mamy tu przez nią kulturę żebraków - mówi mi Pushpa Tulal Han, młody nepalski antropolog, zakochany w Mustangu, przedmiocie swoich badań. - Ludzie tracą poczucie tożsamości.

Odcięci do niedawna od reszty świata, mieszkańcy Mustangu wykształcili przez stulecia własny, oparty na samowystarczalności system przetrwania. Wykorzystując otoczenie, nauczyli się wytwarzać wszystko, czego potrzebowali. Aby mieć opał - przede wszystkim do gotowania - suszyli zwierzęce ekskrementy. Do oświetlania domów używali żywicy pewnej rośliny. Dorośli szyli ubrania, dzieci robiły sobie zabawki.

Gdy ktoś chorował, rodzina kładła przed drzwiami dwa kamienie pomalowane na czerwono, wzywała łamów na uroczystość religijną i zwracała się do amji, astrologa-zielarza, który zawsze miał jakieś lekarstwo. 405

- Przychodzi do mnie coraz mniej ludzi - zwierza się Tashi Chusang, ostatni amji w Lo Mantang. - Lekarstwa cudzoziemców działają o wiele szybciej. Dlatego wszyscy je wolą.

Znikają także stare buty filcowe, coraz częściej zastępowane przez zachodnie tenisówki, które podbiły świat. Zamiast klasycznych tybetańskich trójgraniastych kapeluszy z futra mężczyźni noszą pospolite czapeczki baseballowe z napisami BOSS i CAP-TAIN. Na placu targowym dziewczynka trzyma jasnowłosą lalkę o błękitnych oczach. Chłopcy bawią się plastikowymi samolocikami, prezentem od jakiegoś turysty, i robią wielkie balony z gumy do żucia.

-W Mustangu więcej rzeczy zmieniło się przez ostatnie trzy lata niż przez ostatnie trzy stulecia. Czasami nocą nie mogę zasnąć na myśl o tym, co jeszcze nas czeka - mówi król. - Nie jestem przeciwny rozwojowi, jeśli poprawia nasze życie. Ale jeśli je niszczy? Oczywiście, chcę elektryczności, ale nie po to, żeby mieć telewizor. Temu jestem przeciwny z całego serca. Telewizor odciąga ludzi od religii.

Co można zrobić?

- Poprosiłem wszystkie gompy z Mustangu o odmawianie modlitw, ale zastanawiam się, czy to wystarczy... - kończy zrezygnowany monarcha.

Kiedy zapada wieczór, czarny mastif króla, pilnujący na łańcuchu pałacowego tarasu, zaczyna ujadać jak szalony. Szczeka na dziwne kolorowe cienie, które tańczą w ciemności. Przed pałacem sklepikarz, używając baterii akumulatorowej, zdołał uruchomić odtwarzacz wideo. Oniemiałe dzieci siedzą w kucki i oglądają indyjski film.

- Lepiej znają imiona aktorek z Bombaju niż imiona swoich bogów - twierdzi antropolog.

Sami mieszkańcy Mustangu zdają sobie sprawę, że coś się zmieniło, że nagle przybycie obcych zniszczyło odwieczną równowagę w ich społeczności. Wiatr wieje silniej niż kiedyś? Spóźnia- 406 ją się wielkie deszcze?

- To wszystko wina turystów - mówią. - Rozgniewali bogów.

Wcześniej przez ponad sześćset lat tylko kilkudziesięciu cudzoziemców przejechało przez królestwo. Paru włoskich kapucynów po drodze do Lhasy pod koniec XVII wieku, japoński mnich w 1899 roku oraz kilku poszukiwaczy przygód i uczonych, jak Giuseppe Tucci w XX wieku. Tymczasem od 1992 roku zjawilo się w Mustangu ponad tysiąc pięciuset turystów.

O świcie król przechadza się wzdłuż murów. Kobiety zbierają i suszą odchody pozostawione w nocy przez zwierzęta. Po drodze wprawiają w ruch wielki młynek modlitewny, wysoki jak sama brama miejska. Za każdym obrotem pałeczka dotyka małego dzwonka. Srebrzysty dźwięk nie milknie, jakby zawisł w powietrzu.

Cieszyłem się w milczeniu tą sceną, moim ostatnim porankiem w Lo Mantang, kiedy zniecka niebiański odgłos został zagłuszony przez metaliczny terkot, najpierw cichy, potem coraz głośniejszy. To był helikopter.

Kolejna wycieczka postanowiła zaoszczędzić sobie drogi i przylecieć prosto do celu.

Wiosną 1995 roku wojna w indyjskim Kaszmirze zaostrza się. Islamscy bojownicy okupują jedną z najważniejszych świątyń w regionie. Po długim oblężeniu armia Indii przechodzi do ofensywy.

Kaszmir: psy wiedzą

Szarar-i-szarif (Kaszmir), maj 1995

Oszołomione psy kręcą się między gruzami i obgryzają zwęglone kości. Niektóre, oślepienie ogniem, umierają z głodu, skulone wśród dymiących resztek tego, co było najświętszym miejscem w Kaszmirze. One wiedzą, co się tu stało, i może jako jedyne powiedziałyby prawdę, ale psy mogą tylko skomleć.

Od XIV wieku, otoczone szczytami Himalajów, istniało tu piękne miasteczko o budynkach z cegły. Zostało z niego tylko kilka domów. W 1460 roku wzniesiono sanktuarium z drzewa orzechowego, całe w intarsjach. Hindusi i muzułmanie pielgrzymowali do świątyni, często przynosząc jako ex voto pierwsze obcięte włosy swoich dzieci. Ocalało z niej nie więcej niż kilka kamiennych schodków. Wszystko poszło z dymem, w tym i ostatnia nadzieja na kompromis w Kaszmirze, regionie, który jest jabłkiem niezgody zatruwającym od półwiecza stosunki między Indiami a Pakistanem. Kaszmir może stać się także zarzewiem nowej wojny między sąsiadującymi krajami uzbrojonymi już w główce nuklearne.

Sanktuarium Szarar-i-szarif było symbolem tolerancji religijnej, koegzystencji hindusów i muzułmanów. Zostało wzniesione wokół grobu szejka Nuruddina, piewcy sufizmu - mistycznego nurtu islamu - nawołującego do pokoju poety, z którego wierszy narodził się duch Kaszmiru.

Bóg jest wszędzie i ma tysiąc imion, ale nie istnieje źdźbło trawy, które by go nie rozpoznało. Razem zjawiliśmy się na tej ziemi, czemużby nie dzielić radości i cierpień?

Tak pisał szejka Nuruddin, aby przekonać swój naród, że miłość lepiej niż miecz nawraca niewiernych i że „nie należy nigdy budować muru między hindusami a muzułmanami”.

Splónięcie Szarar-i-szarif pogłębiło jednak podziały. Kto podłożył ogień? Kto chciał zniszczyć to miasto, wszystko, czym ono było? Psy milczą. Pewne jest tylko to, że dwa miesiące temu około pięćdziesięciu bojowników fundamentalistycznego islamu, uzbrojonych po zęby, zmieszało się z pielgrzymami i weszło do Szarar-i-szarif. Ich przywódcą był Mast Gul, „major” mudżahedi- nów, weteran wojny w Afganistanie. Wojsko Indii wysłało trzy tysiące ludzi, aby otoczyli miasto, ale generałowie z Delhi od początku mówili, że nie zaatakują partyzantów. Chcieli uniknąć ofiar wśród ludności i zniszczenia sanktuarium. Nieoczekiwanie, po tygodniach bez rozstrzygnięcia, pewnej nocy całe miasto, świątynia, grób szejka Nuruddina, jego rękopisy i święta relikwia - płaszcz Fatimy, córki Mahometa - zostały strawione przez płomienie.

Kto ponosi odpowiedzialność za to świętokradztwo? Władze Indii twierdzą, że partyzanci. Oni z kolei mówią, że Indusi i ich artyleria. Ludność zbiegła do pobliskich wiosek opowiada nieprawdopodobną historię o helikopterach, które miały jakoby rozsiać po mieście pył zapalający, a potem zrzucić bomby. Gdy ktoś przedstawia inną wersję wydarzeń, tłum go poprawia.

Mieszkańcy Kaszmiru żyją w terrorze: terrorze mudżahedi- nów przybyłych ich „wyzwolić”, terrorze Indusów przybyłych ich „obronić”.

- Bojowników było ponad trzydziestu. Sami najemnicy z Pakistanu. Zabiliśmy dwudziestu ośmiu i uwięziliśmy jednego. Był to nasz wielki sukces - mówi generał Mohinder Singh, dowódca oddziałów indyjskich okupujących zniszczone i opuszczone miasto.

Ma wykrochmalony mundur, jego zielony turban zdobi czerwony pas, ale generał jest boso. „Z szacunku dla świętości miejsca” zmusił wszystkich, żołnierzy i dziennikarzy, do zdjęcia butów i stapania po gruzach i rozbitym szkłe spalonego sanktuarium. Skrajny przejaw hipokryzji na wojnie, na której walczy się takse kłamstwem i propagandą.

Dla Indii zniszczenie Szarar-i-szarif bynajmniej nie było sukcesem. Potężnej armii z Delhi nie tylko zadała klęskę garstka partyzantów; bojownicy w dodatku zadrwili z Indusów. Podczas gdy rzecznicy wojskowi ogłaszali, że „major” Mast Gul został otoczony i że w ciągu kilku godzin zostanie „zlikwidowany”, on opuszczał Szarar-i-szarif w towarzystwie osiemnastu swoich ludzi i wysyłał nam, dziennikarzom, nagranie, na którym opowiadał o swojej ucieczce i wyśmiewał Indusów. Dla młodych mieszkańców Kaszmiru „major” jest bohaterem dnia.

Według władz Indii za rozruchami stoi Pakistan i „terroryzm” należy przypisać „najemnikom” przysłanym zza granicy. Ale to także jest półprawda.

- Sami cudzoziemcy - mówi indyjski oficer, wskazując ciała pięciu partyzantów leżących pod białym płótnem na łące za Szarar-i-szarif. Dziennikarze robią notatki, fotografowie pstrykają zdjęcia i odjeżdżają. Kto z ciekawości wróci kilka godzin później, odkryje jednak, że wokół zwłok zgromadziły się płaczące kobiety. Żaden z zabitych nie jest anonimowy. Wszyscy byli chłopakami z okolicy.

Bez wątplenia to Pakistan podsyca ogień buntu przeciwko Indiom w Kaszmirze, przerzuca swoich agentów i wysyła broń partyzantce, ale ruch ma lokalne korzenie. Nienawiść do indyjskiej administracji jest już tak silna, że setki młodych mieszkańców Kaszmiru spontanicznie porzucają rodzinne wioski, udają się do części kontrolowanej przez Pakistan i wracają po miesiącach 410 szkolenia - nie tylko militarnego, lecz także religijnego.

Z kolei dla Indii, które przez dziesięciolecia czyniły z tolerancji i współistnienia religii fundament swojej tożsamości, alienacja Kaszmiru - jedyne stanu Unii z większością muzułmańską - oznacza wielkie kłopoty na płaszczyźnie międzynarodowej i poważne konsekwencje wewnątrz kraju.

Zniszczenie sufickiego sanktuarium w Szarar-i-szarif nie było wyjątkiem. Wojsko zburzyło Złotą Świątynię sikhów w Amritsa- rze, a wcześniej rozszalały tłum hindusów - meczet w Ajodhji. Wszystko wskazuje na to, że rośnie nietolerancja. Dla stu dwudziestu pięciu milionów muzułmanów, którzy nadal żyją w Indiach jako mniejszość, to niepokojący znak.

Obecnie żadne rozwiązanie nie jest możliwe. Wszelkie ustępstwa Indii w Kaszmirze zostałyby odczytane jako ustępstwa na rzecz Pakistanu, a na to nikt w Delhi nie może sobie politycznie pozwolić. Zgoda na plebiscyt w Kaszmirze, na to, aby region wybrał własną przyszłość, zachęciłaby inne grupy ludności oraz stany indyjskie o nastawieniu separatystycznym do domagania się niezawisłości. Indie wyszłyby z tej sytuacji osłabione, może nawet podzielone. A zatem oblężenie trwa. Kaszmir, kraina o niezwyklej urodzie, coraz bardziej przypomina raj utracony.

Wieczorami piękne house-boats, niegdyś goszczące tysiące turystów, są ciemne i opuszczone pod ogromnymi klonami rosnącymi na brzegach jeziora Dal. Księżyc rzuca srebrny blask na himalajskie szczyty. W uspokajającej ciszy natury słychać nagle krzyki: „Azad Kaszmir!” - „Wolność dla Kaszmiru!” Zaczynają terkotać karabiny.

To młodzi mieszkańcy Kaszmiru, mimo godziny policyjnej, obrzucają kamieniami kazamaty indyjskich żołnierzy, przygotowując się do roli partyzantów.

w lipcu tajemnicza partyzantka porywa pięciu zachodnich turystów (między innymi Niemca), a ja zostaję ponownie wysłany do Śrinagaru, aby nakreślić portret Kaszmiru.

tunel bez światła

Śrinagar (Kaszmir), sierpień 1995

Piękniejsza być nie może. Leżąca w amfiteatrze Himalajów Dolina Kaszmirska jest przykładem doskonałości natury. Kontury gór zacierają się na ogromnych wysokościach, rzeki są przejrzyste jak szkło, a w jeziorach - raz szmaragdowozielonych, raz błękitnych - odbijają się topole, wierzby i ogromne, majestatyczne klony podobne do katedr. Nic nie uspokaja duszy bardziej niż wschód słońca nad jeziorem Dal, kiedy stada dzikich kaczek lecą nisko nad nieruchomą wodą, a samotny zimorodek o błękitno-złoty piórach przypatruje się swojej zdobyczy. Wielcy Mogołowie, którzy w XVI wieku przybyli z jałowej Azji Centralnej, aby podbić Indie, założyli na brzegach tego jeziora najpiękniejsze ogrody Orientu i w ich cieniu spędzali, szczęśliwi, upalne lata. Kiedy w 1627 roku cesarz Dżahangir, ojciec twórcy Tadż Mahalu w Agrze, umierał w Bhim Barze, ktoś zapytał, jakie jest jego ostatnie pragnienie. Władca wyszeptał jedynie: „Kaszmir, Kaszmir!” W sławnym XIX-wiecznym wierszu, który lubią deklamować mieszkańcy Kaszmiru, czytamy:

Jeśli na Ziemi istnieje raj, musi być tu, być tu, być tu.

Ale już go nie ma. „Szczęśliwa dolina”, jak ją nazywali brytyjscy kolonizatorzy, stała się doliną strachu i śmierci. Od sześciu lat Kaszmir jest polem krwawego konfliktu. Po jednej stronie Indusi ze swoją armią i policją, po drugiej lokalny ruch partyzancki popierany przez Pakistan, który chce odłączenia Kaszmiru od Indii.

Smutniejsza być nie może. Śrinagar, średniowieczna stolica, niegdyś tak wytworna ze swoimi drewnianymi meczetami i domami bogaczy wzdłuż rzeki Dźhelam, ze swoimi house-boats, charakterystycznymi łodziami mieszkalnymi przycumowanymi w kanałach, ze swoimi bazarami, na których rzemieślnicy wyszywali wyszukane chusty kaszmirskie, tkali dywany i wyrabiali piękne przedmioty z papier mache- dziś jest obozem wojskowym.

Na każdym skrzyżowaniu, na każdym placu postawiono złowieszcze każamaty, z których okienek żołnierze indyjscy mierzą z karabinów do przechodzących. Szkoły, szpitale, kina i hotele zostały przejęte przez żołnierzy i życie „Wenecji Himalajów”, „perły wprawionej w diamenty” jest całkowicie sparaliżowane.

Wojskowi indyjscy ukryli się w ogrodach i fortach Wielkich Mogołów, zajęli sanktuarium z VIII wieku przed Chrystusem, które ze szczytu wzgórza strzeże Śrinagaru, jak również małą sztuczną wysepkę na jeziorze Dal. Stąd podczas pełni księżyca Mogołowie obserwowali niebo.

Turyści już nie przyjeżdżają. Sklepy świecą pustkami, a ludność żyje w strachu.

- Wychodzimy, nie wiedząc, czy w ogóle wrócimy do domu - mówi mi pięćdziesięcioletni pisarz Muhammad Zahir. Kilka dni temu Indusi ściągnęli go z motoroweru, zawlekli do jakiegoś bunkra i maltretowali godzinami. - Nie chcieli niczego wiedzieć. Po prostu mieli ochotę pokazać mi, że my, Kaszmirczycy, jesteśmy muchami, które Indusi mogą zgniatać, jeśli tylko im się spodoba.

Codziennie całe dzielnice są otaczane przez indyjskie siły bezpieczeństwa podczas „akcji okrążająco-przeszukujących”, których tak obawiają się ludzie. Megafony budzą mieszkańców. Mężczyźni muszą wyjść z domów i zgromadzić się na pobliskim 413 placu. Tam każdy przechodzi powoli przed wojskowymi dzipami, w których siedzą „koty” - byli partyzanci, a obecnie informatorzy Indusów. Budzące grozę w swoich czarnych opończach, od stóp do głów chroniących przed rozpoznaniem, „koty” identyfikują dawnych towarzyszy i zwolenników partyzantki. Każdy „podejrzany” jest zabierany na przesłuchanie. Często wracają tylko
zwłoki.

- Pewnego poranka w mojej uliczce było pięciu zabitych - opowiada biznesmen ze Śrinagaru. - Jeden to syn sąsiadki. Dzień wcześniej przyjechał z Bombaju, aby odwiedzić matkę.

Indusi nie widzieli nigdy dotąd tego chłopaka, a więc wzięli go za szpiega i torturowali, aby wydobyć od niego informacje, których nie miał.

Według szacunków kaszmirskich obrońców praw człowieka (władze z Delhi uniemożliwiają wjazd na terytorium Amnesty International i innym organizacjom zagranicznym), od 1989 roku ponad tysiąc pięćset osób zmarło w więzieniu, dwustu młodych ludzi zniknęło, a od piętnastu do dwudziestu tysięcy obywateli nadal jest uwięzionych. Liczby rosną z dnia na dzień.

Indie używają w Kaszmirze takich samych metod represji, jakimi zwalczyły ruchy separatystyczne w Nagalandzie i Pendża- bie: nieubłagane likwidują uzbrojonych bojowników i terroryzują ludność, aby nie udzielała im wsparcia. Problem polega na tym, że w Kaszmirze owe metody przyniosły skutek przeciwny do zamierzonego. Dziś ze świecą szukać Kaszmirczyka, który by powiedział jedno dobre słowo o Indiach. Nawet w osobach niezainteresowanych polityką i pragnących po prostu powrotu pokoju i normalności narasta gniew przeciwko Indusom. Armia coraz częściej postępuje jak brutalny okupant.

- Gdy tylko będę znów w stanie chodzić, wezmę karabin i pójdę z partyzantami - mówi dwudziestoosmioletni nauczyciel rysunków, pokazując mi swoje oparzenia. Indyjska policja podczas przesłuchania przypalała mu elektrodami uda i jądra. Dopiero co 414 przyjechał ze wsi z chorą żoną, aby ją obejrzał miejski lekarz, i został aresztowany podczas łapanek. Był torturowany przez trzy dni. Potem bez żadnych wyjaśnień Indusi go wypuścili.

Nikt nie widzi prostego rozwiązania konfliktu, a niektórzy wręcz obawiają się, że rajaska dolina będzie zarzewiem większej wojny, która zagrozi nie tylko bezpieczeństwu regionu, ale i świata. O kontrolę nad Kaszmiem Indie i Pakistan toczyły już trzy wojny. Czwarta może wybuchnąć w każdej chwili. Tym razem niewykluczone, że będzie to wojna atomowa, bo zarówno Indie, jak Pakistan mają już broń nuklearną.

Sytuacja stała się bardzo niebezpieczna. Każda ze stron sądzi, że sąsiad dąży do jej unicestwienia. Każda wierzy, że jej kłopoty wewnętrzne są rezultatem knoń przeciwnika. Każda stawia sprawy na ostrzu noża.

Nie bez powodu. W 1971 roku Indie odegrały decydującą rolę w podziale dawnego Pakistanu. Udzieliły wówczas poparcia rewolucji we wschodnich prowincjach przeciwko Islamabadowi i wysłały swoją armię, aby wsparła utworzenie separatystycznego państwa Bangladeszu. W odwecie Pakistan od tamtego czasu wspierał wszystkie ruchy dążące do rozczłonkowania Indii - szczególnie ruch sikhów na rzecz niepodległego Pendżabu - i najprawdopodobniej był zamieszany w krwawe walki z 1993 roku pomiędzy hindusami a muzułmanami i w tajemnicze eksplozje bomb podłożonych w Bombaju.

Oba rządy zaprzeczają, ale bez wątplenia to, co dzieje się dzisiaj w Kaszmirze, ma związek z tym, co dzieje się w Karaczi, i odwrotnie. Obserwatorzy opisujący tę politykę oko za oko, ząb za ząb, mówią o „K za K”. Indie jakoby popierają uzbrojone grupy, które przeobraziły w pole bitwy największe miasto i najważniejszy port Pakistanu - Karaczi - aby w ten sposób ukarać Pakistan za wsparcie, jakiego udzielił on w Kaszmirze partyzantom.

- Trzeba by dwóch postaci wielkiego formatu, o dużej władzy, aby rozwiązać problem, którego źródłem jest sama historia - mówi mi Ved Bashin, szef dziennika „Kashmir Times” w mieście 415

Dżammu. - Ani Narasimha Rao, ani Benazir Bhutto nie są do tego zdolni.

Problem Kaszmiru pojawił się w 1947 roku, kiedy Londyn przyznał niepodległość swojemu indyjskiemu imperium. Z dawnej brytyjskiej kolonii powstały dwa państwa: Indie, z

ludnością w większości hinduską, i Pakistan, „kraj czystych”, z przewagą muzułmanów. Maharadzowie z pięciuset sześćdziesięciu dwóch księstw mogli wybrać między Pakistanem a Indiami. Najtrudniejszy był przypadek maharadzy Dżammu i Kaszmiru, który panował nad dziwnym tygłem ludów i terytoriów połączonych za sprawą historii. Piękną Dolinę Kaszmirską, z ludnością w większości muzułmańską, jeden z jego antenatów kupił od Brytyjczyków za sumę siedmiu i pół miliona rupii. Ladakh, gdzie przeważają buddyści, i równinę Dżammu, głównie hinduską, zdobył na własną rękę.

W dniu odzyskania niepodległości, 15 sierpnia 1947 roku, maharadża Hari Singh, hindus, który jednak panował nad ludnością w 80 procentach muzułmańską, nie podjął jeszcze decyzji. Stan Dżammu i Kaszmir pozostawał przez dwa miesiące formalnie niepodległy. Dopiero kiedy Pakistan wysłał swoich „ochotników” w celu anektowania terytorium, maharadża pospiesznie wybrał Indie. Mieszkańców Kaszmiru nikt nie zapytał, co by woleli, i od tamtej pory są niezadowoleni z narzuconego im rozwiązania.

Podział na Indie i Pakistan - po angielsku partition - jest postrzegany przez wielu historyków jako ogromny dramat subkontynentu. Podział ten leży u źródeł wrogości między sąsiadami i napięć narastających pomiędzy stu dwudziestoma pięcioma milionami muzułmanów pozostałych w Indiach a ludnością hinduską. Przez stulecia te społeczności żyły spokojnie obok siebie, a sztuczny rozdział, wzdłuż granic ustanowionych przy stole, był nie tylko podziałem dóbr, ale przede wszystkim podziałem serc. Dał początek ogromnej migracji i niespodziewanie okazał się bardzo krwawy. Muzułmanie mordowali hindusów, hindusi muzuł- 416 manów. Nikt nie policzył zabitych, ale szacuje się, że liczba ofiar, którym poderżnięto gardła, które spalono żywcem, zasztyletowano albo zatłuczono kijami, wyniosła w ciągu roku ponad milion. Nic nie dały apele i posty Mahatmy Gandhiego. Nie zaprzestano ani nie ograniczono masakr.

Od tamtej pory minęło czterdzieści osiem lat, ale rany nadal się nie zabiły, a tragedia rzuca cień na los Kaszmiru, „dziecka z rozvodu, teraz wrywanego sobie przez obie strony”, jak mówi doktor Eqbal Ahmad, pakistański historyk z Islamabadu.

Pierwsza wojna między Indiami a Pakistanem wybuchła natychmiast po podziale. 26 października 1947 roku Nowe Delhi wysłało do Kaszmiru swoich żołnierzy i złożyło skargę w ONZ na napaść Pakistanu. Organizacja Narodów Zjednoczonych nakazała zawieszenie broni, wysłała obserwatorów i dwiema decyzjami Rady Bezpieczeństwa uznała prawo Kaszmiru do samostanowienia. Po wycofaniu się obu armii ludność regionu miała zagłosować za przyłączeniem do Indii albo do Pakistanu.

Armie nigdy się nie wycofały, obiecany plebiscyt nigdy się nie odbył. Czterdzieści jeden błękitnych hełmów z ONZ nadal przebywa w siedmiu punktach obserwacyjnych wzdłuż linii zawieszenia broni. Po pięćdziesięciu latach konflikt kaszmirski jest „najdłuższym nierozwiązanym konfliktem zgłoszonym Organizacji Narodów Zjednoczonych”, jak powiedział sekretarz generalny Boutros-Ghali.

Terytorium określane w momencie odzyskania niepodległości jako stan Dżammu i Kaszmir jest dzisiaj podzielone następująco:

- główna część, czyli Dżammu, Ladakh i cała Dolina Kaszmirska (ponad sto tysięcy kilometrów kwadratowych z ośmioma milionami mieszkańców), znajduje się pod kontrolą Indii;
- mała część, nazywana Azad Kaszmir, „Wolny Kaszmir” (siedemdziesiąt siedem tysięcy kilometrów kwadratowych z trzema milionami mieszkańców i stolicą z Muzaffarabadzie), jest pod kontrolą Pakistanu;
- część północno-wschodnia, jeszcze mniejsza (dwadzieścia cztery tysiące kilometrów kwadratowych i półtora miliona mieszkańców), została wchłonięta przez Chiny na skutek porozumień dwustronnych z Pakistanem i wojny przeciwko Indiom z 1962 roku.

Mieszkańcy Kaszmiru czują się oszukani przez zdarzenia z ostatnich pięćdziesięciu lat. Ich marzenie o niepodległości nie urzeczywistniło się - ani po jednej, ani po drugiej stronie linii zawieszenia broni. Po raz kolejny rządzą nimi obcy. Przywyli już do tego, ponieważ od czterystu lat nie doświadczyli niczego poza podbojami: najpierw Wielcy Mogołowie, potem Afgańcy - cy, jeszcze później sikhowie i wreszcie ród maharadzów Singh. Pod tymi obcymi panami, często bezwzględny, Kaszmirczycy pozostali ludźmi łagodnymi i tolerancyjnymi. Ich religią był sufizm, mistyczny nurt islamu. Nie znali przemocy, a jeśli gdzieś popełniano morderstwo, uważali, że z tego powodu niebo zabarwi się krwią. Również podczas wielkich rzezi po odzyskaniu niepodległości Kaszmir był jednym z niewielu stanów, gdzie nie przelewano krwi i gdzie hindusi oraz muzułmanie nadal się szanowali i żyli w zgodzie.

Kaszmirczycy nigdy nie posiadali broni. Nawet wiosłom śikar, masywnych gondoli z zachwycającego jeziora Dal, nadawali kształt serca. Cesarz z dynastii Wielkich Mogołów, Akbar, uznał, że są niezdolnie zniewieściali i nakazał mężczyznom, aby nosili obszernie szaty, podobne do kobiecych. Dzisiaj pod feron, odzieniem, które stało się ich ubiorem narodowym, młodzi Kaszmirczycy ukrywają kałasznikowy.

Przełom przyniosły wybory 1987 roku - albo raczej intrygi Nowego Delhi w celu utrzymania kontroli nad terytorium. Kaszmir - ska partia żądająca niepodległości była pewnym zwycięzcą, ale Indusi sfalszowali wyniki i postawili na czele lokalnej administracji w Śrinagarze swojego kandydata.

-W obronie naszego prawa do samostanowienia możemy już tylko chwycić za broń - mówi dwudziestodwuletni Ja - sin Malik, przywódca Frontu Wyzwolenia Dżammu i Kaszmiru (JKLF), z którym spotykam się w nędznym, zaniedbanym mieszkanku w sercu starego Śrinagaru. Malik dopiero co wyszedł, osłabiony i wynędzniały, z indyjskiego więzienia, w którym spędził cztery lata.

W 1988 roku wraz z innymi studentami przygotował pierwsze ataki miejskiej partyzantki. Przez rok JKLF - ruch nacjonalistyczny bez podłoża religijnego, dążący wyłącznie do uniezależnienia Kaszmiru zarówno od Indii, jak Pakistanu - był jedyną uzbrojoną grupą walczącą przeciwko Indusom. Nadal cieszy się największą sympatią Kaszmirczyków, ale nie jest już jedyny. Niezliczone organizacje partyzanckie - niektóre infiltrowane przez prowokatorów albo po prostu pełne oportunistów i przestępców, pojawiły się na scenie Kaszmiru w ciągu ostatnich sześciu lat. Większość ma broń i fundusze z Pakistanu.

Dwanaście kilometrów na wschód od Peszawaru, wielkiego pakistańskiego miasta na granicy z Afganistanem, stoi niedostępny biały budynek. Mówi się, że to kwatera główna Kaszmir Dżihad, Świętej Wojny dla Kaszmiru. Tutaj funkcjonariusze Dżamaat-e-Islam (fundamentalistycznej partii pakistańskiej) koordynują rekrutację i treningi Hizbul Mudżahedin, najważniejszej organizacji walczącej dzisiaj w Kaszmirze przeciwko Indiom. Grupa ta dysponuje wielkimi rezerwami finansowymi, znaczącym arsenałem i utrzymuje od czterech do pięciu tysięcy partyzantów w Kaszmirze. Większość z nich to młodzi ludzie, którzy przekroczyli linię zawieszenia broni i otrzymali wyszkolenie wojskowe w Pakistanie. Ich dowódcy są weteranami wojny w Afganistanie.

Z kolei indyjski kontrwywiad - RAW - wyszkolił małe grupki partyzantów podających się za bojowników na rzecz wyzwolenia Kaszmiru. W rzeczywistości mają one siał zamęt, mordować prawdziwych bojowników - zwłaszcza tych z JKLF i Hizbul Mudżahedin - oraz dyskredytować w oczach cywilnej ludności, wszelkimi środkami, ruch separatystyczny.

Pod koniec ubiegłego miesiąca nieoczekiwanie pojawiła się nowa grupa, Al-Faran. Zrobiło się o niej głośno, gdy porwała piątkę zachodnich turystów. Młody Norweg został wkrótce odnalezio-

ny z odciętą głową. Nikt nie ma pewności, jakie interesy kryją się za Al-Faran. Czy jest to grupa propakistańska, która tą akcją chce znów zwrócić uwagę świata na problem Kaszmiru? Czy może, jak utrzymuje wielu partyzantów z Kaszmiru, grupę wspierają Indie, pragnące

zdyskredytować bojowników o niepodległość, przedstawiając ich jako barbarzyńskich, krwiożerczych terrorystów?

Kiedy w Śrinagarze induscy żołnierze barykadują się po zachodzie słońca w kazamatach, a Kaszmirczycy wracają do swoich domostw, kiedy słycać już tylko szczekanie psów i sporadycznie terkot karabinów, każdy cień jest podejrzany. Uzbrojeni partyzanci krążą po labiryncie zaułków i pukają do drzwi, żądając datku na dżihad, a młodzi bezrobotni kradną i wymuszają pieniądze od najzamożniejszych, podając się za bojowników. Zdaniem niektórych kupców ze Śrinagaru, także indyjscy żołnierze korzystają z osłony nocy, aby w przebraniu partyzantów plądrować sklepy.

Nowe grupy partyzanckie wyszkolone w Pakistanie są, co charakterystyczne, przesiąknięte ideologią dżihadu. W przeciwieństwie do pierwszych kaszmirskich bojowników ci nie wydają się już walczyć o niepodległość swojego terytorium, lecz na rzecz fundamentalistycznego islamu.

Indie, które uważają się za straż przednią w walce z państwami muzułmańskimi od Pakistanu po Afrykę Północną, mają zatem mocne argumenty, kiedy usprawiedliwiają ucisk Kaszmirczyków jako część swojej batalii przeciwko „spiskowi” islamskich fundamentalistów. Niepokoi on także Zachód.

Niedawno trzydzieści pięć separatystycznych partii kaszmirskich zjednoczyło się w Hurriet Conference. Chciały one w ten sposób skoordynować swoje działania i stać się dla Indii partnerem do rozmów. Indie nadal ignorują Hurriet Conference, unikając jakiegokolwiek kontaktu.

-Jedyni funkcjonariusze indyjscy, z jakimi miałem do czynienia, to strażnicy więzienni - mówi sześćdziesięciopięcioletni Saj- 420 jed Ali Szah Gilani, główny przedstawiciel partii Dżamaat-e-Isla- mi. Z powodu swoich antyindyjskich przekonań został skazany na dziesięć lat pozbawienia wolności.

Również Szabir Szach, czterdziestoletni przywódca Ligi Ludowej Dżammu i Kaszmiru, spędził dwadzieścia lat w więzieniach indyjskich, ale pozostał najbardziej umiarkowanym spośród działaczy.

- Karabin jest częścią rozwiązania, ale nie rozwiązaniem - mówi w swoim domu w Śrinagarze, obleganym od rana do wieczora przez zwolenników i naśladowców. Niektórzy krytykują pojed- nawczość czy wręcz pacyfizm jego przemówień, ale stanowisko Szacha jest chyba najbardziej popularne wśród kaszmirskiej ludności. Wielu mówi o nim jako o Nelsonie Mandeli Kaszmiru.

Przedstawiciele poszczególnych partii w Hurriet Conference nie są jednomyślni, zwłaszcza co do ostatecznego celu walki. Jedni optują za przyłączeniem do Pakistanu, inni za dokonaniem jeszcze raz partition (Dolina Kaszmirska dla Pakistanu, reszta dla Indii). Niektórzy chcieliby uczynić z Dżammu i Kaszmiru republikę islamską, inni zaś państwo świeckie. Tylko co do jednego punktu panuje idealna zgoda: Indie muszą się wycofać z Kaszmiru.

- O przyszłości Kaszmiru możemy decydować tylko my, Kaszmirczycy - mówi Szabir Szach, któremu marzy się konfederacja w rodzaju Szwajcarii. Muzułmanie, hindusi, buddyści i chrześcijanie żyliby obok siebie, zachowując swoje języki i tradycje.

Indie natomiast uważają Kaszmir za „sprawę wewnętrzną”. Twierdzą, że wszystkie rezolucje ONZ co do samostanowienia regionu to wyważanie otwartych drzwi i utrzymują, że problem się rozwiąże, gdy tylko Pakistan przestanie mącić...

Z kolei Pakistan, już dwa lata temu zagrożony umieszczeniem przez Stany Zjednoczone na liście państw popierających terroryzm, oświadcza, że daje jedynie „wsparcie moralne” partyzantce w Kaszmirze. Wystrzega się bezpośredniego zaangażowania swojej armii w konflikt.

A jednak podróżny, który przybywa dzisiaj do Muzaffarabadu, stolicy tak zwanego Wolnego Kaszmiru - części pod kontrolą pakistańską - natychmiast zauważa, że to małe, prowincjonalne miasteczko, oddalone o jedyne trzydzieści kilometrów od linii zawieszenia ognia, jest wielką bazą ariergardy dżihadu w Kaszmirze. Rannych partyzantów leczy specjalny lokalny szpital, każda organizacja ma tu swoich przedstawicieli. Wystarczy jeden telefon, aby spotkać się ze wszystkimi kaszmirskimi „terrorystami”, których Indusi tak bardzo chcieliby dostać w swoje ręce. W tej chwili oni wszyscy są w Muzaffarabadzie. Przyjmują rekrutów i sprzęt wojskowy. Planują najbliższą ofensywę z pakistańskimi „doradcami”. W miasteczku wszędzie widać eleganckich młodych ludzi w cywilu o bardzo wojskowym sposobie bycia. Rozmawiają przez walkie-talkie i wystrzegają się nawet niewinnej rozmowy z kimś takim jak ja - czyli cudzoziemcem, który zamiast siedzieć w pokojach gościnnych rządu pakistańskiego (gdzie miał niemalże obowiązek się zatrzymać), mieszka w pensjonacie. A tutaj każdy gość wygląda na agenta tajnych służb albo oficera.

Bez wątpienia z owej „twierdzy” przerzuca się ludzi i materiały trzymające w szachu armię Indii w Kaszmirze. Próbuąc osłabić ten przepływ, Indusi nasilają teraz ataki artyleryjskie wzdłuż granicy. Zdaniem obserwatorów ONZ, w samym tylko ubiegłym miesiącu sto pięćdziesiąt razy naruszono zawieszenie broni, co stanowi najwyższą liczbę od zakończenia wojny w 1971 roku.

- Indie jeszcze nie przywykły do istnienia Pakistanu, jeszcze się nie pogodziły z ideą dwóch narodów - mówi mi Sadar Kajum, szef administracji Wolnego Kaszmiru. - A my musimy pamiętać, że Indie prędzej czy później spróbują przekroczyć linię zawieszenia broni, aby rozwiązać po swojemu tę sprawę, nierozstrzygniętą przez historię.

Delhi trzyma ponad pół miliona żołnierzy i policjantów w Kaszmirze. Wojna kosztowała życie już trzydzieści tysięcy Kaszmirczyków, z których dwie trzecie to cywile. Każda dzielnica w Śrinagarze ma swój mały „cmentarz męczenników”. Wiele jest przepełnionych, a nowi polegli muszą być grzebani na wiel- 422 km polu w Idqa. Na tle szeregu świeżych mogił rzuca się w oczy

napis: NIE STROŃCIE OD KARABINU, O MŁODZI, BOWIEM WOJNA O WYZWOLENIE JESZCZE SIĘ NIE SKOŃCZYŁA!

Ta zachęta do przemocy, w połączeniu z coraz gwałtowniejszą islamizacją ruchu oporu, przeobraża tradycyjną etykę społeczeństwa Kaszmiru. Napływ fundamentalistów sprawia, że coraz więcej kobiet nosi burkę, czarną albo brązową szatę, która zakrywa ciało od stóp do głów i pozostawia jedynie dwa wąskie otwory w kształcie liści na oczy.

Pięć razy dziennie muezini wojowniczym głosem nawołują wiernych do modlitwy. Mułlowie zaczynają krytykować sufizm, tolerancyjną i umiarkowaną wersję islamu, a mały meczet w starej dzielnicy Kangjar, w którym całe pokolenia turystów oglądały domniemany grób Chrystusa (według lokalnej legendy Jezus miał przeżyć ukrzyżowanie, aby dokonać żywota tutaj, w raju na ziemi), jest dziś strzeżony przez młodego fundamentalistę niezainteresowanego tymi starymi historiami.

- Wszystko, co kochamy, zniszczono - lamentuje nauczycielka ze Śrinagaru. - Nam, Kaszmirczykom, przeznaczone jest zniknąć z tego świata.

Nie ma światła na końcu tego tunelu?

- Nie - mówi Parvez Imroz, kaszmirski adwokat. - Za tym tunelem jest następny tunel, a potem jeszcze jeden. Ale żadnego światła.

Od ponad piętnastu lat wojna domowa niszczy Sri Lankę, jeden z najpiękniejszych krajów Azji.

Rząd sądzi, że zdziesiątkował swoich przeciwników, Tamilskie Tygrysy, ale oni spektakularnym atakiem wysadzają w powietrze składy paliwa na lotnisku w stolicy,

Kolombo. Pewnego ranka murami Galie Face Hotel, w którym się zatrzymałem, wstrząsa gwałtowna eksplozja.

Sri Lanka: wyspa obłędu

Kolombo, 11 listopada 1995

Porozrywane trupy, noga, tors, głowa, penis, palce dłoni, rozrzucone na rogu ulicy, budzą wstręt, ale tylko wrony protestują przeciwko splątanym strzępom zwłok, które nagle znalazły się nawet na drzewach. Aroganckie krakanie ptaków w osłupiałej ciszy, jaka zapadła po wybuchach, wydaje się najmądrzejszym komentarzem do obłędu, do którego wszyscy tutaj powoli się przyzwyczajamy.

Kilka dni temu w paru wioskach na północy widziałem ofiary rzezi dokonanych przez dzieci. Dzisiaj, w centrum stolicy, o krok od wielkich hoteli, gdzie mieszkają nieliczni zagraniczni turyści naiwnie odwiedzający jeszcze Sri Lankę, oglądam to, co zostało z dwóch młodych mężczyzn. Za pomocą materiału wybuchowego ukrytego pod koszulą wysadzili w powietrze siebie i innych przechodniów - ot tak, o wpół do dziesiątej rano, w geście, w którym nie ma żadnego bohaterstwa. Po prostu zrobili to, do czego zostały wyszkolone setki ich rówieśników.

Jeden wysadził się u wejścia do kwatery głównej sił zbrojnych, drugi sto metrów dalej. Ofiar dwóch samobójczych zamachów 424 było około piętnastu, choć trudno je policzyć. To zwyczajni przechodnie - siwowłose staruszek, sprzedawczyni napojów rozerwana na kawałki jak dziesiątki jej butelek.

Biegnie wieść, że trzeci człowiek-bomba zdołał się wdrzeć do jednego z luksusowych hoteli nad zatoką. Cała dzielnica zostaje odizolowana, żołnierze w rynsztunku bojowym zajmują pozycje za palmami, dziesiątki policjantów przetrząsają każdy pokój, a helikopter przeprowadza patrol z powietrza. Alarm trwa parę godzin, potem wszystko wraca do „normalności”. Na jednym z najwyższych pięter hotelu znaleziono mężczyznę z kulą w czole. To kolejny epizod potwornej wojny domowej, która w ciągu ostatnich piętnastu lat przemieniła Sri Lankę z krainy „mlekiem i miodem płynącej” w krainę „łez i krwi”.

Wojnę prowadzi rząd, którym obecnie kieruje pani Chandrika Kumaratunga, i ruch separatystyczny Tamilskich Tygrysów, LTTE. Dowodzi nim Velupillai Prabhakaran, „Najwyższy”, dziwna postać, zlepek rozmaitych ideologii rewolucyjnych, od Che Guevary do Hitlera, od Mao do Pol Poty. Prabhakaran odpowiada za „cywilizację śmierci”, która stała się prawdziwą religią rebeliantów. Konflikt podzielił już kraj na dwie części. Południowo-zachodnią, gdzie przytłaczającą większość stanowią Syngalezi i buddyści, pozostającą w rękach rządu, ze stolicą Kolombo, i pół-nocno-wschodnią, z ludnością niemal wyłącznie tamilską, czyli hinduską (z mniejszością chrześcijańską), pozostającą w rękach partyzantki, ze stolicą Dżafną.

Wojna pochłonęła pięćdziesiąt tysięcy ofiar i zmusiła do opuszczenia kraju sześćset tysięcy ludzi (na siedemnaście milionów mieszkańców), zahamowała rozwój Sri Lanki, ale przede wszystkim nakręciła spiralę przemocy i agresji. Trudno będzie się z niej wydostać, nawet jeśli zostanie podpisany pokój. Okrucieństwa tak bardzo wrosły w życie ludzi, że nie są już odrażające, już nie zdumiewają.

- Chce pan zobaczyć masakrę? - zapytała pracownica Ministerstwa Spraw Zagranicznych, przyklejając moje zdjęcie do kartonika. - Helikopter startuje dwa kroki stąd. 425

Zaledwie znalazłem się w Kolombo, zostawiłem bagaże w hotelu i poszedłem po akredytację, a już w ciągu dwóch godzin, towarzysząc ekipie telewizji państwowej, ujrzałem jeden ze zwykłych obrazów wojny, które za każdym razem potwierdzają nieograniczoną zdolność człowieka do bestialstwa. Posiekane trupy, rozszarpane torsy, w większości zwłoki kobiet i dzieci. Zesztywniałe, zakrwawione ciała przed chwilą ułożono w korytarzu szpitala rejonowego w Kebutigollewie, syngaleskim miasteczku na północy kraju. Ludzie, nadal przerażeni, chcieli mówić. Każdy z nich opowiadał tę samą historię.

-Zjawili się o świcie. Spaliśmy, a oni zaczęli nas mordować. Mieli najwyżej po dziesięć, dwanaście lat - mówił mężczyzna około pięćdziesiątki, który zdołał uciec do dżungli.

- Wszyscy byli bardzo młodzi. Jeden oddział składał się wyłącznie z dziewczynek - opowiadała jakaś kobieta, opisując mundury i warkoczyki.

- To nowi rekruci Tygrysów. Tak właśnie wygląda ich szkolenie. Zabijając, ćwiczą siłę woli - wyjaśniał mi, niemal obojętnie, miejscowy nauczyciel.

Wśród pokrytych muchami ciał leżał noworodek: jego miękką główkę rozplątano ciosem siekierki.

-Jak będzie mogła zostać matką dziewczynka, która to zrobiła? - pytała jedna z kobiet pośród osłupiałego tłumu.

Matkami te dziewczynki nie zostaną prawdopodobnie nigdy. Każda z młodych Tygrysić poprzysięgła, że zginie w walce. Każda nosi na szyi ampułkę z cyjankiem i mają rozgryźć, jeśli zostanie schwytana. Tygrysy nie dają brać się żywcem. Całe pokolenia są tak wychowywane. Dwaj chłopcy-bomby z dzisiejszego poranka również dorastali w przemocy, hodowani po to, aby zabijali i byli zabijani.

Czy to nadal Sri Lanka, „błogosławiona ziemia”?

Usytuowana przy południowym krańcu Indii, znana już Grekom i Rzymianom, sławna wśród średniowiecznych podróżników euro- 426 pejskich, przesiąknięta wartościami wszystkich największych

religii, wyspa Sri Lanka była przez wieki mityczną krainą bogów i świętych. Na szczycie jednej z jej najwyższych gór znajduje się zarys stopy odcisniętej w skale. Buddyści twierdzą, że to ślad Buddy Siakjamuniego, hindusi, że Siwy, chrześcijanie, że świętego Tomasza, a muzułmanie utrzymują, że to odcisk stopy Adama, który tu spadł razem z Ewą po wypędzeniu ich z ziemskiego Raju.

- Dzisiaj Sri Lanka jest symbolem ostatecznego upodlenia: po- padnięcia ludzi w stan nowego barbarzyństwa - mówi mi mój stary przyjaciel, Manik Sandrasagara, producent filmowy. Jest Ta- milem, ale odmawia dokonywania rozróżnień etnicznych. - Przez całe stulecia żyliśmy na tej wyspie obok siebie, w pokoju. Konflikt między Tamilami a Syngalezami wymyślili politycy.

Dużo jest prawdy w tym, co mówi. Syngalezi są buddystami, Tamilowie hindusami, ale W starych świątyniach obu społeczności bogowie jednych i drugich nadal stoją obok siebie. Tolerancja i wzajemny szacunek były częścią panującej na wyspie kultury. Wszystko to się skończyło i nawet wspomnienie przeszłości - w tym fakt, że ostatni król Syngalezów był Tamilem - zostało wymazane ze zbiorowej pamięci, teraz, gdy obie społeczności piszą na nowo historię i tworzą mity na potwierdzenie swojej sprawy etnicznej.

Kiedy w 1948 roku wyspa - wtedy znana jako Cejlon - otrzymała niepodległość, miała wszelkie powody, aby odnieść sukces. Koleje i drogi były doskonałe, średni dochód dwa razy wyższy niż w Indiach, śmiertelność noworodków najniższa w Azji, średnia długość życia - najwyższa.

Tymczasem dzisiaj Sri Lanka stanowi kolejny bolesny przykład tego, jak kraj Trzeciego Świata, zrzuciwszy kolonialne jarzmo, może ponieść klęskę. Ekonomia jest w opłakanym stanie, a większość zasobów została roztrwoniona przez parcie do wojny domowej. Dlaczego?

W powszechnej opinii za wszystkim stoi mentalność Syngalezów, którzy, choć stanowią większość na wyspie (75 procent 427

wobec 18 procent ludności tamilskiej i 7 procent muzułmanów), cierpią na kompleks niższości. Tamilowie są bowiem lepiej wykształceni i liczniejsi, jeśli wziąć pod uwagę także pięćdziesiąt pięć milionów mieszkających o kilka mil od wyspy, w indyjskim stanie Tamil Nadu.

-W 1948 roku wielu Syngalezów było przeciwnych niepodległości. Bali się Indii i woleli pozostać pod ochroną brytyjskiego rządu kolonialnego - mówi mi pewien dziennikarz w

Kolombo. - Od tamtej pory żyjemy w obsesyjnym lęku, że zjednoczone siły Tamilów zepchną nas do morza.

Ta paranoja popychała kolejne rządy z Kolombo - o składzie syngaleskim - do podejmowania wielu decyzji: o pozbawieniu miliona Tamilów prawa głosu, o odesłaniu pięciuset tysięcy Tamilów do Indii, o uczynieniu z syngaleskiego, nie zaś angielskiego, który był wspólny dla obu społeczności, języka narodowego. Decyzje rządu wywołały konflikt etniczny nieznan w całej historii wyspy. Aby usprawiedliwić stopniową marginalizację Tamilów, Syngalezi zaczęli mówić o sobie jako o potomkach Iwa (sinhala znaczy właśnie „lew”) i przedstawicielach rasy aryjskiej. Tamilowie, których nikt dotąd nie uważał za nację bitną, odkryli nagle, że mają wśród swoich przodków nieustraszonych wojowników. Wybuchowa mieszanka była gotowa i groziła wojną o podłożu etnicznym.

V.P. Vittachi, autor wydanej niedawno książki Sri Lanka: What Went Wrong, szuka przyczyn aktualnych nieszczęść kraju: „Pięćset lat panowania rozmaitych kolonizatorów, ścierających się z sobą - najpierw Portugalczyków, potem Holendrów, a wreszcie Brytyjczyków - zerodowało naszą kulturę, i dlatego w 1948 roku, kiedy nieoczekiwanie znaleźliśmy się bez sternika, byliśmy moralnie i kulturowo zagubieni”.

Wystarczyło kilka lat niepodległości, aby na wyspie ujawniły się niepokojące symptomy:

- w kraju zdominowanym przez buddyzm, religię pacyfistycz- 428 ną, pierwsze zabójstwo polityczne popełnił buddyjski mnich.

Ofiarą padł prezydent Bandaranaike. Jego żona została wkrótce pierwszą kobietą premierem na świecie i zapoczątkowała azjatycką tradycję dziedziczenia przez kobiety władzy po zamordowanych mężach lub ojcach (po niej pojawiły się: Cory Aquino na Filipinach, Benazir Bhutto w Pakistanie, Szejka Hasina i Chaleda Zia w Bangladeszu, Sonia Gandhi w Indiach);

- w społeczeństwie, w którym zbrodnie i morderstwa były niemalże niespotykane, przemoc stała się codziennością. Syngalezi zabijali Tamilów, Tamilowie muzułmanów, wybitni syngalescy politycy - swoich przeciwników. Ta krwawa łaźnia jak dotąd nie wzbudziła oburzenia świata.

Choć Sri Lanka jest krajem kościołów, meczetów, pagód i świątyń hinduskich, żadna z wielkich religii nigdy nie zaapelowała o zakończenie tego koszmaru. A już na pewno nie buddyjska. Według legendy, Budda, umierając, miał wskazać Sri Lankę jako schronienie dla swojej doktryny (właśnie stąd buddyzm therawaada rozprzestrzenił się na kraje Azji Południowo-Wschodniej). Mimo to jego nauka o wyrzeczeniu się przemocy nie znajduje wielu zwolenników na Sri Lance.

W Kandy, dawnej stolicy królewskiej, na brzegu jeziora, pod wspianymi drzewami, w których gałęziach wiszą stada ogromnych nietoperzy, stoi świątynia przechowująca relikwię: ząb Buddy. A jednak nie jest to miejsce spokoju ani medytacji.

O wschodzie i zachodzie słońca przed świętymi murami odbywa się hałaśliwa ceremonia z natrętnym akompaniamentem fletów

i bębnów, bardziej kojarzących się z zaklinaniem węży niż skłanianiem wiernych do refleksji o nietrwałości życia.

Ząb Buddy jest uważany przez Syngalezów za symbol ich władzy nad wyspą. Aby zniechęcić Tygrysy do ewentualnego szturmu, uzbrojeni żołnierze nieprzerwanie trzymają wartę na świętym terenie. Mnisi, którzy strzegą relikwii, bardziej przypominają (jak wielu duchownych w tym kraju) urzędników państwowych niż cnotliwych mężów. Rząd dba o nich tak dobrze, iż o poranku nie muszą już prosić o jałmużnę. Hierarchowie buddyjscy zawsze

429
sprzymierzali się z ultranacjonalistycznymi syngaleskimi politykami. Dlatego stali się bogaci i wpływowi i mówią o Tamilach - którzy są hindusami - jako o nieprzyjaciołach „prawdziwej religii”. A to mało buddyjska postawa.

- Istnieje tylko jedno rozwiązanie wszystkich naszych problemów - usłyszałem od syngaleskiego przewodnika turystycznego, który oprowadzał europejską parę po Świątyni Zęba. - To kraj Syngalezów. Z winy Tamilów cierpimy dziś głód. A więc powinniśmy pożreć ich, pożreć ich wszystkich!

Aby go dobrze zrozumiano, otwierał usta, udając, że chwyta kogoś zębami.

Z taką właśnie mentalnością mieli do czynienia Tamilowie z niepodległej Sri Lanki. Wkrótce jeden z nich zdecydował się zareagować. W 1971 roku w Dżafnie, stolicy kulturalnej i handlowej Tamilów z północy wyspy, trzynastu młodych ludzi powołało do życia pierwszą tamilską grupę rewolucyjną. Prabhakaran, który wówczas miał dopiero siedemnaście lat, był wśród założycieli. W 1975 roku to właśnie on dał początek agresji teatralnym i demonstracyjnym gestem. Stał przed burmistrzem Dżafny i strzelił do niego. Tak powstały Tygrysy, choć formalnie ruch LTTE założono w 1976 roku. Symbol partyzantów, tygrys (przeciwstawiony syngaleskiemu lwu), został skopiowany z pudełka zapalek.

Od tamtego dnia przemoc rodziła przemoc. W 1981 roku w zemście za zabicie policjanta Syngalezi spalili wielką bibliotekę w Dżafnie, której dziewięćdziesiąt siedem tysięcy tomów było pomnikiem osiągnięć tamilskiej kultury. W 1983 roku, w reakcji na zabicie szesnastu żołnierzy rządowych przez Tygrysy, ludność syngaleska wystąpiła w całym kraju przeciwko Tamilom, mordując kilka tysięcy osób, niszcząc ich sklepy, ich domy, ich świątynie. Wielu Tamilów, zwłaszcza intelektualistów, przerażonych pierwszym pogromem, porzuciło wyspę i schroniło się za granicą. Inni wstąpili w szeregi Tygrysów.

Prabhakaran wszelkimi środkami, jakie miał do dyspozycji 430 (nie stroniąc od morderstw), zdołał w ciągu kilku lat unicestwić wszystkich swoich ewentualnych oponentów politycznych wśród Tamilów (ponad czterysta osób zostało zabitych z zimną krwią). Stworzył armię z ludzi bezgranicznie oddanych swojemu przywódcy oraz sprawię utworzenia separatystycznego państwa o nazwie Ilam. Na mapach Tygrysów Ilam zajmuje mniej więcej jedną trzecią terytorium Sri Lanki.

Perswazją i terrorem Prabhakaran zajął Dżafnę i przeobraził to miasto, dawny ośrodek kulturalny, gdzie tradycyjnie Syngalezi, muzułmanie i burghers (potomkowie europejskich kolonizatorów) żyli pokojowo obok siebie, w miasto wyłącznie tamilskie, w „gułag, gdzie ludność otwiera usta jedynie po to, aby jeść i myć zęby”, jak opowiada pewien tamilski adwokat mieszkający dzisiaj w Kolombo.

Wykorzystując techniki wypróbowane przez Czerwonych Khmerów w Kambodży, Prabhakaran zaczął werbować do swojej armii coraz młodszych żołnierzy. Dzięki temu łatwiej ich kształtował. Niektóre dzieci, zmuszone podczas szkolenia do torturowania więźniów i zabijania ich, popadły w obłąd. Przypadek jednego z nich ujawnił światu podczas konferencji międzynarodowej pewien odważny tamilski psychiatra z Dżafny.

Prabhakaran walczył najpierw przeciwko rządowi, a potem przeciwko siedemdziesięciu pięciu tysiącom żołnierzy wysłanych przez Delhi na Sri Lankę. Indusi nic nie wskórali, a Prabhakaran wzmógł z czasem kontrolę nad tamilską ludnością wyspy. Tygrysy zaczęły uciszać swoich oponentów. Tysiące ludzi zniknęły w podziemnych lochach Dżafny, a „zdrajcy”, czyli ci, którzy ukryli się w Kolombo albo poszukali schronienia w społecznościach tamilskich za granicą, zostali wciągnięci na listy proskrypcyjne. Później namierzono ich i zabito. Pewien sławny intelektualista z Dżafny, krytyk ruchu LTTE, został zamordowany w zeszłym roku w Paryżu.

-Tygrysy miały ocalić cywilizację tamilską, a zamiast tego zniszczyły ją, zarówno fizycznie, jak duchowo - mówi Rajan Hoole, były profesor matematyki z Uniwersytetu w Dżafnie.

W 1988 roku Hoole razem z grupą kolegów zaczął badać łamanie praw obywatelskich w północnych regionach i regularnie publikować raporty o życiu ludzi w atmosferze terroru LTTE. W 1989 roku pewna pani doktor, członkini grupy, została zamordowana przez Tygrysy, kiedy wracała do domu na rowerze. Profesor Hoole uciekł wtedy do Kolombo, gdzie

do dzisiaj się ukryw[^]: to zaszczyty człowiek, który nigdy nie spędza dwóch nocy z rządu w tym samym domu. Hoole nie zrezygnował jednak ze swojej pacyfistycznej walki i pozostaje jednym z niewielu nieustraszonych przeciwstawiających się terrorowi.

- Dwie rzeczy leżą mi na sercu - mówi. - Pokazanie, że LTTE nie jest jedynym głosem ludności tamilskiej, i przywrócenie Tami- lom poczucia przynależności do zjednoczonej Sri Lanki.

Przemoc nie ograniczyła się do stosunków między Tamilami a Syngalezami. Równie brutalnie wstrząsnęła relacjami wśród samych Syngalezów. W latach siedemdziesiątych rebelia antyrządowa pod przywództwem bezrobotnych intelektualistów i członków maoistowskiej partii skrajnej lewicy, JVP, realizowała swój program polityczny, plamiąc się mrozącymi krew w żyłach okrucieństwami. Młodzi rebelianci z JVP odcinali kończyny swoich przeciwników i porzucali ofiary na placach miast lub wsi (głównie na południu), aby się wykrwawiły. Kto próbował ratować konających, kończył tak samo. Rodziny były zmuszane do wleczenia swoich zmarłych, bez trumny, na miejsce pochówku. Osoby występujące przeciwko tym praktykom znajdowały krewnych przybitych gwoździami do drzwi domu.

Represje państwa wobec JVP były równie bezlitosne. Armia, policja i specjalne komanda śmierci urządziły bezwzględne polowanie na członków, faktycznych lub domniemanych, partii maoistowskiej i zabiły prawie wszystkich, których zdołały osiągnąć. Ciało układano na stosach starych materaców, a nocą podpalano. Od czterdziestu do sześćdziesięciu tysięcy osób zniknęło podczas tej operacji.

- To więcej niż desaparecidos w Argentynie i w Chile - mówi doktor Neelan Tiruchelvam, znany tamilski adwokat z Kolombo, wcześniej członek parlamentu, dziś doradca prezydent Chandri- ki. - Ale taka jest nasza historia. Musimy wreszcie przyjąć to do wiadomości.

Jeden z wielu epizodów, jakie ostatnio wyszły na światło dzienne, świadczy o przerażającym zaniku wartości w społeczeństwie Sri Lanki. W miasteczku na południu wyspy studenci molestują córkę dziekana, a on na nich donosi. Zostają aresztowani jako rzekomi rebelianci. Przez kilka miesięcy żołnierze trzymają chłopaków w koszarach, używając ich jako ordynansów i służących. Kiedy armia rusza dalej, próbują przekazać więźniów policji, ale ona nie chce o tym słyszeć. Żołnierze ładują więc wszystkich na ciężarówkę, zawożą do lasu i rozstrzelują. Wspólny grób został niedawno odkryty.

Czy w tej fali przemocy jest coś charakterystycznego tylko dla Sri Lanki? Jakaś tajemnica ukryta w duszy kraju?

W swojej powieści z 1913 roku, *The Village in the Jungle*, Leonard Woolf, który przez trzy lata mieszkał na Cejlonie przed porzuceniem brytyjskiej służby cywilnej i poślubieniem Virginii, pisarki, opowiada o złowrogiej obecności na wyspie, utożsamianej przez niego z dżunglą. Michael Ondaatje, jeden z najlepszych współczesnych autorów Sri Lanki, w *Running in the Family* opisuje, jak bogaci i wykształceni arystokraci po popołudniu spędzonym na wyścigach konnych i jedzeniu ostryg w Ambalangodzie tańczą na plaży, przy muzyce z przenośnego gramofonu, w promieniach księżyca. Nagle, o północy, z głębi wyspy dobiega ich tajemnicze bicie w bębny, któremu towarzyszą diaboliczne tańce. To krwawe rytuały ku czci mrocznych bóstw prebuddyjskich - oparte na starym wierzeniu, że wszechświat odradza się poprzez przemoc.

Wiele osób na Sri Lance sądzi, że wyspa, niegdyś zwana „błogosławioną”, naprawdę padła ofiarą starożytnego przekleństwa i że nie będzie końca rozlewowi krwi.

W ubiegłym roku pojawiła się na scenie politycznej Chandri- ka Kumaratunga i obiecała zakończyć konflikt. Wydawała się do tego stworzona: sama jest symbolem cierpienia kraju. Jej ojciec został zamordowany przez mnicha, jej mąż przez konkurenta politycznego. Chandrika mówiła podczas kampanii wyborczej, że jest gotowa pertraktować z Tygrysami. Przyznała, że Tamilowie byli prześladowani przez wcześniejsze rządy i przeprosiła ich w imieniu

Syngalezów. Została wybrana na prezydenta, zdobywając znaczną przewagę (w tym także wiele głosów tamilskich).

Kiedy delegacja reprezentująca nowy rząd w negocjacjach wylądowała w Dżafnie, tłum Tamilów witał ją z entuzjazmem.

- Ludzie nas dotykali, dotykali helikoptera, jakby chcąc się upewnić, że jesteśmy tu naprawdę - opowiada jeden z członków poselstwa. Ta reakcja zaniepokoiła Prabhakaran. „Najwyższy” zdał sobie sprawę, że wraz z zakończeniem konfliktu Tygrysy utracą ludowe poparcie, toteż zbojkotował negocjacje. Mimo trzech miesięcy dyskusji i czterdziestu listów wymienionych między nim a Chandriką, Prabhakaran pozostał nieprzejednany, głuchy na wszelkie propozycje. Nadał żądał utworzenia Ilamu, niepodległego państwa Tygrysów. W kwietniu zeszłego roku zerwał pertraktacje.

Prezydent Chandrice nie pozostało nic innego, jak zwrócić się do generałów, których początkowo trzymała z daleka od negocjacji. Wojna znów się rozpetęła i wszystko wróciło do punktu wyjścia. Żołnierze rządowi atakują teraz tereny tamilskie i są bliscy zdobycia Dżafny”, a Prabhakaran ze swoich twierdz nakazuje dziecięcym partyzantom mordować Syngalezów we śnie i wysadzać się w powietrze w centrum Kolombo.

Armia rządowa rzuciła do ofensywy na północy jedną trzecią swoich ludzi (trzydzieści pięć tysięcy żołnierzy ze stutysięcznego wojska), zostawiając stolicę i inne ośrodki syngaleskie bez zabezpieczenia. Kiedy w zeszłym miesiącu Prabhakaran wysłał dwudziestu partyzantów, aby wysadzili składy paliwa na lotnisku, jego ludzie spędzili tam dwanaście godzin, nie napotykając żadnego oporu. Jeszcze bardziej niepokojący był fakt, że w wymianie ognia z żołnierzami, którzy z opóźnieniem pojawili się na miejscu, zaledwie sześciu partyzantów zostało zabitych albo pojmanych. Pozostałym udało się uciec i wmieszać w tłum. Nadal są w mieście. Podobnie jak wielu innych, którzy przeniknęli do stolicy już kilka lat temu.

Ludzie w Kolombo nie wydają się jednak przejęci. Po porannym zamachu szkoły zostały zamknięte (w obawie przed kolejnym atakiem), na ulicach jest więcej policji, ale nawet do strachu mieszkańcy są przyzwyczajeni. Człowiek patrzy tylko z większą uwagą na rower, który przejeżdża, na samochód, który się zatrzymuje, na koszulę chłopaka, który chyba coś pod nią chowa.

umrzeć jako dziecko

Batticaloa (Sri Lanka), grudzień 1995

Chłopak się śmieje.

- Umrzeć jest łatwo. Popatrz! - mówi i wkłada między zęby małą ampułkę z przezroczystego szkła, pełną białych kryształków.

Wystarczy, żeby zamknął usta, a cyjanek zabije go w kilka sekund.

- W mniej niż minutę - uściśla z dumą, jakby podniesiony na duchu tą pewnością. Ale chłopak nie rozgryza ampułki i jego usta pozostają rozchylone w żartobliwym uśmiechu. - Dalej! Sam spróbuj - mówi, podając mi truciznę. Ma zaledwie szesnaście lat i prowokuje mnie do jedynej gry, jaką zna: gry w śmierć.

Otacza nas mały tłumek chichoczących nastolatków. Każdy ma taką samą ampułkę zawieszoną na szyi na czarnej nitce - tak jak w innych częściach świata ludzie noszą krzyżyk, Matkę Boską albo Buddę na złotym łańcuszku. Tutaj cyjanek jest amuletem, a ampułka to dla tych nastolatków symbol przynależności do czegoś w rodzaju zakonu, tajnego i sięjącego postrach. Oni także, niczym mnisi, złożyli śluby: nie piją, nie palą, nie uprawiają seksu. Zaangażowali się w walkę na rzecz utworzenia na Sri Lance niepodległego tamilskiego państwa, Ilamu, i poprzysięgli, że nigdy żywi nie wpadną w ręce sił rządowych, które sprzeciwiają się secesji. Cyjanek najwyraźniej odpędza lęk i wzmacnia wiarę.

Tamilowie nazywają ich „naszymi chłopcami”. Oni sami wolą określać się jako „Tygrysy” - a dokładniej Tygrysy Wyzwolenia Tamilskiego Ilamu (LTTE). To najsukuteczniejsza, najbardziej okrutna, najbardziej zbrodnicza partyzantka, jaka istnieje na świecie.

Odszukanie Tygrysów było stosunkowo proste. Piętnaście kilometrów trzykółką na południe od Batticaloi po słonecznej drodze w porze sjeisty, kiedy żołnierze rządowi są bardziej roztargnieni 436 i chronią się w cieniu bunkrów, potem pół godziny promem przez lagunę (przewoźnik mruga porozumiewawczo i odmawia przyjęcia zapłaty), kilka kilometrów na pożyczonym rowerze i oto „chłopcy” przyjmują mnie w biurze LTTE w Kokkadicholai, dużej wsi pośród pól ryżowych. Na drzwiach wisi plakat z fotografiami piątki młodych ludzi, ukazanych w poświęcie błękitnych płomieni. To ogłoszenie o ich „męczeństwie”: niedawno, obładowani materiałem wybuchowym, rzucili się na instalacje wojskowe.

Trudniej niż Tygrysy znaleźć odpowiedzi na liczne pytania cisnące się na usta. Gdy z daleka słyszy się ich głosy, partyzanci wydają się istotami nie z tego świata, żywymi trupami, którym pranie mózgow nie pozostawiło innej namiętności niż namiętność do śmierci. A jednak „chłopcy” wyglądają jak normalna wiejska młodzież. Zachowują się bardzo naturalnie podczas wykonywania wszystkich czynności i wobec ludzi dokoła.

W Kokkadicholai Tygrysy są u siebie. Tak samo jak na północy, ogromna większość ludności jest tutaj tamilska. Każda rodzina ma dziecko lub krewnego w partyzantce.

- Nie zgadzamy się ze wszystkim, co robią, ale „chłopcy” są naszym ubezpieczeniem na życie - mówi mężczyzna, który przychodzi do mnie nocą. - Jeśli wrócą żołnierze, zmasakrują nas wszystkich.

W 1990 roku armia składająca się wyłącznie z Syngalezów wyparła Tygrysy z regionu Batticaloi. Tysiące młodych Tamilów aresztowano i torturowano. Ludzi ogarnęło takie przerażenie, że nie próbowali nawet rozpoznawać trupów leżących na starych oponach samochodowych na poboczach dróg.

- Nigdy nie zapomnę tych obrazów - opowiada mi ksiądz katolicki z okolicy. - Pewnego razu, po deszczu, gdy ogień wygasł, ujrzałem stos stóp. Jeszcze nietkniętych, porządnie ułożonych, jak bułki na półkach pieca. Od tamtej pory zadaję sobie pytanie, czy nadal jesteśmy ludźmi.

W okresie pięciu lat, podczas których armia kontrolowała region z jego dwustu pięćdziesięcioma tysiącami mieszkańców, cztery tysiące dwustu Tamilów „zniknęło” w ten sposób. 437

To przemoc Syngalezów popchnęła wielu młodych Tamilów do wstąpienia do partyzantki i to ona sprawia, że są gotowi umrzeć.

- Jesteśmy mniejszością i walczymy z silną armią, która ma do dyspozycji najbardziej zaawansowany sprzęt. Samobójstwo to nasza najpotężniejsza broń - mówi Karikalan, przywódca Tygrysów w regionie wschodnim.

Wyznaczył mi spotkanie w domu pośrodku pól. Należy do najbardziej poszukiwanych ludzi na Sri Lance, ale najwyraźniej niczego się nie obawia. Przyjeżdża na motocyklu z jednym tylko ochroniarzem.

- Upadek Dżafny? Nie ma żadnego znaczenia - mówi. - Armia weszła do miasta, ale nie zdoła wyjść. Dalej będziemy atakować z dżungli. Ludność jest po naszej stronie. Pokój nadejdzie dopiero wtedy, gdy otrzymamy niepodległe państwo, Ilam. Prezydent Chandrika przyniosła wojnę do naszej stolicy, więc my zaniemiemy ją do Kolombo.²¹

Rząd nie może ignorować tego niebezpieczeństwa i w Kolombo panuje atmosfera oblężenia. Ruch jest wstrzymywany przez kontrole i łapanie. Ministrowie przeważnie pozostają w swoich chronionych rezydencjach, a pani prezydent bardzo rzadko pokazuje się publicznie. „Wieść” niesie, że dziesiątki Czarnych Tygrysów, partyzantów wyszkolonych do samobójczego ataku, przeniknęły do miasta. Wszyscy boją się zamachu na panią prezydent. Konflikty zbrojne bynajmniej nie zakończyły zwycięstwo w Dżafnie, które tu uchodzi za powód do wielkiej dumy. Upadek stolicy rebeliantów coraz bardziej wygląda na zwykły wojenny epizod. A końca wojny nie widać.

Tygrysy podczas obecnej ofensywy poniosły duże straty - dwa tysiące spośród dziesięciu tysięcy partyzantów wyeliminowano z walki - ale Prabhakaran bez trudu znajduje nowych rekrutów, szczególnie wśród najmłodszych. Technika jest zawsze taka sama. Ludzie Prabhakarana odwiedzają szkoły w regionach tamilskich, pokazują filmy wideo ze scenami masakrowania Tamilów przez armię syngaleską i pytają: „Chcecie, aby to spotkało waszych rodziców? Wasze siostry?” Pod koniec każdego spotkania dziesiątki uczniów wstają, zostawiają swoje rzeczy rodzicom na pamiątkę i odchodzą z partyzantami. Często jedynym śladem, jaki po nich zostaje, jest zdjęcie na plakatach, które kilka miesięcy później obwieszcza męczeńską śmierć podczas akcji bojowej.

Bezwzględność i bezprzykładne okrucieństwo uczyniły z Tygrysów pod przywództwem Prabhakarana tę potworną organizację, jaką są dzisiaj - wciąż jeszcze nie do końca poznaną. Poza strukturą złożoną z partyzantów i zwolenników na Sri Lance Tygrysy mają siatkę kontaktów zagranicznych i około czterdziestu najprawdziwszych biur przedstawicielstwa, niekiedy o statusie niemalże dyplomatycznym. Finansują się z pieniędzy tamilskiej diaspory (ofiarowanych lub wymuszonych) i prawdopodobnie coraz częściej z handlu bronią i narkotykami. Nie ma jeszcze niezbitych dowodów, ale istnieje podejrzenie, że Tygrysy zaopatrują się w heroinę w Birnie i rozprowadzają ją po świecie przez Europę. Ich kurierzy, gdy zostaną schwytani, nie zeznają. Nawet we Włoszech kilkuset Tamilów zostało aresztowanych, w większości w Palermo, za przemyt narkotyków. Według niektórych szacunków, Tygrysy dysponują kapitałem wieluset milionów dolarów. Dzięki nim finansują swoją wojnę.

Mimo okrucieństw tej struktury i zbrodni, jakimi się ona splamiła, Tygrysy, szczególnie za granicą, wyrobiły sobie opinię jedynych obrońców ludności tamilskiej. Przemoc LTTE wciąż jest uwznioślana jako przemoc ofiar, a wiele zachodnich środowisk lewicowych popiera tę sprawę.

Tygrysy nie dopuszczają sprzeciwu. Ktokolwiek ośmieli się skrytykować Prabhakarana, zostaje zabity. Ostatnio spotkało to jego zastępcę, rozstrzelanego „po roku przesłuchań”, jak oświadczył rzecznik organizacji. Prabhakaran pozostaje niekwestionowanym przywódcą”. Ruch, mimo utraty Dżafny, nie wydaje się ani trochę osłabiony. Podczas tych czterech dni, które z nimi spędziłem, Tygrysy wszędzie traktowano jak „bohaterów”. Dziesiątki młodziutkich Tamilów w regionie Kokkadicholai najwyraźniej marzą tylko o jednym. Żeby być jak oni, z karabinem w ręku i ampułką cyjanku na szyi. - 22

I nieważne, że na końcu jest śmierć.

- Widzisz? - Pokazują mi swoje plakietki żołnierzy, z nazwą LTTE i numerem ewidencyjnym. Każdy ma trzy: jedną na szyi, drugą na nadgarstku, trzecią wokół talii. - W ten sposób, nawet jeśli zostaną rozerwani na strzępy, będzie mnie można zidentyfikować - mówi jeden z nich, pokazując gestem swoje ciało wylatujące w powietrze.

Za wioską Tygrysy niedawno założyły „Park Męczenników” z zadbanymi nagrobkami poległych „chłopców” i rzędami lampek zapalanych nocą ku pamięci tych, których ciał nie udało się odnaleźć.

W drodze powrotnej do regionów rządowych przejechałem obok tego cmentarza. Moją uwagę zwróciło to, jak wiele wolnego miejsca zaplanowano na nowe kwatery. Trzeba czasu - a może także cudu - aby dzieci nauczyły się tu innej gry niż w zabijanie i umieranie, i aby ta dziwna, piękna, szalona wyspa, nadal w pułapce złowrogiej logiki dżungli, odzyskała trochę rozsądku.

Wszystko zaczęło się od telefonu dawnego kolegi ze studiów w Pizie. Giovanni Alberto Agnelli, młody spadkobierca Fiata, unikający wszelkich kontaktów z wielką międzynarodową prasą, zgodził się udzielić wywiadu gazecie naszej uczelni, z którą koncern Piaggio nawiązał współpracę. Zadanie przypadło mi, ponieważ byłem w Delhi, dokąd Agnelli lubił przyjeżdżać, aby zajmować się lokalną fabryką. Intrygowało mnie spotkanie z człowiekiem,

który szykował się do objęcia sterów jednego z najważniejszych ośrodków władzy gospodarczej w Europie, a nadal miał serce dla Azji.

Giovanni Alberto Agnelli: krótka przyszłość

Nowe Delhi, styczeń 1996

Prezydenci, generałowie, rewolucjoniści, ministrowie, bandyci, przemysłowcy, złodzieje, policjanci, mordercy, politycy. Dziennikarz, jeżdżąc po świecie, spotyka ich bardzo wielu. Z czasem uczy się nie brać nikogo zbyt poważnie, nie dać na sobie robić wrażenia. Słucha nie tego, co rozmówcy wcześniej przygotowali, lecz tego, co im się wymyka, niekiedy na sam koniec starannie ułożonej przemowy.

Przeprowadzając wywiady, dziennikarz rozwija w sobie zdrowy sceptycyzm wobec wszelkich „deklaracji”, instynktowną podejrzliwość wobec obietnic. Naturalną nieufność wobec władzy, która uwodzi, wciąga, pochłania, lecz przecież w końcu, jak wszystko, co ludzkie, przemija.

„Ale władza tego młodego człowieka odbije się na całym pokoleniu. To, co on robi, zaważy na życiu moich dzieci”, mówiłem sobie, jadąc samochodem w kierunku Friends Colony, jednej z willowych dzielnic Nowego Delhi, wymijając, jak zawsze, krowy wylegające się na asfalcie. I ta myśl jeszcze podsyciała zwykłą ciekawość towarzyszącą poznaniu osoby wpływowej.

Wywiad z Giovannim Albertem Agnellim - trzydziestodwu- letnim spadkobiercą rodziny, w której rękę skupiają się ogromne wpływy ekonomiczne, przyszłym zarządcą imperium produkującego samochody i opinie, kontrolującego fabryki i gazety - był połączony ze śniadaniem w domu Uga Lanfranchiego, lokalnego przedstawiciela Piaggio.

Przyjechałem punktualnie. Jednak dottore, jak uparcie nazywają go współpracownicy, bardzo po włosku (co nie pasuje do tego wyrafinowanego młodego człowieka, absolwenta amerykańskiego liceum wojskowego, posiadacza tytułu master Uniwersytetu Browna w Rhode Island, używającego cały czas w rozmowie anglosaskich wyrażeń), był już na miejscu. Otaczali go koledzy i dyrektorzy. Człowiek odpowiedzialny za produkcję skuterów w Indiach, człowiek, który przez lata robił motorowery w Chinach, była dziennikarka z Delhi zajmująca się public relations i nieśmiała amerykańska dziewczyna²³. Ta ostatnia, jakby historia lubiła dziwne żarty, jest potomkinią jednego z najwyższych funkcjonariuszy brytyjskiej korony mieszkającego tu na początku XX wieku z tytułem wicekróla - lorda Curzona.

Spotykamy się, ponieważ Wyższa Szkoła św. Anny, „córka” Kolegium Prawa Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Pizie, nawiązała w Pontederze współpracę z Piaggio i młody Agnelli, niechętnie udzielający wywiadów we Włoszech, jest skłonny pomówić o tym i o owym z dawnym studentem szkoły, który, wzorem Cyncynata, żyje od ćwierci wieku na dobrowolnym wygnaniu w Azji. Pełne tragizmu, bezkresne Indie wydają się idealnym terenem do rozmowy. Mały magnetofon rejestruje jej przebieg.²⁴

T.T.: Szukam tu kultury, która byłaby w stanie oprzeć się nowoczesności w wydaniu zachodnim. Indie są nadal przesiąknięte duchowością, szalone, a mnie ciekawi, jak działa świat niezarządzany jeszcze kryteriami wyłącznie ekonomicznymi. To właśnie interesuje mnie w tej chwili. A pana?

AGNELLI: Mnie interesuje relacja pomiędzy kulturą a nauką. Sądzę, że jednym z problemów naszego wieku jest monopol na kulturę garstki intelektualistów, często dziennikarzy, ludzi, którzy znają się na historii, na literaturze, ale mało lub wcale na fizyce, biologii, chemii. Weźmy fizykę: w ostatnich latach zrobiła ogromny krok naprzód, ale społeczeństwo nic o tym nie wie, ponieważ intelektualiści nie upowszechniają tego rodzaju wiedzy. A przecież, jeśli chcemy zrozumieć, dokąd zmierzamy, musimy przywrócić naukom ścisłym ich miejsce w kulturze. Trzeba je popularyzować. Newton czy Einstein byli przede wszystkim ludźmi

kultury, nie naukowcami zamkniętymi w wieżach z kości słoniowej. Dzisiejsi uczeni nie są tak wszechstronni.

T.T.: I to dlatego zaangażował się pan w projekt współpracy Wyższej Szkoły św. Anny, której główną działalnością powinno być myślenie, z Piaggio, fabryką, w której myśl jest stosowana do produkowania motocykli?

AGNELLI: Współpraca między Wyższą Szkołą św. Anny a Piaggio powstała z przekonania, że świat uniwersytecki i świat przemysłu są od siebie zbyt odległe i muszą się zbliżyć. Ważny punkt odniesienia stanowią dla mnie Stany Zjednoczone. Tam wymiana między światem myśli a światem przemysłowych zastosowań myśli jest bardzo ożywiona. Natomiast we Włoszech - słabo rozwinięta. Współpraca z uczelnią ma zasypać przepaść, która istnieje między tymi dwoma kosmosami. My, ludzie przemysłu, będziemy uczyć się od badaczy, jednocześnie stawiając konkretne, codzienne problemy przed środowiskiem akademickim.

T.T.: Ale czy nie ma zagrożenia, że w efekcie tej relacji - będącej zresztą paktem zawartym między bogatymi a biednymi - otrzymamy badania sterowane? Do wielkich zalet uniwersytetu należy fakt, że jest on królestwem wolności: wolności myślenia, wolności poszukiwań, poszukiwań także niepraktycznych. Tymczasem przemysł ze swojej natury jest zainteresowany poszukiwaniem rzeczy przydatnych, korzyści. Jak jest możliwe, aby w tym sojuszu bogatszy, silniejszy nie wywierał wpływu na tego drugiego, nie uzależnił go od siebie i nie podporządkował?

AGNELLI: Oczywiście, zagrożenie istnieje, ale ja nie należę do tych, którzy postrzegają uniwersytet jako szkołę managementu. Uniwersytet musi maszerować na własnych nogach, posiadać własne motywacje. Źle by było, gdyby utracił swoją niezależność i źle by było, gdybyśmy próbowali go sobie podporządkować. Niezwykle ważna jest symbioza, w której każdy zachowuje tożsamość i uczy się od drugiej strony.

T.T.: Z czym się wiąże plan przeniesienia laboratoriów badawczych Wyższej Szkoły św. Anny do Piaggio w Pontederze - w miejsce nazywane przez niektórych Bastionem Nauki?

AGNELLI: Nie wszystkie laboratoria... Tylko część mikromecha- troniki.

T.T.: Co to takiego?

AGNELLI: Miniaturyzacja robotów. Ja sam wiem o niej niewiele...

T.T.: Pańska chęć połączenia świata przemysłu ze światem uniwersyteckim przywodzi mi na myśl wielki eksperyment z przeszłości Włoch: Adriana Olivettiego, który próbował osadzić fabrykę w społeczności, czyniąc z niej ośrodek nowoczesnej kultury 444 i przyciągając elitę intelektualną kraju. Ja sam byłem zafascynowany tą ideą. Dołączyłem do ekipy Olivettiego zaraz po dyplomie i spędziłem w przedsiębiorstwie pięć lat, na koniec zostając asystentem niezwyklego pisarza, Paola Volponiego. Jednak także eksperyment Adriana Olivettiego źle się skończył, bo fabryka szybko musiała zacząć liczyć się z rynkiem. Wszystko, co nie było czystą produkcją, zostało odrzucone. Dzisiaj Olivetti jest przedsiębiorstwem jak wszystkie inne, zarządzanym według kryteriów ściśle ekonomicznych. Chciałby pan powtórzyć tę drogę?

AGNELLI: Niestety, dzisiaj we Włoszech pisze się o Olivettim wyłącznie negatywnie. Mówi się, że firma Adriana Olivettiego nie była na bieżąco z inwestycjami, że marnowała czas, tracąc z pola widzenia to, co powinno stanowić jej interes. Tak, naturalnie, z perspektywy czysto ekonomicznej, która dzisiaj dominuje w literaturze przedmiotu, Olivetti poniósł klęskę. Ale nie zapominajmy o dobrych stronach tego doświadczenia. Jedną z ról świata przemysłu powinien być udział w kulturze. Niestety, niewiele przedsiębiorstw wybiera taką drogę.

T.T.: Ale czy nie wydaje się panu, że dzisiejszy świat, sprowadzony do rynku, a więc rządony przez żelazną i nieubłaganą logikę zysku - bo to on jest jedynym wyznacznikiem sukcesu i moralności - stoi w zasadniczej sprzeczności z pańskim marzeniem?

AGNELLI: Nie. Naprawdę nie mogę się zgodzić, że ostatecznym celem przemysłu, jego przeznaczeniem, jest robienie pieniędzy. Jestem przekonany, że do zadań przemysłu należy

także poprawianie świata, pomaganie ludziom poprzez produkty i usługi, które podwyższają jakość życia. Kto wie, czy to nie jest ważniejsze od dochodowości.

T.T.: W najbliższych latach będzie pan zarządzał Fiatem, jednym z największych przedsiębiorstw na świecie. Wprowadzenie w życie tego, o czym pan mówi, oznacza konflikt z ideologią, która 445

dzisiaj dominuje na rynkach: ideologią amerykańską. Czy chce pan znaleźć „europejską drogę” dla przemysłu XXI wieku?

AGNELLI: W Europie, zwłaszcza w Niemczech, są już przedsiębiorstwa, które idą tą drogą: takie, które poprzez swoje fundacje próbują wywierać pozytywny wpływ na społeczeństwo.

T.T.: Które?

AGNELLI: Bosch, Siemens. W samej Ameryce fundacje Forda i Rockefellera robią bardzo dużo. I nie są to odosobnione przypadki. Właśnie Amerykanie stworzyli ideę corporate citizenship, przedsiębiorstwa, które myśli również o dobru społeczeństwa.

T.T.: Mnie idea przemysłu albo raczej przemysłowców zajmujących się kulturą trochę przeraża. Ten, kto jest odpowiedzialny za produkcję, będzie skłonny do faworyzowania swoich produktów, do tego, by produkować coraz więcej. Nie może brać pod uwagę skutków dystrybucji tych dóbr w społeczeństwie. Pańska wizja nie sprawdzi się zatem w szerszej perspektywie.

Siedzimy przy wiklinowym stole, na werandzie, z której widać ogród. Nagle rozmowę zagłusza zgrzyt długiego pociągu przejeżdżającego o kilkadziesiąt metrów od domu.

- No właśnie, na przykład kolej - mówię. - Indie muszą dziś dokonać doniosłego wyboru, rozwiązującego problem przemieszczania się: więcej dróg czy więcej linii kolejowych? To nie jest tylko wybór ekonomiczny, on dotyczy również kultury. W pociągach pasażerowie rozmawiają, razem jedzą, nawiązują przyjaźnie i mają silne poczucie wspólnoty. W dniu, w którym powstaną autostrady i ludzie przesiądą się do samochodów, po cztery lub dwie osoby, rozpadnie się cała sieć relacji, w Indiach ogromnie ważna. Zmieni się samopostrzeżenie społeczeństwa. To nie jest 446 wybór, który można pozostawić koncernom samochodowym, naciskającym, oczywiście, by powstawało więcej autostrad, aby mogły robić więcej aut i więcej pieniędzy. Nie sądzi pan?

AGNELLI (uśmiecha się): Rozumiem pańską troskę. Ja również nie sądzę, aby samochód był uniwersalnym środkiem transportu. Jest przydatny, ale wywołuje problemy z ruchem, z zanieczyszczeniem miejskim, które trzeba rozwiązywać na bieżąco. Dlatego Piaggio chce zaproponować zupełnie nowe pojazdy, przeznaczone do użytku miejskiego, ale niekoniecznie samochody; pojazdy, które nie muszą mieć dwóch metrów na cztery powierzchni, bo taka nie może być przyszłość. Samochód to fantastyczny produkt, ale odpowiedni do dużych przestrzeni, do dużych odległości, nadaje się do Stanów Zjednoczonych, do Ameryki Południowej, gdzie ludność jest bardzo rozproszona. Gdyby przemysł motoryzacyjny w Indiach miał osiągnąć europejski albo amerykański poziom wzrostu, doprowadziłoby to, moim zdaniem, do katastrofy. W tym kraju nie dałoby się mieszkać. Oczywiście - na średnich dystansach pociąg jest niezastąpiony.

T.T.: Czytałem gdzieś, że w Stanach Zjednoczonych pojawił się wreszcie samochód elektryczny. Czy to rewolucja?

AGNELLI: Nie przy aktualnie istniejącej technologii. Wszyscy próbujemy opracowywać środki transportu eliminujące zanieczyszczenie, ale produkt Forda nie jest optymalnym rozwiązaniem. Dużo kosztuje; baterie są bardzo ciężkie i muszą być cały czas ładowane. A zatem ten samochód nie jest rewolucyjny. Choć naturalnie przyszłość prowadzi w tym kierunku.

T.T.: Właśnie, przyszłość! Wielu zachodnich biznesmenów uważa, że przyszłość to Azja, ponieważ tu prawdopodobnie będą rynki jutra. A pan jak sądzi?

AGNELLI: Jestem tego samego zdania. Nie trzeba wielkiej wyobraźni, aby to rozumieć. W Chinach żyje ponad miliard ludzi, w Indiach prawie miliard, w Azji Południowo-Wschodniej kolejne pół miliarda, podczas gdy w Europie trzysta pięćdziesiąt milionów, w Stanach Zjednoczonych trzysta milionów, w Ameryce Południowej dwieście pięćdziesiąt milionów. To oczywiste, że każdy produkt ma większą możliwość rozwoju tam, gdzie jest więcej ludzi.

T.T.: Wychował się pan we Włoszech, studiował w Ameryce, a teraz będzie kierować Fiatem. Czy bycie Włochem przeszkadza w kontaktach zagranicznych?

AGNELLI: Problem nie polega na byciu Włochem, skądże. Polega na tym, że nie ma się za sobą wiarygodnego systemu. My, Włosi, wszystkim wydajemy się sympatyczni, wszyscy nas kochają, ale kiedy mamy dotrzymać obietnic, zawsze rozczarowujemy, zarówno na płaszczyźnie osobistej, jak politycznej. Hindusi zaklinaczami węży? To my jesteśmy prawdziwymi zaklinaczami!

T.T.: Niezrównanymi. Podróżując po Azji, często spotykam tych niesamowitych Włochów - biznesmenów, drobnych przedsiębiorców, pochodzących z miasteczek na prowincji, którzy bez żadnego wsparcia, nie pokazując się w ambasadach, są ciągle w ruchu, wymyślają nowe interesy. To ludzie, którzy skaczą bez spadochronu, wspaniali, ale bez żadnego zaplecza. Włochy należą do potęg przemysłowych świata, produkujemy tyle samo, co Wielka Brytania albo więcej, a jednak na scenie międzynarodowej jesteśmy mniej widoczni, mniej obecni niż inni Europejczycy.

AGNELLI: Z pewnością, jesteśmy także bardzo młodym narodem... Nie mamy poczucia wspólnoty, szkoły nie uczą nas dumy z bycia Włochami. Kiedy w Stanach Zjednoczonych grałem w pił- 448 kę w szkolnej drużynie, przed każdym meczem kładliśmy rękę na piersi, słuchaliśmy hymnu narodowego, staliśmy na baczność przy podnoszeniu sztandaru. Wszyscy, z łezką kręcącą się w oku, czuliśmy dumę z bycia Amerykanami. Skończyłem szkołę podstawową św. Józefa w Turynie. Tam kładzenie ręki na sercu i słuchanie hymnu Mamelego przed jakimkolwiek spotkaniem sportowym było nie do pomyślenia.

T.T.: Może bardziej niż inni jesteśmy obywatelami świata!

AGNELLI: Być może. Tożsamości narodowe powoli się rozmywają, chociaż ludzie coraz częściej odkrywają przywiązanie do własnej ziemi. Toskańskie będzie coraz bardziej tokańskie, a coraz mniej włoskie.

T.T.: Czekają nas powrót do jryałej ojczyzny?

AGNELLI: Tak, do patriotyzmu lokalnego, i to naprawdę w mikroskali. Prawdopodobnie w przyszłości pojawią się wielkie bloki państw z makroregułami, ale również z ogromną autonomią lokalną. Rodzaj autentycznego federalizmu, z prawami dyktowanymi co najwyżej przez Brukselę, nie przez Narody Zjednoczone. Zarządzanie będzie przebiegać na miejscu.

T.T.: Ciężko panu myśleć, że jako szef Fiata będzie pan musiał szybko wziąć na siebie ogromną odpowiedzialność? Czy może postrzega pan jako naturalną tę perspektywę? W końcu został pan wychowany z myślą o odziedziczeniu któregoś dnia imperium.

AGNELLI: Zostałem wychowany z myślą, że powinienem pracować najlepiej, jak potrafię, niekoniecznie zadając sobie pytanie, co się ze mną stanie jutro albo pojutrze.

T.T.: Patrzy pan optymistycznie w przyszłość? Nie martwi pana globalizacja, coraz większa niemoralność życia politycznego, materializm?

AGNELLI: Oczywiście. Ale przyszłość nie rysuje się jeszcze wyraźnie. Jesteśmy w wyjątkowo trudnym momencie, a koniec t? siąclecia dodaje mu wielkiego dramatyzmu. Z jednej strony patrzymy na zmierzch religii, z drugiej widzimy wzrost znaczenia fundamentalizmu islamskiego, który nigdy dotąd nie był tak silny. Kończy się religia, ale w Europie coraz więcej jest buddystów, a w Azji chrześcijan.

T.T.: Wierzy pan, że religia będzie ważna dla człowieka przyszłości?

AGNELLI: Zdecydowanie tak. Moim zdaniem wielkie religie znów będą odgrywać istotną rolę w życiu narodów, przywracając im wartości i pewność w świecie, który nie zna pewności. Z upływem czasu to na pewno nastąpi.

T.T.: A co z rozwojem nauki? Nastraja optymistycznie czy pesymistycznie?

AGNELLI: I tak, i tak. Na przykład medycyna - zrobiła niewiarygodne postępy w ostatnich latach. Gdyby nie penicylina, ten kraj, Indie, nadal miałyby zaledwie trzysta milionów mieszkańców. Oczywiście żyliby oni lepiej niż dzisiejsze dziewięćset pięćdziesiąt milionów. Ale czy za ten stan rzeczy można winić naukę? Osobiście jestem umiarkowanym optymistą. Fascynuje mnie postęp. Ostatnio w informatyce.

T.T.: Mnie szczególnie. Mam wrażenie, że im więcej dostajemy informacji, tym większymi jesteśmy ignorantami. Jedną z naj- 450 dziwniejszych książek, jakie ostatnio przeczytałem, była Droga ku przyszłości Billa Gatesa. Wciąż przypominają mi się piękne zdania T.S. Eliota: Where is the life we have lost in living? Where is the wisdom we have lost in knowledge? Where is the knowledge we have lost in information? - „Gdzie jest życie, które utraciliśmy żyjąc? Gdzie jest mądrość, którą utraciliśmy w wiedzy? Gdzie jest wiedza, którą utraciliśmy w wiadomościach?”* Internet jest jak narkotyk.

AGNELLI: To nieprawda. Rzecz w tym, żeby wybierać informacje, wiedzieć, jak ich używać. Rozwój informatyki daje nam nowe możliwości. Z mojego domu w Toskanii dzięki komputerowi mam dostęp do wszystkich informacji świata. To cudowne. Proszę pomyśleć o lekarzu, który nie umie wyleczyć pacjenta, wrzuca do internetu symptomy i prędzej czy później znajduje w jakiejś części świata kogoś, kto rozpoznaje chorobę i podpowiada terapię. To wspaniała rzecz.

T.T.: Cena tej wspaniałości jest taka, że ludzie spędzają coraz więcej czasu przed ekranem, a coraz mniej z innymi ludźmi. Nastolatki częściej bawią się z komputerem niż z przyjaciółmi...

AGNELLI: I tak, i nie. Nowe informacyjne społeczeństwo pozwoli mniej pracować i mieć więcej czasu na kontakty z ludźmi. Dzięki komputerowi będziemy coraz częściej pracować w domu, a więc spędzać więcej czasu z rodziną, unikając godzin w samochodzie i w biurze. To budzi optymizm.

T.T.: Mówimy tu o pracy intelektualnej, pracy elit. Ten, kto wytwarza, nadal będzie musiał przychodzić do fabryki. Komputer nie pomoże większości społeczeństwa.

Przełożyli Włodzimierz Krysiński i Jarosław Marek Rymkiewicz (przyp. tłum.).

AGNELLI: Niekoniecznie. Będzie coraz więcej firm usługowych. Weźmy jakikolwiek koncern: już dzisiaj jedna trzecia działalności to usługi, a one mogą być świadczone spoza przedsiębiorstwa. Z domu.

T.T.: W dalszej perspektywie to oznacza dezintegrację przedsiębiorstw. Spodziewa się pan tego? • *

AGNELLI: Tak, u nas już to następuje. To technika zarządzania, którą Amerykanie nazywają outsourcing. Zastosowaliśmy ją w Piaggio. IBM potrafi zarządzać komputerami o wiele lepiej niż my. A zatem z pracownikami naszego centrum informatycznego i z IBM stworzyliśmy spółkę, która teraz zarządza tą usługą. To samo dotyczy usług administracyjnych. Wkrótce także i one będą świadczone spoza przedsiębiorstwa.

4

T.T.: Odebrał pan nietypowe wykształcenie: szkoła podstawowa we Włoszech, liceum wojskowe w Stanach Zjednoczonych, szkolenie spadochroniarskie w brygadzie Folgore, wreszcie uczelnia amerykańska. Gdyby miał pan powtórzyć swoją edukację, dodałby pan coś?

AGNELLI: Ogromnie mnie interesują nowe technologie. Jestem zafascynowany światem północnej Kalifornii, San Francisco, gdzie ludzie zajmują się nie tylko informatyką w tradycyjnym sensie telekomunikacji, ale także bioinżynierią. W tej dziedzinie jestem niemal

dyletantem i chciałbym dowiedzieć się więcej, ponieważ niesłuchanie istotne wydaje mi się zrozumienie, dokąd zmierza społeczeństwo jutra.

T.T.: Mnie się zdaje, że w jakieś brzydkie miejsce... podobne do Singapuru!

AGNELLI: To może się nie podobać. Ale jeśli miastem przyszłości naprawdę jest Singapur, jak niektórzy myśliciele europejscy - na przykład Dahrendorf-twierdzą, dobrze być tego świadomym. Warto zrozumieć społeczeństwo rządzące się wyłącznie względami ekonomicznymi, społeczeństwo, w którym poeci nie są mile widziani...

T.T.: A panu takie społeczeństwo się podoba?

AGNELLI: Może i nie, ale chcę je zrozumieć.

T.T.: Ja odczuwam niepokój, patrząc na nowe pokolenia, które dorastają, ucząc się coraz bardziej programować, a coraz mniej myśleć. Nie można liczyć na ludzi, którzy sądzą, że mogą rozwiązać wszystkie problemy za pomocą oprogramowania. Młodzi ludzie powinni studiować filozofię...

AGNELLI: Zrobiłem dyplom z filozofii i nauk politycznych.

T.T.: Jeśli w społeczeństwie jutra człowiek będzie tylko zwierzęciem ekonomicznym, w takim razie jesteśmy u schyłku naszej cywilizacji!

AGNELLI: Faktycznie wygląda na to, że ekonomia rządzi światem. Ale to może się zmienić. Jestem przekonany, że wartości znów zaczną się liczyć i że religia odegra tu ważną rolę, ponieważ będzie musiała zinterpretować na nowo potrzeby społeczeństwa.

T.T.: A polityka?

AGNELLI: W tym momencie Europa to wielka próżnia polityczna. Kieruje się nami, lepiej lub gorzej, poprzez kryteria ekonomiczne określone w traktacie z Maastricht. Dziesięciu największych bankierów doprowadziło do podpisania tego traktatu, a teraz jedynym celem polityki jest jego przestrzeganie. Najwyższy czas, aby prawdziwi politycy, dużego formatu, zaproponowali nowe idee, nowe rozwiązania. Ale takich nie ma.

T.T.: Jak pan sądzi, dlaczego?

<4>

AGNELLI: Na świecie trwa wielki okres przejściowy. Klasa rządząca z przeszłości, ta, która przeżyła dramatyczne doświadczenie wojny i odbudowy, odeszła. Mitterrand był ostatnim z wielkich, ale nie pozostawił następców. Problem z wielkimi politykami polega na tym, że - może właśnie dlatego, że byli wielcy - nie otaczali się współpracownikami na swoim poziomie, z szerokim spojrzeniem, ludźmi, którzy podawaliby w wątpliwość idee i strategie.

T.T.: A pan jakimi ludźmi się otacza?

AGNELLI: W Piaggio staram się mieć współpracowników lepszych od siebie. Mówię poważnie. Oceniając człowieka, patrzę przede wszystkim na ludzi z jego otoczenia. Chciałbym, aby tak samo postępowano w stosunku do mnie. Żeby ocenić moją pracę, trzeba znać moich współpracowników. Taką wyznaję zasadę.

T.T.: Gdzie należy szukać wielkich liderów przyszłości?

AGNELLI: Oczywiście nie wśród numerów dwa i trzy starego pokolenia. Nie ma tam nowych przywódców. Trzeba zrobić skok pokoleniowy. Nowi wielcy wyłonią się spośród ludzi wychowanych w nowy sposób i z nowymi wizjami.

T.T.: Ma pan na myśli swoją generację?

T.T.: A pan co proponuje?

AGNELLI: Ja jestem zbyt młody, żeby dawać lekcje życia. Mam za to głębokie, naprawdę głębokie przeświadczenie, że każdy jest kowalem własnego losu i że może iść naprzód jedynie wtedy, gdy dobrze wykonuje zadania, które widzi przed sobą. I taki mam plan. Wykonywać dobrze, jak najlepiej, zadania, które będę widział przed sobą. Tylko tyle. Świsty i zgrzyt kolejnego pociągu zagłuszają nasze pożegnanie. Jadę z powrotem między krowami wyciągniętymi beztrudnie na asfalcie. Jeśli jakaś część przyszłości musi od kogoś

zależę, jestem zadowolony, że zależy od człowieka obiecującego otaczać się ludźmi, którzy potrafią mieć własne zdanie.*

AGNELLI: Czemu nie? Może pokolenie czterdziestolatków. Są wśród nich ludzie, którzy mają zasady, którzy mają coś do zaprowadzenia.

Przyszłość, nieoczekiwanie, okazała się o wiele krótsza, niż obaj sobie tamtego dnia życzyliśmy. Giovanni Alberto Agnelli zmarł na raka 13 grudnia 1997 roku. Nieco wcześniej urodziła mu się córka. Nadano jej imię Azja, na cześć świata, który jemu także był drogi. Podróże do Dharamsali, stolicy diaspory tybetańskiej, były jedną z przyjemnych stron mieszkania w Delhi. Noc w pociągu do Pathankotu, cztery godziny samochodem, a potem serdeczne powitanie w tym otwartym dla gości domu, w którym żyje także brat Dalajlamy. Nasilenie chińskich ataków na przywódcę duchowego Tybetu na wygnaniu sprawiło, że znów odwiedziły tę wyspę buddyizmu pośrodku Indii.

czternasty Dalajlama

Dharamsala, luty 1996

Na słońcu, pod ogromnym, wypuszczającym liście drzewem, ładna jasnowłosa dziewczyna czyta książkę.

- Dlaczego tu jesteś?

- Z tego samego powodu, co wszyscy. W Europie czułam, że czegoś mi brakuje.

Przyjechałam tego poszukać.

Młody weneccjanin mówi, że przybył do Dharamsali, aby zrozumieć, kim jest. W sali dla oczekujących klasztoru Neczung, gdzie Wyrocznia Państwowa raz w roku, w transie, przepowiada przyszłość Tybetu, błada i szczupła dziewczyna prosi starego mnicha o „ziarna”.

- Proszę dać mi dużo, bardzo proszę. Byłam tu sześć miesięcy, wracam do Niemiec i potrzebuję ich, żeby się chronić. - Mnich wraca z czterema torebkami foliowymi pełnymi czerwonych ziarenek. - Dla twoich przyjaciół - mówi. Dziewczyna jest wniebowzięta.

Każdy potrzebuje nadziei, a ta garść domków i świątyń na północy Indii, u stóp majestatycznych szczytów Himalajów, to jedno z miejsc zbudowanych właśnie z nadziei.

Tybetańczycy, na 456 wygnaniu od trzydziestu pięciu lat, żyją nadzieją na to, że będą mogli wrócić do swojego kraju, okupowanego i kolonizowanego przez Chińczyków. Ludzie Zachodu, w większości młodzi, przybywają tu z pielgrzymką, z nadzieją, że znajdą wreszcie sens życia, spokój duszy.

Źródłem wszystkich nadziei, zbiorowych i osobistych, politycznych i duchowych, jest ten sześćdziesięcioletni mężczyzna, już nieco przygarbiony, z ogoloną czaszką i silną, spokojną twarzą, którą często rozpromienia rozbrajający uśmiech. Świat zna go pod imieniem Dalajlamy, „oceanu mądrości”, ale w Dharamsali czuje się, że ze wszystkich jego imion najlepiej pasuje Kundun, czyli „Obecność”.

Lhamo Thondup, jedno z szesnaściorga dzieci wieśniaczki, czternaste wcielenie miłosierdzia Buddy, jest wszędzie. W rozmowach, w modlitwach, w myślach ludzi; w książkach, na widokówkach i na koszulkach sprzedawanych na dwóch ulicach miasteczka. O świcie setki Tybetańczyków, odmawiając różaniec, mrużąc niekończące się litanie, okrążają jego rezydencję. Właściciele sklepów, pensjonatów i małych punktów telefonicznych dla turystów umieszczają kadzidełka w patyczkach przed jego podobizną. Tą obecnością żyją tutaj wszyscy.

Dalajlama mieszka w Dharamsali od 1959 roku, kiedy Tybetańczycy powstali przeciwko chińskim oddziałom, walcząc o niezawisłość Tybetu. Represje, nakazane bezpośrednio przez Mao, były bezwzględne. Rewolucja została krwawo zdławiona i Dalajlama, liczący sobie niewiele ponad dwadzieścia lat, ale będący już niekwestionowanym przywódcą duchowym i politycznym swojego narodu, musiał uciekać. Jemu i stu tysiącom uchodźców, którzy poszli

za nim, Indusi zaofiarowali gościnę i pozwolenie na osiedlenie się w tej dolinie. Od tamtej pory Dharamsala jest stolicą tybetańskiej diaspory i siedzibą rządu na wygnaniu. Ten zaś, z Dalajlamą na czele, kwestionuje prawo Chin do rządzenia Tybetem.

Żaden kraj na świecie nie uznaje tego rządu (żaden nie chce drażnić Chin ani stracić ich jako rynku), ale Dalajlama, odznaczony 457

letnią pokojową Nagrodą Nobla, uważany za jedną z wielkich postaci na scenie międzynarodowej i przyjmowany wszędzie, od Białego Domu do Watykanu, jest solą w oku Chińczyków. „Obecność” stanowi ostatnią przeszkodę wobec ich całkowitej kontroli nad Tybetem i wielu mieszkańców Dharamsali boi się, że Chińczycy spróbują zgładzić Dalajlamę. Po tym, jak ostatnio zdemaskowano trzech tajnych agentów Pekinu udających uchodźców, obawy wzrosły.

W ostatnich dziesięcioleciach rząd z Pekinu prześladował, uwięził i zabił tysiące Tybetańczyków domagających się niepodległości. Zburzył większość świątyń i klasztorów, próbował zniszczyć tradycyjną tybetańską kulturę, opierającą się na religii, narzucając z jednej strony wolną chińską i socjalistyczną nowoczesność. Ostatnio Pekin zalał Tybet imigrantami: w Lhasie Tybetańczycy stanowią już nie więcej niż jedną trzecią ludności. Dawne centrum zostało zrównane z ziemią, aby zrobić miejsce chińskim supermarketom, dyskotekom i barom, gdzie nowe pokolenie Tybetańczyków pobiera lekcje „nowoczesności”. Głównie upijając się.

- Jeszcze dziesięć, piętnaście lat w tym tempie i Tybet nie będzie istniał - mówi „Obecność”.
- Możliwe, że naprawdę jestem ostatnim Dalajlamą.

Spotykamy się w sali jego rezydencji o ścianach pokrytych tankami. Rozmowa trwa dwie godziny, dotyczy najróżniejszych rzeczy, a mnie bardziej niż jakiegokolwiek słowa Dalajlamy uderza prostota, na której - szybko zdaję sobie z tego sprawę - polega jego prawdziwa wielkość. Dalajlama nie jest świętym, nie pozuje na guru, nie czyni cudów. Jego mądrość to zdrowy rozsądek. Jego duchowością jest niewinność.

Rozmawiamy o ostatnim uderzeniu Chińczyków, czyli o porwaniu sześciolatniego chłopczyka, w którym Dalajlama rozpoznał wcielenie Panczenlamy. Komuniści zastąpili go innym chłopcem, dzieckiem członków partii. Dalajlama opowiada, jak medytując i odczytując znaki, podjął decyzję o wyborze Panczenlamy.

- Na koniec umieściłem imiona trzech ostatnich kandydatów w żelaznych kulach i pozwoliłem im kręcić się w misce, aż jedna wypadła na zewnątrz. Wpadała zawsze ta sama... zawsze ta sama: było jasne, że to on - mówi, potem urywa i wybucha śmiechem. - Pan pewnie bierze mnie za szaleńca. Dla was, ludzi Zachodu, te praktyki są nie do pomyślenia, aleja przez całe życie wszystkie najważniejsze decyzje podejmowałem w taki właśnie sposób... - Potem, jakby chciał zdradzić mi mały sekret, wyznaje: - Ale znaków z ognia nie umiem jeszcze dobrze odczytywać.

Rozmawiamy o przybyszach z Zachodu, którzy zostają buddystami. Tybetańczycy z Dharamsali nazywają ich „jajkami na twardo”, ponieważ białe i ogolone głowy cudzoziemców wyróżniają się w tłumie. Dalajlama robi zaskakującą uwagę:

- Zmiana religii jest rzeczą trudną. To niebezpieczna droga, która prowadzi do wielkiej zamętu duszy. Najlepiej podążać za własną religią. Buddyzm może pomóc, ale byłoby dobrze, aby chrześcijanie pozostali chrześcijanami.

Rozmawiamy o powolnym zanikaniu wymiaru duchowego z życia ludzi, coraz bardziej pochłoniętych pogonią za materialnymi celami. Dalajlama mówi, że sami Tybetańczycy błyskawicznie się zmieniają i że nawet niektórzy spośród jego najwyższych łamów padli ofiarą tej tendencji.

- Gdy tylko mają okazję zarobić pieniądze, nie potrafią odmówić - oświadcza, śmiejąc się głośno.

Historia tybetańskiego buddyzmu wiele mówi o dzisiejszych czasach. W niedostępnych Himalajach owo wyjątkowe nauczanie nie doświadczyło zewnętrznych wpływów, a jego wyznawcy pokonali we własnym wnętrzu drogę, jaką inne narody, zwłaszcza zachodnie, przeszły w wymiarze fizycznym. Wśród samotności najwyższych szczytów świata medytacja i inne praktyki duchowe osiągnęły taki poziom, że można uwierzyć, iż pociągnęły za sobą rozwój szczególnych zdolności percepcji i komunikacji. Tybet stał się rodzajem sejfu z ukrytymi „skarbami”. Schronieniem tajemnej wiedzy, która od zawsze przyciągała odkrywców, misjonarzy i poszukiwaczy przygód.

Inwazja chińska w 1959 roku, przyczyniając się do powstania diaspory tybetańskiej, jakby otworzyła ów sejf i rozrzuciła ziarno sekretnej niegdyś wiedzy po całym świecie. Dalajlama, ikona tej wiedzy i przywódca uciśnionego ludu, rozpalil wyobraźnię Zachodu, a do zainteresowania tybetańskim buddyzmem dołączyły sympatie polityczne dla sprawy niepodległości Tybetu.

Dharamsala stała się celem ludzi poszukujących leku dla duszy lub ciała. Wielu na swój sposób go odnalazło: na kursach medytacyjnych, w mowach, które Dalajlama wygłasza na wiosnę, albo w receptach jego starego osobistego lekarza. Człowiek ten dotarł do Dharamsali po dwudziestu latach spędzonych w chińskim więzieniu (ślady tortur widnieją na jego twarzy, wykrzywionej i zeszcpeczonej guzami), przywożąc między innymi sekret pewnych czarnych „cudownych” pigulek leczących zapalenie wątroby.

Sukces tybetańskiego buddyzmu był jednak początkiem jego degeneracji. Praktyki, które miały sens na szczytach gór, mniej go mają w drapaczach chmur Nowego Jorku i Los Angeles, gdzie Dalajlama i buddyzm są obecnie szalenie modni. Ta wiedza, niegdyś utajona, zdobywana dzięki wielkiej wytrwałości, jest obecnie dostępna dla wszystkich i staje się czymś w rodzaju dobra konsumpcyjnego, towaru z supermarketu, leżącego na półkach z produktami zapewniającymi szczęście.

Zetknięcie z materializmem liberalnego społeczeństwa zachodniego wywołuje ponadto konflikty nie do pomyślenia w feudalnym świecie Tybetu. Tracąc swoje korzenie, buddyzm traci po trosze swoją drogę. Jeden z najsławniejszych rimpocze („reinkarnowanych nauczycieli”), autor popularnej książki o sztuce życia i umierania, ma teraz proces w Kalifornii. Jest oskarżony o molestowanie seksualne uczennicy, która, jako odszkodowania za wyrządzoną jej krzywdę, żąda dziesięciu milionów 460 dolarów.

A jednak Tybet sprzedaje się coraz lepiej, staje się coraz modniejszy. Po Małym Buddzie Bernarda Bertolucciego powstają dwa podobne filmy. Siedem lat w Tybecie to historia austriackiego alpinisty, który podczas drugiej wojny światowej ucieka z obozu jenieckiego w Indiach i odkrywa „tajemny” kraj. Kundun w reżyserii Martina Scorsesego oparty jest na autobiografii Dalajlamy.

Wiosną Dharamsalę odwiedza najwięcej gości. Jednym z najbardziej rzucających się w oczy jest George Segal, znany hollywoodzki aktor. Przybył w towarzystwie kształtnej blondynki na praktyki tantryczne z dziwnym lamą o wyglądzie opryszka. Każda narodowość ma swojego ulubionego „nauczyciela”. Wielu Włochów gromadzi się w świeżo odnowionym i powiększonym (aby przyjmować więcej uczniów) domu starego „nauczyciela”, który w młodości miał następującą wizję: Tybet był podbijany przez Chińczyków, pozostawał pod ich panowaniem przez kilka dziesięcioleci, a pewnego dnia wyzwalały go dwa kraje, Stany Zjednoczone i Włochy. Starzec mówi, że nigdy wcześniej nie słyszał o Italii, a jednak w wizji pojawiała się to właśnie słowo: I-ta-li-a. Toteż Włosi ściągają do niego tłumnie.

Dalajlama jako pierwszy zdał sobie sprawę z niebezpieczeństw osiągniętej przezeń pozycji i zrozumiał, że Chińczycy nie są jego jedynymi nieprzyjaciółmi. Sława przywódcy i popularność buddyzmu tybetańskiego służą sprawie politycznej, ale także niszczą kulturę i duchowość narodu. Sympatia, atencja i pieniądze wpłacane przez Zachód na rzecz małej

społeczności z Dharamsali zaczęły psuć nowe pokolenia uchodźców i sprawiać, że tracą oni sens swojej prawdziwej kondycji. Dalajlamie pozostało tylko jedno wyjście: sprowadzić swoich ludzi na ich ziemię, oddać im doliny, umieścić ich z powrotem w górach.

- Musimy dokonać tego szybko. Bardzo szybko - mówi. Potem, zakładając mi na szyję długi szal z białego jedwabiu, jako błogosławieństwo i pamiątkę, dodaje: - Wy, ludzie Zachodu, macie ważną rolę do odegrania. Pomóżcie nam ocalić Tybet, a Tybet pomoże wam ocalić was samych.

Zachodzi słońce. Udaje ciemniały, a w powietrzu zawisa złoty ludzi. Każdy niesie swoją nadzieję. Wszyscy jej potrzebujemy.

Kampania wyborcza zazwyczaj jest dla korespondenta okazją, aby poznać kraj i nawiązać kontakty z politykami. Jeździ się za kandydatem po jego okręgu, na spotkania. Przed wyborami parlamentarnymi w Indiach w 1996 roku osobą, z którą spędziłem dwa dni, była...

królowa bandytów

Mirzapur (Indie), kwiecień 1996

Historia Indii utkana jest z legend. Legendy jednoczą naród, karmią go i pozwalają mu marzyć. Jedną z nich, tym razem polityczną, właśnie się narodziła.

-Jestem Phoolan Devi! Spędziłam wiele lat w dżungli i w więzieniu. Nie mam domu i przybyłam, aby mieszkać z wami!

Trzydziestodwuletnia drobna kobieta, o ciemnej cerze, z perkatym nosem i okrągłymi oczami, które patrzą raz przestraszone, raz groźne, przemawia do tłumu wychudzonego i wyniszczonego przez upał i głód. To bandytka, której przypisuje się dziesiątki morderstw, napadów i porwań. Ale pokryci kurzem i zmęczeni ludzie widzą coś innego.

Kucający na ziemi, usadowieni na gałęziach drzew, chwiejący się na dachach nędznych chat, mężczyźni, kobiety i dzieci, którzy jej słuchają, postrzegają ją jako boginię kwiatów (w języku hindi tak tłumaczy się imię Phoolan), inkarnację dziesięciorekłej Durgi, przerażającego bóstwa wojny, mścicielki. Wiedzą również, że w wyborach 27 kwietnia ta kobieta chce zdobyć jedno z pięciuset czterdziestu trzech miejsc w parlamencie indyjskim. I są po jej stronie.

- Ona jest nawałnicą, która przynosi szczęście, ona jest ogniem, który rodzi życie! - deklamuje poeta z wioski Gopigan, 463

w dystrykcie Mirzapur, we wschodniej części stanu Uttar Pradeś, gdzie odbywa się jeden z wieców Phoolan Devi.

Phoolan podróżuje białym samochodem, jadą za nią dwa dżipy pełne policjantów i ciężarówka, z której masa mężczyzn wykrzykuje jak szalona jej imię. Konwój porusza się po jednym z najuboższych i najsmutniejszych regionów w Indiach. Wioski zbudowane są z błota i nie mają elektryczności. Ludzie nie oglądają telewizji i nie chodzą do kina, a jednak wszyscy wiedzą wszystko o Phoolan Devi, ponieważ o niej mówi się na bazarze, o niej śpiewają wędrowni poeci. Wiedzą, że jest niedotykalną, która miała odwagę powstać przeciwko wyższym kastom. Wiedzą, że to kobieta, która, jak Durga, chwyciła za broń, aby walczyć z łajdakami.

Dystrykt Mirzapur ma milion dwieście tysięcy obywateli uprawnionych do głosowania. 80 procent to niedotykalni, należący do najniższych warstw społecznych, ci, którzy od trzech tysięcy lat są dręczeni i dyskryminowani jako „ludzkie męty”. Aby zdjąć z nich ten stygmat, Gandhi, Mahatma, wielki duch, ochrzcił niedotykalnych mianem haridżan, „dzieci Boga”, ale oni wolą być nazywani dalitami, „tymi, którzy cierpią”. Wśród dziewięciuset milionów mieszkańców Indii jest około dwustu milionów dalitów. A Phoolan Devi to najsławniejsza niedotykalna.

Przez całe godziny tłum czeka na słońcu. Kiedy wreszcie konwój przybywa, kobiety rzucają się do stóp Phoolan Devi, a reszta próbuje po prostu złapać dłonią powietrze wokół niej, aby podnieść je do twarzy albo położyć na głowach dzieci jako błogosławieństwo.

- Błagam was, nie głosujcie na lotos ani na dłoń. Oddajcie wasz głos na rower! - woła Phoolan Devi.

Ach, tak, rower! To w zamian za rower i chorowitą krowę, ojciec dał ją za żonę mężczyźnie starszemu od niej o dwadzieścia lat. Ten zgwałcił jedenastoletnią Phoolan i szybko porzucił, aby poślubić inną kobietę. Dzisiaj, zbiegiem okoliczności, rower jest symbolem socjalistycznej partii Samajwadi, z ramienia której królowa bandytów kandyduje, walcząc o głosy z partią skrajnej prawicy BJP i Partią Kongresową. Ta pierwsza przyjęła za symbol kwiat lotosu, druga - otwartą dłoń.

Phoolan Devi zindabad! - „Niech żyje Phoolan Devi!”, wołają agitatorzy. Zindabad! Zindabad!, odpowiada chórem tłum. Ale ona prosi o ciszę, aby wygłosić, jak zawsze, swoje przesłanie:

- Słuchajcie mnie! Okradłam tych, którzy mnie okradli! Róbcie jak ja! Za każdy cios, jaki otrzymacie, oddajcie dwa! Nie bójcie się: odetnijcie rękę, która was torturuje!

Ile razy ona sama uderzyła, nie wiadomo, ponieważ wersji jej życia, krótkiego i burzliwego, jest tyle, ile osób, które je opowiadają. 25

Phoolan Devi urodziła się w 1956 roku jako drugie z sześciorga dzieci ubogiej chłopskiej rodziny dalitów w Uttar Pradeś. Wioską rządzą członkowie wysokiej kasty, thakurowie. Naczelnik wioski kazał się nazywać pierwszym ministrem i decydował o życiu mieszkańców. Bez jego pozwolenia niedotykalny nie mógł nawet zapuścić wąsów ani tym bardziej załatwić swoich potrzeb na polu tha- kura. Niedotykalni musieli wypróżniać się we własnych chatach, oczywiście pozbawionych wychodków. Żaden niedotykalny nie mógł zaczerpnąć wody ze studni thakura. Miesięczna płaca niedotykalnego wynosiła pięćdziesiąt rupii (równowartość 1,2 euro), a thakur rzucał mu ją, aby uniknąć fizycznego kontaktu.

Porzucona przez męża, czternastoletnia Phoolan Devi wraca do swojej rodziny. Jako szesnastolatka trafia po raz pierwszy do więzienia, oskarżona przez kuzyna o kradzież. Tam zostaje zgwałcona przez policjantów. Ludzie zaczynają mówić, że jest łatwą dziewczyną. W wieku dwudziestu jeden lat porywa ją jedna z band dakoi, zbójców, którzy grasują w regionie. Bandyci robią z niej swoją seksualną niewolnicę. Kiedy pewnego dnia herszt bandy postanawia zgwałcić ją publicznie, pewien młody dakoi 465 oburza się, zabija go i zostaje kochankiem Phoolan. Ona zakochuje się w nim. On daje jej pierwszy karabin.

Phoolan Devi jest teraz obiektem pożądania. Wkrótce jej młody kochanek, również dalit, zostaje zabity przez dwóch braci tha- kur, którzy pragną mieć dla siebie dziewczynę. Porywają Phoolan i zabierają do wioski Behmai, gdzie gwałcą ją przez trzy tygodnie wszyscy thakurowie. Dziewczyna musi chodzić nago po wodę przez całą wioskę. Wreszcie jakiś starzec lituje się nad nią. Pomaga Phoolan w ucieczce, a ona poprzysięga zemstę thakurów i zakłada własną bandę dakoi liczącą trzydziestu siedmiu ludzi.

Dzień zemsty przychodzi w połowie lutego 1981 roku. Bandyci Phoolan otaczają wioskę Behmai i przez megafon rozkazują mężczyznom zebrać się na brzegu rzeki Jamuny. Brakuje co prawda dwóch braci, na których Phoolan najbardziej zależało, ale kiedy zbójcy odchodzą, dwudziestu innych thakurów leży martwych na ziemi.

Naoczni świadkowie przysięgają, iż widzieli Phoolan Devi zabijającą tych mężczyzn. Inni tymczasem przysięgają, że jej tam nie było. Z biegiem lat ona sama potwierdzała raz jedną, raz drugą wersję wydarzeń. To właśnie wtedy powstała legenda Phoolan. Młoda niedotykalna, ofiara i kat, która na czele dzikich wąsatych zbójców krąży po trzech stanach Indii (Uttar Pradeś, Madhja Pradeś i Radżastan), obrabowując bogatych i obdarowując biednych, staje się ludową bohaterką. Tysiące policjantów (kilku nawet helikopterem) ruszają

za nią w pościg. Osiemnastu członków bandy zostaje zabitych w starciach, inni ją opuszczają, ale Phoolan Devi z garstką najwierniejszych zawsze wymyka się z zasadzki. Przez jej bezkarne występki premier Uttar Pradeś, Thakur, jest zmuszony podać się do dymisji.

Bohaterskie czyny „pięknej i okrutnej królowej bandytów”, wykreowanej przez dziennikarzy na romantyczną postać, są ogromnym kłopotem dla rządu Indiry Gandhi. Pani premier każe znaleźć jakieś rozwiązanie. Pewnemu policjantowi udaje się wreszcie wy- 466 negocjować warunki, pod jakimi Phoolan Devi złoży broń. Nikt z bandy nie zawisnie na szubienicy i nie dostanie więcej niż osiem lat więzienia, a jej brat zostanie przyjęty do policji. Dla matki „królowa bandytów” chce kawałka ziemi i krowy.

W mieście Gwalior 12 lutego 1983 roku tysiące osób, wśród nich dziennikarze i ekipy telewizyjne z całego świata, czekają na kapitulację bogini zemsty. Są nieco rozczarowani, gdy pojawia się przed nimi w otoczeniu siedmiu zbójców kobieta wychudzona, przestraszona, drżąca, ważąca zaledwie trzydzieści pięć kilogramów i twierząca, co więcej, że nigdy nikogo nie zabiła.

Ale legenda Phoolan Devi dobrze się sprzedaje i mit żyje własnym życiem. W Indiach powstały dwa filmy w języku hindi o mści- cielce, bardzo popularne, a lalka Phoolan Devi w mundurze khaki i z pasem amunicji przewieszonym przez ramię jest ulubioną zabawką subkontynentu. Na Zachodzie biedna zgwałcona indyjska dziewczyna, która zabiła swoich dręczycieli, staje się ikoną ruchu feministycznego. Jej czyny są opisywane jako świadomy bunt wobec społeczeństwa zdominowanego przez mężczyzn i kasty. Jeden z najsławniejszych reżyserów indyjskich kręci dla publiczności międzynarodowej film Królowa bandytów, reklamowany hasłem: „Przemoc seksualna to tortura i śmierć. Spontaniczny seks jest ekstazą”.

Przez typowe dla showbiznesu uproszczenia, banalizujące także historię Phoolan Devi, wszyscy wydają się zapominać, że pierwszymi dręczycielami tej kobiety byli mężczyźni z jej własnej grupy społecznej i że przed Thakurami uratował ją bramin. Za karę powieszono go za stopy i spalono żywcem.

Mija osiem lat. Wszyscy członkowie bandy Phoolan Devi wychodzą na wolność. Ona jednak pozostaje w więzieniu. Dopiero gdy indyjscy niedotykalni, uświadamiając sobie własną siłę polityczną, odchodzą od Partii Kongresowej, Phoolan Devi staje się ich symbolem. Niedotykalni wypowiadają wojnę wyższym kastom. Kto, jeśli nie królowa bandytów, zanieś to przesłanie ludowi?

Gdy tylko Mulayan Singh Yadav, polityk z niskiej kasty, zostaje premierem Uttar Pradeś, los Phoolan Devi ulega odmianie. Po 467

miesiącu od objęcia władzy Mulayan cofa wszystkie zarzuty przeciwko „królowej bandytów” i w sierpniu 1994 roku Phoolan Devi wychodzi na wolność.

Spędziła w więzieniu dwanaście lat i nigdy nie została osądzona. Żaden trybunał nie próbował ustalić prawdy na jej temat... Kim jest Phoolan Devi? Dziennikarze upierają się przy jednej wé- sji jej życia, adwokaci naciskają na inną. Prawdopodobnie ona sama nie wie już, która jest prawdziwa.

W pustym mieszkaniu w Nowym Delhi, gdzie mieszka ze swoim niedawno poślubionym mężem i gdzie ją poznałem wkrótce po wypuszczeniu z więzienia, Phoolan Devi pierwszy raz w życiu cieszy się wolnością. Ale dwaj bracia Thakurowie poprzysięgli, że ją zabiją, więc kobiety strzeże dzień i noc trzech policjantów.

Do drzwi „królowej bandytów” pukają wysłannicy wielu partii, pragnący wykorzystać jej popularność u niedotykalnych, ale ona odrzuca każdą propozycję. To jednak nie może trwać długo. Andhra Pradeś, jeden ze stanów, w którym działała jako bandytka, znów postawił jej zarzut zabójstwa. Petycja została przyjęta przez Sąd Najwyższy. Phoolan Devi, choć nie umie czytać ani pisać, jest biegła w sztuce przetrwania i wie, że jej jedyna szansa to polityka. Aby nie trafić znów do więzienia, musi wejść do parlamentu.

Kiedy Mulayan proponuje jej kandydowanie z ramienia partii socjalistycznej... roweru, Phoolan nie może odmówić.

- W przeszłości służyłam ludowi jako bandytka, teraz chcę mu służyć w parlamencie. Oddajcie swój głos na rower! - powtarza podczas kampanii wyborczej.

W wiosce Patikpura setki dzieci z ciekącymi nosami, zaropiałymi oczami i włosami pozółkłymi z niedożywienia przycupnęły u jej stóp. Placki odchodów suszą się pod murami chat. Dzieci zbierają ekskrementy zwierząt na opał, kiedy tylko nauczą się chodzić. Szczęśliwe są te, które przyjęto do niewolniczej pracy w tkalniach dywanów!

Na poboczach dróg kobiety ukrywają twarze za zasłonami, jakby chciały stać się niewidzialne. Phoolan Devi woła je do siebie.

Jedna rzuca się przed nią na ziemię, pokazuje kikut ręki. Opowiada, szlochając, że thakur odrąbał jej dłoń, bo nie chciała mu oddać swojej ziemi.

Postoje Phoolan Devi są krótkie. Nie witają jej zespoły muzyczne - zbyt dużo kosztują - ale „królowa bandytów” wszędzie dostaje naszyjnik z pomarańczowych kwiatów. Dotyka go i oddaje natychmiast jednemu z otaczających ją dzieci. Phoolan nie ma pieniędzy na kampanię. Jej kwatery główna mieści się na środku bazaru w Mirzapurze: to ciemny kryty korytarz ze śpiącą przed drzwiami czarną krową. Tylko jedną rzecz może ofiarować tysiącom wyciągniętych rąk: ulotki z rysunkiem roweru. Paru wybrańców otrzymuje karteczki samoprzylepne.

Wszyscy mają pewność, że zwycięży.

-To analfabeta i nie powinna wchodzić do polityki. To morderczyni i powinna pozostać w więzieniu. A tymczasem ludzie zagłosują na nią, ponieważ są głupi i ciemni - mówi mi z oburzeniem młody thakur, nauczyciel z wioski Patikpura.

Pod wieczór, kiedy grupa dociera wreszcie do miasteczka Suriyawa, tłum biegnie w tumanach kurzu, wśród przepychanek i wrzasków, na plac, gdzie będzie spotkanie.

-Jeśli Phoolan Devi zostanie zabita, pojawią się setki nowych Phoolan Devi! - krzyczy kandydatka z podium ustawionego przy urzędzie gminy. Prawie jej nie słyszą. Nie ma prądu, megafon podłączony do baterii nie działa, a sylwetka tej drobnej kobiety ginie w masie jej zwolenników. Potem, nieoczekiwanie, drżący blask kilku zapalonych lamp gazowych rzuca na ścianę urzędu wielkie, długie, ruchome cienie. Wyglądają jak liczne ręce gigantycznego bóstwa, które w każdej dłoni dzierży oręż.

Oślupiały tłum milknie.

- Durga, Durga - słyszę szepty w ciemności.*

" Phoolan Devi dostała się do parlamentu. [Niedługo później, w 2001 roku, zginęła z rąk zamachowców - przyp. tłum.]

Pisałem o przybyszach z Zachodu, którzy ztratili się w Indiach, podążając za rzekomymi świętymi i wątpliwymi guru, ale jej postać nie budziła we mnie większego zainteresowania, nim nie spotkałem kilkorga Europejczyków. Ci młodzi ludzie twierdzili, że odmieniła ich życie.

Matka Teresa

Kalkuta, lipiec 1996

Zaledwie wyłączyłem magnetofon i podziękowałem jej za czas, jaki mi poświęciła, ona, wpatrując się we mnie uporczywie swoimi błękitnymi, zaczerwienionymi oczami staruszki, powiedziała:

- Ale po co te wszystkie pytania?

- Ponieważ chcę napisać o Matce.

- Niech pan nie pisze o mnie. Proszę napisać o Nim... - oświadczyła, podnosząc oczy do nieba. Potem umilkła, wzięła moje dłonie w swoje - duże, masywne, już nieco zdeformowane

- i, jakby chciała powierzyć mi wielki sekret, ciągnęła: - A właściwie, niech pan przestanie

pisać i przyjedzie popracować do jednego z naszych ośrodków... Niech pan przyjedzie popracować trochę w domu dla umierających.

To była cała Matka Teresa.

Wkrótce po wywiadzie miała kołatanie serca. Zabrano ją do kliniki Woodlands. Zostałem z tym ostatnim zdaniem, które chyba więcej o niej mówiło niż cały materiał, jaki zdołałem zebrać.

Przez dwa tygodnie nie odstępowałem jej ani na krok. Spędziłem wiele godzin w domu kongregacji na Circular Road, odwiedziłem ośrodek dla trędowatych, dla sierot, dla umierających, dom dla opóźnionych w rozwoju i dla dziewcząt, które nieomal po- 470 stradały zmysły w więzieniu. Pojechałem do Guwahati w stanie Assam, gdzie Matka Teresa otwierała pierwszy w Indiach azyl dla ofiar AIDS, kolejnej kategorii nieszczęśników w tym kraju, gdzie teoretycznie panuje ogromna tolerancja, a w praktyce pacjenci seropozytywni są wypędzani ze szpitali, poddawani ostracyzmowi w wioskach, a gdy umierają, nie kremuje się ich ciał w komunalnych piecach do spalania nieczystości, lecz wyrzuca na śmietnik.

Przybyłem do Kalkuty śladem Matki Teresy, powodowany towarzyszącą mi od dawna ciekawością: ludzkiej wielkości. Czy jeszcze istnieje? I jak się objawia?

Gdy byłem chłopcem, miałem wrażenie, że świat jest pełny „wielkich”: wielkich polityków, wielkich artystów, wielkich nauczycieli. Dzisiaj młody człowiek, rozglądając się, dostrzeże bardzo niewiele postaci dużego formatu, a i one wydają się efemeryczne. Mity'powstają i upadają, i nawet te, które nie wyglądają od początku na fałszywe, Xv końcu giną pod ciosami obrazobur- ców pragnących sprowadzić wszystko i wszystkich do przeciętności. Także Matkę Teresę.

Przez dekady cieszyła się ona podziwem i szacunkiem świata. Ale dwa lata temu cała praca tej osiemdziesięciosześciolet- niej albańskiej zakonnicy, Induski z wyboru, założycielki Misjonarek Miłości, zakonu skupionego na pomaganiu „najbiedniejszym z biednych”, została podana w wątpliwość. Brytyjski program telewizyjny i książka (o prowokacyjnych i wulgarnych tytułach: Anioł piekieł oraz Pozycja na misjonarkę) pokazały tę kobietę, przez wielu uważaną za świętą, jako sprytnego politykiera, który wykorzystał cudze nieszczęścia, aby zdobyć sławę, który użył środków przekazanych przez szczodroblivy świat, aby stworzyć międzynarodowe przedsiębiorstwo zarządzane dyktatorskimi metodami i oddane w ręce „całkowicie podporządkowanych” sióstr. „Matka Teresa jest demagogiem, obskurantką, służką władzy”, napisał angielski dziennikarz Christopher Hitchens, oskarżający ją o utrzymywanie kontaktów z tyranami i złodziejami wszelkiej maści, od Ceauęescu do Duvaliera, od Maxwella do Hodży, tylko po to, by zdobywać względy i pieniądze. Do tych zarzutów dołączyły kolejne: według nich Matka Teresa nie zapewnia odpowiedniej opieki medycznej ludziom w swoich ośrodkach, nie ujawnia księgowości, jak również zmusza konających hindusów i muzułmanów do przyjmowania chrześcijaństwa.

Te ataki nie dotknęły zbytnio Matki Teresy („Panie, wybac im, bowiem nie wiedzą, co czynią. Będę się za nich modlić”, powiedziała o jednym ze swoich krytyków), ale wielu ludzi w śroccp- wiskach zbliżonych do Misjonarek Miłości przeżyło prawdziwy szok. Podejrzenie, że coś jest nie tak w kongregacji, pozostało w ludzkich głowach.

Chciałem wyrobić sobie własne zdanie o jej pracy, a wiedząc, że aby zrozumieć Matkę Teresę, trzeba zrozumieć Kaligat, postanowiłem zacząć w tym właśnie miejscu. Już na progu niejeden mógłby się zatrzymać z niesmakiem: DOM DLA UMIERAJĄCYCH BEZDOMNYCH, głosi spłowiata wywieszka na drzwiach. Jeszcze krok i czytamy: NAJWYŻSZYM CELEM ŻYCIA JEST ŚMIERĆ W POGODZENIU Z BOGIEM. Nie zgadzając się z tą wizją ludzkiej egzystencji, przybysz mógłby natychmiast zawrócić, ale tymczasem wzrok pada już na polowe łóżko, na którym leży kupka kości i skóry. To starzec

w niedającym się określić wieku, z pałającymi, wybałuszonymi oczami. Walczy, by zaczerpnąć ostatnie hausty powietrza. Zakonnica siedzi przy nim i głaszcze go po dłoni.

- Znaleźli go wczoraj na stosie śmieci. Wkrótce będzie w raju.

Może coś jest w tym zdaniu o najwyższym celu ludzkiego życia. Kaligat, na południowym przedmieściu Kalkuty, to osobne miasto, rozpaczliwe i tragiczne, które niekiedy wydaje się umieszczone przez Boga na ziemi tylko po to, aby udowodnić, że On nie istnieje (albo że powinien istnieć?). Idę tu na piechotę, mijając dwa miejskie krematoria, gdzie setki trupów codziennie zmieniają się w dym. Przystaję przed wieloma świątyniami i świątynkami, burdelami i sklepami, sprzedawcami owoców i amuletów. Ta droga jest doskonałym ćwiczeniem duchowym pozwalającym uwolnić się od przesądów, zostawić za sobą „rozum”, na którym

my, ludzie Zachodu, tak bardzo polegamy, mając nadzieję, że wytłumaczy nam wszystko.

Ulice są oblegane przez ludzi, psy, samochody, krowy, riksze i wózki. Na chodnikach istoty ludzkie i zwierzęce jedzą, śpią i wydalają jedne obok drugich. Inne leżą w ściekach.

Wszystko, co się widzi, wśród niemilkącego, ogłuszającego hałasu klaksonów i krzyków, wśród fetoru zanieczyszczonego powietrza, narusza każdą zdobytą pewność. Żadna logika już nie poskłada kawałków tej odrażającej, dramatycznej, fascynującej układanki, także tutaj nazywanej życiem. Na dziedzińcu świątyni Kali, jednej z popularniejszych w Indiach bogiń, wielobarwny tłum wśród wrzasków i modlitw asystuje przy złożeniu ofiary z kilku czarnych koźlątek wyobrażających diabła. Rzuci się na dopiero co pozbawione głów ciała, aby zanurzyć we krwi palec wskazujący prawej dłoni. Za ogrodzeniem świątyni żebracy - kobiety, starcy, dzieci - czekają, kucając na ziemi. Każdy przed swoją pustą miską.

To tutaj w 1952 roku Matka Teresa, opuściwszy zakon loretańek, z którym przybyła do Indii już w 1928 roku, zaczęła pielęgnować nieszczęśników opuszczonych przez wszystkich i pozostawionych na pewną śmierć na ulicy. Noclegownia dla pielgrzymów przy świątyni Kali była pusta i nieużywana, a więc zakonnica poprosiła o zgodę na umieszczenie tam swoich umierających. Władze Kalkuty, dając dowód wielkiej tolerancji, nie sprzeciwiły się. I tak, w jednym z najświętszych miejsc hindusów, powstała katolicka misja oraz pierwszy „dom dla umierających”. Dzisiaj podobnych domów są dziesiątki na całym świecie, ale do tego Matka Teresa ma największy sentyment.

- Kiedyś zabrałam z ulicy człowieka pokrytego robakami - powiedziała. - Zajęło mi całe godziny umycie go i wyjęcie, jednego po drugim, wszystkich robaków z jego ciała. Na koniec wyznał: „Żyłem jak zwierzę na ulicach, ale umieram jak anioł”, a konając, posłał mi przepiękny uśmiech. To wszystko. To jest nasza praca: miłość w działaniu. Po prostu. 473 Tak, to proste. Proste niczym sama Matka Teresa. Pod pewnym względem jest podobna do Dalajlamy: jej wielkość przejawia się w prostocie. Tak jak Dalajlama, Matka Teresa nie jest intelektualistką, mówi rzeczy elementarne, opowiada zawsze te same historie, ale, jak przypowieści, mają one w sobie prawdę i pozostają w pamięci, przemawiają do wyobraźni. Cała jej praca opiera się na jednej idei: „służyć najbiedniejszym z biednych”. Zbudowała na tym wszystko, nigdy nie miała wątpliwości, nigdy się nie wahała.

-Jak można mieć wątpliwości? Dzieło jest Jego - mówi, zawsze zwracając się do nieba, które najwyraźniej jest jej prawdziwym rozmówcą.

W czasach liberalizmu i wyzwolenia seksualnego mówi o sensie miłości, o wartości dziewictwa. W świecie, w którym zdobywanie dóbr materialnych wydaje się jedyną wielką obsesją ludzkości, a bogactwo - najważniejszym kryterium sukcesu i moralności, ona nalega na „świętość ubogich” i chce, aby jej siostry żyły niczym oni. Trzy sari, jeden krzyżyk, jeden różaniec i jedna torba.

Tylko tyle może posiadać misjonarka miłości.

Matka Teresa nie została by zauważona, podobnie jak inne osoby anonimowo wykonujących podobną pracę, gdyby nie pewna gazeta z Kalkuty, która opublikowała historię dziwnej Europejki przybyłej na subkontynent, aby służyć Indusom. W 1969 roku BBC zleciła nakręcenie o niej dokumentu. Dziennikarz, który przyjechał go zrealizować, Malcolm Muggeridge, stary, sławny i cyniczny ateista, wzruszył się na widok Kaligat. Dokument *Something Beautiful for God* odniósł wielki sukces i uczynił z Matki Teresy gwiazdę. W książce pod tym samym tytułem Muggeridge - nawrócony na katolicyzm - napisał o Matce Teresie jako o świętej i zrelacjonował to, co uznał za „cud”. Otóż pewnego ranka podczas filmowania w domu dla umierających nie było dość światła. Kamerzysta BBC powiedział, że nie ma sensu kręcić, Muggeridge jednak nalegał, a kiedy film został wywołany, cały krytyk korytarz Kaligat, z rzędami błękitnych łóżek polowych, wyglądał jak osnu-

474 ty niebiańską poświatą.

Sława Matki Teresy rosła z biegiem lat. Przyjmowana przez prezydentów i prezydentów, odwiedzana przez wszystkie osobistości przejeżdżające przez Indie, zakonnica zaczęła być postrzegana jako wzór wszelkich cnót, o jakich zapomniała ludzkość. W 1979 roku otrzymała pokojową Nagrodę Nobla.

Podobnie jak Mahatma Gandhi, z którym zwłaszcza Indusi często ją porównują, Matka Teresa zna dobrze siłę symboli. Podobnie jak Mahatma, który stawiał się w Londynie na historyczne negocjacje z rządem brytyjskim obuty w sandały, owinięty w swój bawełniany lachman (co skłoniło Churchilla do nazwania go „półnagim fakirem”), Matka Teresa przybyła na uroczystość wręczenia Nagrody Nobla w Sztokholmie w starym, dziurawym wełnianym golfie założonym na sari. Zamiast wziąć udział w oficjalnym bankiecie, poprosiła, aby pieniądze, które zostałyby na ten cel wydane, przekazano jej na przygotowanie Bożego Narodzenia dla dwóch tysięcy biedaków. Ta prostoduszna prośba zjednała jej ludzi. Znów popłynęły hojne datki. Prasa zakochała się w starej, ekscentrycznej zakonnicy i zaczęła ją opisywać jako „najsławniejszą”, „najbardziej wpływową kobietę świata”.

W 1994 roku nastąpiła operacja „demityzacji”, poprowadzona przez Tarika Alego, byłego ultralewicowego lidera studenckiego o pochodzeniu pakistańskim, i Christophera Hitchensa, pisarza, który wslawił się jadowitą książką wymierzoną w monarchię brytyjską. Bez próby zrozumienia nędzy Indii czy wiary Matki Teresy dzieło Misjonarek Miłości jest niszczone w imię rozumu, „skuteczności” oraz moralności rozróżniającej dobrych i złych darczyńców. Co do „cudu”, to kłamstwo, pisze Hitchens, który po dwudziestu pięciu latach odnalazł operatora z BBC i wysłuchał jego wersji zdarzeń. W rzeczywistości „cud światła” był związany z nowym rodzajem filmu wprowadzonego na rynek przez Kodaka!

A jednak wystarczy przyjechać do Kaligat. Tutaj „cud” jest na oczach wszystkich. Każdego ranka o siódmej około dwudziestu wolontariuszy stawia się w „domu dla umierających”, aby pomagać zakonnicom. W większości to osoby z Zachodu, często A studenci, którzy zamiast opalać się na plażach Goa, wolą w wakacje popracować. Za pierwszym razem, gdy tu przyjechałem, chcąc także przeżyć to doświadczenie, spróbowałem zrozumieć, spotkałem urzędnika bankowego z Niemiec, kobietę ze świata mody z Nowego Jorku, kilka młodych Hiszpanek i parę Włochów w podróży poślubnej. Myli podłogi, kapali chorych, zdejmowali, w ohydny fetorze odchodów, brudne prześcieradła, prali ręce- nie koce i niebieskie materace z łóżek polowych.

- To najpiękniejsze miejsce w Indiach - powiedział Niemiec Andi.

I czy nie jest „cudem”, że ta kobieta, która zaczęła swoje dzieło z pięcioma rupiami w kieszeni, zbudowała imperium z prawie sześciuset domami w stu dwudziestu dwóch krajach świata, że zwerbowała armię ponad czterech tysięcy zakonnicy i zakonników i że zarządza tym „międzynarodowym przedsiębiorstwem” bez komputera, z małego biura na pierwszym piętrze domu zakonnego, gdzie, zgodnie z regułą ubóstwa kongregacji, nie ma radia, telewizora, klimatyzacji, wentylatora, tylko dwie stare maszyny do pisania?

- Czy to wyzwanie rzucone współczesnemu światu, Matko? Tak jak decyzja, by większy nacisk kłaść na miłość niż na lekarstwa? Na modlitwy, nie na środki przeciwbólowe? - zapytałem ją.

- Tak, nie jesteśmy pielęgniarkami, nie jesteśmy opiekunkami społecznymi, jesteśmy zakonnicami. A nasze ośrodki nie są szpitalami, w których są leczeni pacjenci. To domy, w których niechciani ludzie są kochani, czują, że gdzieś przynależą.

- Kiedyś powiedziała Matka, że gdyby znów trzeba było wybierać między Kościołem a Galileuszem, stanęłaby Matka po stronie Kościoła. Ale czy to nie odrzucenie nowoczesności, odrzucenie nauki, która dziś jest wielką wiarą Zachodu?

- A więc dlaczego Zachód pozwala umierać ludziom na ulicy? Dlaczego? Dlaczego to my musimy w Waszyngtonie, w Nowym Jorku, w tych wszystkich wielkich miastach, otwierać stołówki dla biednych? Dajemy jedzenie, ubrania, schronienie, ale przede wszystkim 476 dajemy miłość, ponieważ uczucie, że jest się odrzuconym przez wszystkich, niekochanym, jeszcze bardziej boli niż głód i chłód. To jest dzisiaj wielka choroba świata. Także zachodniego.

Rozmawiamy o aborcji. Matka Teresa określiła ją jako „największe zagrożenie dla pokoju w dzisiejszym świecie”.

- Jest złem, złem. Aborcja jest złem - przerywa mi. - Jeśli matka potrafi zabić własne dziecko, co nam przeszkodzi podrzynać sobie gardła? Nic!

- Ale czy w kraju takim jak Indie przeludnienie nie jest jedną z przyczyn nędzy i cierpienia, które Matka próbuje uśmierzać? - nalegam.

Matka Teresa nie przyjmuje „rozsądnych” argumentów. Mówi, że życie jest święte, że nie do nas należy decydowanie i że poślubiona para może używać, jeśli nie chce dzieci, „naturalnych” metod planowania rodziny.

Co do nędzy, Matka Teresa ma własne wyjaśnienie, być może bardziej przekonujące niż opinie wielu ekonomistów:

- Bóg stworzył nas, a my stworzyliśmy nędzę. Problem rozwiąże się dopiero wtedy, gdy zrezygnujemy z naszej zachłanności.

Myślę o Gandhim. On także nie wierzył, że problemy ludzkości zakończy rewolucja społeczna, polityczna czy naukowa. Jedynie rewolucja duchowa. Szkoda, że ta ostatnia - nawet w Indiach - nigdy nie wybuchła. I czy przesłanie Matki Teresy, tak jak Gandhiego, zostanie zapomniane po jej odejściu?

- Przyszłość to nie moja sprawa - odpowiada.

- Nawet przyszłość zakonu?

- Tak. On o wszystko zadba. On wybrał mnie i w ten sam sposób wybierze kogoś, kto będzie kontynuował pracę.

Przypominam jej sen, o którym mi opowiadała. Matka Teresa staje przed świętym Piotrem, a ten mówi w progę: „Idź stąd, to nie miejsce dla ciebie. W Raju nie ma nędzarzy ani ludzi mieszkających w barakach”. „Zatem wypełnię raj tymi ludźmi, a potem ja też będę miała prawo tu zostać”, odpowiada Matka Teresa.

- Sądzi Matka, że jest ich już dość wielu? Czuje Matka, że to niedługo? - spytałem.

- Czekam, aż mnie wezwie.

- Nie boi się Matka śmierci?

- Nie. Czemu miałabym się bać? Widziałam bardzo wielu umierających i nikt wokół mnie nie umarł źle.

Zrobiło się późno. Dzwon wybił dwa razy, wzywając do kaplicy na pierwszym piętrze siostry i wolontariuszy na wieczorną modlitwę. Chce już iść, zająć swoje miejsce na klęczniku z kawałka jutowego worka.

Gdy patrzyłem na Matkę Teresę po raz ostatni, otoczoną jej ludźmi, poczułem, że wielu „rozsądnych” niepotrzebnie lęka się o przyszłość Misjonarek Miłości. Jeśli praca, jaką ona i jej siostry wykonują, nie jest „ich”, lecz „Jego”, na pewno znajdą się następcy.

Ponieważ tutaj najbardziej liczy się wiara.

Redakcje gazet, szczególnie dzienników, trzymają w szufladach krótkie biografie ważnych osobistości, które można by opublikować z okazji ich śmierci. Zawsze mnie bawiło, że artykuły te są w żargonie nazywane „krokodylami”. „Krokodyla” o Deng Xiaopingu napisałem na kilka lat przed jego śmiercią, która nastąpiła 19 lutego 1997 roku.
śmierć cesarza Deng Xiaopinga

-Widzi pan tego człowieczka, o tam, tego malutkiego? Niech pan go zapamięta. On ma przed sobą wielką przyszłość.

Był rok 1957. Mao, siedzący obok Chruszczowa, wskazywał Deng Xiaopinga, który niedawno został sekretarzem generalnym Komunistycznej Partii Chin.

Co do „człowieczka” Mao nigdy się nie pomylił. W 1966 roku, w środku rewolucji kulturalnej, zdał sobie sprawę, że Deng przeszedł do obozu jego przeciwników. Oskarżył go o chęć zdradzenia rewolucji i wejścia na „kapitalistyczną drogę”. Miał rację. Deng został pozbawiony wszystkich swoich stanowisk, usunięty z partii i zapędzony, razem z milionami innych Chińczyków, do pracy w polu.

W 1973 roku Mao, dotknięty chorobą Parkinsona, kazał Deng Xiaopingowi wrócić do Pekinu. Także tym razem nie popełnił błędu: Deng był jedynym członkiem kadr, który przeżył prześladowania Czerwonej Gwardii, posiadał prestiż wojskowy oraz doświadczenie administracyjne. Tylko on mógł pomóc choremu na raka premierowi Zhou Enlaiowi odzyskać kontrolę nad krajem ogarniętym anarchią i zagrożonym katastrofą gospodarczą. Deng Xiaoping miał siedemdziesiąt lat i imponującą przeszłość rewo- 479
lucjonisty, konspiratora, stratega i organizatora politycznego, ale jego „wielka przyszłość” dopiero się rozpoczynała.

Śmierć Mao w 1967 roku uczyniła nieuniknionym dojście „człowieczka” do władzy. Deng dostał wolną rękę i zrobił dokładnie to, czego Wielki Sternik tak bardzo się obawiał i czego próbował za wszelką cenę uniknąć: zmienił kolor Chin, wprowadzając kraj na „kapitalistyczną drogę”. *

Wielkość Denga na tym właśnie polegała: na tym, że umiał przeżyć Mao, na tym, że przekonał się, iż wybory poprzednika były chybione, i na tym, że miał odwagę zniszczyć to wszystko, co Mao - a w części również on sam - zbudował.

Historia tego człowieka, który po poświęceniu całego życia sprawie komunistycznej w ostatnich latach zniszczył komunizm w Chinach, najludniejszym kraju świata, należy do najbardziej niezwykłych w XX wieku.

Urodzony w 1904 roku w rodzinie drobnych posiadaczy ziemskich z Syczuanu (ojciec miał dziesięć hektarów pola ryżowego), Deng we wczesnej młodości należy do jednej z wielu grup anarchistyczno-patriotyczno-rewolucyjnych powstałych na początku stulecia. Jako szesnastolatek płynie do Francji i w Paryżu, gdzie studiuje i pracuje przez pięć lat, między innymi dla Renaulta, oraz zostaje komunistą. Kiedy w 1926 roku wraca do Chin, nieprzypadkowo przejeżdżając przez Moskwę, jest już pełnoetatowym komunistą. Uczestniczy w wojnie domowej. Od tamtej pory jego życie jest związane z partią i Armią Czerwoną. Wkrótce Deng staje się jednym z najbardziej wpływowych komisarzy politycznych. Przetrwawszy Długi Marsz, walczy w wojnie przeciwko Japonii, a po 1945 roku przeciwko nacjonalistom Czang Kaj-szeka. Gdy w 1949 roku w dolinie rzeki Hua Hai ponad dwa miliony żołnierzy toczą jedną z największych bitew ludzkości, jedną z tych, które

zmieniają losy narodu, Deng Xiaoping stoi na czele komunistów. Swoim zwycięstwem otwiera Mao drogę do władzy w Pekinie.

Wraz z utworzeniem Republiki Ludowej marzenie całych po- 480 koleń Chińczyków wydaje się urzeczywistniać. Chiny, upokorzone i podzielone przez klęski, jakie zadały im zachodnie mocarstwa w XIX wieku, a próba kolonizacji japońskiej w XX wieku, odzyskują jedność i wracają na scenę światową jako mocarstwo. Ocalenie kraju przed upadkiem było częścią wielkiego planu komunistów i tryumfujący Mao obwieszcza z balkonu na placu Tiananmen:

- Chiny się podźwignęły.

Kraj jednak pozostaje biedny, anachroniczny, a wielkim problemem jest skierowanie go na tory nowoczesności i rozwoju. Było to główne zagadnienie, z jakim borykały się państwa azjatyckie, od kiedy potęgi zachodnie przybyły z kanonierkami, aby narzucić swój dyktat i otworzyć miejscowe rynki. Japonia, na przykład, zareagowała już pod koniec XIX wieku, bezkrytycznie naśladowując Zachód i kopiując każdy przejaw jego nowoczesności, od mundurków uczniowskich do koncepcji państwa, od organizacji przemysłu do architektury dworców. Odniosła ogromny sukces.

Chiny na ten krok się nie zdecydowały. Klasa kierownicza kraju była tak przekonana o wyższości chińskiej kultury i o względnym znaczeniu postępu materialnego i technicznego „barbarzyńców” u bram, że naśladowania Zachodu nigdy nie postrzegano jako remedium na zacofanie. Mao, mimo swojej marksistowskiej edukacji, również wywodził się z tej tradycji: był przeświadczony o wyjątkowości Chin i chciał ją zachować. Oto istota ogromnego konfliktu, w którym pograżył się kraj w latach sześćdziesiątych; konfliktu, który kosztował życie milionów i obsadził Denga w jego historycznej roli anty-Mao.

Mao był nadzwyczajną postacią, wielką w każdym sensie: wielkim politykiem, wielkim poetą, wielkim strategiem i wielkim mordercą, ale także wielkim intelektualistą. Mao zrozumiał, że Chiny nie tylko muszą się rozwijać, stać się krajem bogatym i silnym; muszą również utrzymać własną tożsamość, nie mogą kopiować innych krajów: Związku Radzieckiego uważającego się za wzór dla państw socjalistycznych, a tym bardziej Zachodu. Chiny były cywilizacją boleśnie ugodzoną w starciu ze współczesnością 481 przybyłą z Europy; zmuszenie ich do naśladowania zachodniej drogi rozwoju oznaczałoby zaszczepienie im kolejnego kompleksu winy i skazanie na definitywną rezygnację z „chińskości”.

Chiny zdaniem Mao były w stanie wymyślić sobie własną „nowoczesność”, nowoczesność przystosowaną do chińskich warunków, tak jak on przystosowywał z wolna importowany z Zach^u marksizm-leninizm, wzbogacając go o swoją doktrynę.

W pierwszych latach po utworzeniu Republiki Ludowej wewnątrz partii panował względny spokój i Deng szedł po linii Mao. Na przykład w 1957 roku, gdy Mao przygotował wielką pułapkę Stu Kwiatów, aby zniszczyć opozycję intelektualistów, zachęcając ich: „Mówcie śmiało, powiedzcie, co myślicie, pozwólcie, aby sto kwiatów rozwinęło się i spotkało się sto różnych szkół myśli”, Deng wiernie wypełnił rozkaz zorganizowania pierwszej masowej czystki. Miliony ludzi wtrącono do obozów pracy, kilkaset tysięcy zginęło. Tak samo jak w czasach protestów na Tiananmen, Deng nie miał oporów ani rozterek. Partia była zagrożona i należało jej bronić.

Natomiast Mao nigdy nie bronił partii, lecz własnej koncepcji Chin. Dlatego, kiedy partia zaczęła go krytykować, poszczuł przeciwko niej masy, rozpoczynając polowanie na wszystkich, którzy jego wizji Chin samowystarczalnych i nieustająco rewolucyjnych (ponieważ „bycie komunistą jest istotniejsze niż bycie specjalistą”) przeciwstawiali Chiny postępu, Chiny, w których „nie ma żadnego znaczenia, czy kot jest czarny czy bury, jeśli tylko łapie myszy”, jak oświadczył Deng Xiaoping w jednym ze swoich słynnych później haseł.

Mao dobrze rozumiał bolączki Chin. Tyle że lekarstwo, jakie proponował, samo w sobie było zabójcze. Największy eksperyment inżynierii społecznej nigdy dotąd nieprzeprowadzony na ludzkości (stworzenie komun ludowych bez własności prywatnej), największa w historii masowa psychoterapia (Wielki Skok uczyniony, aby przekonać wieśniaków, że mogą wytapiać żela- 482 zo) i rewolucja kulturalna (mająca zapobiec naturalnemu skostnieniu rewolucji oraz stworzyć nowe pokolenie rewolucjonistów) spowodowały klęskę głodu i śmierć dziesiątków milionów ludzi. Cena za zawrócenie Chin z drogi postępu i zmuszenie ich do szukania własnego, całkowicie odmiennego stylu życia, produkowania i myślenia stała się zbyt wysoka. Mao ledwie zdążył umrzeć spokojnie we własnym łóżku, jeszcze względnie szanowany.

-Po mojej śmierci elementy prawicowe przejmą władzę i ogromnym zagrożeniem dla kraju będzie faszyzm - powtarzał w ostatnich latach. Także i tu miał słuszość.

Powróciwszy na szczyt władzy, po śmierci Mao i aresztowaniu bandy czworga, Deng Xiaoping zliberalizował gospodarkę kraju, likwidując komuny, rozdzielając ziemię wśród chłopów i prywatyzując przemysł. Jednocześnie, aby „przez otwarte okno nie dostały się razem ze świeżym powietrzem także muchy”, wzmocnił aparat policyjny i regularnie, z przerażającą bezwzględnością, tłumił wszelkie przejawy wolności myśli. To Deng Xiaoping w 1979 roku kazał aresztować i skazać na piętnaście lat więzienia młodego elektryka, Wei Jinshenga, który odważył się w swoim manifestie zażądać, aby obok Czterech Modernizacji (rolnictwa, przemysłu, nauki i obronności) pojawiła się i piąta: demokracji. To Deng Xiaoping o świcie 4 czerwca 1989 roku nakazał czołgom strzelać do tłumu i dławić spontaniczny ruch młodzieży, robotników i zwykłych ludzi, którzy przez tygodnie okupowali plac Tiananmen. To Deng Xiaoping usunął swoich potencjalnych następców politycznych, których sam wyznaczył: Hu Yaobanga i Zhao Ziyanga. Jego zdaniem stali się zbyt liberalni.

Mimo ogromnej popularności - w Chinach, ponieważ powiedział ludziom: „Bogaćcie się. To rzecz chwalebna!”, a za granicą, ponieważ otworzył kraj na obce inwestycje - Deng pozostał do końca swoich dni autokratą o mentalności totalitarnej, człowiekiem z pragmatyczną, bynajmniej nie idealistyczną, wizją Chin.

Błędem, jaki często popełnia się na Zachodzie, jest wiara, że Deng, zdawszy sobie sprawę z porażki komunizmu, wprowadził kraj na tory kapitalizmu i demokracji. To naiwne złudzenie. Deng 483

zaakceptował model nowoczesności w stylu zachodnim i kapitalistyczne mechanizmy gospodarki rynkowej, aby przyspieszyć rozwój kraju, a jednocześnie wzmocnić swoją pozycję na scenie międzynarodowej.

Mao nigdy nie przywiązywał żadnej wagi - poza retoryczną - do odzyskania przez Chiny terytoriów odstąpionych mocarstwem kolonialnym czy odłączonych w wyniku wojny domowej. Tymczasem dla Denga był to jeden z priorytetów: w 1997 roku Wielka Brytania zwróci Hongkong „w objęcia Macierzy”, w 1999 roku Portugalia wycofa się z Makau. Za rządów Denga po raz pierwszy od 1949 roku komuniści i nacjonaliści zaczęli dyskusję o Tajwanie. I to także są jego zasługi - podobnie jak „cudowny” wzrost gospodarczy, choć osiągnięty kosztem ogromnych nierówności społecznych.

Bez wątpienia Deng był wielki: w najbliższym czasie nie będzie podobnej do niego postaci. Umarł bowiem prawdziwy ostatni cesarz Chin, a na nim wygasa to, co może było jedną z najkrótszych dynastii Państwa Środka: dynastia komunistyczna.

Budował ją całe życie, a w końcu sam, cios za ciosem, zniszczył swoje dzieło. Miał nadzieję, że w ten sposób uratuje Chiny. Czy mu się udało, odpowie historia.

To absurdalne, ale prasa zajmuje się pewnymi postaciami albo krajami tylko z okazji rocznic. W roku 1997 Indie obchodziły pięćdziesiątą rocznicę odzyskania niepodległości. Zamiast dokonać bilansu, wolałem wyjaśnić, co dla mnie oznacza...

życie w Indiach

Nowe Delhi, maj 1997

- Dlaczego mieszkasz w Indiach? - słyszę za każdym razem, gdy wracam na Zachód. W ciągu trzech lat mogłem znaleźć jakąś satysfakcjonującą odpowiedź. A jednak za każdym razem mam z nią kłopot.

Potrafię bez trudu wytłumaczyć, że pojechałem do Wietnamu, ponieważ chciałem zrozumieć wojnę i rewolucję, do Chin, ponieważ ciekawił mnie socjalizm, do Japonii, ponieważ szukałem nowoczesności, do Tajlandii, ponieważ chciałem odpocząć od całego tego dwudziestoletniego szukania.

- No to jak się żyje w Indiach? - naciskają ludzie.

- Źle, ale człowiek uczy się umierać, a to umiejętność, która kiedyś się przyda - powiedziałem ostatnio podczas kolacji.

Pewna pani spojrzała na mnie zatroskana.

-Jest pan chory?

-Jak wszyscy: na śmiertelność.

To także była odpowiedź, ale oczywiście prowokacyjna, bo choć jest prawdą, że Indie przypominają ci nieustannie o twojej śmiertelności, to prawdą jest też coś przeciwnego. Tak, chwytają za gardło, ściskają żołądek, mieszają w głowie i grają na nosie - nigdy nie dają ci spokoju - ale właśnie wraz z tysiącem niewzruszonych, agresywnych, odrażających sprzeczności ofiarowują - dziwna rzecz - także spokój.

Byliśmy w Indiach od kilku dni. Na ulicy ujrzeliśmy idącego z naprzeciwka mężczyznę w okolicach pięćdziesiątki, z siwymi włosami, dobrze ubranego, w szarych spodniach, obszernej koszuli i z naszyjnikiem z jaskrawopomarańczowych kwiatów. Kroczył prosto, z wysoko podniesioną głową, z nieprawdopodobnym, pogodnym uśmiechem.

- On wie coś, czego my nie wiemy - powiedziała Angela, moja żona.

Oto dobry powód, aby tu żyć: aby zrozumieć to, co wiedział tamten mężczyzna.

- Indie są ostatnim bastionem opierającym się globalizacji, jedyną kulturą powstrzymującą obłądne parcie naprzód materializmu - mówię czasami. Wiem, że ryzykuję, iż zostanę źle zrozumiany („Ach, a więc jesteś przeciwko postępowi, chcesz, aby Indusi pozostali biedni!"), ale mówię to, bo wierzę, że mam rację. Jeśli Indie, „guru narodów", jak je postrzegał wielki mędrzec indyjski na początku XX wieku, ocala swoją tożsamość, my też na tym skorzystamy.

W dniu, w którym przybyliśmy do Delhi, miasto było wytape- towane wielkimi plakatami: JESTEM Z POWROTEM. To powracała Coca-Cola, wyrzucona stąd siedemnaście lat temu. Zachodnie gazety rozpyływały się w pochwałach dla nowej polityki „liberalizacji gospodarczej" i ja również zostałem poproszony o artykuł o otwierających się Indiach i tym, że staną się one jedną z potęg ekonomicznych XXI wieku. Ja tymczasem opisałem Jak tygodniami zakładano mi telefon. Kiedy go już dostałem, nie było sygnału. A kiedy sygnał się pojawił, zauważyłem, że nie mogę zadzwonić za granicę. Musiałem wszystko zacząć od początku.

- Gdyby pan mieszkał w Stanach Zjednoczonych, potrzebowałby pan dolarów, ale pan przyjechał do Indii. Tutaj potrzebuje pan czasu - powiedział mój przemyły sąsiad.

Owszem. Potrzebowałem czasu, aby zrozumieć, że to zdanie o czasie było bardzo ważną, na wskroś indyjską lekcją. Teraz sta- 486 ram się nie zdręzczać, gdy - wcale nie tak rzadko - w łazience nie

ma wody, w kuchni gazu, a w mieszkaniu nagle zapada ciemność. Mój sąsiad uśmiecha się i podobnie jak on uśmiechają się setki milionów Indusów. Uśmiechają się nawet kalecy i i kulawi, którzy, ścigając się na swoich rozklekotanych wózkach, przejeżdżają o świcie gęsiego

pod moimi oknami, aby dotrzeć do świątyni Śiwy, gdzie dostają jedzenie, a w dni świąteczne także alkohol.

Myśl, że Indie, odwieczny cel pielgrzymów ducha, nagle miałyby być wyłącznie „rynkiem do rozwijania”, wydawała mi się niedorzeczna, świętokradcza. Plan upodobnienia tego niezwykłego, ogromnego kraju o tysiącu twarzy do innych małych cudów gospodarczych Azji Południowo-Wschodniej i samych Chin - wielkich, ale zbanalizowanych i kulturowo nadwątlonych przez komunizm - nie mógł się powieść. Przekonują się o tym - na własnej skórze - także wielkie międzynarodowe przedsiębiorstwa, które po osłabnięciu początkowego entuzjazmu tną teraz inwestycje i wycofują część ludzi.

Prorocy konsumpcjonizmu nie są pierwszymi najeźdźcami, z jakimi Indie musiały się uporać, pozostając jednocześnie sobą. Od każdego coś wzięły i typowo po indyjsku wykorzystywały. Z Azji Środkowej przybyli muzułmanie i zbudowali imperium, którego ruiny należą dziś do największych zabytków tej krainy. Ich potomkowie stanowią najliczniejszą społeczność islamską na świecie. Potem zjawili się Brytyjczycy. Oni także nie odmienili Indii, lecz pozostawili im kontrowersyjne dziedzictwo: wspólny język i system demokratyczny, który przy wszystkich swoich wypaczeniach (w wolnych wyborach zwycięża coraz więcej kryminalistów i skorumpowanych polityków) stanowi przedmiot narodowej dumy. OTO NAJWIĘKSZA DEMOKRACJA ŚWIATA, czytamy na granicach kraju.

Brytyjczycy odeszli w 1947 roku. Każdego roku Indusi świętują przez trzy dni swoją niepodległość. Robią to hucznie. Żołnierze maszerują w mundurach zaprojektowanych przez Anglików, przy angielskich rytmach wybijanych przez orkiestry, które wśród instrumentów mają jeszcze dudy. 487

- Kontynuowanie tradycji kolonizatorów to oznaka siły czy słabości? - zapytałem szefa gabinetu ówczesnego rządu po pierwszej obejrzanej paradzie.

- Brytyjczycy są częścią naszej historii - odpowiedział.

Także to było lekcją: za epizodami najokrutniejszej przemocy fizycznej, za tysiącletnią przemocą społeczną kast, za aranżowanymi małżeństwami, za niewolnictwem kobiet, za powsz- dnim ubóstwem kryje się tolerancja, która nigdy nie przestaje zdumiewać: tolerancja dla faktów, dla rzeczywistości. Może dlatego Indie nigdy nie miały prawdziwej rewolucji, co najwyżej tę bezkrwawą, zapoczątkowaną przez księcia Siddhartę i jego wyznawców: buddyzm.

Dziś starodawna cywilizacja, której ludzkość tyle zawdzięcza (do „wynalazków” Indii należą: Bóg i zero), kończy... pięćdziesiąt lat. Indusi o tych urodzinach wcale nie myśleli i są niemalże zdumieni, że świat przybywa, aby poprzyglądać się ich sprawom. Statystyki, które nigdy nikomu nie oddają sprawiedliwości - a na pewno nie Indiom - mówią, że kraj nie zdołał utrzymać pod kontrolą przyrostu naturalnego, że duży procent ludzi żyje nadal poniżej poziomu przetrwania, że większość nie ma dostępu do wody nadającej się do picia, że gruźlica wciąż jest chorobą śmiertelną. I tak dalej, i tak dalej. I to prawda. System polityczny zbudowany w 1947 roku jest zdegenerowany, administracja publiczna coraz bardziej niewydajna i skorumpowana, a marzenie Gandhiego o nowoczesnych Indiach opartych na zasadzie: proste życie i wielkie myślenie - Indiach, które miały być wzorem dla świata - upadło.

A jednak subkontynent, coraz bardziej zanieczyszczony, podzielony na bogatych i biednych, na miasta i wsie, na fundamentalistów hinduskich i muzułmańskich, żyje. Złota młodzież z Bombaju tańczy w dyskotekach, ale na brzegach Gangesu w Benaresie i Hardwarze setki tysięcy normalnych Indusów zanurzają się w cuchnących i świętych wodach, tysiące sadhu, któ- 488 rzy zrezygnowali z wszelkich dóbr materialnych, krążą po kraju, żyjąc z jałmużny. Społeczeństwo otacza ich szacunkiem, bowiem są przykładem tego, co powinien zrobić każdy, ale nie potrafi.

- Baba, czy spotkałeś jeszcze swoją żonę? - zapytałem w Kalkucie jednego ze „świętych”, który w wieku sześćdziesięciu lat, po wypełnieniu obowiązków obywatela, męża i ojca, opuścił dom, aby wyruszyć w drogę i chwalić swojego Pana, a robił to już od dwudziestu ośmiu lat.

- Nie. Zajrzałem raz, ale była na targu i nie czekałem. Trzeba potrafić uwolnić się także od przywiązania - odpowiedział.

„Jeśli Bóg umarł na Zachodzie, to w Indiach ma nadal tysiąc adresów”, myślę za każdym razem, gdy tutaj wracam. Nie ma w Indiach miejsca, w którym człowiek by nie wpadał na wyznawców jakiejś religii, czcicieli jednej z wielu postaci tego samego bóstwa, na tłumy pielgrzymów zmierzających do sanktuariów pieszo lub na rowerze, autobusem albo w lektyce.

Wystarczy wsiąść wieczorem do pociągu w Delhi, a o świcie dociera się do innych, niezmiennych, oniesmielających i olśniewających Indii. Na północy są Himalaje, na zachodzie pustynia Radża- stanu, na wschodzie legendarne miasta, a na południu klasyczne, równinne Indie. Mieszkam w nowym centrum miasta zbudowanym osiemdziesiąt lat temu i tutaj czas należy mniej więcej do tego stulecia, płynie wśród marketów i dóbr konsumpcyjnych wspólnych dla całego świata. Jednak gdy przejdę zaledwie kilometr, docieram do grobowca wielkiego świętego sufizmu, zanurzam się w średniowieczu dźwięków, zapachów i wrażeń.

Podróż trwa nieprzerwanie w czasie i przestrzeni. A Indie są zawsze na miejscu, aby ci coś opowiedzieć, abyś poczuł się częścią wielkiej historii, wobec której nie umiesz zachować obojętności. Może właśnie dlatego nadal tutaj mieszkam.

Zgodnie z ugodą brytyjsko-chińską, Hongkong miał wrócić do Chin o północy 30 czerwca 1997 roku. Nie mogłem tego przeoczyć.

pożegnanie z Hongkongiem

Hongkong, 22 czerwca 1997

Wynająłem małe mieszkanie w centrum miasta. Powiedziałem portierowi, że codziennie rano chcę dostawać prasę, i punktualnie, o świcie, Chińczyk w trykotowej koszulce i mokrych spodenkach - w ostatnich dniach prawie ciągle pada - zostawia paczkę pod drzwiami. Nie chciał pieniędzy z góry ani wpłaty na konto. Fakt, że trochę mówię po chińsku, jest dla niego gwarancją.

Niektóre z największych fortun w Hongkongu powstały właśnie tak, na słowo, na wiarę wynikającą z przynależności do tego samego klanu, z bycia emigrantami z tego samego hrabstwa. Mimo że w mieście jest już zatrzęsienie prawników, niektóre umowy nadal są tak zawierane. Prawdopodobnie dotyczy to również umowy między Chinami a przyszłym rządem Hongkongu, składającym się - to jedyny taki przypadek w najnowszej historii - z biznesmenów. Chiny wybrały tych ludzi i Chiny musiały dać rękojmię, że ich przedsiębiorstwa i majątki będą prosperować albo przynajmniej pozostaną nienaruszone. Nic na piśmie. Nic, z czym jutro można by pójść do sądu.

Prasa pełna jest nowin o ostatnich przygotowaniach do „uroczystości” (tego słowa używają już wszyscy) przekazania Hongkongu Chinom. Wszystko zostało postanowione dawno temu, jednak ludzie Pekinu próbują jeszcze coś zyskać. Nalegają, na przykład, aby przynajmniej jedna trzecia sześciu tysięcy żołnierzy Chińskiej 490 Armii Ludowo-Wyzwoleńczej (przeszkolonych i od dawna gotowych w swoich specjalnych mundurach o nowym kroju) przekroczyła granicę na kilka godzin przed oficjalną ceremonią przekazania zwierzchności o północy 30 czerwca. Twierdzą, że tylko w ten sposób będą mogli zapewnić porządek i bezpieczeństwo po odjeździe ostatnich jednostek Jej Królewskiej Mości. Istnieje jednak podejrzenie, że chcą dokonać czegoś w rodzaju „pokojoyej inwazji”, aby historycy pisali w przyszłości, że Chińczycy przejęli Hongkong, kiedy był jeszcze w rękach Brytyjczyków.

- Czy to możliwe, aby przywiązywali wagę do takich drobiazgów? - pyta młody dziennikarz kanadyjski. Ja uważam, że tak.

W czasach, gdy mieszkalem w Chinach, kiedy padał deszcz, zwykło się mówić: „To z pewnością nie przypadek. Musiało o tym zdecydować politbiuro”. Od tamtej pory w Chinach wiele się zmieniło - kraj się otworzył, ludzie mogą swobodnie bogacić się i podróżować, zamiast tak zwanego socjalizmu pojawił się, przynajmniej w dziedzinie gospodarki, system kapitalistyczno-gangsterski - ale władza niezmiennie znajduje się w rękach partii komunistycznej, a politbiuro niewiele pozostawia przypadkowi - niewiele albo nic. Znalazłem na to kilka dowodów, przeglądając gazety.

Do filmów pokazywanych w Hongkongu w ostatnim tygodniu przed przekazaniem Chinom zwierzchności nad kolonią należy Wojna opiumowa. Superprodukcja zrobiona zręcznie i gustownie przez studia filmowe Pekinu i - oczywiście nieprzypadkowo - wyświetlana właśnie teraz w czterech największych kinach w mieście. Pobiegłem na seans.

Widzowie, prawie sami młodzi ludzie - dużo par - tłoczyli się w kolejce. Miałem szczęście kupić jeden z ostatnich biletów. Film przypomina historię statków brytyjskich, które w pierwszej połowie XIX wieku, z pomocą skorumpowanych urzędników cesarstwa, wyładowały opium na chińskim wybrzeżu. Opowiada o komisarzu Linie przysłanym przez cesarza, aby położył kres tej „zarazie” niszczącej społeczeństwo, o decyzji Brytyjczyków, aby wypowiedzieć wojnę Chinom i o upokorzeniu, jakie staje się udziałem chińskiej armii, kiedy widzi ona okręty brytyjskie mknące po morzu „z prędkością galopujących koni” i potężne działa brytyjskie niszczące jeden po drugim wszystkie małe forty na wybrzeżu. „Nasz ogień ich nie osiąga”, mówi zdesperowany generał Niebiańskiego Imperium, a potem wysadza magazyn amunicji, czym zadaje śmierć sobie i kilkudziesięciu Brytyjczykom.

Publiczność oglądała oszołomiona dramatyczne sceny na ekranie. Przesłanie rysowało się jasno i wyraźnie: Chiny zostały porażone przez „barbarzyńców”, bowiem cesarstwo było słabe i skorumpowane, a ponadto nie miało środków materialnych, aby stawiać czoło nowoczesnemu krajowi.

Bezsilność staje się jeszcze bardziej paląca w scenie z garstką żołnierzy brytyjskich (cała najeżdźcza ekspedycja liczyła zaledwie trzy tysiące ludzi) schodzących z pokładu na wyspie Hongkong i umieszczających tam swoją flagę. Cesarstwo chińskie, pokonane, musiało oddać kawałek własnej ziemi i otworzyć porty na handel (włączając w to handel opium). Jest rok 1841. Wszyscy bohaterowie filmu źle kończą. Główna postać kobieca zostaje przywiązana do wielkiego głazu i utopiona w morzu przez swoich własnych ludzi. Komisarz Lin, na rozkaz cesarza, zostaje skazany na wygnanie, ponieważ „sprowokował” wojnę. Jego następca jest zmuszony wrócić do Pekinu, by ponieść karę, ponieważ utracił Hongkong. Ekran ciemnieje i pojawia się chiński napis: 1 LIPCA 1997 HONGKONG WRÓCI W OBJĘCIA MACIERZY. Żadnych oklasków, żadnych komentarzy. Ciężkie jak kamień milczenie zalega nad nieruchomą widownią. Potem ludzie wstają i jakby otrząsnąwszy się z szoku, bez ani jednego szeptu wychodzą na ulicę.

Właśnie milczenie wydało mi się najszczerzą reakcją normalnych mieszkańców Hongkongu na nadchodzące nieuchronnie wydarzenia. Chiny to kultura, której częścią się czują i z której są dumni, lecz także matka, o której wiedzą, że wiele razy pożerała własne dzieci, a więc nie czują się bezpieczni.

Niegdyś każdy Chińczyk uciekający przed gniewem rodzicielki próbował dotrzeć do Hongkongu. Tak robili pierwsi rewolucjonści, zwolennicy modernizacji z końca XIX wieku i studenci

z ruchu prodemokratycznego, którzy przeżyli masakrę na Tiananmen w 1989 roku. Za tydzień Hongkong nie będzie już azylem. Wie o tym dwustu młodych chińskich dysydentów, którzy przybyli tu w ostatnich latach, a teraz próbują wyjechać na Zachód.

- Chiny nie będą mogły sobie pozwolić na fałszywy ruch - słyszy się, zwłaszcza wśród zachodnich obserwatorów. Miejscowi Chińczycy nie są o tym całkowicie przekonani i wiedzą, że Chiny mogą mieć ciężką rękę. W porannych gazetach było zdjęcie pekińskiej agencji prasowej przedstawiające skazanego na śmierć. „Handlarz narkotykami”, brzmiał podpis. Obok doniesienie - również z Pekinu - że ponad stu „handlarzy narkotykami” zostało rozstrzelanych w ostatnich tygodniach w wielu częściach Chin. Głównie w prowincjach na południu niedaleko Hongkongu. Nie jest oczywiście przypadkiem, że ta fala egzekucji następuje właśnie teraz. Mieszkańcy Hongkongu rozumieją sens starego chińskiego porzekadła: „Zabij kure, żeby wystraszyć małpy”.

Wróciłem do domu na piechotę. Restauracje i bary w Wanchai były zamykane. Zatrzymałem się na rogu, żeby wypić sok owocowy z ulicznego straganu.

- Wnieśmy toast za uroczystości - zachęcił mnie ze śmiechem jakiś Chińczyk w średnim wieku, dobrze ubrany, z butelką piwa w dłoni i chyba już podchmielony. - Nie mogę zdecydować, kto ma rację: Wielka Brytania czy Chiny...? Może jedni i drudzy, ale co my mamy z tym wspólnego? - pytał. - Uroczystości? Żegnamy gubernatora, którego dali nam Brytyjczycy, i witamy tego, którego dają nam Chińczycy. Zawsze rządzą nami obcy.

Był to urzędnik rządowy. W najbliższych dniach będzie musiał usunąć symbol korony brytyjskiej z całej papeterii w swoim biurze. Zaproponował szefowi umieszczenie naklejek, tak aby można ją było jednak wykorzystać, ale jeszcze nie otrzymał odpowiedzi.

- Wypijmy za recycling! - mówił. - Za recycling... Za recycling Hongkongu - oddalając się w deszczu, słyszałem jego bełkot. 493

Tak. Dalej pada, a ja zadaję sobie pytanie, czy politbiuro potrafi skończyć z deszczem do poniedziałku, aby uroczystości i fajerwerki mogły wnieść do tego miasta atmosferę radości i święta, której ludzie najwyraźniej jeszcze nie czują.

duchy banku

Hongkong, 24 czerwca 1997

Człowiek, któremu oddaję parasol - ponieważ nie przestało padać - nosi mundur Czerwonej Gwardii. Dwaj prowadzący mnie mężczyźni są ubrani jak chińscy policjanci z przeszłości. Ci sami, którzy wiele lat temu, w Pekinie, podczas przesłuchań, całymi dniami próbowali wydobyć ode mnie zeznanie o mojej „działalności kontrewolucyjnej”. Ale dzisiaj z ich strony nie mam się czego obawiać. To tylko kelnerzy jednego z najbardziej eleganckich miejsc spotkań w Hongkongu, China Club. Symbole i ikony najnowszej chińskiej historii, zwłaszcza rewolucji kulturalnej - która pochłonęła miliony istnień^{dzkich} - są tutaj elementem dekoracji. Na ścianach królują portrety Mao, na stojakach na ubrania wiszą stare berety z czerwoną gwiazdą. Restauracja jest bardzo wytworna. Do bardziej intymnych spotkań służą - przedziwna sprawa - pomieszczenia z luksusowymi wannami.

Zaprosił mnie tutaj pewien Chińczyk z Hongkongu.

- Zobaczysz, że cię to rozbawi.

Poznaliśmy się jako ubodzy studenci trzydzieści lat temu w Nowym Jorku. Przez ten czas on, pracując w Hongkongu w finansach, został milionerem.

Żeby się tu dobrze bawić, trzeba by doznać amnezji. China Club znajduje się na ostatnim piętrze jednego z budynków o najbogatszej historii w całym mieście. Przez kilkadziesiąt lat była to siedziba władzy maoistowskiej w Hongkongu. Tutaj, zakamuflowani jako bankierzy - ponieważ formalnie budynek należał do Bank of China - ukrywali się komisarze polityczni, dyplomaci, tajni agenci rządu pekińskiego. Tutaj, kiedy Chiny Mao były jeszcze pariasem na scenie międzynarodowej, przebiegały wszystkie negocjacje, wszelkie możliwe transakcje. Tędy przechodziły rozkazy dotyczące zaopatrzenia oddziałów komunistycznych podczas wojny 495

w Korei, a potem w Wietnamie. Wielki czerwony sztandar powiewający na maszcie tego posepnego gmachu z szarego granitu nieustannie przypominał o tymczasowości Hongkongu i

o jego „wypożyczonym” życiu. Tutaj w 1976 roku komuniści przeprowadzili uroczystości żałobne po śmierci Mao. Tysiące Chińczyków z Hongkongu przechodziły przez ponure sale, aby złożyć podpis w złotej księdze.

- Między nimi a nami nie ma już różnic. Wszyscy jesteśmy Chińczykami - mówi mój przyjaciel, wskazując panów i panie przy stolikach obok. Nie można odróżnić tych z Hongkongu od tych z Chin. Wszyscy są modnie ubrani, mają drogą biżuterię i zegarki oraz miniaturowe telefony komórkowe.

Kilka lat temu Bank of China przeniósł się do smukłego, przezroczystego wieżowca ze szkła zaprojektowanego przez I.M. Pei. Stary budynek został wynajęty.

- Ten klub jest dowodem, że ideologia umarła, że nawet komunistów interesuje dziś tylko robienie pieniędzy. A do tego celu Hongkong nadaje się najlepiej na świecie - mówi z wielkim przekonaniem mój przyjaciel. - Chiny gwarantują Hongkongowi autonomię w myśl zasady: Jeden kraj, dwa systemy”, ale w rzeczywistości system jest tylko jeden: kapitalistyczny.

Z okien klubu widać zachwycającą panoramę zatoki. Do milionów świateł, które zapalane są nocą, dołączyły gigantyczne neonowe napisy na fasadach niemal wszystkich budynków: ŚWIĘTUJEMY POWRÓT DO MACIERZY. Jeden bardziej fantazyjny od drugiego, jeden bardziej kolorowy od drugiego. Wszystkie w języku chińskim. Dziś pojawił się także ułożony z setek tysięcy żarówek ogromny smok - symbol chińskiej władzy. Z centrum Kowloon wije się on całymi kilometrami wzdłuż Nathan Road aż do wielkiej głowy, a ta, ze swoimi rozwartymi szczękami, na brzegu morza, wydaje się szykować do pochwylenia zębami nieperły prawdy, jak w tradycyjnej ikonografii, lecz znajdującej się naprzeciwko wyspy: Hongkongu ze wszystkimi budynkami, ze statkami, 496 z ostatnim okrętem marynarki i jachtem królewskim „Britannia”, na którą będzie musiał wejść książę Karol zaraz po uroczystości „przekazania”, w najbliższy poniedziałek.

- Nie boisz się, że rzeczy ulegną zmianie, teraz, kiedy Brytyjczycy wyjeżdżają?

- Nie potrzebujemy Brytyjczyków, aby to miejsce funkcjonowało! - odpowiada mój przyjaciel, dumny jak teraz wszyscy z tego, że jest Chińczykiem. - Komuniści w ostatnich latach odkryli magię inżynierii finansowej. Zdali sobie sprawę, że mają dostęp do kapitałów światowych i że mogą robić tu pieniądze na skalę dotąd niewyobrażalną.

W 1982 roku mój przyjaciel, pochodzący z Szanghaju, a przybyły do Hongkongu jako uchodźca w 1949 roku, został zaproszony do Chin. Poprowadził serię konferencji na temat znaczenia i działania giełdy.

- Opanowali tę lekcję perfekcyjnie - twierdzi.

Oto przykład dla wszystkich: władze miejskie Szanghaju wybierają kilka małych przedsiębiorstw miejskich i łączą je w spółkę, która jest notowana na giełdzie w Hongkongu. Wartość jednej akcji wynosi siedem dolarów. Dyrektorzy tej spółki (wśród których znajduje się kilku wysokich funkcjonariuszy władz miejskich) otrzymują opcję kupowania akcji, kiedy osiągną one wartość ośmiu dolarów i osiemdziesięciu ośmiu setnych. Teraz akcja jest warta czterdzieści pięć dolarów. Komunistyczni funkcjonariusze stali się miliarderami.

- A pieniądze zostały ponownie zainwestowane - mówi mój przyjaciel. - Zabezpieczeniem przyszłości Hongkongu jest fakt, że Chiny robią u nas zakupy.

Kupują osoby prywatne, które podobno czasem przyjeżdżają prosto z granicy z walizkami wypchanymi dolarami. Kupują spółki państwowe, które już sobie zagwarantowały udziały w strategicznych przedsiębiorstwach. Na przykład telefonicznym.

- Hongkong jest jak Hollywood: produkuje marzenia. A największym marzeniem jest tutaj bogactwo. - Przykłady tego, że owo marzenie nadal się ziszcza, wszyscy mają przed oczami.

Ostatnio pewien Chińczyk kupił na Peak, szczycie wyspy, gdzie kiedyś Brytyjczycy zakazywali Chińczykom nawet chodzić na spacer, jedną z wielkich, starych rezydencji kolonialnych. Zapłacił za nią siedemdziesiąt milionów dolarów amerykańskich: to najdroższy dom na świecie. Jeszcze kilka lat temu był zwykłym wieśniakiem z prowincji Kanton. Zbiegł z Chin pod pretekstem sprowadzenia z powrotem krowy, która mu uciekła przez granicę.

Kończymy kolację. Przyjaciół zabiera mnie na rundkę po klubach. „Czerwonogwardziści”, „policjanci” salutują z szacunkiem, a ja zastanawiam się, co te mury mogłyby opowiedzieć. Myślę o duchach przeszłości, które muszą snuć się po tych pomieszczeniach.

- Nje martw się - uspokaja mnie przyjaciel. - Niedługo ten budynek też zostanie zburzony, aby zrobić miejsce dla trzy razy wyższego i bardziej dochodowego drapacza chmur. To już postanowione.

za zdrowie imperium

Hongkong, 26 czer^CQ ?997

WCHODZCIE! TO OSTATNIE DNI IMPERIUM - taki napis widnieje na tabliczce baru o kilka kroków od mojego domu. W Hongkongu każdy powód jest dobry, aby coś sprzedać, a „przekazanie” Chinom - uważane przez wszystkich za nieuchronne --jest już brą reklamą. Wielkie sklepy świętują 30 czerwca wyprzedają stragany oferują góry niepotrzebnych nikomu pamiątek, restauracje mają specjalne menu. Jedna z nich postanowiła Pt^yCiąga(f klientów elektronicznym zegarem, który odlicza - niepokojąco szybko - sekundy pozostałe do decydującej północy (a jest niewiele ponad trzysta tysięcy).

Przechodząc, zerknąłem Tia zaproszenie do wzniesienia toastu za „ostatnie dni imperium” i przekonało mnie o, do pójścia na stadion, na ostatni wielki koncert publiczny orkiestr wojskowych stacjonującej tutaj armii Jej Królewskiej Mości 30 czerwca te same orkiestry zagrają na oficjalnej ceremonii przekazania zwierzchnictwa, ale tam będą tylko osoby zaproszone, ważne osobistości. Dziś na stadion przyszedł tłum. Wstęp był wolny. Na widowni na pięćdziesiąt tysięcy osób brakowało miejsc. Głównie zajmowali je Chińczycy.

Widowisko było uroczyste: żołnierze w mundurach - białych kolonialnych oraz klasycznych z czerwonymi marynarkami i czarnymi czapkami z niedźwiedziego futra - idealnie zestrojona i grali w tropikalnym upale, przy wilgotności powietrza sięgającej 96 procent. Kiedy szkocki gwardzista wszedł na podwyższenie, aby bez akompaniamentu zagrać na dudach skargę, towarzyszu, śpij, niektórzy mieli w oczach łzy. Czuło się w powietrzu wielką historię. To naprawdę są ostatnie dni, nie tylko imperium, ale całej epoki. Zwracając uwagę na Hongkong Chinom, Władza Brytanii traci swoje ostatnie, najważniejsze kolonie, a Związek swój ostatni azjatycki bastion, przyczółek, z którego wyruszali jego kupcy i jego misjonarze, jego produkty i jego idee; w czasach najnowszych głównie idea nowoczesności. Hongkong jest dzisiaj symbolem tej przygody.

Między dwiema ogromnymi arkadami kurtyn, które po części osłaniały stadion, strzelały w nocne niebo kosmiczne sylwetki oświetlonych wieżowców. Muzyka, przy której kiedyś dokonywał się wielki imperialny pochód Wielkiej Brytanii, z jego zwycięstwami i porażkami, kazała mi myśleć o tej cudownej, sprawnej machinie, jaką pozostawiają tutaj Brytyjczycy, i o tym, jak przyszłość oceni ich dziedzictwo. Hongkong jest dziełem kolonizacji zachodniej w najlepszym wydaniu.

Oczywiście na jego narodzinach położyła się cieniem wojna opiumowa, ale to może jedyne w historii kolonizacji terytorium, na którym kolonizatorzy nie tyranizowali i nie wykorzystywali swoich poddanych, nie plamili się zbrodniami charakterystycznymi dla wszystkich innych eksperymentów tego typu. Kiedy Brytyjczycy znaleźli się na wyspie, nie było tu praktycznie nikogo. Sześć milionów Chińczyków żyjących dzisiaj w mieście to uchodźcy albo potomkowie uchodźców, którzy uciekli z Chin. Przyciągnęła ich obecność kolonizatorów. Na jednej z pierwszych fotografii Hongkongu widać tysiące ludzi z warkoczami owiniętymi wokół głów, szukających zatrudnienia u Brytyjczyków.

Tak zresztą było zawsze. W 1949 roku przybyli ci, którzy uciekali przed komunizmem Mao, w latach sześćdziesiątych ci, którzy uciekali przed głodem Wielkiego Skoku i czyszczeniami oraz egzekucjami rewolucji kulturalnej. Brytyjczycy, ze swoją przysłowiową butą, może traktowali uchodźców z góry, ale pomogli im ocalić życie. Przyjęli przybyszów do pracy, zapewnili edukację dzieciom, poprawili ich los.

Patrzyłem na tysiące Chińczyków siedzących na stadionie. Wiele było starszych osób - robotników, wieśniaków z Nowych Terytoriów, prostych ludzi - a ja zadawałem sobie pytanie, ilu z tych, 500 którzy zbiegli z Chin lata temu, uwożąc z sobą często tylko podarte ubranie i strach, widziało w tych maszerujących żołnierzach swoich obrońców. Ilu po przybyciu do kolonii wreszcie poczuło się bezpiecznie, z dala od wszelkich prześladowań.

„To jedyna chińska społeczność, w której przez sto krótkich lat człowiek nie musiał się bać, że ktoś zapuka do jego drzwi w środku nocy”, napisał przed śmiercią w 1989 roku sławny dziennikarz z Hongkongu. I to prawda: miejscowi Chińczycy cieszyli się - dzięki Brytyjczykom - swobodą, jakiej żaden inny kraj azjatycki, poza Japonią, nie dał swoim obywatelom.

Brytyjczycy i Chińczycy, wspólnie, dzięki zmysłowi praktyczności, która cechuje obie te kultury, zbudowali cudowne miasto, w którym wszystko działa. Teraz - ze swoimi wieżowcami, ze swoimi podmorskimi tunelami, ze swoimi estakadami, ze swoimi bogactwami - zostaje ono przekazane Chinom. Brytyjczycy zresztą niczego nie oddają: od poczty głównej po koszary sprzedali wszystko, co mogli, nim spakowali walizki.

- Mogliby jeszcze nam sprzedać jacht królewski „Britannia” - powiedział pewien tutejszy miliarder. Wiedział, że po zawieszeniu księcia Karola na Filipiny jacht popłynie do Wielkiej Brytanii, gdzie zostanie zniszczony. - Kupilibyśmy go i przechowywali w muzeum jako część ekspozycji epoki kolonialnej.

Muzeum powstanie w rezydencji gubernatora, usytuowanej w połowie wzgórza, z przygarbionym dachem dobudowanym podczas okupacji japońskiej. Na razie będzie gościć dary wielu prowincji chińskich upamiętniające „przekazanie” Hongkongu, ale - kto wie? - może pewnego dnia zorganizuje wystawę poświęconą „wyzwoleniu Hongkongu spod kolonialnego jarzma”.

Pisanie historii na nowo jest sztuką, którą Chińczycy kultywowali od stuleci. Komuniści tylko ją udoskonalili. To dlatego nadal się upierają - mimo wszystkich świadectw i materiałów filmowych - że na placu Tiananmen, nocą 4 czerwca 1989 roku, nikt nie został zabity.

Hipokryzja propagandy jest niezmienna. Chiński dziennik pozostawiony wczoraj rano na moim progu wyraźnie to potwierdza. Pekin wybrał chińskiego delfina - zwierzę, któremu grozi wymarcie* - na maskotkę obchodów przekazania Hongkongu. Czemu delfina?

„Ponieważ zwierzę to mieszka jedynie w południowych morzach i dlatego może reprezentować Hongkong. Ponieważ każdego roku delfiny wracają do Rzeki Perłowej, aby połączyć się w pary, co pokazuje, że Hongkong jest nierozdzielnie związany z Chinami. Ponieważ delfiny żyją w wielkich ławicach, a to odzwierciedla gorące pragnienie rodaków z Hongkongu powrotu w objęcia Macierzy.”

Kiedy żołnierze z czterech orkiestr wojskowych wymieszali się, połączyli, splekli w skomplikowanych manewrach przy porywającym rytmie bębnow, trąbek i dud, a wreszcie znikli, elegancyjnie i precyzyjnie jak części mechanicznej zabawki, w korytarzu szatni, cały stadion stał. Brytyjczycy, płacząc, wymachiwali flagami Union Jack, Chińczycy klaskali.

To naprawdę ostatnie dni imperium i w drodze powrotnej nabrałem chęci, aby przyjąć zaproszenie wypisane na tabliczce baru nieopodal domu. Za zdrowie!

! Chiński biały delfin rzeczony uważany jest obecnie za gatunek wymarły. Do jego wyginięcia doprowadziło zanieczyszczenie środowiska przez człowieka, a szczególnie eksploatacja rzeki Jangcy (przyp. tłum.).

podziemny Hongkong

Hongkong, 28 czerwca 1997

Od trzydziestu lat jeżdżę po krajach Wschodu i nie pierwszy raz zdarza mi się czekać w jakimś mieście na przybycie oddziałów komunistycznych. W Hongkongu, gdzie wszyscy najwyraźniej zamierzają korzystać z wyprzedaży, jeść, pić i tańczyć na tysiącach zabaw, może nieliczni postrzegają zjawisko w ten sposób, ale ja nie mogę zagłuszyć własnych wspomnień.

Hongkong nie jest oblężony, nie znajduje się pod ostrzałem artylerii jak Sajgon czy Phnom Penh w 1975 roku. Tutaj nikt nie obawia się rojdedu krwi ani błyskawicznego wyrównywania rachunków. A jednak to, co ma nastąpić, jest dość podobne.

Kraj, który po poniedziałkowej nocy przejmie Hongkong, to nie Chiny, lecz Chiny komunistyczne. Sztandar, który załopocze nad tą ziemią, jest czerwony z pięcioma gwiazdami, a cztery tysiące żołnierzy, którzy w swoich wozach opancerzonych przekroczą tryumfalnie granicę, aby zająć brytyjskie koszary, należą do armii nieprzypadkowo nadal nazywanej „armią wyzwolenczą”. Parawan dyplomatyczny wstydliwie skrywa prawdę o nadchodzącym zdarzeniu, ale wystarczyło, abym dzisiaj rano włączył radio i posłuchał chińskich stacji, wystarczyło, abym pooglądał przez chwilę transmisje telewizyjne z Pekinu.

W Chinach rozpoczęła się ogromna kampania propagandowa mająca przekonać ludzi, że historyczne „zwycięstwo” kończy „heroiczną walkę ludu Hongkongu o zrzućenie kolonialnego jarzma”. Masy zostały zachęczone, popchnięte do świętowania. Wielka pompa ma oczywiście rozpalić w mieszkańcach Chin nacjonalistyczną i rasistowską dumę, która bardziej niż wszelkie ideologie jednoczy kraj. A przede wszystkim ma ona umocnić pozycję rządu komunistycznego i sekretarza generalnego partii, Jiang Zemina.

Naturalnie, dzisiejszy Hongkong to nie Sajgon ani Phnom Penh z 1975 roku. Nie ma paniki, a ludzie nie czepiają się ostatnich helikopterów odlatujących z dachów domów. Kto chciał wyjechać, już to zrobił (od 1984 roku opuściła wyspę jedna dziesiąta ludności). A jednak ci, którzy zostali, podają takie same argumenty, jakie wówczas słyszałem od Wietnamczyków i Kambodżan.

- Nowi panowie Hongkongu są Chińczykami, a my, Chińczycy, jakoś się dogadamy - powiedział jeden z miejscowych miliardów, mężczyzna mniej więcej czterdziestoletni, posiadacz jednej z najpiękniejszych kolekcji współczesnej sztuki chińskiej i jednej z największych kolekcji francuskich win. Zaprosił mnie na kolację i nienaganną angielszczyzną (czyli nienaturalnymi, bełkotliwymi modulacjami wyuczonymi w Cambridge, gdzie studiował) wyjaśnił mi, że on także nie mógł znieść kolonialnej arogancji Brytyjczyków i że nie zajmuje się polityką, lecz wyłącznie biznesem, a zatem nie musi się obawiać o swoją przyszłość.

Znajdowaliśmy się w jednym z tych pięknych domów na wzgórzu z widokiem na zatokę, a ja wracałem pamięcią do dramatycznych dni 1967 roku, kiedy ludzie jemu podobni byli przerażeni. W Chinach trwał najgorętszy okres rewolucji kulturalnej, a Rzeka Perłowa niosła do morza na wysokości Hongkongu trupy ofiar. Miasto paraliżowały strajki i demonstracje. Lokalni maoiści palili słomiane kukły z nazwiskiem ówczesnego brytyjskiego gubernatora i apelowali, by Chińska Armia Ludowo-Wyzwolenicza, przyczajona na granicy, ruszyła na Hongkong. Kolonialna policja brała udział w starciach na ulicach. Od czasu do czasu wybuchała jakaś bomba. Jedna zniszczyła część kawiarni hotelu Hilton, gdzie wtedy mieszkałem. Bogacze z Hongkongu załadowali swoje dżonki i - w obawie przed zdradą w ostatnim momencie - upewnili się, że marynarze są byłymi żołnierzami nacjonalistycznymi. Nikt już nie ufał nikomu, ponieważ - jak mówiono - do kolonii przeniknęli tysiącami agenci Pekinu, gotowi przejąć władzę. Armia wyzwolenicza, zatrzymana - dzisiaj to wiadomo - przez Zhou Enlaia, nie przekroczyła granicy 504 i szybko w Hongkongu znów zapanował porządek.

A dzisiaj? Ilu jest już w mieście ludzi Pekinu? Nikt nie mówi o tym wprost, ale pamięć może okazać się pomocna. Kiedy Wietkong i Północni Wietnamczycy zdobyli Sajgon, jednym z najbardziej zadziwiających zjawisk było wypłynięcie podziemnej struktury, cierpliwie i latami tkanej przez Hanoi. Niektóre z osób poza wszelkim podejrzeniem okazały się agentami komunistycznymi. Kelner z hotelu, gdzie mieszkali wszyscy dziennikarze, został komisarzem politycznym dzielnicy. Tłumacz amerykańskiego tygodnika „Time”, którego naiwniacy tacy jak ja zawsze podejrzewali, że jest agentem CIA, okazał się natomiast pułkownikiem tajnych służb Hanoi.

To samo nastąpiło w 1949 roku w Szanghaju. Kiedy oddziały Mao weszły do miasta, całą tkankę społeczną, od uniwersytetów po fabryki, infiltrowali agenci, którzy praktycznie mieli już w ręku klucze do Szanghaju. Numy dwa policji nacjonalistycznej miasta ujawnił się jako tajny członek partii komunistycznej. Przeszkodził w zniszczeniu archiwów, aby ułatwić późniejsze czystki.

Czy coś podobnego ma miejsce w Hongkongu? Z pewnością. Zjawisko nazywane przez komunistów *dixia gongzuo*, „pracą podziemną”, jest w Chinach bardzo powszechne. Sięga czasów konfliktu z Japonią i wojny domowej. Dla nikogo nie jest tajemnicą, że komuniści początkowo działali w Hongkongu za pośrednictwem Bank of China, a potem przez agencję prasową Nowe Chiny i setki chińskich przedsiębiorstw, które otworzyły swoje biura w kolonii. Tygodnik „Zheng Ming” napisał, że Pekin ostatnio zainwestował sto pięćdziesiąt milionów dolarów, aby umieścić w Hongkongu dziewięćset nowych agentów przed przekazaniem zwierzchności. Do tej obecności zrobił aluzję sam Chris Patten, gubernator, oświadczając niedawno: „Oczywiście, że komuniści działają tajnie w Hongkongu, poprzez swoje komórki, poprzez podstawione organizacje”. Patten dodał, że nie chciał rozpoczynać polowania na czarownice przed wyjazdem, „ponieważ stabilność Hongkongu polega również na tym, że potrafimy przymknąć oko, kiedy jest to konieczne”. 505

Jakiś związek z tym przymykaniem oka ma zapewne niespodziewane pozbawienie stanowiska szefa służb imigracyjnych Hongkongu. Zwolniony przed dziesięcioma miesiącami urzędnik ponoć przesłał Chinom listę pięćdziesięciu tysięcy ważnych obywateli, którym Londyn gotów był dać - w drodze wyjątku - brytyjski paszport jako zabezpieczenie na przyszłość. Dla Pekinu są to ludzie „niepatriotyczni” i mają być pilnowani. W świetle tych samych poglądów, dużą część administracji kolonialnej, która zostanie po przekazaniu Hongkongu, przeniknęli już ludzie wierni Pekinowi, a w nowym zarządzie, z Tung Cheehwą na czele, ma być jakoby kilku członków partii komunistycznej. Członków niejawnych, oczywiście, ponieważ partia w Hongkongu zawsze była tajna i taka pozostanie także po 1 lipca. Chiny formalnie zobowiązały się do respektowania zasady „jeden kraj, dwa systemy”, więc jak uzasadniłyby obecność w Hongkongu partii zaangażowanej w demontowanie systemu kapitalistycznego? Poza tym: gdyby partia wyszła z podziemia, musiałaby wziąć udział w następnych wyborach, a byłoby rzeczą krępującą przekonać się, jak mało głosów otrzymałaby ona w tym mieście pełnym ludzi, którzy uciekli właśnie przed komunizmem.

Mimo to my wszyscy, związani z Chinami w latach, gdy kraj był zamknięty, a Hongkong stanowił uprzywilejowany punkt obserwacyjny, wiemy, jak łatwo przychodziło skontaktowanie się z członkami partii, jakkolwiek działali potajemnie. Wystarczyło zadzwonić i dostawało się zaproszenie na filiżankę herbaty. Ja kontaktowałem się z nimi latem 1967 roku, kiedy wyglądało na to, że Hongkong lada chwila wpadnie w ręce Czerwonej Gwardii.

W tamtych dramatycznych dniach pewien siedemnastoletni Chińczyk, uczeń jednej z najlepszych chrześcijańskich szkół w kolonii, został aresztowany za kolportaż wywrotowych ulotek i skazany na dwa lata więzienia. Spędził je w Fort Stanley na południu wyspy.
506 - To był mój uniwersytet.

Poznałem go, gdy został wypuszczony, i od tamtej pory łączyła nas przyjaźń, która przetrwała wszystkie nasze osobiste perypetie, a także perypetie Chin. Za każdym razem, gdy chciałem się dowiedzieć, jakie będzie stanowisko Pekinu w konkretnej sprawie, wystarczyło, abym go zapytał. Dzisiaj jest jednym z nieoficjalnych rzeczników Pekinu, szefem prokomunistycznej gazety z Hongkongu i członkiem chińskiego parlamentu. Poszedłem go odwiedzić.

- Szczęśliwy?

- Bezgranicznie szczęśliwy - odpowiedział. - Powrót Hongkongu do Chin jest tym, o czym zawsze marzyłem.

- Jaka będzie przyszłość Hongkongu?

- To pytanie cudzoziemca, ale ja jestem Chińczykiem i pytam o co innego: jaka będzie przyszłość Chin? Czy taki kraj jak nasz może realizować cele czysto materialne, czy też musi wierzyć w coś wyższego, bardziej wzniosłego?

Gdy tak na niego patrzyłem, wydał mi się dziwny. Miał na sobie tanią koszulę i spodnie, stary zegarek i pasek podobny do tych, które noszą robotnicy, oplatający półtora raza jego chudą talię.

- Minęło trzydzieści lat, ale ja nie zmieniłem poglądów. Możesz się dziwić, ale tak właśnie jest - powiedział. - Nie zapominaj, że uczyłem się u księży. Chcąc przekonać mnie do Biblii, pytali zawsze: „Co jest sensem życia?” Cóż, ja nadal zadaję sobie to pytanie.

Rozmawialiśmy dwie godziny. Podczas naszego pożegnania siąpiła mżawka. Patrząc, jak odchodzi pod parasolem, czułem, że on wierzy, iż znalazł odpowiedź w partii i w ideologii, która - niezależnie od wszystkich swoich twarzy - przetrwa w takich ludziach jak mój przyjaciel.

ostatnia msza

Hongkong, 29 czerwca 1997

Była niedziela, ostatnia w Hongkongu, jaki znałem. Zaczął się dzień od pójścia na mszę o dziewiątej. Katedra świętego Jana, jedna z pierwszych budowli na wyspie i jedna z ostatnich bez klimatyzacji, znajduje się na wzgórzu, obok starego sądu. Cała społeczność kolonialna, od dowódcy brytyjskich oddziałów do najwyższych funkcjonariuszy administracji, której godziny są już policzone, była w świątyni, pogrążona we wspólnej modlitwie pod wielkimi neogotyckimi łukami, w chłodzie płynącym z wentylatorów pracujących powoli w wilgotnym i gorącym powietrzu. Na zewnątrz, na ostatnim skrawku łączki niepożartej jeszcze przez beton i drapacze chmur, kilku Chińczyków przybyłych ze swojej ojczyzny i ubranych, jak tylko chińscy tajniacy mogą być ubrani, fotografowało się ze śmiechem na tle nagrobków i krzyży. Dwa różne światy, osobne, które nie mają sobie już nic do powiedzenia. Jeden celebrował swój pogrzeb, drugi swoje zwycięstwo.

Brytyjczycy i Chińczycy w tak odmienny sposób interpretują to, co się wkrótce, o północy, wydarzy, że najwyraźniej komunikacja przychodzi im z ogromnym trudem - także komunikacja dyplomatyczna - a ceremonię przekazania władzy popsuć może wymiana wielu nieuprzejmości. Brytyjczycy odmawiają pójścia ze swoim premierem na inaugurację nowej rady legislacyjnej, narzuconej bez prawdziwych wyborów przez Pekin. W odwecie Chińczycy odmawiają wysłania swoich przedstawicieli na uroczystość pożegnalną wojsk brytyjskich, a swojego prezydenta Jiang Zemina na bankiet księcia Karola. Zwyczajny wiceminister ma odprowadzić syna i reprezentanta królowej na jego jacht „Britannię”, który podniesie kotwicę zaraz po tym, jak chińska flaga zawisnie nad wyspą.

Zejście ze sceny kolonialnego mocarstwa nigdy nie jest łatwe.

508 Ostatni francuski oficer, jaki opuścił Hanoi w 1954 roku, przemierzając na piechotę wraz ze swoimi oddziałami most Doume- ra, został poczęstowany kopniakiem w tyłek przez żołnierza Ho Chi Minha. Nie pozostało mu nic innego, jak odwrócić się i po wojskowemu zasalutować. Brytyjczycy zrobili wszystko, aby swój wyjazd z Hongkongu uczynić mniej

upokarzającym, ale Chińczycy nie chcą chyba pozostawić potomności wrażenia, że byli zbyt łaskawi dla ostatnich przedstawicieli „wielkiego zła”, jak nazywają kolonializm.

W owej ostatniej grze, której wszystkie karty są już w rękach Pekinu, mieszkańcy Hongkongu, „wyzwalani”, choć nikt ich nigdy nie pytał, czy właśnie tego chcą, coraz mniej pewnie myślą o przyszłości. Każdy czuje, że kończy się pewna epoka i próbuje coś z tego mieć, złapać jej ostatnie momenty. Dziesiątki par w strojach ślubnych dziś po południu stały w kolejce przed urzędem miejskim nad zatoką, aby pobrać się jeszcze pod brytyjskim zarządem. Przed rezydencją gubernatora do późnej nocy tkwił bardzo długi ogonek młodych ludzi, którzy czekali na swoją kolej, aby sfotografować się przed żelazną bramą, nadal z literami Q.E., „Queen Elizabeth”.

- Po co tu przyszedłeś? - zapytałem jakiegoś chłopaczka.

- Słyszałem, że ten budynek zostanie zburzony i chcę mieć pamiątkę.

Polowanie na pamiątki stało się sportem. Pary Anglików idących w wieczorowych strojach na pożegnalne przyjęcia są zatrzymywane przez tutejsze rodziny, które chcą zrobić sobie z nimi ostatnie zdjęcie. Brytyjscy żołnierze trzymający straż przed koszarami „Książę Walii” dają się obejmować niezliczonym dziewczętom przed napisem FOTOGRAFOWANIE WZBRONIONE.

- W tej sytuacji... - mówi jeden z nich, wzruszając ramionami.

Przez cały dzień panowała w mieście osobliwa atmosfera, niezupełnie świąteczna. Tysiące filipińskich służących, jak każdej niedzieli, obiegły centrum, przeobrażając w wielki, radosny, rozszczebiotany biwak ulice wokół Mandarin Hotel i Statuę Square. I to one, jak zawsze, wyglądały na jedyne osoby autentycznie szczęśliwe. Przed pomnikiem ku czci poległych, gdzie nadal powiewają brytyjskie flagi, zespół misjonarzy o nazwie Jezus żyje dawał hałaśliwy koncert. Staralem się zobaczyć „entuzjazm ludu Hongkongu dla zjednoczenia z Macierzą”, o którym coraz bardziej natrętnie mówi propaganda Pekinu, ale bez skutku. Na sklepie sprzedawcy kadzidełek z Hollywood Road widniał napis: KOMITET DZIELNICOWY UROCZYSTOŚCI, lecz chiński czerwony sztandar, który został tam zawieszony, był jedynym na całej ulicy. Korporacje taksówkarzy wydały dyspozycję, aby wszystkie samochody miały dziś przyczepioną do anteny radia nową flagę Hongkongu - czerwoną z białym kwiatem bauhinii o pięciu płatkach - ale tych flag też widzi się niewiele.

- Szczęśliwy? - zapytałem taksówkarza.

- Mogę być szczęśliwy albo nieszczęśliwy, a oni i tak przyjdą.

»» Oni” zresztą już tu są. Służba bezpieczeństwa Pekinu obesła hotele, zdobywając listy gości. Inni agenci podobno organizują „spontaniczne okazywanie radości” dziesięciu tysięcy wieśniaków z Nowych Terytoriów. Mają oni przywitać żołnierzy Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, którzy wejdą do Hongkongu o świcie 1 lipca.

To był pierwszy dzień bez wielkich ulew i niebo, momentami czyste jak lustro, odbijało się w morzu zatoki i w szkle wieżowców, aż skrzyły się ich wyzywająco nowoczesne sylwetki. Naprawdę nadzwyczajny widok. Byłem na spacerze ze starym przyjacielem, historykiem, który uciekł z Chin w 1949 roku, a teraz uczy w Australii. On także przybył do Hongkongu, aby przeżyć te doniosłe dni i spróbować zebrać opinie mieszkańców. Na próżno. Za każdym razem, gdy pyta swoich krewnych, co myślą, częstują go kolejną herbatą i kolejnymi czekoladkami. Tylko dawny kolega szkolny, którego spotkał wśród kadr komunistycznych przybyłych z Pekinu, podzielił się z nim swoimi refleksjami.

- Nasi przodkowie byli sprytni - powiedział. - Wypożyczyli Brytyjczykom wioskę rybacką i popatrz, co teraz dostajemy z powrotem! Szkoda, że nie pożyczili im więcej ziarno białej kolonii

Hongkong, 30 czerwca 1997

Historia się kończy. Historia biegnie dalej. Wielka Brytania zwróciła Hongkong Chinom i zamknęła tym samym rozdział nadużyć Zachodu w Azji. „Obcy” gubernator odpłynął pod swoją banderą, ze swoimi żołnierzami, a Chińczycy, upokorzeni porażkami XIX wieku, świętują dzisiaj, niemal histerycznie, to ogromne, pacyfistyczne zwycięstwo. Zraniony niegdyś honor został odzyskany. Duma rasowa znów się budzi.

Istnienie „białej” kolonii na terenie kraju od zawsze uważającego się za imperium w samym środku Ziemi nie było już możliwe pod koniec naszego stulecia, w którym wszystkie państwa świata odzyskiwały niepodległość, a Chiny odnalazły swoją jedność i siłę. Oczywiście: Hongkong nie staje się niepodległy. Zostaje przejęty na nowo przez Chiny, Chiny komunistyczne. Jego mieszkańcy, których nikt nigdy nie zapytał o zdanie, są niespokojni. Ale nie było innego wyjścia. W 1982 roku podczas wizyty w Pekinie Margaret Thatcher zaproponowała Deng Xiaopingowi przedłużenie o kolejne pięćdziesiąt lat brytyjskiej dzierżawy. Odpowiedź była jednoznaczna: „Mogę kazać moim oddziałom wkroczyć do Hongkongu dzisiaj po południu”. Thatcher wołała ustąpić, negocjować, i dlatego oddziały chińskie wkroczyły do Hongkongu - pokojowo - piętnaście lat później.

Konflikt zbrojny między Chinami a Zachodem, który przyniosła wojna opiumowa, zakończył się. Teraz trwa konflikt dwóch cywilizacji.

Wystarczyło poobserwować ich podczas krótkiej uroczystości w Pałacu Kongresowym - Chińczyków przybyłych z Pekinu po swoją ziemię oraz zwracających ją Brytyjczyków - aby zrozumieć, jak wielka, mimo identycznych ciemnych garniturów i krawatów, nadal rozciąga się między nimi przepaść. Jiang Zemin i Li Peng odpowiedzialni za masakrę na placu Tiananmen - starzy - reprezentowali władzę totalitarną, która nie uznaje sprzeciwu, oraz społeczeństwo wciąż zamknięte i nietolerancyjne. Brytyjczycy, ze swoim populistycznym gubernatorem, księciem i premierem - młodymi - reprezentowali nie tylko świat kolonialnych podbojów, lecz także demokracji i wolności myślenia.

Wraz z Hongkongiem Chiny przyjmują sześć milionów obywateli, w których idee, zasady, moralność tego świata - świata zachodniego - zasiały swoje ziarno. Chińska Republika Ludowa będzie musiała przyjąć to do wiadomości.

Gubernator Patten w krótkim i sugestywnym przemówieniu pożegnalnym nie pozostawił wątpliwości co do historycznej roli, jaką odegrała tu brytyjska administracja, i wyraził nadzieje Londynu oraz reszty świata co do przyszłości Hongkongu.

- To jest chińskie miasto o cechach brytyjskich - powiedział. - Hongkongiem będzie rządzić ludność Hongkongu. Taka jest obietnica. Takie jest niewątpliwe przeznaczenie tego miejsca.

Lało jak z cebra. Padało na przemawiającego gubernatora, padało na wojskowy beret księcia Karola przywożącego pozdrowienia od królowej Elżbiety, padało na tysiące uczniów w kostiumach wielkiej pantomimy, padało na premiera Tony'ego Blaira i na dziesięć tysięcy gości. Padało na bębny, na trąbki, na lufy karabinów, które oddały salwy po raz ostatni, padało rzęsiście na żołnierzy, którzy, niewzruszeni, dalej maszerowali aż do ostatniej, wolnej melodii ogłaszającej odwrót. W dawnych czasach grano ją o zachodzie słońca, aby obwieścić żołnierzom zawieszenie broni. Mogli wtedy zebrać swoich poległych towarzyszy z pola bitwy. W tym nieporuszonej trwaniu pośród strug deszczu była determinacja rodząca się z poczucia wykonanej misji.

- Dobrze jest zrozumieć przeszłość, aby mocją tym lepiej zapamiętać - powiedział Patten, nawiązując do haniebnego zachowania Brytyjczyków w wojnie opiumowej sto pięćdziesiąt lat temu i postępowania chińskich komunistów wobec własnych obywateli - 512 li w ciągu ostatniego półwiecza.

Nieco wcześniej Chris Patten, dwudziesty ósmy gubernator Hongkongu, opuścił po raz ostatni swoją rezydencję, trzykrotnie okrążając czarnym rolls-royce'em maszt, z którego dopiero co została spuszczone brytyjska flaga. To stary chiński rytuał wyrażający życzenie

powrotu i wielu ludzi w tłumie na pewno zrozumiało, że ów gest miał charakter nie tylko osobisty.

Patten, w przeciwieństwie do wszystkich swoich poprzedników, nie przyjechał do Hongkongu w starym kolonialnym mundurze i berecie z piórami. Nie przybył jako zwykły administrator, lecz jako polityk, aby miastu, w którym po masakrze na Tiananmen na ulice wyszedł ponad milion osób, pokazać demokrację. I tak samo wyjechał. Kiedy samochód znalazł się za czarną bramą rezydencji, droga - na jego polecenie - nie została zamknięta dla ruchu, toteż gubernator przez pewien czas stał w korku. Gdy po wielkiej uroczystości przekazania zwierzchności Chinom Patten udał się w stronę jachtu „Britannia”, przystanął, aby pozdrowić i objąć ludzi za barierkami.

Członkowie chińskiej delegacji, wręcz przeciwnie, otoczeni chmarą agentów służb bezpieczeństwa, odeszli, nie spoufalając się z tłumem w mieście, które na razie należy do nich tylko na papierze.

dzień później

Hongkong, 1 lipca 1997

Nie mogłem zasnąć. Nadal miałem przed oczami obrazy uroczystości, która odbyła się o północy. Znow widziałem woskowe twarze Jiang Zemina i Li Penga, przybyłych z Pekinu, aby oficjalnie przejąć Hongkong od Brytyjczyków, ich ciała jak zabalsamowane w zachodnich ubraniach, ich farbowane włosy, ich okolicznościowe markowane oklaski, i nie mogłem uwierzyć, że to wszystko naprawdę zdarzyło się tutaj, w mieście, które znam od trzydziestu lat i w którym mieszkałem przez siedem.

Niełatwo o świadomość, że uczestniczy się w fakcie historycznym, zwłaszcza jeśli ów fakt jest rewolucyjny i zmienia perspektywę, w jakiej należy oglądać otaczającą nas rzeczywistość. Od wielu dni śledzę wydarzenia, dyskutuję o nich, opisuję je, ale tak naprawdę jeszcze nie rozumiałem, że Hongkong nie jest już Hongkongiem, lecz częścią Chin. Postanowiłem zatem nie przewracać się dalej z boku na bok w łóżku, tylko pójść obejrzeć nadchodzące oddziały Pekinu.

Zaledwie dniało i miasto, jeszcze chłostane deszczem, było jak scena teatru, na której dopiero skończyła się jedna komedia, a zaczyna druga. Na ulicach zostały mokre resztki plakatów demokratów, którzy demonstrowali przeciwko nowemu rządowi, i butelki opróżnione przez tysiące młodych ludzi - w większości Europejczyków - którzy pod pretekstem „połączenia” urządzili hulankę. Z hoteli i eleganckich klubów w centrum wychodzili ostatni świętujący Anglicy: panowie w smokingach, z krawatami w rękę, panie w długich spódnicach, lekko uniesionych. Jacyś pijani obcokrajowcy kłócili się o taksówkę. Pod osłoną dachów Chińczycy w koszulkach i krótkich spodenkach, kucając na ziemi, przygotowywali sterty gazet, wkładając w każdą, bardzo zręcznie, specjal- 514 ne wkładki z ostatnimi zdjęciami z wielkiej uroczystości.

Jedni i drudzy nie zwracali na siebie uwagi. Wieczór wcześniej byłem w jednym z pięknych, dużych domów kolonialnych na Peak. Kolacja miała charakter typowo angielski: wydano ją, aby sobie „popłakać”. Pewna pani oznajmiła:

- Hongkong był idealny, był rajem. To nie mogło trwać wiecznie. Chińczycy tak dobrze nam służyli!

O szóstej, jak w zegarku, oddziały chińskie przekroczyły granicę, ale szofer mojego przyjaciela miliardera, z którym podróżowałem, bał się tam zapuścić, toteż przystanęliśmy kilka kilometrów dalej. W ulewnym deszczu, razem z grupą czterdziestu osób z lokalnego „komitetu powitalnego” (każda miała gwizdek i plastikową chorągiewkę), ujrzałem długą kolumnę wozów wojskowych wjeżdżających do Hongkongu. Najpierw ciężarówki[^]) przykryte brezentem, potem ciężarówki z żołnierzami, nierucho- x v mymi, siedzącymi rzędami na drewnianych ławkach i z karabinami opartymi o kolana, a wreszcie budzące respekt wozy opancerzone - każdy z żołnierzem wyglądającym z wieżyczki, z dłonią na

karabinie maszynowym. „Witamy! Witamy!”, krzyczeli ludzie bez szczególnego entuzjazmu. Oficerowie w zamkniętych samochodach i żołnierze w swoich nowych przemoczonych mundurach odpowiadali mechanicznym gestem dłoni w białej rękawiczce.

Była to złowieszcza defilada dla kogoś, kto pamiętał te same ciężarówki, tych samych żołnierzy siedzących w równoległych rzędach na placu Tiananmen w czerwcu 1989 roku, w Lhasie w 1993 roku czy - co dzieje się ostatnio częściej - na chińskich stadionach, ze skazańcami, przed egzekucją.

Chińczycy od dawna przygotowywali „wyzwolenie” Hongkongu. Limuzyny i ciężarówki były nowe. Wszystkie miały kierownice po prawej stronie, jak jest w zwyczaju (angielskim) w Hongkongu, ale nie w Chinach.

Punktualnie o ósmej kolumna kierująca się do centrum miasta weszła do koszar „Książę Walii”. Trzech żołnierzy w galowych mundurach - marynarz, piechur i lotnik - stanęło na straży przy wejściu. Zaledwie kilka godzin wcześniej naprzeciwko stał 515 jacht „Britannia”, a ostatni żołnierze brytyjscy dawali się obejmować i fotografować dziewczętom z Hongkongu polującym na pamiątki.

- Z jakiej części Chin pochodzicie? - zapytałem młodego oficera. Spojrzał na mnie podejrzliwie.

- Ze wszystkich - odpowiedział. ^

- Ale ty, z jakiej części pochodzisz?

- Nie wiem - uciał.

Żołnierze jeszcze przez pół godziny tkwili nieruchomo na ciężarówkach, w ulewnym deszczu, a potem w szyku, poprzedzani przez swoje czerwone sztandary i proporce, pomaszzerowali do budynku, na którym nadal widniał napis: KWATERA GŁÓWNA SIŁ WIELKIEJ BRYTANII. Był to wręcz nierealny widok. Mundury, barwy, sierpy i młoty wydawały się absolutnie nie na miejscu tu, w sercu Hongkongu, na tle drapaczy chmur, banków, towarzystw ubezpieczeniowych i luksusowych hoteli. Ale taki właśnie był obraz nowego Hongkongu, obraz, który pozbawił mnie wszelkich wątpliwości. Pozbawił ich także towarzyszącego mi mojego chińskiego przyjaciela, który zawsze twierdził, że jest szczęśliwy z powodu przebiegu wydarzeń.

- Dziwne, ale dopiero teraz dociera do mnie, że to ci sami żołnierze, którzy wywłaszczyli moją rodzinę w Szanghaju i zmusili nas, żebyśmy przybyli tu jako uchodźcy.

Z okien koszar wywieszono długi czerwony transparent z uproszczonym pismem Pekinu, którego Hongkong, podobnie jak Tajwan, dotychczas nie chciał przyjąć. Napis głosił: ŚWIĘTUJEMY POŁĄCZENIE HONGKONGU Z MACIERZĄ- Uroczystości będą trwały jeszcze dwa dni. Dla wielu po święcie przyjdzie depresja.

Wróciłem do domu na piechotę. Z rezydencji brytyjskiego gubernatora zniknęły już inicjały królowej Elżbiety, na budynku rządowym została umieszczona tabliczka Republiki Ludowej, ta sama, która wisi na wszystkich budynkach publicznych w Chinach. Policjanci zmienili już epolety i guziki przy swoich 516 mundurach.

Kiedy przemoczony do suchej nitki dotarłem przed drzwi mojego domu, zorientowałem się, że także przy wejściu powiewa czerwony sztandar z pięcioma gwiazdami. Zawiesił go portier. Nie muszę już rozważać, co się naprawdę stało.

W 1997 roku „Corriere della Sera” wybrał dla swoich współpracowników jako temat letnich opowieści „miejsce”. Zamiast Sajgonu czy Benaresu przyszła mi na myśl...

Orsigna: ostatnia miłość

Wiedźmy były trzy. Siedziały w najwyższych gałęziach drzewa orzechowego przy źródle. Śmiały się, rozmawiając półgłosem. Z początku Ettore jedynie słyszał ich głosy. Potem, wyężdżając wzrok przyzwyczajony już do ciemności, ponieważ wracał do domu po nocnej grze w karty z przyjaciółmi, rozpoznał je. Chciał uciekać, ale wiedźmy też go już rozpoznały i najstarsza zatrzymała nieszczęśnika swoją klątwą: „Ettore, co widziałeś, zapomnij. Jeśli

kiedykolwiek piśniesz chociaż słowo, umrzesz". Minęły lata i Ettore nigdy nie nikomu nie powiedział. Ale pewnego dnia, kiedy wypalał w Kalabrii węgiel ze swoimi krajanami, podczas kolacji rozmowa zeszała na wiedźmy. Drzewo orzechowe, źródło, szynk wydały mu się bardzo odległe i nabrał chęci, by otworzyć serce. „Ja wiedźmy widziałem...” I wymienił imiona. Następnego ranka, kiedy był w pracy, ładunek drewna nagle przygniótł go w niewyjaśniony sposób i Ettore zginął na miejscu.

Tę historię mieszkańcy Orsignii opowiedzieli mi jako jedną z pierwszych. Byłem dzieckiem z miasta na wakacjach, a oni chcieli, żebym nauczył się zachowywać, szanować tabu gór. Swoje zakazy miał każdy las, każdy wąwóz, każda skała. Ich nazwy przypominały o tym ludziom, tak samo jak krzyże i figurki Matki Boskiej stawiane przy ścieżkach i w gęstwinie. Pewna kobieta nie wierzyła, że po równinie krąży potępieniec i chciała nią przejść 518 podczas zimowej nocy. Z podołka spadło jej wrzeczono, którym przędła wełnę, wbiło się w śnieg, zatrzymując spódnicę, a ona poczuła, że ciągnie ją jakaś niewidzialna dłoń. O poranku znaleziono kobietę martwą. Umarła ze strachu, a równinę nazwano Mogiłą. Pewien mężczyzna, który mówił, że nie wierzy w duchy, został przez nie zepchnięty z urwiska. Nazwano je potem Uskokiem Śmierci. Czarcie Kopyto znajdowało się tam, gdzie diabeł z doliny Orsignii - nazywanej niegdyś Ciemnym Lasem - po raz ostatni oparł stopę, uciekając przed Madonną przybyłą ocalić mieszkańców od wiecznej zatury. Do dziś w Czarciu Kopycie nie rośnie ani jedno źdźbło trawy.

Oczarowały mnie te miejsca i opowieści starych ludzi. Minęło pięćdziesiąt lat, odwiedziłem najdziwniejsze i najodleglejsze zakątki, ale nigdy nie uwolniłem się od czaru. Orsigna, ze swoimi dwustoma „duszami”, jak tutaj nadal określa się mieszkańców, jest moim środkiem świata.

Przed miejscowością stoi znak. ORSIGNA, 806 METRÓW NAD POZIOMEM MORZA. Chociaż Florencja jest zaledwie siedemdziesiąt pięć kilometrów stąd, droga nie prowadzi nigdzie dalej i trzeba znać sekret pewnego zakrętu na starej, zapadłej Via Porretana, aby ujrzeć rozpościerającą się nieoczekiwanie, za każdym razem jakby odkrywaną na nowo, rozległą dolinę w półkolu gór, których barwy podkreślają przemianę pór roku. Inaczej niż Abetone, Maresca, Gavinana albo San Marcello, znane miejscowości Apeninów Toskańskich, Orsigna nigdy nie miała się czym chlubić. Nigdy nie przeszła przez nią wielka historia, nigdy nie zatrzymał się w niej nikt sławny. Jedyna tablica pamiątkowa to ta na fasadzie kościoła, z nazwiskami i porcelanowymi medalionami dwudziestu tutejszych chłopców poległych podczas pierwszej wojny. Jedynym „sławnym człowiekiem”, jaki zatrzymał się w pobliżu, był Carducci. Wysiadł na stacji w Pracchii, bo popsuta się lokomotywa pociągu, którym jechał do sanatorium w Porretcie.

Orsignę ujrzałem po raz pierwszy w 1945 roku. Przywiózł mnie ojciec, który odwiedził ją w młodości, w czasach, gdy do butów przywiązywało się sztachety płotów, jeśli chciało się pojeź- 519

dzić na nartach. Dotarliśmy do doliny na piechotę, górską ścieżką dla zwierząt jucznych. Nie była to miejscowość letniskowa z prawdziwego zdarzenia, więc nie mieliśmy kłopotu ze znalezieniem wolnego pokoju. Kilka razy zatrzymaliśmy się u listonoszki Azelii, potem u pasterki Filide, która po każdym zmarłym mężu coś dziedziczyła, toteż jej dom był jednym z najładniejszych.

Co lato pilnowałem owiec z rówieśnikami, szukałem grzybów, zbierałem jagody, oglądałem wschody słońca z wierzchołka góry. Wszystkie szczyty miały poniżej dwóch tysięcy metrów, ale dla mnie były niedosiężne. Orsigna została moją szkołą życia. Tutaj po raz pierwszy tańczyłem, przeżyłem pierwszą miłość, pierwsze lęki i pierwsze marzenia. Z pierwszych oszczędności kupiłem łąkę, na której puszczałem latawiec, a z kamieni rzecznych zbudowałem dom podobny do innych, tylko z większymi drzwiami i oknami. Myśl o tym miejscu była moim kompasem podczas wędrówek po świecie, a kiedy zapragnąłem ofiarować

dzieciom, dorastającym w obcych krajach, korzenie i dom, z którym mogłyby później wiązać swoją tęsknotę za dzieciństwem, wymyśliłem taką oto zasadę rodzinną: miały co rok spędzać dwa miesiące w Orsignii.

W tej dzikiej dolinie z jej mieszkańcami żyjącymi poza historią - nie licząc historii wielkiego ubóstwa, bez chwały - nie licząc chwały baśni, których czuli się bohaterami, znalazłem miarę człowieczeństwa. Chciałem, aby moje dzieci odkryły ją także i przyjęły za własną.

Osobliwi mieszkańcy Orsignii! Nawet ich imiona zrobiły na mnie ogromne wrażenie, kiedy przyjechałem tu po raz pierwszy. Mężczyźni nazywali się: Assuero, Smeraldo, Antimo, Elio. Kobiety: Sedomia, Elide, Fortunata. Ja, florentczyk, uważałem za dziwne, że nie wiedzą dokładnie, kim byli ich przodkowie. Niektórzy mówili, że są potomkami żołnierzy z kompanii najemnych, których pan, nie mogąc wypłacić żołdu, dał im w lenno dolinę.

520 Stąd nazwiska - Venturi, Caporali - i nazwa skupiska domów -

Vizzero²⁶. Inni utrzymywali, że pochodzą od przemytników, którzy w tej odległej od świata dolinie, leżącej na granicy ziem papieża i wielkiego księcia Toskanii, omijali miejsce zwane Posterunkiem Celnym (tak właśnie się nazywa) i przekraczali góry w pewnym niedostępnym punkcie zwanym nieprzypadkowo Wolnym Przej- ściem .

W cieniu lasów kasztanowych i bukowych ludzie z Orsignii, żyjący z dala od miast, którym nie ufali - Florencji i Pistoii - wyrastali dumni i niezależni. Mieszkali w swoich domach rozrzuconych po zboczach gór i nawet do Kościoła, bo tak jeszcze dzisiaj mówi się na „właściwą” osadę, chodzili tylko na mszę, pograć w karty, napić się i kupić sól oraz zapalki. O resztę troszczyli się sami. Byli pasterzami, owce i drzewa kasztanowe dawały im wszystko, czego potrzebowali.

Także po lekarza posyłali tylko na łożu śmierci. Alighiero umiał zatamować krwotok poprzez tajemnicze zakłęcie. Ubaldo - ten jeszcze żyje - leczył półpasiec, „zamawiając” chorobę.

Mieszkańcy Orsignii mieli dużo czasu. Ze źdźbłem trawy w ustach godzinami stali na szczycie wzgórza i patrzyli na trzode, bez słowa, pograżeni w myślach. Miałem wrażenie, że znają duszę ludzką jak mało kto i że w każdej rzeczy potrafią dostrzec archetyp. Czynili to z prostotą, w której nauczyłem się rozpoznawać wielkość.

Byli, oczywiście, niezrównanymi obserwatorami natury i to jej zawdzięczali swoją wiedzę oraz poczucie jedności z przyrodą, które kazało im powoływać do życia - choćby tylko poprzez imię albo opowieść - każdy kamień, każdy parów.

Gdy dorosłem, podziwiałem ich jeszcze bardziej. Ja jechałem na koniec świata, aby coś zrozumieć. Oni, nie umiejąc czytać ani pisać, nie ruszając się z miejsca, dostrzegali wokół siebie tak wiele, że byli dla mnie mędrkami.

Kiedy wróciłem z Wietnamu, Alighiero, który wojnę widział tylko raz, gdy Niemcy przyszli spalić osadę w dolinie w odwecie za atak partyzantów, zdawał się o niej wiedzieć dużo więcej. I może tak było w istocie. Ja oglądałem przez chwilę wielką łunę, on - powolny bieg rzeczy od początku do końca. Chińczycy mają piękne określenie opisujące, jak żyłem i nadal żyję: oglądanie kwiatów z końskiego grzbietu. Otóż to: przez dwadzieścia pięć lat oglądałem w Azji wiele kwiatów, czasem cudownych, ogromnych, ale z grzbietu konia, zawsze w drodze, zawsze z odległości. Nigdy nie miałem czasu, aby się zatrzymać. Mieszkańcy Orsignii oglądali tylko drobne, niepozorne kwiatki. Było ich niewiele, ale za to widzieli, jak się rozwijały, rosły, umierały. I dobrze poznali to niezwykle zjawisko, jakim jest życie. Są wolni i nie boją się nawet śmierci. Wielu ludzi popełniło tutaj samobójstwo, jakby nie chcieli być częścią niczyich planów, również Stwórcy. Nunziatina, moja sąsiadka, przed kilkoma laty wyskoczyła z okna, bo pragnęła leżeć na cmentarzu obok swojego męża. Usłyszała, że inna

kobieta została zabrana do szpitala, i wiedziała, że jeśli tamta umrze przed nią, ona straci miejsce, w którym chciała być pochowana.

522

Ludzie z Orsignii żyli we własnym świecie, z własnymi zasadami, i nie chcieli niczego, co przyszło z miasta. Nawet wyjaśnienia nazwy swojej miejscowości. Zdaniem historyków pochodzi ona od niedźwiedzi", których dolina, wymieniana w dokumentach już w 1000 roku, była ponoć pełna (stąd również dwa niedźwiedzie w herbie Pistoï). Mieszkańcy sądzą jednak, że nazwa wiąże się z księżniczką Orsinią (z rodu Orsinich?), skazaną na odpokutowanie tutaj „grzechu miłości”. Pilnujący jej strażnicy nosili ciężkie zbroje i tylko kiedy je zdejmowali, aby opalać się na wzgórzu, widać było, że w rzeczywistości to piękne dziewczęta. A wzniesienie do dzisiaj nazywane jest Gołą Górą.

- Tam to się czuje - mówili mieszkańcy Orsignii, wskazując ruiny Zamku (czyżby księżniczki?), a tak naprawdę - resztki kilku ubogich kamiennych domków. Milczałem, próbując usłyszeć dobiegające z przeszłości skargi Orsinii, ale na próżno.

- Trzeba, żebyś miał drugi słuch i drugi wzrok - radził Guidino, mały staruszek, który się ze mną zaprzyjaźnił.

On posiadał wszystkie drugie zmysły. Mieszkał w domu czarnym od sadzy, ale był natchnionym poetą i zawsze wygrywał w turniejach, podczas których przed gąsiorem z winem improwi- zatorzy ścierali się na wiersze, opiewając przeplatany rymami, jeden przymioty brunetki, drugi blondynki, jeden słońca, drugi księżycy.

Nie ma już ludowych poetów w Orsignii. Z biegiem lat również tutaj wiele się zmieniło. Od kiedy jest telewizja, ludzie nie rozmawiają wieczorami przy piecu. Wszyscy pasterze zeszli na równinę, a ich dzieci przeprowadziły się do miast. Mimo to wielu wraca, odnawia stare domy. Wraca, aby chodzić na grzyby, oglądać wschody słońca ze szczytów gór i tańczyć na placu pod jedynym pomnikiem w Orsignii, małym marmurowym Chrystusem z rozpostartymi ramionami.

Ja też zawsze wracam, a teraz, po długiej wędrówce, latach spędzonych wśród innych narodów, ciągle w poszukiwaniu odmiennego, egzotycznego, w pogoni za sensem tej nonsensownej rzeczy, jaką jest życie, coraz częściej zadaję sobie pytanie, czy ta dolina nie jest aby miejscem najbardziej odmiennym, posiadającym najwięcej egzotyki i sensu. I czy po tylu przygodach i tylu miłościach, po Wietnamie, Chinach, Japonii i Indiach, Orsigna nie jest- jeśli mam szcylfłgsie - moją prawdziwą, ostatnią miłością.

sierpień 1997 Wypożyczalnia

AO&O&.i.

Nf. inw-

Początek 9 Pierwszy raz 13 Laos: milion słoni 19

Kambodża: strach przed białym koniem 25

Wietnam: tymczasowość bez końca 30

Kambodża: czarne godziny 35

Sajgon, ostatnia plaża 40

Wietnam: Giai Phong! 45

Mao nie żyje 48

Pogrzeb 51

Koniec maoizmu 52

Boat people 56

Uchodźcy: zdecydowałem, kto ma żyć, a kto umrzeć 61 Korea Północna: czerwony sztandar,

błękitna krew 66 Filipiny: powiedział mi taksówkarz 75 Kolacja z karabinem 82 Pomyliliśmy się 87

Hiroszima: dzień, w którym słońce weszło dwa razy 95 Japonia: nad krawędzią przepaści 102 Robot i cesarz 116 „Święta” z Manili, której boi się Marcos 126 Ucieczka helikopterem 131 Richard Sorge: James Bond socjalizmu 137 Japończycy w lustrze 150 Głos świętego ognia 160 Makau: podróż w czasie, która dobiega końca 168 Bertolucci w Chinach 179 Kultura toalet 184 , r Korea Południowa: krewetka między dwcma wielorybami 190 Kim Dae D^ung: prezydent-cień 214 1 V /) «'infRioyśogyW V —* u.f. .iw V'.,.

spis rzeczy

.wnl .in Japonia: agonia boga 217 Żałoba 222 Nie słycać już głosu żurawia 226 Hirohito: więzien historii 229 Szaleńcy z „Fortu” 240 Pokłon świata 244 Chiny: bóg po dwakroć przegrany 248 W środku przerażenia 253 Miasto koszar 259 Wielkie Kłamstwo 264 Fabryka marzeń 269 Wykapmy się razem 275 Uciekać w bezruchu 281 Sachalin: przeklęta wyspa 287 Szkoła: małe tresowane foki 302 Wierni służy państwa i przedsiębiorstwa 308 Jakuzi: „jesteśmy spadkobiercami samurajów” Bandyta na rogu 321 Jak być Japończykiem 329 Japonia widziana z góry 335 Birma: nie ma kwiatów dla umarłych 347 Rewolta bonzów 353 Psychodeliczna aureola 359 Kuryle: wyspy na końcu świata 365 Śmierć Radziwa 376 Dżuma 381 Pakistan: kraj czystych 388 Uniwersytet „świętej wojny” 393 Mustang: raj utracony 397 Kaszmir: psy wiedzą 408 Tunel bez światła 412 Sri Lanka: wyspa obłędu 424 Umrzeć jako dziecko 436 Giovanni Alberto Agnelli: krótka przyszłość 441 Czternasty Dalajlama 456 Królowa bandytów 463 Matka Teresa 470 Śmierć cesarza Deng Xiaopinga 479 Życie w Indiach 485 Pożegnanie z Hongkongiem 490 Duchy banku 495 Za zdrowie imperium 499 Podziemny Hongkong 503 Ostatnia msza 508 Ziarno białej kolonii 511 Dzień później 51A Orsigna: ostatnia miłość 518 Redaktor serii: Adam Pluszka Konsultacja: Stanisław Ryu Matsumoto Redakcja: Beata Iwicka Korekta: Mariola Hajnus, Katarzyna Pawłowska Redakcja techniczna: Anna Gajewska Projekt okładki i stron tytułowych: Studio Page Graph, na podstawie koncepcji graficznej mamastudio Fotografia autora na I stronie okładki: © Vincenzo Cottinelli

Wydawnictwo W.A.B. 02-386 Warszawa, ul. Usypiskowa 5 tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11 wab@wab.com.pl www.wab.com.pl
Skład i łamanie: Komputerowe Usługi Poligraficzne Piaseczno, Żółkiewskiego 7a Druk i oprawa: ABED1K S.A., Poznań
ISBN 978-83-7414-643-2

** Sprawozdanie z tej wizyty i z naszych pięciu lat w Tokio znajduje się w dzienniku Angeli, Giorni giapponesi, opublikowanym przez wydawnictwo Longanesi w 1994 roku.

* Autor wspomina pierwszy atak na World Trade Center, który miał miejsce w 1993 roku (przyp. tłum.).

* Siły rządowe zdołały wkrótce potem odzyskać Dżafnę, ale nie schwytały Prabhakarana, który tymczasem uciekł do dżungli wraz ze swoimi ludźmi i całym arsenałem. Wojna trwa.

Nazwiska odnoszą się do przeszłości przodków mieszkańców Orsignii, służących jako żołnierze najemni, natomiast nazwa miejscowa Vizzero pochodzi prawdopodobnie od longobardzkiego wizza oznaczającego las z wyłącznością użytkowania (przyp. tłum.).

** Wspomniane przez autora przejście, pozwalające unikać płacenia cła, było przez stulecia używane przez przemysłowców soli i innych towarów (przyp. tłum.).

1 MALEDIWIY

OCEAN INDYJSKI

1 Król nie bez racji był podejrzliwy. Półtora roku później został odsunięty od władzy i zesłany z rodziną do obozu reedukacji, gdzie zmarł. Królestwo 22 miliona słoni stało się republiką demokratyczną.

2 Teraz już mogę wymienić jego nazwisko: był to Giancarlo Pajetta.

3 Historię tego pobytu i dramatycznego opuszczenia kraju czytelnik znajdzie w La porta proibita, książce opublikowanej w wydawnictwie Longanesi w 1984 roku. Relacja z naszego życia cudzoziemców w Chinach oraz z wielu podróży z dziećmi pociągami i na rowerze została spisana w dzienniku, który Angela prowadziła w tamtych latach i który ukazał się nakładem Longanesi w 1987 roku pod tytułem Giorni cinesi.

4 Ten artykuł, opublikowany w „La Repubblica” 29 marca 1985 roku pod tytułem - nie moim - Pol Pot, już mi się nie podobasz, wywołał polemiki. Lewica nazywała mnie reakcjonistą, prawica oskarżała o to, że zrobiłem rachunek sumienia zbyt późno i zbyt tanim kosztem.

5 Mowa o Sadako Sasaki, dziewczynce, która po wybuchu bomby zachorowała na białaczkę popromienną. Sadako postanowiła ułożyć z papieru tysiąc papierowych żurawi, wierząc (zgodnie ze starą japońską legendą), że wtedy spełni się jej życzenie i odzyska zdrowie. Zmarła w 1955 roku (przyp. tłum.).

6 W rzeczywistości ofiara Sagawy, Renee Hartevelt, nie była jego kochanką, lecz została podstępem zwabiona do mieszkania mordercy (przyp. tłum.).

7 Ramos został prezydentem Filipin po Cory Aquino.

8 W Polsce książka ta ukazała się w 1987 roku pod tytułem Sorge (przyp. tłum.).

9 Tai-chi (przyp. tłum.).

10 Regaliami cesarza Japonii są miecz, zwierciadło i tak zwane krzywe klejnoty (przyp. tłum.).

11 Przez całe lata jedyną istniejącą biografią cesarza była książka napisana przez Anglika.

12 Hu Yaobang, szef Komunistycznej Partii Chin, w 1988 roku usunięty ze stanowiska za liberalizm. Jego śmierć i pogrzeb w 1989 roku zapoczątkowały niepokoje społeczne (przyp. tłum.).

13 Hu Yaobang, szef Komunistycznej Partii Chin, w 1988 roku usunięty ze stanowiska za liberalizm. Jego śmierć i pogrzeb w 1989 roku zapoczątkowały niepokoje społeczne (przyp. tłum.).

14 Pierwsze szacunki okazały się zawyżone. Dokładnej liczby nigdy nie ustalono, ale ofiar było około dziewięciuset. 259

15 W języku Ajnów, którzy mieszkali w tym regionie, Ocha oznaczała „czarną wodę w odcisku racicy daniela”. 293

16 Pierwszą kobietą, która wspięła się w 1867 roku na Fudzi, była - podobno - żona pewnego brytyjskiego dyplomaty, lady Parkes. Pierwszym cudzoziemcem był również Anglik, Rutherford Alcock. Wszedł na górę 338 w 1860 roku.

17 Aung San Suu Kyi, odznaczona tymczasem pokojową Nagrodą Nobla, nadal żyje w areszcie domowym. 349

18 Mimo upadku Związku Radzieckiego i rozczłonkowania imperium sowieckiego, Kuryle nadal pozostają w posiadaniu Rosjan.

19 Historię tego roku opowiedziałem w *Un indovino mi disse*, Longanesi, 1996. [W Polsce książka ukazała się w 2008 roku pod tytułem *Powiedział mi wróżbita* - przyp. tłum.].

20 Benazir Bhutto, była premier Pakistanu, zginęła w zamachu w 2007 390 roku (przyp. tłum.).

21 Nie była to tylko czcza pogroźka. Po tym wywiadzie nastąpiło wiele przerażających zamachów przeprowadzonych przez samobójczą komandę w samym sercu miasta. Jeden z nich zniszczył budynek Banku Centralnego.

438 Zginęło wówczas ponad sto osób.

22 18 maja 2009 roku Prabhakaran zginął podczas walk z armią rządową. Oznacza to prawdopodobnie koniec wojny domowej na Sri Lance (przyp. tłum.).

23 Nazywała się Avery Howe i została niedługo później jego żoną. W podróż poślubną pojechali do Indii.

24 Wywiad został opublikowany w czerwcowym numerze „Sant'Anna 442 News”, biuletynu stowarzyszenia wychowanków szkoły.

25 Phoolan Devi urodziła się w rodzinie mallahów, jednej z najniższych 464 kast w hierarchii społecznej Indii (przyp. tłum.).

26 Z włoskiego-orisi (przyp. tłum.).